JULJAN TALKO-HRYNCEWICZ

Z PRZEŻYTYCH DNI

(1850—1908)

WARSZAWA / 1930

SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ S. A.

Prof. Juljan Talko-Hryncewicz

681119

56

Vilniaus Universiteto Biblioteka

BIBLIOTEKA PUBLICZNA UNIW. STEFANA BATOREGO

-23877

DRUK. GALEWSKI I DAU, WARSZAWA.

Czcigodnej Pani

Wandzie z Żabów Galewskiej

w dowód wieloletniej a wiernej przyjaźni,
jak ta ziemia kresowa, z której pochodzimy.

AUTOR

Słowo wstępne.

Przed paru laty zwrócił się do mnie czcigodny profesor Juljan Talko-Hryncewicz z życzeniem, abym przygotował do druku jego obszerne Pamiętniki, skracając je znacznie, ze względu na duże koszta wydawnicznicze. Nie mogłem odmówić temu przyjacielskiemu życzeniu i zaufaniu, więc się podjąłem tego bądź co bądź niełatwego i odpowiedzialnego zadania. Nieraz drżała mi ręka, gdym wykreślał liczne ustępy, nawet kilkunastostronicowe, bo rodziła się w umyśle wątpliwość, czy nie korzystam zbyt szeroko z danego mi upoważnienia do skracania tekstu Pamiętników. Skreśleniu uległy przeważnie ustępy o różnych znajomych autora, — osobach, które nie odegrały w życiu znaczniejszej roli na jakiembądź polu pracy publicznej.

Przeczytawszy kilkakrotnie Wspomnienia prof. Talko-Hryncewicza, i w rękopisie, i w korekcie, nabrałem jeszcze większego niż dotąd, szacunku dla ich autora. Są to bowiem niepospolite Pamiętniki niezwykłego człowieka, zwierciadło życia poczciwego Polaka, który, dzięki swemu zacnemu charakterowi, serdecznemu umiłowaniu nauki i wyjątkowej wytrwałości w pracy, dobrze się zasłużył Ojczyźnie.

Dużego uroku dodają Pamiętnikom: wielka szczerość autora, jego prostota i brak wszelkich uprzedzeń względem ludzi, o których pisze, osądzając ich całkiem bezstronnie. Lecz Pamiętniki prof. Talko-Hryncewicza posiadają nietylko duże znaczenie pod względem autobiograficznym. Mają one niemniejsze i pod względem historycznym, jako objektywny dokument czasów, w których autor żył. Jego wspomnienia o szkolnictwie, o powstaniu styczniowem, o społeczeństwie polskiem na Litwie i Ukrainie, o Syberji, w której kilkanaście lat przebył, o wielu ludziach wybitnych, których osobiście poznał, —

zapewniają nieprzemijającą wartość jego Pamiętnikom. Więc warto je przeczytać i zadumać się nad niejedną kartą, przedstawiającą naszą przeszłość narodową i kulturalną, i nad niejednym ustępem, opisującym ciężką, krwawą nieraz, dolę Polaków w niewoli, ale zarazem ich dzielność i niegasnącą wiarę w lepszą przyszłość Ojczyzny.

Adam Wrzosek.

Poznań, 6 kwietnia 1930 r.

PRZEDMOWA.

W czasach ostatnich pamiętnikarstwo, obejmujące wspomnienia, zapiski, dzienniki, zdarzenia, autobiografje i t. d. rozwinęło się tak dalece, że dziś stanowi i u nas jakby osobny dział literatury. Jest ono pewnym przyczynkiem dla charakterystyki czasów i ludzi, dającym następnym pokoleniom autentyczny obraz przeszłości, nakreślony przez naocznego świadka. Z tych nieraz drobnych zdarzeń i charakterystyk ludzi czytelnik odbudowuje sobie obraz przeżytej epoki. Niestety, jak wszystko na świecie, tak również i pamiętniki mogą mieć i swe strony ujemne, których autor powinien się starać unikać. Podstawą pomiętnika powinna być przedewszystkiem prawda i realność bez przymieszki fantazji i przesady. Nie każdy jednak z piszących może się na to zdobyć i utrzymać się na tem stanowisku, aby nie wnieść swych subjektywnych zapatrywań na fakty, które widział, lub o których słyszał. Jeden na nie reagował silniej, drugi słabiej, co w części zależało od tego, czy był wówczas jeszcze młodzieńcem, czy człowiekiem starszym. Wiele znowu faktów w pamięci się zaciera i po latach wielu należy je odtwarzać, niestety, być może niedokładnie i z usterkami. Starałem się tych wszystkich słabych stron unikać. Na ile mi się to udało, niech czytający osądzi.

Rodzaj pamiętników może być dwojaki: albo pisane są dla siebie, i są drukowane dopiero po śmierci autora, albo pisane dla szerszego grona czytelników ukazują się w druku jeszcze za życia autora. W pierwszym wypadku autor nie krępuje się w swych sądach o ludziach i zdarzeniach i puszcza nieraz wodze swej wyobraźni, w drugim jest wstrzemięźliwy i ostrożniejszy, uznając, że nie godzi się uwłaczać pamięci tych, co już odeszli i sami bronić się nie mogą. Moje wspomnienia należą do drugiego rodzaju pamiętników.

Kiedy ze skończeniem lat 70 sądzonem mi zostało dożyć zwykłego kresu życia ludzkiego, rozpocząłem pisać wspomnienia z przeby-

tej wędrówki życiowej. Lubo starałem się, wedle możności, być objektywnym, jednak, nie będąc pozbawionym wielu ułomności ludzkich, mimowoli, być może, nie osiągnąłem zamierzonego celu.

Przeżyłem życie w skromnym bycie i obce mi były wszelkie ambicje karjerowiczowskie, chęć zyskania jakiegoś wyższego stanowiska lub pieniędzy. Nie posiadając wybitniejszych zdolności, dochodziłem do celu wytrwałością i pracą. Zawód lekarski, któremu się poświęcałem długie lata, a jeszcze bardziej praca naukowa, dawały mi moralne zadowolenie. Za tę wierną służbę nauce zostałem zaszczycony najwyższą godnością, jaką mógł otrzymać Polak w czasach smutnych, porozbiorowych. To uznanie tem mi jest droższe, że choć urodziłem się i pierwsze lata życia spędzałem nad Niemnem, większa atoli część życia upłynęła mi wśród obcych, gdzie uczyłem się i pracowałem dla chleba i dla nauki: to nad Newą, to nad Dnieprem, to na skraju stepów chersońskich, to wreszcie na pograniczu Mongolji. Dopiero na starość sądzonem mi zostało ujrzeć ziemię ojczystą i pracować u stóp Wawelu. Lecz okoliczności znowu tak chciały, że wielka wojna skazała mnie wraz z żoną na kilkoletnią tułaczkę, z której jednak szczęśliwie wróciliśmy do kraju. Wspomnienia niniejsze są spowiedzią z mego życia, z wrażeń i zdarzeń przebytych. Doprowadziłem je do ostatnich lat, lecz narazie oddaję do druku część pierwszą ich, obejmującą lata od 1850 do 1908 r.

Autor.

Kraków, styczeń 1929.

ROZDZIAŁ I.

Pochodzenie. Dzieciństwo. (1850 — 1860).

Ród Talków-Hryncewiczów, z którego pochodzę, pieczętuje się herbem Iłgów, wspólnym tylko trzem innym rodom szlacheckim na Litwie: Aleksandrowiczom, Iwanowskim i Karnickim. Według dawniejszych heraldyków herb Iłgów powstał z połączenia herbu Syrokomli z Habdankiem, późniejsi uważają ten herb za samodzielny. Co do rodu Hryncewiczów legenda herbowa twierdzi, że za czasów księcia Kiejstuta, pana na Trokach, w okolicach pobliskich żył bojarzyn imieniem Wilkosz, dlatego tak przezwany, że umiejętnie zastawiał sidła na wilki. Dostarczał on panu swemu na Zamek Trocki zwierzynę i miał znak rodowy, nadany mu przez księcia: głowę wilczą, a pod nią dwie kosy nakrzyż. Wilkosz miał dwóch synów, zamieszkałych niedaleko od siebie nad dwoma jeziorami Talkowem i Hrynkowem, których nazwa do dziś się utrzymała w Trockiem. Jeden z braci miał na imię Talko, drugi Hrynko. Talko umarł zamłodu. Hrynko przez pamięć dla brata nadał synowi swemu imię Talki, i od tego czasu, według panującego na Rusi zwyczaju, zwać się począł Talko-Grynkowiczem, a jego potomkowie Hryncewiczami. Jeden z nich był przy oblężeniu Smoleńska w r. 1385, bijąc się w szeregach W. Księcia Witołda. W nagrodę swych walecznych czynów otrzymał indygenat szlachecki z herbem Iłgów i nadaniem dóbr w Smoleńszczyźnie. Od tego czasu przez parę wieków nie używali swego właściwego nazwiska, lecz od herbu i ziemi zwać się poczęli Iłgowskimi [1]). Znany był na-

[1]) Rękopis ks. Ludwika Hryncewicza p. t. „Origo Imienia Ichm. I. Panów Hryncewiczów" z dnia 2 augusta 1769, spisany z podań rodzinnych i przechowany u autora. Drugi akt wywodu „familji urodzon. Talko-Hryncewiczów", wydany przez deputację wywodową wileńską 1833 r. Junii 20.

wet w XV w. tego nazwiska cywun (starosta) twerski, Andrzej Iłgowski, na Żmudzi, który protestował przeciw aktowi połączenia Polski z Litwą na sejmie horodelskim w r. 1413 [1]). Jedna z gałęzi Hryncewiczów, wyznając unję i piastując wojewódzkie urzędy, pozostała w Smoleńszczyźnie. Do niej należał Iwan Fiodorowicz Talko - Igłowskij Gryncewicz [2]), fundator wielu cerkwi. Druga gałąź wróciła na Litwę, gdzie znacznie się rozmnożyła w powiatach trockim, lidzkim, wiłkomierskim, brasławskim, rosieńskim i innych [3]). Wielu z członków tego rodu władało starostwami, większemi dobrami i piastowało różne urzędy powiatowe, inni „chodzili po posesjach"; a byli i tacy, którzy bardzo podupadli i na skromnych kondycjach u wielkich panów mieścić się musieli. Kilkunastu Hryncewiczów szukało chleba w zawodzie duchownym, byli księżmi świeckimi, jeden kanonikiem, inny prałatem Kapituły Żmudzkiej, kilku było zakonnikami reguły św. Dominika w XVII i XVIII w., a z nich czterech przeorami w Wilnie, Słonimie i w Rosieniach, a trzech nadto prowincjałami zakonu dominikańskiego Prowincji Litewskiej. Uczestniczyli oni w Rzymie i Bolonji na kapitułach jeneralnych [4]).

Pochodzę z latorośli osiadłej przed kilku wiekami nad Niemnem, w dawnym powiecie marjampolskim i rosieńskim, na ziemi, którą nabył ks. Wiktoryn Hryncewicz, prałat Kapituły Żmudzkiej, proboszcz i dziekan Wieloński. Zapisał on ją memu pradziadowi i nazwał tę

---

[1]) Akta kom. archeol. wileń. Paprocki w Herbarzu z r. 1585 i konstytucja z r. 1631.

[2]) X. Kojałowicz W. Herbarz rycerstwa W. Ks. Litew. t. z. Compendium. Za nim powtarza Fr. Piekosiński (Stud., rozpr. i mater. z dziedz. hist. pol. i prawa polsk. T. II. Kraków, 1897, str. 280). Iłgowscy w pow. kowieńskim i Ks. Żmudzkiem osiedli. Iwan Iłgowski, ciwun Wieśniański, poseł z Ks. Żmudzkiego na sejm Lubelski dla dokonania Unji W. X. L. z Koroną. Andrzej i Iwan Iłgowski, mężowie odważni w wojsku kwarcianem, jako ich wspomina ks. Okolski".

[3]) Gustaw Manteuffel („O starodaw. szlachcie krzyżacko-rycerskiej na kresach inflanckich" Mies. herald. N. 7 — 8. Rok. IV. Lwów, lipiec — sierpień 1911, str. 101), pisze: Iłgowscy, z księstwa Żmudzkiego, bardzo dawno w ks. Inflanckiem osiedli; wspomina bowiem konstytucja sejmu Warszawskiego o tem, że Wojewoda Aleksander Gosiewski, „myzę pewną, zwaną Aul, w trakcie rzeżyckim leżącą, nabył od urodzonego Iłgowskiego i ofiarował na fundację kościoła Dynaburskiego".

[4]) Dziad mój do gniazda naszego rodzinnego w Iłgowie zbierał zewsząd od znajomych i z klasztorów portrety swych antenatów. Obok świeckich były portrety i księży, aż 6 z zakonu Dominikańskiego, z podpisami pod niemi imion, nazwisk i daty urodzin.

O czterech Hryncewiczach, przeorach dominikańskich, znajdują się szczegóły biograficzne w dziele Wołyniaka (Giżyckiego) „Wiadomości o dominikanach prowincji litewskiej". Kraków, 1917.

majętność od herbu Iłgowem. Stała się ona gniazdem rodziny Hryncewiczów Iłgowskich.

Przyszedłem na świat 12 sierpnia według starego stylu 1850 r. w Rukszanach, majętności położonej z drugiej strony Niemna, naprzeciw Iłgowa parafji Wielońskiej, pow. kowieńskiego, dawniej zaś rosieńskiego, z ojca Dominika i matki Leokadji z Fischerów. Ojca straciłem w dzieciństwie. Pozostało mi tylko w pamięci, jak go chorego przywieziono ze wsi do Kowna i pomieszczono w zajeździe żydowskim Mejlacha nad Wiljąą. Przyprowadzono nas, dzieci kilkoletnie do ojca, mnie i siostrę, o rok przeszło młodszą ode mnie. Leżał on w łóżku. Był wysokiego wzrostu z ciemnemi wąsami i miał okulary w złotej oprawie. Wydał mi się przystojnym. Przy łóżku siedział w niebieskim mundurze żandarm. Później dowiedziałem się, że było to w r. 1853, czy 1854, i że naskutek rewizji u ojca i znalezienia jakichś broszur i gazet patrjotycznych był on aresztowany. Żywo mi stoi w pamięci scena, — kiedy rano w dzień Trzech Króli w r. 1855 przyjechał posłaniec z Łop' z pod Kowna z listem, zwiastującym o zgonie ojca, a matka leżała w ataku serdecznego śmiechu. Pamiętam, że wkrótce potem w największym pokoju u dziadów, na kilku rozstawionych stołach i na podłodze leżały stosy książek, przywiezionych ze wsi z bibljoteki ojca, które licytowano. Pamiętam, jak z siostrą bawiliśmy się temi książkami, które nabył hr. Marjan Czapski z Kiejdan.

Ojciec na parę lat przed śmiercią sprzedał Rukszany starszemu bratu Juljanowi i zamieszkał w Łopiach na dzierżawie pod Kownem, a matka z dziećmi w Kownie przy rodzicach. Corocznie przez lat wiele, zwykle w piękny dzień słoneczny, jeździliśmy z dziadami i z matką do Łop', aby być w kościele na nabożeństwie żałobnem za duszę ojca i pomodlić się na jego grobie. Dzień cały spędzaliśmy na probostwie u ks. Markiewicza, a wieczorem wracaliśmy do domu. Wielką dla nas dzieci uciechą było odwiedzanie starych ciotek, sióstr ojca, zamieszkałych w pobliskim klasztorze p. p. Bernardynek. Ubierano nas w futerka białe, królikowe, pokryte siną wełną, a w klasztorze ugaszczano piernikami, które nam bardzo smakowały. Obie ciotki nie doznały w życiu szczęścia. Starsza Paulina wyszła zamąż za Wszeborowskiego, krewnego sąsiadów Zaleskich z Wielony, lecz wkrótce z nim się rozwiodła, a Wszeborowski wstąpił w powtórne związki z Giedroyciówną. Druga siostra, Barbara, zakochała się w młodym i podobno sympatycznym nauczycielu swych braci, niejakim Chodakowskim, szlachcicu. Matka ani słyszeć chciała o takim mezaljansie dla córki. Energiczna Basia, opuściwszy dom rodzinny,

wzięła ślub potajemnie i zamieszkała z mężem gdzieś w pobliskiem miasteczku. Dumna i despotyczna matka, zabrawszy ją od męża, osadziła za pokutę w Kownie w klasztorze p. p. Bernardynek, gdzie młodziutka Basia długie lata przebyła, a los jej, przez miłość dla siostry, dzieliła pani Wszeborowska. Tu w cichem klasztornem więzieniu upłynęło ich życie. Od czasu do czasu matka korespondowała z córkami, nie uznając małżeństwa Chodakowskiej i nazywając ją panną, a wszyscy w domu musieli się do tego stosować. Pamiętam, że u Bernardynek w Kownie przebywało kilka rezydentek. W pamięci mojej pozostała wiekowa rezydentka panna Siwicka, chodząca po mieście w napół zakonnym stroju, we dwoje zgarbiona. Ojciec jej, niegdyś zamożny obywatel, był marszałkiem szlachty pow. Kowieńskiego za czasów pobytu w Kownie Mickiewicza. Opowiadano o niej, że była jedynaczką u rodziców i odznaczała się niezwykłą urodą. Wówczas to w pobliskim klasztorze Kamedułów w Pożajściu pod Kownem, ufundowanym w połowie XVII w. przez Krzysztofa Paca, kanclerza W. Ks. Litewskiego, skrywał się wśród borów nadniemeńskich jakiś rewolucjonista, magnat węgierski, przebrany za mnicha. Od czasu do czasu robił on wycieczki do okolicznych dworów szlacheckich, a poznawszy młodziutką Siwicką i zapaławszy do niej afektem miłosnym, odkrył przed rodzicami tajemnicę swego pochodzenia. Uzyskawszy ich aprobatę na ożenienie się z wybraną, robił nocne wycieczki z klasztoru dla odwiedzenia swej narzeczonej. Czekano tylko możności wyzwolenia emigranta. Ułaskawienie, zwodniczo ogłoszone w gazetach, spowodowało jego wyjazd do kraju, gdzie podstępnie przez władze austrjackie śmiercią został ukarany. Młodziutka narzeczona długo wyglądała powrotu narzeczonego, lecz, gdy doszła ją wiadomość, że zginął, zrozpaczona przekazała swój fundusz na klasztor, w którym znalazła cichą, długoletnią przystań.

Powstanie kościoła i klasztoru w Pożajściu miejscowa legenda oplotła wspomnieniem o nieprawej miłości fundatora ku swej rodzonej siostrze. Za moich czasów kościół Kamedułów, według podań mający kosztować 8 beczek złotych polskich, przerobiony na cerkiew, był rezydencją sufragana prawosławnego Diecezji litewsko - białoruskiej, której stolicą było Wilno. Rezydował tu wówczas znany renegat Józef Siemaszko.

Po śmierci pradziada mego Franciszka Hryncewicza, Starosty Upickiego, żonatego z Anną Kwintówną, Iłgów i Rukszany odziedziczył syn ich Jan, ożeniony z Krystyną Karpiówną ur. w r. 1763. Ta despotyczna babka moja, o której wspomniałem, młodość swą, po wczesnej utracie rodziców, spędzała przy braciach w majętności Po-

cztowie, po drugiej stronie Niemna, niedaleko Iłgowa. Będąc młodą i piękną, za zgodą braci została zaswatana Janowi Hryncewiczowi, 27-letniemu sąsiadowi, ur. w r. 1746. Kiedy dzień zaślubin się zbliżał, bracia o coś się pogniewawszy z Hryncewiczem, postanowili z nim zerwać i wydać siostrę za innego sąsiada — Dowgirda. Panna oponowała temu, lecz napróżno i w końcu postanowiła sama losem swym rozporządzić. W dzień umówiony wyszła z dworu, przeprawiła się na drugi brzeg Niemna, gdzie ją oczekiwał narzeczony, otoczony licznym pocztem braci szlachty i uprowadził ją do odległego o wiorst kilkanaście Iłgowa, gdzie w miejscowym kościołku i dotąd stojącym na wzgórzu niedaleko dworu, nad Niemnem, ślubowała mu wierność małżeńską. Młodzi Karpiowie, dowiedziawszy się o ucieczce siostry, udali się w pogoń, chcąc ją odbić, lecz już nie zdążyli. Hryncewiczowie przeżyli z sobą lat ze 27, wydawszy na świat 17 dzieci, lecz prawie połowa ich zmarła w wieku dziecięcym. Pierwszy umarł dziad mój, szambelan b. dworu Stanisława Augusta. Umarł nagle w Usach, w pobliskiej wsi Iłgowa, udając się jako poseł z pow. marjampolskiego na sejm W. Ks. Warszawskiego w r. 1807. Wdowa przeżyła męża omal że nie pół wieku, oddając się energicznie gospodarce, regulując interesy majątkowe, bardzo zawikłane, i wychowując liczne potomstwo, z którego tylko sześcioro, 4 synów i 2 córki doczekało późniejszego wieku. Pomimo rygoru staroświeckiego i despotyzmu, w jakim wychowywała dzieci, była przez nich kochana i otoczona czcią. Zakończyła życie w r. 1855. W kościele parafjalnym Iłgowskim, zbudowanym z drzewa przez mego pradziada, w ścianie znajduje się wmurowana tablica z czterowierszem, ułożonym przez domorosłego poetę, sąsiada Gotowta, treści następującej:

„Na tem tu miejscu złożone są zwłoki
Przez synów, córy i dorosłe wnuki,
Ich łzami żalu grobowiec zroszony
Na tem tu miejscu Bogu poświęcony."

Z licznego potomstwa moich dziadów najstarszy z synów, Ludwik, był zaledwie o lat 18 młodszy od matki. Ukończył, jak i inni bracia, słynne szkoły krożańskie i udał się na uniwersytet do pobliskiego Królewca, gdzie, studjując filozofję, słuchał wykładów Kanta. Był on starszy o lat przeszło dwadzieścia od najmłodszych braci, tak, że po owdowieniu matki opiekował się liczną rodziną i był głównym doradcą w interesach majątkowych. Okryty siwizną, mając sześćdziesiąt kilka lat, mimo wieku, zachowywał się, jak opowiadano,

względem matki, jak dziecko, nie ośmielając się nigdy siąść przy niej, ani zaprzeczyć w rozmowie. Spełniał ściśle jej wolę i rozporządzenia, nazywany przez nią „asanem". Zwykle pod rękę z synem, jako nieodłącznym swym towarzyszem, obchodzili codziennie gospodarkę. Ludwik był bardzo poważany nie tylko w rodzinie, ale i wśród obywatelstwa, piastując przez długie lata różne urzędy z wyboru: był sędzią grodzkim rosieńskim, prezesem sądów granicznych pow. rosieńskiego i t. d. W starszym już wieku ożenił się z sąsiadką, wdową po jenerale Rauchenstrauchu, (bracie znanego dyrektora teatrów warszawskich za czasów W. Ks. Konstantego), z domu Kuczkowską, niegdyś artystką teatrów warszawskich, kobietą podobno bardzo ładną, a jak w dzieciństwie słyszałem od mojej matki, bardzo dobrą. Po ożenieniu się, zamieszkawszy na folwarku Rauchenstraucha, Ormianach, w sąsiedztwie z Rukszanami za Niemnem, przeżył z żoną długie lata szczęśliwie i umarł w głębokiej starości, pozostawiwszy wychowanego od dziecka pasierba, Henryka Rauchenstraucha, i syna Jana. Obaj służyli w wojsku rosyjskiem w ułanach i wyszli do dymisji jako rotmistrze. Młodszy brat Ludwika, Józef, ożenił się w młodym wieku z Dowgirdówną, siostrą Józefa Dowgirda z Polepia, późniejszego marszałka gubernjalnego szlachty kowieńskiej. Stryja Józefa, który zamieszkał w majątku żony w Pokłoniach pod Rosieniami, pamiętam dobrze. Był on powstańcem w r. 1863. Najmłodsi z braci Juljan i Dominik, zbliżeni ze sobą wiekiem, uczyli się razem, będąc słuchaczami medycyny na Uniwersytecie Wileńskim. Juljan otrzymał nawet stopień, dawany wówczas, *„amatora medycyny"*; potem obaj, gospodarując na wsi, leczyli *con amore* w sąsiedztwie, a przy braku lekarzy przywożono do nich z odległych okolic chorych. We dworze była apteczka, z której dawano bezpłatnie lekarstwa, a mój ojciec trzymał jeszcze do pomocy Żyda felczera. Juljan ożenił się zamłodu z panną bardzo zamożną, Anną Białozorówną z Wysokiego Dworu, która obdarzyła go kilkorgiem dzieci, lecz zarazem przekazała im ciężkie obarczenie neuropatyczne, albowiem matka jej Römerówna, była przez całe życe nawpół obłąkana, a ojciec samobójcą. Młodość swą po ożenieniu się Juljan spędził w Wilnie, jako sekretarz gubernjalnego marszałka szlachty, niepodzielonych jeszcze wówczas gub. Wileńskiej i Kowieńskiej. Marszałkiem był brat jego cioteczny Ignacy Karp'. Potem na stałe zamieszkał przy matce w Iłgowie. Znaczny posag po żonie pozwolił mu spłacić rodzeństwo i utrzymać się przy Iłgowie, a potem i przy Rukszanach za Niemnem, wychować dzieci, oraz wyposażyć synów i córki.

Najmłodszy z rodzeństwa Dominik, urodzony w r. 1804, ojciec

DOMICELLA Z DWORZECKICH
FISCHEROWA
(1801-1873)

ADAM FISCHER
Dr. med. i chir. Uniwersytetu Wileńskiego
(1794—1869)

ANNA Z BIAŁOZORÓW
TALKO-HRYNCEWICZOWA
(1804—1879)

JULJAN TALKO-HRYNCEWICZ
(1801—1862)

mój, był ulubieńcem matki. Z całej rodziny miał być najprzystojniejszy, powiadają, że z twarzy i postawy wielce przypominał Księcia Józefa. Wróciwszy z nauk z Wilna, pomagał matce w gospodarstwie, administrował Iłgowem, był nawet jego właścicielem. Mając lat 22 został wybrany na wójta gminy. Po ożenieniu się brata ustąpił mu majątek; przeniósł się do Rukszan, które dzierżawił od matki, a następnie przy podziale otrzymał na własność. Chociaż bracia najmłodsi bardzo się kochali, lecz mieli usposobienie wielce różne. Juljan bardziej oględny i oszczędny oddany celom realnym, gospodarstwu, rodzinie i obowiązkom społecznym, potrafił zdobyć zaufanie ogółu: był długie lata honorowym sędzią pokoju i bez jego uczestnictwa nie odbywały się w Marjampolskiem żadne ważniejsze sądy polubowne i narady. Dominik jako najmłodszy, był faworytem całej rodziny i przez nią psutym. Z natury towarzyski, dbały o powierzchowność, interesował się przytem nauką i sztuką, miał znaczny księgozbiór, urządzał zebrania towarzyskie, odczyty, próbował nawet nieco swych zdolności pisarskich, był bardziej światowy i miał wielkie powodzenie u kobiet. Natomiast gospodarstwo rolne mało go nęciło i było w zaniedbaniu. Długie lata przeżywszy w stanie kawalerskim, miał i narowy, temu stanowi właściwe, lubił częste pohulanki i towarzystwo płci nadobnej. Na nalegania matki kilkakrotnie miał się żenić, lecz, ceniąc swobodę przedewszystkiem, zrywał te więzy. Wreszcie, mając 43 lat, ożenił się w r. 1848 z młodą, bo 18-letnią, dziewczyną. O ile zapamiętać mogę matkę, była to osoba drobna, szczupła, niełądna, lecz miała wdzięk wrodzony, charakter bardzo miękki i uległy. Była ona córką znanego w Kownie lekarza, Adama Fischera, który przed kilku laty przybył tam z Wilna na posadę akuszera w zarządzie lekarskim w nowoutworzonej gub. Kowieńskiej. Matka uważała związek syna z córką lekarza, nawet mającego indygenat szlachectwa z Sejmu czteroletniego, za mezaljans dla starego szlachcica i długo na ten związek zgodzić się nie chciała. Rozbroił ją tylko ten argument, że panna była bogata. Fischerowie w wydaniu córki, oprócz stron ujemnych, bo mąż był za stary i miewał ataki podagry, widzieli i dodatnie: wygląd był jeszcze młody, stare nazwisko, postawa pańska i majątek. Wkrótce nastąpiło zobopólne rozczarowanie, które zaciążyło na krótkiem, lecz nieszczęśliwem pożyciu małżeńskiem, tem więcej, że był to ze stron obu związek konwencjonalny, nie oparty na głębszem uczuciu.

Rodzice moi mieli troje dzieci. Starszy brat mój umarł wkrótce po urodzeniu; pozostało nas dwoje, ja i młodsza siostra. Po czterech latach pożycia rodzice moi rozstali się. Ojciec ustąpił majątek bratu

Juljanowi, pozostawiwszy na nim część należnego mu kapitału, i przeniósł się do Łop' pod Kownem, które wziął w dzierżawę, a matka z nami zamieszkała u dziadów Fischerów w Kownie.

Dziad mój po matce Adam Fischer, urodzony w Wilnie w r. 1794, był bratem stryjecznym adjutanta Kościuszki. Przodek jego miał przybyć do Wilna z Węgier i na starość zamieszkiwał w klasztorze ks. ks. Franciszkanów. Dziadek lubił rozprawiać o dawnych czasach, czego słuchaliśmy z zajęciem. Opowiadał, jak chodził do szkół Dominikańskich w Wilnie, potem na Uniwersytet, a z temi opowiadaniami łączyły się różne wspomnienia z czasów ubiegłych i anekdoty, które nas dzieci bardzo zajmowały: jak to stary ociemniały Jundziłł, prof. Uniwersytetu, zgromadzał dokoła siebie dzieciaków i omackiem rozpoznawał rośliny w ogrodzie botanicznym, lub jak to szkielet na sprężynach w muzeum anatomicznem, trzymając różyczkę w ręku, witał każdego wchodzącego; wreszcie opowiadał nam o ministrze, który zwiedzał szpital bonifratrów, a kiedy jeden z chorych, oprowadzając go, rozsądnie o wszystkiem mówił i w końcu prosił o jego interwencję, aby go uwolnił ze szpitala, gdyż rodzina w celach występnych pozbawiła go swobody, minister zdumiony zwrócił się do lekarza, polecając mu sprawę pokrzywdzonego rozpatrzeć. Lekarz na to odparł, że jeżeliby ekscelencja dłużej przebył z chorym, przekonałby się o jego nienormalności. Gdy minister wychodził, odprowadzany przez lekarzy, chory wymknął się za nim niespostrzeżenie i wsiadającego do karety uderzył kolanem w tył. Fischer, uzyskawszy stopień d-ra med. i chirur. w Uniwersytecie Wileńskim w r. 1820, wyjechał do Birż, gdzie otrzymał posadę lekarza w dobrach Józefa Tyszkiewicza, tytułowanego pułkownikiem, dlatego, że swym kosztem w r. 1812 pułk sztyftował. Tytułu hrabiowskiego ta gałąź Tyszkiewiczów jeszcze nie używała. Tu młody lekarz pojął za żonę szlachciankę z okolic Birż, Domicelę Dworzecką. Po szczęśliwem kilkoletniem pożyciu, wspominając miłe towarzyskie stosunki i gościnność w domu pana pułkownika, Fischerowie z żalem opuścili Birże. Namówił ich do wyjazdu krewny dziada, jeden z zamożniejszych chrześcijańskich kupców wileńskich, Franciszek Poznański, właściciel wielkiej kamienicy na placu naprzeciw ratusza i sklepów na ambarach. Dziad, przenosząc się z Birż do Wilna, liczył, jak się zdaje, na spadek po wujaszku, lecz nadzieja ta zawiodła. W Wilnie mieszkali Fischerowie lat kilkanaście. Dziad mój miał tam posadę lekarza miejskiego i liczną praktykę. W r. 1841, jak już wspomniałem, przeniósł się do Kowna. W r. 1863 zaproponowano mu jako katolikowi posadę wyższą inspektora zarządu lekarskiego w Czernihowie, lub wyjście do dymisji. Dziadek zde-

cydował się na to ostatnie. Dziadkowie moi przeżyli z sobą przykładnie i w miłości lat czterdzieści kilka. Charakterem jedno dopełniało drugiego. Dziad był bardziej miękki i ustępliwy, babka energiczniejsza i samodzielna. Pierwszy zakończył życie dziad w r. 1869, a w cztery lata po nim w r. 1873 umarła babka. Oboje zmarli na zapalenie płuc po krótkiej stosunkowo chorobie. Nie sądzonem mi było być na ich pogrzebie.

Do szeregu miłych wspomnień z czasów przedszkolnych zaliczam kilka podróży, odbytych to do krewnych babki do Mazuryszek w okolice Wilna, to do samego Wilna. Najbardziej pamiętną mi została jedna z wycieczek do Ostrej Bramy w r. 1857, jako wykonanie wotum, zrobionego przez babkę i matkę, które szły całą drogę pieszo, a za niemi kroczyła bryka z budą obitą białem płótnem, zaprzężona w 4 konie z dzwonkami, które popędzał żyd, t. zw. bałaguła. W bryce siedzieliśmy ja i siostra moja. Kolei żelaznej wówczas jeszcze nie było. Podróż z Kowna do Wilna trwała dwa dni. Żywo stoi mi w pamięci ta piękna przejażdżka wśród malowniczej drogi. Tuż za Kownem góra Pietraszkuńska, dalej nocleg w Rumszyszkach, popas w Żyżmorach wreszcie Ponary i Wilno. Wielkie na mój umysł dziecięcy zrobiło wrażenie Wilno, jako miasto większe, z ludem klęczącym przy wjeździe pod Ostrą Bramą, z katedrą, z kościołami, po których nas oprowadzono, wreszcie z teatrem i wielu atrakcjami na ulicach. Do numeru, zajmowanego w hotelu, Żydówki przynosiły różne towary, przychodzili znajomi i krewni i jakiś niski, gruby pan z szyszką na nosie, łysy, w sinym fraku ze świecącemi guzikami, z bukietem i papierem w ręku, które wręczył mojej matce. Później dowiedziałem się, że były to wiersze, które pisywał niejaki Żuk, zbierając za nie datki. Słyszałem już potem, że o Żuku i jego dowcipie krążyły po mieście różne anekdoty. Tak np. podczas dnia galowego zjawił się w cerkwi na nabożeństwie, jak zwykle, z bukietem i zajął miejsce pomiędzy rosyjskimi dygnitarzami. Gubernator, spostrzegłszy go, podszedł do niego i szepnął „poszoł procz". Żuk tryumfująco odwrócił się i, wąchając trzymany w ręku bukiet, wyszedł z cerkwi. Nowy policmajster nie znając jeszcze Żuka, a widząc go rozmawiającego z gubernatorem, zbliżył się do niego, zapytując co mu mówił ekscelencja, a ten mu odpowiedział: zaprosił mię dziś do siebie na obiad. Ponieważ policmajster miał polecone sobie przez gubernatora prosić na obiad niektórych urzędników, zapytany przez niego, czy to spełnił, odparł: Prosiłem wszystkich, oprócz Żuka, którego osobiście zaprosiłeś Wasza Ekscelencjo w cerkwi. Każde miasto ma zwykle takich wykolejeńców lub włóczęgów. W Kownie takim był Konstanty Do-

browolski, którego znałem przez długie lata. Ojciec jego był prefektem szkoły kowieńskiej za czasów Mickiewicza. Konstanty po ukończeniu szkoły wstąpił na uniwersytet wileński i przejawiał zamiłowanie do literatury. Ojciec jednak chciał, aby syn został lekarzem. Miało to być powodem zatargów pomiędzy nimi. Kiedy potem stosunki pomiędzy nimi bardzo się zaostrzyły, syn, nie chcąc ulegać despotyzmowi starego pedagoga, opuścił dom rodzicielski w r. 1831, tułał się po Europie pieszo, z workiem na plecach, zwiedził Niemcy, Francję, Włochy, Szwajcarję, Anglję, Hiszpanję, nic nie robiąc i pędząc życie włóczęgi; wreszcie po śmierci ojca, wykolejony, zdziwaczały, z nałogiem do pijaństwa wrócił do rodziny, która go przytuliła, oporządziła, i chciała mu znaleźć zajęcie. Wracał jednak do włóczęgi, uciekał z domu do szynku, przepijał odzież, nocując latem gdzieś w ogrodzie lub na ulicy, zbierał datki, pisząc listy, prośby, lub naprędce sklecone okolicznościowe wiersze, które mu się nieraz udawały. Przychodziły niekiedy na Dobrowolskiego chwile opamiętania, wówczas stawał się człowiekiem normalnym i interesującym, gdyż widział w życiu niemało świata, znał wielu ludzi, posiadał języki, i nam dzieciom opowiadał dużo rzeczy ciekawych ze swych podróży po zachodniej Europie, które mnie bardzo pociągały.

Za czasów mego dzieciństwa w Kownie były jeszcze nie całkiem zatarte wspomnienia o Mickiewiczu. Istniała, nie zniszczona jeszcze przez późniejszą budowę kolei w r. 1860, „dolina najpiękniejsza w świecie" niedaleko dworków w Kartofliszkach, w których żyły jeszcze niedobitki tych czasów. Pamiętam zgarbioną staruszkę, panią referendarzową Zaleską, w białym kapturku i z woreczkiem wyszywanym różnokolorowemi paciorkami na ręku, ciągle jeżdżącą przez Kowno do swych folwarków, często ze swym wnukiem, moim rówieśnikiem, Morysiem Prozorem, z którym bawiliśmy się. Jeździła zwykle wielką staroświecką bryką z naciągniętą budą płócienną nakształt bałagulskiej. Mąż pani Zaleskiej należał do miejscowej inteligencji. On to żegnał odjeżdżającego Mickiewicza z Kowna mową na uczcie wydanej przez miasto.

Dziadkowie moi Fischerowie, u których wychowywałem się ze siostrą w Kownie, mieszkali w starej kamienicy na starem mieście, naprzeciw ratusza, w domu doktora Kowalskiego, nabytym razem z apteką przez Karola Fischera, brata dziada. Dziadkowie zajmowali lokal po Kowalskich, u których najczęstszym gościem bywał Mickiewicz, nieobojętny na wdzięki pani domu. W mieszkaniu tem otrzymałem pierwsze światło wiedzy. Tu mnie matka nauczyła czytać. Były to jedyne okruchy, jakie wyniosłem z domu w języku oj-

czystym, wstępując do szkoły rusyfikacyjnej. Na wychowanie nasze główny wpływ wywierała nie matka, a babka, która nam zastępowała miejsce opiekunki. Przy swym charakterze czynnym i energicznym kierowała mężem, córką i troszczyła się o wnuczęta. Była ona głową domu i we wszystkiem się do niej zwracano; rządna gospodyni, akuratna, pobożna i surowych obyczajów, a przytem światowa i nadzwyczaj gościnna. Pomimo miłości, jaką nas otaczała, była surowa i wymagająca. Miała typ wybitnie szlachecki, była wysokiego wzrostu, okazała blondynka o regularnych rysach, bardzo przystojna, jak świadczył portret z czasów jej młodości. Nazywaliśmy ją babunią wielką, dla odróżnienia od babuni małej, wdowy po bracie dziada, pani Karolowej, niepoczesnej powierzchowności, garbatej, ciemnej brunetki, o smugłej twarzy i czarnych oczach. Z pochodzenia Włoszka, z domu de Rossi, była córką architekta z Włoch, sprowadzonego do budowy katedry wileńskiej. Była to kobieta dobra i cicha, wielce nabożna, ale w życiu bezładna. Zajmowała parę pokoików z kuchnią, które były jakby składem starych rupieci. Prawie codziennie biegaliśmy z siostrą nadół do małej babuni, która hodowała parę wielkich kotów, i oprócz służącej miała rezydentkę, dewotkę pannę Sosnowską. Mąż jej, p. Karol, już nie żył. W ostatnich latach nie pilnował apteki, lubił wypijać razem z synem Piotrem, który jako jedynak uczyć się nie chciał i rósł samopas. Pan Karol przez pomyłkę napił się zamiast wódki przygotowanej w aptece trucizny na szczury, co życiem przypłacił. Widziałem po raz pierwszy w życiu kondukt pogrzebowy właśnie jego, gdy nas z siostrą zdrowiejących po szkarlatynie przyniesiono do okna. Obok maleńkiej babuni na parterze mieszkał jej syn, Piotruś, tak powszechnie zdrobniale nazywany dla swej lekkomyślności. Mieszkał on z urzędnikiem Wiercińskim, za którego wkrótce wyszła zamąż nasza matka, ku nieukontentowaniu dziadków. Pamiętam, jak na ślubie matki gorzko płakaliśmy z siostrą. Zdawało się nam, że matkę zupełnie tracimy. Teraz codziennie biegaliśmy nietylko do małej babuni, lecz i do mamy na dół, która z mężem zamieszkała w tym domu. Ja zaś z siostrą zostałem u dziadków. W nowym związku małżeńskim matka, pomimo słabego zdrowia, wydała na świat kilkoro dzieci, i wreszcie w ostatnim połogu w r. 1864 życie zakończyła.

Z lat dziecinnych utkwił mi w pamięci pierwszy pożar, jaki w życiu widziałem. Miałem wówczas lat 9. Właściciel domu, Piotr Fischer, potrzebując stale pieniędzy, zachęcony wysokością komornego wynajął żydom, pomimo odradzania dziadków, wielką wozownię pod skład gałganów. Po kilku miesiącach, w r. 1859, latem, późnym wie-

czorem, w dziedzińcu wybuchł groźny pożar. Łuna pożaru oświetliła część miasta, a mieszkanie nasze było w niebezpieczeństwie. Pamiętam okropny popłoch, w jakim wyrzucano rzeczy z okien na ulicę. Straty dziadkowie ponieśli znaczne; wiele mebli poniszczono i rozkradziono. Przez dni kilka zgliszcza jeszcze dymiły, tliły się gałgany, wydając swąd wstrętny.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze lata gimnazjalne (1861 — 1862).

Powstanie styczniowe.

Kamienica, w której mieszkałem u dziadków, sąsiadowała przez ulicę z byłym gmachem pojezuickim, pośrodku którego była cerkiew. Styl jej o wiotkich, kształtnych wieżach przypominał kościoły wzniesione przez Jezuitów na Litwie, w Wilnie, Grodnie, Mińsku, Pińsku i w innych miejscowościach. Było to dawne kolegjum, w którem niegdyś nauczał w XVII w. Wojciech Wiuk Kojałowicz, słynny dziejopis Litwy. Później mieściła się tu szkoła powiatowa, gdzie uczył łaciny nasz wielki poeta. W lat kilkanaście potem szkołę powiatową zastąpiło gimnazjum, przeniesione w r. 1844 do Kowna z Kroż. Do gimnazjum tego wstąpiłem jako uczeń I klasy w r. 1861. Należę więc do tego wymierającego już pokolenia „urodzonego w niewoli, skutego w powiciu", które los skazał na torturę szkolną w czasie największego teroru i prześladowania polskości, jakie się kiedykolwiek srożyły na Litwie, bo za Murawiowa i jego następców, od r. 1863 do 1867. Ponieważ gimnazjum kowieńskie zostało przeniesione z Kroż, szkoły założonej w początkach XVII w., przeto jest ono spadkobiercą świetnej tradycji najstarszej i najzasłużeńszej w dziejach cywilizacji szkoły na Litwie, tak doborem nauczycieli, jak również uczniów, z których wyszli co najprzedniejsi synowie tej ziemi.

W szkole krożańskiej nauczali w różnych czasach ludzie tej miary jak Maciej Sarbiewski, Kojałowicz, ks. Andrzej Kłągiewicz, późniejszy biskup Wileński; ks. Michał Rudnicki, późniejszy kanonik i oficjał Wornieński, dr. filoz. ks. Milwid, dr. filoz. Maciej Wąsowicz i inni. W ostatnich latach nauczał w gimnazjum w Krożach znany klasyk Kossowicz, unita, autor słownika greckiego i licznych prac na-

ukowych, późniejszy profesor na Uniwersytecie w Kijowie, a jako katecheta — młody podówczas jeszcze ks. Maciej Wołonczewski, późniejszy biskup Żmudzki, zasłużony autor licznych prac litewskich. Przed zamknięciem szkoły krożańskiej kronika jej zapisała kilka epizodów prześladowań młodzieży, które były początkiem dalszego systemu uprawianego w Kownie. W r. 1840 np. dwaj uczniowie z powodu zamiany języka wykładowego polskiego na rosyjski mieli napisać i wywiesić paszkwil na cara i na *ryżego* pedla szkoły, za co jeden z nich 10-letni uczeń III kl., Fran. Michalczewski, został zesłany pod nadzór policji do wewnętrznych gubernij, a drugi uczeń IV klasy, 13-letni Antoni Ostrowski, odsiedział 6-cio miesięczne więzienie [1]).

W celach rusyfikacyjnych rząd rosyjski w r. 1843 oderwał część powiatów od gub. Wileńskiej i utworzył z nich nową guber. Kowieńską. Stolicą gubernji zostało Kowno. Wprowadzono tu do niego różne urzędy gubernjalne i przeniesiono gimnazjum z Kroż. Głównem zadaniem tej szkoły stało się łamanie tego, co stworzyła Komisja Edukacyjna. Najprzód, mając na widoku ograniczenie dostępu młodzieży do uniwersytetów, zmieniono dawny program wykładów. W gimnazjum utworzono niższe klasy i wyższe specjalne; pierwsze uwzględniały potrzeby praktyczne, nauczano więc w nich prawa, języków nowożytnych, miernictwa i t. d. mając na celu przygotowanie funkcjonarjuszów państwowych; drugie przygotowywały do słuchania kursów uniwersyteckich, przyczem na języki starożytne zwracano baczną uwagę. Władze szkolne miały instrukcje zachęcania do wyboru pierwszego rodzaju studjów. Po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II w r. 1856 nastąpiła chwilową ulga w dążeniach rusyfikacyjnych, wprowadzono bowiem do programu gimnazjum język polski (dwie godziny tygodniowo) jako przedmiot nieobowiązujący i pozwolono wykładać religję w języku ojczystym. Niestety, był to promyk wolności zwodniczy. Prąd liberalny, zainicjowany przez Aleksandra II w początkach jego panowania pod świeżym wpływem jego nauczycieli: jenerała Merdera, prof. Kawelina i poety Żukowskiego, zdawał się pogrążonym w niewoli ludom Rosji wróżyć lepszą przyszłość. Ukazy carskie, głoszące zniesienie poddaństwa, uwłaszczenie włościan, zrównanie stanów, wprowadzenie sądów przysięgłych i inne reformy w duchu nowoczesnym, szły w parze z pewną tolerancją religij-

---

[1]) Wiele wiadomości o byłej szkole krożańskiej i po przeniesieniu jej do Kowna znajduje się w broszurze Ulianowskiego, wydanej po rosyjsku: „Krótki zarys historji kowieńskiego gimnazjum" (na pamiątkę 100-lecia istnienia Wileń. Nauk. Okręgu). Wilno. 1903.

ną i narodową. Pozwalano na zakładanie szkółek polskich i na odczyty, przedstawienia teatralne oraz debaty publiczne w języku polskim. Po latach ucisku, drobne te ulgi dodawały otuchy i zdawały się napawać nadzieją na lepszą przyszłość. Lubo nauka odbywała się nadal po rosyjsku, lecz zaczęto przyjmować nauczycieli Polaków, którzy, nie krępując się, mówili i objaśniali po polsku, uczniowie porozumiewali się też tym językiem między sobą. Gdym wstąpił do gimnazjum, nauczyciele w r. 1861 byli prawie sami Polacy; wyjątek stanowiło paru Rosjan oddawna w kraju osiadłych, którzy, choć po polsku nie mówili, lecz po polsku rozumieli. Dyrektorem gimnazjum był niemłody, dobroduszny, zawsze uśmiechnięty Wasiljew, przeniesiony tu z Kioż, żonaty z Polką. Jedynaczka ich córka wychowywała się po polsku. Tylko dwaj nauczyciele języka rosyjskiego byli Rosjanami: Dołmatow i Ollenicki, obaj ludzie spokojni, bez tendencyj rusyfikatorskich. Jako nauczyciele byli marni, lecz dla młodzieży polskiej życzliwie usposobieni. Na kilkudziesięciu uczniów w klasie naszej było zaledwie kilku Rosjan i Żydów, zresztą mówiących po polsku. Pomiędzy uczniami Polakami i Rosjanami początkowo panowała zupełna zgoda. Z nauczycieli Polaków szczególną sympatją młodzieży cieszył się Stacewicz, inspektor gimnazjum, wykładający historję naturalną. W pierwszej klasie wykładał zoologję, w drugiej botanikę, a w trzeciej mineralogję. Szczególnie interesowały nas lekcje zoologji, przeplatane opowiadaniami z życia zwierząt, niemniej wykłady z anatomji i fizjologji człowieka, podawanej w przystępnej dla umysłu dziecka formie. Te wykłady dotąd pozostały mi w pamięci. Stacewicz urządzał latem wycieczki z uczniami w celu zbierania roślin, chrząszczy i kamieni, to na łąki zawilejskie, to na górę Zieloną, usianą czaszkami i kośćmi ludzkiemi z 1812 r., to na góry nadniemeńskie. Stanowiło to dla nas niemałą rozrywkę. Wśród nauczycieli było paru uczniów Uniwersytetu Wileńskiego, a między nimi stary kawaler, Józef Zujewski, przybyły z Mołodeczna, znajomy moich dziadków z czasów wileńskich. Wykładał on łacinę. Był to typ starego pedagoga. Brałem u niego prywatne lekcje łaciny i nieraz zastawałem staruszka, czytającego głośno lub deklamującego klasyków rzymskich. Drugim wychowańcem Uniwersytetu Wileńskiego był stary fizyk Smolak, słynący jako doskonały pedagog. Wykładał w klasach wyższych. Jeden z synów jego był już na Uniwersytecie w Petersburgu, a drugi w wyższych klasach w gimnazjum, obaj poszli do powstania i obaj zginęli. Matematykę wykładał Żyd włoski zniemczały Gwajta, pochodzący z Mitawy. Władał dobrze językiem rosyjskim. Jako człowiek bardzo sprytny starał się lawirować pomiędzy

Polakami i rządem. Muszę wspomnieć i o staruszku Sylwantie, nauczycielu francuskiego języka, byłym żołnierzu wielkiej armji z roku 1812. Po polsku mówił źle. Był nauczycielem lichym, nikogo niczego nie nauczył. Nigdy nic nie objaśniał. Zadawszy z podręcznika Margot parę paragrafów, nie pamiętał co zadał. Zwykle podczas lekcji czytał francuskie gazety, przytem w jesieni wyjmował z kieszeni śliwki i jadł, a często drzemał, gromiąc za szmer i krzyk w klasie. Dwaj synowie Silvanta, uczniowie gimnazjum, poszli do powstania: jeden poległ, a drugi poszedł na Syberję. Gdym wstąpił do klasy I, religję wykładał ks. Marzanowski, słynący jako kaznodzieja. Rozczulał słuchaczów swoją nadzwyczajną tkliwością, przyczem na ambonie zwykle sam płakał. Łączyła go zażyłość z władzami rosyjskiemi, przez które dobrze był widziany i protegowany. Otóż, mając jakieś sprawy dyscyplinarne, został przez biskupa zasuspendowany, lecz znalazł obrońcę w Okręgu szkolnym jako człowiek oddany Rosji i Caratowi. Wkońcu musiał opuścić gimnazjum. Pamiętam ostatnie jego kazanie w kościele. Żegnał się ze swymi słuchaczami, przedstawiając im niesprawiedliwość ludzką, a siebie jako ofiarę intrygi. Żegnał się z nami z płaczem, lecz nikt łzy po nim nie uronił, a wszyscy się cieszyli z jego ustąpienia, był bowiem dla uczniów w obejściu surowy, popędliwy, skąpy w stawieniu stopni dobrych, a nieraz nawet ucznia uderzył. Dowiedzieliśmy się później, że ks. Marzanowski wyjechał z Kowna do Moskwy z nauczycielem prywatnym francuskiego języka Delormem, gdzie do wspólki prowadzili komisowy handel win francuskich. Następni kapelani: ks. Gabszewicz i ks. Kairo, których pobyt przypadł na dobę przedpowstaniową, krótko w gimnazjum nauczali. Obaj narodowcy, brali gorący udział w sprawach politycznych, wykładali nam historję polską. Byli ulubieńcami młodzieży. Ks. Gabszewicz, ująwszy się za młodzieżą poskromioną w brutalny sposób przez przysłanego z Wilna inspektora, regenta Barszczewskiego, o którym wspomnę dalej, na korytarzu klasztoru po Bernardyńskiego znieważył go czynnie, za co z rozporządzenia generał - gubernatora wileńskiego administracyjnie został zesłany na Syberję do Petrozawodzka. Uczniowie, otoczywszy mieszkanie ks. Gabszewicza, nie chcieli dopuścić policji do aresztowania ukochanego kapłana i dopiero na prośbę jego się rozeszli. W parę lat potem dowiedzieliśmy się o śmierci ks. Gabszewicza w Petrozawodsku. Następca jego ks. Kairo, idąc w ślady ks. Gabszewicza uległ takiemu samemu losowi. Żandarmerja porwała go w nocy i wywiozła z miasta. Zresztą wówczas takie zdarzenia były na porządku dziennym.

W czasie mego pobytu w gimnazjum przypada wprowadzenie na-

uki języka polskiego. Pierwszym wykładającym był Nowakowski, właściciel nowo-założonej małej księgarni polskiej, bodaj pierwszej w Kownie, którą niebawem zamknięto. Nowakowski wkrótce ustąpił, a miejsce jego zajął były nauczyciel szkoły powiatowej Berezowski, który był ostatnim nauczycielem polskiego, gdyż i ten nieobowiązkowy przedmiot po dwuletnim wykładzie został z programu szkolnego usunięty. Obaj nie stali na wysokości swego zadania, nie znali przedmiotu i nie cieszyli się sympatją uczniów. Dziwne były losy Berezowskiego. Po latach 40, mieszkając na dalekich krańcach Azji, byłem w domu pewnego weterynarza Polaka. Pani domu podała mi do przejrzenia album. Poznałem w nim fotografję mego dawnego nauczyciela, a jej ojca, który zmienił swe dawne nazwisko Berezowskiego na Iwanowa. Wysiedliwszy się do wschodniej Syberji, tu życie zakończył, a dzieci wynarodowiły się i zwyrodniały moralnie.

Gimnazjum Kowieńskie jak na owe czasy, było bardzo liczne, miało bowiem do 500 uczniów. Znaczną ich część stanowili przyjezdni ze wsi, mieszkający na prywatnych stancjach. Jedna z nich była stancja blisko na 100 osób, zwana od imienia gospodyni p. Żadkiewiczowej. Większość uczniów była stypendystami ks. Ireneusza Ogińskiego, syna Michała, znanego patrjoty i kompozytora tęsknych polonezów, właściciela znacznych dóbr Retowskich na Żmudzi. O ile pamiętam, za mieszkanie i wikt gospodyni pobierała od 80 do 120 rubli rocznie; stypendyści księcia mieli gorsze utrzymanie. Książę był kuratorem gimnazjum, a przez żonę, z domu Kalinowską, b. damą dworu, posiadał znaczne stosunki i wpływy w Petersburgu. Pan wielkiej fortuny, mający opinję mądrego, a przebiegłego w stosunkach z rządem rosyjskim, gospodarny, rządny, dumny w obejściu z sąsiadami, surowy z poddanymi, rządził w swych włościach samowładnie, za wykroczenie wymierzał chłostę, najgorszych na poprawę oddawał do wojska, mniej zdolnych do rzemiosł, a najzdolniejszych na naukę do szkół. Swych stypendystów, najczęściej poddanych Żmudzinów posyłał na naukę do gimnazjum kowieńskiego, do Szawel i Telsz.

Z życia ówczesnego towarzyskiego pamiętam, że najczęściej bywano w domach prywatnych, w których wesoło się bawiono. Starsi grali w karty, młodzi w gry rozmaite: w pana pastora, w cenzurowanego, w pierścionek, w kota i myszkę i t. d., a często tańczono. W karnawale, kiedy był znaczniejszy zjazd ze wsi obywatelstwa, odbywały się bale publiczne i maskarady, szczególnie w czasie sejmików szlacheckich. Rozmawiano i interesowano się wówczas, kto będzie wybrany marszałkiem, a kto na inne urzędy szlacheckie i sądowe. Dla skojarzenia bardziej życia towarzyskiego otwarty został w r. 1858

klub polski w t. zw. „Małym dworcu". Na lato, jak zapamiętać mogę, zjeżdżała do Kowna opera z Wilna, w której często bywałem. Dawano „Halkę" i „Straszny dwór" Moniuszki jako nowość, w których występowali ci, dla których role te były pisane, jak Zelinger w roli Jontka, Rostkowska jako Halka, w rolach komicznych Syrewicz i Dąbrowski, Palińska w balecie. Przy moich małych ówczesnych wymaganiach artystycznych bardzo mi imponował Zelinger w Jontku. Był to wysokiego wzrostu mężczyzna, przystojny blondyn, dobry aktor z przyjemnym głosem tenorowym, lecz na małej scenie komiczne robił wrażenie. Rostkowska, choć niebardzo już młoda, wdzięczne robiła wrażenie. Widziałem tych artystów i w innych operach, których repertuar był bogaty: w Lucji z Lamermoru, w Cyruliku Sewilskim, w Fenelli, w Córce Regimentu, w Wolnym Strzelcu, w Zamku na Czorsztynie i t. d. Zasłużeni pierwsi wykonawcy roli Jontka i Halki dziwnym losu zrządzeniem dożywali później wieku razem w domu dobroczynności w Wilnie. Potem przebywała w Kownie przez parę lat trupa lwowska pod dyrekcją Chełkowskiego, występującego w rolach komicznych. O ile pamiętam, rolę bohaterów grali Leszczyński i Szemfeld, a z kobiet szczególne miały powodzenie dwie siostry Leszczyńskie. Jedna z nich słynąca z urody zmarła w Kownie, a śmierć jej wywołała wielki żal w mieście. — Teatr oddziaływał ogromnie na moją wyobraźnię i przyczynił się więcej do mego umysłowego rozwoju, niżeli późniejsza szkoła rusyfikacyjna. Trupa Wileńska początkowo dawała przedstawienia w małej dwupiętrowej sali Hotelu Litewskiego na ulicy Wielkiej na starem mieście, następnie w t. z. świątyni Perkunasa nad Niemnem, w której później gościła trupa lwowska. Ciekawy ten starożytny budynek niewiadomego pochodzenia, ze starej grubej nietynkowanej cegły, służący za skład zboża, soli, lub śledzi, a potem jako czasowy przybytek Melpomeny, nie uszanowały przez swą ignorancję władze rosyjskie, przerabiając na dom piętrowy mieszkalny dla duchowieństwa prawosławnego, zacierając dawny jego styl. W późniejszym czasie, po wygnaniu słowa polskiego z miejsc publicznych w r. 1864, rozgościł się w sali ratuszowej teatr rosyjski. Grała w nim trupa, przygodnie zebrana z paru byłych artystów teatru wileńskiego, z paru włóczęgów pijaków Rosjan i Żydów. Teatr ten, subsydjowany przez rząd i przymusowo przez miasto, świecił zwykle pustkami. Przez cały czas jego istnienia publiczność polska od niego stroniła. Uczęszczała doń garstka przybyłych do Kowna urzędników i trochę Żydów.

Kowno po unji Litwy z Polską odgrywało niemałą rolę w handlu zbożem, drzewem i innemi produktami, co sprowadziło do miasta wie-

lu kupców obcokrajowych. Mieli tu swe faktorje i spichrze Niemcy, Holendrzy i Włosi, a mieszczaństwo cieszyło się znaczną zamożnością. Z upadkiem Polski Kowno zeszło do znaczenia małej i zapomnianej powiatowej mieściny. Słabo na jego rozwój wpłynęło przemianowanie go na stolicę nowo-utworzonej gubernji, i dopiero potem dzięki swemu geograficznemu położeniu i szczególniejszym konjunkturom, przedstawiało w pierwszych latach mego dzieciństwa znaczne ożywienie handlowe. Tędy bowiem po wybudowanej szosie przechodził główny trakt pocztowy z Petersburga przez Warszawę do zachodniej Europy. Nieustanne w dzień i w nocy dzwonki i trąbki zwiastowały przyjście i odejście dyliżansów z pasażerami, pocztowych parokonnych (perekładnyje) żółtych karetek, sztejnkelerkami zwanych. Przez Kowno przejeżdżali również kurjerzy i misje dyplomatyczne oraz przewożono różne towary. Ruch ten wpływał korzystnie na zarobki w mieście. Jadący z Rosji zagranicę czuli się w Kownie już jedną nogą w Europie. Tu można było i pieniądze zmienić i nabyć taniej pewne towary. Wzmożony ruch lądowy i rzeczny po Niemnie do Prus przysparzał miastu gotówki. Na Niemnie był kordon pograniczny i komora celna, jako na naturalnej granicy, oddzielającej ogromne państwo rosyjskie od wykrojonego z niego kawałka, z szumnie brzmiącą nazwą Królestwa Polskiego, ze szczyptą niby autonomji, którą mógł zwiać lada podmuch z północy, co się wkrótce stało. Z utratą autonomji Królestwa, otwarciem granicy, zniesieniem komory celnej, unifikacją Królestwa w swych prawach z resztą Rosji, Kowno zaczęło upadać. Jeszcze bardziej wpłynęło na upadek Kowna otwarcie kolei Petersbursko-Warszawskiej, na której trakcie Kowno stało się jedną z licznych stacyj, mijanych przez przejeżdżających, a dawny trakt szosowy trawą porastać zaczął.

Życie miasta, a z niem i cicha atmosfera szkolna, zostały wkrótce wstrząśnięte nadchodzącemi wiadomościami z Warszawy. Wieści te wywołały ogólne patrjotyczne podniecenie na Litwie. Zapał, idący od starszych, udzielał się młodzieży i dzieciom. Śpiewaliśmy, my uczniowie pierwszej i drugiej klasy, po kościołach hymny narodowe, chodziliśmy z procesjami, nosząc żałobę po poległych w Warszawie, uczestniczyliśmy w demonstracjach i obchodach. Jedną z najwspanialszych demonstracyj była głośna procesja kowieńska dla uczczenia unji lubelskiej, t. j. połączenia Litwy z Polską, którą obchodzono 31 lipca 1861 roku. Wielotysięczny tłum zaległ brzeg Niemna. Jednocześnie z kilku kościołów kowieńskich wyszły procesje, wyobrażające Litwę, które prowadziło 3 księży augustjanów: Tański, Swolkień i Mongiałło. Na przeciwległym brzegu Niemna, w Aleksocie

zgromadziło się kilka procesyj z przyległych parafij Polski Kongresowej, które miały połączyć się na moście z procesjami kowieńskiemi i udać się do oddalonej o 10 wiorst od Kowna miejscowości zaniemeńskiej, Piątkowa, na konsekrację wzniesionej tam pamiątkowej kaplicy. Był to pretekst do zmylenia czujności władz, że nie jest to demonstracja polityczna. W procesji uczestniczyły tłumy ludu, przybranego w stroje narodowe, szły panny w bieli, niesiono mnóstwo kwiatów, chorągwi kościelnych i cechowych, feretrony, krzyże i t. d., a wszystko to dodawało wiele uroku obchodowi. Ja i siostra moja, przybrani w stroje narodowe, uczestniczyliśmy w tym obchodzie razem z babką i matką. Wśród tłumu widziałem i moich kolegów, a pomiędzy nimi synów popa Smorodzkiego w konfederatkach i czamarkach. Wkrótce jednak potem, idąc za ogólnym nastrojem, stali się wrogami polskości, a następnie jednymi z gorliwych rusyfikatorów na Litwie. Gubernatorem ówczesnym kowieńskim był Polak, Stanisław Chomiński, ulubieniec i były paź cara Aleksandra II, człowiek cieszący się sympatją miejscowego społeczeństwa. Nominację Chomińskiego na gubernatora przyjęto ze zdziwieniem. Pamiętam, jak Chomiński, spotykając mnie z siostrą, żartował z nami, mówiąc po polsku. Wiedząc już naprzód o mającym się odbyć obchodzie, znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Pod pretekstem spraw służbowych wyjechał do Petersburga, oddawszy swój urząd wice-gubernatorowi Koreckiemu, Małorusowi, człowiekowi porządnemu, żonatemu z Polką. Otóż gdy procesje z przeciwległych brzegów Niemna chciały się połączyć, władze kazały rozebrać most zwodzony. Tymczasem z rozporządzenia jenerała korpusu Burhardta przybyła kawalerja otoczyła tłumy, przyczem jeden z kozaków uderzył nahajką jakiegoś chłopca; ten zaczął krzyczeć, tłum zareagował, rozległy się okrzyki: „naszych biją", powstało zamieszanie i niewiadomo do czegoby doszło, gdyby nie przytomność umysłu Ludwika Żylińskiego ze Średnika, ostatniego z wyborów marszałka powiatowego kowieńskiego, który, dla odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa głośno zawołał: „na kolana" i zaintonował hymn „Boże, coś Polskę". Inni podchwycili te słowa i z piersi wielotysięcznego tłumu popłynęła pieśń. Wojsko, widząc klęczących z odkrytemi głowami i śpiewających pieśni nabożne, straciło animusz. Żołnierze pozdejmowali czapki i z uszanowaniem przypatrywali się temu. Zdaleka, gdzieś na tle ocembrowanego wału Niemna, odbijała wyniosła postać, bodaj najwyższa w tłumie, Żylińskiego, który w tej uroczystości wysunął się jakby na naczelne stanowisko, utrzymując porządek i wchodząc w pertraktacje z władzami o pozwolenie przejścia przez Niemen.

Jenerał Burhardt nie chciał dopuścić do tego, Koreckij jako administrator gubernji przyjął odpowiedzialność na siebie. Porozumiawszy się telegraficznie z Petersburgiem, zarządził, aby wojsko ustąpiło, most naprowadzono i procesję przepuszczono. Opowiadano, że car robił ostrą wymówkę gubernatorowi Chomińs[illegible], iż w tak krytycznej chwili opuścił swą placówkę. Chomiński poprosił wówczas cara o inną służbę w mniej trudnych warunkach. Otrzymał posadę gubernatora w Wołogdzie, na której przebył lat trzydzieści kilka, pomimo zmieniających się prądów i ministerstw. Umarł w późnym wieku na tem dobrowolnem wygnaniu, tęskniąc za krajem. Był powszechnie szanowany przez ludność. Lecz wróćmy do opisu patrjotycznej manifestacji. Radość była nieopisana, gdy tłumy przepuszczono przez most i gdy się połączyły z procesjami w Aleksocie, skąd podążono do Piątkowa przy nieustannych śpiewach naprzemian pieśni polskich i litewskich.

Po konsekracji kościołka, fundatorowie jego, właściciele ziemscy Godlewscy, ugaszczali przybyłych hojnie na obficie zastawionych stołach, przyczem wytoczono wielką liczbę beczek wódki, piwa i miodu. Po nieszporach, kiedy słońce już się pochylało ku zachodowi, wyruszyły wszystkie procesje zpowrotem. Późnym wieczorem, po upalnym dniu lipcowym, wróciliśmy do miasta. Domy, należące do chrześcjan, były rzęsiście iluminowane. U mostu witały nas tłumy ludu i przedstawiciele gminy żydowskiej. Od mostu aż do kościoła augustjańskiego (dzisiejsza katedra) warta honorowa huzarów prezentowała broń. Przy wejściu do kościoła przeor miejscowy, ksiądz Strzedziński, pokropił wracające tłumy wodą święconą. Pamiętam to podniesienie na duchu i radość nieopisaną, jaka ogarnęła uczestników uroczystości, że się wszystko dobrze udało. Wszyscy byli pod wrażeniem przebytego dnia, o którym mówiono, że przejdzie do historji; ściskali się i płakali; radość od starszych przechodziła do dzieci i udzielała się mało uświadomionemu tłumowi. Po chwilowej ciszy wystąpiły i nieprzyjemne następstwa, do których co prawda było wielu przygotowanych. Wdrożono śledztwo. 3-ch księży augustjanów, którzy brali udział w procesji, zostało administracyjnie posłanych na wygnanie, marszałka Żylińskiego uwięziono, lecz, zdaje się, wkrótce uwolniono. Uwięziono również pułkownika huzarów, Polaka, z którego rozporządzenia była postawiona straż honorowa. Wszystko jednak nie pociągnęło tak złych skutków, jak można było oczekiwać. Augustjanie na tę karę byli przygotowani, a uczestnictwem w akcji patrjotycznej chcieli rehabilitować się, bo im zarzucano brak solidarności ze społeczeństwem.

Rodzina Godlewskich, o której wspomniałem, władała na lewym brzegu Niemna znacznemi dobrami, które zakupił założyciel tej znacznej fortuny, wówczas już przeszło 90-letni starzec, Józef Godlewski. W dzieciństwie kilka razy widziałem go. Był to już wówczas zgięty we dwoje starzec, w ryżej peruce, prowadzony przez parę osób. Syn Godlewskich, jednak, przez grę w karty znacznie nadwerężył fortunę i umarł bezpotomnie.

Demonstracje i śpiewy patrjotyczne zostały wzbronione i rozpoczęło się prześladowanie osób pojedyńczych. Pamiętam z owych czasów młodziutkiego, przystojnego, a wielkich nadziei pułkownika jeneralnego sztabu, Jana Sawickiego, który, wskutek fałszywej denuncjacji o wzięciu udziału w składkowym obiedzie dla uczczenia przybyłego z Wilna Władysława Syrokomli, został przeniesiony z Kowna gdzieś do Rosji, a wkrótce objął dowództwo nad powstańczym oddziałem jako pułkownik Struś. Dalsze jego losy znane są ze wspomnień, wydanych przez samego autora. Wśród ciężkich warunków pracował na emigracji w Szwajcarji pod przybranem nazwiskiem Steli, później ukończył wydział lekarski we Francji. Wróciwszy do kraju osiadł we Lwowie, gdzie dożył późnego wieku, ciesząc się powszechnym szacunkiem jako lekarz i działacz społeczny. W tym też czasie był z Kowna wysłany na wygnanie Tadeusz Korzon. Przybył on tu jako nauczyciel historji, lecz wskutek zaszłych nieporozumień opuścił gimnazjum i otrzymał posadę urzędnika w kancelarji gubernatora Chomińskiego. Wielkie grono osób odprowadzało państwo Korzonów, opuszczających Kowno. Wszyscy szli pieszo, a konie pocztowe czekały poza miastem. Byłem i ja z siostrą. Starsi, szczególnie mężczyźni, nie uczestniczyli w tej demonstracji, obawiając się narażenia się rządowi.

Ucisk polityczny wzrastał. Policja i szpiedzy zaczęli śledzić wszystko, po domach robiono rewizje, a za najmniejszy świstek z wierszami patrjotycznemi osadzano w więzieniach i wytaczano sprawy. Wielu naszych znajomych aresztowano, wielu wysłano na wygnanie; wiele niewiast zostało skazanych na 100 rubli kary, a w ich liczbie i matka moja, za noszenie czarnej sukni. Liczbę policjantów i żandarmów zwiększono. Od tego czasu terroru policyjno - żandarmskiego powziąłem wstręt do tych stróżów bezpieczeństwa publicznego. Dziadkowie moi w tym czasie przeprowadzili się do domu przy kościele augustjańskim (obecnie zajmowany przez biskupa). Tu raz w niedzielę, stojąc we drzwiach i patrząc na tłumy ludzi wychodzące po sumie z kościoła, byłem szarpnięty nieoczekiwanie za rękę i ofuknięty przez żandarma za to, że rzekomo rzuciłem na niego ka-

mieniem. Oburzyła mnie ta niesłuszna napaść, gdyż narazie nie spostrzegłem, że rzucił kamieniem stojący za mną uczeń, w tym domu mieszkający, chłopiec swawolny i znany z nieobyczajności. Straszono mnie najprzód rózgami i kozą i zmuszano, abym się do winy przyznał. Milczałem, nie chcąc wydać kolegi, lecz wreszcie nadjechał policmajster i wówczas dopiero wyśledzono rzeczywistego winowajcę. Niemało mi to jednak krwi napsuło.

Rewolucyjny nastrój społeczeństwa deprawująco wpłynął na młodzież. Rozpoczęło się nieposzanowanie przepisów szkolnych z wypowiedzeniem posłuszeństwa zwierzchności. Rozswawoleni i rozpuszczeni uczniowie zaczęli się dopuszczać wybryków przeciw każdemu starszemu, który ich postępków nie pochwalał, lub je karcił. Nauczycielom urządzano wciąż kocią muzykę, wybijano szyby i t. p. Swawola ze szkoły przeszła po za jej mury. Byłem świadkiem, jak na ulicy u sprzedawcy Żyda zabierano owoce, a u Żydówki obwarzanki i inne łakocie. Władze szkolne nie były w stanie ująć w swe ręce rozhukanej młodzieży, a stary, dobroduszny dyrektor Wasiljew podał się do dymisji. Mianowano nowego dyrektora, noszącego groźne nazwisko Łupkina, a inspektorem został renegat Barszczewski, o którym mówiono, że już w kilku szkołach na Litwie porządek przywrócił. Dyrektor, pomimo groźnego nazwiska, nie imponował nam niczem; był to mały człowieczek, gruby, dobroduszny, małomówny. Natomiast inny zupełnie typ przedstawiał Barszczewski. Wysoki, chudy, krzyczący na korytarzach swym ochrypłym, przeraźliwym głosem: „kartuzy dołoj" (zdjąć czapki), lub „mołczat'", robił wrażenie istnego zwierza. Wojownicze zapędy inspektora, do którego młodzież miała już niechęć i pałała żądzą zemsty za kapelana Gabszewicza, zakończyły się zgoła niespodziewanem zdarzeniem. Raz, gdy inspektor rzucił się na ucznia za to, że go w czemś nie usłuchał, i chciał uderzyć, koledzy uprzedzając to, napadli na inspektora, potarmosili go i zrzucili ze schodów. Jednocześnie na korytarzu i w całym gmachu rozpoczął się jakiś dziki ruch żywiołowy; stukano nogami, łamano w klasach sprzęty, ławki i stoły, wybijano szyby, a zawinąwszy starego pedla Dogla w stare szopy, jako zapodejrzanego o szpiegostwo, spuszczono na powrozie z pierwszego piętra do śniegu. Śledztwo wykazało, że w biciu inspektora byli winni: uczeń klasy V Popławski i VII Dołubowski. Władze gimnazjalne wydaliły ich bez prawa wstąpienia do innych zakładów naukowych, a gubernator skazał ich nadto na tygodniowy areszt. Dołubowski jednak wstąpił potem do gimnazjum, które w tymże roku ukończył, a w r. 1863, już jako student Moskiewskiego Uniwersytetu, walcząc w jednym z od-

działów powstańczych, wzięty był do niewoli. To samo miało miejsce z uczniami klasy VII — Łabanowskim i Szukszta, którzy, po wydaleniu z gimnazjum, ponownie doń przyjęci, po ukończeniu szkoły poszli do powstania. Wskutek wspomnianych wydarzeń w gimnazjum przez pewien czas stało kilkunastu żołnierzy pod bronią z rozporządzenia jenerał - gubernatora wileńskiego. Chociaż rada pedagogiczna Gimnazjum Kowieńskiego była za usunięciem Barszczewskiego, jednak znany rusyfikator, kurator wileńskiego okręgu, Korniłow, na to się nie zgadzał; lecz potem sam Barszczewski zrezygnował z posady w naszem gimnazjum. Następcą jego został A. Koszko, Polak przybyły z Penzy, żonaty z Rosjanką. Był to człowiek lat średnich, małego wzrostu, drobny, chorowity, zawsze z podwiązaną chustką twarzą. Wyróżniał się swoją uprzejmością. Bardzo względny i wchodzący w położenie uczniów, bronił ich na radzie pedagogicznej, która ulegała w znacznym stopniu jego wpływowi, przez co narażała się kuratorowi Korniłowowi. Wkrótce Koszko, a z nim pozostali jeszcze Polacy nauczyciele zostali wydaleni z gimnazjum, a z nimi i długoletni lekarz szkolny ewangelickiego wyznania, Bartoszewicz. Był to stary kawaler, wielki skąpiec. Przeważnie lichwą doszedł do pieniędzy. Miał wiele kosztowności z zastawów. Na wszystkich palcach nosił brylantowe pierścionki, takąż szpilkę w krawacie. Wielki, złoty łańcuch od zegarka i kosztowne futro doktora wszystkich nas wprawiały w podziw, jak niemniej jego ignorancja w medycynie. Zgrzybiałym już starcem będąc, ożenił się z młodą szwaczką i jej zapisał cały swój majątek. Po krótkiem z nim pożyciu wyszła ona zamąż za syna gospodyni stancji uczniowskiej Żodkiewicza, ucznia klasy IV, który paradował potem w kosztownej odzieży Bartoszewicza.

Swawola i rozpuszczenie uczniów miało wiele smutnych następstw. Pamiętam, jak do Kowna przyjechał ks. Ireneusz Ogiński, honorowy kurator gimnazjum i zebrał w wielkiej auli gimnazjalnej grono nauczycieli i uczniów. Kurator był ubrany w mundur szambelański, złotem wyszywany. Podał do wiadomości, że ponieważ, pomimo wielokrotnych ostrzeżeń, rozpuszczone obyczaje młodzieży przeszły wszelkie możliwe granice, przeto zwija internat dla niezamożnych uczniów w Kownie, składając jednocześnie urząd honorowego kuratora gimnazjum. Był to wielki cios dla uczących się dzieci ubogich rodziców. Gimnazjum w końcu 1862 r. zostało zamknięte na czas nieograniczony, a wielu uczniów musiało przerwać naukę. Kiedy zaczęły się organizować zbrojne partje, znaczna część uczniów z wyższych klas wstąpiła do nich; szli i z niższych klas uczniowie, niekiedy już pod wąsem, gdym bowiem wstąpił do gimnazjum, w klasie

mojej obok 10-cio letnich, zdarzali się i 15 i 17-letni. Entuzjazm ogarnął wszystkich. Były też nierzadkie wypadki, że malcy uciekali z domu rodziców „do lasu", a potem byli wracani z drogi. Jeżeli wpadli w ręce kozaków, smagano ich rózgami na śmierć. Uczniowie za śpiewanie „Boże coś Polskę" w kościele karani byli rózgami i wydalani z gimnazjum. Pamiętam niejeden taki wypadek, w którym rodzice, aby zapobiec wydaleniu ich dzieci z gimnazjum, zgadzali się na wymierzanie im kary na dziedzińcu policji, czego sami bywali świadkami. Przypominam sobie, jak wymierzano chłostę 18-letniemu uczniowi klasy IV, Władyczce.

ROZDZIAŁ III.

Prześladowanie polskości w Kownie po powstaniu styczniowem.

W końcu lata 1863, kiedy powstanie chyliło się ku upadkowi, po wielkiem podnieceniu umysłów nastąpiła ogólna depresja i przygnębienie, jak to zresztą bywa zwykle w razach niepowodzenia. Zwycięzca z zadowoleniem pastwił się nietylko nad zwyciężonymi, ale nawet nad spokojnymi mieszkańcami, chcąc wykazać swą siłę. Przy najmniejszem podejrzeniu lub niesłusznej denuncjacji odbywały się rewizje i areszty, a klasztory, szpitale, klub miejscowy i domy prywatne były zapełnione aresztowanymi, nie mówiąc już o więzieniach. Kowno przemieniło się w obóz wojskowy. Po całych dniach rozjeżdżały po ulicach warty kozackie, wzbroniono wszelkich zebrań, ze zmierzchem gaszono w domach światła. O zmroku trzeba było chodzić z latarką. Po 8-ej godzinie wieczorem nie pozwalano już nikomu wychodzić na ulicę. Przez całą noc rozlegały się głosy patroli, naprzemian z gwizdawkami policjantów i dźwiękami grzechotek wartujących stróży. Wreszcie codziennie prawie przywożono rannych i jeńców z pola walki, lub przyłapanych w lasach i po drogach. Kozacy i inne oddziały wojskowe wkraczały do miasta z muzyką i pieśniami, ogłaszając dzikim piskiem, bębnami i piszczałkami swe zwycięstwo, a trofeami ich były naładowane wozy z ograbionego mienia z dworów. Wkrótce rozpoczęły się śledztwa, sądy, wywożenie skazanych to na wygnanie, to do ciężkich robót, a często całe rodziny, a nawet wsie zsyłano na Sybir. Przez ciekawość biegłem nieraz z tłumem aż na dworzec, dążąc za deportowanymi, ubranymi w długie samodziałowe szynele z żółtemi łatami na plecach. Niektórzy byli skuci na rękach i nogach w grube kajdany. Widzieliśmy łzy i jęki rozpaczy, towarzyszące scenom rozstawania się, gorące uściśnienia, powiewania czapek i chustek, jakiemi żegnały tłumy odjeżdżających. Od

czasu do czasu na niezabudowanym jeszcze wówczas placu, obok idącej pod górę szosy petersburskiej, odbywały się egzekucje przez rozstrzelanie i powieszenie. Pamiętam niejedną z nich, bo dziecięca ciekawość ciągnęła mnie na ten okrutny plac stracenia, ażeby się przypatrywać choć zdaleka temu krwawemu widowisku. Byłem przy straceniu pierwszych ofiar w Kownie: młodego, pełnego nadziei leśniczego Kletego Korejwy, oficera Wincentego Białłozora, d-ra Wróblewskiego, ks. Mackiewicza i innych. Powiadają, że liczba straconych w Kownie dosięgała 20. Po rozstrzelaniu ciała zmarłych wrzucano do wykopanego grobu, poczem grób zasypywano, a oddział kawalerji przy dźwiękach muzyki i śpiewu ubijał ziemię końskiemi nogami. Ciał powieszonych, obleczonych w białe płaszcze z kapturami, nie zdejmowano z szubienicy aż do wieczora, ażeby odstraszać ludność od buntów przeciw carowi. Przypatrywanie się egzekucjom mogło mieć i swą stronę dodatnią, wzbudzając coraz większą nienawiść i chęć zemsty na siepaczów, tudzież podniecając uczucia patrjotyczne, któremi Litwa zawsze przodowała. Podczas jednej z egzekucyj, na których byłem obecny, (odbywały się one zwykle od godz. 11 i pół do 12-ej, a więc w czasie wielkiej pauzy i dlatego wielu uczniów biegało na plac stracenia), postrzelono wypadkiem w nogę stojącego na górze na szosie wice-gubernatora. Wszyscy rzucili się na pomoc ranionemu, a nieszczęśliwy skazaniec, przywiązany do słupa, broczył we krwi, czekając na strzał celniejszy. Tłum ludu, obecny przy egzekucji, wyrażał zwykle oburzenie swym ciemiężycielom. Wielu skazanych żegnało się z publicznością i umierało bohatersko z okrzykiem na ustach: „Niech żyje Polska!". Żal powszechny, płacz i jęk towarzyszyły tym egzekucjom. Trąby muzyki wojskowej zagłuszały jęki, kozackie nahajki rozpędzały rozżalone tłumy. Ludność miejscowa początkowo nie upadała na duchu, modląc się po kościołach i wierząc w cud, że może jeszcze los powstania zmieni się na lepsze. Tymczasem widnokrąg kowieński coraz cięższe zalegały chmury. Wobec zamknięcia gimnazjum i czasów niespokojnych, cały rok straciłem, gdyż dziadkowie odebrali mnie z gimnazjum z tem, abym po roku zdał egzamin do 3-ej klasy. Przygotowywała mnie do niego córka znanego wileńskiego lekarza Grosa, wdowa po nauczycielu gimnazjalnym Stejningerze, kobieta niemłoda. Zamieszkała ona z 10-letnią córeczką Andzią u nas. Uczyliśmy się we trójkę: ja, moja siostra i Andzia, lecz każde z nas miało inny program nauki. Pani Sztejningerowa nie miała najmniejszych zdolności pedagogicznych. Bigotka, popędliwego temperamentu i nietaktowna, dała nam się dobrze we znaki. Andzia była kozłem ofiarnym matki, która ją nieustannie musztrowała,

to, że źle chodzi, to że źle siada, to że brzuch wystawia naprzód, to że ręce nie tak trzyma, jak trzeba. Za to często otrzymywała szturchańce i była bitą. Moją siostrę pani Sztejningerowa oszczędzała więcej, ale mnie niekiedy szturchała, czemu oponowałem, a nawet toczyłem z nią wojnę. Szczególnie nie panowała nad sobą podczas lekcji muzyki, bijąc mocno po rękach. Była przytem pobożna aż do fanatyzmu. Musieliśmy z nią codziennie rano i wieczór klęcząc odmawiać pacierze i długie modlitwy jej własnego pomysłu, w czasie których urządzała komiczne sceny, uderzając córkę po brzuchu, lub szturchając ją pod bok, a to że źle klęczy, a to że się garbi. Przy klęczeniu, aby się nie garbiła, podkładała jej z tyłu pod ręce linję. Modlitwa ta przechodziła nieraz w swawolę, do czego dawałem powód śmiesząc moją siostrę i Andzię, piszcząc lub miaucząc. Wówczas pani Sztejningerowa zrywała się na równe nogi, krzycząc na mnie: szatanie ty w ludzkiem ciele, opamiętaj się! i żegnała mnie, co jeszcze bardziej zachęcało mię do figlów. Andzia skutkiem niewłaściwego postępowania z nią matki, była wystraszona i zahukana. Dało to i mnie nieraz powód do niewłaściwego względem niej zachowania się. Naśladując jej matkę, ciągałem ją po pokoju, dając szturchacze. Sprawiłem tem jej niejedną przykrość, czego później, doszedłszy do lat dojrzalszych, nieraz żałowałem. W kilka lat słyszeliśmy, że Andzia wyrosła na bardzo przystojną pannę i zrobiła dobrą karjerę, wychodząc zamąż.

W tym trwożnym roku mego życia, kiedym opuścił gimnazjum i przygotowywałem się do egzaminu, pomimo 12 roku życia interesowałem się polityką. Chwytałem rosyjską gazetę liberalną „Gołos", którą dziad czytywał, i z entuzjazmem pochłaniałem z niej wiadomości o oddziale Langiewicza i postępach, jakie czynił. Później przysłuchiwałem się ciągłym rozmowom i debatom starszych o upadku powstania i rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się, oddani będąc na pastwę wrogowi i orgjom prześladowczym różnych ekspedycyj karnych wojskowych. Smutno mię to nastrajało, a do tego przyłączyły się osobiście niepokojące mię wieści o surowościach, zaprowadzonych w gimnazjum, do którego mam wstąpić. Dom patrjarchalny moich dziadków i otoczenie, w którem rosłem, było rajem wobec tego, co mnie czekało później w szkole rusyfikacyjnej. W domu można było myśleć i mówić o czem się chciało. Poszedłszy do szkoły i później w świat, nauczyłem się cenić świętość ogniska domowego. W domu dziadków obchodzono wszystkie uroczystości rodzinne i obrządki kościelne, obserwowano posty i święta. Dziad mój Fischer lubił szczególnie śpiew i muzykę. W wielkim poście, zwykle o szarej godzinie,

schodziliśmy się wszyscy i przy akompanjamencie mojej matki na fortepjanie śpiewaliśmy „Jezu Chryste, Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy", wieczorem zaś, idąc spać, któreś z nas dzieci czytało „Żywoty Świętych" Piotra Skargi. Na Boże Narodzenie śpiewaliśmy „Anioł pasterzom mówił", a na Wielkanoc radosną pieśń „Wesoły nam dziś dzień nastał". Dziad szczególnie lubił pieśń chóralną, wykonywaną niegdyś przez orkiestrę pod batutą S. Moniuszki w Ostrej Bramie w Wilnie przy odsłanianiu i zasłanianiu cudownego obrazu. Pieśń zaczynała się od słów: „Witaj Panno z nieustanną czcią wszystkich ludzi, choć żadnego śmiertelnego serca nie wzbudzi". Dziad mój, jako rodem z Wilna, był wielkim miłośnikiem tego miasta i lubił nam, dzieciom, opowiadać przygody i anegdoty wileńskie, których słuchaliśmy zawsze z wielkiem zajęciem. Siostra moja już w tych latach zapowiadała się na piękność, a dziadkowi to bardzo schlebiało i lubił się jej wdziękami chełpić przed znajomymi. Nieraz mówił do mnie przy kimś ze znajomych: „Zawołaj Stasię, pokażę panu dobrodziejowi moją wnuczkę, o to piękna dziewka!". Język rosyjski dziad przyswoił sobie już w późniejszych czasach i nie władał nim poprawnie. Aż do śmierci zajmował się praktyką lekarską. Uprawiał przeważnie choroby kobiece i położnictwo. Miał liczną klientelę, przeważnie z pośród ubogich Żydówek, które z wielką galanterją przyjmował, rozmawiając z niemi w żargonie i tytułując każdą „Madame", a one dziada nazywały „Herr Professor".

Po stłumieniu powstania wyłapywano resztki powstańców, w tej liczbie wielu uczniów gimnazjum kowieńskiego, ujętych z bronią w ręku w lasach, na drogach, lub wracających do rodziców. Wtrącano ich do więzienia, sieczono rózgami, lub katowano. W domu moich dziadków, jak i w wielu innych, szyto bieliznę dla zesłanych, potajemnie zbierano składki, wieczorami skubano szarpie dla szpitali, pieczono bułki, w których nieraz zapiekano kartki i listy dla więźniów. Pośrednikami w dostarczaniu tych rzeczy więźniom byli najczęściej dyżurujący oficerowie. Szczególniejszą sympatją cieszyli się dwaj młodzi oficerowie miejscowego garnizonu, Szapkin i Aniczkin, którzy bezinteresownie i z narażeniem własnem starali się być pomocą uwięzionym.

Pewnego jesiennego dnia o zmierzchu wkroczył do miasta oddział wojskowy rosyjski z głośnym śpiewem, przeplatanym dzikiemi okrzykami. Była to ekspedycja, wracająca z wywiadów i prowadząca rannego, wycieńczonego głodem i zziębniętego, jednego z bohaterów Litwy, który ostatni poddał się. Mowa o ks. Antonim Mackiewiczu. Wszystkie oddziały w Kowieńszczyźnie były rozbite, a ich do-

wódcy, którym nie udało się ujść zagranicę, musieli złożyć swe głowy na ołtarzu ojczyzny, jak Jabłonowski, Dłuski, Cytowicz, Bolesław Kołyszko, Dołęga (Zygmunt Sierakowski). Po nich przyszła kolej na ks. Mackiewicza. Partja ks. Mackiewicza składała się przeważnie z Litwinów. Nazwisko bohaterskiego księdza było już wówczas oplecione wielu legendami o jego waleczności i otoczone aureolą świętości. Tłumy ludu towarzyszyły z płaczem jeńcowi. W parę dni potem prowadzono go pod silną eskortą z więzienia do komisji śledczej. Biegłem wówczas w tłumie za nim, starając się zapamiętać jego postać. O ile dziś przypominam go sobie, był on wzrostu miernego, wieku średniego, szatyn, z dużą brodą, o długich włosach, spadających na ramiona. Był w wysokiej, bobrowej czapce, w długiej szarej kapocie, a dokoła szyi miał szary, wełniany szalik. Szedł śmiałym krokiem, kłaniając się dokoła. Za kilka dni wiedziono go na stracenie, z muzyką i bębnami. Towarzyszyły mu znowu tłumy ludu. Pamiętam, jak ks. Pukszta, augustjanin, Litwin, który dysponował go na śmierć i musiał iść obok niego aż do miejsca kaźni, opowiadał moim dziadkom, że podziwiał w skazanym dziwny spokój ducha. Kiedy przechodzili ulicą Wielką i na rusztowaniu budującego się domu siedziało dwoje dzieci, Mackiewicz zwrócił na nich uwagę, mówiąc: Patrz, księże, na te dzieci, istne aniołki! Na placu stracenia widziałem go zdaleka, jak zdejmował czapkę na pożegnanie, żegnał się, i ręce podnosił do góry, lecz słów nie mogłem dosłyszeć. Opowiadano, że wyroku śmierci wysłuchał ze spokojem, przy czytaniu tylko niektórych punktów z aktu oskarżenia protestował, nie wyrażał skruchy ni żalu i szedł na śmierć tak bohatersko, jak walczył za wolność. Spowiednika prosił o oddanie w upominku ojcu srebrnej tabakierki, a pułkownikowi, z którym walczył jako z wrogiem, lecz dla którego zachował pewien szacunek za jego szlachetność, zostawił na pamiątkę złotą pięciofrankówkę. Idąc na śmierć, zdjął z szyi szalik, rozerwał na części, podobnie i rękawiczki i rzucił tłumowi w różne strony. Lud rozchwytywał te szczątki. Powstał płacz głośny, łkania, przekleństwa i wyrzekania, lecz nahajki kozackie zaczęły tłum rozpędzać, a muzyka wojskowa i bębny starały się zagłuszyć jego krzyki i słowa skazanego. Skazany, wchodząc pod szubienicę, wydał ostatni okrzyk na cześć Polski i Litwy. Nikt może nie umierał z taką rezygnacją, jak ostatni naczelnik sił zbrojnych województwa kowieńskiego, który krwią własną stwierdził unję Litwy z Polską. Zginął 28 grudnia 1863 r. o godzinie 11 rano. Dziś w wolnej Polsce ks. Mackiewicz, uosabiający ideę jagiellońską, powinien być na Żmudzi symbolem unji politycznej z Polską, a nie wątpię że takowa kiedyś dojrzeje.

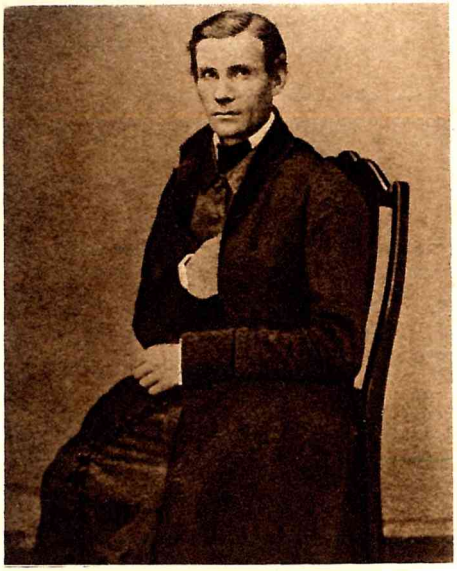

Ks. ANTONI MACKIEWICZ
Naczelnik sił zbrojnych województwa Kowieńskiego, stracony w Kownie w r. 1863.
(1826—1863)

Ks. KAZIMIERZ MACIEJ WOŁONCZEWSKI
biskup Żmudzki (1801—1875).

ALEKSANDER JELSKI
patrjota i publicysta ziem litewsko-ruskich w epoce popowstaniowej
(1834—1916)

WALERY KULIKOWSKI
Komisarz Rządu Narodow. w Kownie w r 1863
(1836—1910)

Wróg, zgniótłszy tak łatwo powstanie, nie zdobył się na akt przebaczenia i tolerancji, lecz dalej prześladował i katował niewinnych, zarówno dorosłych jak i dzieci, zarówno mężczyzn jak i kobiety, w każdym podejrzewając „miatežnika i buntowszczika" przeciw carowi, zapominając o rosyjskiem przysłowiu, że „leżących nie biją". Na czele zarządu gubernji Kowieńskiej stanął syn Murawiowa, jenerał - gubernatora wileńskiego, wielkiego kata Litwy, któremu sami Rosjanie dali przydomek „wieszatiel". Młody Murawiow przybył do Kowna, poprzedzony sławą swego krwiożerczego ojca. O ile z powierzchownego wyglądu przypominał bardzo ojca, blady, otłuszczony, kurnosy, o nabrzękłej twarzy, ryżawych włosach i takiej barwy podciętych wąsach, o nieprzyjemnym wyglądzie buldoga, o tyle różnił się usposobieniem od swego okrutnego ojca. Niedołężny, sybaryta, pijak i kobieciarz, łatwo podlegał wpływom ludzi go otaczających. Po paroletnim pobycie w Kownie wywieziono go jako chorego na wadę serca, silnie obrzękniętego, do Baden-Badenu, gdzie życie zakończył.

Lubo powstanie i wszelkie ruchy rewolucyjne już się zakończyły i jakby całun śmierci zaległ nad całą Litwą, prześladowania dalej się srożyły. Polaków ze wszystkich urzędów wyrzucano i zastępowano ich czynownikami bez żadnych kwalifikacyj, z Rosji, ludźmi nieznającymi zupełnie kraju. Język polski został wzbroniony w urzędach, w miejscach publicznych i na ulicy. Za niespełnienie tych rozporządzeń pobierano kary pieniężne. Aresztowania nie ustawały. Pomiędzy innymi został uwięziony Wiktor Szabuniewicz z Marjampolskiego, żonaty z moją siostrą stryjeczną. W domu Szabuniewicza w Antonowie odbył się zjazd szlachty okolicznej, na którym uradzono przystąpić do powstania, poczem 70 młodych ludzi utworzyło oddział, który wkrótce w lasach pod Czystą Budą był rozbity. Większa część uczestniczących została zarąbana, a reszta dostała się do niewoli. Na ile mnie pamięć nie myli, zginął tu były oficer armji rosyjskiej Znatowicz. Szabuniewicz, obawiając się odpowiedzialności, przebrany za chłopa musiał się ukrywać, a żona z dziećmi wyjechała do matki do odległego o 7 mil Iłgowa. Tymczasem wojsko rosyjskie po rozbiciu powstańców zrobiło najazd na Antonów, zrabowało dwór, pozabierało, co się zabrać dało, a korzystając, że tam były wielkie zakłady przemysłowe, gorzelnia, dystylarnia i browar, wytoczyło zapasy wódek i piwa, porozbijało składy i urządziło kilkudniową orgję. Na głowę właściciela był nałożony okup, wszędzie go poszukiwano. Po paromiesięcznej tułaczce po chatach przestępca, nie mając innego wyjścia, sam się zjawił u gubernatora w Kownie, poszukując swych strat, lecz został aresztowany i osadzony w więzieniu. Dopiero po trzech latach

przewieziony z Kowna do Wilna, a potem do fortecy w Dynaburgu, został uwolniony, dzięki niestrudzonym usiłowaniom żony, która nie szczędziła na to kosztów.

U dziadków moich Fischerów w Kownie przebywała moc przyjezdnych, dalszych i bliższych, krewnych i znajomych, którzy w ich domu doznawali gościnności, rady i pomocy. Z tego kalejdoskopu wrażeń i ludzi pozostało mi wielu w pamięci. Najprzód Walery Janczewski, brat młodszy Cyprjana z Blinstrubiszek z Rosieńskiego, w młodości uczeń szkół krożańskich, unieśmiertelniony w Dziadach Mickiewicza, ojciec późniejszego profesora botaniki w Krakowie. Walery Janczewski z rozporządzenia władz zmuszony był pełnić obowiązki marszałka szlachty powiatu kowieńskiego po uwięzieniu Żylińskiego. Na tem stanowisku zapisał się dobrze w pamięci potomnych, niosąc pomoc prześladowanym swym wpływem i stosunkami. Pomiędzy innymi mieszkali w Kownie dwaj bracia Chlewińscy, Jan i Ignacy, obaj już wówczas ludzie starzy, następnie rodziny Białłozorów, których ojcowie byli osadzeni w więzieniu, Szemiotowie, Kurdzikowscy, Peliscy, Dowgirdowie, Kończowie, Edward Romer z rodziną, Medekrzowie, rodzice późniejszego posła do Dumy rosyjskiej, i inni. Z dzieciństwa pozostała mi w pamięci rodzina stale w Kownie zamieszkała Kulikowskich, która była w zażyłości jeszcze z czasów wileńskich z mymi dziadkami, jak również z rodzicami. Stary Jan Kulikowski był urzędnikiem z wyboru w izbie cywilnej. Mieli oni dwie córki i syna Walerego, który, skończywszy w tym czasie szkołę architektów w Petersburgu, otrzymał posadę architekta w Kownie i zamieszkał z rodzicami w ich domu własnym piętrowym, w nadzwyczaj malowniczem położeniu. Przez całą długość domu przechodził balkon, latem umajony kwiatami i zwieszającym się bluszczem. Z balkonu był wspaniały widok na Niemen i ujście do niego Wilji. Po Niemnie pływały wówczas statki parowe, baty i wiciny, naładowane drzewem i zbożem. Po drugiej stronie rzeki były zalesione góry, poświęcone, według podań, litewskiej bogini Aleksocie. Na prawo był t. zw. Gaj, z kilkunastu chatami rybackiemi, a dalej plaża nadniemeńska, pokryta piaskiem i żwirem, opodal ujścia Wilji do Niemna. Często z dziadkami odwiedzaliśmy Kulikowskich, tem więcej, że Kulikowski był naszym opiekunem po śmierci ojca. Mieszkanie ich było urządzone z wielkim gustem i utrzymane w nadzwyczajnej czystości. Młody Walery pełen zapału do pracy i wybitnych zdolności, przyjechawszy do Kowna, zajął się jako budowniczy restauracją dawnych zabytków i kościołów i brał udział w życiu społecznem. W domu rodziców na parterze urządził łaźnię parową

z wielkim komfortem, z fontanną i basenami, które podziwiali mieszkańcy Kowna. Zdarzenia polityczne wciągnęły go w wir wypadków, a kiedy dotychczasowy komisarz rządu narodowego Ludomir Gadon, okolicznościami zniewolony, schronił się zagranicę, opuszczając powierzone mu stanowisko, Kulikowski z własnej inicjatywy obejmuje niebezpieczną spuściznę i niezwłocznie go zastępuje. Ten 25-letni młodzieniec rozwija nad podziw energiczną działalność, budzi śpiących i zwątpiałych do czynu, jest duszą wszelkiej narodowej pracy, nic bez jego udziału nie dzieje się w Kownie. Urządza słynną procesję unji Polski z Litwą w r. 1861, a potem bierze udział przy formowaniu oddziałów, które jedne po drugich zasilały walczące partje na Litwie i Żmudzi, a w liczbie ich pamiętny oddział Kwinty, chłopa żmudzkiego. Kulikowski dostawia oddziałom żywność z miasta, informuje o ruchach wojsk rosyjskich, otrzymuje z zagranicy broń i amunicję, a łaźnia z wespół wtajemniczoną w to całą służbą staje się składem wojskowym, jak to wiem z ust samego Kulikowskiego. Nie mówiąc o tem strasznem niebezpieczeństwie, jakie przedstawiało przechowywanie wybuchowych materjałów w łaźni, trzeba podziwiać szaloną odwagę i przytomność umysłu Kulikowskiego. Nad łaźnią mieszkał wojenny naczelnik miasta, pułkownik Żerebcow, z którym młody Kulikowski podtrzymywał dobre stosunki, przyczem Żerebcow uważał go za człowieka politycznie zupełnie godnego zaufania. Dla zamydlenia oczu musiano podtrzymywać z Rosjanami stosunki. Tak np. pamiętam w tych czasach koncert jakiś dobroczynny, na którym śpiewali duet: pani Żerebcowa, żona pułkownika, z Ludomirem Gadonem. Po wielu latach, będąc w Paryżu, przypominałem Gadonowi o tem. Jednym z pierwszych aresztowanych w Kownie był Kulikowski. Przez trzy lata dręczony w komisjach śledczych, podtrzymuje on drugich na duchu, niepospolita jakaś siła ducha wiała z tej postaci, krzepiąc omdlałe serca współtowarzyszów więzienia. Jako hołd uznania i wdzięczności ofiarowali mu pierścień z napisem „od współcierpiących braci 1865 r.", jak pisze Roman Rogiński, autor nekrologu Kulikowskiego [1]).

W Kownie przebywało kilku agitatorów, zwłaszcza przed samem rozpoczęciem powstania, jak malarz Andziolli, jak Bonoldi, nauczyciel śpiewu, jak Demontowicz. Szczególnie dwaj ostatni głośni byli później na emigracji. Najlepiej mi w pamięci pozostał jako typ Demontowicz, o ciemnych długich zwisających wąsach, w rogatywce na głowie, w czamarce z pasem lakierowanym.

---

[1]) „Dzien. Kijow." N. 85, 1910.

W mieście największą powagą cieszył się marszałek gubernjalny szlachty, jako piastujący tę godność z wyboru. Od czasu, jak zapamiętać mogę, urząd ten spełniał hr. Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu pod Kownem. Przypominam go sobie rozjeżdżającego po mieście w trójkańciastym kapeluszu i mundurze szambelańskim. Na ponownych wyborach czyli t. zw. sejmikach w r. 1858, które dobrze pamiętam, gdyż były bardzo ożywione i gwarne, na miejsce ustępującego Tyszkiewicza został wybrany przedstawiciel partji bardziej demokratycznej, wspomniany wyżej Józef Dowgird. Wybór zdaje się nie był zbyt szczęśliwy, tem więcej w czasach tak niespokojnych. Dowgird był tchórzem, obawiał się o swoją osobę. Nie pozyskawszy poważania w swem własnem społeczeństwie, był przez rząd lekceważony. Marszałkiem powiatowym został wybrany inżynier komunikacji, Ludwik Żyliński ze Średnika, o którym wspomniałem, jak swem postępowaniem i godnością zjednał sobie ogólną sympatję. Rząd obsadzał urzędy marszałków bezpłatnie, mianując na nie niektórych obywateli. Żaden z nich nie mógł nie przyjąć tego zaszczytu. Gubernjalnym marszałkiem został naznaczony dymisjowany rotmistrz ułanów Felicjan Karp', obywatel z Poniewskiego, ożeniony z Niemką i zamieszkały z rodziną zniemczałą w Rydze. Od czasu do czasu przyjeżdżał do Kowna. Zwykle zastępował go marszałek powiatowy, Walery Janczewski.

Karp' słynął jako oryginał i dziwak, zdradzający pewną nienormalność. Tak np. jeździł latem konno w kożuchu baranim, wywróconym włosem na zewnątrz. Przyjeżdżał na „rewje swego inwentarza" latem w papierowym stosowanym kapeluszu z kitą z naciętego papieru, dawał rozporządzenie, aby w niektórych folwarkach wszystkie kaczki podkuć, t. j. przybijać za nogi do ziemi i t. p. niedorzeczności, chcąc w ten sposób grać na Litwie rolę drugiego Radziwiłła Panie Kochanku. W rodzinie mojej słyszałem opowiadanie, jak Ignacy Karp' w r. 1836 zaprosił ciotkę swą, a moją babkę, szambelanową Hryncewiczową z Iłgowa do swej rezydencji w Johaniszkielach na kąpiele. Były tam źródła gorące, cieszące się wielką frekwencją. Babka jechała z dziećmi i z wnukami wielką karetą staroświecką, za nią służba i rzeczy. Na wiorst kilka przed dworem spotkał ich uprzejmy gospodarz konno z liczną świtą, a wszyscy poubierani byli w kożuchy wywrócone włosem na zewnątrz. W letni wieczór i w noc ciemną oświecały drogę pochodnie i smolne beczki płonące, grała muzyka, a wystrzały z moździeży ogłaszały wielką uroczystość przybycia gości do dworu.

W Kownie w czasie powstaniowym mieszkał sąsiad i krewny

Karpia, obywatel z Poniewieskiego, baron Michał de Kelles Krauz, człowiek już starszy, a słynący na całą Litwę ze swych dowcipów, któremi sypał jak z rękawa. Pamiętam, jak samo pojawienie się Krauza, nim usta otworzył jego ruchy i mimika, wywoływały wybuchy śmiechu. Podobno Krauz nieraz zasiadał w niedzielę przy wejściu do kościoła katedralnego w bramie na ławie pomiędzy żebrakami, prosząc o jałmużnę rozmaitemi głosami i wydrwiając z przechodniów. Mnóstwo krążyło opowiadań o jego dowcipach.

ROZDZIAŁ IV.

Ponowne wstąpienie do gimnazjum. Nauczyciele i uczniowie. Kary w szkole.

W jesieni 1863 r. nadeszła chwila wstąpienia do wyższej klasy gimnazjum, co mnie przejmowało trwogą. Nie wiedziałem, jak zdam egzamin, a przytem opowiadano wiele o nowych porządkach i o surowości dyrektora. Ponieważ pani Stejningerowa znała go dobrze, postanowiła przedstawić mu osobiście swego pupila. Przyjął nas dosyć zimno i urzędowo. Po niejakim czasie zdawałem egzamin i zostałem przyjęty do III klasy gimnazjum, przeniesionego ze starego gmachu pojezuickiego do nowo-wybudowanego budynku na gruntach klasztoru podominikańskich. Z dawnych nauczycieli pozostało w gimnazjum tylko paru Rosjan, dosługujących się emerytury; Polaków wszystkich usunięto. Niektórych przeniesiono do Królestwa, lecz większość zmuszona została rozproszyć się za chlebem po Rosji i po Syberji. Dyrektorem gimnazjum został Iwan Jakowlewicz Szulgin, były dyrektor kancelarji kuratora Okręgu Szkolnego Białoruskiego. Przed powstaniem mówił po polsku i uchodził za człowieka przyzwoitego, potem uległ manji rusyfikacyjnej, stał się satrapą, fanatykiem żądnym władzy i surowo traktującym uczniów. Inspektorem był Szwed Nordkwist, przeniesiony do Kowna po zamknięciu słynnego niegdyś gimnazjum w Kiejdanach. Był to człowiek niemłody, niskiego wzrostu, o wygolonej czerwonej twarzy, w peruce, nadzwyczaj słodki w obejściu, zawsze uśmiechnięty. Z dawnych nauczycieli pozostał jeszcze Gwajta, matematyk, Żyd z pochodzenia, który przystosowując się do zmieniających się okoliczności, stał się bardzo lojalny wobec systemu rusyfikacyjnego. Mimo, że był luteraninem, hołdującym niemieckiej kulturze, zbliżył się do fanatyka Szulgina. Po paru latach,

gdy Nordkwist poszedł na emeryturę, miejsce jego zajął Gwajta. Drugim wykładającym matematykę był Durow, niedawno przysłany, podobno były urzędnik policji, mało umiejący i nielubiany przez uczniów. Morel, oficer artylerji, wykładał fizykę. Język rosyjski wykładało dwóch Popowych, obcych sobie. Trzeba wiedzieć, że nazwisko to, dowodzące pochodzenia z kasty duchownej, jest bardzo pospolite w Rosji. Obaj Popowy byli kawalerami i mieli jedyną wspólną cechę: wiek młody i zamiłowanie do ekscesów *in baccho et venere*. Jeden z nich, Andrzej Nikiforowicz, wysoki, ospowaty, wygolony, o długich ciemnych włosach, któremi nieustannie potrząsał, jak końską grzywą, dbały o swą powierzchowność i zakochany w sobie, wykładał nudnie. Nie umiejąc uczniów zainteresować, był przez nich nielubiany. Przezywano go Popowym wielkim dla odróżnienia od małego, Michaiła Nikołajewicza, zjawiającego się na lekcje zwykle pod dobrą datą. Był to człowiek dobroduszny, towarzyski, odnoszący się do uczni po koleżeńsku, i przez nich w takiż sposób traktowany. Lekcje rzadko zadawał i prawie nie wykładał, a czytał nam opowiadania i powieści, ćwicząc w ten sposób w języku rosyjskim praktycznie. Opowiadał różne anegdoty, nieraz bardzo tłuste, stopnie stawiał dobre, w politykę się nie bawił, często dowcipnie wyśmiewał popów i czynowników, w końcu dodając: panowie, z klasy śmiecia nie wynosić! Na lekcjach Popowa było wesoło, gwarno. Wśród nauczycieli szczególnie antypatyczni byli dwaj wychowańcy seminarjum duchownego, obaj dzieci byłych Unitów, z Białorusi: Łukaszewicz, starszy wiekiem, wykładał geografję, a młodszy, zięć jego, Czechowicz, historję. Obu ich charakteryzowała fanatyczna nienawiść do wszystkiego co polskie. Łukaszewicz, człowiek dość ciasnego umysłu, nie wyrażał jednak swych skrajnych nacjonalistycznych zasad, jak to czynił zięć jego, Czechowicz, wykładający historję, a podkreślający wszędzie swe polakożerstwo. Udowadniał ciągle, że Litwa to kraj odwiecznie rosyjski, szlachta polska to spolonizowani i „okatoliczeni" Rosjanie. Namawiał swych uczniów, aby wrócili do wiary i narodowości swych przodków. Dla stwierdzenia, że Litwa to kraj rosyjski, Czechowicz przynosił dzieła polskich historyków, udowadniające, że stare przywileje i hramoty królewskie były pisane w języku białoruskim. Czechowicz czytał wcale dobrą polszczyzną. W wykładach swych starał się potępiać i ośmieszać przeszłość Polski, powstanie i tych, co brali w niem udział. Wykładając historję średniowieczną i walkę papiestwa z władzą świecką, wydrwiwał z obrządków Kościoła katolickiego i z jego dogmatów, podnosząc nieskazitelność prawosławja wobec bezduszności i autokratyzmu katolicyzmu. Potępiał fa-

natyzm duchowieństwa katolickiego, utrudniający pojednanie Polaków z prawosławjem, przypisując całe zło księżom i kobietom, pozostającym pod ich wpływem, gdyż oni to narażają kraj na tyle bied i nieszczęść, szereg powstań i buntów przeciw carowi i narodowi rosyjskiemu. Czuliśmy intuicyjnie jego tendencyjność oraz chęć obrażania naszych uczuć narodowych i religijnych, gdyż to, co nas uczono czcić od dziecka i uważać za święte, on wydrwiwał. Czechowicz szczególnie prześladował nas za złą wymowę i tak zwane *„udarenje"* chociaż sam mówił z białoruska, akcentem t. zw. *bursackim*. Nam, nie słyszącym w domu innego języka, jak polski, trudno było nagiąć się do prawidłowej wymowy rosyjskiej. Czechowicz doradzał mówić tylko po rosyjsku i w domu nawet, i starać się bywać w rosyjskiem towarzystwie. Najczęstszą ofiarą, nad którą pastwił się za złą ruszczyznę, byłem ja. Uczyłem się z osławionego podręcznika historji Iłowajskiego całych ustępów na pamięć, stawiając nad słowami akcenty. Czechowicz, znając moją niepewność co do akcentowania słów, umyślnie przy odpowiedziach starał się wprowadzić mię w błąd. Ogarniała mnie nieraz desperacja z tego powodu.

Byłem w IV klasie, kiedy na lekcję historji przyszedł gubernator Murawjow w asystencji dyrektora. Wywołany przez niego, odpowiadałem z zadanej lekcji o cesarzu Henryku IV i jego walce z papieżem Grzegorzem VII. Z tego dyrektor wyprowadził wniosek o stosunkach, jakie zachodzą dziś pomiędzy władzą świecką, a duchowną, dodając, że gubernator miejscowy zna lepiej działalność biskupa katolickiego Wołonczewskiego, niż daleko mieszkający papież rzymski.

W tym czasie przypadła smutna reorganizacja szkolnictwa na modłę klasyczną za ministerstwa Tołstoja. Zwiększono liczbę godzin języka rosyjskiego. Usunięto ze szkół przyrodoznawstwo, a od I klasy wprowadzono łacinę, od III-ej zaś grekę. Przy braku nauczycieli języków starożytnych zadawalano się siłami najpodrzędniejszemi, nieraz sprowadzonemi z Czech, lub z Niemiec, ludźmi o bardzo niskiej moralności. Szczególnie byli faworyzowani Czesi, którzy chcąc zrobić karjerę, przyjmowali prawosławje. Wśród uczącej się młodzieży zostawili po sobie najgorsze wspomnienie. Jednym z nich był Grinczak, który przyjął prawosławje. Mówił po rosyjsku bardzo słabo. Człowiek to był niemłody, chromy na jedną nogę, mizantrop, suchy rutynista. Traktował uczniów urzędowo. Po roku jakimś znikł z horyzontu, zapewne pojechał gdzieś dalej oświecać młodzież w Rosji. Grinczaka zastąpił Bilewicz, prawosławny z byłych unitów, jedyny z dawnych nauczycieli. Wykładał niegdyś język rosyjski, potem geografję, a na starość, w braku nauczycieli języków starożytnych, wziął się

do łaciny. Dawniej inaczej z nami nie mówił w klasie jak po polsku, teraz zmuszony mówić po rosyjsku, nieraz zapominał się mimowoli. Nauczycielem był marnym. Co gorsze, że nie umiał wobec uczniów zachować powagi. Oburzenie jego i gniew zamiast postrachu wywoływało śmiech i wesołość, które udzielały się i Bilewiczowi. W niższych klasach targał za uszy, lub wymierzał sprawiedliwość, uderzając linją, grzbietem książki, lub dwoma palcami po dłoniach. Z innych kar, stosowanych przez Bilewicza, było klęczenie na środku klasy połowy uczniów, wypędzenie z klasy i sadzanie do karceru. Pamiętam jak jednego Żydka podniósł za kołnierz i pchnął przez otwarte drzwi ze słowami: „ja tiebie zadam parchu żydzie!". Ten, chichocząc ku wesołości całej klasy, leciał przez korytarz i wpadł na lekcję do przeciwległej klasy, wywołując tam ogólny śmiech i zamieszanie. Bilewicz, chociaż był niemłodym kawalerem, czernił swe szpakowate włosy i bokobrody, nie będąc wcale od tego, aby wstąpić w związki matrymonjalne. Kiedyś przyszedł do klasy w złym humorze w nowych butach, którym się wciąż przyglądał. Uczniowie, spostrzegłszy to, zaczęli się uśmiechać. Bilewicz zwrócił się do mnie z zapytaniem: „durniu, dlaczego się śmiejesz?". — „Jakże się nie mam cieszyć, kiedy Tieofił Wikientjewicz (gdyż kazano było nauczycieli nazywać po rosyjsku imieniem własnem i ojca) ma piękne buty i będzie się podobał pannom...". „Mołczat'!" — krzyknął i zapisał mnie do karceru. W starym gmachu szkolnym za karę pozostawiano uczni bez obiadu w klasie, w nowym przystosowano w tym celu karcer, długi ciemny pokoik, chłodny, bez stołu i krzesła, gdzie przez parę godzin i dłużej trzymano delikwenta. Bilewicz, kiedy był w dobrym humorze, lubił od uczniów dowiadywać się różnych plotek miejskich i załatwiać rozmaite interesy. W tym celu przywoływał bardziej zaufanych do katedry, stojącej na podjum, i podparłszy się ręką, rozmawiał szeptem. Razu pewnego obdarzył mnie swem zaufaniem. Wezwawszy na katedrę szeptał do mnie po polsku: „Chciałbym kupić gdzieś szafkę używaną, niedrogą, również małego pieska". Później przeszedł na inny temat. Rozmowa dłużejby trwała, gdyby nie powstał wrzask i zgiełk w klasie. Rozgniewany Bilewicz nawołuje do porządku i za karę każe omal że nie połowie klasy klęczeć na środku pokoju. Skutkiem wieku nie mógł zbliska czytać, lecz szkieł nie używał. Dlatego zwykle podczas wykładu kazał jednemu z uczniów trzymać podręcznik przed sobą, jak mszał przed księdzem, przyczem chodząc przysposabiał swój wzrok do różnej odległości. Nakoniec zdobył się na binokle, któremi cieszył się jak dziecko, zapytując, czy mu z niemi do twarzy, na co wszyscy zapewniali, że będzie się podobał pannom. Kiedyś

przyszedł na lekcję w dniu swego patrona. Podnieśliśmy go na wiwat. Z początku to go cieszyło, lecz że manifestacja trwała za długo, po lekcji zasadził mnie jako inicjatora do ciemnego karceru. Przewidując, że mię to spotkać może, zwykle nosiłem w kieszeni świeczkę w zapasie. Pomimo niewielkiego rozumu i nietaktowności, Bilewicz nie był z natury złym człowiekiem.

Z nauczycieli religji po zesłanych księżach Gabszewiczu i Kairze za wpływ szkodliwy, wywierany na uczniów, katechetą został lubiony przez uczniów ks. Edward Borowski, lecz że nie szedł w duchu obrusitielej, w końcu administracyjnie został usunięty. Stanowisko katechety było wówczas bardzo trudne. Jeżeli dogadzał władzom szkolnym, był uważany za rusyfikatora i narażał się młodzieży; jeżeli miał za sobą młodzież, rząd uważał go za konspiratora i usuwał, albo posyłał na wygnanie. Dlatego wielu z księży unikało tego trudnego stanowiska. Po r. 1863, kiedy i do wykładów religji wprowadzony został język rosyjski, katechetą został jeden z wikarjuszów nowo-przeniesionej z Worń do Kowna katedry, wychowaniec Petersburskiej Akademji duchownej, ks. Orłowski, człowiek młody, ambitny, zamiłowany w swej osobie, przytem zdolny, wykształcony, dobry pedagog i kaznodzieja, znający dobrze język rosyjski, lecz podobno słabych zasad moralnych. Posiadał więc wszystkie cechy, które odpowiadały tendencjom rządu. Choć pochodził z niezamożnej rodziny, (był synem katedralnego organisty), wysoko się nosił, był bardzo zarozumiały, dla uczniów nieprzystępny, skąpy na stopnie dobre. Czuliśmy, że nie mamy w nim obrońcy i przyjaciela, przeto nie był lubiany. Żył w gronie nauczycieli, urządzał dla nich przyjęcia kawalerskie i hulanki, nieraz ku zgorszeniu katolickiej ludności miasta. Później słyszałem, że ten człowiek zdolny i ambitny źle był widziany przez władzę duchowną.

Nietylko skład nauczycieli po r. 1863 się zmienił, lecz i charakter szkoły oraz skład uczniów zarówno pod względem liczby, jak i narodowości. Po powstaniu wróciła tylko część młodzieży, gdyż niemało z klas wyższych zginęło w powstaniu, poszło na wygnanie, lub oddało się pracy zawodowej, a z niższych przestało się uczyć dla braku środków. Liczba wszystkich uczniów nie dochodziła w r. 1864 nawet do 200. Polacy stanowili mniejszość. Procent ich stopniowo malał ze zwiększającą się liczbą Żydów i dzieci przyjezdnych urzędników i oficerów Rosjan. Zabroniono nam używania polskiej mowy, nietylko w gmachu gimnazjalnym, lecz i na ulicy, a nawet w domu. Liczba stancyj uczniowskich zmalała znacznie, co ułatwiło ściślejszy nad niemi dozór. Każdy uczeń, wstępujący do gimnazjum, musiał

mieć dwóch poręczycieli jego prowadzenia się i prawomyślności politycznej. Był czas, że uczniom odbierano polskie książki do nabożeństwa i rozdawano wzamian rosyjskie. Lecz to, co zakazane, stawało się dla nas tem droższe. Czystości mowy rosyjskiej przestrzegał dyrektor Szulgin. W swej gorliwości starał się rusyfikować nawet nazwiska polskie. Pamiętam jak, biegnąc po korytarzu, wołałem na kolegę Moszyńskiego. Za sobą słyszę tubalny głos dyrektora: tu niema żadnego *Muszyński*, ale *Muszynskoj*. Trudno byłoby zliczyć te drobne szykany i szpilki, jakiemi nas obdarzali już nietylko nauczyciele, lecz i koledzy Rosjanie oraz Żydzi, nazywając nas drwiąco panami, katolikami, lub wołając: „panowie do lasu!". W dnie galowe prowadzono nas początkowo do cerkwi razem z Żydami, a nawet wybierano z pośród katolików do chóru cerkiewnego, lecz ostry protest biskupa Wołonczewskiego tamę temu położył. Szulgin należał do bardzo gorliwych wyznawców prawosławja, nakłaniał uczniów do przejścia na nie. Kiedy Żydów zaczęto prowadzić do cerkwi, rodzice ich podnieśli taki alarm, że musiano ich zwolnić. Propagandę na rzecz prawosławia prowadziło nie tyle duchowieństwo prawosławne, co czynownicy, sami ateiści, liberalni i od cerkwi stroniący. Za jenerał-gubernatorstwa Murawjowa każdemu, kto przeszedł na prawosławje płacono po 50 rubli. Byli tacy, co z tego robili interes i kilka razy otrzymywali tę kwotę. Potem zmniejszono nagrodę do 35, a nakoniec do 5 rubli. Wówczas zabrakło prozelitów. W gimnazjum pamiętam parę wypadków przejścia uczniów katolików na prawosławje. Z moich kolegów przeszło na prawosławie dwóch braci Pawłowów wraz z ojcem. Matka ich, Polka, wychowywała synów jako katolików i Polaków. Chodzili oni do kościoła, śpiewali „Boże coś Polskę", „Z dymem pożarów" i brali udział w patrjotycznych demonstracjach. Ówczesny kapelan gimnazjalny, zesłany później ks. Gabszewicz, żarliwy patrjota, pamiętam jak kiedyś Pawłowym mówił, że ich nazwisko nie licuje z ich pochodzeniem i powinni je zmienić na Pawłowskich. W lat parę stało się odwrotnie. Ojciec Pawłow zagrożony utratą posady rządowej jako katolik, postanowił przejść ostentacyjnie wraz z synami na prawosławie, pomimo protestu żony, gorliwej Polki i katoliczki, która uczuła się w swych najświętszych uczuciach tak dotknięta, że opuściła męża. W tej długoletniej dobie ucisku i prześladowań słyszałem o podobnych dramatach rodzinnych, w których żony i dzieci stały niewzruszenie przy dawnej wierze, wyrzekały się dobrobytu i domowego ogniska. O ten hart ducha naszych matek, sióstr, żon i córek rozbijały się najskrajniejsze tendencje rusyfikacyjne. To też rusyfikatorzy za główną zawadę do „primirenja" (ugody) uważali kobiety. Jeżeli

nie ulegliśmy w tej ciężkiej, nierównej walce z podstępnym wrogiem prawie przez półtora wieku, szczególnie na Litwie — jeżeli ochroniliśmy choć w części nasze znicze domowe, zawdzięczamy to w znacznej mierze niewiastom. O cześć Wam, niewiasty nasze!

Po przejściu na prawosławie młodzi Pawłowy wkrótce opuścili gimnazjum. Słyszałem, że wstąpili do wojska. Jedyny z moich kolegów szkolnych z czasów kowieńskich, z którym stale utrzymywałem stosunki, inżynier Bronisław Malewski z Wysokiego Dworu w Trockiem, opowiadał mi wiele lat później, że pracując jako inżynier przy budowie kolei Zabajkalskiej we Wschodniej Syberji, spotkał tam naczelnika żandarmerji kolejowej pułkownika Pawłowa, który, pamiętając go z czasów kowieńskich, ze łzami wspominał o tem i nad wyraz był wzruszony. Marzę — mówił — o tem, aby podać się do dymisji i starość tam spędzić. Pamiętam też niejakiego Jankowskiego, który był o klas parę wyżej odemnie. Bieda zmusiła go do przejścia na prawosławie, poczem znalazł on w dyrektorze opiekuna. Dyrektorowie bowiem ówcześni szkół na Litwie, oprócz zadania pedagogicznego, mieli i misję religijną.

Po zamknięciu gimnazjum w Kiejdanach wielu uczniów stamtąd przeniosło się do Kowna, a wśród nich było kilku Litwinów. Zapamiętałem z nich Kazimierza Jawnisa, późniejszego księdza, profesora Akademji duchownej w Petersburgu, poważnego uczonego, badacza litewszczyzny, Mackiewicza i Cyparewicza. Ten opowiadał mi, że, będąc w gimnazjum w Szawlach, żył w biedzie. Nie mając środków na naukę, doznawał od dyrektora wiele pomocy, która okazała się niecałkiem bezinteresowna. Dyrektor dał mu korepetycję przy swych dzieciach i polecał innym, a w rozmowie wypowiadał swą nienawiść ku Polakom i katolicyzmowi. Namawiał do przejścia na prawosławie, roztaczając przed Cyparewiczem świetną przyszłość. Ponieważ to nie zgadzało się z zasadami Cyparewicza, zmuszony był usunąć się zupełnie z pod opieki dyrektora.

Ze wszystkich kar wymierzonych za moich czasów w gimnazjum, stoją mi najżywiej w pamięci dwa zdarzenia: jedno z nich przygnębiające na mnie wywarło wrażenie, a w drugiem sam byłem ofiarą niesłusznej napaści. Było to w klasie III-ej na lekcji historji, którą wykładał po usunięciu Korzona nauczyciel Wielikanow, człowiek młody, uchodzący przed powstaniem za liberała. Po stłumieniu powstania ze zdziwieniem się dowiedziano, że ożenił się z nauczycielką Polką, panną Ujazdowską, jedną z gorących patrjotek, występującą w pierwszych szeregach w każdej demonstracji narodowej. Wychodząc zamąż, przyjęła prawosławie i stali się z mężem *istinno* (praw-

dziwie) *ruskimi ludźmi*. Pewnego razu, kiedy Wielikanow wychodził z klasy, powstał szum i zamieszanie. Ponieważ siedziałem w pierwszych ławkach, nie wiedziałem, co się za mną działo. Podczas przerwy między lekcjami wpadł do klasy inspektor i zebrawszy wszystkich żądał wydania tego, który krzyczał za odchodzącym prof. Welikanowym „moskal gałgan" i wystrzelił. Wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że nic nie słyszeli. Inspektor pozostawił czas do namysłu i odszedł. Gdy wrócił, powtórzono mu to samo. Wówczas wpadł do klasy oburzony i krzyczący dyrektor, grożąc, że, jeżeli klasa nie wyda winnego, to wszyscy będą pociągnięci do odpowiedzialności. Kilka razy wychodził i wracał, z początku strasząc, że każe rózgami smagać co trzeciego, potem co drugiego ucznia, w końcu, że wszystkich wysiecze rózgami i że cała klasa zostanie wydalona za swawolę jednego. Nie szczędził nam epitetów, że jesteśmy *miateżniki i buntowszczyki*, wychowani przez rodziców w polsko-jezuickiej propagandzie, że zdradzamy swą prawowitą ojczyznę Rosję i cara. Dla dobra więc „panów katolików" (gdyż Polaków w słowniku urzędowym na Litwie nie uznawano) dyrektor upraszał po raz ostatni, ażeby wydano winowajcę. Winnego jednak i tym razem się nie znalazło. Przetrzymano całą klasę bez obiadu do wieczora i wreszcie wypuszczono. Dzień następny przeszedł spokojnie. Myśleliśmy, że o całej sprawie zapomniano. Lecz zawiedliśmy się, gdyż nazajutrz weszli do klasy przysłani z Wilna, urzędnik z kuratorjum szkolnego i adjutant jenerał - gubernatora przybrany w srebrne akselbanty, w asystencji dyrektora Szulgina i inspektora. Rozpoczęła się indagacja. Uprzedzano, ażeby ten, kto niecny czyn popełnił, przyznał się, gdyż inaczej cała klasa będzie wydalona bez prawa przyjęcia do jakiegobądź zakładu, ku zmartwieniu rodziców. Śledztwo przeciągnęło się do wieczora i znowu zostaliśmy bez obiadu, choć w ciągu tego czasu sami sędziowie parokrotnie na czas dłuższy wychodzili do kancelarji dla pokrzepienia się napojami i zakąskami, przynoszonemi od dyrektora. Nazajutrz była cisza, lecz jakby przed burzą. Uczniowie na przerwach pomiędzy lekcjami tłumnie się zbierali, debatując, jaki obrót weźmie sprawa, wobec nieznalezienia winnych. Władze, nie chcąc się kompromitować, że, polegając na denuncjacjach fałszywych, wszczęły sprawę, znalazły kozłów ofiarnych. Następnego dnia zebrano w auli gimnazjalnej wszystkich uczniów, grono nauczycielskie z dyrektorem na czele i wspomnianych dwóch panów, z Wilna przybyłych. Pośrodku rozesłano dywan, co zaciekawiło wszystkich. Co to wszystko znaczy, zrozumieliśmy dopiero wówczas, gdy do sali weszło dwóch pedli, za nimi zaś ze spuszczonemi głowami kroczyło czterech na-

szych kolegów w otoczeniu dwóch stróżów z rózgami. Delikwentami byli: Bolesław Ejmont, syn właściciela domu z Wielkiej ulicy na Starem Mieście, Stanisław Stachowski, szlachcic z pow. Wiłkomierskiego, nie mający rodziców; Aleksander Funksztejn, mieszczanin, prawosławny, urodzony ze szlachcianki Piłsudskiej, i nareszcie Sobolewski, syn gimnazjalnego woźnego. Wszyscy uczyli się miernie, tylko Sobolewski był chłopcem zepsutym, niechcącym się uczyć i nielubianym przez kolegów. Pierwszy na sali zabrał głos dyrektor Szulgin. Przeczytawszy swym dobitnym głosem akt obwiniający, na mocy którego rada szkolna za uchybienie, wyrządzone w klasie III-ej nauczycielowi Wielikanowowi, postanowiła wymierzyć karę cielesną czterem wymienionym uczniom, a Sobolewskiego oprócz tego wydalić z gimnazjum. Potem na rozkaz dyrektora podeszli stróże i przystąpiono do egzekucji. Wszyscy bez lamentów i płaczu, z hartem znieśli tę chłostę niezasłużoną, tylko jeden Sobolewski miotał się, płakał, prosił o zmiłowanie i krzyczał. Przeszło sześćdziesiąt lat już upłynęło od ohydnego faktu fizycznej rozprawy, a reagowałem na ten akt gwałtu z jednakową odrazą wówczas, jak i dziś w starości. Przeświadczenie o niewinności karanych nie mogło nie poruszyć obecnych. Pominąwszy ból fizyczny i moralne pohańbienie, chłosta publiczna wydawała się nam potworną. Przepełniły się serca nasze nienawiścią ku ciemiężycielom. Wielu nas zalało się łzami. Szczególnie żal nam było trzech pierwszych kolegów, gdyż czwarty, Sobolewski, mniej miał współczucia, jako nielubiany. Wielikanowowie wkrótce się wynieśli z Kowna, a następcą znienawidzonego nauczyciela został jeszcze bardziej nielubiany Czechowicz.

Wspomnę jeszcze o jednym pomniejszym epizodzie z czasów prześladowania. Nauczyciel Popow wielki spostrzegł w klasie III-ej podczas lekcji, że jeden z uczniów, Makowski, coś pisze. Wziął papier i przekonał się (o horrendum!), że pisze po polsku. Przerażony tem zwrócił się do ucznia z ojcowską przestrogą, mówiąc: „Jak może pan być tak nieostrożnym, aby pisać w czasie lekcji po polsku, narażając całą swą przyszłość. Gdybym był „padlecom" mógłbym pana zgubić, ale tego nie zrobię. Mówiąc to, wziął kartkę i włożył do kieszeni. Byliśmy rozczuleni taką wspaniałomyślnością Popowa, lecz srodze zostaliśmy zawiedzeni. W czasie wielkiej pauzy Makowskiego wezwał inspektor, a gdy wrócił, szlochał i zanosił się od płaczu, gdyż był wyćwiczony rózgami. Postawiono mu dwie alternatywy: wydalenie, lub chłostę; wybrał ostatnią.

W dzień Gromnicznej 2 lutego 1864 r. wieczorem matka nasza nagle zasłabła. Zaprowadzono nas z siostrą do jej mieszkania, tłu-

macząc nam, że nas pobłogosławi i że mamy się z nią pożegnać. Po pożegnaniu z matką, wróciliśmy do domu, a dziadkowie przez noc całą pozostawali przy łóżku chorej. Rano następnego dnia już nie żyła razem z nowonarodzoną córeczką. W kilka dni po pogrzebie poszedłem do gimnazjum. Według przyjętego zwyczaju obszyto mi na znak żałoby białym sznurkiem kamizelkę, noszoną pod zapiętym mundurkiem, o stojącym, czerwonym kołnierzu, który jednak niekiedy rozpinałem, tak, że koledzy mogli zauważyć moją żałobę, a zresztą wszyscy wiedzieli o bolesnej stracie, jaką poniosłem. Przypominam, że paru z kolegów Rosjan, syn policmajstra Wasiljew i syn żandarmskiego pułkownika Blau, podżartowywali, że jako polski patrjota noszę żałobę po ojczyźnie, lecz na to mało zwracałem uwagi. Tymczasem w pierwszych dniach maja podczas egzaminu z matematyki, kiedym stał przy tablicy, wpadł do klasy dyrektor, ubrany jak zwykle w niebieski frak nauczycielski, z nieodłącznym krzyżem na szyi, i rozkazał mi, bym rozpiął mundur. Spostrzegłszy żałobę na kamizelce, rzucił się na mnie jak wściekły, zapytując, co ma oznaczać biały sznureczek przy kamizelce. Odpowiedziałem, że jest to żałoba po matce i że noszę ją od trzech miesięcy. Dyrektor, nie zwróciwszy uwagi na moje słowa, trząsł się z gniewu, mówiąc: u was Polaków zawsze tak, najprzód demonstracje *„traur, wozmutitielnyje gimny, potom „do lasu", a nakaniec budiesz wisieć, kak twoi bratia"* (żałoba, podniecające hymny, potem do lasu, a w końcu będziesz wisieć, na szubienicy, jak twoi bracia). Wreszcie wybiegł z sali na korytarz i kazał mi iść za sobą. Z korytarza skręcił do sionki, a z niej do małego pokoiku, wołając na stróża, aby przyniósł rózgi. Byłem zupełnie spokojny i obojętny, może dlatego, że, czując się niewinnym, nie spodziewałem się kary, a słów urągliwych dyrektora, wciąż powtarzanych, słuchałem nawet z pewną dumą. Po przyjściu stróża z rózgami dyrektor wybiegał parokrotnie i znowu wracał, zwiększając wciąż karę od 20 do 100 rózg. Nie wiem jaki był cel straszenia mnie pogróżkami; myślę, że oczekiwał, iż mu się rzucę do nóg i będę prosił o zlitowanie. Poczciwy stróż Szymon, staruszek krożański, znający dobrze psychologję pedagogów, w nieobecności dyrektora szeptał mi wciąż po polsku: „proś pan o przebaczenie dyrektora"; na co mu odpowiadałem: „za co mam go przepraszać, kiedy nic złego nie popełniłem". Stałem jak wryty, nie wyrzekłszy ani słowa, żadnej łzy nie uroniwszy, uważając siebie za bohatera. Wreszcie zmęczony dyrektor nie pokazał się więcej i dla poprawienia głupiej sytuacji przysłał uśmiechniętego zawsze inspektora, który zwrócił się do mnie z zapytaniem, com zrobił p. dyrektorowi, że tak jest rozgniewany. Gdy mu wyjaśniłem

wszystko, kazał mi iść do klasy dla dokończenia egzaminu, a Szymonowi polecił, aby mi odpruł tak pamiętny dla mnie żałobny sznurek z kamizelki. Tak się skończyła sprawa, której wspomnienie na ile było przykre, na tyle podniosło mnie we własnem przekonaniu do bohaterstwa, a dyrektorowi niemało krwi napsuło. I tu, jak i w sprawie Wielikanowa, denuncjatorami byli prawdopodobnie ci sami nieodrodni synowie żandarma i policmajstra [1]).

---

[1]) W czasach słabnących prądów rusyfikacyjnych chciałem te i inne epizody z mego życia szkolnego na Litwie ogłosić w pismach rosyjskich w Petersburgu. Żadne jednak z pism liberalnych nie chciało tego drukować i potępić systemu wychowawczego, jaki względem nas stosowano.

ROZDZIAŁ V.

Kowno przed sześćdziesięciu laty. — Biskup Wołonczewski. — Stosunki wśród duchowieństwa. — Nieznośny nastrój w gimnazjum kowieńskiem.

Żmudź, z właściwym jej przydomkiem świętej, wskazuje jaką w niej zawsze rolę odgrywała religja i duchowieństwo. Kraj to był jednolity narodowościowo i wyznaniowo od wieków. I dlatego stawił on opór silny najazdom krzyżackim, przechował dłużej niż górna Litwa wiarę pogańską, a przyjąwszy chrzest, bronił katolicyzmu zawzięcie, stając się niezdobytą twierdzą dla rusyfikatorów. W celu rusyfikacji i zmniejszenia wpływu duchowieństwa nastąpiła po roku 1863 kasata klasztorów, zamknięcie kościołów, lub przerobienie ich na cerkwie; przeniesiono rezydencję biskupią i seminarjum duchowne z Worń do Kowna dla łatwiejszej kontroli przez miejscowego gubernatora. Olbrzymi kościół poaugustjański w Kownie, sięgający XIV w., wzniesiony pierwotnie przez krzyżaków, przemieniono na katedrę, a mieszkanie, zajęte w domu kościelnym przez moich dziadów, przerobiono dla biskupa, dziadowie zaś przenieśli się ponownie do dawnego domu naprzeciw ratusza, obok gmachu pojezuickiego. Kowno zaroiło się od duchowieństwa katolickiego. Składało się ono przeważnie z Litwinów z biskupem Wołonczewskim na czele, nie mającym wówczas żadnych dążności separatystycznych i tendencyj antypolskich. Nastąpiło to dopiero później, wskutek starań wielu agentów rządowych, nauczycieli i czynowników. Jednym może z najbardziej trzeźwych umysłów, jakie Litwa wydała, był biskup Maciej Kazimierz Wołonczewski. Wybitny znawca języka rodzimego, miłośnik litewszczyzny i przeszłości kraju, a przytem zasłużony działacz na polu oświaty i kultury, widział jasno, że Litwa tylko połączona z Polską może się rozwijać, odpierając wspólnych wrogów: Niemca i Moskala. Szkoda, że duchowieństwo litewskie i współcześni działacze polityczni nie zro-

zumieli swego pasterza i nie poszli drogą, wskazaną przez niego, lecz wprowadzili lud na manowce. Omamieni szowinizmem narodowym i ideą wielkości, zawierają sojusze przeciw Polsce z Żydami, Niemcami, lub bolszewikami. Może kiedyś obałamucona ludność litewska pozna, dokąd ją zaprowadzili jej wodzowie, przyczyniwszy się do ruiny kraju i zmarnowania wieloletniej pracy, jaką położył dla oświaty ludu biskup Wołonczewski. Przez lat 30 rządząc diecezją, zakładał szkoły parafjalne, pracował jako pisarz, uczony, historyk, urabiał język; oprócz tego zakładał towarzystwa i bractwa trzeźwości, które dały nadzwyczajne rezultaty, podniosły dobrobyt, moralność i zdrowotność ludu. Wszechstronna działalność biskupa, tego prawdziwego apostoła świętej Żmudzi, stała się powodem prześladowania ze strony miejscowej administracji, widzącej w uświadomieniu ludu podkopywanie władzy. Starano się unicestwić zbożną pracę biskupa, lecz ziarna rzucone przez niego wzeszły. Późniejsze, niestety, wpływy rządu rosyjskiego, i usiłowania szowinistyczne partyj politycznych, złożonych z niedowarzonych warchołów i ciemnego duchowieństwa, wprowadziły zamęt w pojęciach ludu i w jego trafnym i zdrowym sądzie.

Biskupa Wołonczewskiego znałem bardzo dobrze w moich latach pacholęcych. Fiolety nie zmieniły jego prostej i skromnej natury. Był przystępny i uprzejmy dla każdego, zarówno dla pana, jak i chłopa. Zawsze wesół i żartujący, chętnie zabawiał się z dziećmi. Pod tą prostaczą powierzchownością Żmudzina kryło się wielkie serce, hart ducha i rozum polityczny. Opowiadano, że podczas swej intronizacji biskupiej w Worniach, w 1850 r., otoczony licznem gronem zamożniejszej szlachty żmudzkiej, przed wejściem do katedry spostrzegł wśród ludu matkę staruszkę, ubraną w wiejską siermięgę, okrytą białą płachtą. Podszedł do niej, ukląkł i prosił o błogosławieństwo; następnie, uściskawszy się z krewniakami, zasiadł na tronie biskupim. Niemało doświadczył w życiu goryczy, długie lata spędziwszy w Kownie jako niewolnik aż do śmierci w 1875 r., śledzony przez szpiegów i policję, nie mając prawa przekroczenia poza rogatki miejskie, nie znając dnia, ani godziny, kiedy może być wywieziony. Na takiem to trudnem stanowisku musiał bronić swej trzody od napastującego ze wszystkich stron wilka, a przytem bronić z wielką ostrożnością, ażeby samemu nie wpaść w nastawione sidła. Niedarmo carscy czynownicy, których umiał zręcznie obejść w wielu drażliwych sprawach, nazywali go z przekąsem „chitrym mużiczkom".

Biskup często bywał u moich dziadów, a wespół z innymi kolegami brałem udział w ceremonjach kościelnych, wobec braku klery-

ków. Bywałem też często u biskupa, by odwiedzić jego siostrzeńca, dwudziestoparoletniego Władka Breśniewicza, syna jego siostry, którą wydał zamąż za szlachcica. Władek był dobrym chłopcem, serdecznym, dbałym o swój wygląd, lecz przez naturę upośledzonym: choć wysokiego wzrostu, lecz niezgrabny, o grubych rysach twarzy, bez zarostu, słabego zdrowia, ślepy na jedno oko. Nosił niebieskie okulary. Biskup dał mu posadę w konsystorzu. Władek skończył kilka klas gimnazjalnych i miał pewną towarzyską ogładę, był właścicielem folwarku na Żmudzi i mógł liczyć na spadek po biskupie, który był do niego przywiązany i marzył o tem, aby go ożenić i osadzić na gospodarce. Władek często bardzo bywał u nas; zapłonął gorącym afektem do mojej siostry i przez wujaszka biskupa oświadczył się. Siostra moja, pomimo, że zaledwie liczyła 16-tą wiosnę życia, słynęła z urody i miała wielu wielbicieli, a na biednego Władka nawet patrzeć nie chciała. Słyszałem potem, że ożenił się gdzieś na Żmudzi i młodo na suchoty życie zakończył.

W domu moich dziadów bywało wielu księży, a wśród nich często biskup sufragan ks. Aleksander Bereśniewicz, daleki krewny mej babki. Był to typ inny niż Wołonczewski. Posiadał więcej zalet towarzyskich. Bardziej światowy, rozmowny, miał postawę wielce ujmującą, która mu jednała zwolenników szczególnie w warstwach szlacheckich; przytem interesował się literaturą, historją, sprawami społecznemi. Lubiłem, chłopcem będąc, słuchać jego opowiadań. Bereśniewicz był potem administracyjnie zesłany do Rosji, skąd wróciwszy i zostawszy biskupem włocławskim, w późnej starości życie zakończył. U dziadów moich, podobnie jak w innych domach, parę razy tygodniowo grano w karty, nawet młodsi księża brali udział w tem, jak Pallulon i Cyrtowót późniejsi biskupi, jak Stakien, który musiał ucieczką zagranicę ratować się przed wygnaniem. Grał nawet czasami biskup Wołonczewski, lecz od gry z nim wszyscy wykręcali się, gdyż widocznie podmieniał karty, zapisywał fałszywie i zawsze wygrywał, a wkońcu wszystkie rachunki na zielonem suknie ścierał szczoteczką, kończąc swem zwykłem przysłowiem „wygrałem ojczeńku". Biskup Bereśniewicz nigdy w karty nie grywał. Dziadek mój także kart do rąk nie brał, lecz na kilka lat przed śmiercią, gdy wzrok i siły zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa, wieczorami stawiał pasjans, lub grywał w karty, ale najczęściej z wnukami, którzy od tej gry na pacierze jak mogli, tak się wykręcali. Babka grywała zwykle na pieniądze, choć bardzo tanio. Ulubioną grą był preferans, a potem bezik. Cisza ówczesnego prowincjonalnego życia przerywana była wieściami, że ten lub ów wyjeżdża z miasta i wyprzedaje swe ruchomości, lub że władza

administracyjna zawiesiła jakiegoś proboszcza w pełnieniu obowiązków lub osadziła na pokutę w klasztorze. Najgroźniejsze wiadomości nadchodziły z Wilna, że po zesłaniu całego szeregu biskupów, członkowie kapituły wileńskiej księża: Niemeksza, Żyliński, Tupalski i paru niedołężnych starców (Herburt i Linkin) idą na rękę rządowi, jedni przez tchórzostwo, drudzy dla zaskarbienia sobie łaski i możności grabienia kościelnych funduszów. Rząd, jak wiadomo, dążył do rusyfikacji przez kościół i zlania się katolicyzmu z prawosławiem. Najmarniejsze kreatury stanęły na czele kapituły duchownej w Wilnie, deprawując duchowieństwo niższe. Członkowie kapituły wileńskiej znani byli w mieście z gorszących obyczajów, żyli wystawnie, kupowali kamienice, utrzymywali rodziny własne, dawali posagi siostrzenicom, bywali w towarzystwach rosyjskich urzędników. Ludność ich nienawidziła; gdzie się tylko publicznie pokazali, plwano na nich, łajano i bezczeszczono. W tych to czasach prześladowań — a byłem już nieco starszym, — pamiętam, że do dziadów przybył któryś z biskupów wieczorem i wręczył babce w kopercie jakiś tajemniczy papier. Po wyjściu biskupa zebrano się razem i przy szczelnie zamkniętych drzwiach, aby broń Boże ktoś nie usłyszał, dziad zaczął głośno czytać. Był to okólnik w urzędowej kopercie, zaadresowany do biskupa, od dziekana proboszcza kościoła św. Stefana w Wilnie, prałata ks. Piotrowicza, najmłodszego członka kapituły wileńskiej. Treść tego dokumentu była następująca: Po niefortunnych próbach zaprowadzenia w niektórych kościołach diecezji dodatkowego nabożeństwa po rosyjsku, a co zrobiono w wielu parafjach byłej diecezji mińskiej, jenerał - gubernator wileński czuł się wielce podrażniony, nie tyle nieprzystępnością księży, pośród których znajdował wielu chętnych, ile opornością ludu niechcącego słyszeć o żadnych kompromisach. Parafjanie w jednem miejscu wypędzili z kościoła księdza, który wystąpił z mową rosyjską; w drugiem wyszturchano sprawnika, w innem obito komisarza, zwanego na Litwie asesorem, który odważył się przy ołtarzu czy też z ambony odczytywać carskie orędzie. W końcu jednak jenerał - gubernator zdecydował się zaprowadzić rosyjskie nabożeństwa w Wilnie, licząc na uległość miejscowej kapituły, która poleciła wykonanie tego zamachu najmłodszemu ze swych członków, ks. Piotrowiczowi, otrzymawszy po długim namyśle jego zgodę. Wybrano na to kościół św. Stefana na przedmieściu i dzień odpustu, gdy najwięcej ludu wiejskiego się gromadzi. Przypuszczano, że wieśniacy nie będą stawili takiej opozycji, jak sfanatyzowana ludność miejska. Do czasu trzymano wszystko w ścisłej tajemnicy. Dziwiło tylko najbliższych sąsiadów, że proboszcz znany ze swego hulaszczego i lekkomyśl-

nego życia, od niejakiego czasu nikomu się nie pokazuje, a tylko zamyka się od paru miesięcy na plebanji i po dniach i nocach całych coś pisze, a przytem rozprzedaje całą ruchomość, jakby się udawał w daleką drogę. Otóż gdy w dzień odpustu zgromadziły się tysiączne tłumy do kościoła z odległych wsi, wchodzi dziekan na kazalnicę i rozpoczyna spowiedź swego życia; wyznaje, że zawinił wiele, wyraża akt żalu i skruchy, błaga lud o darowanie mu winy, a Boga o odpuszczenie grzechów. Powiedział, że grzeszył wiele, lecz czynił to przez brak charakteru i lekkomyślność, będąc wciągnięty do tego przez ludzi złych i zatwardziałych, dążących do zdrady Boga, kościoła i narodu. Następnie wymieniał odstępców i księży renegatów, którzy zamiast bronić kościoła i narodu od prześladowania, dla swych osobistych znikomych celów zdradzali go. Przeklinał ich, jak również urzędników Rosjan, wymieniając wielu po nazwisku, a przeklinał ich za robienie fortuny przez łapownictwo, wyzucie innych z majętności, łzy i cierpienia ludzkie. Powiedział o sobie, że chociaż był grzesznikiem, lecz w końcu przejrzał całą grozę położenia, bo obudziło się w nim sumienie Polaka i kapłana. Zgodził się na odczytanie, i rozesłanie cyrkularzy o wprowadzeniu języka rosyjskiego do kościołów jedynie dlatego, aby zmylić wroga i sparaliżować jego szatańskie zamiary. Kilkaset takich egzemplarzy spalił, a ostatni niszczy w oczach zebranych. To mówiąc przyłożył papier do palącej się świecy i dodał: Wiem, co mnie teraz czeka: wygnanie, roboty ciężkie, a może i śmierć, lecz niech to będzie pokutą i rehabilitacją za grzechy. W tych mniej więcej słowach napisany był okólnik ks. Piotrowicza z numerem i pieczęcią dziekańską do Polaków po polsku, do Rosjan po rosyjsku. Po skończeniu kazania ksiądz zeszedł z ambony. Wówczas powstał płacz nieopisany, kobiety mdlały, lud otoczył księdza pierścieniem dokoła, oświadczając, że za nim pójdzie na Sybir, nawet na śmierć, lecz go nie wyda. Ksiądz prosił o zachowanie spokoju, uprzedzając, że policja jest powiadomiona o wszystkiem i niebawem się zjawi, aby go uwięzić. Władza policyjna miała tak wielkie zaufanie do ks. Piotrowicza, że nie przysłała do kościoła swoich agentów. Przybyła wreszcie zdumiona i zaniepokojona postępkiem księdza. Winny poddał się aresztowaniu bez szemrania. Jenerał - gubernator rozgniewany, wezwał kapitułę, złajał ją, a następnie, rozkazawszy przyprowadzić uwięzionego księdza, rzucił się na niego z zaciśniętemi pięściami, grożąc strasznemi prześladowaniami za to, że sprawę zlania się północno - zachodniego kraju ze swą macierzą przez fanatyzm zaprzepaścił. Lecz ksiądz swem dostojnem zachowaniem się wzbudził podziw satrapy. Pamiętam wrażenie, jakie sprawił okólnik ks. Piotrowicza, gdy

go u nas czytano. Babka głośno płakała, dziad pod nos mówił: „no, no", a wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Czyn bohaterski księdza Piotrowicza dopiero później wykazał całą swą doniosłość, podnosząc na duchu upadłych i zwątpiałych, dając im moc i siłę do dalszej walki i wytrwania w cierpieniach, paraliżując do pewnego stopnia dalsze eksperymenty prześladowań. Była to jedna ze wspanialszych kart naszej martyrologji na Litwie! W wiele lat później zawiedzeni w swych projektach rusyfikacyjnych czynownicy, powzięli myśl odpolszczenia kościołów w Wilnie i w ziemi wileńskiej przez wprowadzenie do nich języków litewskiego lub białoruskiego, na co zgodzili się niektórzy księża, lecz napotkali się z oporem ludności.

* * *

Dalszy mój pobyt w gimnazjum kowieńskiem stawał się coraz cięższy, gdyż rusyfikacja z nieubłaganą konsekwencją postępowała dalej. Uczniowie Polacy ulegając przymusowi, mówili ze sobą w szkole po rosyjsku, a nieraz i na ulicy. Doszło do tego, że słowo „palak" uważano za coś ubliżającego i zastępowano katolikiem. „Katolik" tak uważano za coś ubliżającego i zastępowano katolikiem. Nazwa „katolik" tak się wkońcu utarła w tym nieszczęsnym kraju, sceptycznie nazywanym przez liberalniejszą prasę rosyjską *„zapadłym"* zamiast *„zapadnym"* (t. j. zachodnim), że zapomniano o imieniu Polaka. U Rosjan użycie słowa katolik zamiast Polak doszło w potocznej rozmowie do absurdu. Mówiono np., że i między katolikami bywają ludzie porządni; panny Rosjanki twierdziły, że i katolicy mogą się podobać, lub że „katoliki prekrasno tancujut mazurku" (katolicy doskonale tańcują mazura) i t. p. Władze gimnazjalne z radością stwierdzały, że Polacy nie są już żywiołem dominującym i że ubywa ich z każdym rokiem. Dawna klasa urzędnicza polska, której dzieci uczyły się w gimnazjum, opuszczała Kowno; zamożniejsi odbierali swe dzieci, posyłając je na naukę do Warszawy, Rygi i Mitawy; ubożsi nie mieli możności kształcenia swych dzieci wobec trudności, jakie im robiono. W takim stanie rzeczy przeważna część polskiej młodzieży po ukończeniu kilku klas gimnazjalnych wstępowała do biur rządowych jako kanceliści. Każdy z nich nosił, jak i urzędnicy Rosjanie, kokardę na czapce, miał jaskrawy krawat i lakierki, i patrzał na nas zgóry. Inni wstępowali do wojska, lub szli na księży, lecz nikt nie poszedł do przemysłu, rzemiosła, lub handlu, gdzie mógłby łatwiej zdobyć sobie niezależność, gdyż uważano to za ubliżające.

Uczyłem się w szkołach bardzo miernie. Nabrałem wstrętu do

nauk marnie wykładanych, do nauczycieli i do atmosfery gimnazjalnej, która była mi obcą. Nęciło mię wszystko, co swojskie. Otrzymawszy okruchy wiadomości, jakich mi po polsku matka udzieliła w dzieciństwie, zacząłem je dopełniać. Pochłaniając książki, jakie mi się nadarzały, przeczytywałem wielokrotnie pozostałe po licytacji bibljoteki ojca mego, a były tam poezje Bohdana Zaleskiego, Trembeckiego, Kublickiego i inne. Wiele książek, przeważnie powieści, przynosił mi Władek Bereśniewicz. Przeczytałem Mickiewicza całego po kilka razy, a poezje jego związane z Kownem i miejscami, w których przebywał, tak mnie nastroiły poetycznie, że mając lat 13, czy może 14, układałem jakieś niedołężne powieści i dramaty. Do rymu nigdy nie miałem pretensji, bardziej mnie interesowała historja i starożytność. Najulubieńszem miejscem czytania były dla mnie góry Aleksoty za Niemnem. Spędzałem tam nieraz po kilka godzin rozmyślając często i nad tem, o czem mawiał na lekcjach Czechowicz. Chciałem wyrobić sobie własny pogląd na kwestję narodowościową i dać sobie odpowiedź: czy my, spolonizowani Litwini, mamy ulec narzucanej nam rusyfikacji, czy bronić tego, co otrzymaliśmy po dziadach. Powstała wówczas u mnie myśl porzucenia znienawidzonego gimnazjum, gdyż trudno mi było pogodzić moje uczucia patrjotyczne i rodzinne tradycje narodowe z atmosferą rusyfikacyjną, panującą w szkole. Istotnie, nie brakowało mi w rodzinie przykładów poświęcenia się dla Polski. Miałem trzech braci stryjecznych, wszyscy oni byli starsi ode mnie o lat kilkanaście. Jeden z nich, syn Józefa, Witold, skończył uniwersytet w Dorpacie i zapowiadał wielkie nadzieje, lecz przez karty i życie hulaszcze stracił znaczny majątek w Rosieńskiem. W r. 1863 brał czynny udział w powstaniu jako zastępca czy naczelnik oddziału. Skazany do robót ciężkich w Nerczyńsku, po ich odbyciu długie lata przebywał jako osiedleniec nad Amurem. Po latach dwudziestu kilku wrócił jako starzec do kraju, gdzie życie zakończył. Dwaj drudzy bracia stryjeczni, synowie Juljana, Henryk i Polikarp, ukończyli szkołę rolniczą w Marymoncie, Henryk, o wiele zdolniejszy, służył początkowo w rządowem leśnictwie, a następnie z bratem objęli w zarząd Rukszany. Podczas ostatnich szlacheckich sejmików kowieńskich Henryk został wybrany zastępcą komisarza włościańskiego z powiatu kowieńskiego przy komisarzu Stanisławie Pusłowskim. Wreszcie nadeszło powstanie. Chociaż obaj bracia czynnego w niem udziału nie brali, lecz że dostarczali powstańcom koni, wozów i aprowizacji, uwięziono ich i skazano z pozbawieniem praw stanu na osiedlenie w gub. Tobolskiej. Odbyli wówczas tę daleką podróż etapem pieszo. Po drodze w Tiumeniu przebyli tyfus plamisty, na który

zmarł Polikarp. Henryk przebył na wygnaniu lat pięć i wrócił tylko dzięki temu, że postarano się dowieść, iż obaj bracia, jako urodzeni w Iłgowie, po lewej stronie Niemna, t. j. w granicach Królestwa Polskiego, powinni być tam sądzeni. Sprawę sądzono na nowo, pobyt na Syberji wliczono za karę i Henryk wrócił do Iłgowa, a Rukszany podległy sekwestrowi i przeszły w ręce rosyjskie. Pomimo różnicy wieku pomiędzy nami, — on był już mężczyzną dojrzałym, sceptycznie i z pewnem rozczarowaniem patrzącym na życie, a ja 16 — 17-letnim chłopcem, lecz na swój wiek dojrzałym, — zawiązał się między nami nad wyraz serdeczny stosunek i przetrwał aż do jego, niestety, przedwczesnej śmierci. Henryk, zostawszy dziedzicem Iłgowa, zajął się z całą właściwą mu uporczywością odbudową gniazda rodzinnego, zniszczonego przez przejścia krajowe i brak gospodarza. Podniósł znacznie produkcję rolną, powiększył inwentarz, sprowadzał nawozy sztuczne barkami z Kowna. Dokupiwszy część sąsiednich gruntów, zaokrąglił znacznie swoją majętność. Pobudował z własnej cegły nowe budynki i domy robotnicze. Zasłynął jako najlepszy gospodarz w okolicy. Na blichtr powierzchowny nie zwracał uwagi, żył we dworze skromnie jak za dawnych, starych czasów, otoczony wierną i przywiązaną służbą. Nie ruszał tylko starego dworku modrzewiowego z jego staremi sprzętami, albowiem uważał to za profanację. Tu właśnie, po powrocie brata mego stryjecznego z Syberji, spędziłem w czasach szkolnych, a potem i uniwersyteckich, kilka wakacyj. Pobyt w uroczym Iłgowie, na wyniosłej górze nadniemeńskiej, wiele wpłynął na moje uświadomienie narodowe. Dzięki położeniu swemu w granicach Królestwa Kongresowego w powiecie marjampolskim ucisk tu nie był tak silny, jak na prawym brzegu Niemna, istniała bowiem jeszcze polska administracja, sądownictwo i szkoła. Oprócz gospodarza, zamieszkiwała w Iłgowie siostra jego i staruszka matka. Obie one były prawdziwemi strażniczkami ogniska domowego, pielęgnując cnoty i tradycje narodowe. Pod ich strzechą przeżyłem wiele chwil szczęśliwych, czy to wertując stare rodowody szlacheckie kilku pokoleń, czy wpatrując się w stare portrety rodzinne, sięgające XVI w., które dziad mój z wielką starannością gromadził. Były tu stare chorągiewki z czasów zaślubin moich pradziadów, z herbami, był mundur szambelański dziada z czasów Stanisława Augusta, i inne rodzinne pamiątki. Dach domu przyozdobiony był w herby, również drzwi. Umeblowanie było skromne: stare szafy, stoły i krzesła dębowe, poczerniałe od wieku. Staruszka matka z niemłodą córką, były jakby dopełnieniem tego otoczenia. Wówczas już wpatrując się w portrety stare z popękaną farbą i przetartem płótnem, zasta-

nowił mię silny wpływ dziedziczności, tak w cechach psychologicznych, jak i fizycznych, gdyż między tymi antenatami a ich potomkami było duże podobieństwo, które wystąpiłoby jeszcze wyraźniej, gdyby potomków przebrać w dawne stroje i podgolić im czupryny. Staruszka stryjenka była może jednym z ostatnich typów matrony polskiej starego autoramentu, surowych, spartańskich obyczajów, niepospolitego hartu ducha, gotowa zawsze z krwi własnej złożyć ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Widziałem ją w różnych okolicznościach życia, czyto po stracie męża, czy w dobie popowstaniowej uwięzienia i wygnania dwóch ostatnich synów na Syberję, czy wreszcie w chwili śmierci tych synów. Wszystko potrafiła znieść z rezygnacją i z zadziwiającym spokojem. Była to kobieta na swój czas wykształcona. Oprócz ojczystego znała język francuski, historję, doskonale orjentowała się w dziejach naszych porozbiorowych. Tu, owiany atmosferą swojską wiejskiego dworu, przechowującego tradycje narodowe, słuchałem opowiadań o przeszłości, o rodach szlacheckich i ich genealogji na Litwie. Tu po raz pierwszy w życiu spotkałem wiele czasopism i większy księgozbiór polski z dziełami klasyków i historyków, z których wiele skorzystałem. Pod jesień wracałem znowu do miasta, coraz bardziej zniechęcony do gimnazjum. Ze wstrętem musiałem znowu wysłuchiwać dowodzeń Szulginych i Czechowiczów, że w tym kraju „iskonnym" (od wieków) ruskim niema miejsca dla średniowiecznej szlacheckiej Polski z przesądami, które jej zaszczepił z całą swą zgnilizną kościół katolicki; albowiem młoda Rosja ze swą dziewiczą cerkwią prawosławną zastąpiła tego trupa i do niej przyszłość tego kraju należy. Chociaż znaczna część nas nie wierzyła tym wywodom, tem niemniej trucizna, wsiąkając do dusz młodocianych i umysłów słabszych, nie mogła nie wywierać swego szkodliwego wpływu. Pamiętam wielu takich, którzy potem uznawali wyższość kultury wschodniej nad zachodnią. Ci z nas, którzy wynieśli z domu pewne ideały i przywiązanie do przeszłości, nie mogli nie boleć, patrząc na kolegów zwątpiałych, lub zaprzańców, szydzących z tego, co nas nauczono czcić w dzieciństwie i miłować.

Zdecydowałem się w końcu porzucić szkoły. Lecz pytanie, co dalej robić? Szczególniejszego i określonego powołania nie miałem do niczego. Dziad mój, ażebym czasu nie tracił, zapisał mnie na ucznia do apteki żydowskiej niejakiego Szapiry, tytułującego się doktorem filozofji. Aptekę tę, znajdującą się naprzeciw naszego domu, dzierżawił prowizor Nurek, też Żyd. W kilka miesięcy zdobyłem wszystkie wiadomości z receptury, nazwy leków, tajemnice gotowania dekoktów i nastojów, przygotowania maści, pigułek, plastrów i t. d., co mi się

później w życiu, jako studentowi, a następnie lekarzowi, bardzo przydało. Nurek od czasu do czasu zachodził do nas. Utrzymywałem z nim dobre stosunki. Grał on na fortepianie i ja lub siostra grywaliśmy z nim na cztery ręce. Siostra grała ode mnie o wiele lepiej. Czasami Nurek akompanjował jej do śpiewu. Miała ona coprawda głos niewielki, ale bardzo miły i swym śpiewem uprzyjemniała niejedną chwilę gościom. Najczęściej śpiewała różne piosnki Moniuszki do słów Syrokomli, co dziad szczególnie lubił.

Gdym opuszczał gimnazjum, poszedłem do dyrektora z prośbą o wydanie mi świadectwa, że byłem w VI klasie. Szulgin zdawał się być bardzo zdziwiony, zapytywał, co mnie skłania do tego kroku, tłumaczył, że, porzucając gimnazjum, psuję sobie karjerę i radził, bym się jeszcze namyślił. Podziękowawszy mu za troskliwość o moim losie, powiedziałem, że zamiar opuszczenia gimnazjum powziąłem po naradzie z memi dziadami, a powodem tego było niesprawiedliwe postępowanie ze mną jednego z nauczycieli. Dyrektor był wyjątkowo uprzejmy, domagał się, abym wymienił nazwisko i oświadczył gotowość interwenjowania w tej sprawie. Zdziwiła mnie ta miękkość jego, był innym jak przed laty, kiedy zamierzał na zasadzie kłamliwej denuncjacji ćwiczyć mnie rózgami. Teraz po ludzku przemawiał i podał rękę na pożegnanie, życząc powodzenia.

Z radością żegnałem progi gimnazjum kowieńskiego na zawsze. W różnych okresach życia spotykałem kolegów z czasów kowieńskich, ze wstrętem wspominaliśmy szkołę, w której duszę dziecka zatruwano nienawiścią ku ludziom. Jak głęboko mi się wryły te obrazy w komórkach mózgowych, dowodzi fakt, że dotąd żywo mi stoją w pamięci, a do naprzykrzejszych sennych widziadeł zaliczam te, gdy mi się śniło, że siedzę w klasie na lekcji historji lub greki, że muszę chować się w ławce przed szyderskim i nienawistnym wzrokiem nauczyciela lub dyrektora, aby nie usłyszeć ich pogardliwych, szyderczych docinków w rodzaju: „ty palacziszka". Pod przygniatającem wrażeniem budzę się, przychodzę powoli do siebie, ciesząc się, że to tylko mara i że czasy szkolne bezpowrotnie minęły.

ROZDZIAŁ VI.

Moi koledzy w Gimnazjum Kowieńskiem. — Opuszczenie Gimnazjum. — Wyjazd do Petersburga i uzyskanie tam świadectwa dojrzałości.

Na zakończenie moich wspomnień kowieńskich (1860 — 1868); przytaczam wiadomości o niektórych kolegach, pozostałych mi w pamięci, których większość prawdopodobnie już snem wiecznym spoczęła. Wspomnę o tych tylko, o których wspomnieć warto.

Abakanowicz (Abdank) Bruno, syn urzędnika w Kownie. Ojciec był zesłany w r. 1863 i umarł na wygnaniu. Bruno starannie wychowywany przez matkę, był w gimnazjum od r. 1861 do 1866, później przeszedł do Rygi i tam ukończył politechnikę. Następnie habilitował się jako docent prywatny. Z Rygi został powołany do Politechniki Lwowskiej, lecz niezadowolony z ówczesnych stosunków w Politechnice, przeniósł się do Paryża, gdzie został przedstawicielem wynalazków Edisona w zakresie elektrotechniki. Doszedłszy do majątku i znaczenia w Paryżu, miał serce i kieszeń szeroko otwarte dla rodaków i spraw narodowych.

Bardowski Jan, który był o klas parę wyżej ode mnie, przejawiał wielkie zdolności do rysunku. Po ukończeniu gimnazjum a potem Instytutu Technologicznego w Petersburgu, zamieszkał w Kijowie, zajmując posadę dyrektora głównego laboratorjum chemicznego na kolei południowo - zachodniej.

Bazarewski, Tatar kowieński. Wystąpił z IV klasy. Słyszałem, że na starość stał się zamożnym człowiekiem, właścicielem kamienicy i majątku. Zaliczał siebie do narodowości polskiej.

Borowski, młodszy brat kapelana gimnazjalnego ks. Edwarda, rodem z pod Birż, był o parę klas niżej ode mnie. Skończył 4 klasy i wstąpił do duchownego seminarjum w Kownie. Później, jak sły-

szałem, został prałatem kapituły Żmudzkiej. Cieszył się ogólną sympatją szczególnie pomiędzy ludnością polską.

Dogiel Aleksander, syn pedla Stanisława, był miernych zdolności, lecz bardzo pracowity. Miał zdolności rysunkowe, a potrzebując grosza, sprzedawał swe rysunki kolegom, albo kolorował fotografje, biorąc za to po kilka kopiejek, lub ekwiwalent w naturze: chleb, obwarzanki i t. p. Gdy ojciec Dogla, jako katolik, stracił posadę i nie był w stanie wychowywać syna, wziął go na opiekę stryj, znany profesor medycyny w Kazaniu, ożeniony z ks. Oboleńską. Aleksander, skończywszy gimnazjum i Wydział lekarski w Kazaniu, przez stosunki stryja został mianowany profesorem nowo - założonego uniwersytetu w Tomsku, a następnie profesorem histologji na wyższych żeńskich kursach lekarskich w Petersburgu. Ożeniwszy się z Rosjanką, wynarodowił się i od Polaków stronił. Umarł w r. 1918 po wielkiej wojnie z nędzy i głodu.

Grąbczewski Bronisław, wstąpił do czwartej klasy i przebył w gimnazjum rok jeden. Był nad wiek wysokiego wzrostu, przystojny, o białej cerze i rumieńcach, o ciemnych włosach. Był to syn zamożnych rodziców, których majątek po r. 1863 sekwestrowano. Opuściwszy gimnazjum, wstąpił do korpusu wojennego. Dowiedziałem się w wiele lat później, że jako młody oficer, brał udział w jednej z ekspedycyj znanego podróżnika po Azji środkowej Przewalskiego. Zczasem został mianowany pogranicznym komisarzem w Mandżurji, dosłużył się stopnia jenerała i został gubernatorem astrachańskim i atamanem kozaków.

Hoppenów było w gimnazjum kilku braci. Najstarszy z nich, Józef, był wyżej ode mnie o dwie klasy. Skończywszy gimnazjum, a następnie wydział prawny w Petersburgu, długie lata zamieszkiwał w Kownie jako adwokat, skąd w r. 1915, po wzięciu miasta przez Niemców, musiał uciekać. Po długiej tułaczce po Rosji w r. 1918 wrócił do Polski, początkowo do Warszawy, a potem do Wilna, gdzie objął stanowisko sędziego pokoju. W r. 1920 widziałem się z nim. Dotąd jest sędzią sądu okręgowego w Wilnie. Dwaj młodsi jego bracia, Kazimierz i Edmund, byli w jednej ze mną klasie. Kazimierz wyszedłszy z IV klasy, wybrał zawód aptekarski i był właścicielem apteki w Kowieńskiem. Najmłodszy ze wspomnianych 3 braci, Edmund, był najzdolniejszy. Nie skończywszy gimnazjum, wstąpił do szkoły inżynierów wojennych, a następnie do Akademji. Całą swą służbę odbył na krańcach Syberji, we Władywostoku. Spotkałem go przygodnie w Kownie, zdaje się, w roku 1912, gdzie bawił u rodziny na urlopie. Był w randze jenerała. Najmłodsi dwaj bracia Hoppeno-

wie byli w klasach niższych ode mnie. Seweryn wstąpił do instytutu leśnego i zajął zczasem dosyć wysokie stanowisko, jako zarządzający dobrami państwowemi gdzieś na północy Rosji; Piotr, nie skończywszy gimnazjum, oddał się zawodowi praktycznemu. Obaj wcześnie zmarli.

Prócz mnie było w gimnazjum dwóch jeszcze Hryncewiczów: Władysław i młodszy brat jego, Ludwik. Byli oni jednego herbu ze mną, ale mało ich znałem. Ludwik był inżynierem górniczym, i dyrektorem rządowej huty piotrowskiej w Okręgu Wierchnieudińskim, w obwodzie Zabajkalskim, głośnem niegdyś miejscu zesłania do robót ciężkich politycznych przestępców.

Hryszkiewicze, dwaj bracia, synowie już wówczas nieżyjącego urzędnika izby skarbowej w Kownie, który robił próby w zakresie lotnictwa i napisał po polsku broszurkę „Polot Żmudzina", wydaną w Kownie w r. 1855. Zdawało mu się, że już uzyskał możność kierowania balonem i pokonał wszystkie trudności. Otóż podczas wjazdu gubernatora do pewnego powiatowego miasta, chciał mu zrobić niespodziankę, lecz niestety przeleciał tak niefortunnie, że konie się nastraszyły, zaczęły unosić gubernatora, a wynalazca, spadając wespół z balonem, złamał sobie nogę. Rozgniewany gubernator kazał go wydalić ze służby, a oburzona żona spaliła jego okręt powietrzny. Spowodowało to rozejście się małżonków, a następnie śmierć ze zgryzoty naszego lotnika. Pozostała wdowa wychowywała w biedzie swych synów. Zdawałem razem z nimi egzamin do I klasy. Młodszy miał na głowie wielki, ujęty w siatkę kołtun. Z trzeciej klasy obaj bracia wystąpili.

Jawnis Kazimierz należał do grupy kilkunastu Litwinów, którzy po zamknięciu kiejdańskiego gimnazjum, dawniej utrzymywanego przez miejscową gminę kalwińską, wstąpili do IV klasy w Kownie, w r. 1864. Litwini poza szkołą mówili z nami po polsku, i nietylko nie mieli antagonizmu do Polaków, lecz nie wykazywali żadnych separatystycznych dążności. Dopiero w kilka lat potem zaczęły się one rozwijać po założeniu seminarjum nauczycielskiego w Wejwerach i gimnazjum dla Litwinów w Marjampolu, mających na celu rusyfikację i zaszczepienie nienawiści do wszystkiego, co polskie. Najzdolniejszy z moich kolegów Litwinów był Jawnis, staranny, pracowity, w naukach celujący. Na jego umysłowość niemały wpływ wywarł ks. Baranowski, późniejszy biskup sufragan żmudzki, uczony językoznawca i poeta litewski. Jawnis po ukończeniu gimnazjum wstąpił do seminarjum duchownego w Kownie, a następnie kształcił się w Akademji duchownej w Petersburgu, w której został potem profesorem, ucho-

dząc za wybitnego znawcę nie tylko języka litewskiego, lecz i porównawczego językoznawstwa. Umarł przedwcześnie w Petersburgu.

Korniłowicze, dwaj bracia, Edward i Polikarp, byli o parę klas wyżej. Wychowani przez matkę wdowę, byli wzorowi i bardzo pobożni. Wynieśli się z Kowna i skończyli gimnazjum i uniwersytet w Warszawie. Edward był znanym psychjatrą w Warszawie, gdzie życie zakończył.

Malewski Bronisław był moim kolegą, z którym przez dwa lata siedziałem na jednej ławce i chodziłem w parze do kościoła. Pozostał mi on w serdecznej pamięci przez całe życie. Drogi nasze prędko się rozeszły. Przeszło w ćwierć wieku po rozstaniu się z nim, kiedym jako lekarz zamieszkiwał na Ukrainie, spotkałem go ponownie, gdy budował jako inżynier kolej, idącą ze Szpoły przez Zwinogródkę, gdziem wówczas mieszkał. Później znowu na Syberji w r. 1892 losy nas ponownie zbliżyły. Malewski miał poleconą sobie budowę części drogi transwersalnej syberyjskiej, a mianowicie Zabajkalską. O losach tułaczego życia mego drogiego przyjaciela chcę tu przytoczyć słów kilka. Malewski był potomkiem szlacheckiej rodziny, dobrze zasłużonej na Litwie, osiadłej w powiatach: wileńskim, wiłkomierskim i trockim [1]). Ojciec Bronisława, Mieczysław, ukończył Akademję medyko - chirurgiczną Wileńską i w r. 1839 za sprawę Konarskiego osądzony został jako prosty żołnierz i wysłany do pułku Apszerońskiego na Kaukaz, gdzie służył lat kilka. Odbył dwadzieścia kilka bitew, przyczem w Dagestanie pod Achulgo był raniony w głowę i w nogę, za co otrzymał srebrny medal i rubla nagrody, a za wyniesienie z boju rannego naczelnika został awansowany na felczera. W r. 1843, będąc żołnierzem, ożenił się z sąsiadką swą panną Odyńcówną, w r. 1845 otrzymał dymisję i zwrot dyplomu lekarskiego [2]). Odzyskawszy swobodę zamieszkał jako lekarz w Wiłkomierzu, lecz powstanie w r. 1863 oderwało go znowu od rodziny. Został osadzony w Wilnie w więzieniu, gdzie pod wrażeniem przebytej klęski, w stanie przygnębienia nerwowego życie sobie odebrał. Po śmierci ojca Bronisława oddano do szkół w Rydze, gdzie ukończył gimnazjum i Politechnikę, a następnie uzupełniał jeszcze studja naukowe w Instytucie technologicznym w Petersburgu oraz w Instytucie dróg i komunikacji. Zaopatrzony aż w cztery dyplomy wyższych zakładów technicznych, zaczął

---

[1]) Szczegóły o rodzinie Malewskich mam z dokumentów i z opowiadań Bronisława Malewskiego.

[2]) Wynotowałem te dane według formularza żołnierskiego, przechowywanego u syna.

zastosowywać swą wiedzę na ogromnych przestrzeniach Rosji jako inżynier przy budowie najrozmaitszych kolei. Był na północy w Archangielsku, w Rosji środkowej i zachodniej, w Turkiestanie, na Kaukazie, wreszcie na Syberji, ostatnim etapie jego długoletniej wędrówki. Pracował dla podtrzymania rodzinnego gniazda i oczyszczenia z długów Wysokiego Dworu w Trockiem. Tu położył niemałe zasługi, urządzając wzorowe gospodarstwo rolne, zaprowadzając w swych stawach pstrągarnie, tartak, młyn i t. d. Oprócz tego oddawał się sprawom publicznym bezinteresownie, robił plany dla sąsiednich kościołów, dbał o podtrzymanie miejscowych zabytków przeszłości, jak zamku Trockiego, budował szkoły ludowe, brał udział czynny przy wyborach do pierwszej dumy rosyjskiej. Jedynaczka córka wyszła zamąż za młodego lekarza, z przekonań zażartego Litwina. W tem kryła się wielka tragedja biednego Malewskiego. Kiedym parę razy odwiedzał Malewskiego w Wysokim Dworze, bolał nad tem, iż może to, czego się dorobił, obejmą kiedyś ludzie obcy mu przekonaniami i wrodzy jego narodowości. Liczył tylko na zdecydowane stanowisko i energję żony i córki, że wychowają wnuka jako Polaka. Tymczasem osłabione życiem to szlachetne serce jeszcze przed rozpoczęciem wielkiej wojny, w r. 1914, bić przestało.

Tyszko, rodem z pod Kiejdan, po ukończeniu gimnazjum, a następnie Instytutu technologicznego w Petersburgu, został później nauczycielem szkoły techniczno - przemysłowej w Irkucku. Zamieszkując na Syberji, słyszałem o nim jako o energicznym pedagogu, działaczu społecznym i radnym miejskim. Niestety, ożenił się z Rosjanką i wynarodowił się.

Władyczko był o 3 klasy wyżej ode mnie i wyszedł z IV klasy po powstaniu. Po powrocie z powstania skończył gimnazjum, studjował medycynę i został lekarzem.

Wojtkiewiczowie Franciszek i Jan, byli synami lekarza z Poniewieża. Młodszy Jan był w jednej klasie ze mną. Obaj, a szczególnie Jan, byli celującymi uczniami. Franciszek ukończył w Petersburgu Akademję medyko - chirurgiczną, a Jan wydział prawny i zamieszkał w Kownie jako adwokat. Oprócz wspomnianych miałem jeszcze wielu innych kolegów, którzy jednak niczem w życiu nie odznaczyli się. Byli to: Anders Ludwik, Anderski, Blinstrub, Borowski Bonawentura, Bortnowski Celary, Czajkowski, Cyparewicz, Dan, Dowgiałło, Dowgierd Aleksander, Eljaszewicz Aleksander, Ejmont Bolesław, Francuzowicz, Fuchs, Funksztejn, dwaj Konarscy, Kazarin, Łopato, Mackiewicz, dwaj Makowscy, Mertz, Mickiewicz, dwaj Mikuccy, Morawski Edward, Moszyński Kazimierz, Nagrodzki, Römer Aleksander,

trzej Stachowscy, dwaj Siemaszkowie, dwaj Sicińscy, Sobolewski, Steckiewicz, Schiman, Tworkiewicz, Więckowski, Witkowski, Wojszwiłło, Zawadzki Jarosław i dwaj Żadkiewicze.

Krom wyliczonych kolegów, z którymi się znałem, wspomnę jeszcze o niektórych, którzy kończyli szkoły wówczas, kiedy ja ją rozpoczynałem. Do nich należał Ignacy Markowicz z powiatu telszewskiego, daleki krewny szwagra mojej babki. W r. 1863 brał udział w ruchu powstańczym, a później ukończył wydział fizyko - matematyczny w Petersburgu. Siostra jego, Olimpja, mieszkała u nas jako nauczycielka. Dawała lekcje muzyki i mocno biła po łapach. Pamiętam także kolegów Iłłakowicza, Augustowskiego, Smolaka, a z Żydów Garfunkiela i Dembego, który potem był długie lata domowym lekarzem u bar. Ginzburga w Petersburgu. W niższych nieco klasach od wyżej wspomnianych byli: Piotr Ciszkiewicz z Kowna, który ukończywszy Akademję medyko - chirurgiczną w Petersburgu, został lekarzem wojskowym; Władysław Zenowicz, który po ukończeniu wydziału prawnego w Petersburgu został adwokatem.

Z kolegów, z którymi w r. 1861 wstępowałem do I klasy, oraz z którymi kolegowałem w dalszych klasach, pozostało mi w pamięci 83 Polaków. Z nich skończyło gimnazjum w Kownie zaledwie 15 (18 proc.). Część przeszła do innych zakładów naukowych; większość zajęła się zawodami praktycznemi — pracą biurową lub pracą na roli.

Pamiętam jeszcze ze szkół kowieńskich wielu kolegów Rosjan i Żydów, z którymi nas nic nie łączyło. Z Rosjan jednymi z pierwszych, których poznałem, byli bracia Smorodzcy, synowie popa (byłego unity) przy miejscowym soborze. Starszy z nich, Sasza, był o klasę wyżej ode mnie, młodszy Kostia w jednej ze mną. U Smorodzkich mówiono w domu po polsku. W r. 1861 i 1862 obaj chłopcy chodzili w czamarkach i konfederatkach. Tak byli ubrani, kiedyśmy razem z nimi szli z procesją do Piątkowa 12 sierpnia (31 lipca) 1861 r. Po powstaniu ci sami Smorodzcy stali się gorącymi patrjotami rosyjskimi.

Pozostaje mi wspomnieć o kolegach Żydach. Byli oni bojkotowani, szczególnie przez Rosjan. Z pośród kolegów Żydów wyróżniał się tylko Minkowski; przystojny i inteligentny chłopak. Był on synem zamożnego kupca, zamieszkałego w Aleksocie za Niemnem. Jedyny on z Żydów mówił po polsku i do tego poprawnie. Następnie znikł nam z oczu. Później widywałem go czasami w mieście starannie ubranego. W lat wiele potem zasłynął w Niemczech wybitny fizjolog Minkowski. Dowiedziałem się, że jest nim nasz kolega kowieński.

Z radością opuszczałem kowieńskie gimnazjum, lecz z żalem dom dziadów, który był dla mnie rodzinnym. Przed wyjazdem babka posłała mnie do spowiedzi do biskupa Bereśniewicza. Zrobiono mi skromną wyprawkę z bielizny i odzienia, licząc na większą taniość wszystkiego w Kownie. Wreszcie po czułem pożegnaniu ze wszystkimi i z siostrą, po raz pierwszy w 18 roku życia puszczałem się w świat, czując się osamotnionym i jakby bezdomnym. Na dworcu zebrała się najbliższa rodzina. Przyszedł z pobliskich Kartofliszek syn prefekta Dobrowolski, niosąc skleconą na mój wyjazd, napuszczoną pożegnalną odę, zaczynającą się od słów:

„Słupem ognistym maszyna płonie
I atmosferę dymem owionie,
Już sygnał świsnął i niespodzianie
Jak ptaszek lecisz zacny młodzianie.
Tam w Petersburgu, w nauk świątyni,
Znowu Minerwa porwie w objęcia
Tych pięknych nauk zacna bogini
Rozdaje wieńce godnym do wzięcia i t. d.".

Wszystko mię w drodze zajmowało: i krajobrazy i spotykani ludzie. Aż do Dynaburga czułeś jeszcze, że przebywasz kraj własny, słyszałeś jeszcze rodzinną mowę, widziałeś jeszcze typy pokrewne i spotykałeś jeszcze piętno europejskie, które wycisnęła polska kultura. Mijamy Wielkie Łuki, których dosięgał niegdyś Stefan Batory ze swemi hufcami. Stąd dalej na północ wciąż kraj uboższy, niebo ołowiane, lasy karłowate, ziemia nieuprawna, błota i mchy, mgła rozpostarta dookoła. A jeszcze dalej kraj pustynny, bezludny. Jedziemy setki wiorst dalej: ani wsi, ani chaty. Drogę tę smętną ileż to razy od tego czasu przebywać musiałem w rozmaitych okolicznościach! Wreszcie dojechałem do Petersburga. Po raz pierwszy w życiu ujrzałem tak olbrzymie mrowisko ludzkie. Uderzyło mnie kolosalne bogactwo miasta, z nowemi, równemi i szerokiemi ulicami i obszernemi placami, z piętrzącemi się na nich wysokiemi domami i pałacami, ze wspaniałemi rządowemi gmachami i cerkwiami, z ogromną liczbą zasobnych sklepów i wystaw, z mnóstwem powozów, pięknych koni i zaprzęgów, jakich nigdzie potem nie spotykałem. W Petersburgu było niemało przedstawicieli ludności z najdalszych kresów państwa, a jedną z najbardziej licznych kolonij stanowili Polacy, szczególnie z Litwy. Kolonja ta pomimo swej liczebności żyła w rozproszeniu, brakło jej organizacji, jakie wytworzyły inne kolonje, szczególnie

niemiecka i fińska, posiadające możnych protektorów w rządzie. Polacy nie mogli się tak organizować, jak np. Niemcy, gdyż zajmowali w państwie stanowisko obywateli drugiego rzędu, pozbawionych praw i podlegających nieustannej opiece policji i żandarmerji. Żyli więc rozbici na oddzielne kółka i kółeczka, a częściowo wciągnięci w krąg interesów rosyjskich. Wówczas jeszcze o księgarniach, czytelniach, kawiarniach, lub balach polskich mowy nie było. Wogóle nie było łączności między Polakami, stąd każdy Polak czuł się odosobniony, tem więcej młody, który żywiej łączność tę odczuwa i jej potrzebuje. W takiem położeniu znalazłem się i ja, kiedym w początkach lipca 1869 r. po raz pierwszy przybył do Petersburga. Zajechałem do mego wuja, a młodszego brata mojej matki, Bolesława Fischera. Był to mężczyzna lat średnich, przystojny, ożeniony z bogatą wdową, matką trojga dzeci, Rosjanką, właścicielką wielkiej kamienicy na Konno-Gwardyjskim bulwarze, w której wujostwo mieszkali. Wuj lato spędzał z rodziną na wilegiaturze. Rano przyjeżdżał swemi końmi dla praktyki i zajęć lekarskich, a po południu wracał na „daczę". Zabrał i mnie do siebie na letnisko. Dom jego składał się z żony, mówiącej nieco po polsku, trzech pasierbów, chłopców mniej więcej w moim wieku, lub cokolwiek młodszych i z własnych trojga dzieci. Pomimo gościnności, doznanej w domu wujostwa, wuj był dla mnie zupełnie obcy. Wujenka, osoba światowa, nie zdradzała się z tem, że miała pewną niechęć do Polaków. Wuj miał w znacznym stopniu, jak większość urzędników, t. zw. Polaków petersburskich, duszę zrusyfikowaną, choć, o ile to nie szkodziło jego karjerze materjalnej i urzędniczej, — nie skrywał się ze swą polskością, a w czterech ścianach sentymentalnie nawet mówił o swym patrjotyźmie i o ojczyźnie. Dzięki żonie stał materjalnie nieźle. Miał kilka posad, praktykę lekarską i tytuł „Hofchirurga", będąc lekarzem dworu W. Księżny Marji Nikołajewny, wdowy po ks. Leichtemberskim Maksymiljanie. Wskutek tego wszystkiego wyrobił sobie nietylko materjalne stanowisko, ale i stosunki. Utrzymywał dużo służby i 10 do 12 koni na stajni. W gruncie rzeczy był człowiekiem dobrym i chętnym pomóc innym, jeżeli na tem nie ucierpiały jego własne interesy. Otóż dzięki stosunkom jego z aptekarzem Faltinem, dostawcą leków dla dworu W. Księżny Marji Nikołajewny, zostałem zaliczony w poczet uczni w tej aptece, choć aptekarz raz tylko jeden mnie widział i żadnych zobowiązań mu nie dawałem. Było to zrobione na wszelki wypadek, jeżeliby dalsze moje plany nie doszły do skutku, a one polegały na tem, ażeby otrzymać świadectwo dojrzałości, co otwarłoby mi wrota do wszystkich wyższych zakładów naukowych. Właściwie wówczas nie miałem okre-

ślonego powołania do żadnego zawodu, choć mnie od lat dziecinnych najbardziej pociągała historja i heraldyka. Najwięcej dawałoby mi zadowolenia grzebanie w starych archiwach w dokumentach. Powodować się jednak musiałem względami bardziej realnej natury. Ponieważ medycyna, jak mi twierdziła zawsze babka, daje byt niezależny, ponieważ w rodzinie naszej po matce było dwóch lekarzy, dziad i wuj, a ojciec mój i stryj leczyli chłopów *con amore*, ponieważ nawet moja siostra stryjeczna uprawiała na wsi sztukę leczenia, a ponieważ wreszcie sam już liznąłem nieco apteki, więc snułem plany, że skoro tylko otrzymam świadectwo dojrzałości, wstąpię na medycynę. Wobec trudności w otrzymywaniu przez katolików posad rządowych prawniczych lub nauczycielskich, wówczas i w latach następnych, przeważna część młodzieży szła na medycynę, ażeby mieć niezależność. Otóż należało się najprzód przygotować do egzaminu dojrzałości. W tym celu wstąpiłem do ostatniej klasy drugiego prywatnego gimnazjum. Przepełnienie szkół państwowych w Petersburgu dało powód do otwierania prywatnych. Powstało w ten sposób I prywatne gimnazjum Kellera, a następnie II, też Niemca, A. J. Berensa, profesora Wojskowej Inżynieryjnej Akademji. Do tego właśnie gimnazjum wstąpiłem. Byli tam uczniowie przychodzący i zamieszkali w internacie. Do ostatnich i ja należałem. Musiałem stosować się do koszarowego regulaminu, wstawać i kłaść się według dzwonka, co w 18 roku życia nie było przyjemne. A przytem po otoczeniu swojskiem w Kownie ta obca atmosfera była szkołą zbyt twardą. W gimnazjalnym internacie było dwóch nauczycieli, Francuz i Niemiec, którzy dyżurowali dzień cały. Przez uczniów szczególnie był nielubiany Niemiec, pedant, krzykliwy, przestrzegający surowo, aby była cisza w sypialni. Tymczasem naprzekór mu śpiewano, krzyczano, wydawano rozmaite głosy. Niemiec irytował się wciąż, wbiegał do sali, tupał nogami, ale napróżno. Oba gimnazja prywatne były marnie postawione, tak pod względem ciała nauczającego, jak i uczniów. Jedni z uczniów przygotowywali się do matury, inni do szkoły podchorążych gwardyjskich, inni do szkoły paziów. Po większej części była to młodzież zamożna, hulaszcza, wydalona z zakładów rządowych za różne przestępstwa i niechcąca się uczyć. Pomiędzy uczniami było i kilku Polaków, przeważnie dzieci szlachty zamożnej z gubernij mohylewskiej i witebskiej, słabo mówiących po polsku, o dość niskiej kulturze, bez należytego domowego wychowania. O ile wrogie usposobienie dla polskości nie przejawiało się w gimnazjum Berensa ze strony nauczycieli z łatwo zrozumianego powodu, aby nie zrażać sobie uczniów, to natomiast wśród młodzieży niechęć do polskości przeja-

wiała się nieraz silnie, dając powód do kłótni i ostrych starć. Wśród Moskali zawzięcie występował jako rusyfikator niejaki Michelson, syn pomocnika kuratora petersburskiego Okręgu Szkolnego, wychrzczonego żyda. Był to młodzieniec lat dwudziestu kilku. Wydalony z kilku szkół, wstąpił do gimnazjum Berensa w celu otrzymania matury. Nauka go już mało interesowała, czas spędzał na rozrywkach, w teatrach, na balach. Otóż Michelson ubliżył mi raz, nazwawszy mnie „polacziszka". Odpowiedziałem mu, że się tem szczycę, iż jestem Polakiem, nie skrywając swego pochodzenia, nie tak jak on, który, będąc Żydem, wypiera się tego. Michelson rzucił się na mnie z wściekłością, popierany przez swego przyjaciela. Za mną ujęli się inni i walka przybrałaby poważniejsze rozmiary, gdyby nie wejście do klasy nauczyciela. Przykro jest stwierdzić, że koledzy moi z Witebszczyzny i Mohilewszczyzny, lubo byli katolikami i ze szlachty polskiej pochodzili, byli przesiąknięci kulturą rosyjską. Być może, że ze szlachtą polską w gubernjach witebskiej i mohylewskiej stanie się to, co się stało z nią w Smoleńskiem lub w Czernihowszczyźnie, gdzie spotyka się wielu obywateli o nazwiskach i herbach polskich, lecz zupełnie zruszczonych. Wiadomo, że polskiego pochodzenia był wybitny rosyjski jenerał Drogomirow, wywodzący się z Drogomireckich z Czernihowszczyzny i słynny podróżnik po Azji Wschodniej, Przewalski. Z rodziny polskiej zruszczonej Korwin - Krukowskich, osiadłej w Witebszczyźnie, pochodziła słynna matematyczka Zofja z Krukowskich Kowalewska. Rodzice męża jej byli jeszcze katolikami i mówili po polsku.

Skład nauczycielski gimnazjum Berensa, to nie był zbyt wyszukany, a zakład, prowadzony li dla zysku, bardzo chromał. Dyrektor pułkownik Berens rzadko zaglądał do szkoły, zajęty zapewne innemi służbowemi sprawami. Zastępował go szwagier, młody student, który właściwie prowadził cały zakład. Kilku zaledwie początkujących pedagogów i studentów stanowiło prawie całe ciało nauczycielskie. Wyróżniał się wśród niego tylko nauczyciel łaciny, czcigodny staruszek Sakowicz, uczeń Uniwersytetu Wileńskiego. Był on długie lata nauczycielem i inspektorem gimnazjum Szawelskiego, skąd, jako Polak, wyrzucony, udał się za chlebem do Petersburga i tu zyskał, jako pedagog, wielkie powodzenie. Wykładał w kilku szkołach i w paru domach prywatnych, a między innemi uczył dzieci W. Księcia Konstantego Mikołajewicza. On i uczeń szkoły wileńskiej Kosowicz, wykładający grecki, uchodzili za najlepszych pedagogów języków starożytnych w stolicy. Był to bodaj jedyny nauczyciel łaciny, od którego mogłem się czegoś nauczyć. Przy wykładach i tłumaczeniach Sa-

kowicz miał zwyczaj zestawiać dla porównania z łaciną różne teksty w językach: rosyjskim, polskim, francuskim, lub niemieckim, a takie żywe zestawianie wyrazów i zwrotów mowy umiało bardzo zainteresować uczących się. Sakowicz był gorliwym Polakiem, wzbudzającym szacunek. Do mnie Sakowicz odnosił się bardzo życzliwie. Był on ojcem licznej rodziny. Pamiętam, że miał córkę na wydaniu i syna, zdaje się, w Instytucie technologicznym. Prowadził dom otwarty i wiele polskiej młodzieży tam bywało. Korzystając z zaprosin profesora, byłem kilka razy w jego domu. Bawiono się tam wesoło i ochoczo, przyczem zachowywano staropolskie zwyczaje. Pamiętam, jak na zapusty rozpoczynał tańce gospodarz polonezem ze swą wiekową matką.

Drugą część roku mieszkałem u wuja, będąc wtedy eksternem w gimnazjum Berensa. Lecz nieszczęście chciało, że wkrótce zaniemogłem na ciężką formę tyfusu brzusznego, który wówczas w Petersburgu grasował. Leżałem w domu wuja przez parę miesięcy, walcząc ze śmiercią. Przeszło miesiąc byłem nieprzytomny. Po przesileniu, gdym zaczął przychodzić do siebie i oczy otworzyłem, ujrzałem siedzącą przy łóżku siostrę miłosierdzia, Rosjankę, która mnie starannie pielęgnowała, niejedną noc nie dosypiając. Zdawało mi się, że jestem nowonarodzony i rozpoczynam nowe życie, ucząc się chodzić, jeść i myśleć. Chcąc wyrazić wdzięczność dobrej pielęgniarce, oprócz kwoty wręczonej według ustawy przepisanej, chciałem jej osobiście wręczyć jakiś datek, lub podarek, lecz nic przyjąć nie chciała, tłumacząc, że tego im przepisy wzbraniają. Natomiast zaproponowała, abym przeznaczoną sumę złożył jako ofiarę na ogólne cele stowarzyszenia, co też zrobiłem.

Wróciwszy do zdrowia, mogłem ponownie wziąć się do książki i skończyć z obowiązującym egzaminem, który mi otwierał drogę do dalszego kształcenia. Egzamin na świadectwo dojrzałości złożyłem pomyślnie i pełen nadziei na przyszłość wyjeżdżałem na wakacje z Petersburga na Litwę. Pomiędzy dalszemi memi planami coraz bardziej zarysowywała się myśl, ażeby studja uniwersyteckie odbywać w Warszawie i nie wracać do mroźnej stolicy carów, wystudzającej duszę i serce, gdzie wszystko dla mnie było obce i dalekie.

ROZDZIAŁ VII.

Wyjazd do Warszawy na studja medyczne. — Odmowa przyjęcia do Uniwersytetu Warszawskiego. — Rozpoczęcie studjów medycznych w Petersburgu.

Lata szkolne kowieńskie pozostawiły we mnie uczucia przygnębiające, a wspominam je nietylko z przykrością, lecz nawet z odrazą. Natomiast czasy uniwersyteckie i stosunki koleżeńskie zachowałem mile w pamięci, tem więcej, że byłem w lepszem położeniu materjalnem, niż większość młodzieży. Dzięki pozostałemu po ojcu nieznacznemu kapitałowi, którego część oddałem na wyprawę dla siostry, mogłem w czasie studjów uniwersyteckich skromnie żyć, nie potrzebując szukać postronnych zarobków.

Uzyskawszy maturę, pojechałem do Kowna na wakacje, zamierzając odwiedzić Iłgów. W Kownie znalazłem wielkie zmiany, które zaszły podczas mego pobytu w Petersburgu. Dziad mój, chociaż 75-letni starzec, czuł się fizycznie i umysłowo nieźle, tak, że nawet zajmował się jeszcze i praktyką lekarską. Idąc raz do chorego, dostał zawrotu głowy, upadł i silnie się potłukł. Wrócił jednak do zdrowia. Wkrótce atoli zachorował na zapalenie płuc i po kilkodniowej chorobie, tak niebezpiecznej dla starców, życie zakończył. Siostra moja, w 18 roku życia, mając wielu bardzo konkurentów i młodych i starszych, upodobała sobie młodzieńca, pochodzącego z zamożnej rodziny, ziemianina z Czabiszek, powiatu wileńskiego, Jana Piłsudskiego, który jako młody, sympatyczny i materjalnie zabezpieczony zdawał się gwarantować jej szczęście. Ślub odbył się w Częstochowie, dokąd jeździła babka z paru najbliższemi osobami. Babka pozostawszy samotną, przeniosła się do oficyny własnego domu, położonego naprzeciw placu przy wiłkomierskiej szosie, na którym przed laty odbywały się egzekucje nad powstańcami. Plac ten już zaczął się zabudowywać

żydowskiemi posesjami. Krążyły pogłoski, że cienie skazanych tu na śmierć pokazują się ludziom w nocy i niepokoją ich. Babka, po śmierci matki mojej, wzięła najstarszą kilkoletnią jej córkę z drugiego małżeństwa na wychowanie i zajęła się nią z całą troskliwością.

Parę letnich miesięcy przeszło mi szybko na Litwie. Odwiedziłem Iłgów, który w niczem się nie zmienił, ani jego gospodarze, zawsze serdeczni dla mnie. Potem pojechałem pod Wilno na wieś do siostry, gdzie ze smutkiem musiałem stwierdzić, że nie była szczęśliwa, co niemało martwiło nas z babką, która zaczęła upadać na siłach, straciła na dawnym humorze, nie szukała więcej partyjki w bezika, czas dłuższy spędzała na modlitwie, lecz do końca życia pozostała gościnna. Jedyną jej pociechą były częste odwiedziny grobu męża, złączone ze wspomnieniami półwiekowego szczęśliwego pożycia.

Po czułem pożegnaniu z babką, nie spodziewając się, iż jej więcej nie ujrzę, musiałem myśleć o swych dalszych losach, ponieważ, jak już wyżej wspomniałem, postanowiłem wybrać zawód lekarski, nie tylko dlatego, że dawał pewną niezależność, lecz że zawód ten, jak zapamiętać mogłem od lat mego dzieciństwa, był bardzo poważany na Litwie, a „konsyljarz" czyto w domu bogacza, czy ubogiego, należał do osób otaczanych szacunkiem. Ponieważ do Petersburga nie miałem ochoty wracać, pojechałem do Warszawy, nie zważając na to, że rok 1869, rok rozpoczęcia moich studjów, przypadł na nieszczęsną zamianę sławnej Szkoły Głównej Warszawskiej na nędzny uniwersytet rosyjski.

Smutny wtedy widok przedstawiała stolica Kongresówki. Po utracie nawet cienia autonomji, jaką posiadało Królestwo i wcieleniu go do granic Cesarstwa, Warszawa podniosła się pod względem przemysłowym i handlowym i znacznie się materjalnie wzbogaciła. Jednocześnie jednak cenzura rosyjska dusiła prasę i wszelki ruch oświatowy. Pracownicy umysłowi, zmuszeni szukać chleba na dalekim wschodzie, opuszczali Warszawę, do której nastąpił najazd rosyjskiego czynownictwa, a potem Żydów rosyjskich, wrogich polskości. Do zewnętrznej rusyfikacji przyczyniało się wprowadzenie przymusowe szyldów rosyjskich, pojazdów rosyjskich, zaprzężonych w trzy konie z dzwonkami, z woźnicą na koźle ubranym w „armiak", czerwoną koszulę i czapkę z pawiemi piórami. A ten pokost rosyjskości jeszcze więcej wzmógł się przez napływ z seminarjów duchownych do Uniwersytetu Rosjan, nie przyjmowanych do uniwersytetów rosyjskich, a zwabionych do Warszawy z najdalszych zakątków państwa rosyjskiego stypendjami i innemi ułatwieniami w studjach.

Liczne krzywdy narodowe i kulturalne, spowodowane wcieleniem Królestwa Polskiego do Rosji, nie wynagradzały nawet w drobnej części: uprzemysłowienie Królestwa, otwarcie rynków zbytu w Rosji i wzbogacenie się jednostek, przeważnie Niemców i Żydów.

Jadąc do Warszawy, trzeba było mieć jakieś stosunki i znajomości, o które było trudno, gdyż Litwa stosunkami i interesami złączona była bardziej z Petersburgiem, jako ze stolicą państwa, niż z Warszawą. Po wprowadzeniu w Królestwie urzędowania po rosyjsku, nieco się to zmieniło. W braku narazie urzędników Rosjan, zastępowano ich Polakami, wydalonymi z Litwy, którzy chętnie przesiedlali się do Królestwa, gdzie życie było niedrogie, a stosunki znośniejsze. Wyzywało to coprawda wielkie rozgoryczenie dawnych urzędników koroniarzy przeciw najazdowi „Litwinów".

Przed wyjazdem do Warszawy zaopatrzyłem się w list polecający z Kowna do prof. Jana Papłońskiego, zasłużonego i wielce gorliwego dyrektora Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, rodem z Litwy. Był to człowiek już starszy, bardzo poważny. Przyjął mnie przyjaźnie i przyrzekł wszystko, co można, uczynić, ażeby mi ułatwić przyjęcie do Uniwersytetu. Rektorem zrusyfikowanego Uniwersytetu Warszawskiego został mianowany Ławrowskij. Oczekiwał on przybycia nowo-mianowanego kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego, Wittego z Petersburga, a do tego czasu podań o przyjęcie w poczet studentów nie przyjmował. W Warszawie przeszło tydzień czekałem na rozstrzygnięcie swego losu. Zatrzymałem się w hotelu Kowieńskim przy ul. Koziej, gdzie na rogu była znana stara cukiernia Bock-Clottina a naprzeciw skweru Saskiego na Dziekance, uczęszczana wówczas przez młodzież, skromna kawiarenka, gdzie można było dostać za 10 gr. wielką salaterkę kwaśnego mleka, nie z centryfugi, i dużą porcję chleba lub bułkę z masłem. Wszystkie kawiarnie i restauracje były przepełnione. Dobre, smaczne obiady jadało się daleko, bo na końcu miasta u Michałowskiej na rogu Marszałkowskiej i alei Jerozolimskich. Były one złożone z 4 potraw i kawy, a kosztowały tylko 50 groszy. Wkrótce poznałem miasto i jego osobliwości. Stare Miasto, kościoły, zamek, wystawa sztuk pięknych, Łazienki, wszystko to smutne nasuwały refleksje, że stolica Polski, ograbiona ze wszystkiego, nie posiada żadnych zbiorów godnych widzenia. Główną atrakcją miasta były niedziele. Wtedy tłumy po sumie udawały się dla przeglądu damskich toalet do Ogrodu Saskiego, który, obok Szwajcarskiej Doliny, był najmodniejszem miejscem spaceru. Teatry dla przybyłych z kresów, żądnych polskich widowisk, stanowiły największą przynętę. Oprócz Wielkiego i Rozmaitości, odwiedzałem liczne te-

atrzyki ogródkowe. Zespół grających był wszędzie wcale dobry. Występowały wtedy na scenie najlepsze siły, lub wschodzące gwiazdy nasze, jak Rychter, Rapacki, Królikowski, Stolpe, Leszczyński, Ziółkowski, Tatarkiewicz, Modrzejewska, Hoffmanowa, Palińska i inni. Bilet do teatru kosztował od 4 do 6 złotych. Wreszcie dowiedziałem się o przyjeździe kuratora i o tem, że do Uniwersytetu będą przyjmowani tylko urodzeni w Królestwie i tacy, którzy ukończyli szkoły w Okręgu Szkolnym Warszawskim. Nie zrażając się tem, po naradzie z prof. Papłońskim, napisałem prośbę do kuratora, wyłuszczając powody, dla których mógłbym studjować tylko w Warszawie i z prośbą tą udałem się do pałacu Kazimierzowskiego, w którym urzędował kurator. W sali przyjęć zastałem wiele osób, a pomiędzy niemi byli urzędnicy wojskowi i kilkanaście nauczycielek Polek. Po długiem oczekiwaniu wbiegł groźny kurator Witte, ubrany w błękitny frak z zawieszonym krzyżem na szyi. Małego wzrostu, średniego wieku, chudy, o ściągłej wygolonej twarzy, w okularach (był ślepy na jedno oko) nie robił miłego wrażenia. Ukłoniwszy się wszystkim i załatwiwszy najprzód Rosjan, zwrócił się do kobiet. Mówiły one albo łamaną ruszczyzną, po francusku lub po polsku. Na co kurator powiedział wszystkim, że tu Rosja i że dopiero wtenczas, kiedy państwowy język poznają dokładnie, niech się zwrócą do niego z prośbą o dopuszczenie do egzaminu nauczycielskiego w celu otrzymania posady. Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Kurator prośby mojej nie czytał, musiałem wyłuszczyć ją ustnie. Dawszy mi odmowną odpowiedź, odwrócił się i wyszedł. Wszyscyśmy odeszli przygnębieni, a parę kobiet płakało. Obawiając się stracić rok, posłałem telegram do Akademji medyko - chirurgicznej w Petersburgu z prośbą o przyjęcie. Jak wiadomo, po r. 1863 ustanowiono numerus clausus dla katolików wstępujących do uniwersytetów w Rosji, a mianowicie 10%, tylko do Uniwersytetu Kijowskiego przyjmowano większą liczbę, bo 20% ze względu na znaczniejszą tam ludność polską. Po wysłaniu telegramu, pośpieszyłem do Petersburga, gdzie dowiedziałem się wszakże, że nie zostałem przyjęty do Akademji. Zrobiono mi jednak nadzieję, że razem z kilkunastu innymi zostanę przedstawiony przez Akademję do „łaski monarszej", a tymczasem pozwolono mi uczęszczać na wykłady. Wuj mój, często widując się z lokatorem swoim hr. Siwersem, Niemcem, prezesem Sądu Okręgowego Wojennego, będącym w bliższych stosunkach z dr. Kozłowem, naczelnikiem Akademji medyko - chirurgicznej, dostał kartkę od niego, polecającą mnie. Z polecającym tym listem udałem się niebawem do dr. Kozłowa.

Zajmował on wspaniały apartament na Konno - Gwar-

dyjskim bulwarze. Wielka poczekalnia była galerją obrazów, gdzie obok oryginałów, były kopje sztuki klasycznej. Po kilku interesantach wszedłem do gabinetu. Kozłow był to starzec niskiego wzrostu, mówiący po rosyjsku z silnym niemieckim akcentem. W przyległym pokoju słyszałem mowę niemiecką, którą widocznie porozumiewano się w domu. Wówczas to po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę, że człowiek z tak rosyjskiem nazwiskiem, prawosławny i pozostający na stanowisku państwowem, jest kulturalnie Niemcem. Później, dłużej przebywając w Rosji, takie rzeczy często spotykałem. Kozłow skończył medycynę w Dorpacie, następnie był profesorem anatomji patologicznej w Kijowie, a wreszcie poświęcił się karjerze urzędniczo - lekarskiej. Pamiętam, że w czasach późniejszych, w 1878 r. podczas wojny rosyjsko - tureckiej był głównym wojskowo - lekarskim inspektorem armji. Na tem stanowisku przez swą powolność i bezczynność tolerował wielkie nadużycia i przedajność w urzędzie lekarskim, która zresztą istniała przed nim i po nim. Okradano szpitale i chorych, a posady lekarskie sprzedawano tym, którzy dawali więcej. W tym samym czasie naczelnym lekarzem floty rosyjskiej był jenerał sztabs-lekarz Busch, Niemiec, wielki przytem nacjonalista rosyjski i prześladowca Polaków. Brał łapówki od wszystkich, utrzymywał liczny etat faktorów sprzedających posady, nie pogardzał nawet dostarczaniem żywego towaru dla wielkich książąt. Za łapownictwo i nadużycia był zasądzony, pozbawiony praw i zesłany na osiedlenie do zachodniej Syberji. Busch na wygnaniu żył wystawnie w Tomsku, zaprzyjaźnił się z gubernatorem, a przez swe stosunki w sferach petersburskich prędko ulotnił się z Syberji. O tem, by sam Kozłow dopuszczał się malwersacyj nie było mowy, lecz tylko wskutek swej pobłażliwości tolerował je. Jedynaczka córka Kozłowych, dziedziczka znacznej fortuny, była żoną znanego syfilidologa prof. Tarnowskiego i jedną z pierwszych Rosjanek, które ukończyły medycynę zagranicą. Była ona autorką kilku rozpraw z zakresu medycyny społecznej, między innemi w kwestji prostytucji. W wiele lat później spotykałem się z nią w Petersburgu, gdzie była jednym z czynnych członków Towarzystwa antropologicznego.

Przyszedłszy z kartką do Kozłowa, byłem grzecznie przyjęty. Zapisał on sobie nazwisko moje i kazał po niejakim czasie przyjść po odpowiedź, a kiedym mu dziękował, odpowiedział złą ruszczyzną: „ja dielaju dielo dla diela". Kiedyśmy potem wszyscy, ubiegający się o dodatkowe przyjęcie do Akademji, zwracali się do t. zw. uczonego sekretarza Akademji, prof. medycyny sądowej Czystowicza, to on urągał nam, a chcąc być dowcipnym, powiadał: „Wy gospoda nie

nadojedajtie etim, a kak katoliki obraszczajtieś łuczsze k' papie (nie naprzykrzajcie się mnie panowie, a jako katolicy zwracajcie się lepiej do papieża)". Czystowicz był już człowiekiem niemłodym, o długiej, łysej głowie i ryżej brodzie, niesympatycznej powierzchowności. Był on założycielem kasy pomocy lekarzy.

Nareszcie ogłoszone zostały nazwiska 11 katolików, przyjętych na kurs pierwszy w Akademji na zasadzie łaski monarszej. Niestety, pośród nich siebie nie znalazłem. Musiałem pogodzić się z losem, chodzić na wykłady, ażeby w roku następnym zostać przyjętym na kurs pierwszy. Z pomiędzy kolegów przyjętych z łaski cesarskiej niektórzy tylko pozostali mi w pamięci. Należał do nich: Tomasz Rostkowski, lat 28, kapitan artylerji, który ukończył już był akademję wojskową. Pochodził z pow. Sieńskiego, gub. Mohylowskiej. Jak większość ze wschodniej Białorusi, słabo mówił po polsku. Miał duszę zrusyfikowaną i swemi monarchicznemi przekonaniami różnił się od przeciętnej młodzieży ówczesnej. Wyjechawszy z Petersburga, straciłem go z oczu. Później dowiedziałem się, że był długie lata ordynatorem w szpitalu ministerstwa dworu w Gatczynie, gdzie życie zakończył. Przez pewien czas bywając u Rostkowskiego, spotykałem się z jego młodszym bratem, oficerem gwardji, późniejszym jenerałem i głównym intendentem armji rosyjskiej przed wojną światową, znanym ze swej uczciwości, wyjątkowej wśród ludzi tej sfery. Rostkowski pomimo tego, że był katolikiem, nie zapierając się tego, zajmował tak wysokie stanowisko.

Z innych kolegów, wówczas do Akademji przyjętych, pamiętałem Rajmunda Guzego, rodem z Wilna, syna dawnego lekarza wileńskiego, który, jak słyszałem potem, był lekarzem powiatowym w Święcianach, gdzie życie zakończył; Moroza z Mińszczyzny, który był potem lekarzem wojskowym; Pipera, rodem z Wilna; Konoplańskiego, syna jenerała; wreszcie Henryka Rodzewicza, który osiadłszy w Niżnim Nowogrodzie jako lekarz, potem stał się głośny ze skandalicznego procesu za sztuczne poronienia, jakie uprawiał.

Wkrótce po przyjeździe do Petersburga, gdy losy moje ważyły się jeszcze, poznałem przypadkowo paru młodzieńców, którzy przyjechali ze Żmudzi, aby wstąpić do Instytutu technologicznego. Mieszkali w t. zw. „umeblowanych pokojach". Byli to: Styrpejko, Śmigielski i Jaroszewicz, później bardzo ceniony nauczyciel w szkole przemysłowej w Irkucku. Bywał też w naszem kółku medyk Pietrzukiewicz ze Żmudzi, późniejszy lekarz wojskowy, i inni. W jednym z pokoi zamieszkiwał przebywający czasowo w Petersburgu niejaki major Reichenbach z Kowna, którego pamiętałem z dzieciństwa jako

urzędnika policyjnego, wydalonego ze służby po r. 1863 jako katolika. Zastawałem zwykle całe to towarzystwo przy kartach. Grali w gry wówczas w Petersburgu rozpowszechnione, w „muszkę", lub w „stukółkę". Obie gry nie wymagały wielkich kombinacyj, a polegały na hazardzie. Przy każdym graczu leżały kupy pieniędzy papierowych, drobnej srebrnej monety i miedziaków. Zaczęto i mnie namawiać do gry. Z początku tłumaczyłem się, że nie umiem, lecz w końcu dałem się namówić i grałem przez miesiąc przeszło, nieraz całemi nocami. Major gotów byłby grać nie wiem jak długo; co do mnie, to już po godzinie miałem gry dosyć i tylko w początkach mogłem uważać, a potem traciłem cierpliwość, jednakże przerywać gry nie wypadało. Była to pierwsza i ostatnia moja gra hazardowna w życiu. W ciągu kilku tygodni przegrałem do 80 rubli, co mogło wystarczyć na 3-miesięczne studenckie utrzymanie.

Polaków za moich czasów było we wszystkich wyższych zakładach petersburskich przeszło 1.500. W niektórych liczba katolików nie była ograniczona. np. w Instytucie inżynierów dróg i komunikacji, w Instytucie górniczym, a szczególnie w Instytucie technologicznym, do którego przyjmowano nawet i bez świadectwa dojrzałości. Instytut ten słynął wówczas ze swego liberalizmu. Rzadsze tam były zatargi z władzami i prześladowania młodzieży na tle politycznem, niż w Uniwersytecie, a szczególnie w Akademji medyko - chirurgicznej. Polacy w każdej uczelni akademickiej mieli swą oddzielną tajną organizację, rozpadającą się na liczne kółka, składające się z kilkunastu członków z przewodniczącym na czele. Przewodniczący kółek wybierali delegatów do głównego zarządu. Każdy z członków składał miesięcznie pewną drobną kwotę, przeznaczoną na bibljotekę, udzielanie pożyczek członkom i t. d. Nie wszyscy jednak Polacy należeli do koła narodowej młodzieży; wielu wstępowało do różnych frakcyj socjalistycznych, lub do t. zw. „ziemlaczestw", t. j. do kółek młodzieży, pochodzącej z jednej miejscowości lub wykształconych w jednem gimnazjum. Zwykle młodzież pierwszych dwóch lat interesowała się zagadnieniami filozoficznemi i społecznemi, chodziła na wiece, a przeczytawszy parę traktatów społeczno-politycznych według nich starała się zreformować świat. Ponieważ wiedziałem, że pierwszy rok studjów nie będzie mi zaliczony, uczęszczałem na różne wykłady i wiece. Nie zaciekawiły mnie jednak, więc czas przeważnie poświęcałem na czytanie. Nie poddawałem się długo prądom, panującym wśród ówczesnych studentów rosyjskich, którzy nie uczyli się tego, co im było potrzeba, lecz interesowali się najrozmaitszemi przedmiotami: prawnicy dziełami lekarskiemi, medycy lub matematy-

cy socjologją i t. d. Może to jest i dobre dla ogólnego wykształcenia, bo rzeczywiście lekarz lub nauczyciel w Rosji był człowiekiem o szerszych widnokręgach, niż w Niemczech lub we Francji, lecz zabierało to wiele czasu i utrudniało pogłębienie wiedzy fachowej. Pisano, tłumaczono i wydawano wtedy w Rosji różne dzieła treści przyrodniczej i społecznej, a taniość ich torowała im drogę do kół szerokich. Czytałem wówczas z przejęciem i ja dzieła Darwina, Wallace'a, Haeckla, Buckla, Milla, Spencera, Marxa i Lasalla. Najulubieńszą lekturą młodzieży w Rosji były: Büchnera *„Materja i siła"*, Sieczenowa *„Odruchy mózgu"* i Czernyszewskiego *„Czto dielat"?* [1]). Ostatnie dziełko tem więcej było poszukiwane, ponieważ policja je skonfiskowała. Kiedym po latach wielu na dalekim Wschodzie, przychodząc do zdrowia w r. 1905 po ciężkiej chorobie, słuchał czytającą żonę te sentymentalne i naiwne myśli autora, dziwiłem się, jak mogły podniecać młodzież, a oburzać sfery rządowe, które skazały autora na długoletnie więzienie. Były to teorje bardzo niewinne w porównaniu z późniejszemi wywrotowemi, niosącemi krew i pożogę. Tak to się zmienia ewolucja myśli ludzkiej!

Ogromna rozległość miasta wielce utrudniała studja akademickie, bo nie zawsze można było znaleźć mieszkanie w pobliżu uczelni, do której się uczęszczało. Brak środków komunikacyjnych utrudniał także stosunki towarzyskie, gdyż trzeba było przeważnie chodzić piechotą, bo tramwaje konne kursowały tylko po głównej ulicy, a omnibusy, których było bardzo mało, chodziły tylko w okolice podmiejskie. Czasami tylko, udając się gdzieś daleko, robiłem sobie przyjemność, jadąc dorożką jednokonną za 10 lub 15 kopiejek kawał drogi.

Nie mając mieszkania, a chcąc mieszkać blisko Akademji, wprowadziłem się do pokoju, zajmowanego przez jednego z kolegów, będącego o kurs wyżej ode mnie. Nawiązane z nim stosunki przetrwały omal że nie przez cały czas akademickiego mego życia. Był to Albert Stefanowicz, rodem z Szawelskiego, o lat cztery starszy ode mnie. Nie mając środków, utrzymywał się z dawania lekcyj. Pokój, który zajmowaliśmy, godzien jest opisu. W małym drewnianym domku o trzech oknach, zajmowanym przez właścicielkę, wdowę, staruszkę, we dwoje zgiętą, ledwie włóczącą nogami, strome, niewysokie schody prowadziły na strych do naszego pokoiku mansardowego o dość dużem weneckiem oknie. Pokoik przypominał wieko trumny. Środkiem jego można było przejść swobodnie; z obu boków miał ściany ostro

[1]) Co robić?

ścięte, przy których stały dwa łóżka; na nich z trudnością można było siedzieć, nie dotykając głową sufitu. Stół i parę połamanych krzeseł stanowiły całe umeblowanie. Przy drzwiach piecyk żelazny o długiej rurze. Ciepło było w pokoju tylko wtenczas, kiedy w piecyku palono. Płaciliśmy za pokój z usługą 6 rubli miesięcznie. Usługiwała nam sama właścicielka. O godz. 6-ej rano, gdyśmy leżeli w łóżkach zziębnięci, mimo okrywania się masą odzieży, dawało się słyszeć stąpanie na schodach, a potem ze świecą w ręku wsuwała się zgrzybiała staruszka, rozpalała w piecu i przynosiła samowar. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden z kolegów zaproponował mi pokój, który sam uprzednio zajmował w pensjonaciku, w którym uczyło się kilkonaścioro dzieci przychodzących, a kilkoro zamieszkiwało. Utrzymywała ten pensjonacik od lat bardzo wielu panna Zofja di Figo Eyredo, osoba lat już blisko 60, o ile wyjątkowo brzydka, małego wzrostu, o twarzy czerwonej z wyrzutami, o tyle dobra, sympatyczna, oddana całkiem na usługi drugich. Była ona córką konsula portugalskiego w Petersburgu. Otrzymała staranne wychowanie, była nauczycielką na pensji żeńskiej św. Katarzyny, t. zw. katolickiej, na Newskim, a wkońcu otworzyła małą szkółkę przygotowawczą dla dzieci płci obojga. Była ona znana całej kolonji katolickiej pod imieniem *tante*, jako osoba wielce sumienna, biorąca minimalną kwotę za utrzymanie, a otaczająca swych wychowanków prawdziwie matczyną troskliwością. Oprócz języka rodzimego władała doskonale francuskim, którym mówiono w jej szkółce, znała niemiecki i rosyjski, a nawet po polsku rozumiała, lecz nie mówiła. Otóż u *tanty* nająłem za 7 rubli miesięcznie pokój wąski, długi, też z żelaznym piecykiem, lecz w porównaniu z poprzednim niemal luksusowy. W pensjonaciku oprócz *tanty*, nauczały dwie jeszcze osoby, nauczycielka i student, a potem i ja, otrzymując za parę godzin tygodniowo francuskiego bezpłatny pokój z utrzymaniem. Nie powiem, żeby ten pokój był całkiem wygodny, gdyż słychać w nim było przez cały dzień krzyki i bieganinę dzieci, i dopiero po godz. 9-ej wieczorem, kiedy wszyscy szli spać, można było pracować. Okazyjnie kupiłem sobie małe laboratorjum chemiczne z aparatami, reaktywami. Robiąc z jednym z kolegów reakcje, rozleliśmy kwas siarczany, którym popaliliśmy zielone sukno na stole i kołdrę jedwabną, którą otrzymałem od babki w wyprawie. Z pomieszkania u *tanty* byłem bardzo zadowolony, szczególnie po jadłodajniach studenckich obiady jej domowe bardzo mi smakowały. Wieczorami zwykle na herbatę zachodził ktoś ze znajomych, to nauczycielki z pensji katolickiej św. Katarzyny, to jakieś dawne znajome *tanty*, to wreszcie ktoś z młodzieży. Byli wśród nich ludzie różnych narodowości:

Francuzi i Niemcy, lecz wszyscy mówili ze sobą po rosyjsku, a łącznikiem ich był katolicyzm. Omal że nie codziennym gościem był niejaki Muraszko. Miał on lat trzydzieści kilka. Był przyjacielem i zaufanym *tanty*. Mało wiedzieliśmy o jego przeszłości, tyle tylko, że ukończył gimnazjum męskie Św. Katarzyny, utrzymywane przez ks. Dominikanów w Petersburgu i że od dzieciństwa znała go *tanta*. Po polsku czytał i rozumiał, lecz nie mówił. Był gorliwym katolikiem aż do fanatyzmu; bywał często w kościele i trawił czas na modlitwie. Muraszko miał jakieś stosunki nieokreślone z hr. Maksymiljanem Fredrem, o którym niekiedy wspominał jako o swym ojcu duchownym, uważając go za wzór chrześcijańskiej doskonałości. Fredro był synem jenerała armji rosyjskiej i matki Gołowinoj, urodzonym i wychowanym zagranicą. Rodzice Fredry wyemigrowali zagranicę z powodu prześladowania za propagandę katolicyzmu za czasów Mikołaja I. Fredro był fanatycznym katolikiem, lecz kosmopolitą; z kolonją polską żadnych stosunków nie utrzymywał, po polsku nie mówił. Środki posiadał bardzo szczupłe. Miał wstęp do dworu, bywał u wielkich książąt, aranżował przedstawienia teatralne dworskie, pisząc dla nich sztuki po francusku, jak mówiono niepośledniej wartości. Można było widzieć go często gorliwie modlącego się w kościele. Był to wysoki szczupły, ryżawy, o łysej głowie, z monoklem w oku, niemłody mężczyzna.

U *tanty* mieszkało i uczyło się dwóch chłopców Gumowskich, których dwie starsze siostry mieszkały w domu, uczęszczając na pensję Św. Katarzyny. Ojciec ich był to człowiek w wieku starszym, urzędował gdzieś na Litwie, a po powstaniu, straciwszy posadę, przeniósł się do Petersburga i otrzymał miejsce w magistracie. U Gumowskich zwykle zbierało się liczne towarzystwo. Mieszkali oni daleko, na przedmieściu, na t. zw. Piaskach, w owym czasie słabo zabudowanych, bez bruku, oświetlonych zrzadka naftowemi latarniami. Mieli obszerne mieszkanie, dobrze umeblowane. Parę największych sal zajmowała będąca poniekąd pod ich opieką sędziwa ks. Julja Lubomirska. U pp. Gumowskich bywałem parę razy na miesiąc. Bawiono się tam ochoczo w gry, grano na fortepianie, śpiewano, a często tańczono. Grywano i w karty. Tańce odbywały się w salonie księżnej. Księżna z powodu wieku już chodzić nie mogła. Wysuwano ją z fotelem z drugiego pokoju, bo lubiła patrzeć, jak się młodzi bawią, przypominając sobie ubiegłe lata swej młodości. Najwięcej nęciła młodzież gra w „muszkę", lub w „stukułkę". Całe towarzystwo zasiadało do gry około długiego stołu. Nie byłem zbyt namiętnym tancerzem, lecz od tańców się nie wymawiałem. Zwykle podczas największej za-

bawy wwożono księżnę, ustawiano jej fotel przy oknie obok stolika, przy papugach i klatce z kanarkami naprzeciw ogromnego zwierciadła, tak aby mogła siebie widzieć. Pomimo zgrzybiałości i niedołęstwa, tak fizycznego jak umysłowego dziewięćdziesięciokilkoletnia księżna miała postawę i twarz zdradzającą jej niezwykłą niegdyś urodę. Wzrostu wysokiego, o długich, gęstych, siwych, falujących włosach, o prawidłowych rysach, pięknej oprawie niestety gasnących już oczu. Żyła tylko przeszłością, powtarzając wciąż o swych koligacjach, trofeach miłosnych, które nieprzyjemnie brzmiały w ustach tej lekkomyślnej staruszki. Z domu ks. Radziwiłłówna, w 16-ym roku życia poślubiła rodzonego stryja, znacznie starszego od siebie ks. Radziwiłła, dziedzica Berdyczowa. Wkrótce uciekła od męża i poślubiła Judyckiego, lecz z nim się potem rozstała. Po licznych przygodach, w 60-ym roku życia wyszła zamąż za młodszego od siebie o lat 20 ks. Ksawerego Lubomirskiego, lecz wkrótce została przezeń przucona. Życie jej było istną sielanką miłosną. Kochanków zmieniała jak rękawiczki. Opowiadania, jak podbijała serca swoją urodą w Wiedniu, w Paryżu i w Londynie, były najulubieńszym tematem jej rozmowy. Ostatni z kochanków, prowadzący jej interesy, niejaki Ruszczyc, porzucił ją zaledwie przed kilku laty, wyzuwszy ostatecznie z majątku i klejnotów, poczem uciekł na Kaukaz. Opuszczona na starość przez ludzi, żyła wśród papug i piesków.

Zdarzyło mi się być kilka razy w gościnnym domu pp. Gumowskich na niedzielnych obiadach, na które przychodził bawiący często w stolicy z powodu swych interesów majątkowych szwagier księżny, książę Antoni Lubomirski, z Ukrainy, ze swym synem Aleksandrem, dymisjonowanym oficerem gwardji. Ks. Antoni, dymisjonowany pułkownik huzarów, chodził zwykle w mundurze, który odpowiadał wspaniałej postawie. Był to starzec przeszło 70-letni, lecz wyjątkowo krzepki. Wysokiego wzrostu, zręczny, o pięknej twarzy i zawiesistym siwym wąsie, robił wrażenie przyjemne. Syn stanowił przeciwieństwo do ojca. Niski, szczupły brunet, o ściągłej twarzy, nieregularnych, jakby semickich rysach. Pani Gumowska, zawołana gospodyni, była mistrzynią w przyrządzaniu obiadów, a książę, jako znany skąpiec i smakosz, a spokrewniony przez matkę z wielu domami arystokracji petersburskiej u wszystkich jadał obiady pokolei, w niedzielę zaś nie gardził smacznym obiadkiem litewskim i robił dalekie kursa pieszo na „Piaski" z synem do bratowej, z którą wzajemnie się nienawidzili. Przy obiedzie bawił obecnych, nie szczędząc bratowej grubych, płaskich komplementów, przypominając o jej wdziękach, grzechach młodości i różnych skandalach. Ona odpłacała

mu podobnem. Nie było to budujące dla młodzieży, szczególnie dla młodych panienek, słuchanie podobnych rozmów dwojga starców, stojących nad grobem, owych przedstawicieli naszej zwyrodniałej arystokracji. Książę Antoni był wnukiem Stefana Lubomirskiego, który po rozbiorze Polski swe dobra białoruskie zamienił z Potiomkinem na ukraińskie. Ojciec ks. Antoniego utracił znaczną część fortuny, lecz przez ożenienie się z Rosjanką Nariszkinówną nieco ją podreperował. Ks. Antoni wychowany wśród atmosfery rosyjskiej, uczył się w Petersburgu, służył w gwardji, pędził życie hulaszcze i był adjutantem przy carze Mikołaju I. W tym czasie uwiódł córkę jednego ze służby pałacowej. Rodzice udali się ze skargą do cara, który nakazał Lubomirskiemu ożenić się z uwiedzioną. Książę narazie musiał spełnić rozkaz carski, lecz niebawem otrzymał rozwód za cenę kilkudziesięciu tysięcy rubli. W starszym już wieku ożenił się z niejaką Kraszewską, pochodzącą z rodziny neofickiej i z tego małżeństwa miał kilkoro dzieci.

Jedną z córek książę wydał, jak mówił, za prostego szlachcica Mołodeckiego. Dobra jego, Kaszewata (najstarsze, jakie na Ukrainie utrzymały się w jednej rodzinie, bo nadane przodkowi Mołodeckiego przez Stefana Batorego) uległy sekwestrowi po r. 1863. Ks. Lubomirski, korzystając z przyjazdu do Kijowa Aleksandra II, któremu był osobiście znany, prosił Cara w obecności ówczesnego jenerał - gubernatora Bezaka o nadanie mu wyjątkowego prawa nabywania, jako katolikowi, ziemi w kraju zachodnim. Na to Bezak, zwracając się do Cara, miał powiedzieć: — O lojalności ks. Lubomirskiego nie wątpimy, lecz, Najjaśniejszy Panie, kto zaręczyć może za jego dzieci? Ks. Lubomirski miał uszczypliwie odciąć się, zwracając się do Bezaka, temi słowy: — Za przyszłość nikt nie może odpowiadać, bo czyż przodkowie Waszej Ekscelencji mogli przeczuwać jego wiernopoddańczość dla Najjaśniejszego Pana? Mówiąc to, miał na myśli przodków jenerała, modlących się w synagodze żydowskiej.

Książę, otrzymawszy prawo kupna, nabył fikcyjnie majątek od zięcia i darował go córce, która zaczęła nim rządzić samowolnie, czem urażony mąż rozpoczął gorszący proces, udowadniający, że kupno było fikcyjne.

Lubomirski znany był ze swego skąpstwa. Fama o jego sknerstwie i wyzysku tak była głośna, że żydzi i chłopi jak najdalej się odeń trzymali. Z Polakami książę mówił o swoim patrjotyzmie, z urzędnikami udawał Moskala. Taką podwójną, a fałszywą rolę grał aż do śmierci.

*

* *

W pierwszych latach pobytu w Petersburgu starałem się poznać miasto i jego zbiory. Wielokrotnie zwiedzałem bogaty Ermitaż, t. zw. Kust - kamerę w Akademji nauk, sobory: kazański, Izaaka i inne. Niemniej korzystałem z teatrów, szczególnie Michałowskiego, gdzie miałem abonament na przedstawienia francuskie po 25 kop. za bilet. Oprócz tego często bywałem w teatrze wielkim, dziś nieistniejącym, również utrzymywanym przez rząd, w którym był balet, przedmiot szczególnej pieczołowitości carów, i pierwszorzędna opera włoska. Jeszcze car Mikołaj I sprowadził na swą koronację słynny ówczesny balet warszawski, z którego pozostał na stałe jako baletmistrz i kompozytor Feliks Krzesiński. Pomimo wieku późnego był on niezrównanym mazurzystą, a dzięki układowi baletów zajął w sztuce choreograficznej jako mistrz niepoślednie stanowisko. Państwo Krzesińscy prowadzili dom polski i pomimo długoletniego przebywania w Petersburgu zachowali swą narodowość. Krzesiński występował w różnych przedstawieniach polskich na cele dobroczynne. Syn jego Józef zajął miejsce po ojcu, zyskał sympatję publiczności, ożenił się z Polką i dorobił majątku.

Opera włoska ściągała do Petersburga najprzedniejsze siły. Słyszałem tu śpiewających tenorów tej miary co Tamberlik, Mario, Calzolari, a potem Nicolini, barytonów i basów, jak Cuccini, Battistini, Everardi, śpiewaczki jak Adelina Patti, Lucca, Volpini, Sembrich-Kochańska i t. d. Przyjazd po raz pierwszy do Petersburga Patti był niezwykłym wypadkiem. Car posłał na jej spotkanie na pograniczną stację Wierzbołow swego adjutanta. Entuzjazm, jaki ogarnął publiczność, udzielił się i młodzieży. Dziś, na starość, dziwne mi się wydaje, jak mogłem kiedyś na mrozie wystawać z kolegami pod kasą noc całą, aby dostać bilet na pożegnalne przedstawienie divy w „Don-Pascale". Nie docisnąwszy się do kasy, zapłaciłem za bilet u pośrednika kilkakrotną cenę. Ogromne było rozczarowanie publiczności, gdy ze sceny ogłoszono, że z powodu niezdrowia Patti partję jej odśpiewa Volpini. Część niezadowolonej publiczności opuściła widownię, a biedną artystkę powitano gwizdaniem i sykaniem. Śpiewacy Włosi pobierali w Petersburgu ogromne płace. Calzolari i Tamberlik mieli już głos nadszarpany. Zebrawszy kolosalny majątek, śpiewali potem na drugorzędnych scenach we Włoszech i w Hiszpanji. Tamberlik wydał swą córkę w Paryżu za d-ra Ksawerego Gałęzowskiego, znanego okulistę. Straciwszy majątek na jakiemś przedsiębiorstwie, występował jeszcze w późnej starości na scenie w Hiszpanji.

Rzadziej bywałem w teatrze Maryjskim, w operze rosyjskiej, gdzie cieszyła się wielkiem powodzeniem i sympatją publiczności

p. Adela Büdel, szczególnie ze względu na okoliczności, które ją skłoniły do artystycznej karjery. Polka, córka aptekarza z kongresówki, była przed powstaniem narzeczoną młodego lekarza Tomkowicza, asystenta prof. Bessera w Petersburgu. Gdy narzeczony został skazany na wygnanie, aby mu pomagać materjalnie, poświęciła się scenie. Wszystkie te opowiadania nastrajały nas bardzo sympatycznie dla p. Büdel. Pamiętam, jak po debiucie artystki w Trawiacie, po entuzjastycznych oklaskach wnieśliśmy ją do karety. W lat parę potem, kiedym był już na wyższych kursach medycyny, poznałem byłego narzeczonego p. Büdel, d-ra Tomkowicza, który wyjeżdżając z Syberji, ożenił się z młodziutką panienką. Potem osiadł jako lekarz w małem miasteczku w Kongresówce w pow. marjampolskim. Niestety, jako nałogowy pijak, zdolności, któremi był bogato obdarzony, zmarnował, i wkrótce życie zakończył.

*

* *

Bardziej niż teatry i zabawy pociągał mnie ku sobie dom państwa Gumowskich, nie dla kart i tańców, lecz że był tam magnes silniejszy dla mnie, któremu uległem. Pośród wielu panien, uczenic i nauczycielek bywających w ich domu, wpadła mi w oko jedna nauczycielka, starsza ode mnie i niełądna. Byłem już wówczas poważnego usposobienia: zabawy, hulatyki nie nęciły mię; zbytnia wesołość lub farsy teatralne, które wiele uciechy sprawiały moim rówieśnikom, na mnie działały przygnębiająco. Wybrana moja, Apolonja Rabowska, była niewysokiego wzrostu, blondynka, o rysach nieregularnych, o 4 lata starsza ode mnie, ale miała w wyrazie twarzy coś tak łagodnego i ujmującego, że mnie pociągnęła ku sobie. W pensji Św. Katarzyny, pomimo młodego wieku, umiała sobie zyskać zaufanie i powagę. Los jej wzbudził we mnie współczucie. Sierota z kongresówki, wzięta w opiekę przez pewną urzędniczą rodzinę szwedzką, która przebywała w Królestwie polskiem, została przywieziona do Petersburga. O swej przeszłości wiedziała tylko tyle, że urodziła się w ziemi Warszawskiej, a przeto musi być Polką. Przybrani rodzice otaczali ją pewną opieką, pomimo że mieli swe własne dzieci. Czuła się jednak obca w cudzem gnieździe. Jako katoliczkę w 7-ym roku życia oddano ją na pensję Św. Katarzyny. Wówczas to zaczęła się uczyć po polsku. Brak serdecznego rodzinnego ciepła zrobił z niej istotę cichą, zamkniętą, niewywnętrzniającą się. Całe jej życie upłynęło na pensji, gdyż po jej ukończeniu w 16-ym roku życia została tam

nauczycielką, pracowała na siebie. Po śmierci przybranych rodziców poczuła się samusieńką na świecie. Poznałem ją u *tanty*, dawnej jej nauczycielki, która ją bardzo lubiła. Nieraz odprowadzałem ją do domu wieczorem. Nierzadko widywaliśmy się u pp. Gumowskich. Nastąpiło zbliżenie, które przeszło w miłość i przywiązanie. Wciągnięta do pracy i obowiązków od dziecka, nie zaznawszy w życiu żadnych uciech, nie marzyła o własnem szczęściu. Wielbicielom, których miewała, nie ufała. Zdawało jej się, że dla niej jako ubogiej i nieładnej niema innego życia, jak tylko samotnej nauczycielki. Gorące słowa moje ku niej zwrócone z początku przyjmowała z niewiarą i pewną powściągliwością, mówiła, że jest starsza ode mnie i uboga, że czas jak wiatr uczucia moje ku niej zniszczy i rozwieje. Lecz moja stałość przemogła. Widywaliśmy się prawie co tygodnia, układając na przyszłość plany małżeństwa, gdy zdobędę stanowisko. Choć byliśmy po słowie, pozostało to w ścisłej tajemnicy przed wszystkimi.

Ze swojemi zamiarami nawet przed najbliższymi się kryłem, gdyż nie lubię wywnętrzać się z mych uczuć, a może i dlatego, że obawiałem się, aby mi nie odradzono narzeczeństwa. Obawiałem się także, aby nie wydać się śmiesznym, że, nie mając żadnego stanowiska, myślę o żeniaczce i buduję zamki na lodzie.

Odwiedzając siostrę na wsi, widziałem, że nie jest szczęśliwa. Przychodziły na świat dzieci jedno po drugiem. Lubo siostra nie lubiła się użalać, jednak rozumieliśmy się dobrze, i nieraz oboje popłakaliśmy nad jej losem.

Podczas wakacyj spotykaliśmy się z Apolonją. Jedne z nich spędzała w domu ojca swej uczenicy, Szukiewiczówny, u szlachcica wdowca, mającego małą własność Romajnie pod Czekiszkami w kowieńskiem. Przyjeżdżałem tam na dni kilka z Iłgowa. Poznałem po raz pierwszy taką, kolokacją zwaną, okolicę szlachecką, w której mieszkało kilkanaście rodzin w swych małych folwarkach i zaściankach, oddalonych od siebie o $^1/_4$, a co najwyżej 2 kilometry. Nieraz całą posiadłość stanowił domek z ogródkiem. Rzadko kto z zamożniejszych posiadał jednego lub parę koni. Wszyscy komunikowali się z sobą pieszo. Zamieszkiwali tu przeważnie ludzie starsi, eks - wojskowi, urzędnicy lub oficjaliści, którzy jako emeryci, posiadający drobne oszczędności, wrócili na starość do ojcowizny. Byli pomiędzy tymi sympatycznymi ludźmi tacy, którzy część życia przebyli gdzieś na dalekich kresach. Harmonja panowała pośród sąsiadów wzorowa; wieczorami odwiedzano się wzajemnie, czytywano wspólnie prenumerowane gazety, grano dla spędzenia czasu w preferansa i t. d.

Drugie wakacje spędzała Apolonja u swej dawnej nauczycielki, zamieszkałej w Wilnie. Pojechałem i ja tam na tydzień. Razem zwiedzaliśmy kościoły, zabytki i okolice miasta.

Pobyt na drugim kursie w Akademji był połączony z większą pracą w instytucie anatomicznym i w laboratorjum chemicznem, co przy jednoczesnem chodzeniu na wykłady pochłaniało wiele czasu. Ponieważ mieszkanie u *tanty* było dość oddalone, wyniosłem się od niej i nająłem bliżej Akademji pokój wspólnie z moim kolegą kowieńskim Janem Niewiarowiczem, o lat parę starszym ode mnie. Pochodził on z zamożniejszej rodziny szlacheckiej ze Żmudzi. Był wzrostu wysokiego, pełny, różowy, jak to mówią krew z mlekiem, usposobenia cichego i łagodnego. Znać było na nim staranne domowe wychowanie, a przytem grał na fortepianie, mówił po francusku i tańczył. Najęliśmy porządnie umeblowany, drogi, wielki, słoneczny pokój za 20 rubli miesięcznie i wzięliśmy się gorliwie do pracy. Zwykle rano chodziliśmy na wykłady teoretyczne; potem, zjadłszy obiad za 25 kop. w jadłodajni studenckiej pani Ryżowej, żony woźnego Akademji, Polki, rodem z Wilna, szliśmy do zakładu anatomicznego i przesiadywaliśmy tam razem z Niewiarowiczem codzień do 7 wieczór. Dawniej teatr anatomiczny mieścił się w starym walącym się drewnianym barokowym budynku z osiadłemi ścianami i z sufitem podpartym słupami. Przy ścisku i masie studentów warunki pracy były niemożliwe, z powodu strasznego gorąca od żelaznych pieców i gazu świetlnego. Zimą trzeba było narażać się na wszelkie możliwe przeziębienia i otwierać okna, skutkiem gnicia i rozkładu trupów zapach był nie do wytrzymania. Każdy, kto przebywał w tej atmosferze przez czas nawet krótki, wychodził przesiąknięty tym zapachem i przynosił go do domu. Kiedym rozpoczynał ćwiczenia praktyczne w anatomji, to już zakład mieścił się w nowym gmachu za klinikami baroneta Wylié, otwartemi jednocześnie z nowym zakładem anatomji. Jak na owe czasy odpowiadał on wszelkim warunkom wygody i komfortu. Mogła tu pracować wielka liczba studentów, a kilku profesorów miało swoje oddziały. W sali ćwiczeń trupy leżały na marmurowych stołach, na noc spuszczane były windą do lodowni. Ogrzewanie było centralne, z dobrą wentylacją.

Z moich kolegów, oprócz wspomnianych Rostkowskiego, Konoplańskiego, Stefanowicza, Pipera, Moroza i innych, pozostali mi lepiej w pamięci dwaj bracia Olszewscy z Wilna, jeden z weterynarji, drugi z medycyny, trzej bracia Płuszczewscy z Rosieńskiego, z których jeden był na prawie, drugi na medycynie, trzeci na weterynarji. Na medycynie było również trzech braci Karpowiczów. Najstarszy był

prosektorem u prof. anatomji Grubera. Będąc wielce uzdolniony, robił mu piękne rysunki do prac. Drugi Karpowicz interesował się sprawami społecznemi i brał czynny udział w organizacjach socjalnych. Na wyższym ode mnie kursie w Akademji był także Mikołaj Strawiński, mój towarzysz dzieciństwa. Po ukończeniu Akademji był ordynatorem w klinice położniczej prof. Krasowskiego, a następnie w znanym Instytucie położniczym na Nadieżdinskiej. Wytrwałością i obowiązkowością zjednał sobie znaczną praktykę. Dziwnym trafem, lecząc w domu ministra spraw wewnętrznych, Sipiagina, później zamordowanego, uzyskał przez niego pozwolenie na kupno ziemi na Litwie i w ten sposób zaokrąglił swą ojcowiznę. Strawiński do późnej starości miał wielki mir wśród ziomków w Petersburgu. Po śmierci zostawił po sobie szczery żal, jako dobry i sympatyczny kolega. Wspomnę tu także o innym kownianinie, Justynie Rymwidzie Mickiewiczu, rodem z poniewieskiego, który był w Kownie o parę klas wyżej ode mnie. Ukończył Akademję biedując. Za stypendjum musiał odsługiwać jako lekarz wojskowy. Osiadłszy w Moskwie i zostawszy specjalistą gardła, uszu i nosa, używał wielkiej wziętości. W r. 1902, jadąc z Syberji, byłem w przejeździe w Moskwie. Idąc ulicą, spostrzegłem na drzwiach jednego domu jego nazwisko. Odwiedziłem go. Popłakaliśmy się z nim, wspominając dawne czasy.

Z ziomków, z którymi jednocześnie odbywałem studja w Petersburgu i spotykałem się od czasu do czasu, pamiętam braci Węcławskich ze Żmudzi, jednego studenta technologji, drugiego prawa, późniejszego prezydenta Wilna, dalej Witkiewicza Ignacego prawnika, późniejszego adwokata w Mińsku, wreszcie Stanisława Witkiewicza studjującego w Akademji sztuk pięknych, późniejszego malarza, znakomitego krytyka, miłośnika stylu zakopiańskiego, który dzięki niemu bardzo się rozwinął w budownictwie.

Z Rosjan, kolegów moich, wspomnę tylko o paru: o Rejnie i o Pelu. Rejn, syn podobno akuszerki nadwornej, wychowaniec niemieckiej „Annen - Schule", późniejszy akuszer i ginekolog, był profesorem w Kijowie i w Petersburgu, wyparł się swej niemieckości, występował jako monarchista i przywódca nacjonalistów rosyjskich. Obok niego na jednej ławce siadywał jego przyjaciel i współkolega szkolny Pel, syn aptekarza. Ukończywszy farmację, zajął się przemysłem aptecznym, wyrabianiem i reklamowaniem sperminy i innych leków, wchodzących w zakres organoterapji. Dorobił się z czasem znacznej fortuny. Pel był młodzieńcem bardzo przystojnym, przedstawiającym czysty typ germański. Spotkałem się z nim w r. 1902 w Petersburgu na raucie, omal że nie po 30 latach niewidzenia się.

Przypominaliśmy sobie dawne czasy. Bardzo się zmienił, wyłysiał i postarzał. Uskarżał się, że jest chory. Był we fraku, a całą pierś miał obwieszoną orderami różnych państw. Do zaszczytów brakowało mu tylko katedry, której wielce pożądał. Gdy zawakowała w Petersburgu katedra farmacji i farmakologji po Niemcu, Juljanie Trappie, w r. 1891, to Trapp nie tylko, że nie popierał swego ziomka Pela, lecz nawet miał się wyrazić, że jeżeliby został powołany na katedrę Pel, to będzie trąbić na świat cały o skandalu, jaki się stał. Katedrę po Trappie otrzymał nie Pel, lecz Polak, Stanisław Przybytek, cichy i skromny uczony, zaszczytnie znany ze swych prac z zakresu chemji analitycznej. Po wielu latach spotkałem się z nim w Wilnie, podczas mego pobytu tam, gdy wykładałem w letnim semestrze w r. 1920 antropologję w Uniwersytecie. Przybytek, wysłużywszy emeryturę i zapadłszy na zdrowiu, będąc zagrożony utratą wzroku, opuścił Akademję. W parę lat potem musiał uciekać z Petersburga, gdy rządy tam objęli bolszewicy. Potem był profesorem w Uniwersytecie w Warszawie, gdzie niedawno umarł.

ROZDZIAŁ VIII.

Petersburska Akademja medyko - chirurgiczna. Wyjazd na dalsze studja do Kijowa. Uniwersytet Kijowski. Profesorowie.

Akademja medyko - chirurgiczna, kiedym w niej studjował, chociaż była zakładem wojskowym, lecz pod liberalnemi rządami ministra wojny Milutina charakter jej wojskowy nie był tak silnie zaznaczony, jak później. Liczba studentów na trzech wydziałach: lekarskim, weterynaryjnym i farmaceutycznym wynosiła parę tysięcy. Na moim kursie było kilkuset. Obszerne sale wykładowe, pracownie, laboratorja i kliniki pomieszczały wszystkich. Nie było braku w materjale ludzkim żywym i martwym. Pomimo istniejącego uniformu, studenci dowolnie chodzili w cywilnem ubraniu. Pośród grona nauczycielskiego, obok wybitnych sił naukowych, były i miernoty. Pomiędzy profesorami Niemcami i Rosjanami panował antagonizm. Starsi wiekiem byli Niemcy, młodsi Rosjanie. Na pierwszych dwóch kursach słuchałem przeważnie nauk przyrodniczych jako przygotowawczych do medycyny. Anatomję opisową wykładał Teodor Landzert, Niemiec, jednocześnie wykładający i w Akademji sztuk pięknych. Naukowo mało pracował, choć był to człowiek zdolny. Ślicznie rysował i był doskonałym profesorem, umiejącym tak suchy przedmiot, jak anatomja, wykładać interesująco, urozmaicając wykłady opowiadaniami i anegdotami.

Fizjologję wykładał Sieczenow, wybitny uczony. Wskutek intryg zmuszony był wkrótce opuścić Akademję i przenieść się do Uniwersytetu Odeskiego, będącego wówczas miejscem wygnania najwybitniejszych rosyjskich uczonych. Dzięki temu zakwitły tam nauki przyrodnicze, mające takich przedstawicieli, jak Owsiannikow, Cenkowski, M. Kowalewski, Miecznikow, Zalenskij i inni. Zastępczo fizjo-

logję po Sieczenowie wykładał Zawarikin, histolog. Znacznie później został powołany na katedrę fizjologji książę Tarchanow, wówczas asystent Sieczenowa, przystojny młody człowiek, później nauczyciel i przyjaciel Cybulskiego, znakomitego fizjologa krakowskiego. Sieczenow wykładał sucho, mówił cicho, przytłumionym głosem, robiąc przytem doświadczenia fizjologiczne.

Fizykę wykładał Chlebnikow dosyć nudnie, przeto mało kto uczęszczał na jego wykłady.

Profesorem chemji organicznej był A. P. Borodin, nie tylko wybitny uczony, lecz i ceniony muzyk, autor opery „Igor". W jego laboratorjum pracował obok studentów W. ks. Mikołaj Maksymilianowicz Leichtenberski (syn Maksymiliana Beauharnais i Marji Mikołajewny), naczelnik państwowego górnictwa. O 8 rano W. książę był już zwykle przy pracy. Pozostawił mi miłe wspomnienie, dzięki taktownemu postępowaniu i prawie koleżeńskiemu obcowaniu z młodzieżą. Oprócz Borodina wykładali: chemję organiczną Sieberg i raz na tydzień nieorganiczną emerytowany profesor Zinin, teść Borodina. Znakomity ten uczony zgóry traktował swe audytorjum i sypał w swych wykładach anegdotami jak z rękawa. Nie palił on i nie znosił dymu. Kiedyś przyszedłszy na wykład zawołał: ależ nadymiliście! Proszę was zawsze, panowie, abyście zaoszczędzali mi tej przykrości i przynajmniej przed mojem przyjściem na wykład nie palili! Wiecie, kto pali? Chyba ladacznice z Newskiego. Jeden ze śmielszych studentów, wtajemniczonych w życie domowe profesora, odzywa się: a przecież żona pana profesora pali.

Dali Bóg dowcipny jesteś — mówi Zinin — dałbym ci złotówkę na wódkę, gdybym miał drobne. Rezolutny słuchacz odpowiada: proszę o złotówkę, dam resztę.

Zinin nie lubił filozofów i filologów i zwykle na ich konto robił wycieczki. Jako egzaminator był bardzo względny.

Mineralogję wykładał Kondratiew, człowiek starszy, który, zdaje się, mało interesował się nauką.

Profesorem botaniki był Merklin, Niemiec, dyrektor cesarskiego ogrodu botanicznego. Przywiozła go z sobą z Niemiec K. Księżna Helena Pawłówna, która, jak wiadomo, wyszukiwała zagranicą uczonych dla Rosji. Merklin pomimo swych zasług na polu naukowem był lekceważony przez słuchaczy, oceniających zwykle profesora z więcej, lub mniej interesujących wykładów. Merklin mówił źle po rosyjsku, miał mowę monotonną. Mała jego sala wykładowa bywała zwykle pusta.

Zoologję wykładał w Akademji znakomity uczony Teodor Brandt. Był on obok Bischoffa i Agassisa jednym z poważnych przeciwników teorji ewolucji Darwina. Słabo władając językiem rosyjskim, wykładał tak, że prawie nikt go nie rozumiał. Podczas wykładów o teorji ewolucji Brandt w uniesieniu miał krzyczeć *„ja ne choczu cztoby mein fater byli obezjanoj"* (nie chcę, ażeby mój ojciec był małpą!). Gdym rozpoczynał studja w Akademji, Teodor Brandt przestał właśnie wykładać, a katedrę zoologji po nim objął uczeń jego Edward Brandt. Wykładał tylko o pasożytach, mających znaczenie w powstawaniu chorób.

Farmację i farmakognozję wykładał Juljan Trapp. Był on synem aptekarza z Marjampola (w Suwalskiem), gdzie spędził swą młodość i często z rozrzewnieniem mówił o tem, jak biegał po łąkach i zrywał kwiatki polne. Trapp choć był Niemcem, lecz nie zapomniał po polsku i z tem się nie krył. Wykłady swe, licznie przez studentów uczęszczane, przeplatał rozmaitemi anekdotami i dowcipnemi uwagami. O każdej roślinie, lub preparacie aptecznym miał zawsze do opowiedzenia jakąś anegdotę. Na egzaminie był dla medyków pobłażliwy, dla farmaceutów zaś surowszy, mówiąc, że to są jego dzieci. Trapp przyczynił się bardzo do uporządkowania aptek i podniesienia stanu farmaceutycznego w Rosji.

Na drugim kursie najwięcej czasu i pracy pochłaniała anatomja praktyczna, której kierownikiem był od lat 25 prof. Wacław Gruber, niegdyś uczeń Rokitańsky'ego, a później asystent słynnego Hyrtla w Wiedniu. Gruber teoretycznych wykładów nie miewał, niekiedy tylko prowadził praktyczne zajęcia na trupach z anatomji topograficznej z lekarzami, poświęcającemi się chirurgji polowej. Gruber był to człowiek lat wówczas około 60, zniemczały Czech, rodem z Pragi, syn bednarza. Pedant w pracy i fanatyk nauki, pozbawiony wszelkich osobistych widoków i materjalnych korzyści, należał do ludzi, jakich się w życiu wyjątkowo spotyka. Od godziny 9 rano do późnej nocy, z wyjątkiem parogodzinnej przerwy obiadowej, przesiadywał w zakładzie, pracując ze studentami, lub ślęcząc nad trupami. Wyszukiwanie rzadkich zboczeń w budowie mięśni i układzie naczyń było jego specjalnością. Wykształcił on całą szkołę anatomów, którzy następnie w różnych uniwersytetach zajmowali katedry, a za czasów moich byli adjunktami, prosektorami, lub asystentami, jak Gepner, Jermołajew, Iwanowskij, Taranieckij i inni. Pomiędzy pracującymi w zakładzie miał wówczas osobny gabinet prof. Lesgaft, wyrzucony przez intrygi z Uniwersytetu kazańskiego.

Codziennie od 3-ej po południu rozdawano studentom w sali

sekcyjnej części zwłok do preparowania, które rozpoczynał zwykle profesor lub prosektorowie. Po dniach kilku przyjmowali oni preparaty. Dwa razy tygodniowo od 7 do 9 wieczorem odbywały się w osobnej sali egzaminy z każdego preparatu. Coprawda były one wielce nudne i monotonne, polegały bowiem tylko na zapytaniach i odpowiedziach co do początku i zakończenia mięśni, rozgałęzienia naczyń i ich wzajemnych stosunków i t. d., lecz w ten tylko sposób mógł student nauczyć się przedmiotu. Profesor nie szczędził swego czasu i zmuszał nieumiejących po 2, lub 3 razy przychodzić na egzamin. Gruber na egzaminie był postrachem dla przeciętnego studenta, choć w ocenie wiadomości uczniów był bardzo sprawiedliwy. Zwykł on był mawiać, że tylko studenci 2-go kursu umieją anatomję, że natomiast wiadomości z anatomji kończących medycynę są słabe, a lekarze już nic z anatomji nie umieją. Gruber był prawdziwym mistrzem w sztuce zmuszania do zajmowania się anatomją. Przed nim i po nim przynajmniej w Rosji takiego pedagoga nie było. Ignorancja odpowiadającego oburzała nieraz profesora, a wtedy wpadał czasem w gniew.

Opowiadano o różnych zatargach Grubera z władzami, z których nic sobie nie robił, gdyż nie chodziło mu o żadne względy, rangi i ordery. Po śmierci cara Mikołaja I-go był wezwany do balsamowania jego ciała, lecz kiedy zainteresowany niektóremi szczegółami budowy zmarłego pociął go i długo marudził, przynaglono go do pospiechu. Odrzekł urażony, że ma przed sobą nie panującego, lecz zwykłego śmiertelnika, którego musi zbadać.

Gruber był ulubieńcem młodzieży. Najlepszym wyrazem ich uczuć była manifestacja, jaką mu rządzono z powodu 25-letniego pobytu w Petersburgu, w r. 1871 na wiosnę. Byłem wtedy na I kursie i mieszkałem na prospekcie Litiejnym. Mostu stałego na Newie jeszcze nie było i na zimę rozbierano go. Wtedy następowała nieraz przerwa w komunikacji i wykłady na dni kilka zawieszano. Otóż obchód jubileuszu przypadł na ten czas. Tłumy młodzieży, która mieszkała za Newą, cisnęły się do łódek na nadbrzeżnej t. zw. dworcowej, inni przez „Bazylówkę" (wyspę Wasilewską) spieszyli do odległego zakładu anatomicznego. Była 9-ta godzina rano. O tej porze Gruber miał zwyczaj, mieszkając na Wyborgskiej stronie, przychodzić do swej pracowni. Tu spotkała go młodzież tłumnie, wśród niej kilkanaście studentek, pierwszych pionierek studjujących medycynę. Wprowadziwszy profesora do wielkiej sali sekcyjnej, udekorowanej wieńcami z jodeł, jeden z kolegów przeczytał donośnym głosem adres, wydrukowany na pergaminie po rosyjsku. Witając ukochanego mistrza, — są słowa adresu — ćwierć wieku pracującego z zaparciem

się siebie dla młodzieży rosyjskiej, uczniowie Twoi obecni, jak równiez rozsiani po całej Rosji, życzą Ci, abyś długo jeszcze wśród nas pracował, siejąc wielkie zasady, dobra, piękna i prawdy. Dalej adres podnosi zasługi mistrza jako twórcy szkoły własnej, idącej za postępem i za równouprawnieniem kobiet, otwierając im wrota świątyni wiedzy. Dla upamiętnienia dnia tego postanowiono urządzić składki na pierwsze stypendjum studentek medycyny. W końcu adresu oddano cześć i chwałę wielkiemu uczonemu i człowiekowi. Oklaskom nie było końca. Gruber wzruszony ze łzami w oczach dziękował po niemiecku, mówiąc, że uznanie młodzieży, dla której pracuje, jest mu bardzo drogie. Ceni je nader wysoko! aczkolwiek młodzież, unosząca się w swych szlachetnych i podniosłych uczuciach, przecenia jego zasługi. Więcej mówić nie mógł, a tylko powtarzał kilkakrotnie: „Das ist für mich eine grosse Ehre". Studenci, wziąwszy na ręce profesora, nieśli go przez całą stronę Wyborgską aż do jego mieszkania, śpiewając starą pieśń studencką „gaudeamus igitur". Była to pierwsza widziana przeze mnie uroczystość uniwersyteckiej młodzieży. Utkwiła mi ona głęboko w pamięci. Manifestacja ta, jako objaw wychodzący poza ramy urzędowe, nie przypadła do gustu obozowi konserwatywnemu partji niemieckiej, zwalczającej Grubera, który chociaż hołdował kulturze niemieckiej, jako w niej wychowany, jednak uważał siebie za Czecha i sympatyzował z młodą postępową partją rosyjską; z fizjologiem Sieczenowem, terapeutą Botkinem, chirurgiem Sklifasowskim, dermatologiem Połotebnowem, laryngologiem Kosztakowem, anatomopatologiem Rudniewem i innymi. Do przeciwnego obozu należeli: anatom Landzert, terapeuci Eck i Eichwald, botanik Merklin, farmaceuta Trapp, okulista Junge i inni. Gromadka profesorów Polaków, która wówczas jeszcze w Akademji istniała, znajdowała się w trudnej sytuacji. Wiedząc, że nie są mili Niemcom, i że są traktowani bardzo nieszczerze i podstępnie przez liberalną, choć szowinistycznie względem nich nastrojoną partję rosyjską, szli luzem, łącząc się to z jedną partją, to z drugą. Do liczby Polaków profesorów należeli wówczas: wybitny akuszer i ginekolog Antoni Krasowski, farmakolog Henryk Kułakowski z Wilna, późniejszy lekarz naczelny kolei żelaznych, mało płodny naukowo; terapeuta Wiktor Besser, syn Wilibalda, słynnego botanika z Krzemieńca, znakomity nauczyciel, który wykształcił wielu wybitnych klinicystów; chirurg bardzo uzdolniony, Hipolit Korzeniowski; wreszcie słynny psychjatra Jan Mierzejewski, następca na katedrze Jana Balińskiego, Polaka, syna historyka Michała, a wnuka Jędrzeja Śniadeckiego. Baliński uznany jest za ojca psychiatrji w Rosji.

Ciekawym epizodem, wynikłym na terenie osobistych i partyjnych niesnasek między profesorami, była dysertacja habilitacyjna na docenta prywatnego anatomji w Akademji d-ra Iwanowskiego, prosektora Grubera, a późniejszego profesora w Kazaniu. W szczelnie zapełnionej sali amfiteatralnej nad Newą zasiedli jako oponenci z urzędu Gruber i dwaj inni Niemcy, anatomowie Landzert i Gepner. Rozprawa traktowała o mięśniach glistowatych stopy, (musc. lumbricoides), które Iwanowski badał na wielkiej liczbie trupów w przeciągu lat kilku. Najprzód wystąpił Landzert, podziwiając wprawdzie nadzwyczajną pracowitość i cierpliwość autora, lecz uważał pracę za mało produkcyjną, a znaczenie pomiarów wspomnianych mięśni za bezcelowe i bardzo problematyczne. Dalej podkreślił, że współczesna anatomja powinna kroczyć w parze z fizjologją i uzupełniać jej badania, a nie bawić się oderwanemi zagadnieniami, nie mającemi żadnego zastosowania. Po nim wystąpił Gepner, ostrożny Niemiec. Nie chcąc się narażać ani jednemu, ani drugiemu koledze, przemówił krótko, nie chwaląc i nie ganiąc wyraźnie pracy habilitującego się. Ostatni zabrał głos Gruber, zwykle zgarbiony. Podrażniony słowami poprzedników, wstał, wyprostował się i przemówił po niemiecku. Zaczął od tego, że Iwanowskij jest jego uczniem i prosektorem, dlatego najwięcej może o nim powiedzieć jako o pracowniku wzorowym, który, korzystając ze wskazówek profesora, rozpoczął przed laty obszerną pracę i zebrał znaczny materjał. Materjał ten posiada nie tylko czysto anatomiczne znaczenie, lecz i antropologiczne oraz porównawcze co do budowy naczelnych, jak również co do funkcjonalnego znaczenia badanych mięśni. Wskazywał na współczesnych koryfeuszów w dziedzinie anatomji, którzy z pewnością potwierdzą prawdę słów jego. Zwróciwszy się zaś do habilitującego się, zachęcał go, aby dalej pracował w tym samym kierunku, nie zwracając uwagi na to, co powiedzą anatomowie, którzy rozpychają swe brzuchy i kieszenie, bo praca w obranym przez niego kierunku przyniesie pożytek wiedzy i wzbogaci ją niejednym nabytkiem. Zakończył swe namiętne słowa akademickiem *dixi!* Całe audytorjum, złożone przeważnie ze studentów, trzęsło się od oklasków po tej mowie.

Muzeum anatomiczne, które rozrosło się dzięki Gruberowi, zawierało wśród kolekcyj czaszek i szkieletów karłów i olbrzymów, szkielet prof. Akademji, zagranicznego Niemca Beckera, który, porażony trzeciorzędną formą syfilisu, otruł się, przekazawszy testamentem swój szkielet Akademji. Umarł zagranicą, skąd Akademji nadesłano jego szkielet. Gruber był żonaty, lecz bezdzietny. W zapatrywaniach politycznych, jako Czech narodowiec, sympatyzował

z Polakami i innymi słowianami i nieraz to podkreślał; interesował się ich życiem, oraz politycznemi i kulturalnemi zdobyczami. W tym napozór suchym, małomównym zamkniętym w sobie fanatyku nauki, bezdusznym anatomie i surowym egzaminatorze, biło gorąco serce dla kraju, z którego pochodził. Otrzymawszy emeryturę, lata ostatnie spędził w rodzinnej Pradze, przy klasztorze franciszkańskim, gdzie ojciec jego był kiedyś bednarzem. Umierając, zbiory swe i bibljotekę przekazał Uniwersytetowi Praskiemu, w którym się niegdyś uczył.

Pamiętam w sali konferencyjnej Akademji akt doroczny w r. 1872, na którym oprócz promocji wielu lekarzy i ogłoszenia nagród, szczególną na siebie uwagę zwróciło przyznanie stopni lekarskich pierwszym w Rosji kobietom: Kaszewarowej, żonie późniejszej profesora anatomji patologicznej Rudniewa i Susłowej, nostryfikującej swój dyplom szwajcarski, żonie późniejszej prof. Erismana, znanego higjenisty w Moskwie.

*

* *

Odkąd zapamiętać mogę, najsłabszą stroną mego fizycznego ustroju była krtań; podlegałem częstym jej zapaleniom. Otóż podczas mego pobytu na I kursie straciłem głos. Lekarze stwierdzili niedowład nerwu zwrotnego wskutek obrzęknięcia gruczołu podszczękowego. Zalecili mi lekarstwa i stosowanie prądu elektrycznego. Stan mego zdrowia na II kursie się poprawił, lecz niezupełnie. Zalecono mi zmienić klimat na południowy. Wybrałem Kijów, gdyż charakter miasta w części polski, nęcił mnie. Gdym Apolonji zwierzył się z memi myślami, zdecydowała się prędko na zmianę klasztornej klauzury pensjonatu, w którym przez długie lata była zamknięta, na życie bardziej swobodne i niezależne, mając nadzieję znaleźć w Kijowie utrzymanie z lekcyj prywatnych, lub założenia tam małego pensjonaciku dla przychodzących dzieci. W kilka dni projekt już był zrobiony. Z Apolonją postanowiła jechać dawna jej znajoma, wychowanka pensjonatu św. Katarzyny, nauczycielka Emilja Wyganowska, bardzo jej oddana. Kolega Stefanowicz wtajemniczony w moje sprawy sercowe, dowiedziawszy o moim zamiarze wyjazdu do Kijowa, zdecydował się, nie mając nic do stracenia, pojechać z nami, zwłaszcza że w Petersburgu biedował.

Zdawszy pomyślnie tak zwany egzamin półlekarski, z II na kurs III, zamiast pojechania na wakacje na Litwę, w czerwcu w r. 1872 wyruszyliśmy ze Stefanowiczem do Kijowa, aby znaleźć tam mieszkanie

i zorjentować się w miejscowych warunkach, a po kilku tygodniach miała nadjechać Apolonja z p. Wyganowską.

Jadąc przez Moskwę, Orzeł i Kursk koleją, po kilkakrotnem przesiadywaniu się, czwartego dnia stanęliśmy w Kijowie. Po ponurym Petersburgu, malowniczy Kijów na wyniosłych wzgórzach, oblany szeroką wstęgą błękitnego Dniepru, umajony bogatą zielenią i skąpany w promieniach południowego słońca, ze swemi białemi murami, z błyszczącemi kopułami i krzyżami, sprawił na nas wprost czarujące wrażenie. Pomimo jednak tych stron dodatnich starożytna stolica Polan robiła po Petersburgu wrażenie lichego prowincjonalnego miasta, pogrążonego w piaskach lub błocie, bez bruków, chodników i oświetlenia. Główne ulice miasta, Kreszczatik i Wasylkowska, składały się z przeważnie małych drewnianych domków, lub pustych oparkanionych przestrzeni. Tylko bliżej ku kościołowi, na rynku i Kreszczatiku były większe domy. Miasto głuche. Zwyczaje patrjarchalne. Prawie wszyscy się znali. Życie tu biło bardzo wolnem tętnem. Ożywiało się raz do roku po Bożem Narodzeniu w ciągu kontraktów. Wtedy zjeżdżała się tu szlachta z kilku południowych gubernij i Kijów stawał się rynkiem zbytu produktów miejscowych, cukru, pszenicy, sprzedawanej przez wielu gospodarzy na pniu. Wydzierżawiano ziemię i kupowano majątki. Zjeżdżały się także liczne rzesze obywateli, chcących się zabawić, ożenić, zrobić interes, wydać córki zamąż. Przybywali szukający posad oficjaliści, przyjeżdżali aferzyści, Żydzi kupcy i faktorzy, wreszcie awanturnicy i szulerzy. Dolna część miasta, Padół, roiła się od bud i straganów na rynku, a dom t. zw. kontraktowy zajmowali kupcy miejscowi i przybyli z odległych miast ze swemi towarami. Niepoślednie miejsce zajmowały różne firmy warszawskie, szczególnie galanteryjne. Podczas kontraktów Kijów miał charakter miasta polskiego. W restauracjach, hotelach, kawiarniach, sklepach i na ulicach wszędzie brzmiała mowa polska, ku nieukontentowaniu rosyjskiej administracji. Z każdym rokiem jednak coraz więcej narzekano na upadek kontraktów w porównaniu z dawnemi w Dubnie, a później w Berdyczowie, skąd przeniesiono je do Kijowa. Z budową kolei, poprowadzonej w różnych kierunkach, z ważnym węzłem komunikacyjnym w Kijowie, handel przywozowy i wywozowy ustalił się, a targi doroczne zaczęły tracić na znaczeniu. Wśród wielu ludzi mało kulturalnych, mających na widoku li interesy materjalne lub zabawy, przyjeżdżali na kontrakty i jednostki wyrastające ponad tłum przeciętny, mające na celu rzeczy nieosobiste. Do nich należeli: biorący gorący udział w sprawach społecznych Tadeusz Bobrowski (znany ze swych pamiętników); zasłużony obywatel Leonard Jankowski; uczo-

ny Edward Kulikowski; historyk Aleksander Jabłonowski, który wrócił z wygnania i inni. Przyjeżdżali oni na kontrakty, szukając funduszów na wydawnictwa swych prac naukowych i dając inicjatywę do zbierania składek na instytucje narodowe, stypendja dla uczącej się młodzieży i na inne podobne cele.

*

* *

Przyjechawszy do Kijowa z kolegą Stefanowiczem, wyszukaliśmy z pewną trudnością skromny pokój dla siebie. Dla mojej narzeczonej i dla p. Wyganowskiej, które potem nadjechały, wynajęliśmy dwa pokoje z kuchnią w tej samej posesji. Na herbatę i obiady chodziliśmy do nich. Po ogłoszeniu przez Apolonję w gazetach o lekcjach, zaczęli się zjawiać rodzice z dziećmi i po paru tygodniach kilkanaście małych dziewcząt ek i chłopców siedziało już za stołem przy nauce. Początek najtrudniejszy został zrobiony. Korzystając z pogodnego lata, chodziliśmy po obiedzie na spacery, poznając piękne okolice Kijowa. W jesieni rozpoczęły się wykłady uniwersyteckie. Zacząłem się przykładać do medycyny praktycznej. Poznawałem metody diagnostyczne w filji szpitala miejskiego na ulicy Rejtarskiej. Tam uczył nas docent Eugenjusz Iwanowicz Afanasjew, który starannie spełniał swoje obowiązki pedagogiczne. Ulubieńcem młodzieży był drugi Afanasjew, Nikołaj Siergiejewicz, docent histologji patologicznej. Do pracowni jego uczęszczałem przez rok cały. Afanasjewa tego ściągnął do Kijowa przybyły z Charkowa profesor patologji ogólnej Chrząszczewski. W lat kilka potem, podczas wojny rosyjsko - tureckiej, Afanasjew, pracując w szpitalu, padł ofiarą brzusznego tyfusu. Młodzież intuicyjnie oceniająca zasługi naukowe swych zacnych przewodników, urządziła mu świetny pogrzeb.

Przyjaciel a zarazem nauczyciel Afanasjewa, prof. Chrząszczewski, był zaszczytnie znany ze swych prac mikroskopijnych. Cieszył się on też wielką popularnością wśród młodzieży. Był wnukiem zesłanego w r. 1831 z Podola Polaka, którego potomstwo wynarodowiło się. Obarczony liczną rodziną, nie mógł utrzymać jej ze skromnej płacy profesorskiej i zmuszony był dorabiać praktyką lekarską.

Klinikę chorób wewnętrznych na IV kursie prowadził przez długie lata prof. Teodor Mering. Był to Niemiec. Jako młody lekarz przybył z zagranicy do fabryki cukru. Nauczywszy się trochę po rosyjsku, został dzięki stosunkom powołany na katedrę do Kijowa, a co za

tem idzie, wyrobił sobie znaczną praktykę. Miał zdolności powiększania zarobionych pieniędzy rozmaitemi obrotami, to grą na giełdzie, to nabywaniem placów miejskich i rozsprzedawaniem ich oddzielnemi parcelami, to budowaniem domów, to zakładaniem cukrowni, to nabywaniem ziemi. Został z czasem miljonerem. Otrzymał nadto w wieczyste władanie od rządu tytułem nagrody za rusyfikację kraju skonfiskowany majątek polski. Wykładał zwykle przy łóżku chorego, mówił rozwlekle, bez przygotowania, nudnie, monotonnie, usypiająco. Wykłady często opuszczał, wyjeżdżając do bogatej handlowej Odesy, gdzie wówczas wydziału lekarskiego nie było, lub do innych miast. Największy kontyngens chorych Meringa stanowili Żydzi, którzy dniami całemi otaczali jego dom. Wypytując chorych o objawy ich chorób, jednocześnie, nie tracąc czasu, badał ich, np. przykładając do klatki piersiowej słuchawkę. Po paru minutach odbierał honorarjum, a stojący obok niego asystent z całego stosu przygotowanych kilku typów recept wręczał choremu jedną według wskazówek profesora. Tłumy chorych z wielką wiarą w uzdrowienie oczekiwały swej kolejki. Często przybyli zdaleka odchodzili niezadowoleni, że ich tak prędko się pozbyto. Krążyło wówczas wiele anegdot o Meringu, jak np., że pewien Żydek, otrzymawszy receptę, lecz niezadowolony z krótkiego badania, wyjął z kieszeni drugi papierek rublowy, prosząc o staranniejsze zbadanie.

Klinikę chorób wewnętrznych na V kursie prowadził prof. Pokrowskij, uczeń Botkina z Petersburga. Stał o wiele wyżej od Meringa jako pedagog. Można się było od niego niejednego nauczyć.

Klinikę chirurgiczną na IV kursie prowadził stary Karawajew, jeden z pierwszych profesorów, powołanych po otwarciu Wydziału lekarskiego w Uniwersytecie Kijowskim. Małego wzrostu, fizjognomji pospolitej, nie odznaczał się wykwintnem obejściem. Był on doskonałym technikiem i dobrym praktykiem, miał rękę śmiałą i pewną. Pedagogiem nie był. Operując, milczał. Nikogo niczego nauczyć nie potrafił. Żądny pieniędzy i skąpy, był, jak mówiono, jednym z większych akcjonarjuszów kolei południowo - zachodnich. Nas studentów, pełnych jeszcze ideałów, zlewał Karawajew wodą zimną, targując się przy nas w klinice z Żydówką lub chłopem, ile mają zapłacić za operację. Mówił w swej mowie bursackiej, używając przysłowia *„jewto": Upłotisz mnie jewto piat' karbowańcew* (pięć rubli); od innych brał *trojku* (trzy ruble), wyjątkowo tylko oceniał swój trud na *kraśnenkuju* (dziesięć rubli).

Przeciwieństwem do Karawajewa był Matwiejew, prof. położnictwa. Potomek zubożałych moskiewskich bojarów, zachował do sta-

rości okazałą podstawę. Wysokiego wzrostu, wyprostowany, o prawidłowych rysach twarzy, wykwintny i delikatny w obejściu, typowy *russkij barin*. W młodości studjował w Berlinie u swego szwagra prof. Buscha, potem przybywszy do Kijowa, zrósł się z tem miastem i tu życie zakończył. Znał języki obce, mówił biegle po polsku i był ulubieńcem miejscowej arystokracji. Naukowo nie pracował i za postępem wiedzy nie szedł, lecz, posiadając dar wymowy, wykładał znakomicie. Pieniędzy nie cenił i nie składał ich, żyć lubił wygodnie i po pańsku.

Pierwszym profesorem anatomji w Kijowie był Walter. Za moich czasów wykładał już jako emeryt historję medycyny, przedmiot nieobowiązujący dla studentów, to też miał zaledwie na swych wykładach 2 lub 3 słuchaczów, a w ich liczbie i mnie. Był on wychowańcem Dorpackiego Uniwersytetu i do starości pozostał niemieckim burszem. Uczęszczał do knajp i na wieczorki w różnych Eldoradach i Tivoli, gdzie otoczony młodemi adeptkami akuszerji lub damami półświatka, fundował im kolacje, a czasami tańczył. Miał reputację marną. *Za „obrusienje kraja"*, podobnie jak i inni profesorowie Niemcy, otrzymał w nagrodę skonfiskowany polski majątek. Na schyłku życia otrzymał synekurę w Warszawie, posadę inspektora szpitali cywilnych Warszawy.

Z dawniejszych profesorów zastałem w Kijowie także profesora anatomji patologicznej Niemca dorpatczyka Matsona, który naukowo pracował, ale tylko za młodu. Po rosyjsku nie nauczył się mówić nigdy poprawnie. Syn Matsona był nacjonalistą rosyjskim, podobnie jak i synowie innych Niemców profesorów: Meringa i Waltera. Tak to łatwo wynarodowiają się dzieci Niemców już w pierwszem pokoleniu, szczególnie jeżeli wymaga tego ich interes.

Gdym przyjechał do Kijowa, ustępował właśnie z katedry, idąc na emeryturę stary dorpatczyk, Niemiec prof. v. Hübenet, prowadzący klinikę chirurgiczną dla V kursu w szpitalu wojskowym na Pieczersku. Słynął on ze swej próżności i ambicji. Katedrę po nim otrzymał Kołomnin. Był to człowiek młody, chorowity, nieśmiały, pracowity. Nie posiadał żadnych kwalifikacyj na chirurga. Kołomnin został powołany potem na katedrę chirurgji w Akademji wojskowej lekarskiej w Petersburgu. Tam w początkach stosowania kokainy w celu miejscowego znieczulenia, wstrzyknął za wielką dawkę operowanemu, wskutek czego umarł on. Kołomnin odczuł to tak silnie, że wystrzałem z rewolweru życie sobie odebrał. Kołomnina znałem dobrze, pracując parę lat w jego klinice. Był on delikatny w obejściu. Wiele praktycznych wiadomości z chirurgji jemu zawdzięczałem.

Z innych profesorów, których wykładów słuchałem, lub którzy byli w tym czasie na Uniwersytecie, wymienię jeszcze niektórych, a przedewszystkiem Aleksandra Iwanowa, zaszczytnie znanego ze swych prac, odnoszących się do histologji oka. Iwanow był suchotnikiem, miewał częste krwotoki płucne, a przytem nie gardził kieliszkiem. Był szorstki dla pacjentów, a nieznośny dla asystentów i służby. W obejściu ze studentami był względniejszy. W Uniwersytecie występował on jako zawzięty antagonista Niemców. Wykształcił wielu okulistów. Najbardziej utalentowany z jego uczniów był Polak Konrad Rumszewicz, znany okulista kijowski, autor wielu prac z tego zakresu.

Za moich czasów studenckich wykładali w Kijowie: Subbotin — higjenę, Erhardt — medycynę sądową, Szefer — chemję fizjologiczną, Tomsa z Pragi — fizjologję, wszyscy Niemcy, jeżeli nie z pochodzenia, to z kultury. Anatomję wykładał uczeń Waltera, prof. Bec, Ukrainiec, kolega Izydora Kopernickiego prosektora, który po powstaniu 1863 r. wyemigrował zagranicę, a wróciwszy do Polski, habilitował się jako docent prywatny i wykładał antropologję w Krakowie. Z Polaków wśród wykładających w Uniwersytecie pozostał jedynie docent prywatny dermatologji, dr. Ludwik Gorecki, a nadto mieszkali w Kijowie dwaj Polacy emeryci, którzy po zamknięciu Uniwersytetu Wileńskiego zostali przeniesieni do Uniwersytetu Kijowskiego i w nim doczekali się emerytury. Byli to: Ignacy Fonberg, profesor chemji, uczeń i następca Jędrzeja Śniadeckiego w Uniwersytecie Wileńskim, oraz Miram, prof. weterynarji.

Z profesorów innych wydziałów poznałem Włodzimierza Antonowicza. Wykładał on historję Rusi Litewskiej i prowadził badania archeologiczne. Widziałem go po raz pierwszy w auli uniwersyteckiej podczas jakejś dysertacji historycznej, w której był wyznaczony jako urzędowy oponent. Był bardzo niepoczesny, małego wzrostu, pleczysty, o twarzy czworokątnej, wygolonej, o oczach nieśmiałych, z podełba patrzących, z podciętą grzywką, robił wrażenie katolickiego mnicha, lub cerkiewnego diaka. Dopiero kiedy zaczął mówić, przejawiała się jego wielka wiedza historyczna. W latach późniejszych, już jako lekarz, bywałem nieraz u Antonowicza, czy to w kwestjach dotyczących wykopalisk, czy mierząc w jego gabinecie szczątki ludzkie z różnych kurhanów. Przekonałem się wówczas na ile zwodniczą była jego powierzchowność i jak nie licowała z jego treścią duchową. Zadziwiał mnie swemi ogromnemi wiadomościami i pamięcią. Jednocześnie zastanawiała mnie przeszłość tego człowieka, który, pochodząc z polskiej rodziny szlacheckiej, wyparł się jej za

młodu po r. 1863, a w pamiętnikach swych, pisanych w zgrzybiałym wieku, poszedł jeszcze dalej, bo nietylko urągał społeczeństwu, z którego wyszedł, lecz, chcąc otrząsnąć wszelki proch ze swego obuwia, zrobił zarzut swej matce nieżyjącej, twierdząc, że jest synem nie szlachcica polskiego, lecz przybłędy Rumuna. Tego rodzaju zwierzenia starca, stojącego nad grobem, czynią te pamiętniki ohydnemi. Zasługi naukowe Antonowicza są wielkie, nietylko jako historyka, który zbadał wiele najstarszych archiwów i odbudowywał z nich przeszłość, lecz i jako archeologa, który przyczynił się niemało do rozjaśnienia prehistorji Rusi zachodniej aż do doby słowiańskiej. Gruntowne miał on podstawy naukowe. Ukończył najpierw wydział lekarski, a następnie historyczno - filologiczny. W stosunkach prywatnych był człowiekiem wielce delikatnym i uczynnym, a w sądach o ludziach wstrzemięźliwym. Życie Antonowicza stało się istną tragedją. Z jednej strony popierany skutecznie przez rząd rosyjski, walczył z Polakami, uważany przez nich za renegata, z drugiej strony, podszywając się pod hasła monarchizmu i prawosławja, podstępnie zdradzał Rosję, apoteozując Ukrainę i marząc o jej odbudowie. Przede mną nieraz narzekał, że, wciąż śledzony i otoczony szpiegami, żyje jak na wulkanie. Wierzył jednak wciąż w odrodzenie się Ukrainy.

Za moich czasów rektorami Uniwersytetu Kijowskiego byli: matematyk Waszczenko - Zacharczenko i prawnicy Renenkampf oraz Bunge, profesor ekonomji politycznej, późniejszy minister skarbu i prezes komitetu ministrów. Bunge urodził się w Kijowie. Był synem ewangelickiego pastora. Za czasów Aleksandra II, będąc jeszcze młodym, był nauczycielem dwóch następców tronu: Mikołaja i późniejszego cara Aleksandra III. Był on czystym Niemcem z wyglądu i z temperamentu: bardzo grzeczny, układny, ostrożny i nieszczery w postępowaniu, ażeby się nikomu nie narazić.

ROZDZIAŁ IX.

Polska młodzież akademicka w Kijowie. — Wspomnienia o Michale Czajkowskim. — Moi koledzy kijowscy. — Ukończenie studjów medycznych.

Młodzież uniwersytecka w Kijowie przedstawiała o wiele większą mozaikę narodowościową, niż w Petersburgu, gdyż oprócz Rosjan i znacznej liczby Ukraińców było wielu Polaków i Żydów a także grupa słowian południowych. Rosjanie i Ukraińcy dzielili się według miejsc pochodzenia na t. zw. „ziemlaczestwa", większość Polaków i Żydów trzymała się osobno. Były i socjalistyczne kółka różnych odcieni, począwszy od partji „ziemli i woli", aż do skrajnych nihilistów, wszystko negujących, i anarchistów. Do partyj tych należała nietylko młodzież uniwersytecka. Najsłabiej byli w nich reprezentowani Polacy, a ci pochodzili z rdzennej Rosji, lub z samego Kijowa. Władze policyjne bardziej śledziły wówczas stowarzyszenia i zebrania młodzieży polskiej, niż socjalistycznej, choć Polacy bardzo ostrożnie postępowali. Więcej niż połowa polskiej młodzieży brała udział w Kole Polskiem, stowarzyszeniu, dzielącem się na liczne kółka, każde złożone z 10 lub 12 osób. Na czele kółek stali przewodniczący, stanowiący radę ogólną Koła. Zebrania kółek odbywały się raz lub dwa razy miesięcznie, każdym razem w innem miejscu. Członków Koła obowiązywała tajemnica. Składali oni drobne kwoty na bratnią pomoc, prenumerowanie czasopism i kupowanie książek. Kasę Koła zasilały jednorazowe datki różnych życzliwych osób. Większe sumy wpływały ze składek, zbieranych w czasie kontraktów kijowskich; wynosiły one kilka tysięcy rubli rocznie. Kto chciał wstąpić do Koła, musiał być przedstawiony przez dwóch kolegów, którzy za niego ręczyli, a następnie być zatwierdzony przez radę Koła. Zadaniem głównem członków Koła było samokształcenie się w języku ojczy-

stym, urządzanie odczytów w ściślejszych kółkach i wspomaganie się wzajemne. Oprócz tego urządzano tajne wykłady niedzielne dla nauki polskich dzieci. Dla przysporzenia środków Kołu zbierano składki, urządzano koncerty, odczyty i t. d. Na przeszło 400 studentów Polaków, należało do Koła niewiele co więcej jak 200. Była to młodzież, która poczuwała się do polskości; reszta byli to obojętni pod względem narodowym, lub tchórze. Było wielu i takich, którzy wskutek systemu rusyfikacyjnego, lub wpływu rodziców uważali się za Rosjan wyznania katolickiego i po polsku nie mówili. Pochodzili oni głównie z Mińszczyzny i Mohylowszczyzny. Do nich należeli: Moczulski, Sokołowski, Jacyna i inni. Koło polskie posiadało swą własną bibljotekę ze starszych i nowszych dzieł złożoną. Pozostała ona z czasów przedpowstaniowych 1862 r. i przez lat kilka nie była czynną, pozostając u ludzi dobrej woli w depozycie. Właśnie wtedy, kiedym przyjechał do Kijowa, została zwrócona młodzeży. Ażeby ukryć organizację przed władzami rządowemi każdorazowy bibljotekarz mieszkał w lokalu wynajmowanym dla bibljoteki, i uchodził za jej faktycznego właściciela. Najżywszy udział w organizacji stowarzyszenia brali studenci z niższych kursów. Bibljotekarzem był Alojzy Dłuski z Podola, prawnik, należący przytem do socjalnych organizacyj studenckich i prowadzący propagandę wśród robotników. Później Dłuski przez długie lata zamieszkiwał w Odesie jako adwokat, prowadząc dalej propagandę, za którą ucierpiał będąc parokrotnie zsyłany na wygnanie. Szczególną powagą wśród kolegów Polaków cieszył się Dionizy Jankowski, również prawnik. Choć młody, lecz bardzo zrównoważony i nad wiek poważny, bardzo ceniony dla swych przymiotów osobistych, pracowitości i uczciwości. W sprawach natury drażliwej, w sądach polubownych zawsze występował jako arbiter. Zewnętrzny już jego wygląd wzbudzał zaufanie. Niskiego wzrostu, blondyn, o długiej pięknej brodzie, którą zwykł był gładzić ręką, flegmatyk, mówił mało, lecz z namysłem. Był on istnym Katonem między nami i takim pozostał w życiu. Pochodził z Wołynia i był prawosławny. Gdy w lat kilka potem zamieszkałem na Ukrainie, losy znowu nas zbliżyły. Miałem wówczas możność poznać i ocenić jeszcze lepiej tego szlachetnego człowieka, lecz niestety przedwcześnie zmarłego.

Jednocześnie ze mną byli w Uniwersytecie, lecz na wydziale prawnym: Sobolewski, późniejszy adwokat w Kijowie; Czopowski znany adwokat w kolonji polskiej w Petersburgu; Dynowski Eustachy, pochodzący z licznie rozrodzonej rodziny na Ukrainie; Czesław Neyman i Florkowski Józef z Taraszczańskiego, podobno pochodzenia

ormiańskiego, który po ukończeniu Uniwersytetu zamieszkał w swym majątku.

Na wydziałach historyczno - filologicznym i fizyko - matematycznym, jako mniej zabezpieczających byt materjalny Polaków, nie mogących otrzymać posad nauczycielskich, było zaledwie kilku studentów Polaków. Z pomiędzy nich lepiej mi pozostali w pamięci bracia Dybowscy, szczególnie starszy Stanisław, lat trzydziestu kilku. Ukończył gimnazjum w r. 1863. Początkowo z namowy swego opiekuna księdza wstąpił do duchownego seminarjum w Żytomierzu, lecz po paru latach, z powodu przeszkód rządowych, musiał porzucić seminarjum. Lat kilka trudnił się dawaniem lekcyj. W końcu w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku wstąpił do Uniwersytetu na Wydział historyczno - filologiczny. Był to człowiek wielce oryginalny. Średniego wzrostu, barczysty, blondyn, o mocnej budowie, krótkich kończynach górnych i wyjątkowo drobnych rękach, wyróżniał się wielką łysą głową i twarzą ogromną, okrągłą, jak słońce, obramienioną dużą brodą. Wyrażał się źle i był bardzo zająkliwy. Charakter miał uparty i stanowczy. Z początku był gorliwym katolikiem, potem stał się wrogiem kościoła i zawziętym narodowcem, a w Uniwersytecie przerzucił się do socjalizmu. Nienawidził wszelkich instytucyj finansowych, nazywając je djabelskiemi. Po ukończeniu Wydziału filologicznego, popierał kwestję robotniczą, był projektodawcą i jednym z założycieli banku spółek robotniczych w Kijowie, niemało włożył w to zapału i bezinteresownej pracy, a kiedy ta instytucja zaczęła się rozwijać, został przez swych towarzyszy usunięty z powodu kłótliwości i nieustępliwości. Na zebraniach kółka studenckiego, do którego należeliśmy, występował często z referatami na tematy historyczne, lub aktualne społeczne. Swych oponentów zwalczał namiętnie, dając im różne przezwiska. Był ostry i bezwzględny dla szlachty i duchowieństwa, a w swych sądach krańcowych nie uznawał żadnych kompromisów. Występował w różnych tajnych stowarzyszeniach demagogicznych z mowami o zwalczanie kapitału. Widziano go nieraz w nocy w zaułku, w bramie, lub pod latarnią, gdzie niespostrzeżony przez stójkowego, stawał jak apostoł pośród grona kilku robotników, zmęczonych całodzienną pracą, i wykładał im teorję Marxa.

Wśród polskiego społeczeństwa na Rusi, a szczególnie wśród młodzieży, niemałą sensację zrobił przyjazd w r. 1873 do Kijowa znanego emigranta Michała Czajkowskiego, który, uczestnicząc w powstaniu listopadowem, po wzięciu Warszawy przybył do Paryża i przez rząd francuski był wysłany jako tajny agent dyplomatyczny do Kon-

stantynopola. W r. 1851 wstąpił do służby tureckiej, przyjął islamizm i pod imieniem Mahometa Sadyka Paszy organizował kozaków sułtańskich i brał udział w wojnie przeciw Rosji w r. 1853 — 1856. Któż z ludzi mego pokolenia nie znał utworów Czajkowskiego?! Ileż to ułud promiennych wniósł on w społeczeństwo polskie! Zaczytywaliśmy się jego powieściami, czyto z bytu wojskowego Kozaków zaporoskich i Słowian Dunajskich, czyto legendą o Wernyhorze, czyto Kirdżalim, Stefanem Czarneckim, „Hetmanem Ukraińskim" i tylu innemi. Przy naszym romantyzmie politycznym, zapowiedź przyjazdu człowieka, który nietylko słowem i piórem, ale i szablą przez lat przeszło 40 walczył w obronie Polski, zdawała się zapowiadać jakieś pomyślniejsze horoskopy. Narazie trudno było uwierzyć, aby ten człowiek, który potrafił wygrywać na naszych uczuciach, był tylko prostym politycznym awanturnikiem, a co gorzej jeszcze renegatem, przekreślającym całą swą dotychczasową działalność patrjotyczną. Zawód był straszny, kiedy się dowiedziano, że Czajkowski złożył przed posłem rosyjskim w Konstantynopolu hr. Ignatiewym swą rehabilitację polityczną, a ten mu wyrobił u cara amnestję i powrót do Rosji. Młodzież mniej doświadczona i zostająca wciąż pod wrażeniem czynów Czajkowskiego, jako bohatera narodowego, nie chciała w to długo uwierzyć. Przyjechał wreszcie do Kijowa 65-letni starzec, z podarowaną mu przez sułtana, jako dowód łaski, 20-letnią Greczynką, pochodzącą z jego haremu. Towarzyszyło mu dwóch młodych Polaków, byłych oficerów z jego pułku. Podobno starszy syn Czajkowskiego ożeniwszy się z córką posła Ignatjewa, pojechał do Petersburga i tam został przyjęty do gwardji jako pułkownik ułanów; młodszy syn pozostał zagranicą. Czajkowski ze świtą zamieszkał w hotelu Bellevue na Kreszczatiku, gdzie ich już pierwszej nocy niegościnne przyjęto, gdyż silnie zaczadzili się w hotelu i omal że nie postradali życia. Prof. Mering, wezwany do chorych, dowcipkował, że miał trzech zaczadzonych pacjentów: Polaka, Greczynkę i małpę. Cały Kijów interesował się niemi, a zwłaszcza młodzież, widząc w powrocie Czajkowskiego zwrot w antypolskiej polityce Rosji. Starsze zaś pokolenie, dawni rówieśnicy i koledzy Czajkowskiego, nie łudzili się. Przyjęli go nietylko zimno i obojętnie, lecz wrogo. Sadyk-pasza wówczas zaczął agitować wśród młodzieży, mając nadzieję znaleźć u niej popularność i zrozumienie dla swej samobójczej polityki. Pośrednictwa podjął się niejaki Piotrowski, człowiek młody, nazywający siebie siostrzeńcem jenerała. Wychwalał wujaszka, że dla politycznego bytu Polaków wiele zdziałać może, i nakłaniał młodzież, by zechciała wysłać deputację dla porozumienia się

z Sadykiem-Paszą. Znalazło się kilku, którzy zdecydowali się na to, wiedzeni ciekawością. Udali się więc do jenerała. Pomiędzy nimi byli Dybowski i Neyman. Czajkowski oczarował ich swą piękną i sympatyczną postawą, ciekawemi opowieściami o życiu i przygodach, wreszcie słodkiemi słówkami, któremi mistrzowsko umiał porywać za serce. Prosił ich o popieranie w szerszych kołach myśli propagowanej przez niego, ażeby młodzież podjęła inicjatywę podania wiernopoddańczego adresu do cara i zebrania podpisów od Polaków kresowych. Czajkowski zapewniał, że wskutek takiej odezwy spłyną dla Polaków łaski carskie i odwróci się ich stan beznadziejny, groźny dla ich przyszłści. Adres w ogólnych zarysach podany przez Sadyka-Paszę, miał zawierać wyznanie, iż Polacy po stuletniej niewoli przyszli do wniosku, że tylko na zasadzie wzajemności słowiańskiej w ścisłem połączeniu z Rosją mogą ocalić swój język, narodowość i mieć swobodę w rozwijaniu kultury polskiej. Ciężkie wiekowe doświadczenia nauczyły Polaków, że odbudowanie ojczyzny jest mrzonką, że zbrojne powstania do niczego nie doprowadzą, że na sprzymierzeńców w Europie liczyć nie mogą, gdyż wszyscy zrobili z Polaków igraszkę i w swych widokach osobistych ciągną z nich zyski. Nic więc nie pozostaje, jak prosić wspaniałomyślnego i potężnego cara o przebaczenie grzechów przeszłości i roztoczenie nad narodem polskim swej ojcowskiej opieki. W takim mniej więcej tonie rozpaczliwej rezygnacji projektowany był pierwotny adres, który miał wywrzeć, według Czajkowskiego, dodatnie wrażenie na rząd i społeczeństwo rosyjskie, a przez to polepszyć położenie Polaków. Po kilku burzliwych prywatnych naradach młodzieży polskiej urządzono publiczne zebranie jej w prywatnem mieszkaniu Neymana, za zgodą policji, pod czujną opieką żandarmów i stójkowych. Szczupłe mieszkanie z wypożyczonym sąsiednim lokalem zapełniło około półtorasta ludzi. Już z początkowego nastroju czuć było, jaki duch panuje wśród zebranych. Większość ogromna przyszła przez ciekawość, lub w obawie, aby krewka młodzież nie zrobiła głupstwa i nie podpisała adresu. Gospodarzami zebrania byli Neyman, Dybowski i rzekomy kuzyn Czajkowskiego Piotrowski. Przewodnictwo objął Dybowski. W krótkich słowach przedstawił ciężkie położenie Polaków wogóle, a w szczególności na kresach przy eksterminacyjnej polityce rządu, mówiąc, że jeżeli tak dalej pójdzie, to żywioł polski zniknie. Rząd dlatego prowadzi politykę antypolską, bo patrzy na Polaków, jako na żywioł groźny dla całości państwowej. Ażeby wyjść z tego nieznośnego położenia, zamiast ręce załamywać w rozpaczy, należy działać. Wiadomem jest, że oprócz warstwy bardzo powierzchownej kulturalnej na Rusi, stano-

więcej ogromną mniejszość, mieliśmy niegdyś liczną klasę osadników, lecz już szczątki ich giną, tępione przez rząd, pozbawiający ich wszelkich praw obywatelskich. Do zaniku ich przyczyniają się także małżeństwa mieszane i brak nauki polskiej oraz kościołów. Ekonomicznie żywioł polsko-katolicki gnębiony jest przez kontrybucje, zakaz kupna ziemi i t. p. rzeczy. Więksi właściciele przychodzą w pomoc rządowi, bo w celu zaokrąglenia swych majętności wyzuwają z ziemi osiadłą od wieków szlachtę czynszową. Wszystko więc w tym kraju składa się na wyrzucenie nas stąd. Rząd prowadzi walkę z Polakami dlatego, że ci go zdradzają i nie ma do nich zaufania, na które trzeba zasłużyć. Mówca radzi więc zerwać z polityką spisków i powstań, a pierwszym krokiem do tego będzie wyrażenie swych uczuć wiernopoddańczych w zredagowanym przez zwołujących zebranie adresie, który zaczął czytać według punktów, nad któremi rozpoczęły się debaty. Oprócz studentów przyszedł zaproszony na posiedzenie weteran powstania z r. 1863, adwokat Lipoman, który niedawno wrócił z wygnania. Zabrał on głos. Nie wchodząc w treść adresu, roztrząsał pytanie: czy należy podać adres, czy też zupełnie zaniechać tego?

Ostro mu na to odpowiedział Dybowski, że zebrano się nie dla debatów, czy adres posyłać, lub nie, lecz tylko dla przeczytania go i podpisania. Zerwała się burza przeciw takiemu postawieniu kwestji, grożono rozejściem się. Dybowski musiał pójść na ustępstwa. Postawiono najpierw pytanie: czy pożądane jest posłanie adresu? Przeszło to, coprawda większością głosów bardzo nieznaczną i przystąpiono do redagowania adresu. Zaczęto potem debatować nad każdym punktem i wprowadzać różne poprawki i uzupełnienia. Odezwały się głosy, że za zaniechanie dążenia do niepodległości powinni mieć Polacy zabezpieczony byt narodowy, religję i kulturę w granicach przed pierwszym podziałem Polski. Na to odpowiedziano, że przecież Polacy mogą żądać tego conajwyżej w swych granicach etnograficznych. Sprzeczki i kłótnie zaostrzały się. Inicjatorowie adresu, widząc, że zebrani gromadnie opuszczają salę, zaczęli iść na ustępstwa, lecz i to nie zadowoliło przeciwników adresu. Dybowski irytował się, zarzucając im brak odwagi cywilnej i tchórzostwo. Neyman zapalał się, dowodząc, że gdyby nawet miał spotkać nieprzejednaną opozycję starszych i *moszrodziei*, to adres podpisze. Piotrowski krzyczał, że dla miłości ojczyzny wszystko poświęci, a nawet życie. O drugiej po południu nie było już połowy zebranych. Dotrwałem aż do końca. Kiedyśmy się rozchodzili około 5-tej, nie było nas więcej nad dwudziestu. Ponieważ adres nie był ostatecznie zredagowany, postanowiono zebrać się w mieszkaniu Lipomana o 7 wieczorem. Zmęczony

i z silnym bólem głowy od gorąca i dymu tytoniowego, lecz ciekawy końca, poszedłem do Lipomana, gdzie razem z gospodarzem zebrało się tylko 9 osób. Po kilkogodzinnych naradach oświadczyli się za adresem tylko Dybowski, Neyman i Piotrowski, a przeciw Lipoman, Dłuski, Jankowski, ja i jeszcze paru. Potem przyłączył się do nas i Neyman. Adres uchwaliło więc tylko dwóch. Skończyła się ta komedja „Czajkowszczyzny" tem, że Dybowski z Piotrowskim jeden egzemplarz adresu złożyli w kancelarji jenerał - gubernatora w celu przesłania do Petersburga, drugi u naczelnika żandarmerji w Kijowie, kopję zaś przesłano do redakcji „Moskowskich Wiedomostiej". Znikąd jednak nie nadeszła żadna odpowiedź. Taki był epilog tej smutnej sprawy.

Czajkowski, odepchnięty przez krewnych i przyjaciół młodości, przekonał się, że nie może znaleźć miru i wśród młodzieży. Rozgniewany i tchnący zemstą do wszystkiego co polskie, idzie w ślady Zygmunta Terleckiego, powstańca 1831 r., emigranta. Terlecki, skończywszy medycynę w Krakowie, przeszedł na unję i szerzył ją wśród Jugo-słowian, lecz misja się nie powiodła. Uzyskawszy amnestję, wraca do Kijowa, przechodzi na starość na prawosławie, zostaje dygnitarzem cerkiewnym w Ławrze Kijowskiej i jako zażarty misjonarz nawraca na prawosławie knutem i iście średniowiecznemi torturami odszczepieńców sekciarzy-sztundystów.

Wkrótce po opisanych debatach nad adresem wiernopoddańczym dowiedzieliśmy się z przykrością o uroczystem przejściu Czajkowskiego w Soborze Sofijskim w Kijowie na prawosławie i połączeniu się węzłem małżeńskim z Greczynką. Wówczas to przeczytaliśmy długą jego spowiedź polityczną w „Moskowskich Wiedomostiach", w której oplwał całą swą przeszłość, wylewając potoki żółci i jadu na Polaków i społeczeństwo polskie. Taką samą nienawiścią pałają jego pamiętniki, ogłoszone po jego śmierci przez syna w „Russkoj Starinie" i „Istoriczeskom Wiestnikie". W zarozumiałości swej Czajkowski myślał, że powrót jego na Ukrainę będzie tryumfalnym pochodem, i że rząd hojnie wynagrodzi jego renegactwo. Tymczasem u swoich spotkał pogardę, a władze rządowe traktowały go z nieufnością. Urodził się katolikiem, później został muzułmaninem, a w końcu życia prawosławnym. Stawszy się renegatem, starał się u rządu rosyjskiego o zwrot skonfiskowanego mu majątku na Wołyniu, jako rekompensatę za straty, które poniósł, przenosząc się do Rosji i pozbawiając się tureckiej emerytury. Rząd jednak na to nie przystał, natomiast dał chutor w Czernihowszczyźnie i drobną zapomogę, z czego Czajkowski nie był zadowolony. Osiadłszy na tym kawałku ziemi, zapomniany

przez wszystkich, opuszczony przez żonę, która uciekła z oficerem, zawiedziony w swych nadziejach, wystrzałem z rewolweru zakończył swój burzliwy i awanturniczy żywot.

* * *

Z Polaków, studjujących w Kijowie, najwięcej uczęszczało na wydział lekarski, ponieważ wydział ten dawał fachowe wykształcenie, a w przyszłości kawałek chleba.

Wymienię niektórych kolegów, którzy mi lepiej zostali w pamięci. Do nich należeli: Tytus Bukowski, Iskierski, Kiszkowski, Pilichowski, Krasnopolski, Rosenel, Niewiarowski, Domaniewski, Malinowski, Adam Adamowicz, Bolesław Płaskowicki, Podsudziejewski, Celestyn Malhomme, Roman Pstruszyński, Bernatowicz, Teodor Opęchowski i Dobrowolski. Wśród nich szczególnie sympatyczny był Domaniewski, który po tyfusie brzusznym musiał się poddać operacji przecięcia tchawicy, skutkiem czego głos miał przytłumiony i chrypliwy. Na wykładach często zasypiał i tak chrapał, że musiano go budzić. Osiadł potem w Żytomierzu jako lekarz praktykujący, ciesząc się wielkiem uznaniem. Stał przez długie lata na czele zarządu miasta. Malinowski osiadł w Rzyszczowie nad Dnieprem w Kaniowskiem. Adamowicz po ukończeniu medycyny zajmował się przez lat kilkanaście gospodarką rolną, poczem jako lekarz osiadł w Szarogrodzie na Podolu. Bolesław Płaskowicki, który w Uniwersytecie należał i do koła polskiego i do organizacji socjalistycznej, po ukończeniu medycyny otrzymał jako stypendysta rządowy posadę lekarza więziennego w Irkucku. Podsudziejewski medycyny nie ukończył i w kilka lat po opuszczeniu uniwersytetu umarł w szpitalu dla obłąkanych. Malhomme zamieszkał w swoich stronach rodzinnych w lubelskiem, gdzie praktykował do końca życia. Roman Pstruszyński przyjął po skończeniu uniwersytetu posadę lekarza powiatowego na Wołyniu, lecz wkrótce, zaraziwszy się tyfusem brzusznym, zmarł. Bernatowicz był lekarzem wojskowym w Kownie, a Dobrowolski zajmował się praktyką lekarską w Humaniu. Teodor Opęchowski, rodem z Podola, był na studjach niżej ode mnie. Mało sympatyczny z powodu wielkiej zarozumiałości, grał rolę arystokraty, będąc synem ekonoma dorobkiewicza. Wyróżniał się od innych kolegów dbałością o swój wygląd, nosił cylinder, brał lekcje tańców i śpiewu, wciskał się do towarzystw pretendujących na miano sfer wyższych. Mając wielkie ambicje, habilitował się później jako docent prywatny w Dorpadzie z chorób wewnętrznych, następnie wykładał na kursach lekar-

skich Heleny Pawłowny w Petersburgu, a wreszcie był profesorem Uniwersytetu w Saratowie, gdzie życie zakończył. Był to karjerowicz w całem tego słowa znaczeniu. Od Polaków stronił, prac naukowych ogłosił mało, a z nich ani jednej po polsku.

* * *

Zajęcia moje szły zwykłym trybem, wykłady teoretyczne i szpitalne pochłaniały ranki i wieczory. Po świętach Bożego Narodzenia, które spędziliśmy w szczupłem swojem gronie, Apolonja zaczęła niedomagać: wybladła, wieczorami miewała dreszcze, występowały wypieki na twarzy, suchy kaszel, w flegmie znajdowały się żyłki krwi. Zaniepokoiło to mnie. Mając słabe pojęcie o medycynie, jako student 3-go kursu, udałem się z narzeczoną do profesora Afanasjewa, którego znałem z kliniki. Stwierdził on zagęszczenie szczytu prawnego płuca i zalecił wyjazd chorej do Krymu, wobec czego Apolonja w końcu lutego wyjechała do Sebastopola, gdzie skutkiem silnych wiatrów wiosennych, nie było wielkiego natłoku chorych, a życie tańsze, niż na południowym Krymie. Chora zaczęła się prędko poprawiać i po kuracji winogronowej w jesieni wróciła do Kijowa. Przez czas jej nieobecności pensjonacik prowadziła panna Emilja, pobierając za to znaczniejszą część dochodu. Z radością powitałem wracającą Apolonję, z pełną wiarą w przyszłość. Zima przeszła jej pomyślnie, lecz ku wiośnie dostała przy zewnętrznym dobrym wyglądzie płucnego krwotoku, poczem pozostał lekki suchy kaszel. Traciła na humorze i nikła w oczach. Sądząc z zeszłorocznej kuracji, wierzyłem w to, że południowe niebo Krymu jeszcze ją uzdrowi. Nie chciało się biednej odjeżdżać, była przygnębiona, może tkwiło w niej przeczucie, że już nie wróci. W Krymie miała już kilku znajomych Polaków i lekarza Zaniatowskiego, który ją leczył, a nadto rodzinę węgierską, okazującą jej wielką sympatję i opiekę, u której w pensjonacie powtórnie zamieszkała. Nie była więc w Sebastopolu zupełnie obcą, jak przed rokiem. Na prędki powrót liczyć nie mogła, gdyż lekarze zadecydowali, że powinna w Krymie przynajmniej rok czasu przebyć. Czułem się bardzo przygnębiony. P. Emilja, zrażona niepowodzeniami, postanowiła zwinąć pensjonat. Niemało wpłynęło na jej decyzję to, że wuj jej, zamieszkały w Neapolu, wzywał ją do siebie. Wiedząc, że nie miała żadnych funduszów, za zgodą Apolonji oddałem jej całą skromną ruchomość ich mieszkania i trochę gotówki na drogę. W tym czasie Stefanowicz ukończył medycynę, a za pobierane przez parę lat stypendjum rządowe, musiał odsługiwać, wobec czego przyjął posa-

dę lekarza żeglugi na morzu Kaspijskiem w Baku. W ten sposób nasza kolonja petersburska rozpierzchła się, a ja zostałem w Kijowie jeden ze swemi myślami i kłopotami. Ostatnie moje fundusze wyczerpywały się, bo musiałem łożyć na moje utrzymanie i posyłać chorej. Kurs piąty medycyny przebyłem w pracy, w klinikach i nad książką. Czas prędko mi schodził. Jedynem mojem dążeniem było czemprędzej ukończyć medycynę i osiąść gdzieś na wolnej praktyce, ażeby zarabiać na skromne utrzymanie dla siebie i dla chorej. Co kilka dni otrzymywałem listy z Krymu niby uspokajające, choć nie zawierające nic nowego, żadnych pomyślnych wieści, gdyż zdrowie Apolonji się nie poprawiało, miała gorączkę i kaszel.

W ciągu pobytu w Kijowie spotykałem tam znajomych z Kowna z czasu mego dzieciństwa. Do nich należał Walery Kulikowski, o którym już wspominałem. Szczęśliwie uszedł on stryczka, lecz został zesłany na Syberję. Zwolniony po kilku latach, otrzymał propozycję do objęcia posady architekta za kontraktem trzechletnim u znanego kupca nerczyńskiego D. M. Butina, który prawdziwie po amerykańsku, z małego chłopca, pracującego w handlu, doszedł po latach kilkunastu do miljonowego funduszu, posiadając kopalnie złota, huty żelazne, sklepy, gorzelnie i t. d. Żył wystawnie i używał swych dóbr, a jak sybiracy mówią „gremieł wo wsiu" (słynął z bogactwa). Zwiedzał stolice świata, wprawiał w podziw hojnością Krezusa, kupił własny okręt i odbył na nim podróż dookoła świata. Przywoził zewsząd co się dało: z Paryża meble, dywany, całe ściany lustrzane i dzieła sztuki, z innych części świata różne okazy miejscowych wyrobów. Wszystko zwoził do swego rodzinnego miasta Nerczyńska w kraju Zabajkalskim. Część tego miasta sam zabudował: postawił tam pałac dla siebie, wybudował różne szkoły, nie wyłączając gimnazjum, bank i inne instytucje. Plany tych budowli i nadzór nad ich wykonaniem miał sobie powierzone Kulikowski. U Butina, prócz Kulikowskiego, pracowało wielu Polaków. Kulikowski ożenił się na Żmudzi z panną Ewą Huszczówną, utalentowaną rzeźbiarką, która mu pomagała w jego pracy jako architekta w Nerczyńsku. Po latach kilku, uzyskawszy prawo powrotu do kraju, osiadł w r. 1874 z żoną i z dziećmi w Kijowie, gdzie otrzymał posadę architekta na kolei Południowo-Zachodniej. Zbliżyłem się do rodziny Kulikowskich i w wolnych chwilach na pogawędce niejedną miłą chwilę u nich spędzałem. Byli to ludzie wielkiej pracy i czynu. W Kijowie znaleźli szerokie pole do zastosowania swoich wiadomości, zdolności i pomysłów. Los ich zbliżył z dzielnym technikiem, przybyłym z Krakowa, Józefatem Andrzejowskim i z nim do spółki założyli fabrykę wyrobu kafli do pieców.

W domu Kulikowskich przez długie lata zgromadzała się młodzież i ludzie interesujący się kulturalnemi i narodowemi sprawami kraju. Andrzejowski, człowiek niezwykłej prawości, gorliwy wielbiciel Towiańskiego, położył niespożyte zasługi jako długoletni prezes Towarzystwa Oświaty Ludowej na Rusi. Obecnie pracuje niezmordowanie w zarządzie Macierzy Szkolnej w Warszawie.

Lato 1875 roku spędziłem na Ukrainie w Ryżanówce w Zwinogródzkiem u krewnych Kościńskich. Kościńska była córką mego brata stryjecznego Jana Hryncewicza, syna Ludwika, który służąc w wojsku rosyjskiem w ułanach, jako rotmistrz ożenił się z Tyszkowską i wziął za żoną część Ryżanówki. Otóż, bawiąc latem u nich, przygotowywałem się pod rozłożystemi staremi drzewami ogrodu do egzaminów lekarskich.

Po wakacjach, wróciwszy do Kijowa, szukałem cichego, osobnego pokoju. Jeden kolega, Żyd, wskazał mi taki pokój u swej gospodyni. Pokój wynająłem i zgodziłem się wspólnie z owym kolegą przygotowywać do egzaminów. Znałem go jako wyjątkowo pracowitego. Należał on do grupy Żydów odeskich, którzy, nie mając na swym Uniwersytecie wydziału lekarskiego, przyjeżdżali na studja do Kijowa. Wszyscy oni przedstawiali wielce niesympatyczne typy. Mieli różne, czasem zgoła nieżydowskie nazwiska, jak Bogdanow, Lintworow i t. p. Ten, z którym razem uczyłem się do egzaminów, nazywał się właściwie Lejba Letnik, ale używał imion rosyjskich: Lew Grigorjewicz. Brzydki, niewysokiego wzrostu, ciemny, o twarzy czworokątnej przypłaszczonej, był przeciętnym karjerowiczem, zarozumiałym, z pogardą traktującym Rosjan, zamiłowanym w judaizmie, wierzącym w jego rolę wszechświatową. Łączyły mnie z Letnikiem tylko egzaminy. Był on bardzo wytrwały i mógł kuć całemi godzinami. W wiele lat później słyszałem o Letniku jako o wziętym lekarzu odeskim.

ROZDZIAŁ X.

Rozpoczęcie praktyki lekarskiej w Zwinogródce na Ukrainie. — Śmierć narzeczonej. — Wyjazd zagranicę. — Zwiedzenie Lwowa, Krakowa, Cieszyna, Górnego Śląska, Szczawnicy, Krynicy, Pragi, Karlsbadu, Marienbadu, Franzensbadu, Wiesbadenu, Frankfurtu nad Menem. — Uzupełnianie studjów lekarskich w Paryżu. — Polacy w stolicy Francji. — Nancy, Strasburg, Monachjum. — Studja lekarskie w Wiedniu. Powrót do Zwinogródki.

W roku 1876 w lutym, ukończywszy egzaminy, mogłem opuścić Kijów. Potrzebowałem gwałtownie pracy zarobkowej, gdyż musiałem co miesiąc posyłać pieniądze na utrzymanie mojej chorej narzeczonej. Nie chcąc za chlebem wyjeżdżać wgłąb Rosji, zająłem tymczasowo placówkę na głuchym partykularzu w Zwinogródce, w lichej ukraińskiej powiatowej mieścinie na ostatnich kresach b. Rzeczypospolitej.

Miasteczko posiadało około 12 tysięcy ludności. Handel w niem był niewielki, przeto Żydów było tam mało. Ludność składała się głównie z mieszczan - rolników, mało czem się różniących od włościan. Ta przewaga żywiołu chrześcijańskiego korzystnie wyróżniała Zwinogródkę od innych miast i miasteczek Ukrainy. Liczba Polaków - katolików nie dosięgała paruset osób. Miasteczko, położone na wyniosłym brzegu Gniłego Tykicza, było jakby oazą piaszczystą, otoczoną dokoła bogatą czarnoziemną glebą ukraińską. W mieście były dwie cerkwie murowane nowe, a prócz nich cerkiewka stara, unicka, stylowa, zamknięta i skazana na zburzenie. Kościół katolicki leżał na wzgórzu nad rzeczką. Był murowany. Zbudowała go w drugiej połowie XVIII w. ostatnia starościna zwinogródzka Salomea z Brzozowskich Sołtykowa, tuż obok zamku starościńskiego, niegdyś drewnianego, otoczonego dawnemi czasy razem z miasteczkiem częstokołem jako warownia kresowa, o której pozostała tylko tradycja, przekazywana

mieszkańcom przez ojców i dziadów. Przy kościele w gmachu murowanym piętrowym mieściło się seminarjum duchowne dla kilkunastu kleryków archidjakonatu kijowskiego diecezji łuckiej. U stóp budynku terasą spuszczał się ogród aż do brzegów Tykicza.

Otóż w tej mieścinie wypadł mi pierwszy debiut w zawodzie praktykującego lekarza i tu przez lat kilkanaście sądzone mi było zamieszkiwać. Wynająłem u pewnej polskiej rodziny szlacheckiej czasowo dwa pokoje umeblowane w sympatycznym parterowym budynku, otoczonym zielenią drzew i krzewów. Za to mieszkanie z obiadem dla mnie i dla chłopca służącego płaciłem 30 rubli miesięcznie, co przy dzisiejszych warunkach wyda się ceną bajecznie niską. Gospodarzem moim był pan Jordan herbu Komar - Gacki. Był on rodem z Kamieńca i pochodził z rodziny szlacheckiej, tam od pradziadów osiadłej. W latach 60-tych zeszłego stulecia przybył do Zwinogródki za chlebem jako drobny urzędnik magistratu. Ożenił się z córką oficjalisty z fabryki cukru, a statecznością i pracą po latach kilku uciułał sobie trochę grosza, kupił plac, zbudował parę domków drewnianych, większy wynajmował, a w mniejszym sam zamieszkiwał z rodziną. Gacki, był to drobny, szczupły człowieczek lat czterdziestu kilku, ruchliwy, uczynny i przyjacielski, rad każdemu usłużyć. Stosunek nasz przygodnie nawiązany przetrwał długie lata. Leczyłem jego rodzinę, a on wtajemniczał mnie we wszystkie swe sprawy domowe. Dzieliłem Gackich smutki i radości.

Życie w głuchej i cichej mieścinie było monotonne. Od rana do wieczora byłem zajęty chorymi. Nie mogłem ograniczyć godzin przyjęć, gdyż chorzy przychodzili i przyjeżdżali ze wsi w różnych porach dnia. Prócz tego trzeba było wyjeżdżać na wieś, czyto w dzień, czy w nocy. Pomimo tego, że ogromna większość pacjentów, nieprzyzwyczajona do płacenia lekarzom, zbywała mnie niczem szczególnie w dnie targowe, kiedy większość chorych stanowili chłopi z okolic, już jednak po kilku tygodniach moja materjalna egzystencja nie tylko zdawała się być zapewniona, lecz mogłem wysyłać większe kwoty narzeczonej na leczenie. Chociaż otrzymywałem listy uspokajające z Krymu, lecz stan zdrowia Apolonji bardzo mię niepokoił. Żyjąc wówczas z dziennego zarobku, nie byłem w możności pojechania do Krymu, prosiłem tylko gospodarzy pensjonatu o troskliwą opiekę nad Apolonją, która nie zdawała sobie sprawy ze swego położenia, jak to często bywa u chorych gruźliczych, i robiła plany na przyszłość. Niestety wkrótce otrzymałem wiadomość o jej zgonie. Poczciwa Węgierka, właścicielka pensjonatu, bardzo mnie ujęła, wyrażając szczerą sympatję dla zmarłej i opisując ostatnie jej chwile, pogrzeb i nabożeń-

stwo, na które przybyło szczupłe kółko znajomych. Byłem zrozpaczony, nie chciałem jednak wywnętrzać się ze swemi uczuciami przed nikim, uważając to za profanację. Żywo uprzytamniałem sobie 5-letnie dzieje duchowego mego obcowania ze zmarłą i jej ostatnie chwile. Czułem żal głęboki, i robiłem sobie wyrzuty, że nie zamknąłem sam jej powiek. Trzeba było jednak opanować swój smutek, do czego dopomógł czas, najlepszy lekarz wszystkich trosk i bólów, choć cierpienie po stracie narzeczonej głęboko się wryło w me serce. Dla uczczenia pamięci zmarłej przeznaczyłem pewną sumę pieniędzy, prosząc Przeora O. O. Dominikanów ks. Szkiłłądzia w Petersburgu, ażeby podzielił ją pomiędzy najuboższe uczennice, kończące w tym roku pensję, na której ś. p. Apolonja uczyła. Pozostałą po niej ruchomość rozdałem potrzebującym.

Oddawałem się gorliwie praktyce lekarskiej, całe dnie jej poświęcając. Po kilku miesiącach doszedłem do przekonania, że powinienem uzupełnić niedostateczne wiadomości, jakie wyniosłem z klinik kijowskich, a szczególnie z zakresu położnictwa i ginekologji. Zebrawszy na ten cel skromną sumkę, rozpocząłem starania o paszport zagraniczny, co trwało parę miesięcy. Po długich korowodach, uzyskawszy świadectwa z policji, z żandarmerji i z sądu, że niema przeszkód do wyjazdu mego zagranicę, po przedstawieniu przy prośbie o paszport owych dokumentów i umotywowaniu celu wyjazdu zagranicę, po opłacie legalnej za paszport, popartej listem rekomendacyjnym i łapówką dla przyśpieszenia, gubernator kijowski wydał mi nareszcie ów upragniony paszport. Wiele osób, szczególnie młodzież, dla uniknięcia tych kosztów i formalności przejeżdżało granicę za paszportami cudzemi, lub poprostu przekradało się przez granicę.

* * *

Z mojej marszruty zagranicznej wykreślony był Berlin i Niemcy północne, które ze swą polityką bismarkowską były mi wstrętne. Zamierzałem przez Galicję, Pragę czeską, Monachium udać się na czas dłuższy do Paryża, a potem do Wiednia, wreszcie wrócić do Kijowa. Po drodze miałem zamiar zwiedzić zdrojowiska ważniejsze galicyjskie i niemieckie. Wyjazd mój zagranicę dziwił niemało moich znajomych na Ukrainie, którzy uważali, że posiadam chyba za wiele pieniędzy, skoro porzucam praktykę, której później mogę nie zdobyć. Żadnemu szlachcicowi ukraińskiemu nie przychodziło do głowy, że wyjazd zagranicę może mieć cel naukowy. Ulokowawszy moją skromną nieruchomość pod opiekę Gackich, z lekkim tłumocz-

kiem puściłem się w podróż. Na pogranicznej stacji w Wołoczyskach wypełniwszy wszystkie formalności szczęśliwie i bez przeszkód, po raz pierwszy wjechałem do Galicji, którą uważaliśmy za wolną polską ziemię. Przesiedliśmy z nowych wysokich szerszych wagonów rosyjskich do niższych, starych i obszarpanych austrjackich. Opuszczając granice Rosji, uczuwałem pewną radość i swobodę. Przejechawszy granicę, nie słyszałem mowy rosyjskiej, nie obawiałem się żandarmów i policji. Odetchnąłem wolniej. Mowa polska, szeroko rozbrzmiewająca wszędzie, zdawała się dowodzić, że jest jeszcze ziemia na świecie, na której można nietylko myśleć, lecz i mówić po polsku. Miejscem pierwszego mego postoju był Lwów, w którym dni kilka się zatrzymałem. Ówczesna stolica kraju koronnego Galicji i Lodomerji wraz z W. Ks. Krakowskiem swą czystością dodatnie sprawiła wrażenie po Kijowie. Tu odwiedziłem mego dawnego kolegę szkolnego z Kowna, Brunona Abakanowicza, po dziesięcioletniem niewidzeniu go. Przywitałem go przezwiskiem szkolnem „Habakuk". On mnie nie poznał. Rozczochranemi zawsze włosami i zasłoniętemi okularami przypominał typ rosyjskiego nihilisty.

Abakanowicz po skończeniu politechniki w Rydze habilitował się tam jako docent, skąd przeszedł do Lwowa. Był to bardzo poczciwy i serdeczny kolega. Wspominaliśmy z nim dawne czasy kowieńskie. Poznałem się z kółkiem, z którem żył on bliżej. Poznałem wówczas między innymi Józefa Tretiaka, profesora gimnazjalnego, emigranta z r. 1863, późniejszego profesora Uniw. Jagiell.; Michała Sozańskiego, docenta politechniki, znanego artystę - malarza; Kazimierza Bartoszewicza, literata; Władysława Bełzę, właściciela księgarni i poetę, bawiącego nas swemi udatnemi improwizacjami. Żyło się wesoło w kole tej artystycznej cyganerji, z pośród której niejeden, jak np. Abakanowicz, nie zawsze miał grosz na obiad jutrzejszy. Pamiętam, iż został mi on winien kilka guldenów, które mi oddał, kiedym prawie po roku wracał przez Lwów do Kijowa. Narzekał na stan materjalny i mówił, że, jeżeli nie otrzyma katedry, porzuci Lwów. Było to pierwsze i ostatnie moje z nim spotkanie po opuszczeniu szkół kowieńskich. Wiem, że wkrótce potem przeniósł się do Paryża, gdzie został przedstawicielem na Europę wynalazków Edisona z elektrotechniki, na czem dorobił się znacznej fortuny, nabył wspaniałą rezydencję pod Paryżem, lecz serce i kieszeń miał zawsze szeroko otwarte dla rodaków. Do kraju nie wrócił, gdyż nagle życie zakończył we Francji.

Ze stolicy Galicji pojechałem do Krakowa, który mnie więcej interesował. O tej kolebce Piastów i Jagiellonów w latach dziecinnych czerpałem pierwsze wiadomości z „Pielgrzyma z Dobromila" i z „Pieśni o ziemi naszej".

Kraków nie zrobił jednak wówczas takiego na mnie wrażenia, jakiego mógłbym oczekiwać. Ubogie miasto ze sterczącą na rynku ruderą Sukiennic i zaniedbanym Wawelem działały przygnębiająco. Stąpając po martwych kamieniach, po grobach tysięcy pokoleń, zwiedzając kościoły, katedrę i inne pamiątki, zadawałem sobie pytanie: czy kiedy ta stolica królewska podźwignie się z upadku, czy runie ostatecznie? Na historycznym rynku leżały kupy śmieci, chodziły krowy i biegały kozy. W ruinach Sukiennic z rozbitemi oknami gnieździły się gołębie, a dookoła stały stragany przekupek, i pełno było Żydów brodatych z pejsami, w wysokich futrzanych czapkach, w długich chałatach, przepasanych chustkami i w pończochach. Żydzi ówcześni w Krakowie zachowywali swe stare stroje, a kobiety zamężne goliły głowy i nosiły peruki. Zwyczaj ten, zanikający na Litwie, a szczególnie na Ukrainie, utrzymał się w Krakowie, w całej sile. Znaczna część ludności żydowskiej słabo mówiła po polsku. Dziś po tylu latach nastąpiła wielka zmiana. Chociaż Żydzi zostali dotąd żywiołem obcym i często szkodliwym, tem niemniej liczba inteligencji wśród nich wzrosła ogromnie, a olbrzymia większość mówi poprawnie po polsku, $^1/_3$ oświadcza się za przynależnością do polskości, a wielu porozumiewa się z sobą w życiu rodzinnem, dwoma językami: polskim i żargonem. Dawniej w niższych, średnich i wyższych zakładach naukowych Żydzi stanowili znikomy procent, obecnie jest ich w gimnazjach i w Uniwersytecie prawie $^1/_3$. Fakt to przykry dla nas, dowodzący, że Żydzi prześcigają nas na wszystkich polach, nawet w Krakowie, w ośrodku naszej kultury. Pomimo tego, że Żydzi oświadczają się kategorycznie za swą odrębnością narodową, mimowolna asymilacja na rzecz polskości postępuje jednak choć stopniowo, lecz wytrwale naprzód.

Zaszedłem na Sławkowską do zarządu niedawno otwartej Akademji Umiejętności, której działalność była jeszcze w zawiązku. Poznałem tu przelotnie niestrudzonego pierwszego jej prezesa dra Józefa Majera, dr. Aleksandra Kremera, przybyłego z Kamieńca, wreszcie dra Izydora Kopernickiego. Osobistością wielce popularną i ciekawą wówczas w Krakowie był Ignacy Żółtowski, o którym kilka szczegółów biograficznych, słyszanych z ust jego własnych, przytaczam. Pochodził on z niezamożnej rodziny szlacheckiej Wołynia. Otrzymawszy kilka tysięcy rubli z przypadającej na niego schedy, pojechał jako dwudziestoparoletni młodzieniec w świat szukać chleba. Dostawszy się do Astrachania, rozpoczął tam pracę w zawodzie rybackim na Wołdze. Z biegiem lat został bardzo zamożnym przemysłowcem. Po trzydziestu kilku latach tam spędzonych, w r. 1863 odezwała się w nim

krew polska i gorący patrjotyzm. Pragnąc przyjść z pomocą powstaniu, wspiera je swemi środkami. Przejęta korespondencja kompromituje go, a dowiedziawszy się od przychylnych mu władz rosyjskich, że grozi mu więzienie i konfiskata całego majątku, spienięża swe miljonowe przedsiębiorstwo z wielką stratą, i ucieka zagranicę. Osiedliwszy się w Krakowie, tu rozpoczyna swą narodową i filantropijną działalność. Mieszka po kawalersku gdzieś na podstryszu, odmawiając sobie najpierwszych potrzeb, a łoży wszystko, co posiada, na organizację szkół, stowarzyszeń dobroczynnych i oświatowych, hojnie sypiąc pieniędzmi. Widziałem, jak swemi środkami wspomagał wówczas rodziny księży unickich z Chełmszczyzny, uchodzących do Galicji przed prześladowczą ręką Rosjan. W Cieszynie jako wspólnik przystąpił do założenia polskiego domu „Złotego wołu". Dawał zapomogi nauczycielom ludowym, zachęcał do urządzania wycieczek ze Śląska do Krakowa, które później przybrały znaczne rozmiary i t. d. Jednem słowem każda zacna sprawa społeczna miała w nim gorliwego rzecznika i orędownika. Gorący i namiętny w służbie publicznej, pełen poświęcenia znajdował jednak niechętnych, którzy mu utrudniali nietylko pracę, lecz nadomiar zniesławiali, nazywając szpiegiem rosyjskim. Żółtowski machał ręką na to wszystko i szedł przebojem raz wytkniętą drogą. Był to rzadki typ ze swego wyglądu i temperamentu. Bardzo wysokiego wzrostu, mocnej budowy, pomimo sześćdziesięciu kilku lat był pełen werwy i ognia; brunet o twarzy tatarskiej, skośnych oczach, z zadartym nosem. Po polsku mówił źle z rosyjska, choć pisał bardzo poprawnie. Dla przyjezdnych ziomków z kresów uczynny, serdeczny i wylany, każdemu gotów był dopomóc. U niego to poznałem młodzieńca, który właśnie ukończył Uniwersytet w Warszawie. Był to znany później ludowy pisarz „Promyk", (Konrad Prószyński), syn wygnańca z Litwy, urodzony i wychowany na Syberji. Z namowy Żółtowskiego udaliśmy się z Promykiem na wycieczkę do Cieszyńskiego i Górnego Śląska. W Cieszynie złożyliśmy wizytę zasłużonemu apostołowi odrodzenia polskości Śląska, pastorowi Józefowi Stelmachowi. Tu poznaliśmy sympatycznego, długoletniego dyrektora banku ludowego, Hilarego Filosiewicza i jego współpracowników Lecha i Sikorę oraz wielu dzielnych młodych nauczycieli, gorąco oddanych sprawie narodowej. Dalej podążyliśmy na Górny Śląsk do Królewskiej Huty dla zapoznania się z tamtejszym działaczem odrodzenia narodowego, Karolem Miarką. Niedawno opuścił on więzienie, prześladowany wciąż przez władze pruskie. Ciężkie przejścia materjalne i walka nierówna ubogiego nauczyciela ludowego, redaktora „Katolika" z potężnym kanclerzem Rzeszy niemieckiej

Bismarckiem, zrujnowały jego zdrowie. Miał twarz i nogi obrzękłe wskutek wady serca. Opowiadał nam, że nie otrzymał nawet pełnego szkolnego wykształcenia. Był pomocnikiem ojca, nauczyciela szkoły ludowej, i po nim zajął posadę. Nie mając żadnych wiadomości ani o polskiej historji, ani o literaturze, podzielał wówczas ogólne przekonanie na Śląsku, że język polski — to język motłochu, którego się wstydzono, że przeto każdy człowiek kulturalny powinien uprawiać język niemiecki. Miarka wydał nawet zbiór niemieckich pieśni patrjotycznych dla młodzieży. Lecz kiedy w latach 50-tych zeszłego stulecia rozpoczął się ruch narodowy na Śląsku, obudziła się w nim miłość do ziemi i do języka kraju, w którym się urodził. Rozpoczął w tym kierunku pracować jako powieściopisarz, publicysta i redaktor, za co otrzymał od Prusaków miano demagoga, wzniecającego rozruchy pośród robotników. Skazywany na więzienia i grzywny, nie uląkł się i nie opuścił swej placówki, lecz przenosił się z jednej miejscowości do drugiej, zakładał wciąż nowe kółka ludowe w celu organizowania odczytów, bibljotek i chórów. Gdy zdobył sobie szeroki rozgłos w społeczeństwie polskiem, miasta ofiarowywały mu adresy i honorowe obywatelstwa, lecz nie podtrzymywano go materjalnie. Mówił, że w tych warunkach walce nie podoła i zginie, boć przecie musi mieć kawałek suchego chleba dla utrzymania rodziny. Tego chleba właśnie mu brakowało. Zamieszkiwał z rodziną w maleńkiem paropokojowem mieszkanku, skromnie, ubogiemi sprzętami, umeblowanem. W mieszkanku tem mieściły się nadto aż dwie redakcje pism ludowych, do których przychodzili liczni interesanci w najrozmaitszych sprawach. Pamiętam, że postanowiliśmy z Promykiem kołatać w redakcjach czasopism polskich o polepszenie materjalnego bytu dzielnego obrońcy sprawy narodowej. Miarka miał wówczas lat może około 60, był wzrostu słusznego, o długiej siwej brodzie. Pomimo choroby, był rozmowny, łatwo zapalający się. Mówił po polsku nieźle, choć z żoną i z rodziną porozumiewał się po niemiecku. Postać jego więcej mi została w pamięci, niż Stelmacha, człowieka bardziej zamkniętego i mniej wywnętrzającego się.

Przez trzy tygodnie zwiedzaliśmy z Promykiem Śląsk pieszo, co pozwoliło nam poznać lud miejscowy, podziwiać jego pracowitość i ten wysoki poziom kultury, jakiemu nie dorównywają inne dzielnice Polski. Pod wrażeniem chwil mile tam spędzonych, napisałem pierwszą pracę literacką, powiastkę „Z przełomu", wydaną w lat kilka potem, w r. 1883, osnutą na tle stosunków śląskich. Może jako utwór literacki był to płód poroniony, chociaż nie zbywało mi na zapale i dobrych chęciach. Ze Śląska Promyk odjechał do Warszawy, a ja po-

jechałem zwiedzić Szczawnicę i Krynicę, jako zdrojowiska galicyjskie, najbardziej wówczas uczęszczane. W Szczawnicy w tym roku było wiele gości, a procent żywiołu semickiego minimalny. Dzięki uprzejmości ówczesnego lekarza zdrojowego, staruszka, dr. Trembeckiego, który zapoznał mnie z kółkiem bawiących tam gości, wziąłem udział w całodziennej wycieczce wózkiem góralskim w góry. Do wycieczki należeli dwaj lekarze z Krakowa: dr. Władysław Ściborowski i Marceli Dobrowolski, emigrant z Ukrainy, towiańczyk; pani Fedorowiczowa, wdowa z dwiema córkami i synem, uczniem Uniw. Jagiell., której towarzyszył wygalowany lokaj; dr. Mikołaj Zyblikiewicz, późniejszy prezydent miasta Krakowa i marszałek sejmu, który mi się wydał w towarzystwie dość surowym i brutalnym w obejściu; wreszcie prof. Uniw. Juljan Dunajewski, zasłużony finansista, późniejszy minister skarbu.

Krynica była o wiele więcej ożywiona, niż Szczawnica i miała lepsze urządzenia. Przed dworcem dwa razy dziennie przygrywała orkiestra dla kuracjuszów. Lekarzem zdrojowym był znany balneolog dr. Michał Zieleniewski. Dzięki jego uprzejmości zwiedziłem zdroje, kąpiele i poznałem urządzenie zakładu. Następnie przez półn. Węgry pojechałem do Pragi, pięknej stolicy naszych pobratymców, tak ściśle od wieków z naszą kulturą związanej. Oprócz zabytków, zwiedziłem zakłady starego uniwersytetu, a pomiędzy niemi zakład anatomji z cennemi preparatami Rokitańsky'ego, nowy dom położniczy, urządzony według ostatnich wymagań techniki i kierowany przez prof. Brejskiego. Praga przedstawiała się wówczas jako miasto czysto niemieckie, inteligencja nawet czeska mówiła z sobą po niemiecku, a język czeski słyszeć się dawał tylko wśród przekupek i wyrobników w drugorzędnych szynkowniach i jadłodajniach. Sprawa czeska była wówczas tylko akademicką. Było to wkrótce po śmierci Franciszka Palackiego, zasłużonego dziejopisa i ojca narodu czeskiego. Portrety jego, wieńce i biografje sprzedawano po całem mieście. Kupowali je przeważnie tacy, co z sobą porozumiewali się po niemiecku. Odwiedziłem czynnego przywódcę partji staro - czeskiej Riegera, wreszcie poznałem dwóch braci Gregerów, z pochodzenia Niemców, Juljusza, ówczesnego redaktora „Narodnich Listów" i Edwarda, posła do parlamentu oraz docenta fizjologji na Uniwersytecie, który porwany falą wypadków, oddał się polityce i działalności publicystycznej. Był on przywódcą młodoczechów, a wrogiem partji szlacheckiej i klerykalnej. Dzięki uprzejmości Gregera po raz pierwszy zwiedzałem z nim osobliwości Pragi. Zapoznał on mnie ze stosunkami społecznemi i działaczami politycznymi. Wywiozłem z Pragi bar-

dzo miłe wrażenie, lecz zaprzątała mię wciąż myśl, czy te zamarłe Czechy odrodzą się kiedyś i czy nie zawiśnie nad niemi całun śmierci, jak nad innemi plemionami słowiańskiemi, bardziej ku zachodowi posuniętemi? Wielka wojna i upadek Austrji, jak się okazało, przyśpieszyły odrodzenie się Czechów i odniemczenie Pragi.

Z Pragi udałem się na północ dla zwiedzenia uzdrowisk. Rozpocząłem od najważniejszego z nich, Karlsbadu, t. zw. przez Czechów Karolowych Warów, najbardziej uczęszczanego w Europie. Wówczas już liczba gości przewyższała 30 tysięcy, później jeszcze się zwiększyła przy ogromnym napływie Żydów z Galicji i Rosji, niemile widzianych przez innych kuracjuszów, do których rzędu należały osoby najprzeróżniejszych narodowości. Można tam było spotkać Niemców, Polaków, Francuzów, Anglików, Amerykanów i t. d. Zwiedziwszy dokładnie całe zdrojowisko, pojechałem do Marjenbadu i Franzensbadu, stamtąd do Creuznach, zdrojów położonych w kotlinie cuchnącej, obfitujących w sole jodowe, bromowe i potasowe, cieszących się sławą od czasów Tacyta i Plinjusza. Wstąpiłem na krótko do Wiesbadenu, z którego zrobiłem piękną wycieczkę po Renie, przyglądając się malowniczym jego brzegom, zarosłym plantacjami winogronowemi. Zatrzymałem się we Frankfurcie i w Majnie, skąd koleją podążyłem do Paryża, który ze swemi klinikami i zbiorami naukowemi właściwie najbardziej mnie nęcił i był głównym celem mojej podróży.

W Paryżu zamieszkałem w kwartale łacińskim na Rue Cujos, ażeby być bliżej szkoły lekarskiej i klinik. Wykłady i wizyty lekarskie w szpitalach odbywały się w jednych godzinach od 8 do 10 rano, więc można było uczęszczać tylko do jednego szpitala dziennie, nie tak, jak to było np. w Wiedniu. W Paryżu bardzo słabo była rozwinięta specjalizacja oddzielnych gałęzi medycyny. Nie było np. oddzielnych klinik chorób kobiecych, chorób gardła, nosa i ucha, chorób ocznych i chorób organów moczowych, a wszystkie te gałęzie obejmowała klinika chirurgiczna. Utrudniało to wielce młodemu lekarzowi dopełnienie w krótkim czasie swych wiadomości, nie mówiąc już o specjalizacji w odrębnej gałęzi medycyny. Istniały tylko prywatne zakłady lekarskie, poświęcone różnym specjalnościom. Do nich uczęszczałem od czasu do czasu wespół z innymi lekarzami, przeważnie cudzoziemcami, bawiącymi w Paryżu. Z nich zostały mi w pamięci kliniki chorób ocznych Woekera i Gałęzowskiego, organów moczo - płciowych Guyona i inne. Dyrektorowie tych klinik gościnnie witali przybywających słuchaczów, nie pobierając od nich żadnej zapłaty za korzystanie z nauki w ich zakładach. W szkole lekarskiej paryskiej brak było katedr niektórych przedmiotów teoretycznych, jak np.

histologji. Katedrę tę utworzono właśnie wtedy, gdy byłem w Paryżu. Powołano na nią Alzatczyka Berger'a. Byłem na wstępnym jego wykładzie. Mówił o tem cośmy, kształcący się w Rosji i znajdujący się pod wpływem nauki niemieckiej, wiedzieli oddawna.

Porządki i czystość w klinikach i szpitalach paryskich wiele pozostawiały do życzenia. Tak samo antyseptyczne leczenie ran, które wszędzie stosowano w Niemczech i w Rosji, w Paryżu powoli zyskiwało prawo obywatelstwa w chirurgji. Sale dla chorych we wszystkich szpitalach miały jednakowy wygląd: długie, ciemne, gęsto zastawione łóżkami, z ołtarzem, udekorowanym kwiatami naprzeciw drzwi. Służbę pomocniczą w szpitalach pełniły zakonnice, siostry miłosierdzia, które praktycznie wyszkolone, z wielkim altruizmem odnosiły się do chorych. Mając się wówczas zająć przeważnie położnictwem i chorobami kobiecemi, rozpocząłem od uczęszczania do kliniki położniczej, będącej pod kierunkiem Depaule'a. Profesor był w podeszłym wieku, bardzo religijny i miał pewne dziwactwa. Korzyści z tej kliniki nie można było odnieść wielkiej. Natomiast więcej się nauczyłem chodząc do oddziału Guéniot, który był *agréger* i miał oddział kobiecy chorób wewnętrznych, gdyż oddzielnej kliniki ginekologicznej nie było. Był to człowiek już nieco starszy, bardzo uprzejmy, z którym się lepiej poznałem. Oddziałem kobiecym chirurgicznym kierował odniedawna młody, pełen energji, wróżący wielkie nadzieje, Pozy. Poza tem odwiedzałem od czasu do czasu kliniki chorób wewnętrznych znakomitości ówczesnych Potain'a i Jaccoud, oraz dziecięcą, gdzie był szefem znany pedjatra Bouchut. Bywałem też na operacjach słynnego wówczas Péan'a, głośnego specjalisty w operacjach torbieli jajników. Na tych operacjach mogło tylko bywać po 8 lekarzy i trzeba było zawczasu dostawać bilety. Młody i elegancki Dieulafoy, wynalazca aspiratora dla wypompowywania wysięków z jamy piersiowej, brzusznej i ze stawów, pokazywał nam go i zastosowywał w praktyce, co wywoływało wielkie zainteresowanie. Od czasu do czasu bywałem w starym gmachu Salpetrière na cyklu wykładów słynnego neuropatologa Charcot, przeznaczonych wyłącznie dla lekarzy. Wielka sala przepełniona bywała przybyłymi z najrozmaitszych krajów świata. Oprócz Francuzów, znacznej liczby Niemców, Rosjan, Anglików, można było tu spotkać: Polaków, Włochów, Greków, Słowian południowych, Amerykanów i Brazylijczyków. Ostatnich w tym roku szczególnie było dużo. Z niektórymi z nich lepiej się poznałem. Wiadomości lekarskie Brazylijczyków były bardzo ograniczone, wogóle byli to ludzie tępi i mało rozwinięci. Sądzę przeto, że mieszaństwo Portugalczyków z Amerykanami nie dało pomyślnych rezultatów. Kierownika-

mi w klinice uniwersyteckiej chirurgicznej byli dwaj starsi profesorowie Paul Broca i Velpeau. Broca był jednocześnie organizatorem szkoły antropologicznej, w której nauczał i prowadził badania naukowe. Sława jego, jako jednego z najruchliwszych antropologów i twórcy szkoły, zapewniła mu nieśmiertelność. Sala wykładowa w starem Muzeum Dupuitrena przy pracowni antropologicznej wypełniała się na wykładach Broca po brzegi publicznością, przeważnie młodzieżą, głównie płci nadobnej. Uczęszczałem i ja na wykłady antropologji Broca, gdyż odbywały się w godzinach wieczornych. Wówczas pracowało w laboratorjum Broca dwóch naszych ziomków, emigrantów z roku 1863. Jednym z nich był Teofil Chudziński z Mińszczyzny, były student Uniwersytetu Moskiewskiego, który pracami zwłaszcza z zakresu anatomji mózgu pozostawił niezapomniane imię w nauce. Poznałem go, spotykaliśmy się nieraz w pracowni i na obiadach. Żył samotnie i ubogo, dzieląc się jeszcze groszem z rodakami bardziej potrzebującymi. Umarł dość młodo. Drugim pracownikiem był Edward Goldstejn, Żyd z Warszawy. Napisał parę antropologicznych monografij o Żydach. Potem przerzucił się do innego rodzaju pracy. Z drobnych swych oszczędności, uprawiając ciężki zawód pedagoga, przez lat kilkadziesiąt nabywał na rynku paryskim rzeczy artystyczne wschodnie, które z czasem przekazał Krakowowi.

W Paryżu zamieszkiwało jeszcze wówczas wielu wychodźców nie tylko z r. 1863, ale i z emigracji wcześniejszej. Zastałem jeszcze przy życiu Alfonsa Kosiłowskiego, rodem ze Żmudzi z Telszewskiego, emigranta z czasów wojny sebastopolskiej. Służył on poprzednio w armji angielskiej i wyszedł do dymisji w randze kapitana. W latach 60-tych przeszłego stulecia miał poleconą sobie misję polską dyplomatyczną w Londynie z ramienia ks. Adama Czartoryskiego, zamieszkującego stary Hotel Lambert, jako przedstawiciel Polski. Po śmierci ks. Adama i zwinięciu przez jego syna Władysława tej placówki dyplomatycznej, Kosiłowski miał zawsze wstęp do Hotelu Lambert i liczne stosunki towarzyskie w Paryżu, będąc sekretarzem polskiej Szkoły Batignolskiej. Był to starzec wysokiego wzrostu, mocnej budowy, zadziwiająco na swój wiek krzepki i pełen życia. Mówił wiele, pamięć miał wyborną; z natury entuzjasta, łatwo się wzruszał i płakał. Lubił opowiadać różne szczegóły ze swego długiego życia, o swej misji politycznej w Anglji w latach 1862 i 1863, jak to konferował z dyplomatami w sprawie polskiej i jak dawał łapówki mówcom parlamentarnym, występującym w obronie Polski. Kosiłowski jako człowiek egzaltowany wiele przesadzał, dlatego mu nie zawsze dowierzano.

Emigracja nasza, jak wszędzie zresztą, kłóciła się i tworzyła partje. Demokratyczna zwalczała zwolenników Hotelu Lambert. Co do mnie, niewtajemniczonego w politykę, każdego spotykanego Polaka witałem z zaufaniem jako współbrata, bez różnicy obozu, a z niektórymi utrzymywałem i potem korespondencję przez długie lata. Byli to przeważnie moi współziomkowie z Litwy, do których mnie coprawda więcej ciągnęło. Jednego z pierwszych poznałem Lubomira Gadona, sekretarza ks. Władysława Czartoryskiego, rodem ze Żmudzi, którego pamiętałem jeszcze z Kowna, jak śpiewał na koncertach dobroczynnych. Ukończył on Uniwersytet w Dorpacie i bardzo dodatnie robił na mnie wrażenie. Przez Gadona poznałem Styrpejkę ze Żmudzi, związanego służbowo też z Hotelem Lambert i dr. Herszla, lekarza, rodem z Poniewieskiego, który jako student Moskiewskiego Uniwersytetu brał udział w powstaniu, później emigrował zagranicę i w Paryżu ukończył medycynę. Dr. Herszel lubo był nieżonaty, przyjmował raz na tydzień rodaków. Zbierało się u niego ściślejsze kółko znajomych. Pomiędzy nimi spotykałem kapitana Cytowicza, naczelnika powstańczego oddziału ze Żmudzi, pracującego w banku; Józefa Sabatowskiego, wychodźcę z Wołynia, który studjował medycynę; Puzynę z poniewieskiego, dymisjonowanego oficera wojsk rosyjskich, który tu rzucał się na rozmaitego rodzaju pracę i miał głośne przygody miłosne, był charakteru niezrównoważonego i nie zażywał wielkiej sympatji; poczciwego ks. Józefa Horbaczewskiego, z którym bliżej się poznałem. Był to Litwin z pod Kiejdan, uczestniczył w partji Narbuta w lidzkiem, na jego rękach ranny pod Dubiczami skonał Narbut. Był penitencjarjuszem w kościele N. Panny Loretańskiej w Paryżu, choć po francusku dobrze się nie nauczył. Zajęcie jego w Paryżu nie odpowiadało jego powołaniu. Zatęsknił, jako zdecydowany demokrata za ludem i za wsią polską i wyjechał do Ameryki, gdzie był w paru parafjach proboszczem, pobudował szkoły i kościoły i tam życie zakończył. Korespondowałem przez długie lata z tym człowiekiem prawym i lubianym przez wszystkich.

Poznałem też w Paryżu pułkownika Józefa Gałęzowskiego, brata Ksawerego, znanego okulisty, a synowca Seweryna. Józef Gałęzowski po upadku powstania 1863 r. znalazł się na emigracji w Paryżu i był wówczas dyrektorem jakiejś finansowej instytucji, wielce oddany sprawom społecznym i narodowym polskim. Wspomnę także o zasłużonym obywatelu z Mińszczyzny, Bronisławie Zaleskim, ówczesnym bibljotekarzu Bibljoteki Polskiej w Paryżu. W młodości zesłany jako żołnierz na Kaukaz, spotkał się tam w koszarach z poetą ukraińskim Tarasem Szewczenko i długie lata z nim korespondował,

potrafiwszy zjednać wrogie dla Polaków serce ukraińskiego poety. W czasie uwłaszczenia włościan Zaleski wespół z Aleksandrem Oskierką i Aleksandrem Skirmuntem, tymi najwybitniejszymi obywatelami doby przedpowstaniowej na Litwie, pracował jako przedstawiciel obywatelstwa w osobnej komisji uwłaszczeniowej. Wszyscy trzej byli kolegami ze szkół mińskich i z Uniwersytetu Petersburskiego znanego profesora, a później adwokata Spasowicza. O tych czasach Zaleski lubił wspominać. Ponieważ w swych przekonaniach politycznych zbliżałem się wówczas do Spasowicza, Zaleski ostro krytykował mnie, potępiając kierunek polityczny Spasowicza i zarzucając temu swemu serdecznemu przyjacielowi, że rzuca ziarna trucizny w serca młodzieży, siejąc zwątpienie w przyszłość Polski. Na ten temat długośmy nieraz debatowali. Zaleski niedoceniał, siedząc w Paryżu, położenia Polaków w kraju w owej najsmutniejszej epoce ich porozbiorowego życia. Stan był iście rozpaczliwy. Kraj zniszczony, polskość wytrzebiana w rozmaity sposób, duchowo przez spaczone wychowanie, a materjalnie przez nakładanie kontrybucyj, zabranianie kupna ziemi katolikom. Własność polska wciąż topniała, Polacy z Litwy i Rusi przenosili się do Rosji, szkoły przeważnie zapełnione były żywiołem rosyjskim i żydowskim. W Kongresówce rząd starał się zjednywać sobie chłopów, jednocześnie deprawując wszystkie warstwy ludności i dążąc do ostatecznego zlania Królestwa z resztą państwa. Prusak dzielnice Polski gniótł systematycznie i wynaradawiał wyjątkowemi ustawami, a uboga i wyniszczona Galicja nie była w stanie podnieść się ekonomicznie, pomimo swobód politycznych.

Główna nasza przyjaciółka, Francja, przybita moralnie po porażce, zadanej przez Niemców, opuściła nas, poszukując nowych, silniejszych sprzymierzeńców i oglądając się na Rosję, którą w owych czasach otaczał największy blask zewnętrzny. Imponowała ona nietylko siłą i potęgą militarną, ogromnemi przestrzeniami swych ziem dziewiczych i bogactwami ekonomicznemi, lecz równie językiem i literaturą samorodną i całkiem oryginalną. Uczono się po rosyjsku, dobijano się o tłumaczenia rosyjskie, zwłaszcza z zakresu literatury nadobnej. Wszystko, co rosyjskie, było w modzie. Było to wówczas ciosem dla każdego Polaka na emigracji we Francji. Polakom zaczęła się tam ziemia usuwać z pod stóp. Francja sprzeniewierzyła się Polsce, wchodząc w układy z jej ciemiężycielem. Pamiętam, jak mi opowiadał Chudziński, jakie toczył sprzeczki ze swoim szefem, liberalnym zresztą i republikaninem z przekonań, prof. Broca, którego Rosja oszołomiła. Ten prąd polityczny przechodził i do życia prywatnego. Wszędzie faworytowano Rosjan. Sympatje dla Polski oziębły,

bo Francja była w przededniu związku pod głośnem hasłem „alliance franco - russe", który trwał przez szereg lat, aż do wielkiej wojny wszechświatowej i upadku Rosji carskiej. Wobec tak rozpaczliwej sytuacji politycznej, co mógł nam doradzać i czynić najbystrzejszy nawet z polityków i patrjotów?

Dzięki Kosiłowskiemu zwiedziłem szkołę polską w Batignolle i poznałem prezesa i twórcę jej, zasłużonego dra Seweryna Gałęzowskiego, który był wówczas złożony ciężką chorobą, ropnem zapaleniem opłucnej. Leżał po operacji, wykonanej przez prof. Dieulafoy. Gałęzowski pochodził z Ukrainy, pow. lipowieckiego. Szkoły ukończył u Bazyljanów w Humaniu, a wydział lekarski w Wilnie, poczem został adjunktem przy prof. chirurgji, a następnie profesorem Uniw. Wileńskiego. W r. 1828 wyjechał w celach naukowych zagranicę, skąd wróciwszy w r. 1831, niósł pomoc rannym w Warszawie. W roku 1834 udał się do Meksyku jako lekarz kopalni srebra w Agangeo. Przebywszy tam lat kilkanaście i zyskawszy poważanie i wielką wziętość jako lekarz, a co za tem idzie, zebrawszy znaczny fundusz, w roku 1848 wraca na stałe do Europy i osiada w Paryżu. Tu jest opiekunem kolonji polskiej i łoży hojnie na cele filantropijne i narodowe. Do większych ofiar zaliczyć należy założenie Szkoły Polskiej Batignolskiej i stałe jej podtrzymywanie oraz złożenie funduszu stypendjalnego imienia braci Śniadeckich przy Akademji Umiejętności w Krakowie dla kształcenia młodych uczonych polskich zagranicą. Rad niezmiernie byłem poznać i złożyć cześć człowiekowi tej miary. Znaleźliśmy Gałęzowskiego siedzącego w fotelu. Znać było na jego twarzy zmęczenie. Mówił z trudem i zcicha. Dowiedziawszy się, że przybywam z Ukrainy, ożywił się znacznie i jął odnawiać czasy dzieciństwa, zapytując, czy istnieje jeszcze na rynku w Humaniu studnia gruzem zasypana, z której za jego dzieciństwa wydobywano czaszki ludzi, wrzuconych przez hajdamaków podczas rzezi humańskiej. Co do swego zdrowia nie łudził się, rozumiał, że dni jego są już policzone.

Oprócz wykładów lekarskich klinicznych przez ciekawość słuchałem i innych, jak w Sorbonie np. fizjologji słynnego Claude Bernard'a i fizyki starego Gavaret'a. W Collège de France poszedłem raz na wykład Aleksandra Chodźki o literaturze słowiańskiej, w sali, w której wykładał Mickiewicz, ozdobionej płaskorzeźbą jego, Michelet'a i Quinet'a. Chodźko był już zgrzybiałym starcem, chodził z trudnością, mówił bardzo cicho. Trafiłem na wykład o latopisie nowogrodzkim. Całe audytorjum składało się z paru kobiet, zakonnika i mnie.

Chcąc zasięgnąć wiadomości, gdzie są pochowani nasi najwybit-

niejsi emigranci, udałem się do księgarni luksemburskiej, w której poznałem Władysława Mickiewicza, ciemnego bruneta z włosem przyprószonym już lekką siwizną. Otrzymawszy informacje, skierowałem się do Montmorency, gdzie w cichej przystani cmentarnej pod cieniem drzew znalazło wieczny odpoczynek na obcej ziemi tylu naszych zasłużonych.

W pierwsze tygodnie mego pobytu w Paryżu, w tem istnem mrowisku ludzkiem, w którem i w nocy gotowało się jak w ulu, nie mogłem się orjentować, goniąc dnie całe po ogromnych przestrzeniach do klinik, szpitali, lub zwiedzając zabytki, kościoły, muzea, bibljoteki. Czułem się wkońcu zmęczony i wyczerpany duchowo i fizycznie. Lecz kiedym się oswoił z tem wszystkiem, co widziałem, i usystematyzowałem swe zajęcia, czułem się jak w domu, a gdy potem musiałem wyjeżdżać, żal mi było Paryża, bo wówczas tylko ocenić mogłem wszystkie jego strony dodatnie.

W powrotnej drodze zajechałem do Nancy, dokąd miałem list do naszego ziomka, emigranta z Litwy z 1831 r., Jana Bartkowskiego, prof. języka angielskiego w liceum. Nie zastawszy go w mieście, obejrzałem pobieżnie pamiątki po naszym królu filozofie i wyjechałem do Wiednia. Losy jednak tak chciały, że, wysiadłszy na jednej z małych stacyj Lotaryngji, spóźniłem się na pociąg. Okazało się, że jestem w Commercy, jednej z trzech rezydencyj króla Stanisława Leszczyńskiego. Była 8-a godzina rano. Ponieważ pociąg następny odchodził o 4-ej po południu, doradzono mi udać się do miasteczka o 1 klm. odległego. Naczelnik stacji, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, proponował, abym zaszedł do swego ziomka, którym jest *un brave polonais,* profesor w miejscowem kolegium, a nazywa się Michał Kostecki. Zajmował on skromny lokal w rynku. Gospodarz był na lekcji, zastałem tylko żonę Alzatkę, mówiącą z niemiecka, blondynkę, w wieku średnim, bladą i schorowaną, zajętą opinaniem damskich kapeluszy. Przy matce bawiło się dwoje małych dzieci, brudno ubranych. Chcąc mnie koniecznie zatrzymać do przyjścia męża, zaczęła opowiadać o swej przeszłości, mianowicie, że poślubiła męża w Alzacji po powrocie jego z wojska po wojnie francusko-pruskiej, w której się bił za Francję jako ochotnik. Za protekcją profesora Jana Bartkowskiego mąż otrzymał posadę nauczyciela języka niemieckiego w tutejszem kolegjum, przedmiotu nieobowiązującego, a więc mniej popłatnego. Pomaga mężowi do utrzymania domu robieniem kapeluszy, ponieważ jest z zawodu modniarką. Pierwszym Polakiem, którego poznała, był jej mąż i dlatego chciałaby wiedzieć, czy wszyscy Polacy są takiego melancholijnego temperamentu, jak on. Zwy-

kle zamyślony, jakby na dnie duszy jego tkwił jakiś smutek bezbrzeżny. Może to rezultat nieszczęsnego położenia waszego kraju, a może tęsknota za nim? Powiedz pan, mówiła dalej, czy to jest cechą ogólną Polaków, czy tylko mego męża. Nierównego usposobienia, małomówny, ale niech tylko posłyszy jaką wieść z kraju, o swoich, lub ujrzy przybyłego z dalekiej ojczyzny rodaka, ożywia się nagle, a potem przez czas jakiś jest w podniosłym nastroju, w jakiejś ekstazie. Kiedym, nie mogąc doczekać się gospodarza, zabierał się do wyjścia, pani Kostecka słyszeć nawet o tem nie chciała, tłumacząc, że będzie miała wyrzuty od męża, iż pozbawiła go możności pomówienia po polsku. Wkrótce wbiegł zadyszany mężczyzna niewysokiego wzrostu, chudy blondyn, o wielkiej brodzie. Nie słuchając słów żony i mego przedstawienia się, rzucił na stół plikę przyniesionych zeszytów uczniowskich, wołając: o to robota! Nie zwracając na mnie uwagi, siadł; położywszy na stole rękę, oparł o nią głowę i milczał. Żona nakrywała do stołu, potem wybiegła do kuchni i przyniosła wazę. Nie wiedziałem, co począć z sobą. Podszedłem jeszcze raz do Kosteckiego, zbierając się do wyjścia, lecz wówczas zaciągnął mnie przemocą do krzesła i posadził za stołem. Słodki rosół i więcej niż skromny obiad nie bardzo mi smakowały. Wszczęliśmy ożywioną rozmowę, przechodząc z przedmiotu na przedmiot. W końcu obiadu byliśmy już starymi znajomymi. Kostecki jął opowiadać ciekawe dzieje swego żywota. Pochodził z Galicji. Stracił rodziców w dzieciństwie podczas chłopskich rozruchów w r. 1846. Będąc młodym chłopcem, został wciągnięty do ruchów rewolucyjnych. Obawiając się prześladowania władz austrjackich, zmienił swe rzeczywiste nazwisko Janowski na przybrane Kostecki, opuścił Galicję i tułał się po południowej Słowiańszczyźnie, gdzie kilkanaście lat przemieszkał jako nauczyciel ludowy. Gdy wybuchła wojna francusko-niemiecka, podążył do Francji jako ochotnik i został ranny; po wyleczeniu się jako inwalida otrzymał posadę nauczyciela języka niemieckiego w kolegjum. Nauczanie niemieckiego uważał za patrjotyczny obowiązek względem Francji, a to dlatego, ażeby poznawszy Niemców, więcej ich nienawidzono. Dzieci zachęcał do nauki w ten sposób, że ten, kto kocha więcej Francję, lepiej musi znać język swych wrogów. Kostecki, jako mieszkaniec stały, oprowadzał mnie po całym Commercy, letniej niegdyś rezydencji Leszczyńskiego. W starym pałacu króla mieścił się zarząd municypalny, w sali posiedzeń wisiał jego portret. Zachował się z jego czasów park i dawne stajnie. Kostecki zapoznał mnie z aptekarzem i kilku radcami miasta, którym czytał przywiezione przeze mnie z Paryża numery gazety „Soleil". W jednym z nich

był wydrukowany otwarty list Ks. Józefa Lubomirskiego, w drugiem odpowiedź nań Władysława Mickiewicza. Ks. Lubomirski był znany w Paryżu jako agent rządu rosyjskiego. Podobno był pobocznym synem cara Mikołaja I. Fortunę całą zmarnował i wynarodowił się. Rząd rosyjski dawał mu na utrzymanie. Książę w swym liście rzuca obelgi na przeszłość Polski i doradza swym rodakom wyrzec się tego, co bezpowrotnie minęło, stać na gruncie realnym, uznać siebie wiernopoddanymi sługami cara i dążyć do zlania się z wielkim narodem rosyjskim. Ten ohydny pamflet należał do elukubracyj politycznych, które wychodziły od czasu do czasu na emigracji. Pisali je ludzie słabi, którzy po r. 1863 zwątpili w przyszłość Polski. Z taką odezwą wystąpił zdaje się pierwszy w Wilnie ks. Drucki - Lubecki, przyjąwszy prawosławie, później rzeczywisty radca stanu Krzywicki, któremu dał odprawę zagranicą J. I. Kraszewski; następnie Sadyk pasza Czajkowski, o którym wspomniałem wyżej. Ostatnie tego rodzaju odezwy były dwóch zwyrodniałych szlachciców, mieniących się hrabiami: Moszyńskiego i Orłowskiego. Odpowiedź Władysława Mickiewicza ks. Lubomirskiemu w jędrnym i ostrym stylu wykazuje nietylko nielogiczność wszystkich dowodzeń, lecz wierutny fałsz i złą wolę w rzucaniu potwarzy na dziejową przeszłość narodu Polskiego. Napisana dla cudzoziemców, wywarła silne wrażenie i na Kosteckim. Czytał ją każdemu z Francuzów i komentował. Z posępnego i przybitego niepowodzeniami i chorobą bakałarza, Kostecki urósł nagle na bohatera, broniącego praw narodu i jego czci. Ożył, wyprostował się, zaczął potem opowiadać różne wypadki ze swego życia, w których przebijała miłość i gorące przywiązanie do kraju. Czas leciał, a chwila mego wyjazdu nadchodziła. Nalegał, ażebym jeszcze pozostał i w jego rodzinie spożył wieczerzę. Nie mogłem odmówić. Kostecki stał się moim przyjacielem, jakbyśmy się z nim znali od wieków. Serdecznie się ze mną żegnał, dodając, że nie prędko znowu będzie mógł wylać swe uczucia w mowie ojczystej. Odjeżdżałem z Commercy nocnym pociągiem żegnany przez Kosteckiego i kilku jego znajomych Francuzów, którzy za odchodzącym pociągiem wymachując kapeluszami wołali *Vive la Pologne!*

Następnym moim kilkodniowym postojem był Strasburg. Nie było w nim widać już śladów zniszczenia po wojnie. Dziwnem mi się wydało, że miasto, w którem trudniej było wówczas rozmówić się po francusku, niż np. w Kijowie po polsku, zaznaczało swe sympatje francuskie, a niechęć do Niemców. Niemcy po zajęciu Alzacji zdążyli już przekształcić uniwersytet i obsadzić go swemi najlepszemi siłami. Obejrzałem kliniki i byłem na kilku wykładach. Ruch mło-

dzieży był znaczny. W uniwersytecie wyłącznie dawał się słyszeć język niemiecki. Wyjechawszy ze Strasburga, zatrzymałem się w Monachium w hotelu Obermüllera, znanego ze swych sympatyj okazywanych emigrantom polskim po r. 1863. Uczęszczałem tu także do klinik, po obiedzie zaś zwiedzałem to piękne miasto, godne widzenia, jego muzea i dzieła sztuki. Poznałem tu przypadkowo w kawiarni pewnego młodzieńca rodem z Galicji. Był o lat parę młodszy ode mnie. Szczupły, o białej rumianej twarzyczce i bujnych ciemnych włosach w tył zaczesanych, uprzejmy, bardzo mnie zobowiązał, gdyż jako uczeń szkoły sztuk pięknych, ułatwił mi poznanie zbiorów monachijskich, towarzysząc wszędzie. Zapoznał mię też z kółkiem swych kolegów, studjujących tu sztuki piękne. Był to Juljan Fałat, dziś zaszczytnie znany artysta, którego kartka wizytowa długo się u mnie przechowywała. Nie było nam sądzone w życiu więcej się spotkać, lecz przechowywam go dotąd we wdzięcznej pamięci.

Ostatnią dłuższą w mej podróży przystanią był Wiedeń. Wiedziałem już od kolegów o wielkiem ułatwieniu studjów lekarskich w szpitalu Allgemeines Krankenhaus. Był to gmach wprawdzie stary, o niskich sufitach, małych oknach i niedostatecznej wentylacji, lecz mieścił w sobie ogromny materjał chorych, umiejętnie dobrany dla studentów i młodych lekarzy. W gmachu tym mieściły się różne kliniki i specjalne działy kliniczne, pozostające pod kierownictwem znakomitych specjalistów profesorów i docentów. Miewali oni oraz adjunkci i asystenci osobne kursa prywatne od 8-ej rano do wieczora; ułatwiało to nadzwyczajnie studja. Wyborny rozkład wykładów pozwalał młodemu lekarzowi w krótkim czasie wiele się nauczyć teoretycznie i praktycznie. Zachęcony takiem ułatwieniem, nająłem pokoik niedaleko tego wielkiego szpitala u pewnego zniemczonego Czecha krawca i wziąłem się do pracy. Poświęcałem się głównie położnictwu i ginekologji, uczęszczając do klinik profesorów Brauna i Schauty. Oprócz tego mniej pilnie chodziłem do kliniki chorób wewnętrznych Bambergera, chirurgicznej słynnego Billrotha, chorób ocznych Arltha, chorób wenerycznych Sigmunta, skórnych Hebry i jego zięcia Kaposi oraz do innych.

Z lekarzy cudzoziemców, studjujących wówczas bardzo licznie w Wiedniu, najwięcej było Rosjan, Polaków, Czechów, południowych Słowian i Żydów. Poznałem tu młodego studenta V kursu Longchamps de Berier, który wraz z kilku innymi kolegami Polakami chodził w mundurze, odbywając służbę wojskową. Longchamps pochodził ze Lwowa. Spokrewniony z poetą Wincentym Polem, był młodzieńcem gorącego polskiego serca i wielce sympatycznym. Dawał

mi pewne wskazówki jako przybyłemu i oprowadzał po klinikach. Wróciwszy do kraju, dowiedziałem się od rodziny, że Longchamps służył jako lekarz wojskowy, dosłużył się rangi jenerała, a wyszedłszy na emeryturę zamieszkał w rodzinnem mieście i tam niedawno życie zakończył.

Po kuchni paryskiej wiedeńska z zupą podawaną w wielkich kielichach, często posłodzoną, i ze sznyclami silnie napieprzonemi nie trafiała mi do gustu. Rad byłem bardzo, gdy mogłem korzystać z obiadów oficerskich w koszarach pułku ułańskiego, w którym służyli przeważnie Polacy. Pamiętna mi została wilja wspólna w Wiedniu w r. 1876, w której uczestniczyło kilkaset osób uczącej się młodzieży wespół z młodzieżą rzemieślniczą. W czasie wieczerzy wznoszono toasty i wygłaszano mowy pod hasłem jedności i braterstwa. Wśród mówców zapamiętałem dobrze prezesa towarzystwa polskiej młodzieży uniwersyteckiej, późniejszego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Władysława Szajnochę. Znajomości bliższych w Wiedniu nie zrobiłem. Do pewnego stopnia psuł mi humor świerzb, którego nabawiłem się w szpitalach paryskich. Żałując narazie czasu na radykalne wyleczenie, musiałem długo leczyć się w Wiedniu, a potem na Ukrainie. W powrotnej drodze z Wiednia, zatrzymałem się po parę dni w Krakowie i Lwowie. W Radziwiłłowie pogranicznym, gdym przezeń przejeżdżał, dworzec był rzęściście iluminowany. Była to jakaś uroczystość, urządzona przez kolejarzy. Starsi grali w karty, bawili się gawędką, młodzi asystowali paniom. Jedni poubierani byli w mundury kolejowe, inni w polskie czamary i taratatki, w konfederatki i długie buty. U wszystkich twarze polskie wąsate. Mowa polska szeroko się rozlegała na całym dworcu. W niespełna pół godziny drogi były już inne porządki. Mnóstwo rosyjskich urzędników i żandarmów, tragarze przybrani w czerwone koszule i armiaki, wreszcie urzędnicy celni, rewizja i stwierdzanie paszportów. Przesiadłszy się do rosyjskiego pociągu, po kilkunastu godzinach drogi stanąłem w Kijowie, stąd po paru dniach udałem się do Zwinogródki. Kolei do tej mieściny jeszcze nie było. Musiałem więc jechać z Kijowa pocztą wiorst 185. Podróż ta z noclegiem trwała dwa dni. Przejeżdżam znany mi trakt, mijam Wasylków, Białą Cerkiew, Taraszczę i Łysiankę, owe żyzne łany Ukrainy, dziś przemienione w pustynię. Im dalej od Kijowa ku południowi, tem bardziej występuje charakter stepowy, szczególnie od Taraszczy. Na pograniczu walczącego stepu z lasem rozsiadła się Zwinogródka, do której ongiś dotarła kolonizacja szlachty polskiej, walczącej z tatarstwem i szerzącej kulturę zachodnią. W mieście tem sądzone mi było spędzić kilkanaście lat życia najlepszego, bo wiek niepowrotnej młodości.

ROZDZIAŁ XI.

Lekarze w Zwinogródce. — Społeczeństwo miasta i okolicy. — Ważniejsze rodziny obywatelskie.

Wróciwszy z zagranicy zamieszkałem w tych samych pokoikach u Gackich. Stosunki z tą rodziną pozostały nadal przyjazne i serdeczne. Ciekawe są ceny ówczesne wobec dzisiejszych. Dwudziestoletniemu chłopcu Ukraińcowi, Semenowi, wziętemu ze wsi, płaciłem za usługę miesięcznie 5 rubli, co uważano za wysoką pensję, a za mieszkanie i obiad Gackim 35 rubli, dopłacając za utrzymanie chłopca 5 rubli Ponieważ obiady ich były bardzo skromne, doradzili mi jadać w sąsiednim domu u urzędnika akcyzy okręgowej (akcyznyj nadziratiel) Nikitina, który żył nieślubnie z niejaką Eleną Michajłówną, osobą zamężną. Była to kobieta dość młoda, odrażająco pełna, prędka i żywa, Nikitin zaś był szczupły, flegmatyk i cichy. Elena Michajłówna zdaje się oprócz tuszy, innych wdzięków, ani przymiotów duchowych nie posiadała, chyba to że wybornie znała się na kuchni. Nikitin łapówek nie brał. Otrzymując znaczną pensję, lubił żyć, jak Moskale mówią, szeroko i wszystko przejadał. Za obiad z 4 potraw i kawę, a nieraz i owoce płaciłem mu wraz z jedzeniem dla Semena 25, potem 30 rubli miesięcznie. Była to cena na miejscowe warunki znaczna.

Obowiązki Semena były bardzo małe: uprzątanie pokoi, usługa, a głównie pilnowanie domu, co dla młodego chłopca było wielce nudne. Starałem się go zachęcić do książki. Uczył się on przedtem „gramoty" cerkiewno - słowiańskiej przez parę zim w szkółce miejskiej u pijanego dziaka. Zacząłem uczyć go po polsku, tem bardziej, że mówił po polsku znośnie. Uważałem to wówczas za swój obowiązek patrjotyczny, wtenczas gdy uczenie po rosyjsku byłoby przyłożeniem ręki do rusyfikacji Ukraińców. Ponieważ na Ukrainie, a szczególnie w Zwinogródzkiem, unja mało miała wyznawców, nie było takich gwał-

tów i nawracania, jak gdzieindziej. Wśród starszego pokolenia, duchowieństwa prawosławnego i chłopstwa zdarzali się mówiący po polsku, ale młodzi, z powodu służby w wojsku, nauki w szkole i braku wpływu dworów szlacheckich, zatracali nietylko język polski, lecz i rodzimy.

Osiadłszy w mieście, musiałem zrobić kilka wizyt miejscowym przedstawicielom władz, a głównie lekarzom. Z aptekarzem i księdzem poznałem się dawniej. Lekarzy było trzech, dwóch na służbie rządowej, a jeden wolnopraktykujący, który jednak z powodu choroby praktykę zaniedbywał. Przez wszystkich trzech lekarzy, znacznie starszych ode mnie, byłem przyjęty życzliwie. Robili mi nadzieję, że praktykę mieć będę. Najwięcej jej potrzebował z powodu licznej rodziny najmłodszy z nich a starszy blisko o lat 10 ode mnie, Warschauer, lekarz powiatowy, Żyd, lecz w stosunkach koleżeńskich bardzo poprawny, pomimo gorącego i popędliwego charakteru. Rodzina Warschauera składała się z żony i jej córki prawie dorastającej z pierwszego małżeństwa, dwojga dzieci z drugiego, matki i brata. Prowadzili oni dom otwarty, gdyż oboje małżonkowie lubili bawić się i tańczyć. Sama pani — przystojna, zdolna pianistka brała często udział w różnych dobroczynnych koncertach. Posad rządowych wówczas Żydom, ani katolikom nie dawano, Warchauer uzyskał swą wcześniej przypadkowo i był jedynym Żydem — lekarzem powiatowym w całej guberni. Skromna pensja i wolna praktyka nie wystarczały na utrzymanie. Mówiono, że dorabiał sobie i na innych drogach, nie zawsze licujących z powołaniem lekarza. Dłuższe życie i doświadczenie nauczyły mnie nie wierzyć często w pogłoski, tem bardziej, że ludzie lubią chętniej dopatrywać się wszędzie zła, niż dobra. Z Warschauerem utrzymywałem dobre stosunki, lecz w domu jego bywałem tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Dwaj inni koledzy lekarze — Dylewski i Frejde, byli starsi wiekiem. Dylewski miał lat pięćdziesiąt kilka. Pochodził z drobnej szlachty Polesia kijowskiego z rodziny unickiej, później stał się prawosławny, więc mógł zająć urzędową posadę, zresztą z bardzo lichą płacą. Był on wdowcem bezdzietnym. Zamieszkiwał na skraju miasta we własnym domku, bawiąc się ogrodem owocowym. Stale niedomagał i leczył się. Do jego czynności urzędowych należało zarządzanie szpitalem miejskim, świadczenia policyjne i sekcje sądowo-lekarskie. Z natury był oszczędny i żądny grosza, lecz drobnej praktyki nie lubił i o nią się nie ubiegał. W stosunkach koleżeńskich był bardzo poprawny. W czasie, kiedym przybył do Zwinogródki, nastąpiła ogólna branka do wojska, której Żydzi szczególnie się obawiali. Po-

nieważ dokładnych metryk urodzenia u nich nie prowadzono, rząd określanie wieku („naružnyj wid") polecił lekarzom w komisjach popisowych. Za dogodne określenie, jak również za brakowanie ich do służby wojskowej, płacono ogromne sumy. Dylewski łapówki te otrzymywał przez Żyda faktora. Niektórzy rodzice już na lat kilka zawczasu dawali pieniądze celem ochronienia synów od służby wojskowej. W razie wszakże wzięcia ich, stosownie do umowy zwracano część sumy, lub całkowitą. Dochodem tym lekarz miejscowy dzielił się z lekarzem wojskowym, przysłanym na pobór. Lekarze, otrzymywali lwią część łapówek, inni zaś urzędnicy komisji poborowej dostawali bardzo drobne podarki w pieniądzach, lub w produktach, np. głowę cukru, funt tytoniu, lub herbaty i t. d. Pamiętam pułkownika, który, zwalniając żołnierzy z powodu choroby na urlop, wymagał od nich przywiezienia czegoś z wiejskich produktów jako „gościńca", gdy to był rzemieślnik, to zapłaty pracą, np. zrobienia pary butów, czegoś z odzieży, lub z mebli. Łapownictwo lekarzy było tolerowane u nas oddawna. Przed r. 1861, t. j. do czasu uwłaszczenia włościan na Litwie i Rusi, obywatel zobowiązany był oddać pewną liczbę poddanych w rektury. Naturalnie wybierał takich, których rad był się pozbyć, a za przyjęcie i uznanie ich za zdrowych płacił za każdego od 3 do 5 rubli, co według ówczesnej etyki nie robiło ujmy biorącemu. Od kiedy w r. 1871 wprowadzona została obowiązująca służba wojskowa dla urodzonych w r. 1851 i dla szlachty, która przedtem, należąc w Rosji do stanu uprzywilejowanego, nie podlegała jej, jak piszący te słowa, charakter łapówek pobieranych przez lekarzy nabrał odmiennego znaczenia. Nie wiem dlaczego, lecz łapówki brane przez lekarzy inaczej były widziane i bardziej tolerowane, niż brane przez urzędników. Może dlatego, że lekarze za swe czynności urzędowe pobierali małe wynagrodzenie, a samo branie łapówek było ułatwione formą honorarjum otrzymywanego za wizyty. Takie łapownictwo najbardziej rozwinęło się w Kongresówce, gdzie lekarze szczególnie źle byli płatni, a bywały wypadki, w których za to byli sądownie karani. Przewodniczącym komisji bywał w Rosji zwykle marszałek szlachty, w zastępstwie jego komisarz włościański, a członkami: naczelnik wojenny i delegat od gminy lub miasta. Dla lekarzy prowincjonalnych określenie wieku, lub uwolnienie popisowego od wojska dawało ogromne zyski, wtenczas gdy praktyka lekarska przynosiła przeciętnie od wizyty zaledwie od 30 do 50 kopiejek. Dylewski brał wówczas po paręset rubli od uwolnionego rekruta, a czasem i tysiące. Najubożsi Żydzi, ażeby uwolnić syna, gotowi byli sprzedać ostatnie graty. Dylewski wymagał od popisowych przyniesienia kartki o sta-

nie zdrowia od Warschauera, celem dania mu zarobku. Było to łapownictwo całkiem zorganizowane. Prezesem komisji popisowej był marszałek szlachty od korony Protopopow, pochodzący z rodziny rosyjskiej, osiadłej na Ukrainie po r. 1831, która do pewnego stopnia zżyła się z miejscową szlachtą. Protopopow, stary kawaler, człowiek niezły, lecz lubiący karty i hulanki, będąc wówczas w zawikłanych majątkowych interesach i pożyczając pieniądze u Dylewskiego czuł się wobec niego skrępowanym. Sam łapówek nie brał, jedynie korzystniej sprzedawał pszenicę Żydom niż inni sąsiedzi. Razu pewnego zdarzył się poważny skandal podczas urzędowania komisji. Żyd jakiś, przyjęty do wojska bodaj przez pomyłkę, domagał się zwrotu pieniędzy. Protopopow, chcąc sytuację poprawić, wydał sąd salomonowy, aby doktór zatrzymał jakąś drobną kwotę za fatygę, a resztę zwrócił. W mieście i okolicy głośno mówiono o łapownictwie Dylewskiego, ale on nic sobie z tego nie robił, mówiąc „nim gadać, to trzeba dowieść". Komisja poborowa odbywała posiedzenia w trzech miejscach powiatu. Jednem była Łysianka, w XVI w. należąca do dóbr królewskich, później własność Daniłłowiczów, Wyhowskich, ks. Jabłonowskich, wreszcie ks. Radziwiłłów. W r. 1863 Łysianka została skonfiskowana właścicielowi za to, że demonstracyjnie rozjeżdżał po Kijowie w kontuszu i w konfederatce i darowana jenerałowi Kuznakowowi. W kościele był obraz cudowny św. Antoniego Padewskiego, do którego jako do patrona rzeczy zgubionych zwracali się tak katolicy jak i prawosławni, przyjeżdżający zdaleka. Nawet Żydzi dawali na mszę i składali ofiary. Otóż proboszczem i dziekanem łysiańskim był ks. Juljan Kniaź, wiecznie narzekający, że parafjanie są ubodzy, że nie ma z czego żyć, więc dorabiał sobie sprzedażą i kupnem produktów, nie gardził też pośrednictwem w sprawach popisowych. Miał do tego Żyda faktora, który ku zgorszeniu parafjan załatwiał mu nawet sprawy kościelne. Ks. Kniaź był miły, uprzejmy i gościnny, lubiono go i wiele mu darowywano. Komisja popisowa zwykle zajeżdżała na plebanję mieszczącą się w starym klasztorze pofranciszkańskim. Tu dziekan corocznie przez kilka dni hojnie komisję podejmował. Ks. Kniazia spotykałem rzadko — stroniłem od niego ze względu na jego reputację. Zdziwiło mnie przeto bardzo, gdy zostałem zaszczycony szczególniejszem jego zaufaniem. Zwrócił się kiedyś do mnie z propozycją zrobienia pewnemu parobczakowi czegobądź, aby ratować go od wojska, np. uszkodzenia oka. Propozycja ta głęboko mnie oburzyła, ksiądz tłumaczył się, że czyni to jako dobry uczynek z miłości jedynie bliźniego. Nie przekonał mię wszakże, więc prosił „jako kapłan" o dyskrecję, co mu przyrzekłem. O tempora, o mores!

Dylewskiego łączyły długoletnie stosunki z miejscowym aptekarzem Sawickim, u którego za wpół darmo obiadował, nie prowadząc własnej kuchni. Podobała mu się pewna bardzo przystojna panienka Rosjanka, której oświadczał się kilkakrotnie, lecz otrzymywał odmowę. Panna pomimo namowy matki nie chciała wiązać swego losu z człowiekiem, choć bogatym, lecz niemłodym i chorowitym, tem więcej że liczyła na patrję odpowiedniejszą. Kawaler, otrzymawszy odkosza, miał nieostrożność powiedzieć pannie, że jeżeli kiedykolwiek namyśli się wyjść za niego, on swe słowo zawsze spełni. Po latach kilku, kiedy wszelkie stosunki zdawały się być zerwane, panna, straciwszy nadzieję znalezienia lepszej partji, wróciła do dawnego swego wielbiciela, schorowanego 60-letniego starca. Dylewski od czasu do czasu, wracając ze szpitala, zajeżdżał do mnie na pogawędkę. Otóż raz zapytał mię, czy nie mam żadnego interesu do Kijowa, gdyż za dni parę tam wyjeżdża. Na moje pytanie, w jakim celu to czyni, odpowiada, że na ślub. Zapytuję, na czyj? Mówi, że na własny. Uważałem to za żart, i nie chciałem uwierzyć. Powiedziałem mu, że chyba zwarjował, a dodałem, że jeżeli się ożeni, to nazajutrz pójdę w jego ślady.

Po tygodniu wchodzi do mnie Dylewski. No, musisz kolego spełnić to, co obiecałeś, powiada.

— Nie przypominam.

— A ożenić się, dodał po chwili.

Wówczas stanęła mi w pamięci nasza rozmowa i musiałem staremu koledze winszować, życząc wątpliwej pomyślności.

Byłem potem bardzo krótko parę razy u młodego małżeństwa, nie chcąc im przeszkadzać w pierwszych dniach miodowych. Nie minął miesiąc, a zostałem wezwany do chorego Dylewskiego. Przed kilku dniami, obcinając po kąpieli paznokieć na wielkim palcu nogi, zaciął się, jak powiadał, bardzo lekko nożyczkami. Utworzyła się na palcu czerwoność i nabrzmienie, które bardzo zwolna się powiększały, a silne bóle rwące nietylko wielkiego palca, lecz całej nogi nie dawały mu spać. Początkowo trudno było odgadnąć, czy to była podagra czy inna choroba, połączona ze złem odżywianiem naczynio-ruchowych nerwów nogi. Odwiedzałem go codziennie. Bóle stawały się coraz gwałtowniejsze, chory zasypiał tylko po zastrzyknięciu morfiny. Używano najróżniejszych leków: ciepła, zimna, elektryczności, lecz bezskutecznie. Ranka powiększała się bardzo nieznacznie, lecz po kilku tygodniach cała noga poczerwieniała i nabrzękła. Po bezskutecznej naradzie z miejscowymi lekarzami, Dylewski postanowił pojechać do Wiszni pod Winnicę, gdzie wówczas w swym majątku przemieszkiwał

słynny chirurg rosyjski, Pirogow, ściągając rozmaitych chorych z całego południa Rosji i operując ich w urządzonym przez siebie na kilkanaście łóżek szpitalu. Pomimo swych dawnych liberalnych teoryj, pod wpływem drugiej żony, Żydówki, znakomity profesor zaprzedał się pewnej kompanji żydowskiej, która ustanawiała ceny za porady i operacje i sprowadzała Pirogowa do rozmaitych miast żydowskich, ogłaszając o tem na parę tygodni sążnistemi plakatami. Dylewski do niego też pojechał, lecz po tygodniu powrócił. Pirogów określił chorobę, którą później zaledwo jeszcze parę razy spotkałem, jako zgorzel samoistną (Gangraena spontanea), a operacji się nie podjął, uważając, że zgorzel może się przerzucić poza miejsce operowane. W Kijowie chciano amputować nogę wyżej kolana, lecz Dylewski się nie zgodził. Wreszcie w strasznych cierpieniach po przeszło 9 miesiącach zakończył życie. W przeciągu mej 32-letniej praktyki lekarskiej nie spotkałem większego męczennika nad niego. On, który należał do ludzi wyjątkowo zachartowanych przez życie, a zdobył dyplom lekarski w wieku starszym, przechodząc ciężkie koleje losu o czarnym kawałku chleba, z bólu tracił cierpliwość, krzyczał, rwał włosy na głowie, odchodził od przytomności, modlił się, płakał, przeklinał, prosząc o większą dawkę narkotyku, by prędzej zakończyć męczeński żywot. Dla zjednania sobie żony, a pod naciskiem jej rodziny zapisał całą swą fortunę w testamencie małżonce, a tylko drobną część swym braciom chodzącym za pługiem na Polesiu. Widziałem w czasie choroby Dylewskiego kilka epizodów dramatycznych. W jednym pokoju, przesiąkłym wonią zczerniałej i zgangrenowanej nogi, chory wił się w boleściach i krzyczał, w sąsiednim zaś przed ogromnem lustrem pełna wdzięku żona przymierzała buciki, kapelusze i suknie otrzymane z Kijowa, a trupi zapach z sąsiedniego pokoju zobojętniała perfumami. Dylewski, przez parę dni jęcząc w długiem konaniu, prosił, aby mu czytano po polsku modlitwy przy konających. Od czasu do czasu zrywał się, wzywał mnie, mówił coś o zmianie testamentu, lecz był tak osłabionym, że słów nie można było zrozumieć. Na pogrzebie było całe miasto. Najbardziej odczuli jego śmierć Żydzi. Mówili, że był im ojcem i nie prędko taki lekarz się znajdzie, chwalono jego prawość charakteru i zrozumienie praktyczności w życiu, bo postępował tak, by i jemu i innym działo się dobrze.

Trzecim lekarzem był Adolf Freide, o lat kilka starszy od Dylewskiego, pochodzenia żydowskiego. Dziad jego i ojciec zamieszkiwali w Winnicy i byli tam lekarzami. Rodzice Freidego w jego dzieciństwie przechrzcili się, matka była nawet nadzwyczaj pobożna, jak to często bywa u neofitów. Po niej i syn odziedziczył usposobienie

religijne, wiele czytał, a często bywając zagranicą, szczególnie we Włoszech nabrał zamiłowania do sztuki, ale jednocześnie wierzył w gusła i przesądy. Po skończeniu uniwersytetu w Kijowie służył przez lat kilka w wojsku, później praktykował w paru miasteczkach na Podolu, wreszcie ożenił się z młodą wdową Rosjanką i zamieszkał w Zwinogródce, trudniąc się wolną praktyką. Był wszakże chory na nieuleczalną chorobę wiądu (tabes), która z latami postępowała, sprowadzając niedowład i różne zaburzenia czucia i psychiki, objawiające się w silnych bólach głowy, w bezsenności, w przeczuleniu, wyciąganiu się i ziewaniu. Niespodziane otwarcie drzwi, stuk na ulicy, poruszenie stołu lub serwety sprowadzało cały szereg wykrzyknięć histerycznych, co utrudniało wielce rozmowę z nim i obcowanie. Przytem trzeba było bardzo uważać na słowa, gdyż z niewinnych powiedzeń wyprowadził posądzenia i obrażał się. Od pierwszego poznania czułem, że stosunek z takimi ludźmi będzie trudny, nieprzyjemny i nietrwały. Z pozorów można było mniemać, że Freidowie są ludzie dostatni i za takich byli uważani. Zajmowali obszerne mieszkanie, trzymali kilkoro służby, powóz i konie. Już przejście z pokoju do innego sprawiało Freidemu niemało trudności, a tem bardziej, wsiadanie i wysiadanie z powozu. Chorych przyjmował tylko wyjątkowych, uprzywilejowanych i to tylko jeżeli mu pozwalało zdrowie, przyczem kazał dobrze sobie płacić. Stan zdrowia nie pozwalał mu badać chorych dokładnie, lecz wśród publiczności wyrobił sobie opinję pewnej powagi i tak się uważał wobec lekarzy innych, wskutek czego ci nie mieli z nim żadnych stosunków. Zamieszkawszy w Zwinogródce, a słysząc o Freidem jako o człowieku chorym, kapryśnym, a nadomiar nie będącym już lekarzem zawodowym, wahałem się długo, czy pójść do niego, nie wiedząc, jak ta powaga prowincjonalna mnie przyjmie. Wkońcu zdecydowałem się złożyć wizytę. Oczekiwałem długo w sali, wreszcie wszedł opierający się na kiju z trudnością chodzący gospodarz. Był wysokiego wzrostu, mógł mieć lat niespełna 60, o typie wybitnie semickim. Przyjął mnie bardzo grzecznie, podkreślając między wierszami, że, będąc autorytetem, gotów jest udzielić mi swej wiedzy i protekcji. Mówił wiele o swojem wieloletniem doświadczeniu, o zaufaniu, jakie posiadł pośród rzesz ludności, i o tem, że jest chory, praktykę porzucił, a swych chorych, którzy mu wciąż nie dają spokoju, do mnie będzie odsyłać. Zaznaczył przy tem wyższość lekarzy wolnopraktykujących, którzy liczą na swe własne siły, a nie na pobory urzędnicze i łapówki. Zgóry traktował obu kolegów, których już przedtem poznałem. Trzymałem się od Freidego zdaleka. Mieszkałem blisko od niego, a jeżeli dni kilka nie odwiedzałem go, to przy-

syłał nawet po mnie konie, wyrzucając mi, żem o nim zapomniał. Dla mnie obcowanie z człowiekiem chorym i nerwowym nie było przyjemne, chociaż ciekawiły mię opowiadania jego o czasach uniwersyteckich i zdarzeniach z praktyki lekarskiej, z życia i stosunków szlachty ukraińskiej. Żona Freidego była córką popa, wdową po obywatelu Polaku, po którym otrzymała spadek i wyszła potem za Freidego. Była to osoba przeszło trzydziestokilkoletnia, przystojna, nerwowa, przeczulona, — może częściowo z powodu warunków życiowych, zakochana w mężu. Nie mając rodziny, i nie podtrzymując żadnych stosunków, pędzili życie samotne, dziwaczne, wciąż zajęci chorobą, licząc wzajemnie tętno, to wsłuchując się w uderzenia serca. Latem, ani zimą mieszkania nie wietrzyli, czuć tam było stale zapach dymu tytuniowego wraz z zapachem walerjany i wody kolońskiej.

Pisząc o lekarzach osiadłych w Zwinogródce, muszę wspomnieć i o aptekarzu, który w życiu kresowego miasteczka odgrywał niepoślednią rolę. Był nim od lat już przeszło 40 zamieszkały tu Adam Sawicki. Był on prawdziwą miejscową kroniką. Pochodził z Białegostoku. Mając lat 20, przyjechał na Ukrainę za chlebem. Jako prowizor, zarządzający apteką wdowy Niemki, Santimerowej, ożenił się z jej córką, miał dwoje dzieci i posiadł aptekę. Żonę i teściową wcześnie pochował i jako wdowiec doczekał późnej starości. Był typem nie tylko człowieka starej daty, ale i aptekarzem dawnego autoramentu; był skromny, nieśmiały, uprzejmy, ostrożny, aby się nikomu nie narazić, zwłaszcza lekarzom, dla których żywił cześć szczególną, wynikającą z własnego interesu. Dbał o aptekę i jej dobrą sławę, mając w niej spory zapas leków zwyczajnych i środków najnowszych, tak że apteka jego cieszyła się na całej Ukrainie dobrze zasłużoną sławą. Sawicki wiedział z wieloletniego doświadczenia, że byt apteki jest zależny w znacznej części od życzliwości dla niej praktykującego lekarza, lecz co najśmiejszniejsza, że według tego oceniał każdego lekarza jako człowieka, mawiając nieraz, „a *panie - dzieju* — miał to przysłowie, — jest to człowiek światły i zacny, ile z niego zarobiła apteka!" lub — „to człowiek zły, straszny wróg apteki".

Do inteligencji kresowego miasteczka z tytułu swego stanowiska należał proboszcz miejscowy. Przez długie lata był nim ks. kanonik Florjan Juszkiewisz. Po r. 1863, kiedy najmniejsze uchybienie pociągało kary i prześladowania, ks. Juszkiewicz, zbyt krewkiego temperamentu, rozpoczął walkę z władzami, za co został zesłany. Udało mu się wyjednać wszakże u władzy diecezjalnej, że na probostwie osadzono jego siostrzeńca, ks. Władysława Stołyhwę, którego uważał za tymczasowego zastępcę, a siebie za aktualnego, choć nieobecnego,

proboszcza, wymagając dla siebie lwiej części dochodów prebendy. Przyjechawszy do Zwinogródki, spotykałem nieraz tu przebywającego ks. Juszkiewicza, rodem z Litwy, który znał w dzieciństwie mego ojca i stryjów, kolegując z nimi w szkołach krożańskich, z tytułu więc ziomka wtajemniczał mnie w zażarty spór pomiędzy nim i siostrzeńcem. Taki stan parafji przyczynił się wielce do zaniedbania kościoła i probostwa. Za następców ks. Stołyhwy, wobec pewnej tolerancji rządowej, umyśliliśmy w r. 1883 utworzyć tajny komitet parafjalny do zbierania składek dla odnowienia kościoła, który pozbawiony był okien i drzwi i kilkakrotnie okradany; nawet groby fundatorek nie uszły baczności złodziei. Wespół z proboszczem urządziliśmy prowizoryczny komitet, do którego oprócz mnie weszli, jako ludzie bardziej ze sprawami gospodarczemi obeznani, gospodarz mój Gacki i niedawno do miasta przybyły August Stein, dymisjonowany major, lat 65, który choć całe życie przebył w Rosji, służąc w wojsku, zachował silne poczucie polskości, jakkolwiek liczna rodzina uległa mimowolnemu wpływowi rusyfikacyjnemu szkół i instytutów rządowych, w których dzieci wojskowych mogły się kształcić bezpłatnie. Steinowie nabyli dom z ogrodem w Zwinogródce i tu zamieszkali. Rozpocząłem energiczne działanie, apelując do zamożnych miejscowych i okolicznych parafjan, między innymi i do oficjalistów w majątkach i fabrykach, by przyczynili się datkiem do podtrzymania kościoła. Wszyscy chętnie poparli zbożne dzieło i kościół został odnowiony. Sporządzono nowy dach, okna, drzwi, otynkowano ściany, zrobiono ołtarze, sprawiono świeczniki, żyrandol, kielichy, nie mówiąc o ornatach, bieliźnie kościelnej i t. d. Wydałem w r. 1883 w Krakowie wyłącznie na dochód kościoła monografję historyczną p. t.: „Ostatnia Starościna Zwinogrodzka", zarys dziejów kresowego miasteczka, oparty na archiwalnych materjałach, znalezionych przy kościele, z portretami fundatorek kościoła — Sołtykowej i jej córki Salomei. Bezinteresowna nasza działalność nie znalazła pełnego uznania u ówczesnego proboszcza, człowieka bardzo popędliwego i gwałtownego, bez którego zresztą zgody nie podejmowaliśmy żadnych prac w kościele. Widział on w nas uzurpatorów, co doprowadzało do przykrych starć. Pomimo jednak tych zatargów wkońcu zostaliśmy sowicie wynagrodzeni, odrestaurowawszy na dalekich kresach wschodnich kościół, który przestał urągać swym upadkiem i ruiną. Nie będę podnosił znaczenia, jakie na kresach posiada kościół i własność ziemska. Z niemi ściśle się łączyło zawsze istnienie naszej narodowości, z utratą bowiem ziemi ginęła liczna klasa obywateli, dzierżawców i oficjalistów i polskość zanikała. Demagogiczna tendencja wywłaszczenia z ziemi średnich i większych posia-

daczy groziła Polsce fatalnemi skutkami pod względem ekonomicznym i kulturalnym, a na kresach i pod względem narodowym.

Kolonizacja polska na kresach wschodnich w XVI i XVII w. sięgała daleko, lecz na Rusi Zadnieprzańskiej nie pozostawiła żadnych śladów historycznych. W wiekach XVIII — XIX cofnęła się ona znacznie ku ziemiom przeddnieprzańskim, a pamięć o niej zaginęła, ostały się tylko ślady w nazwiskach osób żyjących, lub na niektórych grobach. Zlustrowałem przed przeszło 30 laty wiele cmentarzy i wtenczas przekonałem się o całunie śmierci, jaki zaległ nad Ukrainą. Opuszczając tę dzielnicę nazawsze, złożyłem swe rękopisy na ręce zasłużonego pisarza d-ra J. A. Rollego w Kamieńcu. Niestety, wkrótce Rolle życie zakończył, a w wiele lat potem, kiedym się o moich rękopisach dowiadywał, nic już nie znalazłem, bo gdzieś się zawieruszyły.

Powiat Zwinogrodzki, kiedym go w r. 1891 opuszczał, posiadał czterdziestu kilku posiadaczy średniej własności, z których więcej niż połowa było Polakami. W tej liczbie było kilku większych właścicieli. Po latach dwudziestu kilku, w r. 1914, liczba wszystkich Polaków stopniała do dziesięciu; pozostali przeważnie właściciele więksi. Po wielkiej wojnie i najściu dzikich hord bolszewckich, Ukraina ma gorszy wygląd, niż po zniszczeniu przez Tatarów, po t. zw. „ruinie".

Praktyka prowincjonalnego lekarza, od której wszyscy uciekali, garnąc się do większych miast, była bardzo uciążliwa i męcząca. Wymaga ona znacznej straty czasu, a zakres jej nie może przekroczyć pewnych granic. Jeżeli pogłoska o jakiemś szczęśliwem wyleczeniu sprowadza powodzenie, to znowu nieszczęśliwy wypadek może być wyzyskany przez ludzi lekarzowi niechętnych i urosnąć do plotki potwornej. Lekarz miejski, straciwszy praktykę w pewnem kole, pozyskuje ją w innem i nie stoi pod pręgierzem opinji publicznej, jak to się dzieje na prowincji. Godzin przyjęć lekarz prowincjonalny nigdy ściśle nie może określić, bo chorzy przychodzą wówczas, kiedy chcą i mogą. Nigdy się nie jest pewnym, czy cię w nocy nie wezwą do jakiegoś chorego, lub do położnicy, co po kilku latach praktyki lekarskiej wprawiło mnie w taki stan zdenerwowania, że wciąż słyszałem w nocy dzwonek i łomotanie do drzwi. Parę razy tygodniowo, najczęściej po obiedzie, wyjeżdżałem gdzieś do chorych na wieś, a wracałem w nocy lub nazajutrz rano. Główną praktykę stanowili Żydzi, popi i szlachta. Chłopi zwykle przyjeżdżali w większej liczbie w dnie targowe, chociaż, mając swych znachorów i baby wiejskie, o pomoc lekarską mało się zwracali; należało ich do tego zachęcić, nie tylko nie pobierając honorarjum, lecz niekiedy nawet ułatwiając nabycie leków. Takie obcowanie z rozmaitemi warstwami dawało lekarzowi możność bliższego

ich poznania. Każda posiadała odmienną kulturę, stanowiła inny świat pojęć i obyczajów. U Żydów np. stosunek do lekarza był oparty jedynie na interesie zobopólnym, odmienny z chłopami.

Bardzo dużo chorych w powiecie stanowiło duchowieństwo prawosławne. W celach politycznych rząd nasadził gęsto popów. Każda wieś miała swego, a niektóre większe nawet po dwóch. W ciągu mojej praktyki lekarskiej leczyłem na Ukrainie w przeszło 100 domach popowskich, tem bardziej, że rodziny ich były liczne, składając się z kilku, lub kilkunastu osób. Tworzyli oni świat odrębny, w którym pod zewnętrzną powłoką pewnej nabytej kultury objawiały się grube obyczaje mało wyróżniające się od chłopskich. Uroczystości domowe, znane mi tylko z opowiadań, kończyły się zwykle pijaństwem, a moralność i pojęcie o uczciwości były również nader pierwotne. Znałem kilku popów po pijanemu katujących swe żony, jakkolwiek przeważnie większość dbała o nie w obawie, że po śmierci jednej powtórnie żenić się nie można. Jeden z młodych popów, który wyróżniał się większą ogładą towarzyską i wiadomościami naukowemi, T..., oczytany w dziełach przyrodniczych, interesujący się zagadnieniami społecznemi, okazał się przy bliższem poznaniu kandydatem na współczesnego bolszewika. Raz w nocy, jadąc ze mną do chorej żony na wieś, chełpił się ze swych zasad bezreligijnych, szydząc zjadliwie z podstaw chrześcijaństwa. Przysłuchiwał się jego słowom wiozący nas parobczak. Pop ze zdziwieniem usłyszał, że staję w obronie zasad chrześcijańskich. Przedstawiłem mu całą nietaktowność podrywania swej powagi, chociażby nawet jako urzędnika i przedstawiciela religji państwowej. Potem musiałem wysłuchiwać skarg ciężarnej żony na przypadłości nerwowe spowodowane tyranją męża. Twarz i ciało miała ona pokryte sińcami. W innym razie znowu matuszka M., znana ze swego niemoralnego prowadzenia się, uskarżała się na męża, że ją bije, podejrzewając jakoby go zaraziła. Jako lekarz mimowoli musiałem być wtajemniczony w wiele spraw rodzinnych. Charakter i obyczaje duchowieństwa zdumiewały mię nietyle może niską kulturą, ile stroną moralną i cynizmem.

W wielkiej wsi K... probostwo dziedziczyła już w trzeciem pokoleniu rodzina K., składająca się z popa przeszło 50-cio letniego, jego żony i kilkorga dzieci. Rodzina pochodziła podobno ze szlachty polskiej. Trzeba dodać, że wszystkie stadła małżeńskie duchowieństwa prawosławnego zawierają związki bardzo wcześnie i są wyjątkowo płodne. Dzieci rodziny K. kształciły się w szkołach duchownych. Najstarszy syn posiadał głos niepospolity, śpiewał w chórze archijerejskim, potem w operze w Petersburgu, wreszcie pewien mecenas ku-

piec dał mu środki na kształcenie się we Włoszech. Wkrótce zabłysnął jako znakomity tenor na różnych scenach europejskich, lecz pędził życie rozwiązłe i był pijakiem. Brat jego młodszy skończył duchowne semnarjum, lecz pijak skończony, dopuszczał się różnych karygodnych występków, i wreszcie u rodziców na wsi, położywszy się spać pijany, spłonął od gorejącej świecy, od której zapaliła się poduszka. O *bat'ku* i wyzyskiwaniu przezeń chłopów krążyły różne opowiadania. Razu pewnego dwóch gospodarzy kłóciło się z sobą o to, co paroch mówił z ambony o Św. Joannie dwojesłowie i skąd pochodzi ta nazwa. Poszli przeto o zakład, zwracając się do popa jako do superarbitra. Ten, wziąwszy od obu pieniądze, powiedział, że obaj nie mieli racji i że pieniądze niech pozostawią dla cerkwi na powiększenie chwały Bożej. Chłopi opowiadali o tem z oburzeniem. Mówiąc o duchowieństwie prawosławnem, nie mogę potępiać wszystkich duchownych. Były wśród nich wyjątki, ludzie spokojniejsi, nie wyzyskujący ludu, którzy nie wchodzili w zatargi i kłótnie z właścicielami ziemskimi lub dzierżawcami, ani nie podszczuwali przeciw nim chłopów i nie donosili o politycznej nieprawomyślności. W każdym razie, jakkolwiek katolickie duchowieństwo na Rusi może i miało swe grzechy i błędy, to bądź co bądź stało wyżej etycznie od prawosławnego, uprzywilejowanego i faworyzowanego przez władze.

Polskie społeczeństwo na Ukrainie składało się przeważnie z właścicieli ziemskich, dzierżawców, oficjalistów i drobnej szlachty czynszowej, którą rząd pozbawił szlachectwa, zaliczając do kategorji t. z. „jednodworców" — nazywających siebie dworzanami. Osadzona niegdyś na ziemiach kresowych, jako żywioł wnoszący ład i porządek, szlachta czynszowa zagospodarowywała, orząc swym pługiem dziewicze ziemie Ukraińskie, a swą piersią broniła ziem i granic Rzeczypospolitej. Rząd rosyjski, widząc w czynszownikach żywioł politycznie niepożądany, starał się ich usunąć i znalazł u właścicieli ziemskich chętną pomoc. Niezadowoleni bowiem z małego czynszu, woleli oni zaokrąglić swe ziemie wyrzucając z odwiecznych sadyb czynszowników, których los był gorszy od chłopskiego. Nad szlachtą czynszową zawisły chmury: prześladowanie rządu, panów, niechęć rasowa i pogarda chłopów. Chociaż szlachta czynszowa zatraciła nieraz język i religję zachowała wszakże tradycję swego pochodzenia.

Koloniści polscy na ziemiach kresowych pozbawieni ośrodków kulturalnych, kościoła, rozproszeni wśród ruskiego morza, zaginęli. Mniejsze folwarki szlacheckie stopniowo parcelowane przechodziły w ręce chłopskie, pozostawały tylko większe dobra tak u Polaków, jak i u Rosjan. Największe z nich były: klucz Olszański —

kilkanaście folwarków z fabryką cukru należącą do dóbr Białocerkiewskich hr. Branickich, i dobra Bużańskie, — kilkanaście folwarków z dwiema fabrykami cukru hr. Potockich. Dobra te i fabryki zarządzane przez pełnomocników, dyrektorów i liczną administrację, która służyła tam nieraz przez kilka pokoleń, nadawały okolicy charakter polski. Pozbycie się majątku spowodowywało zmianę całej administracji i zanik polskiego charakteru, gdyż w większych majątkach Rosjan administracja składała się z nich i Niemców, a niekiedy i Francuzów, jak to było w dobrach Tolniańskich hr. Szuwałowych, odziedziczonych po Potockich, lub w dobrach Szpolańskich ówczesnego ministra skarbu. Wszystkie te fabryki i majątki miały swych lekarzy, jednakże bywałem tam nieraz na konsyljach a niekiedy przyjeżdżali do mnie chorzy stamtąd.

W dobrach Bużańskich, należących do hr. Potockich, t. zw. pełnomocnikiem był Molski, który zarządzał folwarkami. Ekonomowie jego rozjeżdżali powozami i własnemi końmi, wychowywali dzieci w szkołach, płacąc nieraz nauczycielce trzy razy tyle co pobierali sami pensji. Molski traktował ich zgóry, zawsze narzekał i gderał. Przyjechawszy na folwark zwykle mawiał: „pan sam tłusty, a konie u pana chude", lub „u pana zła gospodarka i pan i bydło i konie chude". Zdarzało się, że ekonomowie popełniali znaczne nadużycia, a jednak ich trzymano.

W Kluczu Olszańskim, pomimo, że ukraińskie stare przysłowie nazywało go: „Olszaną kochaną", oficjalistom gorzej się żyło, a administracja była skąpsza, chociaż, opowiadano, że stary hr. Władysław Branicki, dziedzic Białocerkiewszczyzny, zwykł był podrzucać garść pszenicy do góry, a kiedy pozostawało parę ziarn na dłoni, mówił, że to, co spadło, to zabierają oficjaliści, a to, co na dłoni, to zostaje właścicielowi.

Z klasy oficjalistów i ekonomów pochodzili dzierżawcy, lecz obywatele, jakkolwiek mieli wśród nich krewnych i przyjaciół, jednak zdaleka się trzymali, uważając siebie za coś lepszego.

Folwarki szlacheckie, a szczególnie kolokacje szlacheckie w niektórych okolicach za moich czasów były dość gęste. Powstały one w ten sposób, że właściciel, nabywszy lub dostawszy za zasługi wojenne kawał ziemi, zakładał folwark, wznosił zabudowania gospodarcze i tworzył wieś, osadzając i sprowadzając z okolic mieszkańców i budując cerkiew. Na stepach i pustkowiach zakładanie dworu obok wsi miało na celu zabezpieczenie się od napadów tatarskich i różnych grasujących *„warmaków"*, były to swego rodzaju warownie kresowe. Do folwarku przylegały grunta pańskie, a ku wsi grunta chłopskie.

Przy rozroście wsi, zajmujących nieraz znaczne przestrzenie, gdyż każda chata okolona była zwykle sadem wiśniowym, dwór znalazł się w samym jej ośrodku, a kiedyindziej wieś otaczała się licznemi dworami po podziale ziemi pomiędzy spadkobiercami. Dworki parcelując się dalej musiały wkońcu zniknąć. Najbliższą taką wsią, oddaloną o 10 wiorst na połud.-zach. od Zwinogródki, była Mezynówka, mająca dwóch właścicieli Jaczewskiego i Symonulewicza, obu dymisjonowanych rotmistrzów.

O wiorst kilka od Mezynówki leżała większa wieś Wodzianiki, mająca kilku właścicieli ze szlachty. Jednym z mniejszych był Gorski aptekarz, pełniący przez długie lata obowiązek lekarza dóbr Bużańskich. Miał on syna malarza Prospera Gorskiego, potem zamieszkałego w Żytomierzu, znanego ze swych wybornych szkiców, ilustrujących sceny z życia prowincji. Szkoda, że cenne obszerne albumy, pozostałe po zmarłym malarzu, które po jego śmierci oglądałem, rozproszyły się pomiędzy spadkobierców. Gorski zrzekł się części swej kolokacji w Wodzianikach na rzecz swej siostry zamężnej za dymisjonowanym pułkownikiem huzarów Hipolitem Tarkowskim, rodem z Grodzieńskiego. Poznałem go jako przeszło osiemdziesięcioletniego wdowca, ojca 5 zdrowych i hożych cór na wydaniu, lecz niepraktycznych i niezaradnych w życiu, z których dwie wyszły zamąż. Tarkowski był unikatem, pełnym przesądów i zabobonów, wierzącym we wróżby, czary i zamawiania, które w ustach starca nie były tak rażące, jak w ustach młodych panienek, apatycznych, a rozmarzonych. We dworku Wodzianickim, skąd nigdy nie wyjrzały na szerszy świat, upłynęło ich życie. W rodzinie tej był dziedziczny talent do rysunków, nietylko po wuju Gorskim, ale i po ojcu, który robił bardzo udatne podobizny i karykatury. Bliskim ich krewnym był znany ówczesny malarz Witold Prószyński. Opodal Tarkowskich były dwie parcele dwóch braci Kobielskich — wojskowych. Jedna została sprzedana przez wdowę, drugą władała wdowa z synem, który jednak przy ojcowiźnie się nie utrzymał. Były tu jeszcze drobne folwarki Wielhorskich, Prochorowej i Siewrukowej, które już wówczas były rozsprzedawane chłopom.

O pięć wiorst od Wodzianik, w których urodził się utalentowany poeta Stanisław Grudziński (ur. 1852 † 1884 r.) leży Czyżówka z folwarkiem należącym do dóbr Bużańskich hr. Potockich. Tu urodził się zasłużony polski antropolog Izydor Kopernicki (1825 — 1891) i brat jego wybitny pedagog Walery. Niedaleko zamieszkiwał przez lat przeszło 40 w skromnym wiejskim domku, otoczonym ogrodem, lekarz dóbr Bużańskich i fabryk cukru dr. Mikołaj Żuk, osiadły tu zaraz po

skończeniu Akademji Medyko - Chirurgicznej Wileńskiej. Pochodził on z Białorusi z rodziny unickiej, lecz pomimo, że urzędowo należał do panującego kościoła, był gorącym Polakiem i pobożnym katolikiem i w takim duchu wychowywał swoje liczne potomstwo. Starego Żuka osobiście nie poznałem, gdyż prędko po mojem osiedleniu się umarł, a widywałem go tylko zdaleka. Uchodził on za człowieka starej daty i wielkiego dziwaka. Wychowywał swe dzieci w staroświeckiej karności, żadne przy ojcu nie miało prawa usiąść. Synów tytułował per pan, lub asan. Za złe prowadzenie się wymierzał im karę, a kiedy podobno jednego z nich za to, że nie przeszedł do ostatniej klasy wysiekł, a ten uciekł, imienia jego już nikt nigdy w domu rodzicielskim nie wypowiedział. Codziennie rano i wieczorem przed śniadaniem i wieczerzą cała liczna rodzina, a na jej czele ojciec, klękała przed obrazem i odmawiała pacierze. Za zasługi ojca wszyscy synowie wychowywali się w Kijowie w gimnazjum i w Uniwersytecie kosztem Potockich. Znałem ich w tych czasach. Po śmierci ojca wszyscy zrusyfikowali się, wyśmiewali przywiązanie ojca do polskości, pożenili się z Rosjankami, a niektórzy wyróżniali się swem wrogiem usposobieniem do wszystkiego, co polskie. Jeden z synów został lekarzem, drugi nauczycielem gimnazjalnym, trzeci urzędnikiem sądowym, inny wydawcą dzieł popularnych z zakresu medycyny i t. d. Jakkolwiek despota w rodzinie, Żuk był bardzo uprzejmy w stosunkach koleżeńskich i wobec chorych, choć niekiedy sypał ostremi dowcipami i anekdotami, które były dalej opowiadane. Pewna dama, naprz. która często trudziła go swemi niedomaganiami, a potem go obmawiała i zresztą była znaną jako plotkarka, zwróciła się kiedyś z prośbą o radę na ból języka. Otóż doktór ją uspokoił, że na języku jest drobny pryszczyk, który zniknie prędko, ale że pacjentka naogół ma język zadługi i brzydki, więc powinna go oczyścić, lub podciąć. W parę miesięcy po śmierci Żuka, przejeżdżając przez miasteczko Ryżanówkę, niedaleko leżące od miejsca jego zamieszkania, nabyłem w żydowskim sklepiku jakiś przedmiot i zauważyłem, że był zawinięty w drukowaną łacińską kartę, wydartą ze starej książki lekarskiej. Właściciel sklepiku wyjaśnił, że nabył od dzieci całą bibljotekę Żuka na makulaturę i część znaczną już zużył, pozostał jeszcze worek z książkami, który nabyłem. Były wśród tego stare dzieła lekarskie łacińskie, francuskie i niemieckie, rachunki gospodarcze, stare kalendarze, a ponadto kilka grubych oprawnych tomów starannie pisanych przez Żuka, łacińskich lekcyj profesorów Wileńskich z lat 1835 do 1839. W kilka lat potem złożyłem je w darze nowo - powstałemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Wilnie. Po śmierci Żuka posadę jego zajął jeden ze starszych

kolegów moich z Kijowa Antoni Sokołowski. Był wyjątkowo stabego zdrowia i tylko dzięki regularnemu życiu doczekał się późnego wieku, spełniając męczące i trudne obowiązki lekarza wielkich dóbr, wymagające ciągłych rozjazdów.

O parę zaledwie wiorst od Czyżówki, omal że na granicy powiatu Humańskiego na nadzwyczaj urodzajnej glebie, leżało większe handlowe miasteczko Ryżanówka, otoczone dokoła kolokacją szlacheckich dworów. W nazwie miasteczka, pochodzącego od słowa ukraińskiego „ryzat'", czuć dziejową krwawą przeszłość tej osady. Niegdyś wchodziła ona w skład starostwa łysiańskiego, a na początku XIX w. została sprzedana przez Teofilę z Jabłonowskich ks. Sapieżynę braciom Obrębskim, którzy byli właściwymi krzewicielami kultury w dziewiczej ziemi. Po ich śmierci rozpadła się, podzielona pomiędzy spadkobierców. Połowa Ryżanówki, po jednym z braci Obrębskich przeszła w spadku do jedynaczki, córki zamężnej za Czarkowskim, a od niej do wnuczki, która wyszła zamąż za hr. Adama Bierzyńskiego. Scheda drugiego brata rozdrobniła się na 4 części nierównej wielkości, któremi władali Tyszkowscy, Hryncewiczowie, a po nich przeszłą na syna Ludwika i córkę Marję, zamężną za Kościńskim. Czwarta część, należąca do Dunina, starego kawalera wiecznie procesującego się, została sprzedana na licytacji za długi za 9 tysięcy rubli kupcowi starowierowi ze Zwinogródki, Pachłonowi, jak mówiono, należącemu do tajnej sekty skopców, pomimo, że istotna wartość majątku wynosiła wówczas 100 tysięcy. Był to pierwszy wyłom, zrobiony wśród całości polskiego posiadania w Ryżanówce, poczem w ciągu lat kilku stopniowo wszyscy właściciele zostali wydziedziczeni z ziemi i to z własnej winy. Wszyscy, których znałem w owych czasach, dziś już nie żyją. Smutny też los spotkał ich dzieci, rozproszone w pogoni za chlebem po świecie.

Największą częścią Ryżanówki władali Bierzyńscy. Hr. Adam, kiedym go poznał, miał lat 60, ułomny, garbaty, lecz o twarzy przystojnej, wielce pociągającej, w obejściu uprzejmy i miły, przytem inteligentny, wykształcony, dobry Polak. Przestrzegał ściśle zasady *noblesse oblige*, która w życiu nie popłacała i dlatego wszędzie był krzywdzony. Ojciec jego, właściciel znacznych włości na Ukrainie, brał udział w powstaniu 1831 r. poczem musiał uchodzić z żoną i synem zagranicę. Po śmierci męża matka, pomimo braku środków, starała się dać jedynakowi zagranicą troskliwe wychowanie, a kiedy wszczęty z rządem rosyjskim proces o zwrot małoletniemu skonfiskowanego majątku pomyślnie się ukończył, Bierzyński wrócił do kraju i za otrzymane od rządu odszkodowanie (pół miljona rubli) w 50-tych

latach zeszłego stulecia nabył w okolicach swej dawnej ojcowizny 4 piękne majątki, chociaż nieco obciążone. Wkrótce ożenił się z bogatą sierotą, panną Pelagją Czarkowską, dziedziczką Ryżanówki, starannie wychowaną przez ciotkę, panią Czarkowską, wdowę, właścicielkę Bahwy w Humańskiem, po której miała odziedziczyć znaczne kapitały. Wkrótce wybuchła rewolucja 1863 r. Bierzyński zostaje na lat parę uwięziony i grozi mu wygnanie. Wierzyciele jego, jakkolwiek Polacy, w obawie, aby majątek nie uległ konfiskacie, pomimo próśb Bierzyńskiego o cierpliwość, wszystkiemi sposobami dążą, wspomagani przez administrację, do licytacji. Majątki sprzedano rosyjskim nabywcom zadarmo, tak, iż Bierzyński nietylko wszystko stracił, lecz i wierzyciele zostali pokrzywdzeni, narzekając na hrabiego pomimo że sami w znacznej części zawinili. Pani Bierzyńska jednak podjęła się spłacenia ich strat. Kiedym zaczął bywać jako lekarz w Ryżanówce, było to już w lat dziesięć po katastrofie. Rodzina Bierzyńskich składała się z rodziców, z 3 córek i syna. Prowadzili dom na wielką skalę, mieli nauczyciela, ze trzy nauczycielki, parę rezydentek, mieszkających za procent, felczera tytułowanego konsyljarzem, dużo służby: lokai, dziewcząt, pachołków, kucharzy, stangretów i t. d. Był to przeciętny typ zanikającego zamożnego dworu polskiego na Ukrainie przed pół wiekiem. Liczne bowiem rody pańskie, nie umiejące się zastosować do nowych warunków życia, po uwłaszczeniu włościan ubożały, a ich miejsce zajmowały żywioły świeże, dawni oficjaliści, lub wzbogaceni dzierżawcy.

Wśród nauczycielek w domu Bierzyńskich była pani Porajska, nauczycielka muzyki, kobieta już niemłoda, której mąż Teodor, był nauczycielem domowym w sąsiednim dworze Tyszkowskich w Ryżanówce. Był to starzec sześćdziesięciokilkoletni, ciekawy typ patologiczno-romantyczny ubiegłej epoki. Młodość swą spędził na Wołyniu, wychowywał się w Liceum Krzemienieckim, znał miejsca i osoby doby ubiegłej, gdyż jako nauczyciel domowy wychowywał niejedno pokolenie obywateli na Wołyniu. Był u Trypolskich w Czehryńskiem, później u marszałka szlachty gubernji Kijowskiej, Madejskiego, żonatego z ks. Trubecką, słynną ze swych przygód romantycznych, wkońcu zeszedł na skromniejszą posadę do domu Tyszkowskich. Na Ukrainie, mlekiem i miodem płynącej, żyło się szlachcie wygodnie i bez trudu, więc i on miał w bród wszystkiego, lecz chleb dworaka pozostawił na nim swe piętno. Lubił opowiadać dykteryjki z przeszłości, lecz najczęściej przesadzał i mijał się z prawdą. Od czasu do czasu przyjeżdżał do mnie na odpoczynek i bawił po kilka dni. Wówczas posiadałem już domek nabyty od Gackiego, ogród zasadziłem drzewami

i kwiatami. Trzymałem nawet czas jakiś konie. Dom miałem obszerny i wygodny. Miałem chłopaka, który pełnił jednocześnie funkcje furmana i kucharza. Jako kucharz nie dogadzał coprawda wytwornemu podniebieniu Porajskiego, który gdy był u mnie, wkładał fartuch, okulary, zakasywał rękawy i „con amore" siekał kotlety, robił omlet, i kucharzył. Porajski miał wielkie ambicje literackie i opowiadał o swych powieściach, artykułach krytycznych i t. d., nikomu ich jednak nie pokazując. Często lubił opowiadać o stosunkach łączących go wybitniejszymi ludźmi w Polsce. Otóż raz w towarzystwie jako dowód długoletniej zażyłości z J. I. Kraszewskim, wyjął list i zaczął go głośno czytać. W liście tym rzekomo Kraszewski zachwyca się jego powieścią i doradza ją drukować. Stojąc obok Porajskiego, poznaję z przykrością, że cały list jest pisany jego ręką i daję mu to do zrozumienia, lecz ten pewności siebie nie traci, a rozczulony przyjmuje powinszowania i ściska się ze wszystkimi. Tak wybujała fantazja z latami jeszcze się wzmogła. Narażało go to na wielkie nieraz przykrości, gdy przyparty do muru wypierał się, mówiąc: baby plotek narobiły, a teraz zwalają na mnie. W kilka miesięcy po śmierci pani Porajskiej, przejeżdżając przez Ryżanówkę, dowiedziałem się, że Porajski zasłabł, zajechałem więc go odwiedzić. Był chory na zapalenie płuc, a wiedząc o niebezpiecznym swoim stanie, wręczył mi list z ostatnią swą wolą, ażebym na wypadek śmierci spieniężył całą ruchomość i gotówkę wniósł do Kasy pomocy naukowej im. Józefa Mianowskiego w Warszawie. Załączony przy liście arkusz, zawierał spis przedmiotów, których wartość właściciel oceniał na półtora tysiąca rubli. Po śmierci Porajskiego zająłem się spełnieniem jego ostatniej woli. Znając bujną fantazję zmarłego, mogłem wątpić, czy te wszystkie rzeczy, które podał, rzeczywiście posiada. Pani Tyszkowska w której domu umarł, znalazła tylko cząstkę i po spieniężeniu wręczyła mi około 180 rubli, które odesłałem do Kasy im. J. Mianowskiego.

Z dzieci Bierzyńskich żadne nie odznaczało się urodą. Najstarsza i może najinteligentniejsza wyszła zamąż za kuzyna swego, barona Artura Taubego. Był to syn wojskowego, pochodzącego z niemieckiej rodziny z kraju nadbałtyckiego, który się tu osiedlił wraz z bratem. Obaj pożenili się z Polkami, dając początek tej gałęzi polskiej. P. Taube był bardzo sympatyczny. Otrzymał salonowe wychowanie i grał na fortepianie. Wziął niedaleko od Ryżanówki majątek Bahwę od pani Czarkowskiej w dzierżawę i zamieszkał tam w pięknym pałacyku ,lecz zdaje się nie wykazywał chęci i zamiłowana do gospodarki rolnej, na której bodaj dużo stracił. W domu jego bywałem często, lecząc rodziców i dzieci. Druga córka wyszła za-

mąż za swego krewnego Trypolskiego, zamieszkałego gdzieś w Czehryńskiem, na ocalałym z wielkiej fortuny małym folwarku. Najmłodsza wątła i chorowita była niezamężna. O synie wspomnę dalej. Jakkolwiek hrabia Bierzyński nie posiadał własnego majątku, jednak cieszył się wielką moralną powagą w okolicy. Pomimo ciężkich warunków materjalnych opłacał długi i procenty, jako tako gospodarował i prowadził dom mniej więcej na stopie dawniejszej. Lecz stan jego zdrowia, coraz bardziej się pogarszał, wystąpiły objawy wady serca i powikłania ze strony pęcherza moczowego i nerek, ataki dusznicy i obrzęki nóg. Dzień i noc siedział w fotelu, chwytając powietrze. Podziwiać mogłem z jakim hartem ducha ten człowiek znosił swe cierpienia. Na prośbę chorego i jego rodziny ostatnie dni czuwałem przy nim. Pamiętam ostatnią noc spędzoną przy chorym, razem ze starym, wiernym sługą. Chwile życia były już policzone. Stary sługa, podtrzymując głowę nieprzytomnego, wymówił do niego głęboko wzdychając, „panie hrabio, czy pamiętasz, jak to kiedyś w młodości na hulankach bywało, jak ci wiernie służyłem, otóż ten obowiązek spełniam dziś po raz ostatni". W drugim pokoju w ciszy oczekiwała przez noc całą zbliżającej się katastrofy zgromadzona rodzina. Świtało już, kiedy musiałem spełnić ciężki obowiązek lekarza, wypowiadając słowa: nie żyje! Oprócz córek pozostał syn Karol, który objął przy współudziale swego dawnego nauczyciela Kochanowskiego zarząd nad majątkiem matki i babki, mając od nich upoważnienie. Wysokiego wzrostu, niezgrabny, o twarzy bladej i obrzękłej, bez wyrazu, dwudziestoparoletni młodzieniec, umysłowo słabo rozwinięty, co szło w parze z jego fizycznym ustrojem, nie wzbudzał tego zaufania, które rodzina w nim pokładała. Siedząc w Kijowie pod pozorem interesów, po dwóch, trzech latach rządów, hulatyk, gry w karty i t. p., doprowadził dziedzictwo do całkowitej ruiny. Oba piękne majątki wraz z ruchomościami zlicytowano. Urzędnicy Rosjanie rozparcelowali je ze znacznym zyskiem wśród chłopów. Rodzina przeniosła się do Żytomierza, który stał się przystanią dla coraz liczniej osiedlającej się wydziedziczonej z majątków szlachty. Wkrótce babka, matka i wnuczka w nędzy zakończyły życie, a wyrodny syn prześladowany przez sądy za fałszerstwa weksli został zesłany na Syberję, gdzie życia dokonał. Z upadkiem Bierzyńskich wielu ludzi straciło swój zaoszczędzony grosz u nich złożony, bo pani Bierzyńska nie była już w stanie strat wynagrodzić. Z torbą poszły rezydentki, rozpierzchła się po świecie i dawna służba, której z zasady na starość nie odprawiano. W pamięci mi pozostał niejaki Karol Warszawski, niegdyś felczer ze szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, skąd go

hrabia przywiózł jako młodego chłopca dla leczenia czeladzi i włościan na Ukrainę. Przesłużył tu lat przeszło 30, pozyskał praktykę wśród popów, szczególnie w okolicy, hrabia darował mu porządną chatę z ogrodem, a że ciemny mazur umiał grosz dusić, dorobił się kilkunastu tysięcy rubli, miał powozik i pięknych parę koni. Jeździł do chorych w dalekie nieraz okolice, wożąc w małej walizce, przyśrubowanej ztyłu powozu, zebrany fundusz. Skradziono mu jakoś walizkę z całym skarbem, lecz Warszawski ponownie zaczął zbierać pieniądze i lokował już je u hrabiostwa, aż wreszcie wszystko utracił. Będąc już niemłodym kawalerem, ożenił się ze starszą panną, córką popa, licząc na posag, lecz się zawiódł. Warszawski wierzył w zabobony, strachy i zamawiania. Pamiętam, z czasów studenckich, jak bywając w Ryżanówce z innym kolegą urządzaliśmy mu w ciemnym pokoju seanse spirytystyczne, trzepiąc go dobrze gałęziami po głowie. Warszawski rozgłaszał naszą sławę po okolicy, opowiadając o sile duchów. Nie chciał wierzyć zapewnieniom hrabiego, że z niego żartują. W lat kilka po śmierci Bierzyńskiego, silnej i krępej budowy Warszawski umarł w ataku dusznicy bolesnej.

W ciężkim zawodzie lekarza prowincjonalnego dużo się ponosi wysiłków i pracy, a mało stąd płynie duchowego zadowolenia. Leczenie jednak w domu Bierzyńskich pozostawiało inne wrażenie, należące do przyjemniejszych chwil, jakie z mego zawodu utrwaliły mi się w pamięci. To zaufanie i wiara z jaką zwracali sę do mnie, chociaż do młodego lekarza, zobowiązywało wielce, a delikatność i cały ich stosunek do lekarza może jedynie służyć wytłumaczeniem tych bliskich stosunków i serdecznych węzłów, które mimowolnie wytwarzały się dawniej pomiędzy lekarzem a społeczeństwem, trwając poprzez długie lata. Lekarz wchodzący wówczas do domu nie był jeszcze urzędnikiem, lub rzemieślnikiem, myślącym jedynie o wynagrodzeniu. Dziś, wobec ogólnego zmaterjalizowania, niejeden może z młodszych zarzuci mi sentymentalizm. Możliwe, że nie licuje on z duchem czasu, lecz myślę, że kierunek idealny z nami starszymi nie zejdzie do grobu, nauka pozostanie nauką, ale nie przeszkodzi, aby jej w życiu przyświecał idealizm, obcy kierunkowi materjalistycznemu, nacechowanemu żądzą używania i bogacenia się. Na czele tego idealnego kierunku iść powinni lekarze.

Najbliższymi sąsiadami Bierzyńskich w Ryżanówce byli Andrzejostwo Tyszkowscy, zamieszkali na drugim końcu miasteczka. Andrzej Tyszkowski ożeniony był z Czarkowską, stryjeczną siostrą Bierzyńskiej. Mieli kilka podrastających córek i syna, wychowanych pod kierunkiem wyżej wspomnianego Porajskiego i nauczycielek.

Duch domu i otoczenia był tu całkiem inny. Tyszkowski, kiedym go poznał, miał lat pięćdziesiąt kilka, krępy, silny, dobry i oszczędny gospodarz, zamiłowany znawca i handlarz koni, lubił towarzystwo, gości i namiętnie karty. Ostatnie zamiłowanie odziedziczył po ojcu, który w karty przegrał znaczną fortunę. Zwykle na jesieni po zbiorach zaczynała się gra, na którą zjeżdżało się kilku najbliższych sąsiadów i trwała aż do wiosny. W domu Tyszkowskich nie wyobrażano sobie życia bez kart. Kiedykolwiek przyjeżdżałem, zastawałem gospodarza przy zielonym stoliku. Zaczynano grę rano po kawie, potem przerwa na obiad i po obiedzie drzemka, a później znowu karty, aż do północy, niekiedy do ranka. Do najczęstszych partnerów należał sąsiad August Rakowski z Rąbanego Mostu w Humańszczyźnie. Zamożny ten obywatel, żonaty był z córką Padlewskiego z Podola, rozstrzelanego w Kijowie w r. 1863. W czasach późniejszych państwo Rakowscy przenieśli się do Paryża, gdzie jedynaczka córka wyszła zamąż, a piękny majątek sprzedali. Drugim partnerem był Klemens Chojnowski, dzierżawca jednego z folwarków w kluczu Bogusławskim w Taraszczeńskiem, sprzedanych po r. 1863 przez Konstantego hr. Branickiego domenom państwowym. Folwark ten poprzednio dzierżawił brat Klemensa, Józef Chojnowski, kapitan wojsk rosyjskich, znany zbieracz starożytności, o którym w innem miejscu opowiem. Trzecim wreszcie, rozjeżdżającym po całej Ukrainie karciarzem, był eks-wojskowy Kaiser, który, straciwszy dziedziczny majątek w Czehryńszczyźnie, chodził po dzierżawach. Żona mu pilnowała gospodarstwa, dzieci nie mieli, a on rozjeżdżał wśród krewnych i znajomych, grywając w karty podobno ze szczęściem. Jeszcze jednym partnerem był Stanisław Kościński, żonaty z moją kuzynką, zamieszkały w Ryżanówce. W razie braku osoby do kompletu mieli partnera Porajskiego. Najlepiej grał gospodarz i od swych gości miał stały i pewny dochód. Za przykładem rodziców i starszych to samo uprawiały dzieci. Szczególne zdolności i spryt wykazywał w tym względzie mały Adaś, ogrywający i czubiący się z siostrami, aż sroga mama wprowadzała porządek. Gra była silnie wówczas rozprzestrzeniona, szczególnie w domach zamożniejszych. W takich towarzystwach bywałem tylko jako lekarz, a do kart nie miałem pociągu. Życie wesołe we dworze Tyszkowskich nie było trwałe. Tyszkowski nieraz radził się mnie po atakach dusznicy bolesnej, których dostawał przy kartach. W parę tygodni potem, dowiedziawszy się, że jestem w Ryżanówce, prosił, abym wstąpił do niego. Była to niedziela, rano zajechałem do dworu. Chory według zwyczaju zaraz nie wstawał, a leżąc w łóżku kładł pasjansa. Czuł się dobrze, zamyślał zostawić

kłopoty i pojechać do jakichkolwiek zdrojów zagranicznych. O północy tegoż dnia przysłano po mnie do Zwinogródki konie, prosząc, abym, jak najprędzej pośpieszył do Ryżanówki, wyrażając wątpliwość, czy pana zastanę przy życiu. — Niestety znaleźliśmy Tyszkowskiego na marach z obstawionemi dokoła zwłok palącemi się świecami.

Niedługo po śmierci Tyszkowskiego w okolicy grasowała epidemja naturalnej ospy i we dworze pani Tyszkowskiej zachorowały 3 dziewczęta na folwarku i 3 jej córki, a wkońcu i ona sama. Należała ona do typu kobiet, często na Ukrainie spotykanego. Silnej budowy, zdrowia żelaznego, odważna, śmiała, samowolna, istna kozaczka, lekceważąca wszystko, nie chciała ani siebie, ani rodziny poddać szczepieniu ochronnemu, twierdząc, że ma lat przeszło 50 i pomimo kilku grasujących epidemij, ani samej, ani jej dzieciom nic się nie stało. Wezwano mnie do chorej w dzień jej śmierci. Córki i inne chore z silną wysypką powoli przyszły do zdrowia. — Wkrótce opuściłem Ukrainę i dopiero w lat kilkanaście, spotkawszy jedną z córek, dowiedziałem się o dalszych losach rodziny. Adaś powypędzał siostry, prowadził życie hulaszcze, uprawiał gdy hazardowne, marnotrawił fortunę, rozprzedając ją częściowo chłopom, zanim nie stracił wszystkiego.

Nie lepszy los spotkał moich kuzynów po Marji, zamężnej za Kościńskim i spadkobierców jej brata Ludwika Hryncewicza. Zadłużone Żydom ziemie rozparcelowali wśród chłopów, a sami z niej wyparci powędrowali w świat szeroki, i tam swe kości złożyli. Pół wieku dobiega, kiedym rozkoszował się widokiem wspaniałego ogrodu Ryżanowskiego. Dziś zrównany on jest z ziemią, wykarczowany i zaorywany głębokim pługiem ukraińskim. Niema już tam starych topoli, dębów i orzechów włoskich, owych alei z róż, najpiękniejszych krzaków bzów, buldeneżów i kapryfolij, zasadzonych ręką pra-prababki Obrębskiej, a tak wspaniale rozrośniętych na czarnoziemiu ukraińskiem.

O 6 klm. od Ryżanówki był mały folwark Borowskiego — Pawłówka, w którym bywałem jako lekarz. Po śmierci wzbogaconego dorobkiewicza, delegata na zgromadzenie szlacheckie, folwark odziedziczyli dalecy jego krewni, szlachta czynszowa aż z pod Berdyczowa. Ówczesni dziedzice Pawłówki — Borowscy, byli to ludzie bardzo małych wymagań i mniejszej jeszcze kultury w porównaniu z ich sąsiadami, natomiast nacechowani pracowitością, nieugiętą wolą i siłą charakteru. Kiedym zaczął bywać w Pawłówce, stary Borowski, który odziedziczywszy majątek sam chodził za pługiem, już nie żył. Właścicielką była staruszka niepiśmienna wdowa, nosząca biblijne

imie Estery. Ta wrogo odnosiła się do wszystkich „nowomodnych głupstw", nie uznawała lekarzy, lecząc się sama zjadaniem codziennie po obiedzie kawałka mydła, była nabożna i wierzyła w różne czary i przesądy. Była ona matką licznej rodziny, kilku synów i córek, które wychowywała w wielkiem posłuszeństwie i rygorze. Żyła cała rodzina po spartańsku, pracując za przykładem matki od rana do wieczora. Pomocnikiem i powiernikiem matki we wszystkich interesach i kłopotach był najstarszy z synów, wówczas trzydziestokilkoletni Maurycy, zarazem opiekun całej rodziny.

O wiorst 20 od Ryżanówki w Humańszczyźnie, leży wieś Rezina. Bywałem tam niekiedy w domu miejscowego obywatela, Karola Newlińskiego.

Kilkanaście wiorst od Zwinogródki w Budyszczach Łysiańskich na folwarku po-Sapieżyńskim, zamieszkiwał stary kawaler, mający lat ponad 70, u którego jako lekarz często bywałem. Był to stryjeczny brat Andrzeja Tyszkowskiego z Ryżanówki. Pomimo wieku dobrze zachował swe siły, czernił włosy i brodę i uchodził w okolicy za lowelasa. Całe życie z obawy nie jeździł koleją, lecz kiedy raz zdobył się na odwagę, wciąż już podróżował zagranicę, a ulubionym tematem jego rozmów był Paryż i własne przygody. Hołdował modzie paryskiej i starał się podtrzymywać stosunki z wielkimi panami. Pomimo lichej ziemi Tyszkowski zbudował małą cukrownię, znalazł w okolicy plantatorów buraków i prowadził fabrykę, która mu czas jakiś dawała znaczne zyski. Będąc wielkim tchórzem i obawiając się złodziei i rozbójników, Tyszkowski zwykł był całą noc nie sypiać, kładąc się spać nad ranem.

Na zachód o 30 wiorst od Zwinogródki leżało Talne, wielkie dobra z cukrownią, niegdyś własność Szczęsnego Potockiego, który, jak wiadomo, swe córki powydawał za Rosjan. Jedna z nich Zofja, wniosła te dobra w dom Nariszkinych, a przez zamążpójście jej córki przeszły one do hr. Szuwałowych jako majorat. Za moich czasów władał Talnem młody Szuwałow, pułkownik jeneralnego sztabu, morfinista, który zeszedł bezpotomnie i majorat przeszedł do jego siostry zamężnej za ks. Bariatyńskim. W Talnem mieszkał jeden z braci cadyków znakomitego rabińskiego rodu Tweskich, do którego zjeżdżali się Żydzi z całego południa jako do wielkiego cudotwórcy, czy to prosząc o modlitwę, czy dla porady przy rozpoczęciu jakiegoś interesu, kupna, sprzedaży, lub żeniaczki. Nieraz zwracali się do cadyka, prosząc o radę w chorobie.

Dzięki Szuwałowym i Polacy doznawali w Talnem niekiedy pewnych względów. W parku, niedaleko pałacu, hrabina znacznym kosz-

tem zbudowała kaplicę, poświęconą pamięci swej matki katoliczki, córki Szczęsnego Potockiego. Kaplica wzniesiona była w stylu włoskiego odrodzenia, wyłożona marmurem, ozdobiona cennemi dziełami sztuki. Nad grobem w podziemiach znajdował się sarkofag z kararyjskiego marmuru z podobizną zmarłej, wykonany we Włoszech.

Do folwarków na wschód i na północ od Zwinogródki, w których częściej bywałem, należały dobra Branickich, wchodzące do klucza Olszańskiego, szczególnie Tarasówka, składająca się z dwóch folwarków. Jeden dzierżawił Kazimierz Neyman, ojciec licznej rodziny, niegdyś uczeń Uniwersytetu Kijowskiego, o lat kilka starszy ode mnie, z którym bardzo przyjaźniliśmy się. W drugim folwarku zamieszkiwał jako dzierżawca Feliks Chwalibóg, brat młodszy byłego profesora Szkoły Głównej Warszawskiej. Był to człowiek starszy, inteligentny, lecz pojęć bardzo konserwatywnych i arystokratycznych. Zwysoka się trzymając wobec wszystkich, nie zdobył sobie sympatji. Krótkowidz, roztargniony, miał wiele śmiesznostek, zrażających małomiasteczkową publiczność. W niedzielę zabierał z poczty gazety i listy i odczytywał je w kościele, a następnie wracał do domu. Czasem wpadł do mnie, lecz rano trafiał na przyjęcie chorych. Nie zważając na oczekujących w tym samym pokoju chorych, kładł się na stole, odczytywał listy i gazety i nie widząc się nieraz ze mną odjeżdżał.

Większy majątek Tołstę, należącą też do Branickich, niegdyś własność Sowieckiego, fundatora kościoła św. Aleksandra w Kijowie, dzierżawił Sylwan Bobiński. Były uczeń Uniwersytetu Wileńskiego, za sprawę filarecką zesłany, skończył medycynę w Kazaniu i był lekarzem dóbr państwowych na Ukrainie, gdzie się ożenił z panną Suchorzewską w Kaniowskiem i później na dzierżawach dorobił się znacznego funduszu. Był to już starzec przeszło 70-letni. Ogromnego wzrostu, znacznej tuszy o wielkiej białej brodzie, miał postać iście biblijną. Bardzo religijny, wciąż się żegnał, wszystkich błogosławiąc. Małżonka jego o okrągłej twarzy, małego wzrostu, była bardzo pełna. Oboje zwykle siadywali naprzeciw siebie i palili staroświeckie na długim cybuchu fajki. W takim samym partjarchalnym duchu wychowywali bodaj ośmioro dzieci, przeważnie córki, przystojne i rosłe. Z czasów dawnego właściciela istniała w ich ogrodzie kaplica, która się utrzymała dzięki możnym wpływom Branickich. Co tygodnia przyjeżdżał do niej ze Zwinogródki ksiądz ze mszą. Stale bywałem w tym domu jako lekarz.

Większym ośrodkiem o wiorst 15 odległym od miasta było miasteczko Kalnibłoto, nazwa stara, której nie wyrugowała urzędowa — Ekaterinopol. Za czasów Rzeczypospolitej było tu siedlisko władz

powiatowych i istniał nawet pułk tego imienia. Ludność była przeważnie żydowska. Zbudowane nad stawami wśród trzęsawisk, bagien z przerzuconemi na nich mostami i groblami, miało bardzo złe warunki zdrowotne i częstą malarję. Stawy kalnibłockie słynęły dawniej z dobrego polowania na kaczki. W bliskości leżały wsie przypominające nazwą hajdamaczyznę — Nowosielica, Żeleźniaczka i inne dawne ekonomje starościńskie, a dalej ciągnęła się równina zarośnięta krzakami sosny lub porosła łąkami, nadając krajobrazowi wygląd stepów kresowych, na których walczył niegdyś Mohort. Nastrajało to zwykle jadącego na nutę marzycielską, przenosząc do dawnej przeszłości. W tych to okolicach spotkałem dawnego towarzysza lat dziecinnych, inżyniera górniczego Kazimierza Rząśnickiego z Kowna, z którym przez lat wiele obcowaliśmy. Był on dyrektorem kopalni lignitu. Tu też po dwudziestokilkuletniem niewidzeniu odnalazłem kolegę ze szkolnych czasów kowieńskich, inżyniera komunikacji Bronisława Malewskiego, który, pracując po całej Rosji, przybył i tu, gdyż miała być budowana kolej na Zwinogródkę, przecinająca żyzne ziemie ukrainne i łącząca szereg fabryk cukrowych. Obaj po moim wyjeździe ze Zwinogródki opuścili te strony. Malewski podążył na Syberję, gdzieśmy się znowu spotkali.

Na północ od Zwinogródki okolica była posępniejsza, step bezleśny, brak folwarków szlacheckich, jak w części zachodniej łączącej się przez Humańszczyznę z Podolem. Tu obszerniejsze przestrzenie zajmowały ekonomje dóbr Olszańskich Branickich, ludność których wyróżniała się surowszemi obyczajami i niższą kulturą. Miasteczko Olszana pomimo istniejącej wówczas fabryki cukru, a przedtem i rafinerji oraz pomimo, że było siedliskiem głównej administracji, przedstawiało małą, głuchą, ubogą, żydowską mieścinę. Liczni oficjaliści narzekali na ciężkie warunki służby i o wiele gorsze traktowanie ich, niż w dobrach Bużańskich Potockich. Bywałem tu często na konsyljach, a parę razy nawet przez czas dłuższy stale dojeżdżałem w zastępstwie lekarza fabrycznego. Miałem parokrotne propozycje objęcia tu stałej posady lekarza, lecz się uchyliłem, ceniąc przedewszystkiem swobodę i niezależność i nie chcąc zaprzęgać się w jarzmo oficjalisty, szczególnie w Olszanie. Lekarzem tu był przez długie lata Stanisławski, o wiele starszy ode mnie, młodszy brat Antoniego, wybitnego prawnika, prof. Kazańskiego Uniwersytetu, tłumacza Boskiej Komedji, Dantego. Stanisławski był człowiekiem dosyć szorstkim w obejściu, medycyną się nie interesował i nie cieszył się sympatją wśród oficjalistów, a kiedy przeniósł się do Kijowa, miejsce jego zajął młody lekarz Dionizy Smólski, niedawno ożeniony. Po Stani-

sławskim gwałtownego temperamentu, którego wszyscy się lękali, cichy i sympatyczny, lecz bezwolny i nawet za swojem nieobstający Smólski, był lekceważony przez oficjalistów, co go bardzo bolało. Wkrótce zasłabł na gruźlicę o przebiegu bardzo szybkim. Odwiedzałem go często. Przygnębiające nad wyraz zrobiło na mnie wrażenie, kiedym go widizał po raz ostatni. Nieprzytomny, w gorączce, w porażeniu gruźliczem mózgu, chodził po pokoju przypatrując się w lustrze, wybierał się niby gdzieś w drogę, nucił jakąś wesołą piosenkę, a w tym samym pokoju młodziutka żona w bólach rodziła dziecko. Ciężki dramat życiowy! Niemniej smutne łączy się z Olszaną wspomnienie o Dionizym Jankowiskim, o którym już wspominałem w rozdziale IX. Po skończeniu wydziału prawnego, wybrał on sobie karjerę sądową, lecz niebawem zaczęto go prześladować, że jakkolwiek prawosławny podtrzymuje stosunki towarzyskie i znajomości z Polakami i czytuje polskie książki i gazety. Był on gorącym Polakiem, to też zrażony tem porzucił służbę rządową i wstąpił do głównego zarządu dóbr Białocerkiewskich, pomagając w kwestjach prawnych ówczesnemu pełnomocnikowi, utalentowanemu wnukowi niezapomnianego Tadeusza Czackiego, hr. Felixowi, który go wysoko cenił. Po niejakiem czasie Jankowski otrzymuje posadę samodzielną plenipotenta dóbr Olszańskich. Niezmiernie mnie ucieszyła wiadomość o zamieszkaniu Jankowskiego w Olszanie, a tem samem możność częstszego komunikowania się. Prowadził administracyjne sprawy w urzędach powiatowych i procesy cywilne i karne, o wypasy, to o kradzież lasu, a w każdą wkładał całą duszę, co go wiele sił i zdrowia kosztowało. Zajeżdżał do mnie na noc parę razy na tydzień, aby nazajutrz załatwiać interesy. Po roku dowiedziałem, że się żeni, a podobno uczynił to raczej z poczucia obowiązku. Z czasów szkolnych równieńskich upodobał sobie młodą panienkę równieśniczkę Sosnowską, szlachciankę skromnej fortuny, z rodziny, przechowującej pamiątki ze znanego romansu ich krewnej z Kościuszką. Dali sobie słowo, będąc dziećmi, i rozeszli się w świat, a kiedy po latach kilkunastu spotkali się, tworzyli parę rażąco niedobraną. On był mężczyzną rozumnym i przystojnym, ona miała zdrowie przedwcześnie sterane, twarz o nieforemnych rysach typu fińskiego, o zadartym nosie i wydatnych jarzmach, który nazwałem *„kościuszkowskim"*, o oczach wielkich wyłupiastych, a o krótkowzroczności tak znacznej, że już na kroków parę z trudnością rozpoznawała nawet osoby. Ani w postawie, ani w sposobie obchodzenia się, nie miała żadnego wdzięku kobiecego. Ślepo przywiązana do męża, patrzyła mu tylko w oczy, starając się odgadywać jego myśli, czyniła to jednak tak niefortunnie, że męża irytowała. W gospodarce nie-

zdarna, przy herbacie wkładała ręce do masła zamiast do cukru, herbatę, lub kawę zwykle przelewała. Jankowski systematyczny i akuratny nie mógł się tem nie irytować, i tylko wrodzona jego delikatność, w pierwszych latach pożycia wszystkie niedostatki żony wyrównała, tak, że pobyt w ich domu był wielce miły. Niestety zdrowie Jankowskiego psuć się poczęło i coraz widoczniej występowały groźne objawy gruźlicy. Odwiedzałem go często, gdy był przykuty do łóżka. Wówczas nie był w stanie panować nad sobą, stawał się nieznośny dla domowników, niecierpliwy, co szczególnie żona odczuwała. Znał swój stan beznadziejny, a ostatnią prośbę wyraził, by go pochowano na cmentarzu w Zwinogródce, nie chciał bowiem leżeć w Olszanie obok chłopów, którzy mu tyle krwi napsuli w nieustannych procesach o cudzą własność. Administracja majątku zgodnie z wolą zmarłego przewiozła jego zwłoki do Zwinogródki i pochowała na cmentarzu prawosławnym. Wdowa wkrótce po śmierci męża opuściła Olszanę. Nieszczęśliwa parę razy przybywała na Ukrainę obłąkana, poszukując wszędzie męża.

Na naszych wschodnio - południowych kresach, własność rosyjska ziemska zaczęła się pojawiać po rozbiorze Polski. Pierwsi dali temu początek niektórzy z możnowładców, sprzedając lub zamieniając swe dobra ukrainne. Ilość ziemi w posiadaniu Polaków była jednak jeszcze znaczna, gdyż rząd rosyjski już przedtem nadał ją za usługi konfederatom targowickim. Natomiast po r. 1831 rozdawano konfiskowane polskie majątki rosyjskim urzędnikom i jenerałom, a niektórzy Polacy sprzedawali je sami z wolnej ręki. Po powstaniu 1863 r. własność rosyjska wzrosła jeszcze znaczniej, gdyż rząd nadawał większe lub mniejsze posiadłości urzędnikom na prawie wieczystego czynszu. Było to szkodliwe dla żywiołu polskiego, lecz mogłoby być o wiele szkodliwsze, gdyby nie to, że nowi właściciele przeważnie oddawali swe folwarki Polakom, lub Żydom w dzierżawę.

O 12 wiorst na wschód od Zwinogródki leżała przy trakcie pocztowym do Szpoły, w bliskości lasów wieś Kozackie. Dawniej należała do dóbr Śmilańskich ks. Lubomirskich, którzy odprzedali ją Potiomkinowi. Od niego przeszła do ks. Galicynych, a kiedy ci zbankrutowali, nabył ją wzbogacony dzierżawca monopolu winnego, grek Funduklej, którego syn był gubernatorem kijowskim, a następnie jako senator zamieszkał w Warszawie. Funduklej żył skromnie a natomiast łożył wiele na różne cele filantropijne. Potrzeba ta wzmagała się z latami, na starość przeszła w manję robienia darów, zapisów i rozdawania wszystkiego, co posiadał. Spadkobiercy w obawie o utratę spadku po bogatym wujaszku, sądownie ogłosili jego niepoczytalność

i wzięli w opiekę. Jedna z dwóch spadkobierczyń, księżniczka Galicyna, zamężna była za baronem Wranglem, ubogim oficerem. W domu ich często leczyłem. Mieszkali w Kozackiem, gdzie była piękna rezydencja, wielki dom mieszkalny, park i ogród, a z czasów Fundukleja pozostała polska administracja.

O 15 wiorst na wschód od Kozackiego leżało handlowe miasteczko Szpoła, krańcowa wówczas stacja kolejowa. Przez długie lata dowożono tu zboże z żyznych pól ukrainnych, ze Zwinogródki i dalej hen aż z pod Humania. Miasteczko z cukrownią z trzydziestu kilku tysiącami morgów ziemi dworskiej, było własnością zamożnego i wpływowego urędnika Abazy, który czas jakiś piastował godność ministra skarbu w Petersburgu i w celach osobistych wystarał się o połączenie Szpoły krótką odnogą z Ćwiertkowem, stacją kolei Chwastowskiej. Szpoła wchodziła niegdyś w skład Śmilańszczyzny. W końcu XVIII w. ks. Fran. Ksaw. Lubomirski, sprzedał te dobra ks. Potiomkinowi. Później wydzielona od Śmilańszczyzny Szpoła zmieniła kilku właścicieli Rosjan aż nabył ją Abaza, po którym przeszła do jego córki, ks. Boriatyńskiej. W Szpole oficjalistami byli Niemcy, lub Rosjanie. Polaków nie przyjmowano. Lekarzem w majątku był przez długie lata Marszand, ewangelik, rodem z pod Birż, z Litwy. Ożeniwszy się z Rosjanką, po polsku zapomniał. Był typem lekarza bardzo oryginalnego. Chorym poświęcał wiele czasu, lecz mało uzdolniony, niezdecydowany, woził ze sobą zawsze kilkanaście podręczników. Czytał z nich chorym, radząc się ich jaką mają chorobę i jakie leczenie byłoby najodpowiedniejsze. Niektórym chorym takie wtajemniczanie w im nieznany zakres czynności lekarskich nie zawsze trafiało do przekonania, ogółowi wszakże szczególnie Żydom to się podobało, gdyż uważali, że lekarz bardzo bierze do serca ich sprawę i dlatego tyle czasu im poświęca.

W odległości 25 wiorst na południe od Zwinogródki, zaczyna się krajobraz bezleśny, smętny. Są to już stepy Chersońskie, słabiej zaludnione. Na krańcach ich północnych leżało miasteczko Kalihórka Mokra, głuche i bez życia, więcej wieś przypominające. Były to resztki ogromnych dóbr ks. Lubomirskich, które przeszły w ręce rsyjskie. Zamieszkiwał tu przez długie lata jeden ze starszych mych kolegów lekarzy Kornel Cepryński-Ciekawy. Był o lat dwadzieścia starszy ode mnie, stary kawaler z usposobienia bardzo żywy, wesoły i towarzyski. Był on niezrównanym mistrzem w opowiadaniu. Życie spędził urozmaicone mnogiemi przygodami romantycznemi, miał zdrowie żelazne, wielkie szczęście do ludzi, lecz również sporo zawodów, stwa-

rzał bowiem sobie nieraz samochcąc znaczne trudności, lecz wkońcu obronną ręką z nich wychodził. Po skończeniu Uniwersytetu w Kijowie, mając brata starszego lekarzem powiatowym w Zwinogródce, przyjął posadę lekarza fabryki cukrowej w Kalihórce, należącej wówczas do wzbogaconego Greka Benardakiego. Ten miał wówczas olbrzymie bogactwa, wielkie domy w Petersburgu, kopalnie złota na Uralu i t. d. Synowie Benardakiego służyli w gwardji, puszczając wiele pieniędzy. Ciekawy, zaprzyjaźniwszy się z nimi, podróżował wspólnie po Europie. Oddał im pewne usługi, dopomagając do otrzymania miljonowego spadku po śmierci stryja w Krymie. Otrzymał za to dom z ogrodem, młyn i przyrzeczenie nabycia mu na własność majątku, z czego zresztą nie skorzystał. W tym czasie powziął zamiar ożenienia się z niełądną córką skazanego na śmierć w Kijowie w r. 1863, Padlewskiego, nie tyle może z miłości, co dla idei. Lecz nie doszło to do skutku, bo panna, korzystając z lepszej partji, zrywa przed ślubem i wychodzi za zamożnego ukraińskiego obywatela. Ciekawemu wpada wtedy w oko żyjąca w separacji z mężem Polka Iwanowa, z domu Rogowska, słynna z urody, matka kilkorga dzieci. Romans trwa lat kilka. Ciekawy opiekuje się jej majątkiem, spłaca długi, wychowuje dzieci i czyni starania o rozwód. W trakcie tego narzeczona robi mu figla i porzuca go dla pewnego księdza. Wkońcu na starość zostaje faworytą znanego starego Żyda przemysłowca cukrowego Brodzkiego. Ciekawy rozpacza i szuka nowych wrażeń i zapomnienia w stosunku z żoną zesłanego za zabójstwo furmana Benardakich. Doczekuje się z nią trojga dzieci, usynawia je i starannie wychowuje, a jednak stosunek z prostą babą razi go i stara się z niego wycofać. Po wielu innych ulotnych romansach, wezwany do uregulowania spraw majątkowych po zmarłym bracie stryjecznym, wyjeżdża w strony rodzinne w Słuckie i długi czas nie daje znać o sobie. Starszy jego syn 14-letni, uczeń gimnazjalny, wykazuje pewne bohaterstwo. Dowiedziawszy o miejscu pobytu ojca, przybywa doń, przeszedłszy o żebranym kawałku chleba znaczne przestrzenie. Ciekawy, ożeniwszy się pozostaje stale na Litwie. Za zgodą żony zabiera do siebie dzieci nieślubne. Matce ich pozostawił dom, młyn i cały dobytek, jaki posiadał na Ukrainie. Po latach trzydziestu przypadkiem spotkałem w Warszawie niemłodą pannę, jego córkę. Dawała ona lekcje muzyki. Dowiedziawszy się od niej o ojcu, napisałem do niego i otrzymałem serdeczny list od starca stojącego nad grobem, który wspomina z rozrzewnieniem o dawnych czasach. Niebawem doszła mię wieść o jego śmierci. Byłem z Ciekawym w stosunkach przyjaznych, chociaż nic nas, zdawało się, nie mogło łączyć, ani wiek, ani upodobania, ani temperament. Nie

trafiały mi do przekonania wszystkie jego awantury i przejścia miłosne, w które mnie wtajemniczał. A szkoda, że ten człowiek serdeczny, niewątpliwie zdolny i sympatyczny, w bezładnem życiu strawił swe siły. Były w nim widocznie objawy zboczenia.

O wiorst 10 od Zwinogródki, w okolicy, gdzie jeszcze utrzymał się las, leżała większa wieś Budyszcze, tejże nazwy, co już wspomniana, którą nazywano Budyszczami Łysiańskiemi. Tu przebywał zarząd czterech folwarków, które niegdyś też należały do dóbr łysiańskich Lubomirskich, od nich przeszły do Potiomkina, a potem do Wasilja Engelhardta. Wówczas władał wnuk jego, Piotr, najmłodszy z trzech braci, którzy byli obarczeni dziedziczną neuropatją. Najstarszy stracił majątek przez hulanki i prowadzenie przedsiębiorstwa teatralnego w Kijowie, drugi wyniósł się zagranicę, ożenił się z Niemką i prawie się wynarodowił. Interesował się fizyką i uchodził za znawcę sztuki, choć zdradzał pewne umysłowe zboczenia i był uważany za oryginała. Najmłodszy Piotr służył w młodości w gwardji, a gdy otrzymał dymisję, zamieszkał w Budyszczach i zajął się gospodarstwem. Niedaleko dworu, u karczmarza Żyda, była nadobna dziewczyna, którą upodobał sobie dziedzic i doczekał się od niej dziecka. Engelhardt tak przywiązał się do rodziny żydowskiej, że stale wśród niej przebywał, nauczył się języka, obchodził z nimi święta, modlił się i zaczął się nosić z myślą przejścia na judaizm. Twierdził, że jest to najczystsza religja na świecie. Zaniepokojona rodzina jego używała wszelkich sposobów, by wyrwać go z objęć Żydówki. Wkońcu dziewczynę wydano zamąż za Żyda, złożono pewien fundusz dla przedślubnego syna, a karczmarza zmuszono do opuszczenia Budyszcz. Engelhardta wywieziono do Petersburga, gdzie starano się go rozerwać i wkrótce ożeniono z młodą panną Olchiną, obdarowaną wielkiemi przymiotami ciała i duszy, dziedziczką znacznej fortuny. Po ślubie młoda para zamieszkała w Budyszczach w starym pięknym dworze. Wreszcie małżeństwo doczekało się tak upragnionego potomstwa, lecz po urodzeniu córki matka zaczęła zapadać na zdrowiu. Rozwinęła się poważna choroba — stwardnienie rozsiane mózgu i rdzenia (Sclérose en plaques disseminée). Szukano ratunku lat kilka po całej Europie u najwybitniejszych lekarzy, aż wkońcu ta męczennica, wróciwszy do domu, zakończyła życie. Zrozpaczony mąż dostaje rozstroju nerwowego i widzi wszędzie jej cień. Dom cały poświęcił kultowi zmarłej, rozwieszając portrety, fotografje i pamiątki po niej, a nawet w cerkwi umieszczając obraz słynnego rosyjskiego malarza Botkina, na którym w postaci Matki Boskiej przedstawiona była jego żona. Przed obrazem tym sam się modlił i zalecał innym. Czas

powoli zaciera te wrażenia, wzmaga się przywiązanie do 7-o letniej córki. Lecz los go ponownie doświadcza. Zjawiły się u dzieweczki objawy, których lekarz narazie nie rozpoznał. Było to gruźlicze zapalenie opon mózgowych, z którego chora po dniach kilkunastu zmarła. Ojciec wpadł w szał, chciał lekarza zastrzelić, później wyzwać na pojedynek przypisując mu śmierć córki i oskarżając jakoby nie chciał dopuścić lekarza drugiego, ani nie uprzedził go o niebezpiecznym stanie córki. Zarzucił nieszczęśliwego lekarza listami, nasyłał posłańców, pisał paszkwile i tak nastraszył tchórzliwego z natury Żyda, że ten się ukrywał przed nim. Dla uczczenia pamięci córki Engelhardt po całej wsi kazał wznosić krzyże (zwyczaj katolicki, na Ukrainie, wśród ludu praktykowany, lecz wzbroniony przez rząd). W domu obstawił się portretami i fotografjami córki, jak kiedyś zmarłej żony. Pokój, w którym chorowała, okrył czarnym kirem. Leczący córkę lekarz opowiadał mi, że gdy wówczas kilkakrotnie nocował u Engelhardta, ten budził go w nocy i mówił, że ma różne widzenia i halucynacje, że rozmawiał z duchem nieboszczki żony i ze świętymi, którzy go wszyscy uspakajali, że dziecko wyzdrowieje. Objawy choroby umysłowej wybuchły u Engelhardta ponownie. Wzięto go w kuratelę i umieszczono w zakładzie. Później zaopiekowali się nim sąsiedzi Lerchowie. Lerche był to Niemiec, dymisjonowany pułkownik kawalerzysta, który przez ożenienie się z zamożną Rosjanką posiadał majątek. Mając kilka córek na wydaniu Lerchowie postanowili jedną z nich wydać za Engelhardta, uważając go za dobrą partję, pomimo lat 50 i niepewności zdrowia, choć córka ich miała zaledwie lat dwadzieścia parę. Najprzód zabrano się do gruntownego wyleczenia go. W Budyszczach, ażeby nic nie przypominało przeszłości, zburzono stary wygodny dom staroświecki i zbudowano nowy murowany pałacyk w drugim końcu ogrodu, przeprowadzono nową drogę, zrąbano krzyże we wsi, zniszczono stare meble i sprzęty, potrety nieboszczki żony i córki i wszystko co go łączyło z przeszłością. Zaprzątnięto mu umysł budową nowego domu według planu sporządzonego w Petersburgu. Po ożenieniu się młode stadło zamieszkało czasowo w małym domku skleconym naprędce.

W tym to czasie, osiadłszy w Zwinogródce, w r. 1877, zacząłem bywać w domu Engelhardtów jako lekarz. Młodemu lekarzowi rozpoczynanie praktyki w domu, o którym krążyło tyle opowiadań, było bardzo niemiłe. Nie wiedziałem, jak się mam zachowywać wobec człowieka bądź co bądź nienormalnego, u którego można było zawsze oczekiwać nawrotu choroby. Engelhardt radził się o zdrowie żony, to o nowonarodzonego, to o swoje, bo cierpiał na bezsenność, to znowu

poruszał kwestję choroby pierwszej swej żony, lub dziecka, starając się mnie wybadać, jako człowieka świeżo przybyłego, co myślę o tem, czy lekarz sumiennie traktujący swój fach, mógłby był wyleczyć jego córkę. Nie chciałem mu zaprzeczać, ani potakiwać, usiłowałem więc stale zmienić wtedy temat rozmowy. Engelhardt był to mężczyzna wysokiego wzrostu, mizerny, szpakowaty, o twarzy i oczach zmęczonych życiem i przejściami, małomówny i zamyślony, o ruchach prędkich i nerwowych. Człowiek światowy, miał wykształcenie bardzo powierzchowne, a jednak pomimo urodzonej pychy i dumy, był w obejściu nadzwyczaj grzeczny, uprzejmy. Starałem się trzymać od niego zdaleka. Żona jego była typową przysadzistą Niemką, flegmatyczną, małomówną i apatyczną, pogrążoną całkiem w drobnych gospodarskich sprawach i poświęconą wychowaniu dzieci. Mąż zajęty całkowicie budową domu pedantycznie tego pilnował. Z Petersburga przywożono drzwi mozaikowe i kominki, które niegdyś zdobiły pałac Potiomkinowski, sprowadzano meble złocone, pokryte różnokolorowemi materjami. W Lipsku nabyto kosztowne organy do jadalnego pokoju. Wszystko to było tandetą, nie było dzieł sztuki, gdyż gospodarz w nich się nie kochał, tylko rzucało się w oczy wystawą i blaskiem. Sporo też czasu poświęcał Engelhardt na urządzenie ogrodu, hodowlę kwiatów i krzewów. Całemi godzinami ze spuszczoną głową chodził zamyślony po cienistych alejach. Lata mijały. Engelhardtowie doczekali się 5-ciorga dzieci. Starsi chłopcy potrzebowali już nauki. Przyjęto młodego studenta z Kijowa jako nauczyciela. Z podrastaniem dzieci i wejściem do domu młodego mężczyzny, dawną grobową ciszę zastąpił ruch i życie. Ożywiła się i pani domu, apatyczna i otyła, zapałały jej oczy niewidzianym blaskiem, a policzki rumieńcem. Jak się mąż odnosił do intruza w swem gnieździe, pozostało tajemnicą. Tylko we dworze w sąsiedztwie głośno mówiono o szczególniejszem stanowisku młodego panicza. Engelhardt zdawał się być jeszcze bardziej zamknięty w sobie, przebywał samotnie w ogrodzie podcinając ulubione róże i rozkoszując się szczególnie umiłowanemi pachnącemi piwonjami. W tym czasie zjawiła się we wsi jakaś tajemnicza figura, przypominająca wielce swym wzrostem, twarzą i układem dziedzica. Mówiono, że był Żydem, miał lat dwadzieścia kilka, grał na fortepianie i miał pewną ogładę towarzyską. We dworze się nie pokazał, zatrzymał się w karczmie i za pośrednictwem Żyda wiódł jakieś układy z dziedzicem, widocznie pomyślne, gdyż po paru dniach odjechał. Nie mogło to nie wpłynąć na stan umysłowy Engelhardta. Dostał on potem silnego ataku szału, rzucał się na otaczających, wszystko tłukł i niszczył. Po napadzie pokrzyw-

dzonych hojnie obdarowywał. W liczbie pilnujących go podczas ataków, był stary człowiek, Waśką zwany, kamerdyner, ubrany w jaskrawą liberję, z dawnych poddanych, atletycznej budowy i niezwykłej siły, pijak nielada, lecz zarazem nadzwyczaj do pana swego przywiązany. Ten najwięcej dostawał razów od chorego, trzymając go w czasie napadów. Na propozycję prof. Kowalewskiego z Charkowa, wezwanego na konsyljum, wywieziono Engelhardta do zakładu chorych umysłoych w Charkowie, skąd po paru miesiącach powrócił, lecz odtąd zaczął stopniowo tracić siły i niedługo życie zakończył. Wdowa po kilku miesiącach została panią Mossakowską, żoną korepetytora. Pałacyk z cichego dworku, o pewnym charakterze arystokratycznym, przemienił się w ultrademagogiczny, hałaśliwy. Przyjeżdżała rodzina nowego pana ze sfer niższych mieszczańskich, rozpierając się w dziegciowych butach na kosztownych jedwabnych i aksamitnych meblach, śpiewając pieści rosyjskie i popijając *„oczyszczennuju"* (gorzałkę). Nowe porządki irytowały starego Waśkę. Wzruszał tylko ramionami i zaciskał pięście, wspominając dawnego pana.

Z pomiędzy lekarzy z dalszych okolic z którymi się spotykałem, pamiętam kilku. Jednym z nich był Mianowski, stryjeczny brat Józef, byłego zasłużonego rektora Szkoły Głównej Warszawskiej. Był to już człowiek starszy, żonaty z Rosjanką. Z przykrością stwierdziłem, że po polsku nie mówił. Może nie umiał, a może nie chciał ze względów oportunistycznych używać języka swych przodków. Drugim ze znajomych mi lekarzy, dość daleko ode mnie zamieszkujących, był Sadkowski, człowiek wiekowy. Mówiono, że pochodził z Żydów. Rodem był z Krakowa, gdzie pracował jako prosektor anatomji u profesora Teichmana. Po polsku mówił źle, po rosyjsku się nie nauczył. Hr. Konstanty Branicki wezwał go na lekarza do swego majątku do Bogusławia. Był człowiekiem dobrym, sympatycznym i lubianym. W poglądach swych na rozpoznawanie i leczenie chorób był zacofany. Szafował krwią chorych, zalecając jej puszczanie, stawianie baniek, lub pijawek. Na konsyljach targował się z kolegami, by choć *„łyżeczkę krwi wypuścić"*. Pisał recepty długie i bardzo zawikłane. Za to, że długie lata leczył w domu wyżej wspomnianego Lerchego, ten żartem powiedział, że mu da order i słowa dotrzymał. Kiedy Sadkowski obchodził 50-letni jubileusz lekarskiego zawodu, Lerche dzięki swym stosunkom wyrobił mu order za filantropijną działalność lekarską, z czego się staruszek niezmiernie cieszył i nigdy ze swem odznaczeniem się nie rozstawał.

Prawdziwym filantropem wśród lekarzy na Ukrainie był mało

znany w sferach zamożniejszych Dalewski [1]), pozostający długie lata w służbie rządowej w Czerkasach. Jako lekarz sielski, ubrany ubogo, z chłopska, w siermiędze i długich butach, przy swych spartańskich nawyknieniach mało dla siebie potrzebował. Na samotne życie wystarczała mu skromna pensja. Za leczenie brał ustanowioną przez siebie płacę paru miedziaków, jeżeli zaś kto płacił więcej to dostawał resztę, a i z tego jeszcze Dalewski oddawał na różne cele filantropijne dla ubogich, lub na lekarstwa dla nich.

Za powagę lekarską prowincjonalną uchodził dr. Kwiatkowski, zamieszkały w Humaniu. Chociaż sława jego autorytetu nie sięgała oddalonej o wiorst 75 Zwinogródki, lecz spotykaliśmy się niekiedy w miejscowościach sąsiednich. Zostawił on po sobie pamięć inteligentnego i dobrego praktyka, a przytem życzliwego kolegi.

---

[1]) Nie Dylewski, o którym wspomniałem, lekarz miastowy w Zwinogródce.

ROZDZIAŁ XII.

Stosunki towarzyskie i świat urzędniczy w Zwinogródzce. — Śmierć siostry. — Najczęstsze choroby ludności w Zwinogródzce i okolicach. — Moja praca literacka i naukowa. — Poszukiwania archeologiczne. — Początek mojej działalności naukowej na polu antropologji.

W miasteczku pędziłem życie samotne, bywając najczęściej u gospodarza mego, Gackiego, lub u aptekarza Sawickiego. Wieczorem zachodziłem na pogawędkę do księdza, a kilka razy do roku bywałem w paru innych domach polskich. Dnie całe poświęcałem praktyce lekarskiej w domu lub na mieście, o ile nie wyjeżdżałem na wieś. Odpoczynkiem moim było czytanie, a potem i pisanie. Poświęcałem wyłącznie chorym wiele czasu, gdy przychodzili oni do mnie, tem bardziej, że nie można było ściśle oznaczyć godzin przyjęć, bo nikt do tego nie byłby się stosował. Najwięcej chorych stanowili Żydzi, którzy choć licho, lecz wedle możności coś płacili. Mieszczanie chrześcijańscy w Zwinogródce, przeważnie oddający się rolnictwu, bytem i kulturą mało się różnili od chłopów, i rzadko się udawali po poradę lekarską. Chłopi wreszcie ze wsi gromadnie przybywali w dni jarmarczne, zwykle nic nie płacąc. Usiłowałem ich zachęcić do leczenia się, chociażby bezpłatnego, wyrwać z objęć różnych znachorów, kostoprawów i wróżbiarek, lub ciemnych felczerów. Szlachta, drobni właściciele, dzierżawcy, oficjaliści z większych majątków i popi stanowili główny kontyngens mej praktyki, która stopniowo się zwiększała. Ludność wszelkich stanów, wraz ze zwiększeniem się liczby osiedlających się lekarzy, zaczęła częściej do nich się udawać, tracąc zaufanie do swych znachorów, tem więcej, że znakomitości ukraińskie już nie żyły jak Michałko Wojciechowski z Wilna, osiadły pod Berdyczowem, a skoligacony z rodową arystokracją, lub głośny Potapenko, chłop z Rzyszczowa, do których jak na odpust ciągnęły tłumy ludu. Nawet administratorowie kraju i arystokracja schylali głowę przed ich autory-

tetem. Prócz, tych wielkich kapłanów ciemnoty, byli i drobni ich prozelici, leczący ziołami i zamawianiami, masażyści i felczerzy, piszący recepty, bardzo wygodni dla aptekarzy, lecz szkodliwi dla lekarzy i chorych. Każdy lekarz musiał się liczyć z praktykującymi felczerami, ale w razie potrzeby poskramiać ich zuchwałość.

Również wypadało lekarzowi mieć przy sobie czyto dla pomocy, czy spełnienia pewnych posług u chorych, lub dla posyłek — felczera Żyda, o tyle sumiennego, aby wykonywał wszystkie polecenia lekarza, lecz sam na własną rękę nie leczył. Naturalnie, że o takiego nie było łatwo. Otóż dr. Freide, jako doświadczony stary praktyk, polecił mi swego felczera. Był to pięćdziesięcioletni, dymisjonowany żołnierz mikołajowski t. zw. „rotny" felczer Mojsze Galiński. Miał tę zaletę, że był głupi i niepiśmienny, zatem dostateczna gwarancja, że nie będzie pisać recept ani podstępnie podrywać autorytet lekarza. Był nadomiar usłużny, akuratny, wytresowany w dyscyplinie wojskowej i ślepo wypełniający rozkazy. Kilkunastoletni pobyt jego u mnie przekonał mię o jego wierności i uczciwości. Wadą jego było niechlujstwo, od którego nie mógł się odzwyczaić, ani zrozumieć ważności wchodzącej wówczas w użycie aseptyki i antyseptyki. Wówczas jeszcze w klinikach chirurgicznych stosowane było w całej pełni smarowanie ran rozczynem azotanu srebra, a opatrunki z szarpi pogrążonych w oleju karbolowym. Są ludzie stąpający przez życie po samych cierniach i z niemi tak się zżyli, iż sądzą, jakoby taka dola była im określona w księgach przeznaczenia, gdyż lepszej nie warci. Do rzędu takich należał Mojsze. Opowiadał o swej przeszłości zupełnie obojętnie, jak w 8-ym roku życia odebrano go rodzicom i oddano „w kantonisty", poniewierano i bito. Cieszył się jedynie z tego, że go nie wychrzczono. Trzydziestoletnia służba upłynęła w ciężkich warunkach. Płakał więc ze wzruszenia, kiedy zwolniony mógł nareszcie zapuścić brodę, włożyć długi chałat i zostać wolnym obywatelem gminy żydowskiej. Uważał siebie za szczęśliwszego od kolegów Żydów, których wychrzczono. Znałem takich kilku w Zwinogródce. Np. Pietrow, Żyd z pochodzenia, z kantonistów wychrzczonych, pisarz pułkowy, był dozorcą więzienia. Poznałem go, robiąc tam pomiary antropometryczne. Więzienie Zwinogródzkie zrobiło na mnie ze względu na porządek, czystość i obejście się z aresztantami bardzo dodatnie wrażenie. Kiedym dozorcy wyraził swą pochwałę, on mi powiedział: „proszę pana doktora, my z więźniami stanowimy jedną rodzinę, wspólnie pracujemy i rozumiemy się, robię dla nich co mogę, aby ulżyć ich losowi".

Wspomniałem już, że kółko moich znajomych w Zwinogródce

było bardzo ograniczone, bo na rozleglejsze nie miałem chęci ani czasu. Stosunki z Freidem musiałem zerwać w przykry sposób, gdyż ten fizycznie i psychicznie chory człowiek zaczął we mnie widzieć wroga i prześladowcę. Wreszcie oboje małżeństwo zgorzkniałe i zdziwaczałe opuściło miasto. W Zwinogródce, jak i we wszystkich miastach naszych kresowych, kilka domów polskich żyło w zupełnem odosobnieniu od rosyjskiego świata urzędniczego, uważającego siebie za wybraną arystokrację. Lecz i tu było rozdwojenie. Miejscowi dawni urzędnicy, pochodzący z autochtonów, stronili od przyjezdnych Rosjan, uważających siebie za nosicieli wyższej kultury, choć moralnie wogóle o wiele niżej stali od pierwszych. Stosunków z tem towarzystwem nie miałem żadnych.

Główną rolę w mieście odgrywał marszałek szlachty. Po śmierci Protopopowa, mianowany został jego brat stryjeczny, dymisjonowany kapitan, o wiele niżej stojący pod każdym względem od swego kuzyna, nadomiar alkoholik, człowiek bez charakteru, ożeniony z panną Sabler, córką w swoim czasie wpływowego w Rosji pomocnika prokuratora świątobliwego synodu, Pobiedonoscewa. Dzięki teściowi Protopopów miał wyrobione stosunki w Petersburgu. W Zwinogródce krzewił w niesłychany sposób pijaństwo wśród urzędników, uważając za największą przyjemność i gościnność drugiego upoić. Pito tam alkohol od 80 do 90%.

Sprawnikiem długie lata był Jurow, Żyd, wychrzczony, człowiek niezły i spokojny, żonaty z kobietą już niemłodą, słynną niegdyś ze swych wdzięków, mówiącą nieźle po polsku. Po jego wyjściu na emeryturę zastąpił go były wojskowy Rozalion - Soszalskij, człowiek umysłowo upośledzony.

Komisarzem włościańskim był Wakar, podobno polskiego pochodzenia, lecz wychowany gdzieś w Rosji, udający wielkiego postępowca, a w gruncie był najczystszej wody rosyjskim biurokratą.

Podprokuratorem sądu był Rembertowski, człowiek lat średnich, podobno pochodzenia polskiego i mówiący po polsku, lubiący towarzystwo, karty i kobiety, pomimo, iż miał młodziutką żonę z zamożnego domu, wnuczkę bohatera z r. 1812, jenerała Rajewskiego, mającego majorat na Podolu. Świat ten urzędniczy dopełniał jeszcze naczelnik wojenny pułkownik Borodin.

Po ustąpieniu Borodina, zajął jego miejsce stary kawaler, kontuzjowany, z połamanemi kośćmi pułkownik Aleksander Podbereski. Odbył on kilka kampanij w Turkiestanie, wojnę rosyjsko - turecką, i w nagrodę za to, pomimo, iż był katolikiem, otrzymał posadę wojskowego naczelnika. Po polsku umiał tylko tyle, że mógł się modlić

z książki do nabożeństwa, a łącznikiem dla niego z przeszłością i polskością był kościół. Wiedział coś niecoś o Mickiewiczu i Kraszewskim. Manją jego było udowodnienie swego książęcego tytułu. Był gorącym monarchistą, oddanym carowi. Podbereski był dziwakiem w swych przyzwyczajeniach codziennych. Nie znosił wogóle kobiet, a tem więcej usługi kobiecej. Ten manjak wynarodowiony miał jednak jakąś iskierkę poczucia dla swoich. W kancelarji, aż do wyjścia osobnego rozporządzenia, miał samych prawie katolików, w składkach na rzecz restauracji kościoła, lub dla potrzebujących Polaków chętnie hojny brał udział. Otrzymawszy rangę jenerała, o którą mu chodziło, Podberski osiadł w Wilnie pod Ostrą Bramą i tam życie zakończył.

W Zwinogródce długie lata zamieszkiwał drugi eks-wojskowy przeszło 80-letni starzec, kawaler, major Malinowski. Wysokiego wzrostu o siwych włosach i brodzie, w starym wytartym wojskowym płaszczu, pokazywał się zaledwie parę razy do roku w mieście, gdy szedł po emeryturę. Był znanym skąpcem, odmawiającym sobie wszystkiego, tak, że z małej pensyjki zdołał uzbierać kilkadziesiąt tysięcy rubli i oddał na procent marszałkowi szlachty pow. Kaniowskiego, Jaczewskiemu, znanemu pod przezwiskiem markiza. Ten w dobie przedpowstaniowej przed r. 1863 słynął jako sprężysty gospodarz i dzielny administrator. Później, gdy był opiekunem funduszów szlachty małoletniej z całej Ukrainy, wiele sierot, wdów i ludzi małej fortuny ulokowało u niego oszczędności. W końcu zbankrutował i zrujnował wielu ludzi, a w ich liczbie i Malinowskiego, który powtórnie zaczął zbierać pieniądze. Pomimo nadzwyczajnego skąpstwa, Malinowski miał cześć dla nauki. Wychował dwóch swych synowców w szkołach, a później w uniwersytecie, dając im skromne stypendja. Z obu kolegowałem się. Jeden ukończył prawo i był adwokatem w Warszawie, drugi został lekarzem, ożenił się z popówną z lewobrzeżnej Ukrainy i osiadł w Rzyszczowie w Kaniowskiem nad Dnieprem, jako lekarz wolnopraktykujący, gdzie bodaj całe życie jego upłynęło. Przyjeżdżał on odwiedzać chorego stryja, który zrobił go wykonawcą nieco oryginalnego testamentu. Malinowski chciał, aby go pochowano z muzyką i z innemi wojskowemi honorami, a na mogile miał stanąć pomnik z odpowiednim napisem. Cały fundusz przekazywał zmarły na fundusz Kasie pomocy naukowej im. Józefa Mianowskiego w Warszawie.

W Zwinogródce długie lata zamieszkiwał jeszcze kontuzjowany 80-letni jenerał artylerji, Olszewski, bohater kaukaski. Była to ruina i pod względem fizycznym i duchowym. Polskość jego cała polegała

na tem, że z polskiej książki do nabożeństwa się modlił. Żona była Włoszką z pochodzenia, córką kapelmistrza pułkowego, z którą się porozumiewał po rosyjsku. Córki powychodziły zamąż za Rosjan.

Niewątpliwie, że poziom rosyjskiego czynownictwa na Ukrainie naogół był wyższy niż na Litwie, a jednak pozostawiał on bardzo wiele do życzenia. Za moich czasów przybył np. do Zwinogródki w charakterze sędziego śledczego dwudziestokilkoletni młodzieniec Woronowicz, syn bogatego urzędnika w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Petersburgu. Był to awanturnik i łapownik wielki.

Zwinogródka posiadała wtedy, gdym tam mieszkał, najwyższą szkołę w powiecie, 2-klasową męską, której prefektem był Jefim Stepanowicz Krymskij, człowiek lat czterdziestu kilku, gorliwy monarchista i prawosławny. Pochodził gdzieś z Mohylowszczyzny, jak mówiono, był w r. 1863 listonoszem, ożenił się z mieszczanką Polką na Wołyniu, pokojową hrabianki Błudowej, córki ministra, znanej krzewicielki prawosławia. Opowiadano, że Krymskij gdzieś w Grodzieńskiem podczas powstania r. 1863, będąc listonoszem, obrabował pocztę, co zwalono na powstańców. Został wtedy nauczycielem szkoły ludowej, później szkoły miejskiej i wreszcie prefektem. Ponieważ posiadał spryt kupiecki, rozpoczął wydawanie rosyjskich elementarzy, bajek, podręczników geografji i arytmetyki i t. d., które znalazły aprobatę ministra oświaty i były zalecone do szkół początkowych pomimo dziwolągów, jakie zawierały . Oprócz tego Krymskij próbował swego pióra i na innem polu, pisał o myśliwstwie, różne opowiadania, o sposobach wypiekania bab i mazurków, broszurki treści patrjotycznej i t. d., które drukowała w olbrzymim nakładzie znana firma wydawnicza „Braci Sałajewych" w Moskwie, dając znaczny dochód autorowi. Niemniej ciągnął on zyski ze swego stanowiska pedagogicznego. Założył sklepik przy szkole w umyślnym budynku przez siebie zbudowanym i sprzedawał tam swym uczniom różne przedmioty szkolne, a zarazem swe wydawnictwa. Pomimo nieustannych doniesień i narzekań, że wyzyskuje uczniów, nic mu nie zrobiono, gdyż miał poparcie w Okręgu Szkolnym, aż wkońcu dostał emeryturę. Wówczas zbudował własny dom, przeniósł tam sklep i urządził drukarnię, gdzie drukował księgi rachunkowe i gospodarskie dla pobliskich ekonomij i fabryk cukru. Ponieważ drukarnia nie była przez cały czas zajęta wpadł na pomysł wydawania perjodycznego piśmidła p. t. „Zapiski prowincjonalnego szałapaja" (warchoła), w którem, oprócz omawiania spraw bieżących, kruszył kopje przeciw ludziom sobie niechętnym.

Z pośród wielu kolegów lekarzy, których zdarzało mi się spoty-

kać w życiu, do rzadszych typów należał Sujatin. Był to starzec sześćdziesięciokilkoletni, który przyjechał w kilka lat po mojem osiedleniu się w Zwinogródce. Pochodził z gub. Wiatskiej i miał w sobie coś wschodnio-tatarskiego. W latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia przybył z pułkiem swym do Warszawy i tu ożenił się z miłości z miejscową artystką p. Świdzińską. Po kilku latach przeniósł się na Ukrainę na posadę lekarza powiatowego w Zwinogródce. Żona jego podobno była osobą bardzo miłą i kulturalną, po rosyjsku się nie nauczyła i z mężem mówili po polsku. Dzięki jej wpływowi gwałtowny i niepohamowany charakter Sujatina łagodniał. Lubił on karty, pijatykę, nie przebierając w towarzystwie. Kiedyś np., grając w karty w klubie miejscowym, przytoczył jakieś przysłowie polskie. Był to czas popowstaniowy, kiedy polakożercze instynkty najsilniej były rozpętane. Wówczas podchmielony komisarz włościański (mirowoj pośrednik) Bałachowskij nazwał go *opalaczennym*, co go tak dotknęło, że powstał i czynnie komisarza znieważył. Pokrzywdzony rzucił się na Sujatina, lecz obecni do dalszej bójki nie dopuścili. Bałachowskij jednak ze swymi przyjaciółmi uplanował dziką zemstę. Wezwano Sujatina w nocy do chorego, a kiedy się nachylił, aby go zbadać, ten chwycił Sujatina za głowę; wtem weszło kilku zamaskowanych i rozebrawszy go wysiekli, a później nawpół nagiego i związanego rzucili opodal publicznego domu. Dopiero rankiem znalazły go przekupki. Wszczęta sprawa przestępców nie wykryła. W tym czasie żona Sujatina zakończyła życie. Pochował ją najprzód na katolickim cmentarzu, a potem opuszczając Ukrainę, zdecydował się zwłoki żony przewieść do Wiatki. Zbudował ogromny powóz w rodzaju arki Noego, kupił konie, gdyż kolei jeszcze wówczas nie było i puścił się w drogę. Na dachu umieścił zwłoki żony, a do powozu wsiadł z byłą jej pokojową Polką i z małem dzieckiem przy piersiach, które ta od niego powiła. Kiedym przyjechał do Zwinogródki, opowiadano mi historję o Sujatinie i pokazywano jego dom, a w lat kilka rozeszła się pogłoska o jego powrocie do Zwinogródki. Nie była to wiadomość przyjemna. Sujatin istotnie wkrótce przyjechał z trojgiem dzieci. Ubrani w długie chałaty z żółtej sierści wielbłądziej, spacerowali po mieście, wzbudzając zaciekawienie miejskiej gawiedzi. Z nim przyjechała i matka dzieci. Przekonał się prędko, że na praktykę liczyć nie mógł. Spodziewał się, że po wprowadzeniu samorządu miejskiego zostanie wybrany, jeśli nie na prezydenta, to przynajmniej do zarządu miasta, lecz i to mu się nie udało. Miał tem bardziej szczególny gniew do prezydenta Czopowskiego, pochodzącego z drobnej szlachty, który niegdyś był sędzią śledczym i prowadził śledztwo w sprawie pobicia

Sujatina. Sujatin jednak przeszedł jako radny, wytworzył partję przeciw Czopowskiemu, pisał protesty i skargi, tak, że Czopowski starał się go w jakikolwiek sposób usunąć. Okoliczności sprzyjały mu. Przeczytał on przypadkowo z ogłoszenia, że Wiatski Sąd Okręgowy poszukuje skrywającego się lekarza powiatowego Sujatina, oskarżonego o 5 przestępstw kryminalnych: łapownictwo, sprzedaż zepsutej żywności, wydawanie fałszywych świadectw prostytutkom i t. d. Na tej podstawie zawiesił Sujatina w obowiązkach radnego i powiadomił Wiatski Sąd Okręgowy o miejscu pobytu poszukiwanego. Naraz spadło kilka nieszczęść na biednego Sujatina. Zachorował mu najstarszy syn, którego dzieckiem przy piersi wywiózł na Syberję, wówczas już kilkunastoletni Bronisław ochrzczony według obrządku katolickiego. Inne dzieci były prawosławne, matka zaś katoliczka. Chłopiec przez kilka tygodni cierpiał na ostry gościec stawowy, a na tem podłożu rozwinęło się zapalenie osierdzia. Proszony o poradę, znalazłem chorego w stanie beznadziejnym. Niemniej poważne obawy budził stan zdrowia ojca z powodu obrzęku nóg i powtarzających się ataków dusznicy bolesnej. Niekonsekwencja Sujatina wystąpiła i tu, gdyż przed śmiercią ukochanego syna przyłączył go do prawosławia. W kilka dni potem byłem świadkiem istotnego dramatu. W ubogiem otoczeniu, bez sprzętów, które poszły na chleb, leżał złamany życiem na łożu śmiertelnem człowiek chory fizycznie i umysłowo, a policja przyszła go aresztować za sprawy wiatskie. Śmierć stała się dla niego jedynem wyjściem.

* * *

Po stracie narzeczonej upłynęło lat kilka, i oto znowu ciężką zmorą legła mi na sercu choroba siostry, lat prawie cztery trwająca. Kobieta ta, napozór w kwitnącym stanie zdrowia, dobrze rozwinięta, młoda, przystojna, przez lat kilkanaście narażona na nieustanne cierpienia moralne znosi je stoicznie, nie uskarża się przed nikim, trawiąc to wszystko w sobie, aż wreszcie organizm nie wytrzymuje. Choroba rozpoczęła się u siostry obfitemi krwotokami płucnemi, powtarzającemi się co kilka tygodni. Pojechałem ją odwiedzić. Badania nie pozwoliły narazie stwierdzić żadnych zmian poważniejszych w płucach i wogóle niczego oprócz nieznacznego podniesienia ciepłoty i osłabienia. Siostra z mężem wyjechała na południe, gdzie ze 3 lata przemieszkała ze starszym kilkunastoletnim synem, a reszta dzieci pozostała w domu. Zimę spędzali w Mentonie, San-Remo, lub Nicei, na lato wyjeżdżali do Montreux, lub Gleichenbergu, tymczasem stan zdrowia wciąż się pogarszał. Lato 1879 r. spędziła z dziećmi, których

od lat trzech nie widziała w Zwinogródce. Wynająłem dla nich na kilka miesięcy dom pod miastem z ogrodem nad brzegiem Tykicza i znaczną część dnia razem z nimi spędzałem. W tych przyjemnych chwilach było mi nad wyraz bolesnem patrzeć na cień kobiety o niknących codzień siłach, z tem przeświadczeniem, że to ostatnie nasze w życiu spotkanie. Lato upływało, nadchodziła jesień, dnie stawały się krótsze, smętne i dżdżyste, trzeba więc było decydować czy zimę ma spędzić w kraju czy jechać na południe, gdzie w ciągu lat paru stan zdrowia chorej jeszcze się pogorszył. Siostra nie wierzyła w swoją poprawę i wolała pozostać na zimę w Zwinogródce, niż puszczać się znowu w daleką drogę i żyć wśród obcych bez dzieci. Ja również podzielałem jej zdanie. Lecz nadjechał mąż, który przez całe lato nie dawał wieści o sobie z Litwy i ani słyszeć nie chciał o tym projekcie. Po paru dniach w listopadowy słotny dzień wybrali się po bezdrożu ukraińskiego czarnoziemu do najbliższej stacji kolejowej Szpoły, o 20 wiorst oddalonej, aby udać się do Mentony. Pożegnałem siostrę w przeświadczeniu, że na zawsze. Pisała, jak i dawniej często, listy jednak były coraz krótsze i wskazywały na pogorszenie zdrowia. Otrzymywałem listy i od lekarzy, którzy ją leczyli: Czerwiakowskiego, Żebrowskiego, a ostatnio Tymowskiego, który mię zawiadomił o jej ostatnich chwilach. Wreszcie skonała. Szwagier doniósł mi o tem telegramem, jak również, że ciało będzie przewiezione na Litwę. Prosiłem go w imieniu zmarłej siostry, aby komedji nie wyprawiał. Nie usłuchał. Wkrótce ożenił się powtórnie, ziemię sprzedał starowierowi razem ze szczątkami żony, nie dbając o profanację, i nie troszcząc się o pozostałe dzieci. Rad byłem mogąc najstarszego wydobyć z otoczenia, w jakiem się znajdował, i przyczyniać się w części do dalszego jego wychowania. Innem rodzeństwem kierowała Opatrzność.

* * *

Praktyka moja lekarska rozszerzała się stopniowo, obejmując coraz większy zakres. Ponieważ w Zwinogródce nikt z lekarzy nie zajmował się położnictwem i ginekologją, cała ta praktyka była w moim ręku. Nigdy nie odmawiałem pomocy rodzącym, czyto w dzień, czy w nocy, ani bogatym, ani biednym. Pod tym względem stał mi zawsze na myśli jako ideał słynny lekarz krakowski XVI w. Sebastjan Petrycy, który zwykł mawiać: „bogaty dziesięciu Petrycych mieć może, ubogi żadnego". Operacji nałożenia kleszczy, która była w tym czasie częściej stosowana, niżby należało, dokonywałem nieraz, również obrotu na nóżki, zaszycia międzykrocza i t. d. Praktyka

położnicza, w której się udoskonalałem zagranicą, więcej mi się podobała nie tylko dlatego, że nie miałem współzawodników, lecz raczej z tego względu, że skutek pomocy doraźnej był widoczny, co sprawiało mi nadzwyczajną przyjemność, tak, że nigdy nie żałowałem niedospanej nocy, ani zmęczenia. Wypadki okazywania nagłej pomocy, szczególnie takie, w których zamieszana była policja, mniej mię nęciły, więc odsyłałem takich chorych do lekarzy urzędowych. Dużo leczyłem Żydówek z chorobami narządów płciowych wskutek porodów, lub bezpłodności, szczególnie latem, przyjeżdżało ich nieraz po kilkanaście z rozmaitych okolic.

Jeżeli w życiu lekarza prowincjonalnego są chwile radosne, gdy może pomóc cierpiącemu, to są chwile i ciężkie, które pozostają w pamięci na całe życie. O jednej z takich opowiem. Drobne operacje zwykle wykonywałem u siebie w gabinecie, większe zaś w domu chorego. Pomagał mi przy operacjach Mojsze. Było to w pierwszych miesiącach mojej praktyki, kiedy udała się do mnie uboga Żydówka, wyczerpana ogromnym ropniem w jednej z piersi. Zrobić operacji w domu chorej nie mogłem dla braku odpowiednich warunków, zrobiłem więc ją w gabinecie. Chora błagała o przecięcie ropnia. Ponieważ dokonywałem tego nieraz, więc jakkolwiek nie miałem nikogo do pomocy, rozciąłem według prawideł sztuki szerokiem cięciem ropień. Niestety po wypłynięciu olbrzymiej ilości ropy, płynąć zaczęła z nabrzękłych tkanek krew tak obficie, że niczem jej nie mogłem zatamować. Chora mdlała, leżała bez tętna. Położenie moje było rzeczywiście rozpaczliwe. Nie wiedziałem, co nam czynić. Przerzucałem podręczniki, jakie miałem, i w Chirurgji Billrotha, znanego chirurga wiedeńskiego, znalazłem opis analogicznego wypadku, w którym zatrzymał krew olejkiem terpentynowym. Na szczęście miałem go pod ręką, włożyłem więc nasycony tampon wgłąb rany i pierś zabandażowałem. Krwotok ustał. Odetchnąłem swobodniej i napoiwszy chorą winem, odesłałem ją z felczerem do domu.

W pierwszych latach mojej praktyki na Ukrainie grasował w pobliskich miasteczkach tyfus plamisty, szczególnie wśród Żydów. Chorowało wiele osób, lecz przebieg choroby bywał lekki. Natomiast grasująca potem przez lat 9 błonica (diphteritis) odznaczała się, zwłaszcza w pierwszych latach epidemji szczególnie ciężkim przebiegiem i wielką śmiertelnością tak w mieście jak i po wsiach. Chorowały nietylko dzieci, lecz czasem dorośli, a nawet starzy. Nieraz po paru dniach choroby następowały zejścia śmiertelne, nawet u dorosłych. W okolicach, gdzie nie było epidemji, zdarzały się zachorowania pojedyńcze i to czasem w rodzinach, żyjących w warunkach bardzo pomyślnych.

We wszystkich warstwach ludności błonica wyrządzała straszne nieraz spustoszenia. Znałem rodziny, a nawet wsie, w których powymierały wszystkie dzieci. Dopiero w latach następnych epidemja błonicy jak i wielu innych złagodniała, i stopniowo ustała, gdy zaczęto stosować wstrzykiwania surowicy w celach leczniczych, lub zapobiegawczych. Roznosicielami choroby byli może głównie popi, którzy w swem nieochędóstwie nie myli rąk, nosili długie o szerokich rękawach rasy, długie brody i włosy, a przy tem wskutek zwyczaju oddawania radna (prześcieradła) przykrywającego zmarłych i chleba popowi, ten najprzód zarażał własną rodzinę. Większe rozprzestrzenienie się epidemji wśród chłopów, niż wśród Żydów zależało i od tego, że u prawosławnych istnieje zwyczaj przetrzymywania nieboszczyków dłużej w domu, komunikowania się jedną łyżeczką i całowania nieboszczyków na pożegnanie. Czerwonka i tyfus brzuszny mniej tu grasowały, natomiast nieżyty ostre jelit ze śmiertelnem zejściem, szczególnie latem, należały do częstych chorób wieku dziecięcego.

Do chorób nawiedzających ludność, szczególnie w pewnych okolicach o niższym czarnoziemnym gruncie należała zimnica, przeto chinina w różnych preparatach była obficie stosowana przez lekarzy i używana przez publiczność. Często pojawiał się u ludzi młodych i silnych reumatyzm stawowy, przeciw któremu po raz pierwszy zaczęliśmy stosować z dobrym skutkiem nowe wówczas preparaty salicylowe.

* * *

Blisko cztery lata wynajmowałem parę pokoi u Gackich. Dla podrastających dzieci, szczególnie panien, potrzebowali oni sami większego mieszkania. Wobec tego, że Nikitinowie wynieśli się ze Zwinogródki i dom przez nich zajmowany został wolny, Gacki wolał go sprzedać, niż nadal wydzierżawiać, zwłaszcza, że miał na nim ciążące długi. Pewnego wieczoru wszczęła się na ten temat rozmowa i w pół godziny sprawa była załatwiona. Dom kupiłem wespół z przynależnemi doń wozownią, stajnią i składzikiem za sumę około 6 tysięcy rubli ze spłatą całej sumy za rok, lub później. Spłaciłem ją coprawda o wiele wcześniej. Nabycie domu pociągnęło za sobą wydatku ze trzy tysiące rubli, na zrobienie sufitów i odrestaurowanie domu. Obsadziłem go hederą, wijącą się na ścianę, założyłem ogród, a zasadzone drzewa po paru latach dawały cień przyjemny. Oprócz tego umeblowałem 7 pokoi. Większą część roku zamieszkiwałem sam. Po śmierci siostry, od czasu do czasu podczas świąt lub wakacyj przebywał mój siostrzan, czasem zajeżdżali znajomi, bawiąc po parę nieraz tygodni.

Sama praktyka lekarska nie zadawalała mię. Zacząłem powoli próbować sił swoich w piśmiennictwie. Pisałem przedewszystkiem artykuły, korespondencje, spostrzeżenia kazuistyczne z praktyki lekarskiej, umieszczając je w czasopismach lekarskich warszawskich: w „Gazecie Lekarskiej", „Medycynie" i w krakowskim „Przeglądzie Lekarskim". Następnie rozszerzyłem zakres mojej pracy literackiej, pisząc i do czasopism literacko - naukowych i społeczno - politycznych, do poczytnego wówczas bardzo „Przeglądu Tygodniowego", organu młodzieży postępowej, wychodzącego pod red. Adama Wiślickiego, do „Gazety Warszawskiej" pod redakcją Stan. Lesznowskiego, do „Prawdy", a potem do „Nowin" Al. Świętochowskiego. Od kiedy zaczął wychodzić w Petersburgu pod redakcją utalentowanego Erazma Piltza „Kraj", pismo mające swobodniejszą cenzurę i mogące traktować o wszystkich sprawach krajowych, zmniejszyła się znacznie poczytność czasopim warszawskich nie tylko w stolicy, ale w t. zw. ziemiach zabranych, oraz w Rosji, do czego przyczyniło się niemało prawo kolportażu „Kraju" na wszystkich kolejach w Rosji, czego żadne z czasopism polskich nie miało. Piltz starał się zebrać dokoła „Kraju" najbardziej utalentowane pióra, przyczem nie wyzyskiwał piszących, jak nieraz u nas bywało. Kierunek główny pismu nadawał tak niepospolity człowiek, jak Włodzimierz Spasowicz. Wszystko to zjednało „Krajowi", doskonale redagowanemu i informującemu o Polakach na całej kuli ziemskiej, zasłużoną poczytność i popularność. Większość prasy warszawskiej postanowiła zwalczać „Kraj", ostro występując przeciw redaktorowi Piltzowi, lecz bezskutecznie. Pismo to przetrwało długie lata i przestało istnieć wówczas, gdy swą rolę w Petersburgu spełniło. Pisałem do różnych działów „Kraju" od czasu jego powstania przez lat trzydzieści kilka, aż do zamknięcia. Były to artykuły treści naukowej, społecznej, recenzje i krytyki z prac różnych i nowele. W korespondencjach moich z Ukrainy p. t. „Z nad Tykicza", podpisywanych pseudonimem Jan Iłgowski, omawiałem dzięki swobodniejszej cenzurze sprawy społeczne, krajowe i narodowe połud. - zach. prowincyj. Artykuły te, pisane w ciągu kilkunastu lat, cieszyły w swoim czasie wielkiem powodzeniem u czytelników. W politycznych przekonaniach nie byłem nigdy krańcowym. Nie ciągnęło mnie ku sobie doktrynerstwo socjalistów z dewizą kosmopolityzmu, ani zacofanie obozu wszechpolaków. Nie należąc w młodości do żadnych partyj politycznych, nie mogłem nie widzieć, że żyć tylko nadzieją przyszłości, pogardzając dniem dzisiejszym nie można; trudno było nie uznawać, że skutkiem prześladowania cofamy się na wszystkich polach i deprawujemy, a bojkotując szkoły, choć mar-

ne rosyjskie, popełniamy samobójstwo, utrudniając ubogiej klasie dalszą naukę. Przed powstaniem 1863 r. a nawet i potem szkoły wyższe w Rosji były przepełnione polską młodzieżą. Trochę później uniwersytety świecą pustkami, pod względem liczby Polaków. W Rosji rządziła siła pięści i nie można było żadną drogą praw należnych dochodzić, chyba coś wyjednać przez stosunki. W swoim czasie do tak zwanych ugodowców uciekali się niejednokrotnie ci sami, którzy ich obrzucili błotem, prosząc, jeżeli nie za siebie, to w obronie instytucyj narodowych lub kulturalnych. Trzeba było żyć w tych czasach i bliżej znać stosunki, ażeby bezstronnie ocenić postępki ludzi, na których się rzucało kamieniem. Historja będzie łagodniejszą i uzna zasługi takich ludzi, jak Aleksandra Despoty Zenowicza i Włodzimierza Spasowicza, którzy wpływami swemi w Petersburgu wyjednywali pewne ulgi dla swoich rodaków, czy to kiedy chodziło o otwarcie szkoły polskiej, czy o koncesję dla gazety, czy o założenie towarzystwa dobroczynności, albo innej jakiej polskiej instytucji.

Niejeden z Polaków, żyjący na dalekich kresach lub na Syberji, chociażby piszący te słowa, dowiadywał się z „Kraju" co się dzieje w dzielnicach polskich, jak cierpią w Poznaniu, co robią Polacy w Ameryce, jak pod Wawelem rozwija się polska szkoła, nauka i sztuka. Również jeden z ugodowców ofiarnością własną przez długie lata wydawał najpoważniejsze czasopismo polskie „Ateneum" w Warszawie, a w pierwszym skromnym programowym numerze „Kraju" zapalał, jak mówił, ognik, który nam, jak pierwszym chrześcijanom, przyświecać będzie. Nie wątpił, że go nie zagaszą, cóżby on ludziom zawinił? I nie omylił się. Wypalił się do tła i zgasł dobrowolnie. W tym czasie znany literat i historyk Walery Przyborowski poszedł jeszcze dalej w swych politycznych tendencjach, bo stworzył w Warszawie czasopismo „Chwila", hołdujące polityce ogólno-słowiańskiej, myśląc, że znajdzie dla tej idei stronników. Na prośbę Przyborowskiego byłem współpracownikiem w tej gazetce. Wystąpienie było nie na czasie. Społeczeństwo przyjęło je wrogo, a redaktor straciwszy swój skromny fundusz, doznawszy wiele przykrości i zawodów, niesłusznie oczerniony, po kilku miesiącach „Chwilę" zawiesił.

Do r. 1884, żądny pracy i czynu, mimowolnie rozpraszałem się. Przedewszystkiem chciałem pracować na polu medycyny, lecz, mieszkając na prowincji, nie wiedziałem, jak się wziąć do tego. Ogłaszanie suchych przypadków kazuistycznych, lub korespondencje, nie zadowalały mnie, bo nie pozostawiały po sobie żadnych śladów. Właściwości mojej umysłowości pociągały mnie najwięcej ku badaniom dziejów przeszłości. Napisałem parę niewielkich monografij histo-

rycznych. Znany historyk Podola, dr. A. J. Rolle, zachęcał mnie do pracy na tem polu, dość sceptycznie zapatrując się na ogłaszanie prac lekarskich treści praktycznej. Możebym i usłuchał rady starszego kolegi, gdybym miał pod ręką archiwum. Rwałem się do pracy, starając się zużytkować swój zapał z korzyścią dla społeczeństwa. Tymczasem sam zbieg okoliczności skierował mnie na drogę pracy, odpowiadającej do pewnego stopnia moim upodobaniom.

Jeżdżąc często do chorych w okolice Ryżanówki, wielokrotnie zatrzymywało się moje oko na grupie przeszło 20 kurhanów obok traktu wiodącego od Ryżanówki ku wsi Zaleskiego. Leżały one na powierzchni równej, bezleśnej, pokrytej grubą warstwą czarnoziemu, uprawianej od lat wielu, przyczem kurhany rozrywane przy oraniu traciły swe pierwotne kształty. Zaciekawiło mnie bardzo ich znaczenie i zawartość. Dwa z nich były niepospolicie wysokie, a ponieważ leżały na ziemi mego kuzyna, postanowiłem najwyższy z nich w kwietniu 1884 r. rozkopać. Miał on od podstawy do szczytu $7^1/_2$ metr. wysokości, a w średnicy przeszło 12 metr. Kurhan nie był symetryczny; od strony zachodniej miał rodzaj progu, podnoszącego się od 3 do 4 metr. nad powierzchnią ziemi. Rozkopałem go na krzyż dwoma rowami, w ten sposób, ażeby jeden rów przechodził przez środek progu. Robota trwała około dziesięciu dni, przyczem pracowało kilkunastu robotników. W wierzchnich warstwach ziemi oprócz przegniłych pni drzew, kości gryzoniów, wyrobów z żelaza i ułamków naczyń glinianych późniejszego okresu nic nie znaleziono. Natomiast w centrum, gdzie rowy się krzyżowały, na calniku był niewielki kopiec ze zbitej szaro-żółtej gliny; miał on kształt trójkąta. Około niego leżało kilkanaście kawałków węgla, ułamki rogów baranich, a nieco dalej ku zachodowi, na miejscu odpowiadającem próżkowi, na calniku rozrzucone w nieładzie kości końskie, pokryte skorupami dwóch wielkich rozbitych amfor greckich. Dokopawszy się do nienaruszonej ziemi, nie było racji dalej prowadzić badań, częściowo rów zasypano, na prożku tylko mniej, licząc, że deszcz i wiatr stopniowo zrównają ziemię. Na wiosnę w r. 1887, zaczęły się szerzyć wieści, że włościanie, jadąc drogą, zatrzymują się przy kurhanie, wydobywają z niego cenne przedmioty i sprzedają Żydom. Stwierdziłem na miejscu, że w zachodnim końcu kurhanu, tam gdzie rów przecinał wyżej wspomniany prożek, po roztopach wiosennych utworzyła się wielka czworoboczna jama, w kształcie szerokiej studni mającej wzdłuż i wszerz około 3 metr., a głębokości około 2 metr. Niektóre z wydobytych przedmiotów udało mi się nabyć u chłopów, a więc wielką amforę z czerwonej gliny pięknie wypaloną, mogącą pomieścić

przeszło 4 wiadra wody, misę bronzową, zwierciadło polerowane bronzowe, kilkaset przedmiotów złotych, diadem ze złotej blachy z wyciśniętym na niej rysunkiem dwóch figur, trzy razy powtarzających się, jedna z nich w lewej ręce trzyma miecz, w prawej róg obfitości, druga w ręce prawej trzyma laskę w rodzaju berła, w lewej zaś głowę baranią; dokoła szyi ma obwiniętego węża. Przedmioty te darowałem do zbiorów Akademji Umiejętności w Krakowie. Sądząc, że pod zawaloną ziemią znajduje się więcej zabytków, prosiłem o przysłanie delegata dla zbadania tego znaleziska. Komisja antropologiczna Akademji Umiejętności, uznając ważność naukową odkrycia posłała w r. 1887 na jesieni, jako swego delegata G. Ossowskiego, z którym pojechaliśmy na kurhan. Po półtoragodzinnem usuwaniu ziemi natrafiliśmy na katakubę pod calnikiem prożka, wybudowaną na skraju kurhana dla zmylenia miejsca grobu. Glina z niej była wynoszona długim podziemnym korytarzem na środek i na tem miejscu usypano kurhan. Zawalenie się sufitu pozwoliło poznać dokładnie budowę katakumby. U wejścia do grobu był jakby występ, na którym ustawiono kilka małych naczyń glinianych. W grobie leżał szkielet kobiety średniego wzrostu, położony na mchu, co według Herodota było znamieniem królewskości. Kobieta w jednem ręku trzymała bronzowe naczynie z kabłączkiem, mające z boku jako dziób do nalewania pięknie wymodelowany lwi pyszczek. We wnętrzu naczynia stała niewielka srebrna wazka artystycznie wykonana, pochodząca z najświetniejszej epoki rozkwitu kolonij greckich Czarnego Morza. Miała ona modelowane ścianki. Dokoła przebiegała poprzeczna opaska z wyrytym rysunkiem, wyobrażającym gonitwę psów i tygrysów. Przy tułowiu stała inna miska srebrna z rączką i czarna gliniana urna, typu etruskiego, a przy niej wyroby kościane: szydełko, łyżeczka i igły. Obok głowy po obu stronach znajdowały się złote nausznice, przedstawiające słonia ozdobionego wisiorkami, coś z typu asyryjsko - babilońskiego. Przyozdobienie szyi stanowił wspaniały złoty naszyjnik, składający się z kilkunastu ogniw blaszek o dwóch odmiennych kształtach. Jedne były okrągłe, kształtu rozetek, inne wydłużone wgięte. Wszystkie zaopatrzone były w otworki do przewlekania. Krótkie rękawy sukni przyozdobione były w rzędy złotych blaszek, w rodzaju trójkątów, zwanych wilczemi zębami, wchodzących jeden w drugi, ostremi końcami wdół. Dziurki na tej ornamentacji wskazywały, że były one przymocowane do krótkich rękawów sukni. Na całej szacie było ponaszywanych symetrycznie w desenie około 390 złotych okrągłych ozdób w rodzaju rozetek ażurowych różnej wielkości. Na wszystkich prawie palcach rąk złote

pierścienie, w paru z nich wprawione złote monety z wyobrażeniem Boga Pana, — patrona Pantykapei, kolonji greckiej nad brzegiem Morza Czarnego (około dzisiejszej Kerczi). Na drugiej stronie miały wyryty herb gryf. Monety te były tem cenniejszym nabytkiem, gdyż określały wiek wykopaliska. Mogły one być bite od r. 650 do 480 przed Nar. Chr. Znalazły się też dwa sygnety, na jednym z nich był wycięty łuk, nałucze i kołczan, symbol spotykany często na medalach i monetach pantykapejskich, na drugim gryf lub pegaz; trzy obrączki gładkie z przynitowanemi cyną do złota grubo i nieumiejętnie ozdobami, wskazującemi, że coprawda pierścienie pochodziły od narodu o wyższej kulturze, lecz ci, co je poprawiali, byli barbarzyńcami. Ponadto był jeden pierścionek na małym palcu, amuletowy z osadzonym w obrączce na drucikach kawałkiem wapienia, mającego kształt spłaszczonego paciorka. Na rękach były bransolety, na jednej srebrna z kręconego grubego drutu, zwiniętego spiralnie o 4 skrętach, zakończona niewielkiemi guzikami z zatartą na nich ornamentyką, podobna do bransolet bronzowych, noszonych dziś jeszcze przez niektóre ludy; druga była złota. Na nogach były kółka srebrne, może dla podtrzymywania długich szat.

Kiedyśmy z Ossowskim, siedząc w katakumbie, z pomocą kilku robotników oczyszczali wydobyte z ziemi kilkaset złotych przedmiotów, noc już zapadała i księżyc oświecał nas swemi jasnemi promienami. Korzystając z półmroku i pośpiechu, z jakim pracowaliśmy, udało się robotnikom niektóre cenne, a w kilku okazach znalezione, przedmioty zatrzymać. Część jednak zdołaliśmy, strasząc ich, odebrać. Na kurhanie przy drodze zgromadziło się wielu ciekawych, przejeżdżających drogą. Kurhan ryżanowski budową katakumby i charakterem znalezisk przypominał wielce kurhany dolnego porzecza Dniepru i krymskie. Wszystkie one należały zapewnie do koczującego narodu Scytów, żyjącego na stepach południ. Rosji, na pięć wieków przed Chr., a kurhan ryżanowski był tem ciekawszy, że wykazał siedliska Scytów tak daleko posunięte na północ. Naród ten barbarzyński przez handel lub rabunek zdobywał w kolonjach Morza Czarnego przedmioty najświetniejszego rozkwitu Grecji. Obok wysoko rozwiniętej sztuki występują tu nieliczne dowody kultu pierwotnego. W sztuce tej z kompozycyjnego rysunku, techniki, symboli monet pantykapejskich przebija wyraźnie piętno wpływu dalekiego Wschodu (Asyrji i Arabji). Nieliczne zaledwie wyroby należały do zabytków grubego jeszcze rzemiosła scytyjskiego. Połączenie sprzecznych pod względem gustu i wyrobu zabytków wykazało, że zmarła była Scytką, wyjątkowe zaś bogactwo i przepych w stroju,

insygnia i diadem pozwoliły przypuszczać, iż należała do rodu królewskiego, mogła być córką, lub niewolnicą panującego. Moje pierwsze badania antropologiczne dały bardzo skąpe wywody. Szkielet należał do kobiety młodej, niskiego wzrostu o wątłej budowie. Nie ujmując Ossowskiemu jego wielkich zasług, jako badaczowi, zapału i pracowitości, należy przyznać, że miał słabą stronę — wielką ambicję i chęć błyszczenia. Otóż i w danym razie, jakkolwiek sam wypowiedział się, że należy, wobec doniosłości naukowej znaleziska, zachować do czasu ścisłą tajemnicę, ażeby nie ściągnąć prześladowania władz, zwłaszcza na mnie za pośrednictwo w wywożeniu zabytków archeologicznych zagranicę, nie posiadał się z radości, że odkrycie związane będzie z jego imieniem i nietylko nie skrywał, lecz wszystkim o niem rozgłaszał. Nie byłem w stanie wstrzymać go od tego. Rozkopywaliśmy jeszcze inne kurhany, przyczem zacząłem wprawiać się w opisywanie i dokonywanie pomiarów szczątków ludzkich.

Wracając do Krakowa, Ossowski chciał zajechać na Ukrainie do kilku bardziej znanych uczonych, aby im pokazać znaleziska i namówił mię, abym mu towarzyszył . Udaliśmy się na początek do Edwarda Rulikowskiego, zasłużonego badacza Ukrainy, który zamieszkiwał wówczas w majątku znacznie starszego od siebie brata przyrodniego Edmunda, marszałka szlachty z wyborów i honorowego kuratora Gimnazjum Białocerkiewskiego. Podobne imiona braci, były nieraz powodem nieporozumień. Edmund przez pomyłkę został zaszczycony tytułem kuratora, zamiast Edwarda, wybitnego historyka, za prace historyczne o kolonizacji szlachty na Rusi, wysoko cenione przez uczonych rosyjskich. Śmierć Edmunda mylnie przyjęta była za śmierć Edwarda i t. d. Potem zboczyliśmy do Białocerkwi, aby odwiedzić zamieszkałego we wsi Stanisławce staruszka Witkowskiego, dawnego farmaceutę, wówczas dzierżawcę majątku. Interesował się on archeologją. Ossowski miał zamiar przez niego prosić hrabinę Branicką, by dała środki na badania, które zamierzał rozpocząć w jej dobrach. W Kijowie wstąpiliśmy do prof. W. Antonowicza, któremu Ossowski pokazywał wykopaliska i bardzo go zainteresował jako znawcę. Antonowicz, znany ze swej niechęci do Polaków, jako zawistny archeolog, mógł był łatwo wyzyskać wielomóstwo mego towarzysza, lecz zachował się bardzo poprawnie. Rozstając się z Ossowskim, omówiliśmy warunki, na jakich jako ofiarodawca złożyłem w darze Akademji wykopaliska ryżanowskie. Akademja obowiązana jest opublikować w osobnem wydaniu opis tych wykopalisk; w razie, gdyby przestała istnieć jako instytucja narodowa polska, skarb ryżanowski powinien wrócić do właściciela ziemi Jędrzeja Hryncewicza, lub do jego spad-

kobierców. W parę tygodni po wyjeździe Ossowskiego, dzienniki warszawskie podały wiadomość o wykopaliskach wywożonych przez niego do Krakowa i o tem, że w rozmaitych redakcjach i na zebraniach pokazywał je, a jeden z literatów zdążył nawet wydrukować jakąś powieść na tle nadzwyczajnych odkryć Ossowskiego. Uspokoiłem się dopiero wtedy, gdy się dowiedziałem, że wreszcie wykopaliska znajdują się w Krakowie. Wkrótce po wielkiem podnieceniu nastąpiły oczekiwane i strony ujemne. Półurzędowy organ miejscowy „Kijewlanin" w noworocznym numerze 1888 r. umieścił feljeton humorystyczny o pochodzie Austrjaków na Rosję po złote runo. Artykuł ten oskarżał mnie, że brałem w tem czynny udział. „A co nasi czynownicy zwinogrodzcy wówczas robili, zapytuje, kiedy doktór wydawał skarb narodowy? W karty grali i wódeczkę popijali, a policja spała". Wzywał więc władze, aby tę sprawę wyświetliły. Niedługo policja z rozporządzenia gubernatora indagowała mnie w sprawie wykopalisk ryżanowskich. Odpowiedziałem stosownie do poufnej rady tej samej policji, że o niczem nie wiem, a przy powtórnem badaniu, również odpowiedziałem wymijająco. Widząc, że nie mogą mnie prawnie pociągnąć do odpowiedzialności wobec tego, że wywożenie zabytków zagranicę wzbronione nie było, postanowiono mię szykanować. Z rozporządzenia gubernatora opieka szlachecka w imieniu małoletniego, na gruncie którego znalezione zostało wykopalisko, wytoczyła mi proces. Chociaż wiedziałem zgóry, że proces jest bezprzedmiotowy, nie byłem pewny, czy nie będzie mnie dalej niepokoić policja, tem więcej, że sam proces był rozpoczęty pod naciskiem administracji. Dostałem przeto od właściwych opiekunów małoletniego dokument, że badania kurhanu były robione przeze mnie za ich wiedzą, że o znaleziskach są dokładnie poinformowani i że za złożenie w zbiorach Akademji Umiejętności w Krakowie nie mają do mnie żadnej pretensji. Chodziło mi teraz tylko o to, by ktoś stanął w mojej obronie wobec administracji miejscowej. Byłem pewny, że tego najlepiej dokona urzędowy przedstawiciel nauki, stojący po za fiskalizmem administracji. Niestety omyliłem się. Hr. Aleksiej Aleksandrowicz Bobrinskij, prezes Cesarskiej Komisji Archeologicznej, do którego się udałem, był kustoszem państwowym i namiętnie oddawał się poszukiwaniom archeologicznym, spędzając lato w swych dobrach ukraińskich w Śmile, dokąd przyjeżdżał z Petersburga. Wysłałem doń telegram, że w sprawie naukowej chcę się z nim widzieć. Otrzymałem zaproszenie do przybycia. Ponieważ lekarzem majątku jego był Polak, młody lekarz Bolewski, z nim razem poszliśmy do hrabiego. Ofiarowałem mu wspaniałe ogromne fotografje krakowskie Szuberta, da-

jące wyborne pojęcie o znaleziskach ryżanowskich, opowiedziałem ich historję, zaznaczając przytem, że wyratowałem je z niepowołanych rąk chłopskich i żydowskich. Bobrinskij był o lat kilka młodszy ode mnie, niskiego wzrostu, ciemny brunet z nosem jastrzębim, żywy. Miał typ istnego Francuza. Zainteresowało go nadzwyczaj moje opowiadanie i wykopaliska, lecz zarazem ogarnęła zazdrość, że, rozkopawszy kilkaset mogił i wydawszy na nie wiele pieniędzy, nic podobnego nie znalazł, moje zaś pierwsze występy uwieńczone zostały tak bogatym plonem. Wiesz pan co, mówił Bobrinskij, za to jedno wykopalisko oddałbym wszystkie, jakie posiadam. Że dostało się ono do Krakowa to dobrze, nie wątpię, że tam je potrafią uszanować, opiszą i przechowają, lecz nas Rosjan to głęboko dotyka, że w naszym kraju nie zostały i nie wiem, coby rzekł na to Najjaśniejszy Pan, gdyby się dowiedział. Dałbym za to wykopalisko 10, 15, nawet 20 tysięcy rubli, a ile pan za nie otrzymałeś? Odrzuciłem mu na to, że nic. Jakto nic, zawołał ze dziwieniem, to przecież stanowi fundusz dla niejednego! Patrzyłem na to wykopalisko, odparłem, z punktu widzenia naukowego, a nie kupieckiego, i nie przyszło mi do głowy, ani na chwilę go spieniężać. Potem, chcąc miłe słówko rzucić Bobrinskiemu, dodałem, że jeżeli kiedy podobnie cenne znalezisko znajdę, złożę je prezesowi komisji archeologicznej. Liczyłem na to, że będę miał w Bobrinskim obrońcę, tymczasem zdobyłem podżegacza. Zapytany przez sąd, musiałem zeznać, że wprawdzie znalazłem i nabyłem nieco garnków i innych przedmiotów od chłopów, lecz, uważając je za bezwartościowe, oddałem je Ossowskiemu. Hr. Bobrinskij, jako świadek, na podstawie widzianych fotografij, ocenił wartość wykopalisk na 7,500 rubli, a ponieważ opieka szlachecka wytoczyła mi proces za ograbienie małoletniego, więc według prawa musiałbym mu zwrócić trzykrotną sumę, tj. 22.500 rubli. Wszystkie opieki małoletnich w Rosji szeroko słynęły ze swych nadużyć i trwonienia funduszów, im powierzanych. W danym razie opieka zwinogródzka chciała wykazać swą gorliwość w obronie małoletnich. Napisałem list do Ossowskiego do Krakowa, powiadamiając o całej sprawie, co go tak przeraziło, że nie miał odwagi więcej się w Rosji pokazywać, tem więcej, że był poddanym rosyjskim i miał nieruchomość w Żytomierzu. Proces ten toczył się lat parę. Sędzia śledczy często dawał mi różne zapytania, wkońcu z powodu braku przestępstwa, musiał się zakończyć, co nastąpiło z moim wyjazdem na Syberję. Z Bobrinskim spotkałem się po latach dwudziestu kilku w Petersburgu podczas wielkiej wojny w 1915 r. Znał on mnie dobrze z prac wieloletnich na Syberji i z urzędowej korespondencji, lecz przy spotkaniu udał, że mnie nie znał, a ja także

nie miałem potrzeby mu się przypominać. Wykopaliska ryżanowskie nabrały szerokiego rozgłosu. Ossowski doniósł mi z Krakowa, że podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa w Akademji Umiejętności przedstawiał jako osobliwość te wykopaliska, a w lat parę Cesarska Komisja Archeologiczna w Petersburgu wysłała członka, prof. Dm. Samokwasowa z Warszawy, dla zbadania drugiego wielkiego kurhanu, leżącego w odległości $^1/_4$ wiorsty od rozkopanego przeze mnie. Samokwasow zwrócił się do mnie, prosząc o wskazówki i informacje, których z chęcią udzieliłem, towarzysząc w badaniach. Ponieważ rozporządzał znacznemi środkami, udzielonemi przez komisję, rozwiózł taczkami kurhan, co kosztowało 1,800 rubli. Chodziło mu o wyjaśnienie budowy katakumby. Niestety takowej nie znalazł, grób musiał być ograbiony jeszcze w starożytności. Znalazł jedynie czaszkę bez innych kości szkieletu i bez żadnych przedmiotów.

Kurhan ryżanowski był zachętą dla mnie do rozpoczęcia badań na polu antropologji. Dla lepszego orjentowania się praktycznego w antropometrji, pojechałem do Kijowa, gdzie udałem się do profesora Sikorskiego, znanego psychjatry, i przerobiłem z nim ważniejsze pomiary.

Po zbadaniu szczątków osteologicznych z kurhanów ukraińskich, rozpocząłem badania żywych Ukraińców i Żydów i zbieranie obszernych materjałów do mojej pracy „Lecznictwo ludowe na Rusi południowej". Była to praca oparta na znacznym materjale porównawczym innych narodów. Oprócz tego uczestniczyłem w opracowaniu wielu miejscowości do „Słownika Geograf. Królestwa Polskiego i innych krajów", wychodzącego wówczas w Warszawie. Zbierałem materjały dotyczące osadnictwa Mazurów na Rusi południ. Podjąłem się przy współudziale duchowieństwa pracy opisywania kościołów i cmentarzy na Ukrainie, rozsyłając kwestjonarjusze. Pracę tę przedsięwziąłem po porozumieniu się z czcigodnym kolegą d-rem A. J. Rollem z Kamieńca. Niestety, wyjeżdżając na Syberję i, jak sądziłem, opuszczając Ukrainę na zawsze, złożyłem te materjały u Rollego. Po krótkim czasie umarł on, a od spadkobierców już materjałów tych wydostać nie mogłem, gdyż podobno zaginęły. Szkoda to była znaczna, albowiem dziś po wielkiej wojnie i jej następstwach, kiedy kulturalną naszą pracę na Ukrainie zniszczono z kretesem, a prowincję zaległ całun śmierci, zginą wszelkie ślady kolonizacji polskiej.

ROZDZIAŁ XIII.

Pogorszenie się moich warunków materjalnych. — Długi nie z własnej winy. — Stosunki między lekarzami w Zwinogródce. — Wyjazd z tej mieściny nazawsze. — Zbieranie materjałów antropologicznych na Kresach Wschodnich i zwiedzanie wielu miejscowości. — Pobyt w Antonowie. — Zawarcie związku małżeńskiego. — Wyjazd na Syberję.

Czasy, w których zamieszkiwałem na Ukrainie, były przełomowe dla właścicieli ziemskich. Dawniej osiadłe rody marniały, wyzbywając się ziemi, która przechodziła do Rosjan, Żydów i innych czasowych aferzystów, a wkrótce po cenach kilkakrotnie wyższych była parcelowana pomiędzy chłopów. Tymczasem drobni oficjaliści mając małe potrzeby życiowe, brali dzierżawę często za pożyczone pieniądze i dorabiali się funduszów iście po amerykańsku. Wystarczało szczęśliwie trafić na kilka lat pomyślnych, a czasem przetrzymać złe lata. Żydzi zazwyczaj chętnie udzielali kredytu, gwarantując sobie wzamian zboże i weksle na kilka lat. Najwięcej ryzykował, ale też i najwięcej zarabiał Żyd, a dzierżawca stawał się jakby jego parobkiem. W latach późniejszych, kiedy rząd ograniczył prawa Żydów nawet co do kupna zboża na pniu, wynaleźli oni inne sposoby wyzysku, zawierając umowy na imię chrześcijan.

Mniejsze folwarki szczególnie w kolokacjach stopniowo podupadały z powodu zadłużenia, braku taniego kredytu, życia nad stan, marnotrawstwa, i wreszcie stopniowo ziemia była sprzedawana chłopom. Tymczasem Żydzi ciągnęli znaczne zyski z lichwiarskich procentów i w krótkim czasie dochodzili do fortuny. Jednym z takich w okolicy był znany Fajwel Kahan z Łysianki. Początkowo faktor jenerała Kaznakowa, któremu Łysiankę najpierw skonfiskowano, a później zwrócono. Kaznakow, jak i większość obywateli Rosjan, roli nie pilnował, urzędując w Rosji, Kahan był wszechwładnym jego plenipotentem, a ponadto współwłaścicielem gorzelni, browarów i cukrow-

ni. Miał on kilku synów i każdy z nich prowadził na własną rękę interesy, choć na mniejszą skalę. Stworzona przez Fajwela dynastja Kahanów, jak pająki oplotła swą pajęczyną całą okolicę. Synowie podzielili pomiędzy siebie rejony swoich zajęć i wpływów. Ryżanówka była terenem działalności braci Nachima i Lejbisza Kahanów, u których znacznie się zadłużyli moi krewni. Ratując ich z sideł Kahanowskich, dałem się nieopatrznie wciągnąć również w długi. Uważali oni za deskę ratunku wzięcie dzierżawy paru folwarków w domenach państwowych. Cały szereg klęsk, jak zła administracja, nieurodzaje, pomór bydła, podpalenie z zemsty przez chłopów, przyczynił się do jeszcze większego ich zadłużenia i już w drugim roku, wciągnięty w ich sprawy majątkowe, jako poręczyciel utraciłem dom w mieście z ogrodem, gotówkę, jaką posiadałem, i pozostałem z długami, które wraz z procentami musiałem przez lat kilka spłacać. Gorsza, że przez trzy lata musiałem mieć procesy sądowe, otrzymywać pozwy i wyroki, konferować w sprawach zupełnie dla mnie obcych, wysłuchiwać groźby ekzekucji, straszyć Żydów sądami rabinów, wreszcie słuchać ich kłótni pomiędzy sobą i różnych szykan mnie wyrządzanych. Silna i znakomicie zorganizowana służba szpiegowska Kahanów śledziła wszędzie moje kroki, w sądzie, u notarjusza, lub u innych Żydów. Nie mogłem nigdzie zaciągnąć pożyczki, by się uwolnić od nich, gdyż wszyscy, nawet notarjusz i urzędnicy obawiali się potężnych ich wpływów. Kiedy po trzech latach walk z ciężkiemi okolicznościami, straciwszy wszystko, mogłem spokojnie zająć się pracą, czułem się bardzo szczęśliwy, zapominając to, co przeżyłem.

* * *

W takich to ciężkich warunkach uprawiałem swą praktykę lekarską, która się nadomiar znacznie zmniejszyła, a zarobiony grosz szedł na życie lub na spłatę procentów za długi. We wszystkich dolegliwościach jedyne zapomnienie znajdowałem wieczorami i w nocy, siedząc nad obliczaniem liczb w pracach moich antropologicznych i przenosząc się myślą w dziedzinę abstrakcji.

W tym czasie osiadł w Zwinogródce, po ukończeniu studjów, młody lekarz, Żyd, Filitz, żonaty z krewną jednego z miejscowych kupców ortodoksów, i rozpoczął praktykę. Chcąc zjednać sobie Żydów, zachowywał wszystkie zwyczaje ich, nie jeździł w szabas, uczęszczał do synagogi i t. d. Takie postępowanie, skierowane przedewszystkiem przeciw Warschauerowi, również Żydowi, nie było uczciwym środkiem konkurencyjnym w praktyce lekarskiej. Stosunek obu lekarzy tak się zaostrzył, że Warschauer, spotykając się z Filitzem nie

podawał mu ręki i nie chciał z nim odbywać konsyljów. Warschauer był wielkim judofilem i przeciwnikiem wychrzczenia się, a jednak gdy nie chciano przyjąć jego dzieci do szkół, obu synów wychrzcił, jak się o tem dowiedziałem. W kilka miesięcy potem nie spostrzegałem, aby dzieci odczuwały rzekomy gwałt, zadany im przez ojca. Gorliwie uczęszczały do cerkwi, żegnając się, wybijając pokłony i całując ręce popom, co ich zresztą bardzo bawiło.

Utworzono wówczas nową posadę lekarza wiejskiego dla leczenia włościan; ponieważ jednak było ich około 185 tysięcy, pomoc była raczej fikcyjna. Posadę tę objął Radeckij. Był to popowicz, wychowanek duchownego seminarjum, człowiek o małej inteligencji, nieuk w sprawach lekarskich, suchy urzędnik, formalista, daleki od wszelkich uczuć altruistycznych.

W czasach, kiedy miałem najwięcej osobistych przykrości i kłopotów, zdarzył mi się przykry wypadek w praktyce, który przepełnił czarę moich goryczy. Wypadek ten jednak był tylko wynikiem smutnych okoliczności, za które brać na siebie odpowiedzialności nie mogłem. Oto zostałem wezwany do mieszczanki o parę wiorst od miasta, która piątą dobę urodzić nie mogła. Chora była wieloródką lat czterdziestu kilku. Dziecko było nieżywe, w położeniu skośnem, z wypadnięciem rączki. Bóle porodowe ustały, z części rodnych wydzielał się płyn cuchnący, tętno było słabe. Należało ratować matkę przez rychłe usunięcie rozkładającego się płodu. Czasu nie można było tracić. Nie było możności sprowadzić kolegę do pomocy z powodu odległości i złego stanu chorej. Musiałem więc przystąpić sam do operacji wydobycia dziecka, mając do pomocy tylko położną, zresztą najlepszą, jaka była w mieście, Grigorjewą, bardzo obowiązkową i ściśle spełniającą wszelkie rozkazy lekarza. Warunki, w jakich znajdowała się chora, były fatalne. Nie pierwszy to raz wprawdzie trzeba było nieść pomoc w takich warunkach. Izdebka była szczupła i ciemna, trudno w niej było się poruszyć. Zrobiłem operację według prawideł sztuki, zrobiłem obrót na nóżki, wyciągnąłem całe ciało dziecka prócz główki, która uwięzła w miejscu pęknięcia pochwy do jamy brzusznej i nie można było jej wydobyć. Zmuszony byłem dokonać operacji odcięcia główki (decapitatio), lecz wśliznęła się ona do jamy brzusznej i pomimo mozolnych zabiegów nie mogłem jej uwolnić, poczem odjechałem. Nazajutrz rano chora zmarła. Pop wezwany na pogrzeb, zamiast zwrócenia się do mnie o świadectwo przyczyny zejścia, nie chciał zmarłej grzebać i kazał powiadomić policję, aby przy sposobności *„prouczit' palacziszku"*. Policja zapytała mnie o wyjaśnienie, a późniejsza obdukcja, na którą wezwano Warschauera i Radeckie-

go, stwierdziła słuszność moich słów, lecz ponieważ różniły się zdania obu lekarzy co do potrzeby przedsięwzięcia operacji, sprawę przekazano do sądu. Warschauer zgadzał się z moim wnioskiem, że należało dokonać operacji. Radeckij uważał ją za śmieszną, niepotrzebną i szkodliwą. Prokuratura wprowadzona w taką niepewność, zasięgnęła opinji ówczesnego profesora położnictwa w Kijowie, Rejna, późniejszego znanego nacjonalistę w Petersburgu. Ten nad całą sprawą rozwiódł się bardzo długo. Twierdził, że przedsięwziąć operację, pomimo słabej nadziei uratowania położnicy, było obowiązkiem lekarza, a nadto przytoczył kilka przykładów analogicznych operacyj, dokonanych przez przedniejszych położników Petersburga w warunkach najlepszych, bo mieli pod ręką cały arsenał narzędzi i środków. Mimo to przypadki te zakończyły się śmiertelnie. Prokuratura w orzeczeniu profesora Rejna widziała tylko chęć obrony lekarza przed odpowiedzialnością sądową i przesłała sprawę do orzeczenia naukowemu komitetowi lekarskiemu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Referował ją akuszer Dworu Leiden. Opinja tego uczonego nietylko wypadła dla mnie pomyślnie, lecz na jego wniosek komitet uchwalił ostrą naganę Radeckiemu z wniesieniem do formularza służbowego za to, że czy to skutkiem nieświadomości w rzeczach lekarskich, czy celem zaszkodzenia koledze, wprowadził w błąd niekompetentne w tych sprawach sądownictwo. Udzielił mi tej wiadomości znany psychjatra prof. J. Mierzejewski, kiedym był w Peterburgu, udając się na Syberję.

W czasie moich ciężkich przejść materjalnych zaszedł w Zwinogródce wypadek mordu, który w głuchej i cichej mieścinie wywołał wielkie przerażenie. Zamieszkiwała tu żydowska rodzina Zwonickich, nie tyle bogata, ile znana ze swego pochodzenia rabińskiego, prawowierności, ściśle przytrzymująca się talmudu. Zachowali dawne stroje, nosili długie pejsy i brody, na głowie jarmułki, na nogach pończochy. Jeden z braci trudnił się faktorstwem i lichwą, drugi starszy, ojciec licznej rodziny, wykształcony na talmudzie, po rosyjsku mówił źle, uprawiał wyłącznie proceder lichwiarski, biorąc zastawy od chłopów: świty, kożuchy, chustki, różne ubrania, buty, srebra stołowe, ruble srebrne, dukaty złote węgierskie, korale noszone przez kobiety i t. d. W domu Zwonickich stale leczyłem, znałem przeto blisko ich byt rodzinny. Podobnie jak i inni prawowierni chasydzi, do życia praktycznego przygotowywali tylko córki, uczyli je po rosyjsku, ubierali i nadawali im pozór wyglądu europejskiego, synów odwrotnie, strzegli od wpływów cywilizacyjnych, wychowując na ortodoksów. Starszy z synów, Wolko, miał lat 22, kiedym go poznał.

Był żonaty, miał dziecko, mieszkał na Podolu w Olgopolu przy rodzinie żony, zajmując się handlem. Ponieważ cała rodzina Zwonickich miała jaglicę, zgłaszała się codziennie do mnie dla leczenia, a w jej liczbie przybył i Wolko. Nie władając prawie po rosyjsku, wywnętrzał się przede mną, że byłby najszczęśliwszy, gdyby się mógł uczyć. Uderzyło mnie jego zamiłowanie do wiedzy. Opowiadał jak, śpiąc w jednym pokoju z rodzicami, a nie mogąc w dzień się uczyć, w nocy wykradał się do sąsiedniego pokoju, gdzie przy świetle szabasówki uczył się po rosyjsku i niemiecku. Prosił mnie o książki lekarskie. Wytłumaczyłem mu, że bez poprzedniego przygotowania, książek takich nie zrozumie i że trzeba rozpoczynać od alfabetu. Po niejakim czasie zwierzył mi się, że ma zamiar rzucić rodziców, żonę, dziecko i chce przygotowywać się do egzaminu dojrzałości. Wątpiłem, aby to doprowadził do skutku. Straciłem go z oczu i dopiero po roku, lub później dowiedziałem się od starej Zwonickiej, że opuścił swą rodzinę i przystał do gojów, co według pojęć Żydów ortodoksalnych było zbrodnią. W ciągu lat dwóch przygotował się do egzaminu dojrzałości, a gdy nie udało mu się zdać w Kijowie, stanął potwórnie w Odesie. Po paru latach pobytu na wydziale prawa, znalazłszy wśród współwyznawców opiekunów i protektorów, ten bądź co bądź niepospolity człowiek, zdał egzamin na kandydata prawa. Wówczas przyjechał do rodziców, rozwiódł się z żoną i znalazł inną bogatą. Przyszedł do mnie ubrany po europejsku z modnie rozczesaną brodą po angielsku, w ciemnych okularach. Ze zdumieniem poznałem w nim w nim dawnego chałatowego, pejsatego Wolkę. Opowiadał, jak przeszedł całą mądrość szkolną i skończył studja prawne, dodając, że ma zamiar poświęcić się historji prawa narodu żydowskiego. Winszowałem mu wytrwałości i pracy, podziwiałem jego siłę woli. Lecz ten genjalny na pozór człowiek, który zdobył sobie wiedzę na pokaz, a nie przez systematyczną długich lat pracę, nie zrobił na mnie dodatniego wrażenia, raczej karjerowicza. Nie omyliłem się. Osiadł on w Humaniu, lecz będąc Żydem nie został przyjęty jako obrońca przysięgły sądowy, tylko bronił różnych spraw prywatnie. Zapomniał prędko o swych dążnościach naukowych, a podejmował się obrony różnych fałszerzy i złodziei, zwracał się nieraz do sędziów przysięgłych z pewnym cynizmem w imię uczuć chrześcijańskich. Raz wydałem świadectwo o chorobie pewnej znajomej, co było niedogodne dla jego klienta Żyda. Zwonicki miał śmiałość do mnie się zwrócić i uczynić mi wzmiankę, że mógłby mię pociągnąć do odpowiedzialności za wydanie świadectwa lekarskiego. W grzeczny sposób wyprosiłem go za drzwi, poczem więcej się już nie pokazywał.

Wkrótce zaszedł straszny mord w domu jego rodziców w Zwinogródce. Zauważono, że w domu Zwonickich rano z piątku na sobotę drzwi i okiennice były długo zamknięte. Wezwano policję, która, wyłamawszy drzwi, znalazła w kuchni zamordowaną żydówkę kucharkę; w sypialnym zaś pokoju musiała odbywać się długa walka pomiędzy napadającymi a starym Zwonickim. Miał on na ciele wiele ran, okrwawione ręce, na palcach włosy z przyschniętą krwią i roztrzaskaną toporem czaszkę. Żona jego leżała na podłodze w kałuży krwi z włosami przywiązanemi do nogi łóżka i z mnóstwem ran na ciele.

Wolko Zwonicki, przezywający teraz siebie Włodzimierzem, dowiedziawszy się o śmierci rodziców, przez cały tydzień poszukiwał z policją zbrodniarzy, obiecując 500 rubli nagrody temu, kto ich odszuka, lecz na trop winnych nie natrafiono. Przypuszczano tylko, że tu grała rolę nie tylko chęć grabieży, ile dzika zemsta.

* * *

Kiedy po utracie całego swego mienia, mając lat 40, rozpocząłem budować sobie nowe życie, po zimnem rozważeniu wszystkich okoliczności postanowiłem opuścić Ukrainę. Lecz co dalej robić? Pierwszą rzeczą było znaleźć narazie sposób do życia i zajęcie, któreby odpowiadało nie tylko moim kwalifikacjom, lecz i usposobieniu.

Ogłosiłem już kilka prac antropologicznych, więc na polu nauki u nas mało uprawianem, a opracowanie materjałów, szczególnie obliczenia, były dla mnie kojącym balsamem i ratowały od rozpaczy, przenosząc w świat idealny, wyższy, niż ten wśród którego żyłem. Miałem już nawiązane stosunki z wielu rosyjskimi uczonymi w Petersburgu i Moskwie i z niemieckimi, a szczególnie z Izydorem Kopernickim w Krakowie, który po wyjściu na emigrację tułał się po Europie, a później od r. 1871 osiadł w Krakowie, habilitował się tam w r. 1877 jako pierwszy docent prywatny antropologji i tam ten przedmiot wykładał. Przechowuję długoletnią z nim korespondencję, która pozwoliła mi poznać jego jako człowieka i uczonego miary niepośledniej. Czując upadek sił i nie wróżąc sobie długiego życia, Kopernicki namawiał mnie gorąco, ażebym nostryfikował swój dyplom rosyjski i habilitował się jako docent prywatny antropologji w Krakowie, licząc na to, że w przyszłości uzyskam prawo obywatelstwa i otrzymam katedrę. Dla przyszłego zakładu Kopernicki zapisał swój piękny zbiór antropologiczny, tworząc tem jego podstawę. Niestety, w ówczesnem swem położeniu nie mogłem pójść za tak zaszczytnem dla mnie wezwaniem.

Od roku przeszło miałem też propozycję wyjazdu do Ameryki, do Chicago, gdzie mnie wzywał niejaki Kossakowski, rodem z Kowieńskiego, farmaceuta, mający aptekę i jednocześnie praktykujący jako lekarz, człowiek starszy i schorowany. Szukał on kogoś, komuby mógł oddać swoją praktykę lekarską. Życie amerykańskie nawpół geszefciarskie nie odpowiadało memu usposobieniu, tem więcej, że wyjazd do Ameryki był równoznaczący z zerwaniem z Europą, i co gorzej z krajem.

Wybrałem w końcu wyjazd na Syberję, która mnie więcej nęciła ze względu na badania antropologiczne. Już wówczas bowiem przypisywałem wielkie znaczenie wpływom rasy fińskiej i mongolskiej na Wschodnią Europę i na wytworzenie typu naszego. Dalsze moje badania utwierdziły mnie w tem przekonaniu. Toć z Azji wschodniej i zachodniej szły odwieczne wędrówki narodów na południe i zachód Europy, wytwarzając nieustannie zmieniający się konglomerat ludów. Oprócz tego chciałem poznać Syberję, jako ziemię, po której przez półtorasta lat wędrowały całe pokolenia naszych wygnańców, zostawiając po sobie świetlane szlaki. Na Syberji pierwsi nasi badacze, odsłaniając tajemnice przyrody, unieśmiertelnili swe imiona, jak Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski. Chciałem i ja, idąc w ich ślady, rozpocząć po raz pierwszy fizyczne badania człowieka na Wschodzie i jego wczesnej kultury. W tym celu postanowiłem postarać się o jakąbądź posadę rządową lekarską na Syberji, aby móc spłacić długi i zająć się pracą naukową.

Ponieważ badania antropologiczne i u nas w kraju nie były prawie dokonywane, postanowiłem na ten cel poświęcić kilka miesięcy i przejechać cały pas naszych wschodnich kresów z południa na północ. Ukraińcy byli już uwzględnieni w pierwszej mojej antropologicznej monografji. Przedstawiłem myśl moją Kopernickiemu i prosiłem go o poparcie, tem więcej, że przed udaniem się na Syberję koszta były mniejsze, niż w razie przyjazdu umyślnego. Kopernicki gorąco to wziął do serca. Akademja Umiejętności w Krakowie udzieliła mi na ten cel drobnej subwencji i list otwarty prezesa, J. Majera, polecający mnie rodakom. Dla otrzymania pewnej rekomendacji od władz rosyjskich zwróciłem się z prośbą do Petersburga, nadto napisałem kilkadziesiąt listów do rozmaitych osób, obywateli, dzierżawców i księży, oznaczając mniej więcej czas mego przyjazdu na badania i prosząc o ułatwienie. Większość odniosła się bardzo życzliwie, a jedni mnie polecali drugim. Wówczas, ułożywszy plan pracy, wyruszyłem w drogę. Opuszczając Ukrainę napisałem kilka pożegnalnych wyrazów do kolegów literatów rozproszonych po kresach na-

szych wschodnich, z którymi utrzymywałem łączność, więc do Edwarda Rulikowskiego, zasłużonego historyka, Michała Korowaj Metelickiego w Czehryńskiem, utalentowanego, a przedwcześnie zmarłego poety, Czesława Neymana w Winnicy, próbującego swych sił na polu literatury, d-ra A. J. Rollego w Kamieńcu, który mnie żegnał w rzewnych słowach, do Aleksandra Jelskiego, niezmordowanego pracownika w Zamościu pod Mińskiem, do Zygmunta Glogera w Jeżewie, Jana Karłowicza w Lidzkiem, Elizy Orzeszkowej w Grodnie i innych. Do niektórych wstępowałem po drodze w mojej wędrówce, poświęconej badaniom. Gdy teraz, po latach przeszło 30, wspominam Ukrainę, nie poznałbym tych wsi bogatych z wybielonemi chatami wśród ogrodów wiśniowych, gdzie obecnie lud wymiera z głodu, a dawne dwory zrównano z ziemią. Zginęły one po najściu bolszewickiem, podobnie, jak niegdyś po najściu dzikich hord tatarsko - mongolskich. Zamiast zapewnienia szczęścia, rewolucja przyniosła ludowi tylko ruinę. Z całego serca można obecnie zawołać z poetą:

„I smutno, pusto, tęskno, jak gdy szczęście minie,
I smutno, pusto, tęskno w bujnej Ukrainie!"

* * *

Szczupłe kółko Polaków, w którem żyłem w Zwinogródce, zebrało się u Gackiego, aby mnie pożegnać. Działo się to w pierwszych dniach lutego 1891 r. Byli wśród nich i proboszcz ówczesny, ks. Komarnicki, stary aptekarz Sawicki, major Sztejn i geometra Ostrzyński. Po spożyciu wspólnej wieczerzy i serdecznych słowach otuchy od przyjaciół siadałem o północy do pocztowego wózka z małym tłumoczkiem w ręku, o wiele lżejszym niż przed 15 laty, kiedym po skończeniu uniwersytetu tu przybywał. Wśród śnieżnej zamieci kończącej się zimy ukraińskiej, saniami, które razem z końmi grzęzły w kopnym śniegu, podjeżdżałem do krańcowej stacji kolejowej Szpoły. Znalazłszy się w wagonie, gdy pociąg ruszył, odetchnąłem swobodniej, czując się odrodzonym po ostatnich kilkoletnich tarapatach zwinogródzkich, ciesząc się, że nie ujrzę więcej nigdy wstrętnych twarzy Kahanów, Zwonickich...

W Kijowie doznałem ciepła rodzinnego w domu mej siostry przyrodniej Jakubowskiej i jej męża. Z kolegów moich w 15 lat po skończeniu uniwersytetu spotkałem w Kijowie tylko paru, inni rozpierzchli się po świecie. Pułkownik Żyrkiewicz, mąż mojej znajomej z okolic Zwinogródki, ułatwił mi badanie antropologiczne Czuwaszów, których

wiele służyło w jego pułku. Ci nadwołżańscy mieszkańcy są uważani za szczątki pozostałych Bułgarów i jak badania moje wykazały, są mieszańcami Finów z Tatarami.

W pierwszych dniach marca w ogromną zamieć śnieżną opuściłem Kijów. Pierwszą placówką moich badań było Wołyńskie Polesie w Rówieńskiem, gdzie w Wysocku ze swym bratem Antonim, myśliwym i zamiłowanym ornitologiem, zamieszkiwał Edward Rulikowski. Znałem go już przedtem. Utrzymywaliśmy ze sobą stosunki. Raz będąc w Kijowie, przeczytałem w „Zaria" długi artykuł poświęcony pamięci Edwarda Rulikowskiego. Opłakawszy nieboszczyka, spotykam kogoś ze znajomych i dowiaduję się ze zdziwieniem, że jest on w Kijowie i mieszka na Kreszczatyku, w hotelu utrzymanym przez wdowę po Olszańskim, skazanym na śmierć w r. 1863. Zastałem go niedomagającym, miał nieżyt krtani i nie wychodził. Okazało się, że to umarł brat jego Edmund. Na prośbę jego przyniosłem nekrolog, który za życia przeczytał. Miał on wówczas lat około 80, był wysokiego wzrostu, brunet, rzadko gdzie niegdzie na głowie przebijał mu włos siwy; chodził wyprostowany i trzymał się doskonale. Twarz miał poważną, oczy zamyślone, w dal patrzące, całą postawę jakby wyjętą z ram starego historycznego portretu. Gałąź Rulikowskich, pochodząca z Królestwa, osiadła na Ukrainie, wyprowadzała się po kądzieli od znanego wojewody kijowskiego Aksaka. Babką Rulikowskiego była Borejkówna, dziedziczka wielkiej fortuny. Po niej bracia Rulikowscy otrzymali Wysock na Polesiu, wygrawszy wielki proces, z powodu którego Edward przesiadywał długi czas w Petersburgu, prowadząc jednocześnie swe mozolne badania archiwalne. Na dobrach tych ciążyły znaczne długi, co przyczyniało dużo kłopotów. Niska miejscowość, lasy i moczary były pokryte wodą i od stacji kolejowej aż do furtki ogrodowej płynęliśmy wiorst kilka wielką łódką pomiędzy drzewami i zaroślami. W Wysocku zebrałem sporo antropologicznego materjału. Poznałem tu starego parocha Antonowicza, ex-unitę, który pozostawał w dobrych stosunkach z dworem, co było dosyć rzadkiem na owe czasy zjawiskiem. W rodzinie Antonowicza mówiono więcej po polsku, był on ojcem ówczesnego finansisty profesora Uniwersytetu w Kijowie. Z Wysocka pojechałem do przyległego Polesia mińskiego, południowej części pow. Pińskiego, wydartej błotom i bagnom nad Jasiołdą, a stanowiącej oazę kulturalną, stworzoną przez stare rody szlacheckie tu osiadłe Skirmuntów, Twardowskich, Ordów i innych. Dworów tu było więcej, ludność gęstsza i zamożniejsza. Zatrzymałem się w Porzeczu u Aleksandra Skirmunta, najwybitniejszego przedstawiciela tamtejszego ziemiaństwa, jednego

z członków b. komisji dla uwłaszczenia włościan w r. 1863, współkolegę w pracach z zasłużonymi mińszczanami Aleksandrem Oskierką, Bronisławem Zaleskim i Włodzimierzem Spasowiczem. Poznałem tu braci p. Aleksandra, a robotnicy fabryki sukna dostarczyli mi sporo materjału dla spostrzeżeń. Byłem zdumiony pięknym typem ludności, wytworem mieszaństwa dwóch ras pokrewnych tu się krzyżujących, północnych Białorusinów i południowych Ukraińców. Byli wysokiego wzrostu, o szlachetnych i prawidłowych rysach twarzy; szczególnie dziewczęta wyróżniały się wrodzoną giętkością ruchów i wyglądem. Sprawiały wrażenie panienek z dworów szlacheckich. Żałowałem, że nie miałem możności poznać wśród zasłużonej dla kultury krajowej rodziny Skirmuntów panny Konstacji, znanej działaczki oświatowej, zamieszkałej w Pińsku u swej babki, p. Marszałkowej Ordowej. Opuszczałem tę piękną i sympatyczną okolicę, udając się do Dereszkowic, królestwa puszcz i lasów, majestatycznie nad brzegami Prypeci rozłożonych, które w energicznych rękach p. Hieronima Kiniewicza, ostatniego z wyboru marszałka Mozyrskiego, umiejętnie były eksploatowane, dając znaczne dochody z materjału drzewnego, przerabianego na tartakach, jak również z kilku wielkich gorzelni. Pojechałem stąd w Wołkowyskie do p. Józefa Ordy, pochodzącego z linji t. z. Ordów Czarnych, zamieszkałego w pięknym pałacyku w Derewiańczycach. Zawadziłem jeszcze o Słonim, gdzie byłem w niedzielę w kościele, przepełnionym modlącym się ludem ubranym z mieszczańska. Tu w fabrycznej osadzie pod miastem znalazłem parodniową gościnność w domu hr. Franciszka Pusłowskiego. Potem przez Białystok i Tykocin udałem się do Jeżewa dla zbadania małej grupy potomków dawnych Jadźwingów, wyróżniających się niskim wzrostem, krępych, o typie ciemniejszym. Ciągnęło mnie do Jeżewa jeszcze i z tego względu, że tu mieszkał mój dawny znajomy, poczciwy i sympatyczny Zygmunt Gloger. Dni kilka przebyłem w tym staropolskim dworze, a czas mi zeszedł nad wyraz przyjemnie. Uprzejmy gospodarz ułatwił mi badanie, sam towarzyszył mi wszędzie. Później oglądaliśmy jego cenne zbiory archeologiczne, przeznaczone już dla Akademji Umiejętności. Zmierzyłem czaszki kopalne, przez niego zebrane, a resztę czasu spędzałem wśród miłej rodziny. Poznałem żonę Glogera, córkę Aleksandra Jelskiego, którą niestety wkrótce utracił. Żyła jeszcze podeszła staruszka matka jego, a dom Glogerów zawierał wiele pamiątek narodowych po ojcu, który w młodości kolegował w szkołach w Białej Radziwiłłowskiej z J. I. Kraszewskim. Stąd skierowałem się do Kosina w Wołkowyskie, gdzie jako dzierżawca zamieszkiwał drugi ideowiec, Michał Federowski, za-

służony badacz białoruszczyzny i posiadacz pięknych zbiorów archeologicznych, etnograficznych, pamiątek narodowych, jak również cennych zbiorów książek i dawnych akt, na zakupno których hojnie łożył. Zamieszkując długie lata na dzierżawach w Wołkowyskiem, później w Słonimskiem, kiedy to zamożniejsze dwory szlacheckie padały bezpowrotnie, a zwyrodniała młodzież przesadzała się w utracjuszostwie, Federowski wykupował z rąk Żydów stare pergaminy, nadania i przywileje, wydawane przez królów różnym miastom i osobom, stare księgi i pamiątki narodowe, chroniąc je od zagłady. Gościli tu nieraz Karłowicz, Gloger i inni, zbierając materjały dla swoich prac. Dzięki uprzejmości gospodarza zebrałem tu sporo materjału antropometrycznego. Przejeżdżając do Niańkowa przez Nowogródek, zatrzymałem się, aby zwiedzić rodzinne miasto naszego wieszcza, kościół, w którym się modlił, dom rodziców zmieniony doniepoznania i wynajmowany przez czynownika, wreszcie górę i zamek Mendoga. Oto i wszystko, co pozostało z przeszłości w tej brudnej, wówczas żydowskiej mieścinie. Folwark Niańków dzierżawił dr. Władysław Dybowski, znany botanik, a brat znakomitego zoologa, Benedykta. Niegdyś docent w Dorpacie, kaleka i słabego zdrowia, stary kawaler, zamknął się w czterech ścianach wiejskiego dworku i tu długie lata samotnie trawił, otoczony zielnikami i książkami. Dalsza moja droga wypadła przez Mińsk, gdzie badałem jak i w innych osadach Tatarów, potem udałem się do Zamościa, do Aleksandra Jelskiego, z którym od lat wielu korespondowałem. Był to nieugięty filar naszej narodowości na kresach, który w czasach najrozpaczliwszych stał na straży interesów narodowych. Człowiek ten łączył w sobie, co u nas rzadko się zdarza, obok zalet duchowych, zapał, siłę woli, pracowitość i praktyczność. Zabierał głos w różnych sprawach. Pobudzał ludzi do pracy i czynu, dodawał nadziei i otuchy, chwaląc jednych, karcąc drugich, i samorzutnie w dzielnicy swej wysunął się na stanowisko przewodnika społecznego. Czasem się narażał ludziom, lecz cenili go wszyscy i przez lat wiele przysłuchiwali się jego słowom. Fizyczna jego budowa odpowiadała silnemu duchowi. Wzrostu był dosyć wysokiego, krępy, o wielkiej głowie, osadzonej na mocno rozrośniętych barkach. Mówił z zapałem, przyczem poruszały się jego bystre i żywe oczy. Mówiąc o kwestjach religijnych, narodowych lub politycznych, zniżał głos, a nawet szeptał i obchodził wszystkie pokoje w obawie, czy kto nie podsłuchuje, pamiętając, że czasem i ściany uszy mają. Może dzięki nadzwyczajnej ostrożności i zapobiegliwości Jelski ocalał i przetrwał prześladowanie, pomimo że brał czynny udział w życiu literackiem i społecznem, tajnie prowadził po-

litykę, mając stosunki i zagranicą, podczas zamykania kościołów lub zabierania ich na cerkwie staczał cichą walkę, porozumiewając się z Rzymem i t. d. Każdego czynownika u siebie gościnnie przyjął i nakarmił, wyświadczył mu jakąś drobną przysługę i zobowiązał, a gdzie trzeba, dał i łapówkę, zjednywając w ten sposób przyjaciół nawet w sferach rządowych. Przez lat kilkadziesiąt bezinteresownie prowadził u siebie biuro stręczeń. Oficjalista, nauczycielka domowa, szwaczka, lub służący mogli się do niego zwrócić o posadę. Żądał tylko świadectwa prowadzenia się od proboszcza, lub paru znanych osób. Miał czas i cierpliwość prowadzić długą korespondencję w sprawie swoich klientów. Niekiedy zdarzało się, że był podstępnie w błąd wprowadzony, lecz to rzecz nieunikniona. Zwracali się do Jelskiego o pracę nietylko Polacy, lecz i Rosjanie oficjaliści. Polakom dawał posady u swoich, Rosjan posyłał do Rosjan. Parę tysięcy rubli, które corocznie pochłaniała korespondencja pocztowa, czerpał ze swych zarobków literackich. Jako gorący Polak i wierzący katolik, nie był głuchy na sprawy społeczne. Podczas największego ucisku katolicyzmu w Mińszczyźnie, w czterdziestu blisko zamkniętych kościołach nie było proboszczów, nominacje dawano tylko pod warunkiem zaprowadzenia rosyjskiego języka w nabożeństwie. Zaledwie w 12 kościołach nabożeństwa się odbywały, mianowicie w tych, w których księża wbrew woli ludności przyjęli nowe rytuały w języku rosyjskim. Parafjanie wszakże od nich stronili i przez lat wiele pozostawali bez chrztów i ślubów; zamożniejsi wyjeżdżali do innych odległych parafij, niektórzy aż do Galicji, stąd wzięły początek zwane śluby krakowskie. Jelski posiadał w swym domu jeszcze z przed r. 1863 kaplicę urzędowo zamkniętą, lecz otwieraną potajemnie. Tu z dalekiej okolicy lud odbywał pielgrzymki, aby się pomodlić, a modlitwom przewodniczył sam Jelski. Przybywali tu i księża z rozmaitych miejscowości, by chrzcić i dawać śluby. Skrywał się tu nieraz znany z czasów martyrologji Mińszczyzny ks. Żyskar, któremu w krzepieniu ducha wśród narodu pomagał dziedzic Zamościa. Stan taki, jak wiadomo, trwał do czasu, aż śmiały ks. sufragan Simon, podczas nieobecności metropolity mohylewskiego ks. Kozłowskiego, zastępczo wizytując dawną diecezję mińską, samowolnie pootwierał zamknięte kościoły i poobsadzał księżmi, przywracając w części normalne stusunki. Biskup Simon naraził się tem na długoletnie wygnanie, przebywał w Rzymie, zostawszy arcybiskupem, a zakończył swe życie jako archiprezbiter kościoła P. Marji w Krakowie. Jelski przez długie lata nie opuszczał swej placówki w Zamościu, dowiadując się o wszystkiem, co się działo na prowincji, a mając sieć korespondentów i znajomych,

informował Rzym o stanie katolicyzmu w Rosji. Parę razy goszcząc w Zamościu, poznałem kilka domów sąsiednich jak również mieszkającego w drugim folwarku młodszego brata Jelskiego, Michała, znanego skrzypka, właściciela Dudzicz, starego dworu, gdzie zamieszkiwali rodzice Jelskich. Modrzewiowy w Dudziczach dom ze staroświeckiemi drobnemi szkiełkami w oknach, posiadał ciekawy plafon z XVIII w. i nieco dawnych zabytków. W domu tym przemieszkiwał Napoleon I w czasie swego niefortunnego pochodu na Rosję w r. 1812. Dziedziniec był zabudowany w czworokąt staroświeckiemi gospodarczemi budowlami, a naprzeciwko „pałacu" stała brama wjazdowa. P. Michał był typem odmiennym od brata, człowiek niepraktyczny, niepoprawny marzyciel, zwolennik Niemiec, uwielbiał Bismarcka, wierząc w niego, jako w wybawiciela Polski. Te swoje brednie polityczne uzasadniał licznemi argumentami, które irytowały p. Aleksandra. Jedynaczka, córka p. Michała wyszła zamąż za swego kuzyna, p. Onichowskiego. Czy piękny zabytek w Dudziczach ocalał i uszedł niszczycielskiej ręki reformatorów, czy padł pod toporem azjatów, jak i wiele innych, jest mi niewiadomem. P. Aleksander część swych cennych zbiorów, odnoszących się do pamiątek narodowych, ze zwykłą sobie ostrożnością i przezornością po otwarciu Muzeum Narodowego w Krakowie złożył mu w darze, w roku jubileuszu Kraszewskiego, inne zaś, jak cenną bibljotekę, archiwum i portrety familijne, przekazał wraz z majątkiem synowi, adwokatowi w Mińsku. Bawiąc podczas wielkiej wojny w Petersburgu, jeszcze otrzymywałem od niego listy, ofiarowywał nam nawet schronisko w Zamościu, z czego nie skorzystaliśmy. Ten gorący patrjota, tak trzeźwo myślący, przed śmiercią uległ mistyfikacji. Podobnie jak brat jego wierzył w słońce Bismarcka, tak on przesłał mi drukowaną odezwę W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza do Polaków z dopiskiem, że to jest jedyna droga, która zapewni nam swobodę. Wkrótce przeczytałem w „Dzienniku Petersburskim", że w kościele św. Katarzyny na Newskim odbędzie się nabożeństwo za duszę ś. p. Jelskiego, urządzone staraniem jego przyjaciół. W kościele na nabożeństwie, oprócz mnie z żoną i starszego małżeństwa z dwoma synami, nikogo więcej nie było. Było rozrzewniające, że nabożeństwo zamówił wierny przyjaciel zmarłego, kupiec Żyd neofita, przed 40 laty przez Jelskiego nawrócony.

Dla uzupełnienia moich badań pojechałem do wschodniej Białoruszczyzny w Mohylowskie do Horodni, Klimowicz, Dobruszy pod Homlem, gdzie w fabryce papieru ks. Paskiewicza znalazłem gościnne przyjęcie i ułatwienie badań. Był tu dyrektorem inż. Stulgiński, wychowaniec Instytutu Technologicznego z Petersburga, gdzie się

uczył akurat za moich czasów, rodem z Kowieńskiego. Administracja była polska. Miałem tu pewien zatarg z robotnikami, gdyż znaleźli się pomiędzy nimi tacy, którzy nie chcieli poddać się pomiarom, żądając na to osobnego rozkazu carskiego. Zbuntowali innych, lecz ten sprzeciw wywołany ciemnotą robotników udało się częściowo załagodzić. W Witebszczyźnie badania odbyły się pomyślniej, choć w Hubinie (Lepelskie) właścicielka pani Sielawina i proboszcz zgorszeni zostali moją „bezpłodną zabawką w dniu odpustu św. Stanisława", natomiast lepiej odnieśli się młodzi Bohdanowiczowie w Nowikach i Sołtanowie w Prężmie pod Dynaburgiem, gdzie badałem Łotyszów. Przejechawszy kilka miejscowości, wstąpiłem do Wilna, spodziewając się, że zastanę tam urzędowe polecenie od Towarzystwa Antropologicznego w Petersburgu dla dokonywania badań, o które policja już mnie kilkakrotnie nagabywała, a tymczasem pozwolenia nie było. Pojechałem więc pod Poniewież, gdzie korzystałem w Bystampolu z gościnności p. Wład. Bystrama, a stamtąd do Szawel, do hr. Włodzimierza Zubowa, który dał polecenie swej administracji, aby ułatwiła mi pracę.

Na Żmudzi dotarłem aż pod Jurborg na pogranicze Prus do Gawr w Rosieńskiem, majątku mego wuja Bolesława Fischera, nabytego na imię prawosławnej żony. Tu miałem możność zbadania pogranicznych z pruską Litwą Litwinów. Przed końcem mojej wycieczki naukowej ponownie pojechałem przez Kowno do Ejszyszek, majątku ks. Cesarego Giedrojcia. Potomek starej rodziny, otrzymał on staranne wychowanie, skończył Uniwersytet Dorpacki i zamieszkał na wsi, należąc ongiś do złotej młodzieży wileńskiej. Młodość jego przypadła na czas odradzającego się w latach 60-tych w Wilnie ruchu umysłowego i społecznego, w którym brał czynny udział. Po powstaniu lat kilka pełnił urząd marszałka powiatowego trockiego. W starszym wieku ożenił się, lecz się nie ustatkował i żona go opuściła. Mieszkała przy nim staruszka ciotka, pani Gąsiorowska, wdowa. Mąż jej był długie lata lekarzem na Podolu u ks. Sayn - Wittgensteina w Kamionce nad Dniestrem, gdzie urządził był bardzo niegdyś uczęszczany zakład leczniczy w celu kuracji winogronami krajowemi. Ks. Giedrojć był człowiekiem bardzo oczytanym i towarzyskim. Mężczyzna wysokiego wzrostu, lat przeszło 60, o wielkiej siwej brodzie i ogromnej tuszy. Podobno niechętnie go wozili dorożkarze w Wilnie, obawiając się o całość swych powozów. Książe grał rolę demokraty, lecz nie zapominał o swym tytule. Pokazywał mi swą wzorową gospodarkę, mówił o znacznych wkładach, jakie robi w swych folwarkach. Z natury był towarzyski i wszystkiem się interesujący, lecz mało ruchliwy

wskutek otyłości. Żył dostatnio, lecz skromnie. Opowiadał mi dużo o dawnych stosunkach wileńskich, jak to gościł u siebie nieraz Syrokomlę i innych literatów ze zmierzchu Aten litewskich. W chwilach wolnych od badań obwoził mię po okolicy. Nie powiem, ażebym się czuł wygodnie, siedząc w małym powoziku z księciem, zajmującym większą część jego. Wynagradzały to wszakże widoki krajobrazów i opowiadania. Gdyśmy zwiedzali starożytną stolicę Litwy i dawny zamek w Kiernowie, jął książę opowiadać jak to przed przeszło 30 laty przyjmował u siebie Wileńską Komisję Archeologiczną i przybyłego z Petersburga znanego uczonego Aleksieja Wiesiołowskiego. Wszyscy wybrali się do Kiernowa i tu przebrali się w stroje historyczne. Wilją podpłynął w łodzi ks. Skirmunt w szatach arcykapłana Krywo - Krywejty w gronie otaczających go wajdelotów. Książę Giedrojć grał rolę księcia na Kiernowie, inni przedstawiali bojarów i lud litewski. Kiedy zmrok zapadł, zapalono znicz i pochodnie na łódce i wspaniały przedstawił się widok. Nazajutrz rozkopywano kurhany, a potem książe podejmował wszystkich wytworną ucztą w Ejszyszkach. Z przykrością w lat kilka dowiedziałem się, że fortuna księcia za długi została sprzedana, a dawny dziedzic osiadł na bruku wileńskim, znalazłszy jakąś synekurę w banku ziemskim, który zlicytowawszy ziemię, przygarniał zwykle potem wyzutych z majątków obywateli.

Zrobiłem jeszcze wycieczkę do Wielkich Soleczników, majątku Olgierda Wagnera, słynnego gospodarza, z którego gościnności dni parę korzystałem. Ułatwił mi wielce badania, a przytem sam zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie, interesując się nauką i sztuką. Był on ostatnim Polakiem, wyznawcą kościoła augsbursko-ewangelickiego na Litwie.

Dla powiększenia moich materjałów szczególnie co do Białorusinów zachodnich poradzono mi jeszcze udać się do Grodna. Zmianę kierunku mej drogi dokonałem z rozmysłem, gdyż nie mając jeszcze urzędowego upoważnienia do badań, chciałem zmylić ślady, co zresztą nie było zbyteczne.

W Grodnie zajechałem do Zarządu dóbr w Stanisławowie, własności ks. Druckich - Lubeckich. Po paru dniach pobytu w Stanisławowie i skończeniu moich badań, odwiedziwszy ówczesnę ozdobę Grodna, Elizę Orzeszkową, a pomiędzy innymi także i lekarza Kościałkowskiego, który niedawno wrócił był z wygnania i tu zamieszkał, pojechałem do Bali Kościelnej, o 10 wiorst odległej, do p. Dziekońskiego, sądząc że w większym dworze znajdę potrzebny mi materjał. Niestety oprócz kilku ludzi nikogo z parobków nie było,

a wkrótce wszyscy uciekli. Wróciłem do Stanisławowa, skąd skierowano mnie parostatkiem w górę po Niemnie do jednego z folwarków dóbr Stanisławowskich, Czerlony, gdzie zebrałem sporo materjału. Po powrocie dowiedziałem się, że policmajster poszukuje mnie w Grodnie i dopytuje o nazwisko, a ktoś, chcąc zmylić, powiedział mu, że to przyjeżdżał niejaki dr. Frankowski z Krakowa, który pojechał w kierunku Warszawy. Administracja majątku utrzymywała dobre stosunki z policją, tak, że pomimo bacznego jej oka istniała szkoła, w której stała nauczycielka uczyła po polsku.

Rychło wyjechałem z Grodna, by nie zatrzymała mię policja. Przez Wilno dotarłem do historycznych Trok, dawnej stolicy Kiejstutowej, później rezydencji województwa, wkońcu zeszłej do roli nędznej powiatowej mieściny. Straciły Troki nawet to znaczenie, jakie miały dla Karaimów, sekty żydowskiej, nie uznającej talmudu. Przybyli za ks. Witolda i otrzymali przywilej, że nie wolno tu było przez wiele wieków osiadać Żydom. Murawiow w celach rusyfikacyjnych zniósł to prawo, przyczyniając się tem do upadku gminy karaimskiej. Najazd Żydów, bardziej energicznych i przedsiębiorczych, wyrwał z rąk Karaimów wszelki handel. Zostało im tylko przewożenie podróżnych i ogrodnictwo. W szkole, nauczywszy się po rosyjsku, a mając, podobnie jak i Tatarzy, prawa do służby państwowej, Karaimi rozproszyli się po kraju za chlebem, jako drobni przemysłowcy, rzemieślnicy, a największa w Polsce gmina Karaimów w Trokach licząca w r. 1863 do 760 osób, zmniejszyła się do połowy, malejąc z każdym rokiem. Kobiety Karaimki, obok języka tureckiego, mówiły niezgorzej po polsku, mężczyźni znacznie słabiej, bo, szkoła i urzędnicy przyczyniali się do ich rusyfikacji. Chcąc zbadać Karaimów, zwróciłem się do naczelnika gminy duchownej w Trokach, a zarazem naczelnika tego wyznania na Litwie „gachama". Był nim Romuald Kobecki, osiemdziesięciokilkoletni staruszek, wychowaniec Richelieuwskiego Liceum w Odesie, później ostatni profesor literatury polskiej w gimnazjum w Nowogródku. Od r. 1862 pracował jako urzędnik akcyzy, a dosłużywszy się emerytury otrzymał dymisję. Jak i wielu innych jego współwyznawców, wrócił do rodzinnych Trok, gdzie wybudował na miejscu starej dziadowskiej chaty, nowy dom nad jeziorem Trockiem. Inteligentniejsi z Karaimów biorą żony z Krymu, gdzie ich kolonja jest większa i zamożniejsza. Żona starego Kobeckiego była też krymską Karaimką. Nauczył ją po polsku i w takim duchu wychowywał synów i córki. Kiedy wyłuszczyłem Kobeckiemu cel mego przyjazdu, zarządził zebranie wszystkich współwyznawców w synagodze. Po wytłumaczeniu im znaczenia takich badań, przy-

stąpiłem do robienia pomiarów. Wieczorem zaprosił mnie do siebie p. Kobecki na szklankę herbaty. W gabinecie na stole leżał stary testament po turecku, w języku litrugicznym Karaimów, obok Sienkiewicza „Ogniem i mieczem". Do późnego wieczora siedzieliśmy ze staruszkiem na ganku wychodzącym na ogród z kwitnącemi krzakami bzów i jaśminów, mając przed sobą wspaniałą panoramę na jezioro, zamek i Witołdowy kościół farny. Była cisza wieczorna, wschodzący księżyc wspaniale oświecał cały krajobraz, odbijając się w lustrzanych wodach Trockiego jeziora. Takie otoczenie oddziaływało na nastrój duchowy i staruszek jął opowiadać o swej przeszłości i latach młodych. Pamiętał dobrze swego dziadka, mieszczanina trockiego, chodzącego w kontuszu, który mieszkał w starym dworku, w którym Kobecki urodził się i wyrósł. Karaimi do r. 1863 mówili czysto po polsku, zmieniło się to kiedy nastąpił ucisk i prześladowanie. Wielkie trudności zachodziły przy wyborze Kobeckiego na *gachama,* bo jenerał - gubernator wskutek denuncjacji nie chciał go zatwierdzić jako rzekomo „opalaczennaho". Wierzył Kobecki w lepsze czasy. Dziś tryumfem naszego zwycięstwa, mówił, są te furki jednokonne, które co niedzielę ciągną pod górę do kościoła. Nie jestem katolikiem, a jednak na ten widok serce mi drga z radości, że zwyciężymy! Będąc już w Syberji, otrzymałem parę miłych listów od poczciwego Kobeckiego. W r. 1918 podczas wielkiej wojny, bawiąc w Kijowie, przeczytałem serdeczny nekrolog w dzienniku Kijowskim, poświęcony inżynierowi Kobeckiemu, synowi Romualda, naczelnikowi południowego górniczego okręgu. Piękne charaktery przechodzą po ojcach na dzieci.

Nazajutrz rano, kiedym wybierał się w drogę, wszedł do oberży komisarz policji, prosząc abym się udał z dokumentami do sprawnika, który wczoraj wieczorem wrócił z Wilna. Wyraziłem żal, że nie mogłem tego zrobić zaraz po przyjeździe do Trok, gdyż sprawnika nie było, i powiedziałem, że mam kartkę polecającą od marszałka ks. Giedrojcia. Znaczna część posad policyjnych na Litwie obsadzona wówczas była przez Tatarów, posiadających w przeciwieństwie do Rosjan dużo cech dodatnich. Do Tatarów należał i trocki sprawnik Michałowski, używający dobrej opinji. Naogół Tatarzy litewscy zajmując przez cały okres ucisku i prześladowania różne posady w kraju, pozostawili o sobie dodatnie wspomnienie. Nigdy nie występowali przeciw dążnościom wolnościowym z własnej inicjatywy, starając się łagodzić drakońskie prawa do nas stosowane. Kiedym wszedł do mieszkania sprawnika, oczekując na niego, słyszałem, jak w sąsiednim pokoju z rodziną i ze służącą mówił zcicha po polsku, po-

mimo, że na drzwiach wejściowych wywieszona była groźna karta: *„kurit', plewat' na poł i goworit' po polski strogo wospreszczajetsia"* (palić, pluć na podłogę i mówić po polsku jest surowo wzbronione). Sprawnik przyjął mnie grzecznie, tłumacząc, że chociaż moje papiery są w porządku, jednakże nie mam zezwolenia na badania. Odpowiedziałem mu, że codzień wyczekuję zezwolenia z Petersburga, lecz widocznie spóźniono się z wysłaniem. Zdecydował wobec tego, że nie może pozwolić na dalsze moje badania. Zgodziłem się tem chętniej, że miałem je już ukończone. Rozpytywał mnie, na czem badania moje polegają, a kiedy mu wytłumaczyłem, przeczytał mi cyrkularz jenerał - gubernatora, rozesłany do zarządów policji o tem, że rozjeżdża po kraju północno - zachodnim, prawdopodobnie emisarjusz austrjacki, nazywający siebie d-rem Frankowskim z Krakowa, który ma widocznie na celu jakieś plany wojskowe i agitacyjne dla werbowania ludzi do wojska, należy zatem co najprędzej go aresztować i odstawić do Wilna. Zapytywał mnie, czy o Frankowskim słyszałem, a potem dodał, zresztą co do pańskiej osoby mogę być spokojny, mając rekomendację księcia. Uderza mnie tylko dziwny zbieg okoliczności, że Frankowski robi te same co i pan badania, mierzy wzrost, zapisuje barwę skóry, oczu, i włosów, a to wszystko daje wiele do myślenia, czy to nie jest czasem przygotowanie do poboru austrjackiego i do ruchawki w jubileuszowym roku rozbioru Polski. Powiadają, że w Galicji robią też wielkie przygotowania do wojny. Uspokajałem sprawnika, że to są wszystko wieści fałszywe. Poczciwy Tatar odetchnął swobodniej, dorzucając: oby tak było! bo przecież wtrąciłoby to nasz kraj w nowe biedy. Zdecydował się mnie puścić, z czego mocno ucieszony pośpieszyłem co najprędzej opuścić Troki. Jadąc przez Kowno, zastałem tam nadesłane z Petersburga upoważnienie do badań, którego brak przyczynił mi tyle nieprzyjemności. Mogłem z niem śmielej się wszędzie ruszać, jako człowiek zasługujący na wiarę. Uzupełniłem moje badania pomiarami Litwinów w Marjampolskiem, potem Żydów, wreszcie Tatarów w Kownie, w Wilnie, w Mińsku i w innych osadach.

Wszystko jest dobrem, co się kończy pomyślnie. Udało mi się w ciągu prawie czteromiesięcznej podróży stworzyć pierwsze podstawy dla badań antropologicznych naszych wschodnich kresów. Objechałem 9 gubernij zachodnich i 1 wschodnią Królestwa, mianowicie Łomżyńską, razem 28 powiatów. Zatrzymując się w trzydziestu kilku miejscowościach, zbadałem ludność, pochodzącą z 422 osiadłych punktów i osad, kolonij, folwarków, wsi, miasteczek i miast, a ogólna liczba zbadanych osób obu płci wyniosła dwa tysiące paręset, oprócz

przedtem zmierzonych przeszło 4 tysięcy Ukraińców. Przyjemna ta podróż dała mi możność poznania znacznej części naszego kraju, wielu ludzi, stanowiących bądź co bądź czoło inteligencji naszego kraju i nawiązania z nimi stosunków, które nieraz przetrwały poprzez długie lata.

W Kownie, gdzie zbiegły pierwsze lata mojej młodości, zatrzymywałem się dni parę, badając Żydów. Po 22 przeszło latach niebytności, znalazłem tu wielkie zmiany, a ileż spustoszeń! Rozpanoszyło się żydostwo, zajmując w mieście dominujące stanowisko i wykupując domy. Szwargot ich, obok charkawej mowy rosyjskiej, rozlewał się wszędzie. Żywioł polski wyparty ze wszystkich posad urzędowych przez najazd rosyjskiego czynownictwa albo musiał wysiedlać się, albo zupełnie podupadł materjalnie, stanowiąc najuboższą klasę rzemieślniczą lub robotniczą. Wyrósł tu natomiast nowy groźny dla polskości i żydostwa współzawodnik, żywioł litewski. Duchowieństwo litewskie zmieniło dawne swe hasła obrony religji i narodowości, a wystąpiło do walki przeciw kulturze polskiej, łącząc się z rządem i popierając język rosyjski. Nikogo już tu nie zastałem z dawnych dobrych znajomych.

Dawny Iłgów, rodzinne gniazdo Hryncewiczów, stał się też dla mnie poniekąd obcy. Brat mój stryjeczny ożenił się na lat kilka przed śmiercią. Zostawił wdowę i troje małych dziewcząt. Siostra jego wyszła zamąż i wyniosła się na Żmudź, a matka umarła. Postanowiłem pod Kownem w Marjampolskiem odwiedzić Antonów pod Pilwiszkami, gdzie zamieszkiwała siostra moja stryjeczna, starsza ode mnie o lat przeszło 20, wdowa po Szabuniewiczu, zmarłym przed pół rokiem. Stamtąd miałem zamiar pojechać do Petersburga celem otrzymania gdzieś na kresach Syberji posady lekarskiej, pozwalającej połączyć możność pracy zarobkowej z pracą naukową.

Rodzina Szabuniewiczów była bardzo liczna, składała się z dwóch synów i sześciu córek. Interesy miała mocno zawikłane. Trzeba tam było energicznej męskiej ręki, któraby potrafiła wszystkiem pokierować. Wśród dzieci starsze były córki, a synowie młodsi. Majątek Antonów, przez ojca nabyty, choć niewielki i choć miał glebę niezbyt urodzajną, lecz słynął z żyznych łąk nad Szeszupą i wzorowej gospodarki. Dochód znacznie się zwiększał, dzięki przerabianiu produktów na miejscu i uprzemysłowieniu majątku. Była tam wielka gorzelnia, dystylarnia, browar, oprócz tego wędzarnia i serowiarnia, wyrabiająca sery litewskie. Oprócz Antonowa należały tu jeszcze trzy znaczne dzierżawy pobliskie, trzymane na dogodnych warunkach, w których również były gorzelnie. Najstarsza z rodziny, Mar-

ja, żądna czynu i pracy, zajęła się z zapałem gospodarką i interesami, lecz nie miała sił wszystkiemu podołać. Matka była za słaba do kierowania domem i interesami. Średnia z córek była zamężna za swym kuzynem, który sprzedał piękny dziedziczny majątek w Wilkomierskiem i nabył od Szabuniewiczów Giże. Niegospodarny z natury stracił wkrótce całą swą majętność. Starsze córki znałem jeszcze z dzieciństwa, z czasów szkolnych i studenckich. Teraz wyrosły na dojrzałe panny.

Zrodziła się we mnie myśl ożenienia się, szczególnie mając zamiar jechać na Syberję. Nie wiedziałem czy wrócę i kiedy, rozumiejąc, że okoliczności często stają wpoprzek naszym usiłowaniom, a wobec tego nie uśmiechały mi się widoki nie mieć nikogo z bliższych, z kim można byłoby się podzielić myślą. Pozostawało albo zamknąć się w sobie, co było nie tak łatwe wobec mego usposobienia, albo się rozproszyć w otaczającem obcem środowisku, czego się obawiałem. Utrudniała żeniaczkę krótkość czasu, w ciągu którego musiałbym wybrać towarzyszkę życia, brak kandydatki, zdecydowanej dzielić dalekie wygnanie z człowiekiem obcym, dotychczas jej nieznanym, a wreszcie opłakane moje położenie materjalne. Na szali przeciwnej pozostawały tylko moje osobiste zalety, lecz te były mało komu znane. Podobała mi się druga zrzędu siostra, Krystyna. Dziś po latach trzydziestu kilku trudno mi powiedzieć, z czego? Wiedziałem od niej samej, że miała dawne sympatje do młodego studenta. Niedawna śmierć ojca, ciężkie warunki materjalne, wprawiały ją w stan silnego zdenerwowania i brak decyzji, a ja sobie powiedziałem, że muszę ją zdobyć i że ta będzie moją żoną, albo żadna. Znalazłem silne poparcie u matki i u ciotki, z którą od dzieciństwa już byłem w serdecznych stosunkach, i nareszcie u starszej siostry. Nie wywierały one coprawda nacisku na moją przyszłą małżonkę, lecz małżeństwa tego bardzo pragnęły, jakkolwiek wiedziały, że nie mam nic prócz długów, i że powierzają los córki, siostrzenicy i siostry człowiekowi, który ją powiezie na dalekie wygnaie, nie dając rękojmi, jak się wywiąże z przyjętych zobowiązań. Walka wewnętrzna jaką moja przyszła musiała staczać z sobą, celem zapomnienia dawnej sympatji, poddanie się woli rodziny i, może na zawsze, co za tem idzie, opuszczenia jej, pomimo gorącego przywiązania, wprawiły ją w stan silnego przygnębienia i zobojętnienia na wszystko co się z nią dzieje. W takiem odrętwieniu dała mnie słowo i z niego się wywiązała, będąc przez dziesiątki lat wierną mą towarzyszką. Pomimo ślepego przywiązania do swej rodziny, dzieliła ze mną dolę i niedolę tułaczego żywota.

Kiedy po kilku tygodniach wszystko się ułożyło co do przyszłe-

go małżeństwa, rozpoczęły się prawie rok trwające wyjazdy na czas dłuższy, lub krótszy z Antonowa do Petersburga w celu otrzymania posady. W Petersburgu z dawnych lat podtrzymywałem ciągle stosunki ze światem naukowym i literackim, np. od wielu lat z redakcją „Kraju", jego redaktorem p. Erazmem Piltzem i z grupą jego współpracowników. Znałem nieco lekarzy i inne osoby, lecz nikogo ze sfery urzędniczej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, kto mógłby mi ułatwić otrzymanie posady. Od dawien dawna, jeszcze z czasów studenckich, słyszałem o Despocie Zenowiczu. Poprosiłem p. Piltza, by mi dostęp do niego ułatwił. Z właściwą sobie uczynnością p. Piltz wskazał na prof. Włodzimierza Spasowicza. Ten mię zaś opatrzył w list polecający, z którym udałem się do Zenowicza, członka rady Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mającego rozległe stosunki, wpływy i poważanie. Mieszkał on przez długie lata we wspaniałym domu Kozieł - Poklewskiego na Fontance. Już z samego wyglądu zrobił na mnie imponujące wrażenie, człowieka nietuzinkowego. Od pierwszego się zbliżenia z nim powziąłem do niego cześć i szacunek. Stosunek nawiązany z Zenowiczem przetrwał do jego śmierci. Wspaniała jego postawa odpowiadała treści duchowej. Zenowicz był wzrostu wysokiego, o wielkiej głowie, zwykle krótko ostrzyżonej, o ciemnych, nieco szpakowatych włosach; twarz długą, o prawidłowych rysach, o wielkich błękitnych oczach, obramienionych szerokiemi nasuniętemi brwiami, zdobiły wielkie zwieszające się wdół długie wąsy. Miał lat sześćdziesiąt parę. Trzymał się nieco pochyło, od lat wielu cierpiał na niedowład lewej strony ciała, co go zmuszało opierać się na wielkim sękatym kiju. Towarzyszył mu zawsze ogromny pies buldog. Zenowicz był w obejściu prosty, mówił zwykle stanowczo i lakonicznie, nie znosił czczej ani błyskotliwej gadaniny. O jego przeszłości i życiu powiem w innem miejscu. Przedstawiłem mu swe pragnienie otrzymać posadę w jakiejbądź miejscowości Syberji wschodniej, gdzie mógłbym prowadzić badania naukowe, a ponieważ wybieram się z żoną, chciałbym trafić do jakiegoś ośrodka bardziej kulturalnego, jak np. Minusińsk, gdzie jest muzeum, bibljoteka i pewne kółko osób pracujących naukowo. Za jego poradą złożyłem u Rogozina, dyrektora lekarskiego departamentu, podanie. Ponieważ na dalekie kresy wyjeżdżali nieraz awanturnicy, którzy nie mogli się nigdzie urządzić, lepsze posady lekarskie obsadzali sami gubernatorzy, a departament rozporządzał stanowiskami tylko w miejscowościach bardziej odległych, ale i tu wymagana była rekomendacja od osób wiarogodnych. Załączyłem zaświadczenie Zenowicza. Po dniach kilku, gdy okazało się, że żadnych posad odpo-

wiednich narazie niema, radził mi Zenowicz, abym wrócił na wieś i zgłosił się po pewnym czasie ponownie.

Odtąd co kilka tygodni przyjeżdżałem do Petersburga, bywając nieraz u Zenowicza, zazwyczaj wieczorami na herbacie. Prowadził on obszerną korespondencję prywatną i miał sekretarza, pod nieobecność którego często Zenowiczowi pomagałem. Pisali do niego najrozmaitsi ludzie, przyjaciele, znajomi, obcy, prosząc o pomoc lub o poparcie jakiejś sprawy publicznej lub też prywatnej. Pisali Polacy i Rosjanie, urzędnicy, mieszczanie, chłopi z gubernij wewnętrznych i z najdalszych kresów, co świadczyło o wielkiej popularności Zenowicza. Chłop np. syberyjski uskarżał się na zdzierstwo i łapownictwo administracji, prosząc o wstawiennictwo do jego *„Carskiego dziadźki"*. Zenowicz nie skąpił czasu i pieniędzy, wszystkim odpisywał i czem mógł pomagał. W długi wieczór lubił opowiadać o swej młodości, wspomnieniach z czasów uniwersyteckich w Moskwie, życiu na Syberji i wreszcie o trzydziestokilkoletnim pobycie w Petersburgu. Nieraz chciano go tu ubezwładnić, pomimo, że czuł się jeszcze w pełni sił i rwał się do czynu.

Przypominam sobie gościnny dom państwa Piltzów, który przez lat wiele był ogniskiem, skupiającym w Petersburgu polską inteligencję. Szczególnie znane były czwartkowe redakcyjne obiady. Po debatach i załatwieniu spraw, zasiadano na krótką partję winta, w której oprócz gospodarza brali zwykle udział, Spasowicz, jego przyjaciel dr. Rymowicz, ojciec gospodyni domu, i młodziutki inżynier odbywający służbę wojskową, późniejszy znany ekonomista Władysław Żukowski.

Bywając w Petersburgu, robiłem od czasu do czasu referaty ze swych prac naukowych w towarzystwach geograficznem, antropologicznem, polskim Związku przyrodników i lekarzy i innych. Niektóre z prac moich, dotyczące czyto ludu ukraińskiego, czy ludów Litwy i Rusi, wywoływały nieraz oburzenie rusyfikatorów jako tendencyjne. Parę razy był obecny na moich komunikatach również Zenowicz. Przebywając w Antonowie po parokrotnej bytności w Petersburgu, otrzymałem wzywającą mię kartkę od Zenowicza. Podążam niezwłocznie do Petersburga. Gdym zaledwie wchodził do gabinetu Zenowicza, zawołał on do mnie: „są dla Ciebie dwie posady do wyboru". Zwykle mawiał „ty" po syberyjsku, tym, których zaszczycał szczególną sympatją. A czy wiesz gdzie? Jedna w Czycie, a druga w Troickosawsku. Gdzie jest Czyta, to wiem z Geografji, lecz gdzie jest Troickosawsk, nie wiem odparłem zawstydzony. Toż to samo przecie co Kiachta, gdzie ja lat kilkanaście przebyłem, dodał po

chwili. Jeżeli się zdecydujesz, to mogę Ci dać wiele wskazówek i rekomendacyj, tam mnie wszyscy znają i pamiętają. To jest najciekawszy punkt spostrzeżeń dla antropologa. Znajdziesz tam różne narody Azji Wschodniej, na miejscu są Burjaci, Mongołowie, Chińczycy z różnych prowincyj, niedaleko Tunguzi, od czasu do czasu przybywają Tybetańczycy i Mandżurowie. W pobliżu Troickosawska zamieszkuje ciekawy typ sekciarzy rosyjskich t. zw. „siemiejskich" i najprzeróżniejsze typy mieszańców różnego stopnia. Ucieszyła mnie niezmiernie wiadomość, że trafię do wymarzonego środowiska dla moich badań. Mogłem obawiać się najwyżej o to, czy potrafię dostatecznie wyzyskać tak bogaty materjał. Posada okręgowego lekarza ułatwiałaby znacznie dzięki rozjazdom badania, a zamieszkanie w mieście, posiadającem nieco kultury europejskiej, osładzałoby mojej przyszłej żonie pobyt na tem dalekiem dobrowolnem wygnaniu.

Obawiając się, ażeby kto nie zajął tej posady, pośpieszyłem z wniesieniem prośby, tem bardziej, że na ostateczne porozumienie się z tak dalekim środowiskiem należało czekać ze trzy miesiące.

Wróciwszy do Antonowa, opowiedziałem o wyniku moich starań, prosząc o przyśpieszenie ślubu. Trzeba było przedtem uzyskać indult od biskupa z powodu pokrewieństwa, jakie łączyło mię z narzeczoną, a następnie poczynić niezbędne przygotowania do ślubu, a co ważniejsza, do dalekiej drogi, która nas oczekiwała. O szczegółach i o tem co z sobą zabierać, miałem się dowiedzieć w Petersburgu. Prędzej, niż się spodziewałem, otrzymałem zawiadomienie o swej nominacji na okręgowego lekarza w Troickosawsku, gdyż departament lekarski dla przyspieszenia sprawy porozumiał się z gubernatorem telegraficznie. Mojej przyszłej małżonce sprawiło to nieco zmartwienia, gdyż chciała odwlec jeszcze wyjazd.

Pojechałem do Petersburga dla załatwienia formalności. Otrzymałem podróżne, t. zw. „prohonnyje" na przejazd od Petersburga do Troickosawska, na parę koni na odległości, liczącej 6,212 wiorst. W Rosji europejskiej podróżne wynosiło po 3 kop., a w azjatyckiej po 2 kop. od konia i wiorsty. Na dobę miało się robić po 30 wiorst. Chcąc dłużej pozostać w kraju, postarałem się jazdę odłożyć aż do wiosny. Oprócz długiego czasu przeznaczonego na podróż, prawem przepisanego, udało mi się jeszcze dzięki Zenowiczowi uzyskać od bawiącego wówczas w Petersburgu jenerał - gubernatora kraju przyamurskiego, bar. Korffa, dwumiesięczny urlop. Przedstawiłem się jenerał - gubernatorowi jako urzędnik, jadący na służbę do kraju przez niego administrowanego. Przy przedstawieniu się był obecnym Tumkowskij, były dyrektor kancelarji jenerał - gubernatora, wówczas

urzędnik departamentu medycznego, z zawodu lekarz, który otrzymał swą posadę dzięki Zenowiczowi. Korff, wyjeżdżając nad Amur, prosił go jako znawcę o pewne wskazówki i rekomendacje dla mnie. Tumkowskij był rodem z Małorosji. W lat kilka dorobił się znacznej fortuny nad Amurem i podał się do dymisji. Bar. Korff również znacznie poprawił tam swe nadszarpnięte majątkowe interesy.

Wyjeżdżając na Syberję, szukałem nowych stosunków i znajomości. Ci, którzy tam bywali, dodawali mi otuchy, a szczególnie mojej żonie. Inni znowu odnosili się do wyjazdu na Syberję z pewnem uprzedzeniem. Znany np. psychjatra petersburski, prof. J. Mierzejewski, który mnie zaprosił do siebie na obiad, był wówczas strasznie zrażony stosunkami miejscowemi w Akademji Medyko - Chirurgicznej, gdzie panował duch nienawistny względem Polaków, i uskarżał się bardzo na swych kolegów. Był pewnym, że stosunki na Syberji są o wiele gorsze i w ciemnych kolorach rysował mój przyszły pobyt w kraju, gdzie lekarz jest na usługach policji i spełniać musi polecenia pierwszego lepszego urzędnika. Odradzał mi więc gorąco jazdę. Nie zastraszyło to mnie, tem bardziej, że cofnąć się było już zapóźno.

Chcąc poznać syberyjczyków, poszedłem na ich doroczny wieczór t. zw. „sibiryjskij". Zebranie było liczne, przeważnie ucząca się młodzież, nieco przyjezdnych i dawniejszych mieszkańców Syberji. Poznałem tu prof. Iwanowskiego, wykładającego w Uniwersytecie język chiński. Bywał on nieraz w Krainie Zabajkalskiej, wychwalał Kiachtę i gościnność kupiecką. To samo słyszałem często od tych, którzy lubili przebierać miarę w trunkach, a profesor do takich należał. Inny znowu, za młodu zamieszkujący w Zabajkalju, pułkownik Łukaszow, opowiadał o życiu ówczesnem urzędników i wojskowych w Kraju Zabajkalskim, o awanturach i bójkach, jak to na pożegnalnym obiedzie gubernatorowi Ditmarowi dano po twarzy i t. d. Poznałem tam byłego nauczyciela niemieckiego języka w szkole realnej w Troickosawsku, Niemca Hansena, który zachwycał się swobodnem życiem w Kiachcie, później dowiedziałem się, że stracił tam posadę wskutek pijaństwa. Spotkałem też Finlandczyka Juljusza Petri, niedawno mianowanego profesora geografji na Uniwersytecie Petersburskim, który interesował się antropologją i udzielił mi niektórych wiadomości o Troickosawsku, w którym sam bywał.

Za radą Zenowicza poszedłem poznać powagę syberyjską, uczonego podróżnika, etnografa, autora licznych prac, Grigorja Nikołajewicza Potanina. Zenowicz, znając go od lat wielu, za jego niezłomną moc charakteru i nieprzedajność polityczną nazywał go *„najcnotliw-*

szym z Sibiriaków". Przeszłość tego ciekawego człowieka, z którym kilka razy w życiu się stykałem, była bardzo obfita w wypadki. Był to pierwszy inteligent syberyjski, z którym się spotkałem. Dał on mnie potrzebne wskazówki co do drogi i wiele listów polecających do różnych wybitniejszych ludzi na Syberji, tak w miastach, przez które mieliśmy przejeżdżać, jak i w Zabajkalju. Wobec tego znaczenia, jakie oboje małżonkowie Potaninowie odegrali w życiu umysłowem Syberji, muszę im nieco miejsca poświęcić w moich wspomnieniach. Potanin, urodzony w r. 1835 w rodzinie kozackiej, młodość swą spędził na stepach kirgiskich. Po skończeniu korpusu kadetów w Omsku został oficerem. Niebawem opuszcza służbę wojskową i pracuje w Archiwum w Omsku, a przekonawszy się o swem niedostatecznem przygotowaniu do pracy naukowej, uzupełnia swe wiadomości na Uniwersytecie Petersburskim. Urządził potem kilka wypraw naukowych, najpierw po rzece Wołchowie, potem po Uralu, wreszcie uczestniczył w ekspedycji K. W. Struwego dla zbadania jeziora Zajsanu i jego rybołóstwa, przyczem gromadził zbiory botaniczne. W r. 1865 został sekretarzem gubernjalnego statystycznego komitetu w Tomsku, a za przynależność do kółka Sibiriaków, podejrzanego o dążności separatystyczne przeciwpaństwowe, został oddany pod sąd i skazany na ciężkie roboty w Sweaborgu, a następnie zesłany na osiedlenie do gub. Wołogodzkiej. W r. 1874, dzięki staraniom Cesar. Ros. Geogr. Towarzystwa, Potanin otrzymuje zupełną amnestję, żeni się z córką parocha w gub. Niżegorodzkiej, Aleksandrą Ławrską, która staje się dla niego niezrównaną pomocniczką w pracach, a zwłaszcza w zbieraniu cennych etnograficznych materjałów. Ogłaszają wspólnie mnóstwo popularnych opowiadań dla dorosłych i dzieci, o Mongołach, Burjatach, Tybetańczykach, lub Chińczykach. Są to żywe obrazki, tchnące miłością ku ludziom i uczuciem altruistycznem. Zyskały sobie wielkie powodzenie. Swoje piękne zasady nietylko głosili Potaninowie w pismach, lecz i wcielali je w życie. Z polecenia Ces. Geogr. Towarzystwa w ciągu lat 16 odbywają kilka naukowych ekspedycyj we Wschodniej Azji do krajów niezbadanych. W r. 1876 pierwsza ich ekspedycja do Półn. - Zach. Mongolji, dwa lata trwająca, dała cenne zbiory we wszystkich gałęziach wiedzy geograficznej. W r. 1879 udali się do Mongolji środkowej, w r. 1883 do Gań - Su, Połudn. Chin, Wsch. Tybetu i t. d. Ostatnia ich ekspedycja była w r. 1892 do Sy - czu - ania, prowincji chińskiej, skąd mieli się wznieść na płaskowzgórze Tybetu, lecz nagła choroba, a potem śmierć żony zmusiła Potanina do powrotu, a członkowie jego ekspedycji prof. Obruczew i Berezowskij dalej prowadzili, każdy na

własną rękę, badania Azji Środkowej. Wszystkie ekspedycje Potaninów zostały opisane przez nich i stanowią cenne materjały w literaturze podróżniczej świata.

Poznałem Potaninów w Petersburgu przed wyjazdem ich na ostatnią, czwartą ekspedycję. Zamieszkiwali czasowo przy kanale Ligówki w brudnej części miasta, zaludnionej przeważnie przez robotników, w skromnych dwóch pokoikach na poddaszu. Całe umeblowanie mieszkania stanowiło kilka krzeseł i parę stołów. Poszedłem do nich wieczorem i znalazłem kilkanaście osób młodzieży syberyjskiej obu płci. Na stole paliła się mała kopcąca naftowa lampka, a obok znajdował się brudny kulawy samowar, niezbędny sprzęt każdego Rosjanina, bogatego czy biednego. Młodzież gorąco rozprawiała. Obok samowaru siedziała niemłoda, chuda i wyniszczona kobieta. Była to gospodyni domu, pani Potaninowa, nalewająca herbatę do kilku rozmaitych szklanek, filiżanek i kubków, a że ich brakło, goście oczekiwali swej kolejki. Jeszcze mniej łyżeczek krążyło pomiędzy gośćmi. Siedziało kilka zaledwie osób, sam gospodarz stał otoczony młodzieżą, inni usadowili się na oknach. Potanin niskiego wzrostu, krępej budowy, o wielkiej głowie i gęstych włosach ciemno-szatyn w rodzaju puszystej czapki, o twarzy brzydkiej, czworokątnej ze znacznym zarostem, nosie spłaszczonym i wielkich ciemnych okularach, robił wrażenie człowieka rasy nieeuropejskiej, a przynajmniej mieszańca. Przedstawiłem mu się, że jadę na Syberję i chcę od niego zasięgnąć nieco wiadomości. Powołałem się na Despota Zenowicza. Potanin mi powiedział, że nazwisko Zenowicza wywiera magiczny wpływ na Syberyjczyków, czczą w nim najlepszego administratora, jakiego Syberja posiadała, i człowieka wielkiego rozumu i serca. O moim wyjeździe na Syberję słyszał i cieszy się, że badaniami swemi przyczynię się do poznania małoznanych ludów tamtejszych. Zapytał mnie o *otczestwo* (imię ojca), a kiedy mu powiedziałem Dominik, to powiedział: „będziesz się pan na Syberji nazywał Dementiewicz, podobnie jak i Czerski". Nie odgadł, Sybiriacy nauczyli się wymawiać i nazywać mnie Juljanem Dominikowiczem. Potanin był takim istotnie, jakim się przy pierwszem spotkaniu wydawał, człowiekiem prostym i szczerym. Jak większość Syberyjczyków, nie odznaczał się wymownością, mówił bardzo logicznie, lecz jąkał się. Przyjął mnie serdecznie, powiedział, że z wielu zesłanymi Polakami żył w przyjaźni i wciąż nosi się z myślą napisać swe wspomnienia o przeżytych wspólnych chwilach z Polakami, Dybowskim, Witkowskim, Czekanowskim, a szczególnie z Czerskim, z którym się znał najbliżej. Pani Potaninowa była to osoba nieprzeciętna. Bezpretensjonalna, cicha,

łagodna; swem usposobieniem, stanowiła całość z mężem. Oboje byli ubrani niedbale i ubogo, mimowoli zwracając na siebie uwagę. Przezywano ich „czudakami" (oryginałami), lub ludźmi „nie ot mira siewo" (nie z tego świata). W parę dni potem zaszedł do mnie Potanin i przyniósł całą plikę listów do różnych osób w Syberji. Miał nadzieję, że, gdy będzie jechać ze swą wyprawą przez Syberję do Chin, spotkamy się w Troickosawsku. Praktycznych wiadomości co do drogi i przewozu rzeczy radził mi zasięgnąć u p. Homse, Niemca, podobno z Żydów, niegdyś zamieszkałego w Kiachcie, wówczas stojącego na czele przedsiębiorstwa firmy Kiachtyńskiej handlem herbatą *Cin - Łuń*, mającej główny skład w Petersburgu i sieć sklepów w całej Rosji.

W Petersburgu doszła mnie wiadomość o śmierci prof. Kopernickiego w Krakowie, która mię głęboko zmartwiła. Na prośbę prof. W. Łamańskiego, znanego filologa i redaktora „Izwiestia Impieratorskawo Ruskawo Geograficzeskawo Obszczestwa", napisałem ciepły nekrolog, a dłuższe wspomnienie o Kopernickim przesłałem do „Prawdy" warszawskiej. Opuszczając Petersburg, złożyłem pożegnalne wizyty tym, u których częściej bywałem, a między innymi prof. Spasowiczowi, państwu Rymowiczom, p. Piltzowi, i innym. Nie omieszkałem też sporządzić plan do moich badań antropologicznych, i rozpatrzeć się w używanych metodach. Przed samym wyjazdem zaszedłem do Zenowicza, który już zdążył parę listów napisać o mnie do Syberji, a oprócz tego dał mi kilka polecających do rąk. Nie wiedziałem, że to będzie ostatnie widzenie się z tym człowiekiem, wyjątkowo uczynnym i wylanym dla swych ziomków.

Wróciwszy do Antonowa, uczułem się bardzo podniesiony na duchu i uspokojony, że nareszcie mam znowu jakieś ustalone stanowisko i pracę, która mnie pociąga, odkrywając szersze widnokręgi dla badań. Nagliłem więc o przyśpieszenie naszego ślubu, który się odbył w niedzielę 10 grudnia 1891 r. w ogrodowej kaplicy. Dzień był smętny i deszczyk pokropywał, a wszystko to na nerwową i wrażliwą pannę młodą działało przygnębiająco. Dołączał się strach przed jazdą w dalekie kraje, uczucie żalu, rozłączenia się z najbliższą rodziną może na zawsze. Od tego czasu przeżyliśmy wiele wspólnych wrażeń dobrych i złych, życie przeszło, jak jedna chwila. Zżyliśmy się ze sobą, a w żonie znalazłem wierną przyjaciółkę i towarzyszkę prac, dzielącą me smutki i radości. Na ślubie była tylko najbliższa rodzina i państwo Galewscy, przemysłowcy z Warszawy, z którymi bliski stosunek przetrwał i podczas długoletniego naszego pobytu na Syberji i po powrocie do kraju.

Kilka miesięcy dzieliło nas od podróży w dalekie i nieznane kraje. Zeszły one niespostrzeżenie. Część dnia spędzałem na opracowaniu antropologicznych materjałów, zebranych w kraju, udzielałem też codziennie porad lekarskich licznym chorym z okolicy, choć, nie mogąc rozmówić się po litewsku, musiałem korzystać z tłumacza. Reszta czasu schodziła na przygotowaniach do drogi, wysyłaniu pak, a wieczorami na pogawędkach w kółku rodzinnem. Z żoną pojechaliśmy z pożegnaniem do Hryncewiczów, krewnych w Iłgowie, do Zanów w Poniemuniu i do innych. Ciężki stan majątkowy i niepewność czy się utrzymają przy ziemi oraz troska o byt licznej rodziny nie mogła nie zasępiać czoła matki. Co do mnie, to chociaż przez ożenek przyjąłem na siebie obowiązki, a rozporządzałem bardzo skromnym dochodem, po wszystkich przejściach czułem się szczęśliwy, że wydobyłem się z matni ukraińskiej. Te przejścia na długi czas pozostawiły we mnie ślady.

Dowiedziałem się w Petersburgu, że kupcy syberyjscy według miejscowego wyrażenia *„wybiegają"* z Kiachty do Moskwy zimą w 30 dni. Część drogi odbywają koleją, a resztę końmi, jadąc we własnych powozach dzień i noc. My, mając wiele czasu, nie potrzebowaliśmy bardzo się śpieszyć, a zdecydowaliśmy się jechać tylko w dzień, zatrzymując się na noclegach i odpoczywając po dni parę w miastach, leżących przy trakcie. Postanowiliśmy zboczyć do Warszawy dla zrobienia sprawunków, a następnie do Moskwy.

Dziwną dziś po trzydziestu kilku latach może się wydać ta droga, kiedy nie było nietylko kolei syberyjskiej, lecz nawet nie było kolei we wschodniej Rosji. Jechało się z Niżniego Nowogrodu latem statkami po Wołdze, przez Kazań do Permu, stąd koleją przez Ekaterinburg do Tiumenia. Dalej znowu statkiem po Irtyszu i Obi. Z Tomska aż do miejsca już końmi starym traktem pocztowym. Zimą tę podróż odbywano sanną przez Omsk, step Barabiński i dalej traktem pocztowym. Droga była wielce kosztowna, uciążliwa i długa. Szli tym traktem zesłańcy polityczni i kryminalni, jeździli młodzi urzędnicy za chlebem, wykolejeńcy, którzy w Rosji europejskiej nic zdobyć sobie nie mogli, lub awanturnicy. Każdego, skazującego siebie na dobrowolne wygnanie na szereg lat, uważano wówczas za niedołęgę, dziwaka lub wreszcie za bohatera, na jakiego i ja wyrosłem wobec naszych bliskich znajomych. Z wybudowaniem kolei warunki się zmieniły, szerokiem korytem popłynęła na wschód masowa emigracja, mnóstwo ludzi rozmaitego stanu i zawodu, jedni za chlebem, inni w celu wzbogacenia się.

Żałowano moją żonę, że skazywała się na wygnanie, wychodząc zamąż za człowieka, który nie powodowany żadnemi materjalnemi widokami w wieku już starszym opuszcza kraj i podąża tysiące wiorst dla celów nierealnych, zbadania nieznanych krajów i ludów. Zobaczmy, czy marzenia swoje choć w części zdołałem ziścić?

ROZDZIAŁ XIV.

Wyjazd na Syberję. — Podróż przez Warszawę, Moskwę, Niżni Nowgorod, Kazań, Jekaterinburg, Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck. — Kres podróży w Troickosawsku.

Dnia 20 kwietnia 1892 roku opuściliśmy Antonów, żegnani przez rodzinę na stacji Pilwiszki. Rzeczy mieliśmy niewiele, większą część wysłaliśmy przez kantor transportowy. Miały one nadejść za pół roku. Cieszyłem się z tego, co się stało, najprzód, że się ożeniłem i że nie jadę samotny w dalekie nieznane kraje, a potem, że posada lekarza okręgowego da mi kawałek chleba i pozwoli na większym obszarze rozpocząć badania antropologiczne. Żal mi jednak było tego, co tracę. Czy wrócę, czy ujrzę jeszcze kiedy kraj rodzinny i ludzi mi bliskich, których żegnałem? Jechałem na dalekie wschodnie kresy, mając na owe czasy warunki więcej niż skromne, gdyż 1.370 rubli rocznej pensji. Liczyłem coś nie coś na praktykę lekarską prywatną, która, jak wiadomo, jest rzeczą niestałą i zależną od wielu okoliczności.

Każdy, udający się na służbę na wschód, obowiązany był przynajmniej 3 lata tam przebyć. Co lat pięć urzędnikom doliczano $^1/_4$ część pobieranej pensji jako dodatek syberyjski. Dodatków mogło być 4. Co trzy lata można było otrzymywać urlop na pół roku i wreszcie do emerytury każde 3 lata zaliczano za cztery. Na drogę jako żonatemu wydano mi przeszło 2 tysiące rubli. Była to kwota, jak na owe czasy, dość znaczna. Po obliczeniu kosztów drogi (około 300 rubli) część odesłałem Gackiemu do Zwinogródki na pokrycie długów.

Urzędowe moje zajęcie miało się ograniczać wyłącznie do spraw związanych z medycyną sądową w Okręgu. W czasie pobytu w Petersburgu zapoznałem się bliżej z czynnościami, mającemi wejść w zakres

moich obowiązków sądowo-lekarskich, z sekcjami zmarłych, pisaniem protokółów i t. d.

Wyjechawszy z Antonowa, zboczyliśmy do Warszawy dla odwiedzenia naszych znajomych i przyjaciół i zrobienia sprawunków. Warszawa wówczas nie dawała możności pogłębienia studjów naukowych, ani zasięgnięcia wskazówek o moim nowym rodzaju pracy. Spotkałem się tylko z kilku literatami i byłem w paru redakcjach. Chciałem bowiem, wyjeżdżając do dalekiego nieznanego kraju, nawiązać stosunki z ojczystem piśmiennictwem. Przed odjazdem serdecznie żegnani przez naszych przyjaciół Galewskich, pokumaliśmy się z nimi, gdyż trzymałem do chrztu ich syna. Pamiętam, jak na uczcie na odjezdnem żegnał nas w ciepłych słowach sympatyczny redaktor „Wszechświata" Bronisław Znatowicz.

Dłuższą przerwę w naszej podróży zrobiliśmy w Moskwie, głównym ośrodku nauki o człowieku w Rosji. Już przedtem utrzymywałem z nią stosunki naukowe, wówczas chciałem zasięgnąć bliższych wskazówek co do metod badań, nęciły mnie też bogate jej zbiory naukowe. Osobiste znajomości, jakie zawarłem w Moskwie, wygłaszając komunikaty w „Towarzystwie miłośników przyrody, antropologji i etnografji", lub zwiedzając zbiory i muzea, przydały mi się bardzo i przetrwały długie lata. Muszę przyznać, że odniosłem później wiele przyjemnych wrażeń, doznając w badaniach moich poparcia moralnego, dużo uczynności i życzliwości ze strony rosyjskich uczonych. Poznałem wówczas zasłużonego zoologa, prof. Anatola Piotrowicza Bogdanowa, prezesa Towarzystwa miłośników przyrody. Dzięki jego to energji wszczęte zostały badania człowieka w Rosji, przedstawiające ogromne pole dla poznania różnych ras i ludów. Organizował on ekspedycje, kongresy zoologiczne i antropologiczne, zachęcał młodzież do pracy. Będąc już złożony ciężką niemocą, przyjął mnie w swym gabinecie, interesował się sprawami naukowemi i działalnością Towarzystwa. Dawał mi pewne wskazówki do badań i chwalił mój wybór Troickosawska na osiedlenie, jako ważny punkt dla spostrzeżeń. Kiedyśmy w rozmowie przeszli na tory polityczne, czego zwykle w obcowaniu z Rosjanami unikałem, Bogdanow zaczął potępiać Polaków, że nie chcą zrozumieć idei słowiańskiej i od Rosjan stronią. Wykazał wąsko nacjonalistyczne poglądy, od których niestety nie były wolne nawet lepsze i wybitniejsze jednostki w Rosji. Drugi uczony moskiewski, prof. Anuczin, z którym mnie później prace naukowe zbliżyły, po śmierci Bogdanowa występował przez długie lata jako przedstawiciel antropologji w Rosji. Pomimo, że był kierownikiem najbardziej liberalnego dziennika w Rosji „Russkija Wie-

domości", nie znał Polaków i nie rozumiał ich dążności wolnościowych. Bądź co bądź Moskwa, a przynajmniej jej inteligencja, uważana była za liberalniejszą od czynowniczego Petersburga, powleczonego niemieckim quasikulturalnym pokostem. Ludzie tu byli prostsi i serdeczniejsi, bardziej odczuwali potrzeby i interesy tysięcy „inorodców" wschodnich. Zbliżało to ku „pierwoprestolnej" żywioły obce z najdalszych kresów państwa. Tu dążyła młodzież ze wschodu na naukę, kupcy w sprawach handlowych, lub tacy, co chcieli na starość życia w spokoju dokonać. Od czasu przyłączenia Syberji Moskwa stała się jej stolicą duchową i ważnym zamiennym rynkiem dla surowców. Również swym wyglądem zewnętrznym każdemu sibirakowi i „inorodcowi" bardzo do serca przypadała, przypominając ich dalekie wschodnie strony. Rozrzucona na ogromnej przestrzeni, zabudowana bardzo nierównomiernie, ze swą architekturą wschodnią, cerkwiami, o wyzłoconych kopułach i ścianach, ozdobionych pstrokacizną różnobarwną, imponowała gustowi Azjatów.

W Moskwie zapoznałem się z wybitnym etnografem Orestem Müllerem, z hr. Uwarową, energiczną staruszką, prezeską Towarzystwa archeologicznego, wdową po znakomitym uczonym, nadto z Mikołajem Jańczukiem, etnografem i kustoszem zbiorów Muzeum Rumiańcowskiego. Z młodszych uczonych, rozpoczynających pracować naukowo, byli tu: zoolog Mikołaj Kożewnikow, Ełpatjewskij, antropologowie: A. Iwanowskij, Minakow, Kawrajskij, Rozow, etnograf Charuzin i inni.

Praktycznych wiadomości zasięgnąłem w Moskwie więcej jeszcze niż w Petersburgu, gdyż spotkałem tu ludzi, dobrze znających stosunki na Syberji. Doradzono nam, byśmy nie bardzo spieszyli, gdyż żegluga na Obi rozpocznie się zaledwie w drugiej połowie maja, bo, chociaż jest ciepło, lód na Obi jest mocny. Pojechaliśmy koleją do Niżniego Nowgorodu, gdzie wsiedliśmy na wielki, piękny, nowy statek, płynący po Wołdze do Kazania. Czas był piękny i pogoda sprzyjała, a więc z kajuty korzystaliśmy tylko w nocy, dnie całe spędzając na pokładzie. W III klasie na pokładzie leżały całe rodziny chłopów Wielkorosjan i Białorusinów, przesiedlających się aż nad Amur. Były wśród nich najrozmaitsze typy, począwszy od niskich i ciemnych do wysokich blondynów. Ubrani byli w białe, lub czerwone koszule, spuszczone po wierzch spodni. Byli w łapciach lub bosi, mając worki na plecach. Wszyscy mieli wygląd brudny i wynędzniały. Istnieli coprawda komisarze do spraw przesiedleńczych, lecz ci, nie mając nietylko środków, lecz nawet odpowiedniej instrukcji, nie udzielali im żadnej pomocy, ani opieki. Jechali w świat, gnani głodem, nie

wiedząc dokładnie dokąd. Jedni ciągnęli do południowych części gub. Omskiej, lub Tomskiej, inni dalej nad Amur. Spotykaliśmy i inne statki, przepełnione takiemiż przesiedleńcami. Wszyscy poruczali swój los ślepemu trafowi, a na zapytanie dlaczego tak niepotrzebnie puścili się w drogę, odpowiedzieli, że lepiej raz zaryzykować i zginąć, niż skazywać siebie na stopniową zagładę. Jeden powiedział tylko *„awoś"* (jakoś to będzie). Potem spotykałem na Syberji wielu przesiedleńców, którzy po kilkumiesięcznej tułaczce, nie uzyskawszy ziemi, nieraz ginęli śmiercią głodową lub o żebranym chlebie dążyli zpowrotem do domu. Inteligencji z nami jechało statkiem mało.

Żona moja rozumiała po rosyjsku, lecz mówić nie mogła, w drodze dopiero zaczęła się porozumiewać, chociaż przekręcała rosyjskie wyrazy. Po pięciu dniach przybyliśmy do Kazania, owej dawnej stolicy Carstwa Kazańskiego.

Moskwa, Niżnij Nowgorod i Kazań, pomijając wielkość i zaludnienie, mają wspólne cechy wschodnie. Są one, wyjąwszy niektóre dzielnice handlowe Moskwy, jakby wymarłe, życie bije z nich bardzo słabem tętnem, ludzie się nie spieszą, na ulicach mnóstwo pijanych. Kazań swym charaktem wkracza w obręb miast azjatyckich. Nad Wołgą ruch ożywiony. Rzeka ta, to główna arterja całej rozległej krainy, spławiającej stąd produkty na południe. Około portu mnóstwo barczystych, dźwigających ciężary Tatarów, często nie rozumiejących po rosyjsku. Ludność miejscowa przedstawia mieszaństwo żywiołu rosyjskiego z przymieszką tatarską, a w części i mongolską. Cechy te występują w przypłaszczonych twarzach, skośnych oczach i wydatnych jarzmach. Po parodniowym pobycie i zwiedzeniu gmachu uniwersyteckiego udaliśmy się statkiem po Kamie do Permu. Statek po Kamie płynie o wiele wolniej. Już jadąc z Niżniego po Wołdze widzi się brzegi płaskie i lesiste, brzegi zaś Kamy są jeszcze niższe, a wody jej rozlewają się na znacznej przestrzeni, zatapiając okolice, pokryte dziewiczemi lasami stwarzając krajobraz tajgi Sibirskiej, smutny i bardzo monotonny. Z radością doczekaliśmy się końca wodnej podróży w Permie przesiedliśmy się na kolej, dążąc do Tiumenia. Na tej, nowozbudowanej kolei ruch był niewielki, jadących mało, wagony wysokie i czyste. Droga trwała przeszło dobę. Wytrzebiona *tajga*, przez którą została przeprowadzona kolej, smętne robi wrażenie. Wreszcie wjeżdżamy w pasmo gór Uralskich, które ożywiają krajobraz. Ponad stacjami wznosi się dużo budynków, należących do kopalń srebra, złota, cynku, rudy żelaznej, kamieni górskich, wreszcie huty żelazne, miedzi i t. d. Jest to oaza wydarta tajdze, gdzie panuje ruch i życie. Niebawem wśród górskich krajobrazów przejeżdżamy symboliczny

słup, stanowiący granicę pomiędzy dwiema częściami świata, opisywany przez licznych podróżników i wygnańców. Granica ta jednak jest tylko wytworem sztucznym administracji państwowej, w części fantazji. Według danych, polegających na wspólności pokładów geologicznych, klimatu, charakteru fizjograficznego, systemu rzecznego, krajobrazu, wreszcie cech antropologicznych i etnograficznych dwóch ras zamieszkujących obie strony pasm Uralu, fińskiej i tatarskiej, granicą oddzielającą Europę od Azji powinna być Wołga w swoim biegu południowym i Kama z prawemi dopływami.

Przebywszy część drogi koleją, postanowiliśmy zatrzymać się na dni parę dla odpoczynku i zobaczenia Jekaterinburga, — owej stolicy przemysłu uralskiego, tem więcej, że dowiedzieliśmy się, iż dalsza droga z Tiumenia do Tomska statkiem, z powodu zamarznięcia rzeki, ulegnie odroczeniu. Jekaterinburg wśród dzikiej przyrody jest jakby oazą kultury, miastem schludnie zabudowanem i wzorowo utrzymanem, mającem dużo skwerów i bulwarów. Wielu tu było osadników Niemców, mających swoją gminę, kościół i szkołę. Poza tem były tam apteki, piękne magazyny, zakłady przemysłowe i rzemieślnicze, hotele, kawiarnie i restauracje, wszystko przez Niemców utrzymywane. Miasto rozwijało się przeważnie z handlu i przemysłu miejscowego. Jekaterinburg założony przez niemieckich osiedleńców był jedynem miastem na Syberji, w którym zarząd miasta pozostawał w ręku niemieckiem. Dokoła wznosiły się fabryki, które powodowały ruch i życie.

Po wyjeździe z Jekaterinburga skończyły się piękne krajobrazy górskie i znowu wjechaliśmy w tajgę syberyjską, ciągnącą się do końcowej wówczas stacji kolejowej Tiumenia. Niegdyś osada tatarska, wówczas miasto powiatowe, rozrzucone na wielkiej płaszczyźnie wśród błota, pamiętne dobrze w dziejach naszej martyrologji. Po trakcie pocztowym na Tiumeń ciągnęły całe partje wygnańców politycznych, tu odpoczywali potem, tu ich segregowali; jednych pozostawiono na miejscu, innych posyłano dalej. W skleconych naprędce barakach, wśród najwstrętniejszych warunków, umieszczano tu też całe rodziny wysiedleńców z Litwy po roku 1863. Tyfus brzuszny i plamisty dziesiątkował ich, a wielu znalazło sobie przystań wieczną na miejscowym cmentarzu. Pomimo niskiej, pierwotnej kultury, ruch handlowy był tu nadzwyczajny, odbywał się handel zamienny pomiędzy Rosją europejską i Syberją, a obroty były miljonowe. Spławiano towary kolonjalne rzekami dalej na wschód, sprowadzano zaś skóry, futra, zwierzynę, ryby. Pomimo wielu przyjezdnych, mnóstwa firm przewozowych i handlowych, brak było porządniejszych i czystych hoteli i restauracyj. Znaleźliśmy przytułek w lepszym zajeździe,

niezwykle brudnym, gdzie nam dokuczało robactwo. Utrzymywał ten niby hotel, o kilku pokojach, niejaki Czechowicz, przyznający się do polskości, rodem z Litwy, lecz po polsku słabo mówiący, żonaty z Rosjanką. Znudzeni kilkudniowem oczekiwaniem poszliśmy zwiedzić cmentarz miejscowy, który nam nic nie powiedział o tych, którzy na nim spoczęli. Kilka tylko krzyżów połamanych, jednoramiennych, pozwoliło się domyśleć, że są to nasze.

Z radością dowiedziałem się w biurze transportowem, że nazajutrz pierwszy statek odchodzi do Tomska. Na Obi statki były o wiele mniejsze i gorsze aniżeli na Wołdze i Kamie, kajuty ciasne, a wobec natłoku publiczności, oczekującej otwarcia żeglugi w Tiumeniu, jechało się mniej wygodnie. Należało uzbroić się w cierpliwość, gdyż pomimo wielkiej wody jazda statkiem do Tomska trwała 9 dni. Po Turze, Tobolu i Irtyszu aż do jego wpadnięcia do Obi jechało się z biegiem wody, więc prędzej, dalej przeciw wodzie wolniej. Okolica nudna i monotonna, im dalej na północ tem przyroda uboższa i drzewa bardziej karłowate. Statek zatrzymuje się na godzin kilka w Tobolsku. Na brzegu około przystani widać mnóstwo ubogich obdartych Ostiaków. Na straganach sprzedają liczne wyroby z kości mamutowej, noże, szpilki, spinki, grzebienie i t. d. niektóry z nich bardzo artystyczne. Kupujemy sobie parę wyrobów na pamiątkę. Nędzotę i głuszę miasta wynagradza jego malownicze położenie na wyniosłej górze nad Tobolem, przypominające swą malowniczością i rozległym wodnokręgiem okolicę Kijowa. Korzystając z postoju zaszliśmy do nowo-wybudowanego muzeum dla zapoznania się z jego zbiorami, dotyczącemi przeważnie fauny dyluwjalnej, wyrobów człowieka pierwotnego i etnografji. Objaśnień udzielił nam sympatyczny mężczyzna w średnim wieku. Wiedziałem, że muzeum znajduje się w zarządzie gubernjalnego statystycznego komitetu, myślałem przeto, że mówię z jednym z urzędników, który mi tłumaczył ciekawe szczegóły, dotyczące stanu ekonomicznego ludności i stosunków nieznanego dla mnie kraju. Przy pożegnaniu byłem mile zdziwiony dowiedziawszy się, że mam przed sobą Trojnickiego, gubernatora tobolskiego. Oby więcej takich gubernatorów!

Płyniemy dalej ku ujściu Irtyszu do Obi, jesteśmy w Samarowskiej o 290 wiorst tylko na północ od miasta Berezowa, gdzie w wiecznie zamarzłej ziemi znajdowane są ciała gruboskórych, a obok prostych śmiertelników znaleziono również zamarzłe zwłoki carskich faworytów zesłanych w połowie XVIII w. — Mieńszykowa i hr. Dołgorukowa. Płyniemy z Samarowskiej po Obi do Surguta. Miejscowość tu smętna, przyroda uboga, tundra, niskie krzewy jałowcowe i karło-

wata jodła. Stąd spuszczamy się po Obi na południe, rzeka rozlana na wielkich przestrzeniach, pustynia, nie spotykamy ani wsi, ani osady aż do Narymu, stanowiącego większą przystań, a słynącego z ożywionego handlu drzewem. Narym jest ojczyzną bogatych kupców syberyjskich. Z tego ubogiego kraju wyszło wielu ludzi energicznych i przedsiębiorczych. Od Narymu na południe aż do Tomska bardziej zaludniona okolica nieco się ożywia. Płyniemy po Tomie, nad którą na piasczystej nizinie rozsiadł się Tomsk, rozrzucony na znacznej przestrzeni, bardziej przypominający wieś niż miasto z liczną żydowską ludnością, niechlujną i ubogą, podobną do naszej. Miasto mało zabudowane, większość domów drewnianych, niektóre tylko rządowe budynki i uniwersytet mają charakter koszarowy. Bruków nie było, ani znośnych chodników, miejscami stały kałuże błota, a miasto było jakby pogrążone w piasku z unoszącemi się nad nim tumanami pyłu. Było tam kilka tylko lepszych sklepów o charakterze uniwersalnym, gdzie można było znaleźć wszystko, począwszy od cukru i masła aż do odzieży i butów. Wieczorami miasto tonęło w ciemnościach. Wśród tych pierwotnych stosunków znalazł się jednak nieco kulturalniejszy hotel o kilku pokojach, utrzymywany przez Ickowicza, do którego radzono nam zajechać. Przy hotelu była przyzwoita restauracja, jedyna w mieście. Gospodarz, przedsiębiorczy Żyd, utrzymywał sklep i handlował powozami. Zwykle w Tomsku ci, co nie chcieli na pocztowym trakcie syberyskim trząść swych kości w wózku pocztowym, kupowali powóz, który po przejeździe sprzedawało się w Irkucku. Przybywający ze wschodu do Tomska robili to samo. Ickowicz kupował powozy, odnawiał je bardzo powierzchownie i odprzedawał innym. Naturalnie, że kupujący musiał wezwać rzeczoznawcę, kowala, ażeby powóz obejrzał, wypróbował i orzekł czy dojedzie, do miejsca przeznaczenia. Wehikuły te nosiły nazwę tarantasów i były przystosowane do warunków miejscowych. Nie mając resorów osadzone były na drążkach drewnianych, które im były dłuższe, tem powóz mniej trząsł. Kupiłem jeden z lepszych za 140 rubli, upewniwszy się uprzednio, że wytrzyma 1.316 wiorst drogi pozostałej nam do Troickosawska. Oprócz tego potrzebne były na drogę rzemienie, powrozy, siekiera, śruby, gwoździe, smarowidło i zapasy żywności. Od gubernatora otrzymałem „prohonnoje" t. z. świadectwo uprawniające do korzystania z koni pocztowych. Sprawa jazdy była więc załatwiona.

Odwiedziwszy parę osób poleconych mi przez Potanina, udaliśmy się dla zwiedzenia uniwersytetu do prof. Wielikiego, fizjologa i pierwszego rektora, który nas łaskawie oprowadzał. Były to pierwsze lata istnienia uniwersytetu. Kliniki nie były jeszcze otwarte. Gmach no-

wozbudowany, obliczony na wielką liczbę słuchaczy, kosztował wobec niesumienności rosyjskiej administracji bardzo dużo. Jak na początek uniwersytet posiadał piękną bibljotekę, liczącą około 160 tysięcy tomów, nazwaną na cześć jej ofiarowadcy hr. Stroganowa, jego nazwiskiem, tudzież muzeum starożytności, którem szczególnie interesował się ówczesny kurator Okręgu Szkolnego zachodnio - syberyjskiego Flořiński, były prof. ginekologji w Petersburgu, jeszcze za moich czasów, a później rektor w Kazaniu. Był on skrajnym reakcjonistą nielubianym przez profesorów, których wielu dzięki niemu musiało ustąpić. Floriński w Tomsku zaczął się interesować archeologją i wygłaszał cudaczne poglądy, że np. pierwszymi osadnikami Syberji byli Słowianie. Poznałem i właściwego kustosza tych zbiorów, blibljotekarza uniwersytetu, Kuźniecowa, przybyłego z Kazania. W Tomsku było wówczas paru profesorów Polaków, których postanowiłem odwiedzić. Jeden z nich, mój szkolny kolega z Kowna, Aleksander Dogiel, na wakacje wyjechał. Coprawda zbyt tego nie żałowałem, gdyż, jak się dowiedziałem, ożenił się on z Rosjanką, z Polakami zerwał i wynarodowił się. Drugi był o wiele młodszy ode mnie, niedawno mianowany profesorem, Stanisław Szczepan Zaleski, były asystent prof. Karola Schmidta w Dorpacie, wykładający chemję fizjologiczną. Walczył on wówczas z kuratorem, lecz przecenił swe siły i wkońcu zmuszony podać się do dymisji, przeniósł się do Petersburga, gdzie długie lata zamieszkiwał i dopiero opuścił Petersburg po wielkiej wojnie. Zaleski przyjął nas jako rodaków uprzejmie i okazywał wiele serdeczności. Poznałem go potem bliżej w Petersburgu. Był on w życiu nieszczęśliwy; mając żywy temperament popełniał wiele błędów i nietaktów, za które musiał ciężko nieraz pokutować. Żona jego, znana pianistka Jadwiga Iwanowska - Zaleska, kiedyśmy byli w Tomsku, koncertowała po Rosji. Później rozwiodła się z mężem i wyszła zamąż powtórnie.

Poszliśmy z żoną do proboszcza, ks. Gromadzkiego, zesłanego w r. 1863. Zyskał on sobie na Syberji wielki szacunek i poważanie za swą działalność społeczną i narodową. Ks. Gromadzki na miejsce kapliczki wybudował kościół, przy nim otworzył bibljotekę, czytelnię polską dla parafjan i szkółkę. Początkowo mała i uboga parafja, obejmująca całą gubernję tomską, licząca parę tysięcy wiernych, urosła do kilkunastu tysięcy. Potem dzięki staraniom ks. Gromadzkiego pobudowano kilka nowych kościołów parafjalnych i kaplic w oddalonych częściach gubernji. Ten zacny kapłan, strudzony długą pracą i wiekiem, w wiele lat potem wrócił do swych stron rodzinnych na Wołyń i ostatnie lata życia spędził w Sławucie, w domu ks. Romana San-

guszki, gdzie dobrze zasłużonego żywota dokonał, jeszcze przed zwierzęcem zamordowaniem księcia w r. 1917. Celem przysposobienia się do podróży urządziliśmy swój tarantas na sposób syberyjski. Najprzód się układa miękkie skórzane kopertowe walizy i inne rzeczy wzdłuż całego tarantasu, na to materace, a pod głowę poduszki i jedzie się leżąc. Ludzie przyzwyczajeni do takiej jazdy mogą większą część dnia spać, nam się to nie udawało, lecz bądź co bądź, ten sposób podróżowania okazał się dość wygodny.

Siadamy do naszego tarantasu i puszczamy się w drogę o wiele więcej męczącą niż dotychczasowa. Na smutnym dawnym szlaku syberyjskim ciągnęły od zachodu na wschód etapy deportowanych politycznych, kryminalnych, liczne rzesze przesiedleńców i transporty z towarami kolonjalnemi; ze wschodu zaś ruch był mniejszy. Oprócz karawan z herbatą i trójek pocztowych, często spotykaliśmy zbiegów z robót ciężkich, zwanych „brodiagi", z workiem na plecach, stanowiącym ich cały majątek, lub wracających o kiju żebraczym przesiedleńców. Droga wszędzie monotonna, szeroka, wijąca się wśród stepów i lasów dziewiczych, a krajobrazy tak do siebie podobne, że niema na czem oka zatrzymać. Rzeki miały niskie brzegi, pokryte gęstemi krzakami talniku (wierzby). Chociaż czas był pogodny i droga sucha, w niektórych miejscach w głębokich jarach grzęźliśmy w błocie, z którego z trudem wyciągały nas przyprzężone konie, lub woły. Przy przejazdach przez rzeki mostków zwykle brak. Podróżnych przewoźnicy przenosili z brzegu do promu, brnąc aż po pas w wodzie, tarantas zaś wciągano, a konie wpędzano na wysoki nieraz przewóz, grożący im każdorazowo połamaniem nóg. Taka pierwotna jazda przez rzeki syberyjskie, długo się jeszcze potem utrzymała. Krajobraz zachodniej Syberji rozległy przypominał równiny nadwołżańskie Rosji Wschodniej. Pierwszą największą stacją pocztową po wyjeździe z Tomska, był Maryjsk ze znacznym odsetkiem ludności deportowanej żydowskiej, podobnie, jak i w innych miastach Syberji zachodniej. Słabe zaludnienie, skupione tylko przy trakcie i nad większemi rzekami, brak zupełnie ruchu handlowego, urodzajność gleby i obfitość lasu i wszelkich produktów zboża, zwierzyny, ryby, mleczywa i t. d., czyniło tu życie bardzo taniem. O zamożności Żydów świadczył już zdaleka wielki budynek synagogi z kopułą i dachem błękitnego koloru z pozłoconemi gwiazdkami. Na ulicach, jak i w naszych miasteczkach, zatrzymują nas Żydzi faktorzy, zapytując, czy czego nie potrzeba.

W chłodny wieczór czerwcowy zdaleka ujrzeliśmy w promieniach zachodzącego słońca góry czerwone, mieniące się różnemi odcieniami,

od których Krasnojarsk otrzymał swe miano. W połowie XVII w. była tu mała warownia, założona przez zdobywców kozaków, a w końcu XVIII w. ludność zaledwie dosięgała paru tysięcy. Dopiero jako główne miasto gubernji i ośrodek przemysłu złota, Krasnojarsk zaczął się rozwijać, pomimo dość surowego klimatu. Posiadał jednak piękne malownicze położenie, i lepsze warunki higjeniczne niż Tomsk. Tu się zebrało kółko wykształceńszych Syberyjczyków, którzy założyli kilka kulturalnych instytucyj, bibljotekę, czytelnię, muzeum lokalna, a pomiędzy innemi towarzystwo lekarskie, które, oprócz urządzania posiedzeń naukowych i odczytów z zakresu medycyny społecznej, wybudowało gmach własny z salą dla odczytów, urządziło ambulatorjum dla przyjmowania chorych, lecznicę z salą operacyjną, własną aptekę, laboratorjum dla badań drobnowidzowych wydzielin i produktów spożywczych, wreszcie bezpłatne szczepienie ospy. Z takim obszernym programem działalności nigdzie nie spotykałem towarzystwa lekarskiego. Każda myśl postępowa znajdowała oddźwięk wśród tych działaczy towarzystwa. A wszystko to zostało stworzone pracą i energją jednego człowieka d-ra Krutowskiego, syna przemysłowca — przykład godny naśladowania nietylko dla Syberji, lecz i dla Europy. Jakiem zaufaniem cieszyło się to Towarzystwo u społeczeństwa, dowodzą zapisy znanego miljonera Kuźniecowa i ofiary składane przez różne osoby. Nie wiem, jak towarzystwo lekarskie i inne instytucje krasnojarskie przetrwały wielką wojnę i związane z nią kataklizmy dziejowe. Poznałem tam głównych działaczy: Liczkowa, i lekarzy — Krutowskiego, Raczkowskiego i Konowałowa.

Kolonja polska była tu bardzo nieliczna. Składała się przeważnie z żołnierzy lub wyrobników. Mieli oni niewielki kościołek, liczący zaledwie 500 parafjan. Ksiądz był Litwin, słabo mówiący po polsku.

Mieliśmy zamiar z Krasnojarska statkiem po Jenisieju pojechać do Minusińska dla zwiedzenia muzeum, założonego tam przed kilkunastu laty przez farmaceutę Martianowa, lecz niestety projekt nie mógł się ziścić skutkiem nieregularnie kursujących statków i braku czasu. Żałowałem niezmiernie, że nie udało nam się widzieć odwiecznej Minusińskiej kultury, która ściągała tylu podróżników, ani zwiedzić zarazem najpiękniejszego zakątku Syberji, nazwanego Syberyjską Szwajcarją.

Dalsza podróż posiadała ten sam monotonny charakter. Na noclegi zatrzymywaliśmy się na stacjach, a w razie ich zajęcia na t. zw. „ziemskich kwaterach". Wszędzie noclegi pozostawiały wiele do życzenia, gdyż najczęściej pluskwy wystraszały nas z łóżek. Trzeba było kłaść się na swych własnych materacach na podłodze. Zwykle

na noclegach niesposób było zamknąć drzwi, gdyż albo nie było klucza, albo zamka, a przeto nieraz bywaliśmy budzeni przez nadjeżdżających nowych podróżnych. Bezpieczniej jednak było spać przy drzwiach otwartych na wielkim syberyjskim trakcie pocztowym, niż w Europie, pomimo, że wałęsali się tam wciąż zesłani lub zbiegowie z ciężkich robót. Im dalej na wschód, tem częściej ich spotykamy, uciekających lub kryjących się po zaroślach. Złapany zbieg podlegał karze cielesnej i powtórnemu zesłaniu, na podwójną liczbę lat. Ludność syberyjska, w znacznej części pochodząca z żywiołów zesłanych, tradycyjnie odziedziczyła wielką litość i współczucie dla tych nieszczęśliwych. Każdy zbieg wiedział, że nikt go nie wyda i wszędzie znajdzie gościnną strzechę, nocleg i chleb na drogę. Do wyjątkowych zato wypadków należało, by taki zbieg „brodiaga" nadużył gościnności i okradł gospodarza, lub zrobił mu jaką krzywdę.

Mijamy małą mieścinę powiatową Kańsk, przeprawiamy się przez Birusę i jedziemy przez powiatowe miasto Niżnij Udińsk, opodal którego leży wielka wieś Tułun, najludniejsza po drodze do Irkucka. Jest to typowa wieś syberyjska, większa od niejednego miasta powiatowego, o szerokich długich ulicach, zabudowana bezładnie, lecz posiadająca sklepy, aptekę, restauracje, piekarnię i cukiernię. Tułun liczył 7 tysięcy mieszkańców, miał 2-klasową szkołę męską i żeńską, zakład dla starców i lecznicę, dużo młynów i małych fabryk. Ludność była bardzo zamożna; z kilku mieszkańcami mówiłem, byli to albo zesłani, albo ich potomkowie. Na ulicach spotykaliśmy wielu pijanych. Ruch handlowy znaczny, obroty przewyższały 3 miljony rubli, albowiem wiele towarów szło tędy z Rosji, mijając Irkuck, prosto na północ, na Angarę i na Lenę do kraju Jakuckiego. Tą samą drogą szli całemi partjami robotnicy do kopalń złota.

Trójka pocztowa mknie szybko, zmiana koni i dalej. Jesteśmy zmęczeni i z niecierpliwością oczekujemy Irkucka. Na nizinie, pomiędzy wijącemi się błękitnemi wstęgami Irkutu i Angary, widać zdaleka pozłacane krzyże i zielone kopuły cerkwi a dalej domy otoczone roślinnością. Jesteśmy wreszcie w stolicy wschodniej Syberji. Irkuck leży na płaskiej równinie i nie posiada malowniczego położenia, jednak szerokie, spławne, omywające go rzeki, równe ulice, grunt twardy i zamożność czyniły go jednem z piękniejszych i bogatszych miast Syberji. Na pięćdziesiąt kilka tysięcy ludności, było tu do 1.800 Polaków, którzy jako kupcy i przemysłowcy zajęli wybitne stanowiska. Do r. 1863 Irkuck był lichą mieściną, choć ośrodkiem administracji i rezydencją jenerał - gubernatora. Znajdując się jednak na głównym trakcie, prowadzącym do Chin przez Kiachtę, do kraju Nad-

amurskiego i obwodu Jakuckiego, stał się nietylko ośrodkiem handlu manufakturą, żelazem i kolonjalnemi towarami, lecz i przemysłu złotniczego dla ogromnego terytorjum Wschodniej Syberji. Szczególne zasługi dla rozwoju kultury Irkucka i Syberji położyli Polacy po r. 1863. Liczba ich w tym czasie przewyższała 3 tysiące. Byli to lekarze, inżynierowie, architekci, różni przedsiębiorcy pełni zapału do pracy i czynu, kupcy i rzemieślnicy i inni pracownicy, których burza dziejowa wyrzuciła z kraju. Dzięki nim, w ciągu lat kilkunastu Irkuck zmienił się do niepoznania. Powstały porządne hotele, restauracje, piekarnie, cukiernie, magazyny z artykułami warszawskiej galanterji, różne zakłady przemysłowe i fabryki, nie mówiąc już o tem, że pierwszymi badaczami kraju byli nasi wygnańcy, ludzie o wysokiej inteligencji, a większość ich tu się samorzutnie wykształciła. Pisarze rosyjscy, a na ich czele najutalentowańszy z Syberyjczyków publicysta na miarę europejską, Jadrińcow, poświęca w swem dziele („Sibir' kak kołonja", 1882) cały rozdział wygnańcom Polakom, podnosząc pierwszorzędne ich znaczenie dla kultury Syberji. Polacy byli pierwszymi nauczycielami całego pokolenia i przyczynili się do wytworzenia miejscowego kółka Syberyjskiej inteligencji. Ludność znała ich oddawna, jeszcze z r. 1831, potem z r. 1839 zsyłanych za sprawę Konarskiego. Odbywszy katorgę w Zabajkalji, pozostawali we Wschodniej Syberji. Pewien wpływ cywlizacyjny wywarli też zesłani na roboty ciężkie dekabryści w r. 1826, z których wielu tu pozostało, a następnie całe szeregi zsyłanych socjalistów rosyjskich. Wreszcie od drugiej połowy XV w. ciągnęły tędy różne ekspedycje naukowe i handlowe, czy to na północ, nad Amur, czy do Chin i Mongolji, które również nie pozostały bez wpływu na rozwój kultury i na wytworzenia samodzielnego kółka miejscowej inteligencji, szczególnie od czasu powstania Wschodnio - Syberyjskiego Oddziału Towarzystwa Geograficznego. Irkuck w ten sposób swą zamożnością i kulturą zajął dominujące stanowisko w Syberji.

W Irkucku zajechaliśmy do najlepszego hotelu, założonego przez dwóch wygnańców, starszego już wiekiem Trepkę, rodem z Kongresówki, i Litwina Szutinasa, rodem z pod Kowna, który jako młodszy prowadził cały interes. Obaj energiczni na przedsiębiorstwie dorobili się majątku, pożenili się z Sybiraczkami, nauczyli żony po polsku i wychowali na Polaków swe dzieci. Szutinas, dowiedziawszy się, że pochodzę z tych samych stron, rad był odświeżyć wspomnienia swej młodości. Poszliśmy z żoną odwiedzić powszechnie tu szanowanego starca, ks. proboszcza Szwernickiego, byłego zakonnika Marjanina, bodaj ostatniego Litwina czującego się Polakiem, rodem z Mar-

jampola, zesłanego tu przed przeszło 50 laty. Pomimo głębokiego wieku proboszcz trzymał się jeszcze dobrze i znany był ze swej energji i czynności. Przyczynił się do zbudowania pięknego kościoła, według planu Walerego Kulikowskiego, urządził szkółkę dla dzieci, bibljotekę a zjednoczywszy na obczyźnie wszystkich parafjan ze Wschodniej Syberji zażywał wśród nich wielkiej popularności. W Irkucku istniało wówczas kilka towarzystw naukowych i społecznych, jak towarzystwo lekarskie, Oddział rosyjskiego towarzystwa technicznego, Oddział misji duchownej, komitet towarzystwa misjonarskiego, Oddział Wsch. - Syber. Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego i inne, a każde z nich posiadało swe organy i wydawnictwa. Najpoważniejszy był Oddział Towarzystwa Geograficznego. Założony w r. 1851, jako filja Centralnego Petersburskiego, był najstarszym oddziałem, posiadał swe wydawnictwa, a wspomagany przez rząd, położył znaczne zasługi dla lepszego nawet zbadania Kresów wschodnich, niż była zbadana Rosja europejska. Niestety po ćwierćwiekowem istnieniu cenne zbiory muzealne, bibljoteka i wszystkie wydawnictwa zginęły w płomieniach i pracę trzeba było rozpocząć na nowo. Oddział irkucki organizował różne badania i naukowe ekspedycje, w których brali udział zesłani polityczni i żywioł napływowy. W miarę zmniejszania się deportacji przycichła i czynność Oddziału. Współpracownikami jego między innymi byli: zesłany anarchista Michał Bakunin i późniejszy emigrant ks. Piotr Krapotkin, a z sybiraków Szczapow, Zagoskin, Jadrincow, Potanin. Rok 1863 dostarczył oddziałowi cały legjon najwybitniejszych współpracowników Polaków, których imiona łączą się ściśle z poznaniem tego kraju, a wśród nich pierwsze miejsce zajął Benedykt Dybowski, adjunkt - profesor Szkoły Głównej Warszawskiej. Mając gruntowne naukowe przygotowanie, rozpoczął on badania fauny wschodniej Syberji, przeszedł całe obszary tego mało znanego kraju, pogłębiając pierwsze badania rozpoczęte przez Pallasa, Georgiego, Middendorfa i innych. Opisał i zbadał pochodzenie Bajkału, tego zagadkowego jeziora, kryjącego w sobie faunę morską i rzeczną, pracował na Amurze i na dalekiej Kamczatce. Odkrył mnóstwo nowych gatunków i odmian zwierząt, a za śmiałą myśl przesiedlenia przez morze Beringa reniferów i innych zwierząt domowych na wyspy komandorskie, mieszkańcy tameczni błogosławią jego imię. Dybowski, nie mając własnych funduszów, robił dary królewskie, ofiarowując znaczne kolekcje zwierząt i zbiory etnograficzne, nieznane zupełnie w Europie, muzeom Petersburga, Warszawy i Krakowa, a we Lwowie stworzył ze swych zbiorów muzeum zoologiczne. Niemałą też jego zasługą, że wykształcił cały szereg badaczy Syberji i skierował

ich na różne pola pracy. Najwybitniejsze miejsce zajął Jan Czerski jako geolog i paleontolog, którego prace należą do pierwszorzędnych w świecie naukowym, dalej Kalinowski, Żebrowski, Węgłowski, Godlewski, Michał Jankowski, Aleksander Czekanowski, dr. Józef Łagowski, Hartung i inni. Zasługi ich kulturalne Syberja oceniła, a imiona zwłaszcza Dybowskiego i Czerskiego dotąd są tam popularne. Wielu z nich niestety, oszołomionych rzekomą wyższością kultury rosyjskiej, wynarodowiło się. Dybowski pozostał gorącym Polakiem. Dożywszy głębokiej starości, zaznał wiele w życiu goryczy i niedostatku, lecz wszystko znosił z dumą i godnością, bez narzekania. Po przebyciu wielu lat na katedrze zoologji we Lwowie, opuścił ją z powodu prekluzyjnego wieku. Podczas wielkiej wojny z żoną musiał tułać się po Białorusi, podlegać oblężeniom i bombardowaniu na wsi, a dopiero, doczekawszy się wolnej ojczyzny, powrócił do Lwowa. Pracy naukowej dotąd nie przerwał. W dniu 30 kwietnia 1928 r. świat naukowy obchodził 95-lecie naszego wiekiego przyrodnika.

Po roku 1870 Syberja zaczęła się napełniać przeważnie młodzieżą rosyjską, należącą do rozmaitych rewolucyjnych partyj, począwszy od „Ziemli i woli". Z nich to się organizowały później całe ekspedycje historyczno-przyrodnicze, etnograficzne i ekonomiczne. Nie wybił się jednak nikt wśród nich tak, jak wygnańcy Polacy, chociaż stanowili kolonję liczniejszą. Ponieważ rodzaj pracy, jakiej się miałem poświęcić, był najbliżej związany z oddziałem Geograficznego Towarzystwa, poszedłem najprzód z listem od Potanina do kierownika tego Oddziału. Był nim z wyborów przestępca polityczny Dmitrij Aleksandrowicz Klementz. Znalazłem go właśnie pracującego w muzeum. Mieściło się ono w nowym gmachu, zbudowanym po pożarze przez miljonera kupca Sibiriakowa w pretensjonalnym stylu maurytańsko - średniowiecznym. Był to budynek ciężki i niezgrabny. Oprócz przyrodniczych, mieściły się tam zbiory etnograficzne i archeologiczne Wschodniej Syberji i bibljoteka. Kustoszem muzeum był Polak, Witkowski, wygnaniec z r. 1863. Pochodził on z Witebskiego, gdzie był organistą. W 18 r. życia został skazany na roboty ciężkie do Wcshodniej Syberji, a po ich odbyciu podlegał ciekawym losu kolejom. Był stróżem, wyrobnikiem, lokajem, fiakrem; nauczywszy się pisać i czytać poprawnie po rosyjsku, został pisarzem. Potem dalej się kształcąc, zainteresował się prehistorją i był inicjatorem wzorowych badań archeologicznych w Syberji. Ożeniwszy się z Rosjanką i mając liczną rodzinę, został kustoszem muzeum. Ponieważ ten dochód mu nie wystarczał, miał jeszcze małą drukarnię, w której drukował nowopowstałą gazetę „Wostocznoje Obozrenje". Kiedym go poznał, fi-

zycznie był jeszcze silny, mógł mieć wówczas lat pięćdziesiąt kilka, lecz robił wrażenie człowieka zmęczonego życiem. Oprowadzali oni nas razem z Klementzem po muzeum, zaznajamiając z kulturą materjalną Syberji i z czaszkami kopalnemi tu spotykanemi. Z Klementzem później bardziej się zbliżyłem. Był to jeden z utalentowanych przywódców ruchu rewolucyjnego w Rosji, lat 70-tych zeszłego stulecia.

Podczas kilkodniowego naszego pobytu w Irkucku codziennie spotykaliśmy się z Klementzem. Był to człowiek niezwykły już z samego wyglądu. Średniego wzrostu, na pierwszy rzut oka brzydki, o nieforemnych rysach twarzy. Łysy, o wypukłem czole, ze znaczną przewagą pudła mózgowego nad częścią twarzową, o zapadłym nosie, brunet, o ciemno - piwnych, dziwnie wyrazistych, dobrych i miękkich oczach, odzwierciadlających jakby duszę człowieka i jego rozum. Widziałem w życiu przedtem i potem wiele oczu różnych barw i odcieni, lecz takich jak jego nie spotykałem. O ile czoło, oczy i wogóle górna część twarzy sprawiała wrażenie filozofa, człowieka o niepospolitym talencie, o tyle dolna, szeroka w kątach żuchwy i w ustach, miała coś tatarskiego, azjatyckiego. Była w jego obliczu i w charakterze pewna dwoistość. Z pochodzenia i z nazwiska Skandynawczyk, z kultury Niemiec i napół Rosjanin, z typu napół Tatar. Uduchowioną stawała się twarz Klementza szczególnie wtenczas, kiedy się w rozmowie ożywiał. Wtedy oczy jego patrzały, jakby przenikając w duszę słuchacza. Pomimo, że jąkał się, mówił niewymuszenie, jasno, dobitnie, z pewną dozą humoru, będąc wyjątkowym i niezrównanym gawędziarzem. Przyjął mnie szczerze i serdecznie, podnosił zasługi położone przez Polaków dla Syberji, podkreślał, że bez ich działalności Syberja pozostawałaby dotąd w stanie pierwotnym. Klementz swemi wiadomościami ogarniał bardzo szeroki zakres wiedzy, wszystkiem się interesował, nie była mu obca historja, polityka, nie mówiąc o przyrodoznawstwie, i prehistorji, któremi się bardziej zajmował. Nadto wykazywał wielkie oczytanie w antropologji, szczególnie ludów Azji środkowej, w której bywał nieraz i udzielił mi wiele swych cennych spostrzeżeń. Zamieszkując przez lat kilkanaście na Syberji, znał i Mongolję, to też służył mi wskazówkami, którym zawdzięczam kierunek pierwszych moich prac na Syberji. Obcując z tym skromnym człowiekiem, nie wiedziałem wówczas, że mam przed sobą jedną z najwybitniejszych sił rosyjskiej rewolucji. Żona jego niskiego wzrostu, krępa i przysadzista, typ metyski sybiraczki, miała w swym charakterze wiele niemieckości. Na ile mąż był roztargniony i w życiu codziennem niepraktyczny, wiecznie przebywający w dziedzinie

abstrakcji i ducha, na tyle pani Klementz była mu dopełnieniem, małomówna, flegmatyczna, praktyczna i pedantka. Przez Klementzów zapoznaliśmy się z całem kółkiem zesłanych politycznych, przeważnie Rosjan, wśród których była rodzina polska z Warszawy Landych, żydowska z pochodzenia. Polacy socjaliści, jako kosmopolici, stronili od swych ziomków, zesłanych za powstanie z r. 1863, uważając ich za reakcjonistów, i utrzymywali związek tylko z kółkami rosyjskiemi. W Irkucku było nadto wielu wygnańców, którzy, mając tu interesa i przedsiębiorstwa, osiedlili się na stałe, podtrzymując stosunki z odległą ojczyzną.

W Irkucku odwiedziłem starego lekarza Celestyna Ciechanowskiego, wygnańca z r. 1863, rodem z Grodzieńskiego, który, odbywszy roboty ciężkie, zamieszkał w Irkucku i zdobył tam sławę wielkiego filantropa i oryginała. Miał dom własny, ogrodzony wysokim parkanem, z bramą zwykle zamkniętą. Żył bardzo skromnie, leczył najczęściej darmo, a jeżeli brał honorarjum, to bardzo małe, ubogim dając lekarstwa bezpłatnie. Żyjąc długie lata z prostą sybiraczką, miał z nią dziesięcioro dzieci, które nadzwyczajnie kochał i łożył na ich wychowanie. Z dziećmi i w rodzinie mówił po rosyjsku, tłumacząc, że dzieci jego pozostaną na Syberji, więc poco do ich młodych serc zaszczepiać przywiązanie i tęsknotę do dalekiej ojczyzny, której nigdy nie ujrzą. Sam jednak przebywał chętnie z dawnymi towarzyszami lat niedoli. Bywając potem w Irkucku, odwiedzałem nieraz Ciechanowskiego. Opowiadał mi, że pomimo skrupułów, jakie miał co do narzucania swej narodowości dzieciom, starszy syn po otrzymaniu matury, chcąc się uczyć, a nie mając na to środków, udał się na uniwersytet do Warszawy w celu łatwiejszego otrzymania stypendjum jako prawosławny. Po rocznym pobycie poznał miejscowe stosunki, przyczem oburzała go niesprawiedliwość i prześladowanie, jakich dopuszczał się rząd względem Polaków. Dzielił się szczegółowo swemi wrażeniami z ojcem w listach, zaczął pisywać po polsku i poczuł się Polakiem. Poczciwy staruszek płakał ze wzruszenia, widząc w tem tryumf idei polskiej i wyższe zrządzenie Opatrzności.

Opuściliśmy Irkuck po pięciodniowym pobycie, śpiesząc stanąć nakoniec u mety naszej długiej podróży, tem więcej, gdyśmy się dowiedzieli, że żegluga na Bajkale otwarta i pierwszy statek odszedł. Po przebyciu z Irkucka 60 wiorst dobrej drogi pocztowej stanęliśmy nad Bajkałem. Wielkie to jezioro, mające z 800 klm. długości, ciągnie się z półn.-wsch. na połud.-zach. Ma od 40 — 80 klm. szerokości. Z całym systemem wielkich rzek do niego wpadających, tworzy ono arterję komunikacyjną, ożywiającą ogromny obszar Azji wschodniej.

Większą część roku Bajkał pokryty lodem bardzo grubym, po którym zimą od grudnia do maja jeżdżą saniami. Na północy Bajkału mieszkają dotąd Tungusi i Oraczoni, rasa pokrewna Jakutom; na południu Jakuci skrzyżowani z rasą mongolską wytworzyli plemię burjackie, a pomiędzy niem i Mongołami pozostały dotąd oazy tunguskie, które jednak zatraciły język własny a przyjęły mongolski razem z buddyzmem. Z Burjatami spotkaliśmy się poraz pierwszy w Irkucku. Plemię to słabo się rozmnaża, może w części dzięki temu, że znaczna część mężczyzn jest związana ślubami duchownemi i żyje w celibacie, chociaż i naogół rozrodzilość jest słaba, gdyż na małżeństwo przypada zaledwie od 3 — 4 dzieci, o połowę prawie mniej, niż u sybiraków, nie mówiąc o płodności starowierców. Jeżeli Burjaci nie mieli dotąd możności wykazać wyższych talentów, to w każdym razie zdolni są do postępu w rolnictwie, do którego stopniowo przechodzą od życia koczowniczego, trudniąc się jednocześnie przemysłem i handlem.

Na Bajkale wsiedliśmy na stary statek „Jakow", nazwany imieniem pierwszego przedsiębiorcy żeglugi po Bajkale, znanego miljonowego niegdyś Kiachtyńskiego kupca Jakowa Niemczynowa. Pogoda piękna i cisza. Zachwyca nas wyjątkowo czysty, jasny błękit nieba, może nie tak ciemny jak na południu i zachodzie Europy, bez chmurek, odbijający się w niezmierzonych głębiach Bajkału. Jadąc ze strony południowej nie tracimy z oczu lądu. Zdala jak we mgle z poza oparów wód Bajkału widnieją zarośla i lasy. Jedzie sporo osób, ale wszyscy do Czyty, a stamtąd dalej na północ, lub nad Amur, nikt zaś do Troickosawska. Przeprawa trwa około 6 godzin, ale wobec częstych burz na „morzu" płynie się nieraz i dzień cały. Kiedyśmy odbijali od brzegu, wody były ciche, później pojawiły się fale, statek co raz bardziej skrzypiał we wszystkich więzadłach, bałwany uderzały z coraz większą siłą. Podróżni z pokładu uciekali do kajut, kładli się na ławy, niektórzy dostawali morskiej choroby. Po paru godzinach jezioro ucichło.

Miejscowi ludzie powiadają, że cisza na lądzie niezawsze odpowiada ciszy na Bajkale. Wiatry wogóle na wysokiem płaskowzgórzu Azji dmą od wczesnej wiosny przez całe lato, zcichając na jesień i zimę. Najczęstszemi wiatrami w Zabajkalju są północno - zachodnie, dmące od Bajkału, sprowadzające deszcz i śnieg, oraz południowe od Mongolji, zwiastujące pogodę i długą posuchę. We wschodniej Rosji i Syberji wyróżniają wiatr, nie mający stałego kierunku, a dmący nisko po ziemi w różne strony, nazywając go „chius", wyrazem zapożyczonym od któregoś z plemion azjatyckich.

Bajkał leży w ośrodku trzęsienia ziemi i niektórzy łączą z tem

jego powstanie. W latach 70-tych zeszłego stulecia, podczas jednego z takich trzęsień, zdarzyła się klęska — parę wsi nad brzegiem Bajkału usunęło się z całym zabudowaniem i dobytkiem w jego nurty.

Dobrnęliśmy do przystani Mysowaja, zbudowanej w dzikiej leśnej okolicy przy ujściu rzeki Selengi (co oznacza po burjacku rzeka). Nie udaje się nam stąd płynąć statkiem do Ust'-Kiachty z powodu małej wody, wybieramy więc zamiast jazdy na Wierchnieudińsk drogę krótszą t. z. traktem kupieckim, przecinającym pasmo gór Chamar-Dabanu. Wśród wspaniałych krajobrazów mamy do Troickosawska 185 wiorst. Trakt ten był zbudowany w latach siedemdziesiątych dla ułatwienia przewozu herbaty, a przedsięwzięcie nie było łatwe. Należało przebijać skały i góry, do czego władze postanowiły użyć skazanych do robót ciężkich, kryminalistów i politycznych Polaków. Praca taka dla ludzi nieprzyzwyczajonych i starszych, złe utrzymanie, grubiańskie obejście się dozorców, wywołały protest pracujących, który przeszedł w otwarty bunt, mający na celu ucieczki i przedarcie się do Chin. Władze odkryły spisek, zaczęły się śledztwa, sądy, krwawe rozprawy i kilku spiskowców zostało powieszonych. Wielu spotkałem takich, którzy w robotach tych uczestniczyli.

Jedziemy dalej na Selengińsk. Okolica uboga, stepy pokryte kamieniami, na horyzoncie widnieją obnażone skały z gnejsów i granitów, krajobraz smętny, gdzieniegdzie rozrzucone ułusy koczujących Burjatów, lub świątynia buddyjska samotnie stojąca z kilkunastu domkami, tam znowu kroczy lama z różańcem w ręku ze swemi kontemplacjami o znikomości rzeczy doczesnych, a w obłokach szybuje jastrząb z rozportatemi skrzydłami. Po twardej ziemi z kamienistym podłożem jedzie się szybko jakby po najwyborniejszej szosie i nie wiem, czy może być lepsza i szybsza jazda niż w kraju Zabajkalskim. Pomimo wiatrów niema tu pyłu na drogach, ani bezdroży wiosennych i jesiennych. Jesteśmy w Selengińsku, powiatowem mieście i rezydencji władz administracyjnych i sądowych na cały okręg. Miasto składa się z kilkunastu domów urzędniczych i mieszczańskich, rozrzuconych w stepie, w nieładzie i z paru murowanych cerkwi. Nie można sobie wyobrazić lepszego miejsca kary lub zesłania, ażeby ludziom dokuczyć, pogrążając ich w melancholję i tęsknotę. Otóż tu osiedlono niektórych dekabrystów (uczestników spisku przy wstąpieniu na tron Mikołaja I w r. 1826) po wypuszczeniu z robót ciężkich. Między innymi przemieszkiwali tu długie lata bracia Mikołaj i Michał Bestużewy, szlachetni marzyciele i wysoce utalentowani pisarze. Istniał jeszcze ich dom zrujnowany, w którym doniedawna przechowywały się niektóre po nich pamiątki. Byli oni apostołami kultury dla Zabaj-

kalja; stąd wpływ ich rozchodził się na całą Syberję. Pracowici ci ludzie nie ograniczali się do samej propagandy oświaty i moralności, lecz dużo zdziałali własnym przykładem. Uczyli czytać i pisać, uprawiać rolę, wznosić budynki, stawiać piece, rozdawali nasiona zboża, a ich wskazówki ludność przechowała dotąd. Jeden z braci, szczególnie uzdolniony do mechaniki, robił narzędzia rolnicze, założył fabrykę wozów, których tu nie znano, i wyrabiał własnego pomysłu wózki „siedejki" lub „bestużewki" na dwóch kołach na drążkach, dotąd powszechnie używane przez Rosjan i Burjatów i najbardziej odpowiadające miejscowym warunkom. Mikołajowi Bestużewowi sądzonem zostało złożyć swe kości na selengińskim cmentarzu w r. 1855, Michał zaś, doczekawszy się amnestji, wrócił do Moskwy i tam zakończył życie w r. 1871. Znany jest ich przyjacielski i serdeczny stosunek do ówczesnych towarzyszy niedoli Polaków. Za Selengińskiem wśród wydm piaszczystych stoi na uboczu domek z pozabijanemi oknami i opodal krzyż kamienny z napisem. Mieszkali tu przez lat kilkanaście w pierwszej połowie XIX w. misjonarze anglikańscy, z którymi Bestużewy podtrzymywali przyjacielskie stosunki, prowadząc wspólnie oświatową i religijną propagandę pośród Burjatów. Gdy zyskali kilkunastu prozelitów, wzbudziło to zazdrość prawosławnego duchowieństwa. Rząd uznał działalność za szkodliwą i misjonarzom kazano wyjechać. Opuszczając kraj, pozostawili oni prochy jednego ze swych towarzyszy, zalecając nawróconym Burjatom przejść na prawosławie. Burjaci czczą dotąd pamięć tych misjonarzy i wspominają o nich jako o ludziach świętych. Zastałem jeszcze paru z tych nawróconych.

Od Selengińska ku południowi miejscowość pustynna przechodzi w grunta lekkie, piaszczyste, glinkowate, nadające się pod uprawę, z czego korzystają selengińscy Burjaci. Urządzili sztuczne nawodnienie i obsiewają pola, przechodząc stopniowo od życia koczowniczego do osiadłego; obok jurt budują „tiepłuszki", domki o trzech oknach składające się z jednej lub z dwóch izb z piecami. Burjaci są może jedynem z koczujących azjatyckich plemion, zdolnem do życia i dalszego rozwoju.

Jesteśmy coraz bliżej u kresu naszej podróży. Po upalnym dniu zachmurzyło się, grzmiało, uderzały pioruny i padał rzęsisty deszcz, kiedyśmy dojeżdżali do Ust'-Kiachty, ostatniej stacji oddalonej od Troickosawska o wiorst 24. Jest to osada nad rz. Selengą, należąca do miasta, mająca około tysiąca ludności. Zmęczeni całodziennym upałem, myśleliśmy tylko o tem, aby jak najprędzej dotrzeć do Troickosawska. Lecz noc ciemna i nieustająca burza z ulewnym desz-

czem stanęły na przeszkodzie. Musieliśmy zanocować na stacji. Z jednej strony w paru ciupkach mieszkał dozorca, po drugiej była izba dla przejezdnych, której całe umeblowanie składało się paru połamanych krzeseł, stołu i małej ceratowej kanapki. Przyniesiono nam brudny samowar i parę brudnych szklanek, lecz nic z jedzenia nie można było dostać. Położyliśmy się spać na podłodze. Much roje. Gorąco straszne. Zgasiliśmy świecę. Piorun za piorunem uderza, a niezliczona moc pluskiew łazi po nas i sypie się z sufitu. Zczasem podczas częstych rozjazdów oswoiłem się z temi niegościnnemi stworzeniami na noclegach i stacjach. Teraz po upalnym dniu i zmęczeniu były one istną klęską. Przez noc całą paliliśmy świecę, z niecierpliwością oczekując dnia. Droga z Ust' Kiachty do Troickosawska ogromnie piaszczysta, ożywia ją jedynie las sosnowy, który niegdyś ciągnął się do Troickosawska przez cały pas pograniczny z Chinami, zanim administracja rosyjska w celu ułatwienia wyławiania kontrabandy nie wytrzebiła go. Ta niszczycielska gospodarka wywołała najście piasków mongolskich na Syberję, które zasypały Troickosawsk i jego okolice, grożąc całej południowej Syberji, jeżeli nie będą zastosowane środki ochronne. Po piaskach wilgotnych wskutek deszczu jedziemy prędzej, powietrze się oświeżyło. Po drodze mijamy liczne karawany z herbatą, idące z Kiachty do Rosji. Wreszcie dotarliśmy do Troickosawska.

WIDOK TROICKOSAWSKA

ROZDZIAŁ XV.

Troickosawsk. — Miejscowe społeczeństwo.

Troickosawsk leży w kotlinie na pograniczu Mongolji. Dokoła bezleśne góry, grunt piaszczysty. Z ciekawością przypatrujemy się miastu, w którem mieliśmy lat kilkanaście przemieszkać. Głucho tu i bezludnie, co jest cechą miast rosyjskich i syberyjskich, lecz stosunkowo czysto i schludnie. Na wielkiej szerokiej ulicy, ciągnącej się przez całe miasto aż do Kiachty, kilka większych domów murowanych, w tej liczbie gimnazjum realne. Zieloności mało, jedyny miejski ogród przed kilkunastu laty założony, nieco drzewek i krzewów, przy niektórych domach. Wszystko rośnie, tylko dzięki sztucznej irygacji. Oprócz rynku zwanego bazarem, posiadającego kilka porządniejszych sklepów i murowanych domów, reszta zabudowań miasta to domki drewniane o trzech oknach.

Zajechaliśmy do najlepszego zajazdu w mieście. Ucieszyliśmy się, że jego właścicielem jest, jak Sybiracy go tytułowali, pan Głębocki. Był to wygnaniec z r. 1863. Okazał nam serdeczną gościnność. Mieliśmy u niego czysty pokój, dobry stół i przemieszkaliśmy z parę tygodni, nim znaleźliśmy w mieście mieszkanie, co nie było łatwo. Erazm Głębocki był niskiego wzrostu, krępy i pomimo siedemdziesięciu kilku lat prędki w ruchach, łatwo zapalający się, gorącego temperamentu. Przebył blisko 30 lat na Syberji, lecz po rosyjsku się nie nauczył. Życie miał burzliwe. Brał przed powstaniem czynny udział w organizacji narodowej, i zato w czterdziestym zgórą roku życia, mając żonę i kilkoro dzieci, został uwięziony w Warszawie za należenie do spisku na życie namiestnika W. Ks. Konstantego, razem z Landowskim i Jaroszewiczem. Wszyscy trzej skazani zostali na karę śmierci. Wyrok na Jaroszewiczu jako na głównym sprawcy zamachu został wykonany, a dwaj inni dzięki stosunkom ocaleli. Głębocki opowiadał

o wrażeniu jakiego doznał przyprowadzony pod szubienicę, gdy przeczytano mu wyrok śmierci, a jednocześnie przybyły kurjer podał manifest ułaskawiający. Podobnie ułaskawiony został Landowski. Późniejsi namiestnicy lubowali się w teatralnych efektach miłosierdzia carskiego. Zdarzało się jednak, że spóźniony manifest przychodził, kiedy skazany zawisł już na szubienicy. Towarzysz z katorgi Głębockiego, Landowski, jak wiadomo, w r. 1874 uciekł z katorgi zagranicę, skończył medycynę w Montpellier, później praktykował w Paryżu, ciesząc się wielką wziętością i tam życie zakończył. Głębocki zaś, odbywszy roboty ciężkie w kopalniach w Usolu, dzięki różnym manifestom po latach 9 zostaje osiedleńcem. Był to czas największego europeizowania Syberji, do którego i Głębocki dużo się przyczynił. Zakłada w Irkucku pierwszą piekarnię i cukiernię, która doskonale się rozwijała. Podczas wielkiego pożaru Irkucka stracił całe swe mienie. Wówczas, namawiany przez przyjaciół, przejeżdża za Bajkał i osiada w Wierchnieudińsku, w ważnym punkcie handlu zamiennego towarami europejskiemi z daleką północą i Amurem. Szczególnie podczas dorocznych jarmarków styczniowych zjeżdżali się tu kupcy zdaleka i robili miljonowe obroty. Głębocki buduje dom, otwiera hotel, restaurację i cukiernię. Interes nadzwyczajnie się rozwija. Wzbudziło to jednak wielką zawiść wśród Żydów, którzy po kilkoletniej bezowocnej walce konkurencyjnej puszczają go z dymem. Zamożni kupcy Kiachtyńscy otwierają Głębockiemu kredyt i wzywają do Troickosawska. Niezmordowany starzec rozpoczyna pracę na nowo, buduje dom, pokoje dla przejeżdżających, sklep, piekarnię i dzięki swej pracowitości i wytrwałości staje się ponownie zamożnym człowiekiem. Nie zaznał jednak szczęścia w życiu rodzinnem. Wygnany na Sybir, pozostawił w Warszawie rodzinę i żonę, która mu prędko odumarła. W Irkucku ożenił się po raz drugi, lecz żona umarła w pierwszym połogu, zostawiwszy mu córkę. Potrzebując opiekunki dla dziecka i gospodyni, wziął za żonę niemłodą pannę, nie wiedząc o tem, że podlegała okresowym napadom szału. Wiele lat się z nią męczył, chciał umieścić w zakładach dla umysłowo chorych to w Irkucku, to w Kazaniu lub Moskwie, lecz nigdzie się to nie udawało, dla braku miejsca, lub skutkiem niedostatecznych formalności. Wreszcie po długich staraniach udało się stwierdzić u niej chorobę umysłową i umieścić ją w szpitalu w Irkucku, gdzie wkrótce życie zakończyła.

Głębocki, najstarszy z Polaków i stały mieszkaniec Troickosawska, życzliwie i serdecznie witał każdego przybywającego tu rodaka. W jego domu nieraz zgromadzała się szczupła nasza gromadka,

tem więcej, że miał młodą podrastającą córkę i przy niej starszą osobę jako gospodynię domu.

W doroczne święta, jak naprz. w wilję Bożego Narodzenia, zbieraliśmy się u poczciwego Głębockiego przełamać się opłatkiem. Zbierał on też nas u siebie na święta wielkanocne, a przyjazd co lat parę księdza na dni kilka, stawał się szczególną uroczystością, na którą gromadziliśmy się wszyscy u naszego senjora. Gorąco brał do serca wszelkie sprawy narodowe i materjalnie je popierał, a według możności sprowadzał książki i gazety. Do końca życia czuł się zupełnie rzeźkim. Pamiętam, jak na kilka tygodni przed śmiercią wbiegał lekko po drabinie i zwinnie chodził po dachu. Umarł w 85 r. życia na zapalenie płuc.

O mieszkanie w Troickosawsku było nadzwyczaj trudno, można je było znaleźć tylko przypadkowo po jakimś wyjeżdżającym urzędniku, lub po zbankrutowanym kupcu. Nikt nie budował domów na wynajęcie, a tylko dla siebie. Wynajmowało się zwykle nie to, co się chce, a to, co się zdarza. Początkowo wynajęliśmy trzy małe pokoiki umeblowane z kuchnią, płacąc miesięcznie po 15 rubli. Po kwartale znaleźliśmy mieszkanie w parterowym domu, niskie i ciemne, za 20 rubli miesięcznie. Gospodarze byli zbankrutowanymi kupcami, którzy wskutek pijaństwa doszli do nędzy. Mieszkali w podwórzu i od nas ściągali czasem drzewo, a nieraz dobierali się i do spiżarni. Zaledwie po czterech latach przypadek zrządził, że sąsiadka nasza, wdowa po kupcu, niegdyś zamożnym, przeniosła się na dół, a górne piętro, składające się z sześciu pokoi nieźle umeblowanych z pięknemi wielkiemi wazonami kwiatów, firankami i dywanami wynajęła nam. Dom był drewniany, na węgieł zbudowany, zimą nadzwyczaj ciepły, z doskonałemi hermetycznemi piecami. Miał tę niedogodność, że kuchnia i składy były daleko w dziedzińcu według zwyczaju zamożnych kupców miejscowych. To mieszkanie kosztowało po 25, a później po 30 rubli miesięcznie. Mieszkaliśmy w tym domu 12 lat, pozostając w wielkiej zgodzie z gospodynią, aż do naszego wyjazdu z Troickosawska.

* * *

Według rady Potanina, po przyjeździe do Troickosawska poszedłem z jego listem do zamieszkałego od lat 8 w Troickosawsku Czaruszina, miejscowego fotografa, od którego zasięgnąłem wiadomości, dotyczących miasta i jego mieszkańców. Był to starszej generacji rewolucjonista, jak sam siebie nazywał, lat czterdziestu kil-

ku, wysoki, szczupły, bardzo mizerny, o ryżych sterczących w nieładzie włosach i czerwonej twarzy. Pochodził z Wiatki, szczycąc się, że jest to gubernja, mająca samorząd ziemski najbardziej postępowy. Oboje z żoną od lat młodych uczestniczyli w spiskach, będąc pionierami ruchu wolnościowego „Ziemli i Woli". Czaruszin, sądzony jako student Instytutu technicznego, odbył karę 7-letniego więzienia w samotnej celi w fortecy szliselburskiej, pozbawiony możności obcowania z ludźmi i mówienia, co wpłynęło na jego fizyczną i duchową postać. Wychudł znacznie, z dawnego marzyciela stał się pesymistą, małomównym, jąkał się przytem i wciąż z cicha pokaszliwał. Natomiast żona, gorętszego temperamentu, córka popa, niegdyś słuchaczka Wyższych Żeńskich Kursów, podtrzymywała stosunki towarzyskie i wciągała do nich odludka męża. Była to z jednej strony rewolucjonistka, hołdująca postępowym i socjalnym idejom, z drugiej występowały w niej uczucia szowinistyczne. Podniecał ją widok wojska rosyjskiego i imponowała siła oręża. Współczując losowi nomadów, oburzała się na nieludzkie ich traktowanie przez urzędników, a tymczasem obojętna była, jak i wielu jej ziomków, na prześladowania innych narodowości i tłumienie ich ruchów wolnościowych. Uwolniony ze Szliselburga, Czaruszin został zesłany z rodziną do robót ciężkich w Nerczyńsku, a stamtąd na osiedlenie do Troickosawska. Otworzył tu pierwszy zakład fotograficzny i wydoskonalił się w swym zawodzie. Pomimo wysokich cen, nowość ta ściągała wielu amatorów fotografowania się z pośród nie tylko Rosjan, lecz Burjatów oraz Mongołów i Chińczyków. Czaruszin jako fotograf uczestniczył w jednej z ekspedycyj Potanina do Mongolji, zrobił tam wiele wybornych zdjęć typów etnograficznych, widoków miast i okolic. Cieszył się on wielkim mirem wśród zesłanych politycznych Rosjan i podtrzymywał z nimi stosunki. W domu Czaruszina ześrodkowywało się całe bardziej kulturalne towarzystwo Troickosawska. Naturalnie, nie było tu ani wystawnych przyjęć, ani napojów. Czaruszynowie przyjęli nas bardzo gościnnie, służąc wskazówkami co do mieszkańców Troickosawska i odległej o 3 wiorsty od miasta osady kupieckiej Kiachty. Stosunki zażyłe z domem Czaruszynych przetrwały przez czas długi, aż do ich wyjazdu.

Wspomnę jeszcze o kilku typach rosyjskich rewolucjonistów, których tu spotkaliśmy. Pietrow, zwany Mikołajem Mikołajewiczem, pochodził z Ukrainy. Wyrósł w domu swego ojczyma Polaka Wróblewskiego, stąd rozumiał i czytał po polsku. Już w szkołach, w Kijowie zaczął konspirować, a miał do tego wszelkie zadatki wrodzone, temperament nierówny, kobiecy, nadzwyczaj przeczulony, zmienny.

Cierpiał na neurastenję, jak mówił, odziedziczoną po matce. Po skończeniu szkół był w uniwersytecie. Mając skłonności artystyczne, zajmował się muzyką, występował jako śpiewak w operze, wreszcie pogrążył się cały w działalności rewolucyjnej. Z początku wstąpił do partji „Ziemli i Woli", a później ewolucja idei socjalistycznej i studja Marksa zaprowadziły go jeszcze dalej. Zamieszkał w Szwajcarji wraz z innymi towarzyszami, był robotnikiem — stolarzem, przyjeżdżając czasem do Rosji w celach propagandy rewolucyjnej. Jedna z adeptek szkoły położnych, należąca do partji, widząc w nim ideał poświęcenia dla sprawy wolnościowej, postanowiła z nim cierpieć i wziąwszy ślub w kijowskim więzieniu udała się razem na Syberję Wschodnią do ciężkich robót w Nerczyńsku. Po odbyciu kary zamieszkali na osiedleniu w Troickowsku. Żona znalazła zajęcie jako felczerka i akuszerka w szpitalu miejskim, sam zaś Pietrow, człowiek sympatyczny i zdolny, posiadający dużo wiadomości, lecz kapryśny i niezrównoważony, rzucał się do rozmaitych zajęć, które go prędko nudziły. Początkowo miał warsztat stolarski, później wyrabiał świece i mydła, wreszcie od wyjeżdżającego Czaruszina nabył zakład fotograficzny. Po paru latach sprzedaje go i znowu poświęca się sprawom socjalno-rewolucyjnym. Przez jakiś czas zamieszkiwał w Szwajcarji i w Paryżu, chociaż zdaje się, że już wówczas nie poszedł ze skrajnymi bolszewikami, lecz na prawo. Gdy wrócił do Troickosawska, stosunki z żoną popsuły się zupełnie. Już nie mówiąc o tem, że pomiędzy nimi stanęła inna kobieta, zmieniły się zupełnie zapatrywania żony. Patrzyła ona na wszystko realnie i praktycznie i raziło ją wieczne uganianie się za ideałami, nie mającemi się nigdy spełnić. Małżeństwo to się rozstało. On wyjeżdża do Szwajcarji, a ona do rodzinnej Połtawszczyzny, szukać tam pracy. Podczas wielkiej wojny w r. 1915 bawiąc w Petersburgu spotkaliśmy go, poczem od czasu do czasu nas odwiedzał. Po pół wieku zwątpił w celowość sprawy, której poświęcił tyle sił i czasu, skłaniając się raczej do silnych rządów monarchistycznych. Patrzał sceptycznie tak na rządy Kiereńskiego, jak i bolszewików, nie wierząc, aby który się z nich utrzymał.

Do starszego pokolenia partji należeli prócz Klementza, Czaruszina, Pietrowa, Jakób Stefanowicz. Pamiętam go jeszcze z czasów moich studenckich w Kijowie, z lat 70 zeszłego stulecia, jak zajmował się propagandą wywłaszczania w Czehryńskiem. Później propaganda ta rozszerzyła się z kijowskiej na przyległe gubernje, a w charkowskiej przybrała ruch żywiołowy wśród chłopstwa. Zaczęto zabierać pańskie majątki, parcelować ziemię i rąbać lasy aż dopiero gubernator miejscowy ks. Oboleńskij ruch ten utopił w potokach krwi.

Spotkałem się ze Stefanowiczem po wyjściu jego z robót ciężkich, wespół z towarzyszem Szaferem. Obaj przybyli do Troickosawska jako osiedleńcy. Byli to starcy, złamani życiem, poza kawałkiem chleba nic już nie żądający od świata.

Inną zupełnie była późniejsza generacja zesłanych. Do ich przedstawicieli należał przybyły przy nas do Kiachty 25-letni Iwan Iwanowicz Popow, zesłany administracyjnie, wychowaniec Petersburskiego Pedagogicznego Instytutu. W kółkach rewolucyjnych stolicy spotkał się z córką bogatego kupca kiachtyńskiego, Łusznikowa, i ożenił się z nią. Czas jakiś zamieszkiwali w Paryżu, a kiedy później Popow za należenie do partji rewolucyjnej skazany został na zesłanie, wyrobiono mu przez stosunki pozwolenie zamieszkać z żoną u teściów. Przez Czaruszynych poznajomiliśmy się z Popowymi. Żyli oni u rodziców wystawnie, po kupiecku, urządzali przyjęcia, mieli konie, powozy i liczną służbę. Iwan Iwanowicz był chłopcem sympatycznym, lecz płytkim frazeologiem, lekceważonym przez starsze pokolenia zesłanych. Lubił występy publiczne, towarzystwo, mowy, szumne artykuły w gazetach, obchody i t. p. Tego samego usposobienia była jego żona, Wiera Aleksiejewna. Korzystając ze środków rodziców, grała rolę kobiety bardzo postępowej i działaczki społecznej, uczyła w szkole niedzielnej, była czynna w bibljotece, założyła szkołę kroju, urządzała zebrania, wszędzie jej było pełno, lecz nie widać było wyników jej pracy. Stary i poważny w Kiachcie kupiec, teść Popowa, chcąc dać mu jakieś stanowisko, kupił mu w Irkucku dom, drukarnię i gazetę „Wostocznoje Obozrenje", której Popow był przez lat kilka wydawcą i redaktorem. W Irkucku wszedł w świat urzędniczy, podtrzymywał stosunki z jenerał - gubernatorem i władzami administracyjnemi, wygłaszał mowy, jednem słowem, chociaż miał w gronie swych współpracowników zesłanych politycznych, starał łączyć swój liberalizm z ugodowością, czem naraził się towarzyszom. Z żoną zgodnie nie żył. Przy bezładnem życiu stracili swe zasoby i przenieśli się do Moskwy. Z obozu socjalistów Popow przeszedł na prawo do kadetów i pracował jako literat w różnych czasopismach. Typów w rodzaju Iwana Iwanowicza spotykałem więcej, szczególnie w gronie zesłanych później. Idejowcy wśród nich należeli do wyjątków.

Klasa czynowników i kupców w Troickosawsku stanowiła świat zupełnie odrębny, z którym nie podtrzymywaliśmy stosunków towarzyskich. Pomiędzy urzędnikami byli rozmaici, lecz wogóle mogę powiedzieć, że skład urzędników na kresach wschodnich Rosji był o wiele lepszy niż na zachodnich. Łapówek tu nie brano, chyba wyjątko-

wo, może dlatego, że Sybirak nie był tak skory do dawania. Żydów prawie nie było, a przytem wśród ludności urzędnicy stali jakby na świeczniku jako jednostki kulturalne. Działalność ich podlegała opinji publicznej, pewnej kontroli i krytyce. W Rosji europejskiej w byłej Kongresówce lub na Litwie, największą sposobność do łapówek dawały zwykle pobory rekruckie. Na Syberji uczestniczyłem w nich przez lat kilkanaście i nie słyszałem, ażeby dopuszczano się jakich nadużyć i łapownictwa. W pierwszych latach wyjazdy na pobór przedstawiały dla mnie pewien interes naukowy, poznania kraju i ludzi, których badałem, lecz później stały się uciążliwe wskutek znacznych przestrzeni. Jeżeli nie można było obwiniać urzędników o przedajność, to zato podlegali strasznej pladze miejscowej, pijaństwu. Niżsi urzędnicy i policjanci byli przeważnie pochodzenia miejscowego, wyżsi zaś rekrutowali się z najprzeróżniejszych okolic Rosji, — Petersburga, Turkiestanu, Kazania, Kijowa, lub Warszawy. Były to ptaki przelotne które najczęściej po 3 lub 4 latach odlatywały w dalsze kraje na wschód, aż nad brzegi oceanu wschodniego. Treścią życia urzędnika były karty i pijaństwo. Kupiectwo miejscowe Kiachtyńskie, nazywające siebie „imienitem" („znamienitem"), mające z handlu i z kontrabandy znaczne zyski, łatwo je traciło, zwłaszcza wskutek przysłowiowej rosyjskiej gościnności. Przyjmowanie urzędników uważane było poniekąd za zaszczytne. Jeszcze do niedawna był u moskiewskiego kupiectwa zwyczaj wydawać córki za jenerałów, a dla ozdoby uroczystości rodzinnych, ślubów, chrztów, lub pogrzebów zapraszano wybitnych wojskowych, lub czywilnych, chociażby obcych. Każdy urzędnik omal że codziennie mógł w domu kupieckim obficie zjeść i wypić, a nawet upić się, wreszcie pożyczyć pieniędzy i nigdy nie oddać, czego za występek nie uważano. Kupcy w rocznym budżecie miewali wypisaną pewną kwotę jako pożyczkę dla urzędników. Takich, którzy się nie bratali z kupcami, nie chcieli jak mówiono „dzielić z nimi chleba i soli", nazywano ludźmi nietowarzyskimi i dziwakami. Ponieważ bywałem tylko wyjątkowo na przyjęciach oficjalnych, a pożyczek nie zaciągałem, wiedziano przytem że nic ni piję, nazywano mię „hardym Polakiem" i prawdziwym arystokratą.

Część kupiectwa zamieszkiwała w Troickosawsku, lecz głównem siedliskiem ich była Kiachta. W początkach XVIII wieku na granicy Chin została założona warownia, nazwana Troickosawskiem od cerkwi Św. Trójcy, połączonej z imieniem pierwszego jej założyciela posła rosyjskiego, Sawy Władisławowicza, Iliryjczyka, który tu przybył dla zawarcia traktatu handlowego z Chinami. Później dopiero

założono osadę Kiachtę i zaludniono ją emerytowanymi żołnierzami, dając im grunta i zachęcając do budowy domów i do handlu z Chińczykami. Początkowo sprowadzano rebarbarum, jako środek leczniczy, potem herbatę. Tą jednak był handel tylko dorywczy, przerywany częstemi napadami i grabieżą. Dzięki wszakże energji ówczesnego komisarza pogranicznego Mongolji, naszego ziomka Aleksandra Despoty Zenowicza, w r. 1860 została zorganizowana pierwsza osobna karawana z surowcami, która pod ochroną kozaków odeszła z Kiachty do Chin i po rozsprzedaniu towarów wróciła z herbatą. Od tego czasu nawiązał się prawidłowy zamienny handel, i obrót w kilka lat dosięgnął 50 miljonów rubli, a wywozowy 4 miljony. Handel ten przetrwał lat około czterdziestu, do czasu, gdy znaczniejsze transporty herbaty zaczęły iść morzem na Odessę, a zaledwie czwarta część drogą lądową przez Kiachtę. Zbudowana od r. 1902 kolej transsyberyjska skierowała ten handel znowu na inne tory i powoli stary południowy trakt przez Kiachtę zaczął porastać trawą, służąc jedynie na potrzeby miejscowe. Upadek ostateczny handlu przez Kiachtę nastąpił w r. 1905 po wojnie japońsko-rosyjskiej, która spowodowała zwinięcie znaczniejszych firm i przeniesienie ich do Moskwy.

Troickosawsk posiadał do $8^1/_2$ tysięcy mieszkańców, a Kiachta w najświetniejszym czasie jej handlowego rozwoju około tysiąca. Po środku przechodziła szeroka brukowana ulica, zasadzona drzewami, do polewania których wodę sprowadzono ze źródeł. Po obu stronach alei stało kilkadziesiąt domów murowanych i drewnianych z gospodarczemi zabudowaniami kupców. W końcu osady mieścił się wielki skład herbaty (czajnyj dwor), w którym odbywało się rozsypywanie herbaty listkowej sypkiej (bajchowoj) i układanie prasowanej w cegiełki (kirpicznoj), której użycie bardzo się rozpowszechniło wśród włościan Syberji i Rosji Wschodniej. Tutaj mieściła się i komora celna dla towarów, idących do Chin i do Rosji. Kiachta stanowiła bodaj jedyną osadę kupiecką w swoim rodzaju. Posiadała swą gminę, zarząd, wybierała członków, odbywała posiedzenia i rozporządzała swemi funduszami. Składała się ona z kilkunastu firm handlowych i rodzin kupieckich. W każdej firmie było po kilku i po kilkunastu pracowników, i wiele służby, która nieraz wielokrotnie przekraczała liczbę osób w rodzinie. W każdym domu był ekonom, gospodyni i jej pomocnice, kilku lokai, kucharzy, kuchcików, furmanów, fornali, stróżów i t. d. Życie tu jednem słowem płynęło na modłę azjatycką. Robotnicy w składach herbaty dzielili się na kategorje, jednych specjalnością było rozsypy-

wanie herbaty, drugich zaszywanie „cybików" w skóry i płachty i oznaczanie godłami. Prosty robotnik zarabiał nieraz więcej, niż przeciętny carski urzędnik, bo od 2 do 4 rubli dziennie, a niekiedy i więcej. Składnica herbaty zatrudniała koło 500 robotników, którzy zamieszkiwali z rodzinami w Troickosawsku i codziennie przychodzili na roboty do Kiachty. Główny ruch był tu zimą, kiedy przychodziły karawany z herbatą z letnich zbiorów. Często bywało, że jeden brat lub krewniak, był miljonerem kupcem, drugi robotnikiem. Troickosawsk żył z zarobków, których dostarczała Kiachta. Robotnicy zwykle zarobione pieniądze przepijali i w jesieni znowu stawali się hołyszami.

Największa firma kupiecka w Kiachcie była Niemczynowa. Założycielem jej był Jakow Niemczynow, rodem z Naryma nad Obią. Jako młody chłopiec przybył do Kiachty i służył według miejscowego wyrażenia jako pokojowiec (gornicznyj) u bogatego kupca, czyścił buty i nakładał fajki, ale, przechodząc różne stopnie hierarchji służbowej, stał się urzędnikiem, ekonomem, subjektem handlowym, wkońcu na własną rękę zaczął robić operacje handlowe i został kupcem. Nadomiar dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, kopalnie w Badajbie nad Leną zasypały go złotem, robiąc najbogatszym człowiekiem nie tylko w Kiachcie, lecz i w Syberji. Wydawał rocznie przeszło pół miljona, najwięcej na utrzymanie służby i koni. Objadano się u niego, wypijano moc trunków, szampana i win, których znaczna część tonęła wśród ekonomów i służby. Niemczynów utrzymywał około 75 osób służby i przeszło 100 koni na stajni dla swych potrzeb osobistych, ale i najskromniej żyjący w Kiachcie kupiec, utrzymywał 10 osób służby i 15 koni. Nabab kiachtyński, Jakow Iwanowicz Niemczynow, był człowiekiem starym, złożonym od lat wielu ciężką niemocą sklerozy opon rdzenia kręgowego. Z nieruchomą wdół opuszczoną głową, wykręconemi rękami, był zwykle wożony w wózku, jak złośliwie o nim wyrażano się był „światymi moszczami" (świętemi relikwjami). Sześciu lokai, zwanych niańkami, obsługiwało i woziło na zmianę miljonera, pod dozorem domowego lekarza, którym był sybirak, niejaki Porotow, pielęgnujący chorego i pobierający za to 18 tysięcy rubli rocznej pensji, prócz utrzymania dla rodziny, koni i t. p. Porotow miał możność na tej służbie, nawpół lokajskiej, nie zawsze licującej z powołaniem lekarza, zebrać znaczny fundusz.

Niemczynow miał kilka córek, które powydawał zamąż za swych t. z. „kantorszczyków", dając sute posagi i interesy dobrze prosperujące. Wszyscy jednak zięciowie pomimo pomocy Niemczynowa wielo-

krotnie bankrutowali. Najmłodszy z dzieci, jedynak syn, Andrzej, kiedym przyjechał, miał lat około 30, zdrów i silny. Pieszczony przez rodziców uczyć się nie chciał, od lat młodych chowany w towarzystwie lokai i furmanów i wciągnięty do pijaństwa, urządzał istne orgje, któremi się Sybiracy gorszyli. Namówiono go do żeniaczki z ubogą nauczycielką, sierotą Bujwidówną, córką Polaka, byłego wojskowego, niegdyś troickosawskiego policmajstra, człowieka bardzo z natury zdolnego, lecz hulaki i niestałego. Posiadał on wielką zdolność składania rymów i improwizowania wierszy. Prof. Benedykt Dybowski znał go dobrze i mówił mi, że dar ten jest właściwy mieszkańcom Nowogródzkiego i okolic przyległych, skąd pochodził i Bujwid, i że tam ludzie nawet mało piśmienni, lub analfabeci dziwną mają łatwość mówienia wierszem po polsku lub białorusku. Jeżeli przypomnimy sobie, że stamtąd pochodził największy wieszcz polski i współcześni mu poeci — koledzy z czasów filareckich, to byłoby to nadzwyczaj ciekawą do zbadania cechą antropologiczną ludności tej ziemi. Matka Bujwidówny, Rosjanka, pochodziła z rodziny kupieckiej bardziej naówczas kulturalnej i postępowej, Spieszyłowych. W domu ich zbierała się inteligencja miejscowa, urzędnicy przybyli z Rosji i polityczni zesłani, Polacy i Rosjanie. W tem ściślejszem kółku najczęstszym gościem bywał ówczesny gubernator pogranicznej Mongolji Despota Zenowicz i jego najbliżsi współpracownicy, później zajmujący wysokie stanowiska w Petersburgu, jak baron Wolff, Mercałow, konsul Sziszmarow, Michał Bakunin, znany rewolucjonista, historyk Morawski, wielki patrjota Henryk Krajewski, który po wyjściu z robót ciężkich, gdzie jak wiadomo był męczony i torturowany, znalazł odpoczynek w domu Spieszyłowych jako nauczyciel ich dzieci, wreszcie sprowadzony do Kiachty z Warszawy, malarz Rejchel, który malował tu obrazy do nowo-wzniesionej świątyni prawosławnej, kosztującej wiele miljonów, Rejchel w obrazach tych upamiętniał niektóre postaci zesłanych Polaków, jak to słyszałem od Zenowicza. Z córek Spieszyłowych dwie wyszły zamąż za Polaków. Jedna za Bujwida, druga za d-ra Piotra Marcinkiewicza, którego bliżej poznałem, kolegę Zenowicza z Uniwersytetu w Moskwie. Trzecia z sióstr byał żoną kupca Szwecowa, wówczas niezamożnego, który drogą, jak powiadają, nie zawsze uczciwą dorobił się miljonowej fortuny i otworzył oddział swej firmy w Moskwie.

Do starego Niemczynowa miałem list od Zenowicza, o czem zakomunikowałem synowi. W umówiony dzień, kiedy ojciec czuł się lepiej, pojechałem do Kiachty. Syn zaprowadził mię na audjencję do „papaszy", siedzącego w wózku w ogrodzie. Obok Niemczynowa sta-

ło dwóch służących. Chory miał głowę wdół spuszczoną, oczy zamglone, patrzące z podełba, twarz bladą, jakby papierową, palce przykurczone z powtykaną między nie watą. Robił wrażenie trupa. Syn podszedł do ojca i głośno mu powiedział, że mam polecone od Aleksandra Iwanowicza kłaniać mu się i dowiedzieć się o jego zdrowie. Na to stary coś niezrozumiałego wybąkał, jak by podziękowanie, a ja z obowiązku musiałem coś odpowiedzieć i, oddawszy mu ukłon zdaleka, uważałem za właściwe odejść. Zatrzymano mnie jednak na obiedzie. Poznałem wtedy żonę jego, o której wiedziałem, że po polsku mówi, lecz później, kiedym nieraz bywał u niej jako lekarz, nigdy się do mnie w tym języku nie odezwała. Po obiedzie młody Niemczynów zakomunikował mi, że, chcąc przyjść z pomocą ubogiej ludności miasta, upoważnia mnie, jeżeli się na to zgodzę, zapisywać na jego konto lekarstwa bezpłatnie, jak również dawać bardziej potrzebującym drobne zapomogi pieniężne, dla mnie zaś przeznacza jako honorarjum 3 tysiące rubli rocznie. Ponieważ nigdy i tak nie odmawiałem bezpłatnej pomocy potrzebującym chorym, ucieszyła mnie wiadomość, że będę mógł rozporządzać pewną kwotą w celach filantropijnych. Po kilku dniach ekonom Niemczynowa wręczył mi osiemset rubli. Chciałem pokwitować go, lecz nie zgodził się na to według miejscowego zwyczaju. Starałem się o ile możności zadość uczynić położonemu we mnie zaufaniu, a ponieważ suma na ówczesne stosunki była dość znaczna przy względnej taniości lekarstw, bezpłatnie zaś zapisywałem je, tylko prawdziwie ubogiej ludności, wystarczyła mi ta kwota na lat parę. Prowadziłem ścisły rejestr wydawanych pieniędzy, co pół roku zdając z nich rachunek wspaniałomyślnemu ofiarodawcy, razem z podziękowaniem. Kiedym paru sybirakom powiedział o moich rachunkach z Niemczynowym, dziwili się mojej naiwności, że nie odtrącam dla siebie honorarjum z pieniędzy danych mi na lekarstwa. Kiedy wydałem wszystkie pieniądze, zapytałem, co mam dalej robić, prosząc o uregulowanie rachunków ze mną osobiście. Otrzymałem ustną odpowiedź przez aptekarza, że Niemczynow prosi o dalsze bezpłatne zapisywanie lekarstw na jego konto dla biednych, a mnie należne pieniądze odeśle.

Umarł w tym czasie stary Niemczynow. Była to wielka uroczystość. Cała Kiachta, a w części i Troickosawsk przybrały barwy żałobne. Zjechała się cała rodzina Niemczynowych. Ulice od domu aż do cerkwi, po których szedł kondukt pogrzebowy, były wysłane kobiercami. Sprowadzono mnóstwo popów z archirejem na czele. Ciało zmarłego zabalsamowano i pochowano około cerkwi, na mogile wzniesiono potem wspaniałą żelazną cerkiewkę. Na pogrzebie wy-

głoszono kilka mów. Ubogim i mniej zamożnym rozdawano hojnie wsparcia, a potem na otwartem polu w namiotach jedzenie i napoje. Dla uprzywilejowanych urządzono wspaniałą stypę, do której w kilku salach zasiadło kilkaset osób. Zostałem również zaproszony. Przybyłem przez ciekawość, by widzieć stronę obrzędową tak bogatego pogrzebu. Stypa rozpoczęła się po modlitwie od naleśników i kaszy ryżowej z rodzynkami, później podawano mnóstwo innych potraw. Oblewano wszystkie obficie wódką i winem. Po każdej potrawie wstawano, a popi odmawiali długie modlitwy i śpiewali wieczne odpocznienie. Trwało to ku memu wielkiemu zmęczeniu godzin kilka. Wielu upiło się. Tylko syn zmarłego nic nie pił. Dziwiono się jego bohaterstwu, gdyż wszyscy wiedzieli o codziennem jego pijaństwie i różnych awanturach, któremi się gorszono.

Po pewnym czasie upomniałem się parokrotnie o moją należność, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Był to czas, kiedy Niemczynow pogrążył się w pijaństwie, nigdy się nie wytrzeźwiając, tak że niemożliwe było z nim się porozumieć. Nie szło mi tyle o otrzymanie honorarjum, ile o to, że praca moja szła i nadal na karb jego filantropji.

Na Syberji nie było w zwyczaju płacenia lekarzom nawet przez zamożniejszych, zbywali czem chcieli, przysyłając na Boże Narodzenie i na Wielkanoc pakiet z pieniędzmi, lub cybik herbaty. Oprócz tego, że leczyłem przez lat cztery ubogich bezpłatnie, byłem nadto bezpłatnym lekarzem w dwóch filantropijnych instytucjach: w „Domu pracy" i „Ochronce dla dziewcząt sierot", przez co zyskałem wśród uboższej ludności wielką popularność.

Wspomnę o innych domach kupieckich, w których leczyłem, przez co zawiązały się pewne z nimi stosunki, szczególnie z domem Sinicynych. Byli to ludzie z gruntu bardzo sympatyczni. On, syn starowierca, kupca, i matki Sabasznikowej, z rodziny również kupieckiej, bardzo znanej w Rosji ze swych kulturalnych dążności. Sinicyn, chociaż człowiek o małem wykształceniu i wiadomościach, intuicyjnie szanował naukę i wszelkie dążności kulturalne, nie żałując środków na ich popieranie. Żona jego była córką starego Niemczynowa. Oboje bezdzietni, wyjątkowo czuli na niedolę ludzką, a jak na stosunki miejscowe, ludzie wyjątkowo moralni i trzeźwi. Sinicyn w sprawach kupieckich niedołężny i łatwowierny, był wyzyskiwany i oszukiwany niejednokrotnie. Już podczas naszego pobytu interesy jego znacznie były zachwiane, a po naszym wyjeździe Sinicynowie znaleźli się na krańcu ruiny.

W Kiachcie najbardziej kulturalny był dom Łusznikowych.

Stary Łusznikow pochodził z Selengińska, pisać i czytać nauczył się od dekabrystów braci Bestużewych, czem się szczycił i święcie czcił ich pamięć. Dzięki dekabrystom, czuł pewną sympatję dla zesłanych Polaków, których znał wielu. Pod wpływem swych pierwszych nauczycieli zasmakował w czytaniu, w wiedzy, a dorobiwszy się majątku sprowadzał wiele książek i gazet i był hojnym mecenasem oświaty. Przyczynił się do założenia w Troickosawsku szkoły realnej, żeńskiego gimnazjum, ochronki dla sierot, szkół ludowych, czytelni i bibljoteki liczącej wówczas przeszło 20.000 tomów, wspierał wydawnictwa nowo-założonego oddziału Towarzystwa Geograficznego, dawał środki na powiększenie jego muzeum i t. d. W poglądach swych ludzki i wyrozumiały, przy wrodzonym dowcipie, smagał ciemnotę i zacofanie kupców i ich oszukaństwo. W domu Łusznikowych znajdowali zwykle gościnę zesłani polityczni, różni podróżnicy i uczeni, przejezdni. Łusznikow złożony był od lat wielu ciężką niemocą wiądu rdzenia i mógł tylko o kiju się poruszać, czasem w powozie jeździł na spacer. Nigdzie bodaj nie spotykałem tylu paralityków i cierpiących na porażenie rdzenia kręgowego jak we Wschodniej Syberji. Łusznikow ożenił się w starym wieku ze znacznie młodszą od siebie dziewczyną, z bogatego, lecz zbankrutowanego rodu Kandińskich, obarczonego ciężką neuropatyczną skazą dziedziczną.

Inaczej wyglądał dom Mołczanowych. Wśród rosyjskiego kupiectwa było kilka wielkich firm tego nazwiska, mających swe domy handlowe w Rosji i w Chinach. Protoplastą ich w Kiachcie był siedemdziesięciokilkoletni starzec Nikołaj Łukicz Mołczanow. Rodzice jego starowiercy w pierwszej ćwierci XIX w. wstąpili do nowej sekty pochodzącej z Rosji, która obrała sobie główne siedlisko o 160 wiorst od Troickosawska w malowniczych górach nad Czykojem na pograniczu Mongolji opodal wsi Urłuku. Wałęsało się wówczas po Syberji mnóstwo włóczęgów, chłopów zbiegłych z Rosji, bandytów, wreszcie uciekających z robót ciężkich. Władze wszystkich takich ludzi bez dokumentów więziły, karały chłostą i zsyłały do robót ciężkich, lub na osiedlenie w Syberji. Około r. 1830 przywędrował nad Czykoj niejaki starzec Warłaam, bez nazwiska i o nieznanej przeszłości. Zbudowawszy sobie w górach ziemiankę, oddał się modlitwie, żywiąc się produktami leśnemi i pędząc żywot pustelniczy. Ludność okoliczna dostarczała mu żywności, uważając go za człowieka sprawiedliwego. Zczasem zdobył sobie takie zaufanie w okolicy, że z dalszych stron go odwiedzano, a kiedy zrodziła się u niego myśl zbudowania około ziemianki cerkwi i klasztoru, posypały się obfite składki szcze-

gólnie z kupieckiej Kiachty. Po pewnym czasie władze i duchowieństwo wzięły również udział w budowie stacji misyjnej dla nawracania Burjatow, a cerkiew i przy niej klasztor przyłączono jako filję do większego monasteru koło wsi Posolskoje nad Bajkałem. Przyjęto kilku zbiegów, z których składał się pierwszy nowicjat i przysłano przełożonego, mnicha, poprzednio skazanego na osiedlenie w klasztorze za sekciarstwo, rzekomo nawróconego. Przybywszy nad Czykoj rozpoczął on dawną propagandę, która z łatwością szerzyła się wśród braciszków klasztornych, sąsiednich włościan i przyjeżdżających kupców Kiachtyńskich. Była to prawdopodobnie sekta chłystowska, bardzo rozpowszechniona wśród Rosjan w gubernjach środkowych i wschodnich. Początek jej datuje się od połowy XVII w., jednocześnie z odszczepieniem się od cerkwi staroobrzędowców, którzy nie chcieli przyjąć nowych ksiąg liturgicznych. Car Aleksiej Michajłowicz i patrjarcha Nikon rozpoczęli gwałtowne prześladowanie tych sekt, jak i innych np. sekciarzy biczujących się i skaczących, kwakerów, adamitów, irwingjanów i t. d. Wiara chłystów w wędrówkę dusz była bodaj zapożyczoną z wierzeń dalekiego Wschodu. Należy tu wcielenie się bóstwa w człowieka, który w ten sposób staje się bogiem, lub Chrystusem, a więc z punktu widzenia mistyczno-panteistycznego pojawiać się może wiele mniejszych chrystusów, walczących z sobą i ten uzyskuje pierwszeństwo, który z większem zaparciem znosi zniewagi. Chłystowie propagowali powstrzymywanie się od napojów wyskokowych, równość stanów, braterstwo, pomoc wzajemną i nadto wierzyli, że każdy człowiek może zostać prorokiem, a nawet Chrystusem. Sekta ta tolerowała wolną miłość, która nawet wchodziła do obrządków kościelnych. Nabożeństwo rozpoczynało się zwykle w cerkwi modlitwą, śpiewem, potem następowały biczowania wzajemne doprowadzające do ekstazy, a w końcu grzech ogólny. Nazwa sekty chłystowskiej miała pochodzić od słowa chłyst (bizun), sami zaś sekciarze wyprowadzają ją od skażonego jakoby słowa Chrystus. Wśród tych sekciarzy powstało wielu chrystusów, większych i mniejszych, najświętszych panien i różnych apostołów, przed którymi lud padał na klęczki, żegnał się i modlił. Ci żywi bogowie z wiarą w przesiedlenie dusz tak bardzo przypominają sparodjowany buddyzm i doktryny lamaizmu tybetańskiego z ucieleśnionymi świętymi „chubiłganami"! Od czasu do czasu sekciarzom w Rosji wytaczano procesy, które potem przycichały, a sekty szerzyły się dalej. Pierwszy głośniejszy odbył się przeciw chłystom w r. 1733 w Moskwie, kiedy to zasądzono 78 osób. Siedliskiem głównem był klasztor żeński. Przełożoną i dwóch przeorów skazano na ścięcie, innych

sekciarzy wysłano do odległych klasztorów. W kilka lat potem, mianowicie w r. 1740, znowu odbył się sąd nad wyznawcami tej sekty, do której należało wielu duchownych, świeckich i z arystokracji. Śledztwo wykazało kilkuset winnych, których zesłano do robót ciężkich, częściowo osadzono w różnych odległych monasterach, gdzie stali się siewcami swej nauki.

Nauka sekty chłystowskiej została zaniesiona do monasteru Czykojskiego, znajdując prozelitów wśród rodziny kupieckiej Mołczanowych. Nikołaj Łukicz, wówczas 16-letni chłopiec, był chrystusem, a starsza od niego siostra najświętszą panną. Później zostali oni skazani na pokutę kościelną. Pierwsze śledztwo, wszczęte w tej sprawie, nic nie wykryło, gdyż urzędnicy byli przekupieni. Po ponownem rozpatrzeniu przez władze przysłane z Petersburga, przełożony klasztoru został zesłany, innym uczestnikom wymierzono różne kary. Pustelnik Warłaam w herezji nie uczestniczył, a odpowiadał za to, że jej potakiwał i nie stawiał oporu. Za moich czasów klasztor ten był zbiegowiskiem różnych bandytów i ludzi podejrzanych, tak, że w nocy obawiano się koło klasztoru przejeżdżać. Był on siedliskiem przestępstw kryminalnych, grabieży, bójek i zabójstw, w których, mnisi uczestniczyli. Jako lekarz sądowy, byłem wzywany nieraz do orzeczenia w tych sprawach. Pamiętam, jak na sądzie zwracał na siebie uwagę pomiędzy innymi mnichami o zbójeckich twarzach, jako świadek protodjakon katedralnego soboru z Czyty, zesłany za pijaństwo do monasteru. Był to chłop lat czterdziestu kilku, którego gruba figura, twarz bez zarostu i głos cienki sprawiały wrażenie niewiasty. W lat parę potem, a mianowicie w r. 1906, faworyt archireja przywieziony przez niego z Rosji i przez lat 20 przy jego boku pozostający, umarł z pijaństwa. Przełożony klasztoru nie wiedział, co ma począć, gdyż po śmierci djakona wobec całego zgromadzenia okazało się, że był kobietą. Podejrzewając stosunki pomiędzy archirejem a zmarłą, nie ośmielono się donieść o tem „jeho preoświaszczeństwu" i pochowano zmarłą jako protodjakona. Sekciarstwo i dotąd w Rosji nie zamarło pomimo propagandy niewiary, szerzonej przez rządy bolszewickie. W duszy rosyjskiej głęboko tkwi wiele pierwiastków wschodnich i skłonności do mistycyzmu, którego nie wyrwie cynizm doktrynerów moskiewskich. Jak silne były w Rosji prądy sekciarskie, dowodzą ostatnie czasy upadającego cesarstwa, kiedy sfery zwane wyższemi podpadły wpływowi Rasputina, Badmajewa i umysłowo-chorego Protopopowa, a pod patronatem panujących odbywały się praktyki chłystowskie w przydwornej cerkwi w carskiem siole.

Kupiectwo kiachtyńskie wyróżniało się zasadniczo od kupiectwa rosyjskiego a zwłaszcza moskiewskiego. Kiachtyńcy mieli pozór europejczyków. Ubrani według mody, poprawną mową i zachowywaniem się towarzyskiem nie wyróżniali się od przeciętnego półinteligenta, tymczasem kupiectwo moskiewskie stanowiło dzięki ubiorom, mowie i przyzwyczajeniom oddzielną zamkniętą warstwę. Spójnią ich była odrębność zamknięta interesów, przekładanych nad państwowe i społeczne, chęć błyszczenia, niska obyczajowość i częste wspólne pijaństwa. W Moskwie używano czystej wódki, kiachtyńcy zaś pili drogie wina i szampan. W Kiachcie treścią życia było objadanie się i upijanie się przy każdej okoliczności. W piciu niewiasty nie ustępowały mężczyznom. Panie, zaliczające siebie do sfery inteligentnej, utworzyły klub damski w celu uprawiania pijaństwa. Klub miał lata swego rozkwitu, w końcu upadł, lecz nałóg u wielu pozostał. Kupcy szczycili się swą przysłowiową gościnnością, t. z. *„chlebosolstwem"*. Na uroczystościach i przyjęciach, na których zdarzało mi się niekiedy bywać, podziwiałem ustrój demokratyczny, od którego my ze starszą cywilizacją odeszliśmy. W domu miljonera za stołem biesiadnym można było spotkać brata wyrobnika; obok modnej damy, sprowadzającej toaletę z Moskwy lub Paryża, siedziała jakaś kuzynka ubogo ubrana, lub ciotka z chustką na głowie. Najbogatszy nie wstydził się przyznać do pokrewieństwa z najuboższym.

ROZDZIAŁ XVI.

Osada chińska obok Kiachty. — Warunki życia w Troickosawsku. — Plaga pijaństwa wśród tamtejszej ludności i niski poziom jej moralności. — Administracja w Kraju Zabajkalskim i jej wady. — Lekarze w Troickosawsku. — Moje obowiązki służbowe i działalność naukowa. — Wspomnienie o Aleksandrze Despocie Zenowiczu.

O kilkadziesiąt metrów na południe za Kiachtą przechodziła granica chińska, właściwie Mongolji. Na kamienistym i pustynnym stepie za wysoką glinianą ścianą wznosiły się już budynki Majmaczenu (osady chińskiej), parterowe z ubitej gliny, z małemi dziedzińcami i bramami, o szybach z cienkiego papieru z różnemi chińskiemi rysunkami. Wygląd Majmaczenu o wyniosłych dachach z rzeźbionemi gryfami i różnobarwnie malowanemi smokami w stylu chińskim, o wąskich uliczkach, stanowił zupełny kontrast do Troickosawska i Kiachty. Na mocy prawa zwyczajowego, uświęconego przez wieki w Majmaczenie mogła przebywać tylko ludność męska, której liczba dochodziła do $2^1/_2$ tysięcy. Kobiety jak wiadomo, nie przekraczały nigdy po za wielką ścianę północną, a pobyt mężczyzn uważano tylko za czasowy, bo każdy obowiązany był wrócić do ojczyzny. Wpływało to niekorzystnie na rozprzestrzenienie się i rozrodzenie na obcych terytorjach Chińczyków, którzy, dusząc się na własnem, nie mogli zasiedlić ziem nowych. Pierwsze wpływy kulturalne Chińczyków w tych okolicach sięgają czasów bardzo odległych, kiedy południowy pas Syberji zajmowały plemiona krwi tureckiej. Ślady tego znajdujemy w wyrobach, monecie, w narzędziach rolniczych i innych przedmiotach, spotykanych, bądź luźnie, bądź w mogiłach. W późniejszych grobach znajdują się t. z. „czochy" (monety chińskie) dość wczesnego okresu. Wpływ ten kulturalny musiał ustać od XIII w. po najściu dzikich hord mongolskich.

W ciągu mego kilkunastoletniego pobytu w Zabajkalju, mogłem spostrzegać, jak corocznie się zwiększał prąd emigracyjny Chińczyków do Wschodniej Syberji. Kiedyśmy przyjechali do Troickosawska, Chińczycy z Majmaczenu przychodzili tylko na krótko do miasta z towarami, nie osiedlając się tam na stałe, nie było ich wówczas i we wsiach pogranicznych Syberji. Po latach kilkunastu Troickosawsk posiadał kilkadziesiąt sklepików chińskich, w których znajdowało się dla zamydlenia oczu nieco towarów, a głównemi przedmiotami tajnego handlu był makowiec do palenia i *chańszyn*, wódka chińska samorodna, pędzona z najniższych traw, zawierająca wiele jadowitych olejów, działających fatalnie na ustrój nerwowy. Ludność rosyjska szczególnie żądna była tego napoju, który robił poważną konkurencję gorzałce rosyjskiej. Kosztował bardzo tanio i od kilku kieliszków można się było upić do utraty przytomności. Widziałem wiele przypadków zatrucia, sprawiającego wrażenie śmierci, gdyż ludzie upici leżeli przez dni parę bez oznak życia. Takie kramiki skupowały złoto i rzeczy kradzione, podobnie jak u nas Żydzi. Poruszałem nieraz w prasie syberyjskiej kwestję szkodliwości sklepików chińskich, pisząc też o tem w urzędowych sprawozdaniach lekarskich, niestety bez skutku. Sklepiki mnożyły się coraz więcej, w każdym zamieszkiwał Chińczyk, przeważnie z nałożnicą Rosjanką i z nią spłodzonem potomstwem. Chociaż Bogdychan rozkazem swym w latach ostatnich zachęcał poddanych do przesiedlania się z rodzinami poza wielką ścianę, trudno było złamać tradycyjne uprzedzenia i mało było chętnych. Pierwszemi pionierkami nowych dążeń były dwie młode kobiety, które przybyły ze swymi mężami, urzędnikami telegrafu Chińskiego, do Majmaczenu. Były to kobiety wątłe, słabe, mające wygląd dzieci, ze zniekształconemi sztucznie nogami — moje pacjentki. Jedna umarła wkrótce na gruźlicę. W przyszłości niezawodnie samo życie przełamie wszelkie przesądy i kolonizacja chińska zaleje przyległą Mongolję, Zabajkalje a nawet Syberję, ziemie jakby stworzone dla tej ekspansji. Chińczycy dążą ku temu trzema drogami: przez Mandżurję, którą już zaludnili, przez zasiedlenie Mongolji, co się odbywa powoli, lecz nieustannie, nakoniec przez trzeci odwieczny szlak kolonizacyjny. Znaczniejszy przyrost ludności chińskiej na Syberji może się stać groźnem ostrzeżeniem Europy przed zbliżającą się kwestją żółtą.

Majmaczen był zaludniony przez Chińczyków, pochodzących przeważnie z północnych prowincyj, przedstawicieli różnych firm pekińskich handlowych. Większość przybyłych zostawała tu przez całe życie, jeżdżąc do rodziny co 3 lata na roczny urlop. Każdy po-

siadał dwie rodziny: jedną urzędową pozostającą w kraju, drugą przygodną na obczyźnie. Zależnie od tego, do jakiej narodowości należała nałożnica, w tym języku Chińczyk porozumiewał się ze swą przygodną rodziną. Żony i dzieci Chińczyków zamieszkiwały w przyległej do Majmaczenu Kiachtyńskiego osadzie. W Urdze, stolicy Mongolji, gdzie Chińczyków było więcej, rodziny ich zajmowały osobną część miasta. Poza Majmaczenem na zagrodzonym stepie był wielki cmentarz z ustawionemi w szeregi trumnami, które oczekiwały wysłania do stron ojczystych. Niestety! było to tylko pobożnem życzeniem, gdyż na tysiąc nieboszczyków jednego tylko ten zaszczyt spotykał, inne ciała rozkładały się na miejscu a wiatr rozwiewał ich prochy. Niekiedy Chińczycy wracali na starość do ojczyzny. Szczególnie w pamięci pozostał mi siedemdziesięcioletni starzec, który, dorobiwszy się znacznej fortuny w Zabajkalji, postanowił wrócić do Chin, ażeby z rodziną spędzić resztki dni swoich. Podzielił przeto swe zasoby między dwie rodziny. Dla pozostającej żony Rosjanki i jej ośmiorga dzieci przekazał parę domów we wsi, wielki sklep kolonialny, wielki młyn, kopalnię złota i całą ruchomość, dla rodziny w Chinach wziął jakoby gotówkę, równającą się wartości tego co zostawił. Rozrzewniające było pożegnanie starego Chińczyka ze swą rodziną — z dorosłymi synami i wnukami. Wszyscy odprowadzali odjeżdżającego do Troickosawska, gdzie zrobiono mnóstwo fotografij pamiątkowych i wkońcu pożegnano go na granicy chińskiej.

W ciągu długoletniego pobytu na Wschodzie miałem możność robienia spostrzeżeń na ludności mieszanej co do krzyżowania ras. Niejednokrotnie stwierdziłem, że połączenie Cihńczyka z Rosjanką, dalej stojącą rasowo, daje potomstwo gorsze i słabsze, natomiast dzieci zrodzone z Burjatek, a szczególnie z Mongołek wyróżniają się typem bardzo pięknym, przypominającym południowo-europejski, np. Hiszpanów. Zmniejszają się wybitne cechy typu mongolskiego: zbytnia wielkość i okrągłość głowy, szerokość i spłaszczenie twarzy, wydatność jarzm, natomiast kształty stają się bardziej subtelne. Jeszcze korzystniej się przedstawia zlanie się dwu odmiennych organizacyj duchowych, śmiałego i poniekąd o rycerskim temperamencie Mongoła, dziecka wierzeń w pierwotne zjawiska przyrody, z ateistą Chińczykiem, zimnym realistą, handlarzem, nie mającym żadnych marzeń i ideałów. Widziałem wśród tych mieszańców w Urdze ludzi bardzo utalentowanych. Wiadomości i wspomnienia o Kiachcie i Majmaczenie dziś nabierają tem większego znaczenia, że te osady, jak wiadomo, przed kilku laty przestały istnieć pod naporem rozuzdanych band bolszewickich. Trzy obok siebie leżące osady: Troickosawsk, Kiach-

ta i Majmaczen są w ruinie; wszelkie życie z nich uleciało. Kto nie zdążył uciec i nie został zamordowany, to ocalał chyba cudem.

W Majmaczenie Kiachtyńskim często bywałem. Szczególnie zainteresował on mnie, nim poznałem byt i życie Chińczyków, na których później robiłem badania antropologiczne. Godzili się przeważnie chętnie na nie, gdyż zajmowało to ich i dziwiło. Nieraz musiałem być ciceronem i oprowadzać różnych przyjezdnych i podróżników po sklepach chińskich, po świątyniach, teatrach i t. d. Przez lat wiele od czasu do czasu uczestniczyłem dla towarzystwa w słynnych obiadach chińskich. Każda firma chińska w Majmaczenie przy zawieraniu umów handlowych z firmami kiachtyńskiemi według utartego zwyczaju zobowiązywała się do dawania rocznie kilku obiadów, któremi delektowali się kupcy miejscowi a czasem i przyjezdni. Obiad, stosownie do wystawności składał się od 40 do 75 dań, podawanych w drobnych ilościach na małych miskach i talerzykach. Były tu najprzeróżniejsze chińskie smakołyki, kapusta i trawy morskie, jarzyny, ślimaki (t. z. karakatica), makarony, ryż — wszystko zaprawione, pieprzem, imbirem, octem; były najprzeróżniejsze mięsiwa, wołowe, baranie, różne pierożki z baraniny z czosnkiem i na oleju, tradycyjne prosię chińskie rozpięte i pieczone na rożnie, co jest arcydziełem kuchni chińskiej. W końcu obiadu wnoszą blaszany samowar chiński, protoplastę rosyjskiego, z pływającemi we wrzątku resztkami obiadu: makaronu, ślimaków, kapusty morskiej i t. d. Na deser na małych miseczkach podają najprzeróżniejsze słodycze, ciastka w oleju, makowniki, orzechy, różne owoce suszone i t. d. Do jedzenia zupy używano małych czerpaków porcelanowych, a makarony, kapustę i mięsiwo jadło się dwiema długiemi pałeczkami. Kupcy kiachtyńscy na takie obiady zapraszali swych znajombych, dostarczając obrusy, serwety, sztućce, sól, chleb, surowe mięsa, wódkę i w obfitości wina, nie wyłączając szampana. Chińczycy podawali swój trunek t. z. *majgalo*. Jest to przezroczysta jak woda, bardzo słodka wódka, otrzymywana z ryżu, zaprawiana różanym olejkiem. Pije się ciepłą małemi miseczkami w rodzaju naparstków. Obiady te nie smakowały mi i nigdy nie przywykłem do nich. Kuchnia chińska jest bardziej zbliżona do południowej europejskiej ze znaczną ilością jarzyny i dla tego bardziej smakuje południowcom, Francuzom, Włochom, lub Hiszpanom. Obiady dla Rosjan bywały zwykle dawane latem, zimą domki chińskie ulepione z gliny, źle zaopatrzone, posiadające naturalną wentylację przez papierowe okna i nieszczelnie zamykane drzwi, nie nadawały się do przyjęć europejczyków. Tylko Chińczyk okutany we flanelowe pasy na piersiach i brzuchu, w watowanym

kaftanie i spodniach i w wojłokowem obuwiu, mógł się czuć tu jako tako, siedząc i śpiąc na długim piecu na środku pokoju, opalonym zdołu i pokrytym materacami. Domostwa chińskie miały charakter sklepów, chociaż oprócz pomniejszych przedmiotów porcelanowych w szafach, towarów tam nie było. Znajdowały się one w osobnych składach, skąd Chińczyk leniwo i ospale po jednej sztuce przynosił, wyprowadzając z cierpliwości oczekującego. Ten drobny handel był tylko dodatkowem zajęciem, a podstawowym interesem było skupowanie złota i wywożenie do Chin, oraz kontrabanda wszelkiego rodzaju. W pierwszych latach naszego pobytu w Troickosawsku jednym z droższych produktów przywozowych był cukier, za który płacono od 25 do 30 kopiejek za funt, gdy w Rosji kosztował od 13 do 15 kop. Cenę tak wysoką podnosił koszt transportu. Kupcy rosyjscy wespół z Chińczykami wyrobili sobie przywilej od ministerstwa skarbu, że z cukru wywożonego do Chin było zdjęte dość znaczne cło. W ten sposób wywożony urzędowo cukier z Rosji, w kiachtyńskiej komorze celnej otrzymywał zwrot cła pobranego, a przejechawszy wiorst kilka był wwożony ponownie do miasta przez góry pograniczne i sprzedawany po cenach nieraz niższych niż w Rosji.

* * *

Życie w Troickosawsku było bardzo tanie, chociaż mieszkańcy narzekali, że ceny na wszystko się podnoszą. O mieszkaniach, których brak był wielki, już wspomniałem. Ponieważ las w okolicach Troickosawska był wytrzebiony, opał kupowano z zagranicy od Mongołów. Nie płaciło się właściwie nawet za najdoskonalsze drzewo sosnowe, lub brzozowe, które uważało się za dobro wspólne, a tylko za rąbanie i przewiezienie, nieraz z odległości wiorst 60 i więcej. W pierwszych latach siąg kwadratowy kosztował 2 ruble, a następnie ceny doszły do $4^1/_2$ rubli. Na wytrzebienie ogromnych lasów nie tylko w Zabajkalju, ale i w Mongolji północnej wpłynął nie tyle wyrąb i niszczycielska gospodarka, ile nieustanne pożary leśne, wzniecane przez przejeżdżających, myśliwych, lub idących z karawanami herbaty. Na wiosnę i latem w czasie wielkich posuch i wiatrów rozpoczynały się corocznie pożary, trwające do czasu, aż się wypalił pewien obszar lub do okresu deszczów. To też powietrze latem bywało przesiąknięte dymem, a w niektóre gorące i suche lata przez dnie całe pół zmrok panował i promienie słoneczne przeświecały przez obłoki. Opał przygotowywało się zawczasu na cały rok, ażeby drwa przez lato wyschły. Podobnie zaopatrywano się i w inne produkty

gospodarcze np. masło w czerwcu, lub lipcu, płacąc początkowo po 8 rubli za pud, później do 14 rubli. Największą sławą cieszyło się masło ze stepów burgolskich nabywane u Burjatów, o wiele gorsze było i tańsze masło mongolskie. Zimą sprzedawano je w pęcherzach bydlęcych, latem w drewnianych naczyniach. Zewnętrzny wygląd masła przypominał płynny miód. Smak i zapach był nieprzyjemny, dymny. W mięso i w tłuszcz zaoptrywaliśmy się na jesień po nastaniu mrozów. Kupowało się całego wołu, lub barana po cenie od 3 do 5 kop. za funt, oprócz tego zamrożoną zwierzynę: kuropatwy po 10 kop., a jarząbki po 20 kop. za parę, cietrzewie lub głuszce po 75 kop. za sztukę. Kupowano również zamrożone ryby. Mleko zamrożone na talerzu kosztowało 5 kop., kopa jaj rubla, funt słoniny 20 kop. Droższe były towary przywozowe, cukier, rodzynki, migdały, świece stearynowe, nafta. Owoców przez wiele lat nie jedliśmy żadnych, za to obfitość była jagód, lecz gorszego gatunku, których w Europie mało jedzą, jak bruśnica, kalina, czernica, kiślica (gatunek dzikich porzeczek), kostianika, moroszka, ożyna, oblipicha (przyponająca zapachem ananas, bardzo aromatyczna) i nakoniec jarzębina i czeremcha, która była w powszechnem użyciu, a stłuczona z pestkami stanowiła w pierogach wielki przysmak dla ubogich i zamożnych. Często widziałem przypadki zatrucia się zawartym w pestkach kwasem czeremchy cyanowym. Niektórych towarów, jak rodzynek, ryżu, mrożonych winogron i jabłek dostarczali Chińczycy. Wobec taniości życia, ludzie obarczeni nawet większą rodziną, mogli z łatwością ją wyżywić. Droższe były odzież, obuwie, rękawiczki, płótna.

Największą klęską społeczeństwa rosyjskiego było powszechne pijaństwo, jak najuboższych tak i najbogatszych. Od przyjścia na świat dziecka poją go wódką i leczą nią najrozmaitsze choroby, jak zimnicę, glisty, kaszel, lub niestrawność. W ten sposób od dzieciństwa wciągają każdego do tego nałogu i chociażby kto nie stał się pijakiem, uważa wódkę za artykuł niezbędny w życiu. W Troickosawsku, bliżej się stykając z ludnością, nie znałem rodziny wolnej od pijaństwa. Podlegali temu nałogowi ludzie różnego wieku i płci: dzieci, młode panienki, kobiety zamężne, ludzie dojrzali i starcy. Jedni pili od rana do wieczora, nie wytrzeźwiając sę nigdy, drudzy bywali trzeźwi tylko do obiadu.

Nie przeszkadzało to urzędnikowi spełniać swych zajęć. Pijakami nazywano tylko takich, którzy często upijali się do utraty przytomności.

Wobec znacznych zarobków nigdzie może nie ceniono tak mało

grosza i pracy co tam, i nie obchodzono tylu świąt, które polegały na tem, że każdy mieszczanin od samego rana nakrywał stół białą serwetą i zastawiał wódkami, likierem, nalewką, drogiemi, sprowadzanemi z Rosji marynatami i przekąskami, a po rannej herbacie i powrocie z cerkwi aż do wieczora podchodził co chwila do stołu, żegnał się po trzy razy, wypijał i zakąsywał, tak, że ku wieczorowi bywał już zupełnie pijany i zasypiał.

Przywiązanie do zewnętrznych obrzędów cerkiewnych jest bardzo rozpowszechnione wśród prawosławnych. Oszukać kogoś, okraść, upić się aż do utraty świadomości i w stanie niepoczytalności popełnić występek, wszystko to jest dopuszczalne, ale nie pójść do cerkwi w dzień świąteczny, nie pościć, lub nie spełnić jakiegoś obrządku nie wypada.

Oprócz pijaństwa Sybiracy inaczej bawić się nie umieją. W towarzystwach kobiety siedzą oddzielnie. Mężczyźni rozprawiają zwykle o swych obrotach handlowych, kto na czem stracił lub zarobił, kto kogo podstępnie oszukał, nie poruszają natomiast zagadnień miejscowych, ani państwowych. Kobiety wystrojone siedzą milcząc, spoglądając jedna na drugą. Towarzystwa więcej się ożywiały na imieninach, które zwykle obchodzono bardzo uroczyście z muzyką, tańcami i obfitą pijatyką. Wtedy u młodzieży rozwiązywały się języki i panowała ogólna wesołość. Jeszcze szumniej obchodzono wesela lub stypy pogrzebowe. Znaczną rolę odgrywała tu chęć popisania się.

* * *

Przez czas pobytu we Wschodniej Syberji zajmowałem posadę lekarza okręgowego. Do obowiązków mych należały tylko czynności sądowo-lekarskie, gdyż sanitarne spełniali trzej lekarze wojskowi na tej podstawie, że w Okręgu ciągnącym się długim pasem na pograniczu z Mongolją mieszkała ludność kozacka, powstała z przesiedlonych tu żołnierzy z Rosji europejskiej, a częściowo z miejscowych Burjatów. Ludność ta miała obowiązek odbywać służbę wojskową, natomiast nie płaciła podatków i korzystała z pewnych ulg. Podlegała ona zarządowi naczelnego atamana wojska zabajkalskiego, który był jednocześnie i gubernatorem wojennym całej Krainy Zabajkalskiej pozostającej pod władzą naczelnego atamana i jenerał-gubernatora kraju przyamurskiego w Chabarowsku. Okręg Troickosawski miał nadto atamana, któremu podlegali dwaj lekarze obowiązani udzielać pomocy lekarskiej ludności kozackiej i jeden zarządzający szpitalem. Nadto istniała posada lekarza miejskiego w Troickosawsku,

która, z powodu niedopatrzenia przy organizacji służby zdrowotnej w Zabajkalju, została na starym etacie, tak, że kiedy dwaj felczerzy okręgowi otrzymywali według nowego etatu po 700 rubli, lekarz miejski tylko 400 rubli rocznie. Z tego powodu posada ta długi czas nie była obsadzona i przez lat kilka musiałem spełniać bardzo nieskomplikowane czynności, związane z tą posadą. Gmina Troickosawska miała lekarza prywatnego, który zarządzał szpitalem. Podobnie gmina kupiecka w Kiachcie. Z innych lekarzy, nie licząc prywatnego lekarza kupca Niemczynowa nazwiskiem Porotowa, oraz dwóch starych emerytów Kozicha i Marcinkiewicza, którzy nie praktykowali, było jeszcze paru lekarzy wojskowych przy pułku tu konsystującym. W ten sposób miasteczko, liczące $9^1/_2$ tys. mieszkańców razem z Kiachtą, miało około 11 lekarzy.

Na wakującą przez lat kilka posadę rządowego miejskiego lekarza, skuszony bliskością złotodajnej Kiachty, pomimo marnego wynagrodzenia, przybył młody lekarz Neubert, rodem z Rygi, Niemiec, z trudnością mogący po rosyjsku się rozmówić. Po przebyciu zimy zrozpaczony szukał możności wyprowadzenia się, a dowiedziawszy się o wakującej posadzie okręgowego lekarza w północnej Syberji w Obdorsku przy ujściu Obi, w bezludnej pustyni, gdzie większą część roku słońca nie widać, ożenił się w Rydze i powiózł młodą małżonkę na miodowe miesiące do Obdorska. Z trudnością udało się im stamtąd uciec, przenosząc się do południowej części gubernji Tobolskiej. Wkrótce po wyjeździe Neuberta, posadę miejskiego lekarza objął młody dopiero co ukończony lekarz z Tomska.

Przez znaczną część mego pobytu w Troickosawsku lekarzem gminnym był na mocy kontraktu zawartego z miastem, Pisarewskij, Żyd syberyjski, człowiek cichy i spokojny. Spełniał swe obowiązki sumiennie i miasto było z niego zadowolone, lecz wkońcu padł ofiarą nieustannych starć pomiędzy gubernatorem, a samorządem miejskim. Rządzenie Krajem Zabajkalskim było bowiem niezmiernie utrudnione, z tego powodu, że społeczeństwo było zlepkiem różnych narodowości, wyznań, kultur i stanów, a więc: włościan, mieszczan, kozaków, t. z. inorodców — koczujących i osiadłych i obcokrajowców Chińczyków, rządzących się swemi oddzielnemi prawami, często nieuwzględnianemi przez nieudolnych gubernatorów, nieuznających po nad swą władzę wojskową i siłę pięści żadnej powagi moralnej. Na wielkim obszarze pustynnego kraju Zabajkalskiego, na 900 tys. mieszkańców $^2/_3$ stanowili Rosjanie, lub metysi, a $^1/_3$ autochoni, przeważnie Burjaci i nieco Tungusów, Lamaitów, wreszcie cudzoziemców, kupczących Chińczyków. Administracyjnie ludność rosyjska rozpadała

MONGOŁO-CHAŁCHAS

MONGOŁO-BURJAT

się na: włościańską, podlegającą kompetencji gmin, podobnie jak w Rosji europejskiej; kozacką składającą się z Rosjan i częściowo z włączonych do nich Burjatów i Tungusów, podległą zarządowi kozackiemu; mieszczańską, — i nakoniec t. z. w urzędowym języku ochrzczoną inorodczą, mającą oddzielne zarządy, uwzględniające ich prawa zwyczajowe, opracowane przez Sperańskiego za czasów Aleksandra I-go, lecz znacznie spaczone przez późniejszych czynowników. U Burjatów np. ocalał pierwotny ustrój rodowy, tylko dziedziczność naczelnika rodu zamieniono urzędem z wyboru. Urząd ten cieszył się u nich wielką powagą. Wobec tak różnorodnych żywiołów, które kraj zamieszkiwały, tylko administrator o szerokim i bezstronnym umyśle mógłby zadość uczynić potrzebom wszystkich. Lecz Rosji na takich administratorach zbywało zawsze. Kiedym przyjechał do Zabajkalja, długi czas gubernatora nie było. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że nim został mianowany Ewgenij Osipowicz Maciejewski. Z nazwiska można było mniemać, jakoby był pochodzenia polskiego, lecz wkrótce dał się poznać, kim był. Nim przybył do Troickosawska, obsadził posadę policmajstra przez swego protegowanego, przywiezionego z Moskwy, Streczeniewskiego. Był to dymisjonowany porucznik, dozorca gmachu szkoły junkierskiej w Moskwie, żonaty z młodą i zalotną nauczycielką z domu gubernatora. Czynności policyjne Streczeniewskiego polegały na możliwie częstem robieniu drobnych przykrości komu się dało. Ludność syberyjska, mająca szersze pojęcie o swobodzie obywatelskiej niż metropolja, nie mogła się do tego przyzwyczaić, drwiąc i szydząc z fiskalizmu policmajstra.

Przyjazd gubernatora do Troickosawska jest kartą wyjętą ze stosunków godnych pióra Gogola. Policmajster ze strażą ogniową spotkał gubernatora o wiorst kilka za miastem konno, poczem mały satrapa uroczyście wjechał do Troickosawska. Wstąpił do soboru, witany przez duchowieństwo, a następnie do policji, gdzie mu się przedstawiało zebrane czynownictwo; później pojechał do zarządu wojsk kazackich, zwiedzał szkoły i inne instytucje. Popołudniu kupiectwo miejscowe wydało obiad na jego cześć, zapraszając nań i urzędników. Zasiadło do stołu kilkadziesiąt osób. Po środku pod carskim portretem posadzono gubernatora, a obok niego dwie kupcowe. Po wyszukanych potrawach i obfitych winach nalano pieniącego się szampana. Rozczulony gubernator rozpoczął długą mowę, którą dobrze zapamiętałem. Zwracając się do portretu carskiego dziękował za swe wyniesienie z małego dowódcy piechotnego pułku na tak wybitne stanowisko i ślubował wiernie służyć ku zadowole-

niu miejscowej ludności. Dalej powiedział, że swoje wyniesienie zawdzięczał głównemu naczelnikowi kraju nadamurskiego, jenerałowi Duchowskiemu, z którym razem służył w Moskwie. Wspomniał, że ma żonę i liczne potomstwo, które z sobą przywiózł. Droga uciążliwa, którą przebył, sowicie mu się opłaciła, gdyż poznał kraj, o którym nie miał żadnego pojęcia, a teraz poznawszy go przekonał się, że nie Syberja musi być uważana jako miejsce zesłania, lecz raczej Rosja, gdyż tu kraj jest bogaty i obfitujący we wszystko, a ludzie dobrzy i sympatyczni, jednem słowem, raj, gdzie gubernator gotów jest żyć i umierać, szczególnie wśród kiachtyńskiego kupiectwa. Wkońcu mówca dotykając różnych kwestyj życiowych i taniości produktów na Syberji, przeszedł do polityki. Tłumaczył, że Anglja intryguje wciąż względem Rosji i stara się zbliżyć do jej wschodnich granic, lecz napróżno, gdyż Rosjanie mają najlepsze wojsko i serca, któremi podbijają wszystkie narody, za co przez nie są kochane, a Anglja, ta żydówka handlarka, która zdobywa wszystko oszukaństwem i obłudą, jest przez cały świat znienawidzona. Wreszcie, zwracając się ponownie do portretu carskiego, wniósł toast za zdrowie cara i całego jego domu, wykrzykując trzykrotnie *ura,* podtrzymywane przez obecnych. Mowa gubernatora, wzbudzająca śmiech swoją naiwnością, była przedmiotem długich rozmów, komentarzy w całem mieście.

W czasie obiadu upiło się kilku uczestników, a leśniczy, Polak, poczciwy i powszechnie lubiany, po wyjściu gubernatora do sąsiednich pokoi, usiadł konno na szyi jednego popa, innych ciągnął za brody, obejmował i ściskał, a potem resztkami uczty — łakociami, owocami, ciastkami i cukierkami napełniał obficie długie kieszenie ich rias, mówiąc że jedno przyda się dla żon, a inne dla dziateczek. Popi, pomimo udanego oporu, śmiejąc się, z chęcią napełniali kieszenie, ciesząc się, że *nasz Iwan Antonowicz, dusza prosto, a nie człowiek.* Takie to były wówczas obyczaje w dalekiej Kiachcie!

Gubernator po pierwszym występie wyjechał, zostawiając w mieście, jak się wyrażał, swe prawe oko — policmajstra, który nietaktownem postępowaniem i wtrącaniem się w sprawy różnych urzędów wzbudził ogólną niechęć. Było coś chorobliwego, jakaś megalomanja w tym osobniku, który każdemu się narażał, pisząc nieustannie donosy i szykanując obywateli. Jedną z takich spraw była walka policmajstra z lekarzem gminnym wyżej wspomnianym Pisarewskim. Policmajster domagał się przyjmowania do szpitala chorych, przysyłanych przez niego, czego w wielu razach, opierając się na instrukcjach zarządu miejskiego, Pisarewskij nie mógł wypełnić.

Sprawa oparła się o gubernatora, który gromił i straszył magistrat, a głównie opornego lekarza.

Nastąpił wkrótce drugi przyjazd gubernatora z rezydencji Czyty. Nie był on tak słodki jak po raz pierwszy. Otrzymując od policmajstra raporty, oskarżające urzędników, każdemu robił wymówki, strasząc karami. Zatrzymał się u policmajstra, a wiedząc o złych stosunkach pomiędzy policmajstrem a Pisarewskim, wezwał go i zrobił mu ostrą wymówkę, że na wezwanie naczelnika kraju natychmiast się nie stawił, następnie strofował, że nie umie stać przed zwierzchnikiem, rąk i nóg należycie trzymać, wkońcu zalecił spełniać rozporządzenia policmajstra, na co otrzymał odpowiedź, że będą spełniane pod warunkiem, jeśli będą miały podstawę prawną. W gmachu policji zebrani byli urzędnicy, dla przedstawienia się gubernatorowi. Przyszła kolej i na mnie. Gubernator zapytuje mnie nieoczekiwanie, kogo uważam za swego zwierzchnika. Narazie nie mogłem zrozumieć pytania, po chwili powiedziałem, że mam zwierzchnika w osobie wojennego gubernatora. „A tu, na miejscu?" — zapytał. Zrozumiałem, że jestem też na indeksie i odparłem, że tu naczelnika nie mam. Gubernator mi zaprzeczył, tłumacząc, że jako lekarz okręgowy podlegam władzy naczelnika powiatu, a jako lekarz miejski policmajstrowi. Nie zgodziłem się z tem, powołując się na ustawę lekarską, i tak spieraliśmy się przez długą chwilę. Po roku otrzymuję list od swego bezpośredniego zwierzchnika, d-ra Cytowicza z Czyty, naczelnego lekarza wojska kozackiego i zarazem, inspektora lekarskiego, człowieka sympatycznego, z którym pozostawałem w stosunkach zażyłych. Pisze, że wkrótce wybiera się do Troickosawska gubernator, który wspomniał, że podczas ostatniego pobytu w Troickosawsku był bardzo ze mnie niezadowolony i polecił mnie upomnieć, że niegrzecznie i arogancko względem niego się zachowałem, a jeżeli to zniósł spokojnie, to jedynie dlatego, że nie chciał mię kompromitować wobec zebranego czynownictwa. Odpisałem inspektorowi, że, nie godząc się ze zdaniem Maciejewskiego, działałem nietylko w interesie osobistym, lecz i innych lekarzy, i myślę że każdy, któryby na mojem miejscu inaczej postąpił, zasługiwałby na potępienie.

Ze Streczeniewskim, człowiekiem złym i ograniczonym, miałem przykrość często się spotykać w sprawach służbowych w policji, choć cała znajomość ograniczała się do ukłonu. Przyprowadzano nieraz do policji przestępców pozbawionych praw stanu, pojmanych zbiegów i ludzi bezpaszportowych, a według ustawy miałem obowiązek orzeczenia, czy zdrów i ile wytrzyma rózeg. Zasadniczo przez czas 16-letniej mojej służby oświadczałem się stanowczo, że każdy jest

chory i chłosty cielesnej nie wytrzyma. Z początku policmajster próbował oponować, że ten lub ów jest zdrowy, a kiedy przekonał się o bezskuteczności, parę razy zaskarżał mię do prokuratury, że niesumiennie spełniam swój obowiązek i podrywam tem samem jego autorytet, lecz nic na tem nie wygrał. Wkońcu ucieszył się, że będzie mógł dokuczyć mi. W czasie mego wyjazdu w sprawach urzędowych, udał się do żony mojej pewien artysta Erml, Czech, z listem polecającym z Irkucka. Miał on wystąpić z koncertem kwartetu smyczkowego i ponieważ narazie drukarnie były zajęte, prosił o pożyczenie hektografu, używanego do drukowania zaproszeń na zebrania członków Oddziału Towarzystwa Geograficznego. Żona moja przez zwykłą uprzejmość, nie znając fiskalnych rozporządzeń rządowych, spełniła niewinną prośbę. Wracam z Okręgu i otrzymuję od policmajstra groźny papier z zapytaniem, dlaczego posiadam hektograf i przyjmuję zamówienia? Dalej donosi, że zgodnie z artykułem prawnym, jako działający na szkodę państwa będę pociągnięty do odpowiedzialności. Wyłuszczyłem mu, że hektograf jest własnością Oddziału Tow. Geograficznego, a zapytanie co do zamówień uważam za urąganie, jeśli zaś żona w czasie mej nieobecności hektograf pożyczyła, uczyniła to przez nieświadomość. Od Ermla policmajster domagał się, aby dodał na afiszu, że był drukowany przeze mnie, lub na moim hektografie, lecz kiedy artysta wolał zaniechać koncertu, policmajster zmiękł. Po kilku miesiącach otrzymuję odpis oskarżenia z sądu okręgowego zabajkalskiego. Pociągnięto mię do odpowiedzialności sądowej, a sąd z urzędu wyznaczył mi obrońcę. Rozprawa odbyła się, lecz zostałem uwolniony od odpowiedzialności. Co do Pisarewskiego, policmajster wespół z gubernatorem uwzięli się prześladować go dotkliwiej. Na mocy tego, że Żydzi nie mają prawa zamieszkiwać na przestrzeni 30 wiorst od granicy chińskiej, postanowili zmusić go do wyniesienia się z Troickosawska. Rozpoczęto od staruszki jego matki. Syn wskutek prośby, corocznie zanoszonej do ministra spraw wewnętrznych, uzyskiwał prolongatę dla jej pobytu na tej podstawie, że nie ma ona sposobu do życia. Wówczas wzięto się do wysiedlenia samego Pisarewskiego, lecz on bronił się tem, że rozporządzenie powyższe nie dotyczy osób, posiadających studja uniwersyteckie. Gubernator zwrócił się do zarządu miasta, domagając się zerwania kontraktu z Pisarewskim, który jako Żyd nie ma prawa być kierownikiem szpitala. Zarząd miasta nie usłuchał gubernatora i odwołał się do Senatu, który wyjaśnił, że domaganie się gubernatora jest nieuzasadnione. Po skończeniu kontraktu Pisarewskij, jakkolwiek wygrał walkę z gubernatorem, dobrowolnie wyniósł

się z Troickosawska. Prawo, wzbraniające Żydom zamieszkiwania na pograniczu Chin, miało na celu ograniczenie kontrabandy, tymczasem pomimo znikomej liczby Żydów przewoził przez granicę złoto każdy, „kto w Boga wierzył", kupcy, mieszczanie, Burjaci, Mongołowie, Chińczycy. Żydzi przenieśli się do Urgi, stolicy Mongolji, w nadziei, że tam ich nie dosięgnie ręka satrapów rosyjskich, ponieważ jednak i tam wytwarzali konkurencję kupcom rosyjskim, pod naciskiem konsulatu rosyjskiego zostali wysiedleni z Urgi.

Wspomniałem już wyżej, że spotykałem się tu z wielu lekarzami. Niestety mało było takich, z którymi mógłbym nawiązać bliższe stosunki koleżeńskie. Ogromna bowiem większość tych, którzy ze szkolnej ławy przyjeżdżali na Sybir, tonęli tu w interesach życiowych lub oddawali się pijaństwu i kartom. Otoczenie oddziaływało na nich zabójczo, szczególnie jeśli nie mieli stałych zasad. Wyliczę niektórych.

Starszym lekarzem oddziału kozaczego był Siedygin, człowiek lat średnich, w stosunkach towarzyskich i koleżeńskich poprawny. Przyjechał tu prosto ze szkolnej ławki, z młodą żoną Polką, pochodzącą z zamożnej ziemiańskiej rodziny z pod Wilna. Siedygin przekonań ultra-monarchistycznych, zwolennik pałki i knuta, wyznawał ten system i w stosunku do żony, którą bił i katował. Chodziła zwykle w sińcach, wzbudzając litość u obcych. Wreszcie znalazła tu grób przedwczesny. Podobnie postępował i względem dzieci, które od niego pouciekały. W wiele lat później ożenił się z energiczną wdową sybiraczką, która, znając przeszłość swej poprzedniczki, umiała ująć męża w karby.

Wśród lekarzy pułkowych był Polak z Białorusi, Zaniewski - Miganowicz, człowiek przedwcześnie zestarzały, schorowany i zgorzkniały, żonaty ze starszą kobietą pół Rosjanką, a pół Finką, niepewnej przeszłości. Bliskie stosunki łączyły p. p. Zaniewskich z dowódcą tego samego pułku, pułkownikiem noszącym nazwisko znanego rosyjskiego poety, Rylejewa, lecz do niego niepodobnym, pijakiem i awanturnikiem. Dawna przyjaźń z Zaniewskim zmieniła się potem na nienawiść. Rylejew prześladował go niesłychanie. Pomimo, że obaj byli w randze pułkowników, czyto w szpitalu, czy na rewji, Rylejew robił Zaniewskiemu publiczne wymówki, wymyślał i znieważał bez powodu. Nieraz skazywał go na karę tygodniowego aresztu, najwyższą, jaką mógł względem niego stosować. Biedny Zaniewski znosił to wszystko pokornie, nie mając, jak zapewniał, wyjścia. Odwiedzałem go kilka razy jako więźina, wyrażając swe współczucie.

Lekarzem przedtem okręgowym, a potem gminnym w Kiachcie był sybirak z urodzenia, syn urzędnika policyjnego, Płotnikow, pijak. Obowiązków lekarskich nie spełniał, całe dnie oddając się orgjom pijackim u Niemczynowa, który go hojnie wspierał. Dzięki Niemczynowowi rzucał pieniędzmi, spijał szampan, utrzymywał kilkanaście koni na stajni. Ożenił się z jakąś pokojową, przyjaciółką z czasów studenckich. Ze śmiercią Niemczynowa, musiał ustąpić z posady, tułał się wiecznie pijany po ulicach nim zakończył życie pod szynkiem w nędzy.

Po usunięciu Płotnikowa z zadowoleniem dowiedziałem się, że miejsce jego ma zająć mój kolega uniwersytecki z Kijowa, Bolesław Płaskowicki, który, był przez lat parę lekarzem przy budowie statku, t. z. „lodokołu" na Bajkale. Płaskowicki pochodził z niezamożnej rodziny. Ucząc się w gimnazjum, mieszkał w rządowym internacie w Kijowie i przejął się poniekąd kulturą rosyjską, jak i inni z kijowskiego gimnazjalnego internatu, z którymi kolegowałem w uniwersytecie. Był on kosmopolitą, należał do partji socjalistycznej. Pamiętam tylko, że jako stypendysta rządowy otrzymał bardzo pożądaną dla propagandy socjalistycznej posadę lekarza więziennego w Irkucku. Później straciłem go z oczu. Po latach prawie 30 spotkaliśmy się. Był on już sterany życiem, znudzony, podupadły na zdrowiu, z zarodkiem rozwijającej się gruźlicy, dziedzicznej w jego rodzinie. Z natury ambitny, zamknięty w sobie, nie lubił nigdy mówić o swych przejściach. Ówczesny naczelnik powiatu Troickosawskiego, Dobromysłow, sybirak - metys, opowiadał mi, że, będąc komisarzem policji w Irkucku, poznał Płaskowickiego, gdy ten przybył jako lekarz więzienny. Zyskawszy łagodnością i ludzkością wielki mir wśród więźniów i robotników, rozpoczął propagandę socjalistyczną. Dobromysłowowi polecono tajne śledzenie go. Otóż w tym czasie wciągnął on do partji żonę ówczesnego policmajstra, osobę nerwowo chorą, która wtajemniczała go w rozmaite rozporządzenia męża. W rozstroju nerwowym postanowiła w nurtach Angary zakończyć życie, lecz kiedy zimna woda nieprzyjemnie nią wstrząsnęła, zaczęła krzyczeć. Po wyciągnięciu jej z wody, znaleziono przy niej papiery, kompromitujące, szczególnie Płaskowickiego. Żonę oddano mężowi, a Płaskowickiego administracyjnie zesłano do odległej Huty Mikołajewskiej Niżnieudińskiego Okręgu, gdzie przemieszkał wśród tajgi pierwotnej z ćwierć wieku, zarządzając szpitalem fabrycznym i polując. Zeszedł się w latach ostatnich z młodą dziewczyną sybiraczką, podobno z rodziny skazanej za sprawę kryminalną na zesłanie. Kiedy huta przestała istnieć, Płaskowicki zna-

lazł czasowe zajęcie jako lekarz przy budowie „lodokołu" na Bajkale, a potem przyjechał jako lekarz do Kiachty. Ożeniony z młodą kobietą o oszpeconych powiekach i prawie niewidzącą skutkiem jaglicy, miał sześcioro drobnych dzieci, obarczonych po obojgu rodzicach gruźlicą. Z nieszczęśliwą tą rodziną przybyła siostra Płaskowickiego, p. Dziankowska, wdowa po zesłanym mężu, którego pochowała na Syberji. Przez lat kilka przypatrywaliśmy się bezsilnie tragedji tej rodziny. Wychowywała dzieci i panią domu była p. Dziankowska, kobieta zresztą taktowna, dobra, oddana bratu i przywiązana do dzieci. Żona odgrywała rolę drugorzędną. Ponieważ Płaskowicki i jego siostra byli w swych przekonaniach politycznych socjalistami i kosmopolitami, uważali za swój obowiązek nie narzucać dzieciom swej narodowości i porozumiewali się w domu językiem rosyjskim. Płaskowicki był hojny w wydatkach, niepraktyczny, kupcom nie umiał dogadzać ani imponować jako lekarz, to też gdy zbliżał się koniec trzechlecia i należało wznowić kontrakt, zaczęto knuć przeciw niemu. Wszystkie te nieprzyjemności, a nadto nieustanne choroby dzieci i kłopoty materjalne podkopywały jego słaby organizm. W ostatnim roku stracili troje dzieci, z tych dwoje zmarło na zapalenie opon mózgowych. Wreszcie gruźlica płuc wystąpiła w ostrej formie u obojga Płaskowickich. Z obowiązku kolegi i przyjaciela odwiedzałem ich często. Znosił stoicko wszystko, rozumiał stan swego zdrowia i żony i cierpiał nad tem, że pozostawia bez środków całą rodzinę na słabych i wątłych barkach siostry. Zamknąłem powieki uniwersyteckiemu koledze na dalekiej obczyźnie, a w parę miesięcy potem poszła w jego ślady żona. Muszę zaznaczyć, że altruistyczne uczucia kupiectwa kiachtyńskiego, a w szczególności Sinicynych, umożliwiły przeżyć p. Dziankowskiej czas jakiś w Kiachcie i powrócić do kraju. W wiele lat później podczas wielkiej wojny światowej widziałem te dzieci podrastające w Kijowie. Dzięki środowisku, w jakiem przebywały, nauczyły się po polsku i, jak ich ciotka podkreśliła, przeszły z własnej woli na katolicyzm.

Nie będę wspominał o innych lekarzach młodszego pokolenia, przygodnie spotykanych, a słów parę poświęcę starszym, których sympatyczne wizerunki pozostały w mej pamięci. Najprzód Konstanty Kozich, wówczas siedemdziesięciokilkoletni starzec, wdowiec, rodem ze środkowych gubernij Rosji. Po skończeniu Akademji medyko - chirurgicznej w Petersburgu przybył jako lekarz na służbę do komory celnej kiachtyńskiej, był lekarzem w kopalniach złota na Olokmie, a na starość, mając drobny kapitalik, zamieszkał w oficynie u jednego z kupców i dożywał wieku, będąc lekarzem domowym

w paru domach. Idealista za młodu, na starość znudzony i zgorzkniały, uciekał od świata i ludzi. Był zdecydowanym radykałem, nie poważał ani czynowników, ani „naczalstwa", chodził zwykle w bluzie robotniczej. Czas długi interesował się źródłami, wytryskającemi o wiorst paręset od Troickosawska nad rzeką Jamarówką. Liczne analizy wykazały, że woda ich zawierała połączenie dwuwęglanów: sodu, magnia i wapna, razem z pewną ilością żelaza, przypominając wodę Vichy. Niska jej ciepłota przyczyniła się do rozpuszczenia wielkiej ilości kwasu węglowego, co się nie spotyka w Europie. Własności te zjednały zródłom wielką sławę i ściągały z całej Wschodniej Syberji chorych na nieżyt dróg pokarmowych. Kozich wiele lat zamieszkiwał nad Jamarówką, propagując ochronę tych wód i ich prawidłowe użytkowanie, nim w końcu zarząd dóbr państwa nie osadził swych czynowników, wstrzymując tem dalszy rozwój przedsiębiorstwa. W swoim czasie ogłosiłem w r. 1905 większą pracę, poświęconą Jamarówce, jako zdrojowisku i miejscowości leczniczej dla Wschodniej Syberji, drukowaną w Wydawnictwie Oddziału miejscowego Towarz. Geograficznego. Sądziłem, że potrafi to zainteresować sfery rządzące. Niestety, oprócz bardzo przychylnych odezw i recenzyj, realnych korzyści dla zdrojowiska to nie przyniosło.

Zupełnie odmiennym typem od Kozicha był drugi weteran lekarski, Piotr Marcinkiewicz, starszy znacznie od pierwszego. Pochodził z Białegostoku i był synem mieszczanina, którego dziad miał przybyć z Krakowa. O skromnych środkach przebył gimnazjum w Wilnie, lecz, nie mając funduszów na dalsze kształcenie, trudnił się czas jakiś belferką. Medyko - chirurgiczna Akademja w Wilnie została zamknięta, więc Marcinkiewicz wybrał się na staudja lekarskie do Moskwy, a po ukończeniu ich jako rządowy stypendysta został wysłany na posadę do Troickosawska. Przyjechał tu jako suchotnik z wciąż powtarzającemi się krwotokami płucnemi, z kaszlem i gorączką. Był to suchy, zawiędły, małego wzrostu człowiek, o wąskiej, długiej klatce piersiowej i delikatnej budowie kostnej. Przy życiu wstrzemięźliwem, doczekał się późnej starości. Jako lekarz okręgowy odbywał znaczne podróże, znosił niewygody i w ciągu pięćdziesięciu kilku lat pochował wielu młodszych i silniejszych od siebie ludzi. Poznałem go starcem, który już mało czem się zajmował, żyjąc z pobieranej skromnej emerytury. Marcinkiewicz przebył w życiu wiele zmian losu. Zebrawszy jak na owe czasy spory fundusz, wciągnięty został w pewne przedsiębiorstwo przemysłowe, na którem wszystko stracił i po kilkunastoletniej przerwie, mając już lat przeszło 70,

wrócił do dawnego skromnego lekarskiego zawodu, ażeby dosługiwać przez lat kilka emerytury, zabezpieczającej starość. Dzieci zamierzał kiedyś wysłać do kraju, lecz w atmosferze kupieckiej, spokrewnieni przez matkę Spieszyłową z otoczeniem miejscowem, wyrośli na sybiraków i weszli na drogę praktyczną. Często słyszałem zdanie utarte powszechnie, że we Wschodniej Syberji suchot niema. Należałoby to sprostować w ten sposób, że ludzie słabi, wątli, lub dziedzicznie obarczeni jak np. Marcinkiewicz przy regularnem życiu higjenicznem, przystosowują się doskonale do chłodnego, górskiego klimatu, który ich pokrzepia i podtrzymuje. Przeciwnie na przybywającego z gruźlicą już rozwiniętą klimat tamtejszy działa zabójczo. Marcinkiewiczów od czasu do czasu odwiedzaliśmy. Oboje poczciwi mieli starość pogodną. On zawsze w dobrym humorze, zadowolony, wesół, optymista, nikomu nie zazdrościł i nie narzekał. Chociaż w domu mówiono po rosyjsku, po polsku nie zapomniał i doskonale mówił, a myślą zwracał się zawsze do kraju i o przeszłości marzył. Lecz wiek ma swoje prawa. Stopniowo siły Marcinkiewicza gasły i życie powoli ulatywało. Przed śmiercią przez dni 10 leżał nieprzytomny i coś majaczył o Litwie po polsku.

* * *

Długoletni mój pobyt na Syberji przysporzył mi korzyści, tak pod względem naukowym przez poznanie ogromnych obszarów kraju i ludzi, jak i ze strony praktycznie życiowej. Pracę swą dzieliłem pomiędzy obowiązki służbowe, które uciążliwe nie były, praktykę lekarską i zbieranie materjałów antropologicznych oraz opracowanie ich. Zajmowałem się również organizowaniem i prowadzeniem nowo-utworzonego Oddziału Towarzystwa Geograficznego. Urządzałem przez lat 16 miesięczne zebrania komitetu wykonawczego, naukowe posiedzenia członków, brałem udział w organizowaniu wycieczek naukowo - przyrodniczych. Na mnie też spoczywało redagowanie wydawnictw Oddziału, rozsyłanie ich członkom oraz różnym instytucjom naukowym w kraju i zagranicą. Jeżeli dodam do tego, że zarządzałem muzeum i bibljoteką, które miały stałego kustosza - bibljotekarza, że prowadziłem obszerną korespondencję z uczonymi i z władzami, pisząc protokóły posiedzeń i roczne sprawozdania z czynności Oddziału, że dla zdobycia środków dla niego urządzałem corocznie kilka koncertów i odczytów, to zrozumiałe jest, że czas miałem zajęty, tem bardziej, że zawsze starałem się sumiennie wywiązywać z przyjętych zobowiązań.

Służbowe moje zajęcia polegały przeważnie na orzeczeniach sądowo - lekarskich i uczestniczeniu w różnych komisjach sanitarnych, a głównie musiałem robić sekcję zmarłych w mieście i w okręgu, co zmuszało do wyjazdów 8 do 10 razy rocznie, a raz do roku uczestniczyłem w komisji poborowej. Wyjazd każdorazowy przy ogromnych przestrzeniach trwał około paru tygodni, albowiem Okręg Troickosawski, później przezwany powiatem ciągnął się wąskim pasem na pograniczu Mongolji, mając od 35 do 45 wiorst szerokości i 800 długości. Zaludnienie jego nie dosięgało 70 tysięcy. Niekiedy musiałem jeździć do wsi oddalonych o wiorst 400, gdyż miejsce mego stałego pobytu leżało w środku Okręgu. Jednym z najbardziej oddalonych punktów mego Okręgu była wieś górska Menza, do której raz jeden tylko jezdziłem w przeciągu 16-letniego pobytu w Troickosawsku. Latem tam dostać się można było konno, jadąc z przewodnikiem górami przez dwa dni, nocując w lesie. Mnie droga wypadła zimą. Kilka stacyj przebywało się traktem pocztowym, a dalej dwieście kilkadziesiąt wiorst jechałem saniami, temi samemi końmi po zamarzniętych górskich potokach, które latem wysychają, wylewają natomiast zimą. Niekiedy lód pęka z łoskotem, woda występuje, zamarza i tworzy góry lodu; innym razem pod skorupą trafiają się puste przestrzenie od 1 do 5 metrów głębokie. Jechaliśmy po wąskiej krętej dróżce, podnoszącej się w górę coraz wyżej i wyżej, parą końmi, zaprzężonych jeden przed drugim dla uniknięcia nieprzyjemności wpadnięcia do przerębli lub dziury. Nieraz zdarza się, że w takich wypadkach konie kaleczą się, a i ludzie nie wychodzą bez szwanku. Noce były gwiaździste, ciche. Nocowaliśmy pod gołem niebem, przy rozłożonem ognisku. Przez parę dni, nie spotykaliśmy człowieka, ani żadnej siedziby ludzkiej, tylko zdaleka było słychać wycie wilków i ryk niedźwiedzi. Odległe wioski tamtejsze bywały długo nieznane administracji miejscowej, nie płaciły podatków, rządziły się same i tylko przypadek je odkrywał. Jedną z takich w Okręgu Troickosawskim była Menza. W jesieni, lub na wiosnę w czasie roztopów komunikacja ze światem była zupełnie przerwana. Komisarz policyjny zaglądał tam raz do roku lub rzadziej, a urzędując dni kilka, dawał rozporządzenia na cały rok. Sprawy sądowe i sekcje zalegały po lat parę. Życie jakby wymarło. Wielu mieszkańców dożywało starości, nigdy nie wychylając się z poza gór. Pijaństwo było powszechne, począwszy od starszyzny wioskowej. Nauczyciel nigdy się nie wytrzeźwiał. Codzienne bójki i rozprawy krwawe. Ludność rozleniwiona o nic się nie troszczyła, pędziła sposobem domowym gorzałkę i warzyła piwo. Zasiewali owies

i kosili łąki, gdyż inne zboża nie dojrzewały. Głównem zajęciem było rybołóstwo, a w szczególności myśliwstwo, które przynosiło dobre zyski. Wieś tworzyła spółki zarobkowe. Urządzano obławy na dzikie zwierzęta, na niedźwiedzie, wilki, dziki i t. d. Źródłem poważniejszego dochodu były jelenie szlachetne (Cervus elaphus maral — Linn), przypominające konia, choć z rogami i dwukopytowe, żyjące na stepach stadami w stanie dzikim. Łowią ich, co nie jest łatwem i trzymają w klatkach. Każdy zamożniejszy gospodarz ma ich kilka. Odpiłowywane świeże rogi na wiosnę miały dawniej wielką cenę i skupywane były przez Chińczyków dla wywozu, jako środek leczniczy podniecający. Cena rogów świeżych wahała się od 150 do 250 rubli za funt. Szkoda, że te sympatyczne na wygląd zwierzęta nie udało się dotąd oswoić dla użycia do zaprzęgu, lub innych gospodarczych robót. W takich odległych wsiach zachowało się nieraz wiele ciekawych obrzędów, jak np. w jesieni obchód święta ognia. W dzień oznaczony wieczorem nie zapalają światła we wsi, a zbierają się w jednej chacie, gdzie zachowując pewne obrzędy zapomocą tarcia drzewa otrzymują ogień i następnie roznoszą go po wszystkich chatach.

Do Menzy jeździłem wezwany przez władzę policyjną, w sprawie, która dostatecznie charakteryzuje obyczaje miejscowe: niejaka Tomaszewska, akuszerka wiejska, żona Polaka, skazanego na osiedlenie, podczas przyjazdu gubernatora doniosła mu, że pewna dziewczyna miała dziecko od popa, które ten ochrzcił, a następnie razem z matką udusił. Musiałem przeto jechać do Menzy celem stwierdzenia przyczyny śmierci nowonarodzonego. Na noc całą kazałem rozłożyć stos dla odmrożenia ziemi na mogile, a rano po rozkopaniu ze zdziwieniem znaleźliśmy na $^1/_4$ metra głębokości od powierzchni ziemi małą kłodę drzewa, pustą wewnątrz, o czem spisaliśmy protokół.

Prawie co roku wyjeżdżałem na pobór rekrucki. Jechało się w kilka powozów: naczelnik powiatu, delegat ministerstwa wojny, nadto przydzielony oficer, komenderowany miejscowy urzędnik policji jako sekretarz i dwóch lekarzy, wojskowy i cywilny. Towarzystwo to zwykle zbierało się po skończeniu posiedzeń komisji, grając w karty i pijąc. Ani w kartach, ani w piciu nie uczestniczyłem. W pierwszych latach mego pobytu, wyjazd taki na pobór bardzo mię zaciekawiał. Poznawałem krajobraz, ludzi, stosunki. W jednej z największych wsi, zasiedlonej przez starowierców, Biczurze, (Okręgu wierchnieudińskiego), mającej ulicę długą do 12 kilometrów i do 7 tysięcy mieszkańców, robiłem jednocześnie przy poborze antropologiczne badania, tem bardziej że ludność przedstawiała wiele cech starożytnych słowiańskich, bez późniejszych naleciałości azjatyckich; była wysokiego

wzrostu o silnej budowie i pięknym typie blondyna, zwracającym na siebie uwagę. Był to typ dość czysty, bez przymieszki tak pospolitych wśród Rosjan cech mongolskich, fińskich lub tatarskich. Wieś zabudowana była po słowiańsku w podkowę, a pośrodku miała pola. Staroobrzędowcy - Rosjanie przybyli tu w końcu XVIII w., wygnani z Białorusi po rozbiorze Polski, do której przybyli, uciekając od prześladowań patrjarchy Nikona. Zwano ich siemiejskimi z tego powodu, że przybywali *siemjami* t. j. rodzinami. Po raz drugi zaczęto ich prześladować za starą wiarę. Dopuszczano się wszelkich barbarzyństw, obcinano im uszy i języki, wyrywano nozdrze i t. p. Nieszczęśliwi tłumaczyli to prześladowanie przyjściem antychrysta i zbliżeniem się końca świata. Fanatyczni, uprzedzając męczeństwo, dobrowolnie kończyli życie, paląc się żywcem na stosach całemi rodzinami. To prześladowanie wyrobiło w nich hart ducha i wyjątkową wytrwałość w pracy. Osiadłszy na ziemi zajętej przez koczowiska burjackie, starowiercy wygnali ich z osad, a wytrzebiwszy las i zrobiwszy sztuczną irygację, zaczęli uprawiać ziemię, budować domy i dosięgli pewnej kultury, którą podziwiali różni podróżnicy po Syberji. Kolonizacja ich rozprzestrzeniła się dalej na wschód aż na brzegi Amuru. Wśród staroobrzędowców rosyjskich najliczniejsza była sekta t. z. „biegłopopowców", którzy zamieszkiwali przeważnie wieś Biczurę, tak nazwani od tego, że przyjmowali do siebie popów, wyłączonych z pośród duchowieństwa prawosławnego. Rząd prześladował sekciarzy, ale jeszcze więcej ich popów, zachodziła przeto wielka trudność w pozyskiwaniu duchownych, którzy otrzymywali zresztą za swe posługi pokaźne kwoty. Nieraz i popi prawosławni skuszeni znacznym zarobkiem brali kilkomiesięczne urlopy i bywali potajemnie obwożeni po wsiach sekciarskich, spełniając usługi duchowne, t. j. chrzcząc starszych, dając śluby takim, którzy lat kilka z sobą przeżyli, lub zawczasu dzieciom, odprawiając nabożeństwa na grobach ludzi dawno zmarłych i t. p. Starowiercy wyróżniali się trzeźwością i życiem wstrzemięźliwem. Rodzice, troszcząc się o los swoich dzieci, w 14 — 16 roku życia zwykle łączyli je w stadła małżeńskie, które wyróżniały się wyjątkową płodnością. Przy doborze grało rolę zdrowie i pochodzenie z rodzin nieobarczonych żadnemi dziedzicznemi chorobami. Dzieci zrodzone z takich małżeństw odznaczały się wyjątkowem zdrowiem. Częste były rodziny posiadające po 12 dzieci, a widziałem i takie kobiety, które w ciągu życia miewały po 20 do 24 dzieci. Słabsi wymierali na choroby nagminne, gdyż „siemiejscy" nie uznawali żadnych środków ochronnych, szczepień, dezynfekcji i izolacji, a leczenie się uważano za grzech. Pamiętam liczne ich zatargi z władzami o apteki lub

środki lecznicze. Podczas epidemij zdarzało się, że lekarzy wysiedlano ze wsi jako podtrzymujących choroby i t. d. Pomimo wymierania mnóstwa dzieci, szczególnie na ospę, czerwonkę, błonicę, wielka płodność z lichwą wyrównywała śmiertelność. Nie widziałem zdrowszych i wytrwalszych ludzi od tych sekciarzy. Słynęli oni oddawna ze swej pracowitości. Według danych urzędowych niegdyś przybyło 40 zaledwie rodzin do kraju Zabajkalskiego, zajęli najżyźniejsze grunta w Okręgu wierchnieudińskim, wyparli koczujących Burjatów i w ciągu niespełna lat półtorasta rozmnożyli się do 200 tysięcy. Siemiejscy z zasady szkołę rosyjską świecką bojkotowali, poważając tylko naukę *cerkiewno-słowiańskiej hramoty*, której uczyli t. zw. „stariczki", spełniający u nich obowiązki popa i cieszący się wielkiem poważaniem. W interesach i w handlu siemiejscy bystrzy i przebiegli, każdego gotowi byli oszukać; u siebie w domu zaś bardzo uprzejmi i gościnni. Niejeden wieczór podczas poborów rekruckich w Biczurze spędziłem z nimi na pogawędce. Ulubionym tematem ich rozmowy była zwykle dyskusja religijno-dogmatyczna.

Zebrane w czasie moich rozjazdów materjały antropologiczne i etnograficzne opracowywałem potem zimą, siedząc w ciepłem mieszkaniu. Jedyną odmianą mej pracy była wtedy praktyka lekarska. Chociaż miałem wyznaczone na nią ranne godziny, lecz warunki miejscowe zmuszały w różnych porach dnia nietylko dawać porady, lecz i wyjeżdżać do chorych, a przytem często bezinteresownie. Niektórzy z lekarzy wprowadzili zwyczaj po zbadaniu chorego picia wódki i zjadania przekąsek w jego domu, przez co wizyta przeciągała się na godziny. Co do mnie, zapisawszy receptę, ulatniałem się, na co w początkach wielu z nich sarkało, nazywając mię hardym Polakiem, który pogardza biedniejszymi ludźmi; lecz kiedy przkonano się, że nie piję napojów alkoholowych, przestano mnie atakować. Postępowanie dające tu popularność lekarzowi polegało na przyjmowaniu poczęstunku u chorych, bywaniu na uroczystościach rodzinnych, a więc na chrzcinach na których nieraz lekarze pozbawieni ambicji zbierali dla siebie na talerzu datki od gości, na ucztach weselnych, lub na stypach pogrzebowych. Zwyczajów tych nigdy nie zachowywałem, a zresztą w ostatnich latach mego pobytu wobec pogarszających się warunków ekonomicznych zaczęły one same zanikać.

O dawnych czasach z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia przechowały się żywe jeszcze wspomnienia u niektórych starych kupców. Żyło się wtedy patrjarchalnie, szeroko i wesoło w starej Kiachcie za komisarstwa i gubernatorstwa Despoty Zenowicza. Jedynem zajęciem było jedzenie i picie. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc całe towarzystwo

Troickosawskie i Kiachtyńskie zbierało się z muzyką u gubernatora, winszując mu świąt, a następnie objeżdżano od rana do wieczora wszystkie domy, których było kilkadziesiąt w mieście, wszędzie zakąsywano i pito za zdrowie gospodarza. Niektórzy wozili z sobą szampan, zwłaszcza kupcy kiachtyńscy, i pili po drodze na ulicy. Wieczorem wielu półmartwych wnoszono do domów. Nazajutrz podobny orszak rozjeżdżał z rewizytą. Jeszcze i za moich czasów zwyczaj wizyt świątecznych przez dnie całe utrzymywał się tradycyjnie, tylko z mniejszą uroczystością i pompą, a na uchylających się od tego patrzono krzywo. W pierwszych latach oddawałem wizyty tylko tym, którzy mi przedtem złożyli, później na pierwszych parę dni świąt wyjeżdżaliśuy z miasta, lub pod tym pozorem zamykaliśmy się, nikogo nie przyjmując.

Wymieniałem już parę razy w niniejszych wspomnieniach nazwisko Aleksandra Despoty Zenowicza, którego pamięć przechowywana była w Troickosawsku. Niepospolity ten człowiek dziwnym ulegał losom. Doszedłszy do wysokiego stanowiska państwowego, zaznaczał wszędzie swą polskość, wówczas, kiedy była ona poniewieraną i prześladowaną. Pochodził ze starego litewskiego rodu, pieczętującego się herbem Zenowicz, w XV w. spokrewnionego z pierwszemi rodzinami w kraju, który piastował na Litwie wybitne urzędy, potem podupadł i zeszedł do stanu miernego. Aleksander przyszedł na świat w powiecie Trockim, a skończywszy gimnazjum w Wilnie był wzięty w opiekę przez krewną swej matki, żonę ówczesnego jenerał - gubernatora Moskiewskiego Tuczkowa. W r. 1850 ukończył wydział prawny w Moskwie, a gdy przebywał podczas wakacyj w Wilnie, z rozkazu ówczesnego ministra spraw wewnętrznych hr. Orłowa, wrogo odnoszącego się do Tuczkowa, został aresztowany i administracyjnie zesłany do Tiumenia. Po niejakim czasie nowo-mianowany jenerał - gubernator wschodniej Syberji Murawiew - Amurskij zamianował młodego Zenowicza urzędnikiem do zleceń szczególnych w Irkucku, a wkrótce zaledwie 23-lata liczącego, naznacza na odpowiedzialne stanowisko pogranicznego komisarza w Kiachcie. Tu już występuje Zenowicz jako pionier cywilizacji i kultury, kształci życie towarzyskie, podnosi handel i t. d. W r. 1858 wykrywa miljonowe kradzieże, uprawiane przez wiele lat systematycznie na komorze celnej, za co otrzymuje dożywotnią pensję i nominację na naczelnika miasta Kiachty i gubernatora pogranicza Mongolji z bardzo rozległem pełnomocnictwem. To daje mu szerokie pole do działalności kulturalnej, podnoszonej przez pisarzy i publicystów syberyjskich. Troickosawsk z osadą Kiachtą staje się przedmiotem szczególnej pieczołowitości

nowego naczelnika. Zakłada ochronkę dla dzieci, szkoły początkowe i dla braku nauczycieli sam pierwszy w nich naucza. Sprowadza nasiona i uczy ogrodownictwa i uprawy roli. Prześladuje pijaństwo i łapownictwo pośród urzędników, dobierając na stanowiska ludzi moralnej wartości. Wprowadza godziwe rozrywki i instytucje kulturalne, jak klub, zakłada publiczną czytelnię i bibljotekę, wreszcie popiera wśród kupiectwa myśl założenia pierwszej drukarni, w której drukuje gazetę miejscową, pomimo, że nie było jej nawet w takim ośrodku kulturalnym i miejscu rezydencji jenerał-gubernatora, jak Irkuck. Nieurzędowym redaktorem i współpracownikiem gazety jest sam Zenowicz. Pierwsze jej numery zachowały się aż do czasów dzisiejszych. Z wyjazdem gubernatora gazeta upadła. Wnikał on też w życie obywateli i w ich obyczajowość. Wzbraniał i piętnował używanie wyrazów nieprzyzwoitych, rozprzestrzenione nawet pośród sfer mieniących się kulturalnemi w Rosji, wytępił ówczesny zwyczaj mężczyzn, chodzenia latem bez spodni. Nie było sprawy, w której Zenowicz głosu nie zabierał, śmiało rozwiązując wątpliwości na miejscu bez oczekiwania na decyzję odległego Petersburga. Był on inicjatorem niejednego większego przedsiębiorstwa, a między innemi przyczynił się do ustalenia handlu z Chinami i zawarcia umowy handlowej. Całą działalność Zenowicza i jego zasługi słusznie ocenił w pośmiertnem wspomnieniu Spasowicz, nazywając go Garun-Alraszydem Syberji. Jeszcze za jego życia w r. 1895 społeczeństwo miejscowe powzięło myśl uczczenia 35-letniego jubileuszu odjazdu Zenowicza z Kiachty dla upamiętnienia jego działalności jako siewcy europejskiej kultury. Nic też dziwnego, że lepsza część społeczeństwa i różne instytucje kulturalne, a na ich czele niedawno otwarty Oddział Towarzystwa Geograficznego wzięły gorący udział w tej uroczystości. Urządziliśmy zebranie poświęcone jego pamięci, na uczcie starzy kiachtyńcy wspominali działalność ukochanego naczelnika, jak go powszechnie nazywano. Posypały się do Petersburga telegramy od rozmaitych instytucyj i stowarzyszeń, magistratu, kupiectwa, mieszczan, duchowieństwa, szkół i t. d. W lat parę potem Zenowicza nie stało. Czując się źle, wyjechał z Petersburga do Krymu, odwiedzić swych dawnych przyjaciół, kupców niegdyś kiachtyńskich Tokmakowych, zamieszkałych w majątku swym w Koreizie na Krymie, i tam po kilkudniowem zapaleniu płuc życie zakończył. Kupiectwo kiachtyńskie na mogile zmarłego wzniosło pomnik z napisami w dwóch językach, rosyjskim i polskim, znając jego przywiązanie do swej narodowości. Zenowicz opuścił Kiachtę w r. 1861, otrzymawszy nominację na gubernatora tobolskiego. Gdy nadeszły chwile smutnych wypadków

krajowych, Zenowicz niósł wybitną pomoc rodakom. Dziesiątki tysięcy wygnańców przechodziło przez Tobolsk, a wszyscy znajdowali w nim gorącego opiekuna. Wciągnąwszy do akcji dobroczynnej wielkiego przedsiębiorcę Alfonsa Koziełłę - Poklewskiego, zorganizował on towarzystwo pomocy, które w dziejach wygnaństwa polskiego pozostawiło po sobie świetną kartę. Zenowicz, będąc w dobrych stosunkach z jenerał - gubernatorem Wschodu Syberji, poczciwym Francuzem Du-Hamel'em w Tomsku, wyjednał dla Polaków niemniej ludzkie obchodzenie się administracji miejscowej w całej Zachodniej Syberji. Wymagania służbowe, prześladowanie nadużyć i łapownictwa wywołały pośród czynownictwa i duchowieństwa prawosławnego intrygi przeciw Zenowiczowi, zarzucano mu, że nadużywa swej władzy jako Polak, prześladuje Rosjan i prawosławje, a to spowodowało, że w r. 1865 był wezwany do Petersburga i nie wrócił już stamtąd. Ten człowiek pełen życia i żądny czynu, przez ostatnie 35 lat był unieruchomiony, odgrywając bierną rolę członka rady ministra spraw wewnętrznych, gdzie jako znawca kierował sprawami syberyjskiemi w ministerstwie. Miał możność w przeciągu tego długiego czasu ponownie wysunąć się na przodujące stanowisko szczególnie za dyktatury hr. Loris - Melikowa, który chciał mu powierzyć ministerstwo spraw zagranicznych, lecz napotkał w tem opozycję cara. I w Petersburgu Zenowicz zdobył sobie zasłużone uznanie nietylko pośród swoich, których był orędownikiem, lecz i wśród społeczeństwa rosyjskiego. Jako administratora imię jego zapisała Syberja złotemi zgłoskami.

Badania cmentarzyska na Sudży (Zabajkalje)

Siedzą z lewa na prawo: Felczer L. F. BORODIJ, p. G. N. PIETROWA, Dr. J. TALKO-HRYNCEWICZ, I. S. SMOLOW, p. K. TALKO-HRYNCEWICZOWA

ROZDZIAŁ XVII.

Założenie w Troickosawsku Oddziału Towarzystwa Geograficznego i działalność tego Oddziału. — Ekspedycje naukowe. — Klementz. — Wyjazd mój z żoną do Urgi, stolicy Mongolji, i powrót do Troickosawska.

Dla moich badań, jak również dla uprzystępnienia druku prac naukowych, szczęśliwem zdarzeniem było otwarcie sekcji Towarzystwa Geograficznego w Troickosawsku. Przyczynił się do tego jenerał gubernator Duchowskoj, który zajął posadę tę po baronie Korfie. Człowiek próżny i ambitny, chciał swe rządy zaznaczyć pewnemi kulturalnemi czynami i hojnie szafował na to rządowemi środkami. Najprzód w rezydencji swej w Chabarówce zorganizował Oddział Przyamurskiego Geograficznego Centralnego Towarzystwa, posiadający prawo otwierania sekcyj. Celem Oddziału było badanie kraju, organizowanie muzeów, bibljotek, stacyj meteorologicznych, urządzanie stałych posiedzeń naukowych, jednem słowem zainteresowanie ogółu i wciągnięcie go do tych prac. Duchowskoj, przyjąwszy tytuł kuratora Oddziału, dokładał starań wszelkich do jego rozwoju, zmuszając do udziału w pracach podległych mu oficerów i urzędników. Wkrótce powstały sekcje Oddziału z prawami znacznej autonomji w Czycie, Troickosawsku i Władywostoku. Duchowskoj znalazł poparcie i zwolennika swej myśli w doktorze Rodakowie, okręgowym inspektorze wojskowo-lekarskim Przyamurskiego Kraju. Rodakow był już starcem. W młodości interesował się ornitologją i zebrał znaczną kolekcję ptaków w Rosji, a później w Bułgarji, brał udział w pracach naukowych, był założycielem Towarzystwa aklimatyzacji zwierząt i roślin w Moskwie. Rozkaz służbowy zagnał go na daleki wschód. Ponieważ Rodakow niemal co roku bywał w Troickosawsku, poznaliśmy się z nim bliżej. Był to człowiek

sympatyczny, o wyższej europejskiej kulturze i ogładzie, lecz wskutek starczego osłabienia pamięci nie można było nigdy na niego liczyć. Rodakow w zastępstwie jenerał - gubernatora 14 lipca 1894 r. uroczyście otworzył filję Geograficznego Towarzystwa w Troickosawsku i pierwsze walne zebranie członków założycieli. Co do poparcia materjalnego nowo - powstającej filji, najwięcej liczono na Kiachtę, a potem na Troickosawsk, więc po długich debatach nazwano ją Troickosawsko-Kiachtyńską. Do zarządu najtrudniej było znaleźć ludzi, mogących nadać kierunek naukowy nowozawiązującemu się towarzystwu i następnie dla niego pracować bezinteresownie. Mniejszą troskę stanowiły środki materjalne, gdyż narazie zebrano pokaźną sumę, szczególnie wśród kupiectwa, a nadal miały wpływać wkładki członkowskie i stała zapomoga rządowa.

Jeszcze przed kilku laty grono osób z miejscowej inteligencji, w tej liczbie kilku zesłanych politycznych, dalej grono urzędników i kupców powzięło myśl zbierania kolekcji przedmiotów kultury dalekiego Wschodu w celu założenia początku przyszłego muzeum. Znalazło się wielu, którzy mieli cenne przedmioty kultu chińskiego lub t. p. i ofiarowali je, lecz skutkiem donosu, jakoby pod pozorem zbierania kolekcji knują się spiski polityczne, władze administracyjne po przeprowadzonem śledztwie nakazały zaprzestać kolekcjonowania i zbiory musiano potajemnie przechowywać niby kontrabandę. Po latach kilku stały się one zawiązkiem muzeum, dla którego jeden z kupców ofiarował dom w Kiachcie. Na prezesa nowo - otwartego towarzystwa z trudnością dał się namówić Saburow, dyrektor szkoły realnej, przyrodnik, który niegdyś brał czynny udział w pracach Geograficznego Oddziału w Irkucku, gdzie był nauczycielem gimnazjum. Napisał on monografję o omólu, rybie z rodziny sigów (coregonus), stanowiącą osobliwość Bajkału. Na géranta towarzystwa t. zw. *prawitiela dzieł*, na którego barkach miała spoczywać działalność sekcji, obrano mnie. Obowiązek ten spełniałem bezinteresownie przez lat 14. Oprócz tego wybrano dwunastu członków komitetu wykonawczego, z których jeden został skarbnikiem, a drugi, Władysław Molleson, kustoszem zbiorów. Z pochodzenia był to Polak, lecz polskość zatracił. Był on synowcem tego, którego pod nazwiskiem Rollisona upamiętnił Mickiewicz w „Dziadach". Ojciec jego Stefan, wnuk pastora, prefekta szkół kiejdańskich, jak słyszałem od syna, był człowiekiem lekkomyślnym; podążył za chlebem na wschód i służył jako urzędnik w gubernji Ufimskiej, gdzie się ożenił z Rosjanką i miał kilkoro dzieci, którym dał polskie imiona. W późniejszym czasie stary Molleson przeniósł się do Kijowa i syn jego tam się uczył w gimna-

zjum, a następnie otrzymał posadę nauczyciela szkoły miejskiej, w Troickosawsku, gdzie ożenił się z miejscową Sybiraczką. Będąc myśliwym i zamiłowanym obserwatorem przyrody, całe lato zwykle spędzał na stepach mongolskich, polując i rysując okazy szczególnie ptaków, a nauczywszy się misternie zdejmować z nich skóry, artystycznie je wypychał. W tym kierunku wykształcił swą żonę i miał w niej niezmordowaną pomocnicę. Molleson wyszedłszy na emeryturę został kustoszem muzeum i jednym z filarów sekcji, nim go po latach czterech przedwcześnie śmierć nie zabrała ze szkodą dla nauki.

Wobec braku miejscowych sił naukowych i trudności o referaty na posiedzenia miesięczne, trzeba było zachęcić, pomagać a nieraz i samemu pisać rozprawy jakiejś ogólniejszej treści. Latem urządzaliśmy wycieczki, lub małe ekspedycje do okolic pobliskich, zbierając okazy zoologiczne, botaniczne, mineralogiczne, lub archeologiczne co stanowiło materjał do naukowych sprawozdań. Ja badałem żywych ludzi, lub, korzystając z obfitości pomników pochodzących z różnych okresów, rozkopywałem przez lat osiem mogiły. Liczba zbadanych przeze mnie mogił przewyższyła 500. Materjały przyrodnicze, zebrane przez naszych członków, posyłane były do określenia rozmaitym powagom naukowym tak w Rosji, jak i zagranicę. Otrzymywaliśmy w ten sposób prace poważne, które drukowaliśmy w swoich wydawnictwach. Ustawiczna korespondencja dała mi możność nawiązania stosunków z uczonymi różnych krajów. Sporo też czasu zajmowało redagowanie wydawnictw Sekcji, które drukowaliśmy regularnie przez lat czternaście, początkowo w Troickosawsku i Irkucku, później, kiedy zawartość tomów znacznie się zwiększyła, w Moskwie i Petersburgu. Osobny dział stanowiło muzeum, mające charakter przeważnie miejscowy i ześrodkowujące w sobie kolekcje historyczno-przyrodnicze Zabajkalja i Mongolji, z uwzględnieniem do pewnego stopnia krajów sąsiednich, Chin, a w części Japonji. Ponieważ przeważna część zbiorów muzeum pochodziła z darów różnych osób, warunkiem rozwoju tej instytucji było wciągnięcie jak największej rzeszy współpracowników i bezpłatny wstęp dla publiczności. Liczba zwiedzających przekraczała rocznie 3 tysiące. Była to cyfra bardzo duża, jeśli się weźmie pod uwagę małą liczbę ludności miasta. Wśród zwiedzających byli ludzie różnych stanów i narodowości: mieszczanie i chłopi, przyjezdni, uczeni i podróżnicy, Rosjanie, Burjaci, Mongołowie, Chińczycy i Tybetańczycy. Przy muzeum jako dział pomocniczo - naukowy istniała stacja meteorologiczna, z aparatem dla spostrzeżeń seismologicznych, gdyż Troickosawsk należał do rejonu trzęsienia ziemi, ośrodkiem którego był Bajkał. Chociaż nie przyczyniły one żadnych

większych strat, lecz w niektórych latach powtarzały się często. Przy muzeum powstała bibljoteka, w której liczba dzieł naukowych dosięgła 6 tysięcy. Znaczną część swych dawnych wydawnictw ofiarowały nam: Akademja Nauk w Petersburgu, Centralne Geograficzne Towarzystwo i inne naukowe instytucje. Oprócz tego otrzymywaliśmy zamienne wydawnictwa przeszło 60 towarzystw i instytucyj naukowych krajowych i zagranicznych.

Wielce ożywiały czynność naszego Towarzystwa przejazdy przez Kiachtę do Chin i Mongolji różnych ekspedycyj naukowych, tak rosyjskich, jak i zagranicznych. Zdarzało się to zazwyczaj w końcu zimy, lub wczesną wiosną. Kiachta z sekcją Oddziału w ten sposób odgrywała przez lat wiele rolę stacji informacyjno-naukowej. Wielu podróżników, wracając, dzieliło się po raz pierwszy swemi zdobyczami naukowemi na posiedzeniach Towarzystwa, zaciekawiając miejscowe społeczeństwo zagadnieniami leżącemi poza zakresem ich codziennych materjalnych potrzeb. Oprócz możności pracowania naukowo, działalność, jakiej się podjąłem w sekcji, ożywiała i podniecała mnie dając poczucie, że spełniam rolę kulturalną.

Kiachta leżała przy szlaku, którym dążyły wyprawy dla badań nieznanego Wschodu. Tędy nieraz przejeżdżały ekspedycje wojskowe Przewalskiego, a później Piewcowa dla przeniknięcia do Tybetu. Tędy zdążał do stolicy Czingis-Chanowej Karakorum Jadrińcow, a po nim Aksel Heikel i W. Radłow dla zbadania starożytnych napisów tureckich z nagrobków chanów. Odczytywał je Tomson, odsłaniając tajemniczą i nieznaną historję Wschodu. W czasie już naszego tu pobytu w r. 1892 przejeżdżała tędy ekspedycja Grzegorza Potanina, o którym wspominałem wyżej, mająca na celu zbadanie wschodniej części Tybetu. Do ekspedycji tej jako członkowie wchodzili: żona Potanina, Berezowskij i Obruczew, późniejszy profesor Politechniki w Tomsku. Podróżnicy udali się przez Ordos do Sy-czuana, zamierzając wznieść się na płaskowzgórze Tybetańskie, lecz w drodze do Szanghaju zasłabła pani Potaninowa i tu na stepie zakończyła życie. Zrozpaczony mąż wraca przez Syberję zachodnią do Rosji, lecz jego pomocnicy prowadzili rozpoczęte prace geologiczne w Azji środkowej. Kupiectwo kiachtyńskie gorąco wielbiąc zasługi zmarłej, nie tylko jako zasłużonej etnografki, lecz i działaczki społecznej i filantropki, zebrało potrzebne środki, aby jej zwłoki przenieść z Chin i pogrzebać na pograniczu Rosji w Kiachcie. W r. 1894 Mongołowie przywieźli na wołach zwłoki zmarłej, które uroczyście były złożone na najwyższem miejscu cmentarza Troickosawskiego, skąd roztaczał się szeroki widok na dalekie przestrzenie Mongolji. Nad mogiłą prze-

mawiał literat Iwan Popow, późniejszy redaktor „Wostocznoje Obozrenje" w Irkucku. Również i ja, poświęciłem pamięci i zasługom zmarłej słów kilka. Z rozmaitych stron Rosji i Syberji nadesłano mnóstwo wieńców i telegramów kondolencyjnych. Pieczę nad grobem Potaninowej polecono zarządowi Towarzystwa Geograficznego, składając drobną kwotę jako zawiązek pod przyszły pomnik, oraz nakładając obowiązek urządzania corocznego nabożeństwa za duszę zmarłej, czego przestrzegałem regularnie. W lat kilka potem na nabożeństwie, oprócz popa i mnie, nadomiar katolika, nikogo nie bywało.

Z innych podróżników należy zaznaczyć parorazowy przyjazd jednego z uczniów Przewalskiego, pułkownika Kozłowa, dążącego do Tybetu. Wyprawa ta, zorganizowana przez ministerstwo wojny, miała przedewszystkiem cele polityczne. Dodano jej do pomocy oddział uzbrojonych kozaków, którzy wstępowali nie jako goście w kraj obcy, lecz jako zdobywcy z nahajką i pogardą dla tubylców, odbierając im żywność i co się dało. Przejeżdżała jeszcze tędy ekspedycja francuska Chaffajon'a, węgierska hr. Eugenjusza Zichy i inne, w celach historyczno-przyrodniczych, językoznawczych, ekonomicznych i t. p. Był tu Marcelin Monier, sekretarz Paryskiego Geogr. Towarz., Sven Chedin, znany podróżnik, Paul Labbé, dziennikarz i korespondent rozmaitych czasopism francuskich, pani Masson i inni, a wszyscy zgłaszali się po informacje do Towarzystwa Geograficznego. Hr. Eugenjusz Zichy, przedsiębrał wówczas trzecią swą wielką wyprawę, a mianowicie do Azji środkowej w celu odszukania drogi, po której w zamierzchłych wiekach mieli wkroczyć do Europy przez Kaukaz protoplaści hrabiego Madziarzy. Hr. Zichy kilka tygodni bawił w Troickosawsku i prawie codzień bywał u nas. Członkowie jego ekspedycji podtrzymujący jej sławę naukową, pracowali rozproszeni po Syberji. Hrabia nie miał żadnego wytkniętego naukowego celu, a szukał wspólności kultury pomiędzy Azją środkową i Węgrami. W tym celu co rana na rynku w Kiachcie, lub w Majmaczenie skupował rozmaite stare żelazo dla muzeum narodowego w Peszcie, które było jego ulubionym tworem.

Jedno z najprzyjemniejszych dla nas wspomnień pozostawiła po sobie skromna ekspedycja małżonków Klementzów, zorganizowana małemi środkami udzielonemi przez Akademję Nauk w Petersburgu. Trwała ona trzy lata, mając na celu zbadanie zabytków archeologiczno-etnograficznych Mongolji. Klementzowie zakupowali wczesną wiosną potrzebne do ekspedycji konie, wielbłądy, wozy, zapasy pożywienia, suchary, cukier i t. d., poczem, przejechawszy znaczną część

Mongolji, późną jesienią, a niekiedy około Bożego Narodzenia sterani i wyczerpani na siłach wracali na zimowe leże do Troickosawska, z pierwszemi zaś zwiastunami wiosny znowu puszczali się w drogę. Klementzowie zwykle na zimę lokowali się w naszem mieszkaniu, wnosząc z sobą ruch i ożywienie. Obszerny dziedziniec napełniał się liczną rzeszą przybyłej karawany z Mongołami i końmi. Klementz był człowiekiem wyróżniającym się swoją oryginalnością, był prostym w obejściu, szczerym i przyjacielskim. Umiał w żywy i dosadny sposób opowiadać mnóstwo ciekawych zdarzeń ze swego życia a zwłaszcza z rozjazdów po Mongolji. Ponieważ Klementz był jednym z filarów rewolucji rosyjskiej, muszę poświęcić mu dłuższe wspomnienie, osnute na wieloletnim z nim stosunku i danych biograficznych, udzielonych mi przez niego, lub z pism rosyjskich.

Dziad Klementza przybył ze Szwecji do Rygi, jako pastor protestancki i tam się ożenił z Niemką. Syn jego pojechał jako agronom do gubernij przyuralskich, i tu, będąc rządcą u pewnego obywatela, ożenił się z córką mniejszego posiadacza ziemskiego pochodzenia tatarskiego. Nieraz Klementz żartując mawiał, że z dziada Szweda, ojca Niemca i z matki Tatarki wyszedł *„ruskij czełowiek, a Wasz pokornyj sługa"*.

Dzieciństwo swe spędził na stepach nadwołżańskich, gdzie poznał blisko przyrodę kraju, wierzenia i psychologję chłopa rosyjskiego, co mu w wieku starszym wielce ułatwiało propagandę polityczną. Po ukończeniu gimnazjum wstępuje na wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu Kazańskiego, skąd przenosi się do Petersburga, lecz matematyka go nie nęci, a bardziej pociąga życie i jego przejawy, ekonomja polityczna i zagadnienia społeczne. Uniwersytetu nie kończy i od r. 1873 pracuje w różnych organizacjach rewolucyjnych. Celem propagandy wkłada siermięgę i idzie do chat chłopskich, t. z. *chożdienije w narod*, bierze udział w znanem wydawnictwie Ławrowa „Wpierod" i redaguje „Ziemla i wola", nieustannie przekracza granicę, przewożąc mnóstwo niecenzuralnych książek i broszur. Należał on w r. 1872 do t. z. kółka „Czajkowców", które było przez rząd silnie prześladowane, choć nie miało tendencyj wywrotowych, a pod względem moralnego poziomu swych członków i ich wysokiego wykształcenia zajmowało przodujące miejsce. Ozdobą tego kółka był Klementz. Nikt z grona jego współczesnych nie miał tej aureoli wyższości, na nikogo nie patrzano z taką dumą jak na Klementza. Widziano w nim nietylko człowieka nieskazitelnego, lecz i wielki talent. Do niego udawano się w każdej zawiłej sprawie, lub w beznadziejnem położeniu, a zawsze znajdował wyjście. Książe Piotr Krapot-

kin w swych „Zapiskach rewolucjonisty" wspomina o Klementzie jako o wiele od niego młodszym, wyróżniając go z pośród studentów. Był to człowiek, powiada Krapotkin, bardzo rozwinięty, oczytany, który wiele przemyślał, cenił i lubił naukę, lecz podobnie jak większość z nas przyszedł do przekonania, że zostać uczonym, jest to samo co zostać filistrem, wówczas kiedy przed nami stoi taki ogrom niecierpiącej zwłoki pracy. Klementz żył wśród bardzo ciężkich warunków, mieszkania najczęściej nie posiadał, pracował w miejscach przygodnych, robiąc jakieś tłumaczenia, lub pisał artykuły, poza tem brał się do każdej pracy. Krapotkin powiada, że w Europie zachodniej człowiek tak utalentowany napewno byłby stał się wybitnym wodzem politycznym, lub socjalistycznym, lecz Klementzowi obca była wszelka ambicja. Propaganda, którą prowadził, wytwarzała nieraz najrozmaitsze sytuacje, z których zwykle wychodził szczęśliwie. W działalności swej nie był stronnikiem tej lub innej partji. Nie było w nim nic ze spiskowca. W obejściu i w mowie był prosty, i otwarty. Językiem władał po mistrzowsku, umiał wszędzie mówić odpowiednio, czy w chacie chłopskiej, karczmie, czy w salonie. W formie żartu rzucał nieraz myśl ukrytą, która głęboko zapadała w głowie słuchacza. Pomimo wielkiego wpływu na masy, nie korzystał z tego i nie usiłował wciągać i wikłać innych w niebezpieczeństwa, ale siebie nie szczędził. W chwilach najniebezpieczniejszych nie tracił zimnej krwi, śmiejąc się i żartując. Klementz przebywał to w Rosji, to zagranicą, w Szwajcarji, w Berlinie, gdzie słuchał wykładów wybitnych uczonych. Wybrał się do Czarnogóry i Serbji jako ochotnik wojskowy, lecz zrażony miejscowemi stosunkami nie zaciągnął się w ich szeregi. Po powrocie do Rosji został aresztowany, a po dwóch latach więzienia, kiedy mu śledztwo szczególniejszej winy dowieść nie mogło, zostaje zesłany na pomieszkanie do Minusińska, jako człowiek o szkodliwych antypaństwowych tendencjach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajduje tam nowe pole do pracy, które go całkowicie pochłania. Spotkał mianowicie człowieka wielce oryginalnego, który pośrednio wpłynął na kierunek jego życia, Martjanowa, Żyda z pochodzenia, syna kantonisty z czasów mikołajewskich i matki Polki. Rodem był z Mińska Litewskiego. Przyjechał do Minusińska jako farmaceuta zarządzający apteką, a tu przejawił się w nim zapał do kolekcjonerstwa. Czas wolny poświęcał na zbieranie przedmiotów historyczno - przyrodniczych, etnograficznych i archeologicznych, a gdy zbiory urosły do znacznych rozmiarów ofiarował je miastu. Odtąd głucha osada tatarska staje się miejscem, do którego dążą dla zwiedzenia muzeum europejczycy i cudzoziemcy. Dokoła tej placów-

ki kulturalnej skupia się liczne grono współpracowników, przeważnie zesłańców politycznych, a wśród nich najutalentowańszy Klementz, który opracowuje zbiory prehistoryczne muzeum. Ożenił się tu z dyrektorką miejscowego gimnazjum, kobietą o wyższej inteligencji, która, wychodząc zamąż za politycznego wygnańca, straciła posadę. Klementz ze względów materjalnych przenosi się do Tomska i oddaje się tam pracy dziennikarskiej. Stąd go powołano na płatną posadę zarządzającego Oddziałem Wschodnim Geograficznego Towarzystwa w Irkucku. Na tem stanowisku poznałem go. Uczestniczył on w t. zw. Orchońskiej ekspedycji akademika W. Radłowa w celu odszukiwania zabytków staro-tureckich. Następnie wyjeżdża na czas dłuższy dla organizacji ekspedycji północno - syberyjskiej znanego miljonera Sibiriakowa w celu zbadania kraju Jakuckiego, i nakoniec urządza samodzielną wyprawę do Mongolji, celem dalszego prowadzenia badań W. Radłowa. Dnie zimowe spędzali oboje małżonkowie na porządkowaniu swych zbiorów, katalogów, pisaniu sprawozdań i notatek oraz załatwianiu innych spraw naukowych, natomiast wieczory spędzaliśmy zwykle razem. Często zachodzili do nas na pogawędkę znajomi, przeważnie zesłańcy polityczni: Czaruszynowie, Pietrowowie, Popowowie i inni. Wówczas to przy samowarze Klementz opowiadał nam o swych przygodach, sypiąc perłami niezrównanego humoru i dowcipu. Śmiech jego dobroduszny i niewinny udzielał się wszystkim. Przeżyłem znaczną część życia wśród Rosjan, lecz mało spotykałem tak bezstronnie odnoszących się do Polaków. Byłem później w lat wiele świadkiem w Petersburgu rozmowy w domu Klementza jak jeden z Ukraińców, Chwedor Wowk, etnograf i archeolog, zjadliwie napadał na Polaków, co silnie oburzyło Klementza. Ostro mu wówczas odpowiedział: „Co wy chcecie od Polaków, nie tylko męczycie ich i prześladujecie, lecz łajecie za to, że bronią się od wynarodowienia, co uważam im za zasługę". Był on szczerym obrońcą wszystkich uciśnionych, czy byli to Żydzi, czy Burjaci. Bronił ich w sądach i w prasie przeciw napaściom policji i prawosławnego duchowieństwa. Miał jednak słabość właściwą Rosjanom, której się jednak wstydził i potępiał. Wśród przyjaciół nie umiał być powściągliwym w wypiciu.

Z usposobienia pesymista, Klementz widział największe zło rosyjskiego narodu w nałogu pijaństwa i w złodziejstwie, które według niego przenikło głęboko w naturę Rosjanina gotowego okraść i „Boga samego". Rosjanin daleko wtyle pozostał od kulturalnie od niego wyżej stojącego nie tylko Chińczyka z tysiącoletnią cywilizacją, lecz

WIDOK URGI

nawet od pierwotnego Mongoła, uważanego za dziecko natury. Mongoł nie zarażony jeszcze europejską cywilizacją, jak i Chińczyk, nikogo nie ograbi i nie pokwapi się na cudzą własność. Chińczycy prowadzili handel zamienny z Rosjanami przez półtorasta lat ostatnich i jedyną gwarancją były książki handlowe: nie potrzeba było ani weksli, ani poręczycieli. Handel był oparty na zaufaniu i uczciwości, a tymczasem nie było wypadku, ażeby Chińczyk popełnił nadużycie. Zdarzyło się raczej, że Rosjanie, handlujący herbatą, podstępnie oszukiwali Chińczyków. Niemniejsza uczciwość w stosunkach cechowała pogranicznych Mongołów. Wyłącznie na słowo Mongoła, że dostarczy tyle a tyle wozów siana, lub drzewa, można było liczyć, że je spełni. Jeżeli dawało mu się nadto zadatek, to niedotrzymywanie słowa należało do wyjątków. Każdy kto przebywał drogę pocztą rządową po Mongolji, może stwierdzić uczciwość Mongołów. Każdy doświadczył tego, że rzeczy odsyłane taką pocztą, przez czas dłuższy wiezione wołami na dwukółkach, źle opakowane, lekko związane sznurami, często przychodziły rozbite, lecz zawsze były nietknięte, a nie było zdarzenia, aby zaginęły. Podróżujący w celach naukowych po Mongolji pozostawiają swoje namioty z dobytkiem w stepach i nikt nigdy nic nie poruszy, chyba bliżej granicy wędrujący Rosjanie. Niema coprawda zrozumienia własności publicznej, lub państwowej, do czego umysł koczownika jeszcze nie dorósł, bo las i ziemię uważa za własność narodu, podobnie zresztą jak poniekąd i u nas.

W grudniu 1899 r. na prośbę kolonji rosyjskiej w Urdze, stolicy Mongolji, zaniepokojonej pojawieniem się tam śmiertelnej epidemicznej choroby, zostałem delegowany do Urgi przez jenerał - gubernatora Kraju nadamurskiego w celu wyjaśnienia istoty rzeczy i przedsięwzięcia środków dla zatamowania epidemji i zapobieżenia jej przeniesienia do Rosji. Wiadomość o moim wyjeździe do Urgi dla walki z dżumą sprawiła wielki popłoch w mieście. Żałowano mnie bardzo i żegnano jako jadącego na śmierć. Wielu doradzało, abym nie jechał, podając się za chorego. Inni znowu udowadniali, że posyłać mnie poza granicę państwa nie miano prawa, gdyż nie wchodziło to w zakres mojej służby bezpośredniej. Ani na chwilę nie przyszła mi do głowy myśl uchylenia się od podróży. Uważałbym to za tchórzostwo, ubliżające stanowi lekarskiemu. Coprawda jazda z pustemi rękami i bez żadnych środków, prócz współdziałania miejscowego rosyjskiego konsulatu, czyniła moją misję bezcelową i czysto formalną. Żona moja z natury bardzo wrażliwa przerażona wiadomością, pomimo moich usiłowań, aby zaniechała zamiaru jazdy, po-

stanowiła mi towarzyszyć. Jechania z nami wyraziła chęć służąca nasza Iwanowska, młoda dziewczyna, córka Polaka, jednego z moich felczerów. Pobudką dla niej była chęć nowych wrażeń i zobaczenia Urgi.

Konieczne było zaopatrzenie się przed podróżą w tarantas i oficjalnego tłumacza. Parę razy już przed tem bywałem w Urdze, wzywany do chorych, raz do żony rosyjskiego jeneralnego konsula pani Luba na połóg i przebyłem tam z miesiąc wraz z żoną. Jechałem wówczas z wielkiem zainteresowaniem, chcąc poznać kraj i ludzi, tem więcej, że było to latem, a mając czas wolny, robiłem badania Mongołów, zbierałem kolekcje dla kiachtyńskiego muzeum, jak również czaszki i kości, w czem mi był pomocnym uprzejmy miejscowy pop przy konsulacie, interesujący się wogóle nauką. Kilkorazowe przejażdżki nasze w pola w okolice Urgi dały obfity materjał, gdyż za każdym razem przywoziliśmy pełen kości wehikuł syberyjski dwukołowy, zwany „sidiejką". Jazda do Urgi zimą, nie mówiąc już o celu podróży, nie bardzo się uśmiechała. Przy dniach krótkich grudniowych i niemożności jazdy nocnej, mrozach dochodzących do 40° R, poniżej zera, przy silnym ostrym wietrze i noclegach w jurtach dymnych, na ten cel ustawianych na zamarzniętej ziemi, czyniła drogę wielce nużącą, szczególnie dla kobiet. Z Kiachty wyruszyliśmy traktem, chociaż właściwej drogi do Urgi niema, a jedzie się dowolnie stepem kilkaset wiorst. Na przestrzeni tej leżą dwa wysokie pasma gór, jedno większe zwane *Mancha-łoj*, drugie mniejsze *To-ło-goj*. Przeprawa ta jednak jest ciężka i nie o każdej porze roku możliwa, gdyż oprócz zalegających w górach ogromnych brył kamiennych, są źródła rozlane i potoki zamarzłe, co utrudnia wielce wjazd i zjazd dla niepodkutych koni i przejście dla pieszych. Trzeba być Mongołem, lub zawodowym woźnicą t. zw. *ułaczi*, ażeby jadąc po twardym monotonnym bezludnym stepie bez drogi, spotykając podobne krajobrazy bez wsi, nie zbłądzić. Woźnica kieruje się tylko słońcem, lub dmącemi wiatrami. Droga z Troickosawska, skąd powierzchnia płaskowzgórza Azji środkowej znacznie się podnosi z 790 m. aż do 1250 m. w Urdze, o wiele jest cięższą, niż droga powrotna. Mongołowie do jazdy w rosyjskich tarantasach przystosowali swe dzikie, nieujeżdżone konie, nieznoszące żadnej uprzęży. Do ogłobli tarantasu przywiązuje się długi drąg poprzeczny (dagmur), pod który podjeżdża z każdej strony dwóch konnych Mongołów i przytrzymując go, kładą przed siebie na siodłach. Do końca drąga z obu stron przywiązane są sznury, zapomocą których dwóch drugich jezdźców ciągnie tarantas. Często konie dzikie nie dają się wpędzić

pod jarzmo, wierzgają, a jeździec przez głowę konia spada. Szczególne niebezpieczeństwo jest dla jadących, jeżeli tarantas nie jest zahamowany zgóry; wówczas puszczony samopas leci wdół na los Opatrzności, przytem często wywraca się. W wypadkach szczęśliwszych zatrzymuje się, napotykając jakieś przeszkody kamienne lub zarośla. Bywaliśmy w takiem położeniu, szczególnie jadąc zimą, gdy zagłodzone konie, karmiąc się zdziebełkami trawy, nie mają sił utrzymać tarantas zjeżdżający z góry. Otóż ponieważ z każdego *urtonu* (stacji) jedzie kilkunastu jeźdźców, mężczyzn i kobiet, którzy na zmianę się wprzęgają w miejscach bardziej niebezpiecznych i stromych, wszyscy oni otaczają powóz, przytrzymują go rękami, wydając przytem dzikie krzyki i gwizdy. Gdyśmy wyjechali z miasta pocztą rosyjską do pierwszego urtonu mongolskiego, spotkało nas niepowodzenie: towarzyszący nam tłumacz, który bywa zawsze naczelnikiem całej wyprawy, młody i silny dwudziestoparoletni młodzieniec, były uczeń szkoły rosyjsko - mongolskiej tłumaczów, zbyt energicznie spełniał swą rolę, krzyczał i nahajką popędzał furmanów. Zauważyłem, że jest pijany i ostrzegałem, że w ten sposób nie można postępować z ludźmi. Odparł mi na to: przecież to bydło! Wreszcie ruszyliśmy, lecz niebawem dowiedziałem się od Mongołów, że nasz tłumacz zaczął strzelać do nich. Ściągnięto go wtedy z konia, związano i odprowadzono z powrotem do Kiachty, do pogranicznego komisarza. Znalazłem się wówczas w trudnem położeniu bez języka i możności porozumiewania się ze zmieniającymi się co stację *ułaczami*. Dzień krótki, przebyć więcej jak dwie stacje nie można było. Wyjeżdżaliśmy około 9-ej zrana, o 3-ej zmrok zapadał i musieliśmy zatrzymywać się na nocleg. Stacje, które wciąż się zmieniają, również jak i koczowiska, urządzają tam gdzie lepsza pasza dla koni i bydła. Tam również ustawiają jurtę na zamarzłej ziemi i wbijają potrzebne do tego słupy. Poczta urtońska była urządzana wyłącznie dla użytku urzędników chińskich i mongolskich, wożono jednak dzięki dobrym sąsiedzkim stosunkom i urzędników rosyjskich. Jazda była bezpłatną, dawało się tylko jako napiwek za każdą stację od 3 do 4 rubli. Termin przejazdu podróżnych musiał być na kilka dni przedtem zapowiedziany. Wówczas, po ustawieniu jurty, rozkładano ogień, paląc w braku drzewa gałęzie, a gdzie tego niema, pomiot bydlęcy lub owczy, z którego wyrabiają dla ogniska cegiełki, wydające niemiły, cuchnący zapach. Jurtę zwykle rozciągają na dwóch słupach, a w jej wnętrzu, na 3 materacach, rozmieszczonych dokoła ogniska, lokują się podróżni. W górze jurty znajduje się klapa, przez którą dym wychodzi. Stać można w jurcie tylko pośrodku i to niedługo, gdyż

dym gryzie oczy. Europejczyk wytrzymać może duszące działanie dymu tylko leżąc. Najuciążliwszem jest to, że się leży okutanym w dwa futra i okrytym nadto futrzanemi kołdrami, ażeby przenikający ze wszystkich szczelin jurty wiatr nie zmroził śpiących. Futra nasze przymarzały do ziemi. Szczególnie pamiętną mi została ostatnia noc na stacji przed Urgą na wyniosłej górze, odkrytej na działanie silnych wiatrów. Noc, mróz trzaskający. Nasza młoda towarzyszka zziębnięta płacze i przeklina, że pojechała. Żona zmęczona podróżą leży z silną migreną. Ja bezradny nie wiem co począć. Spać niesposób. Wiatr straszny grozi zerwaniem jurty. Mongoł noc całą siedzi u ogniska rozebrany do naga, bez kożucha. Podtrzymuje ogień i wygrzewa zziębnięte piersi i członki. Czekamy z niecierpliwością świtu, ażeby móc jechać dalej. Co parę stacyj zabieram się do smarowania kół, gdyż Mongołowie tego robić nie umieją. Porozumiewamy się z nimi na migi, lub powtarzamy niektóre wyuczone słowa, jak *gał* (ogień), *usu* (woda), *tiule* (drzewo), *urton* (stacja), *ircho* (blisko), *ajar* (pomału) i t. d. Dobrze, że jedzenia nam nie zabrakło, gdyż mieliśmy z sobą znaczne zapasy: zamrożone mięso, jaja, mleko, chleb, bułki, wreszcie *pilmeni* (rodzaj kołdunów litewskich). Na wielu stacjach brak było wody i trzeba było korzystać z usługi Mongołów, którzy przynosili narąbane kawałki lodu, zwykle brudnego, lub w braku lodu trochę śniegu zmieszanego z ziemią, lub z cuchnącym nawozem. Taki lód lub śnieg, roztapialiśmy na ogniu, aby mieć wodę. Wkońcu po 5 dniach drogi, zmęczeni i brudni zbliżamy się do kresu naszej podróży. Na ostatniej stacji przed Urgą dopędził nas posłany z Majmaczenu *Zangin*, podurzędnik, rodzaj feldfebla. Był naszym przewodnikiem a miał być i tłumaczem, choć ani słowa po rosyjsku nie rozumiał. Przejazd dla takiego przewodnika jest bardzo wygodny, gdyż, oprócz pewnej gratyfikacji od jadącego, otrzymywał na każdej stacji od *ułaczów* udo baranie lub ekwiwalent w pieniądzach.

Wreszcie z radością przybywamy do Urginskiego konsulatu, gdzie po tylu niewygodach podróży, niemyci, niewyspani i zziębnięci czujemy się jak w raju.

Posada jeneralnego konsula wakowała; zastępował go młody sekretarz Dołbieżew. Był to bardzo gościnny i serdeczny człowiek. Ulokował nas w wielkich dwóch salach domu handlowego „Badmajew i Sp."[1]) obok konsulatu. Konsulat i ten dom leży na ustroniu, na

---

[1]) Badmajew był to ów słynny „doktór tybetoński" ówczesny ajent polityczny w Mongolji, przyjaciel carski i Gryszy Rasputina.

wzgórzu powyżej miasta chińskiego. W wielkim domu było mieszkanie konsula i cerkiew, w dwóch oficynach lokowali się: sekretarz, dragoman, poczmistrz poczty rosyjskiej i pop. W drugim dziedzińcu były budynki dla służby konsulatu, kozaków pełniących rodzaj straży ochronnej, i wreszcie szkoła rosyjsko-mongolska, przygotowująca urzędników - tłumaczy. Konsul jeneralny Urgiński, którym był przez długie lata Sziszmarow, odegrywał wszechwładną rolę w Mongolji, a wpływ jego był tu silniejszy niż władzy państwowej chińskiej i krajowej mongolskiej.

Chociaż Mongolja właściwa, czyli tak zwana Chałcha, ze swą stolicą Urgą, z t. z. Da-Kureń (Świętem miastem), rezydencją Bogdo-Gegena czyli żywego boga, miała swoją autonomję krajową, z sejmem, w którym rządziła uprzywilejowana klasa szlachecka, i swego gubernatora - ambania mongolskiego, to jednak rządy ich były tylko nominalne i we wszystkiem wymagały zgody władzy państwowej chińskiej, przedstawicielem której był gubernator t. z. ambań chiński, naznaczony z Pekinu, zwykle bogaty Mandżur, który kupował sobie taki urząd na lat kilka i starał się rozmaitemi podatkami i łapówkami pokryć z lichwiarskim procentem wydane na ten cel pieniądze. Obaj ambani wszystkie postanowienia podpisywali razem, lecz decydujący głos miał ambań chiński, a mongolski tylko doradczy. Rosyjski konsul wpływ swój na obu wywierał.

Miasto Urga i prowincja Chałcha były własnością żywego boga Bogdo-Gegena czyli Urgińskiego Chutuchty, drugiego przerodzeńca po Dalajlamie w świecie buddyjskim. Ludność płaciła mu podatki. On był panem życia i śmierci swych poddanych. Reszta Mongolji miała ustrój kozaczy i była podzielona na korpusy, pułki, szwadrony i roty, któremi dowodziła szlachta różnych stopni. Rangi oficerskie przechodziły dziedzicznie z ojców na dzieci. Najwyższa władza wojskowa ześrodkowywała się w ręku chanów, niższe stopnie były rozdzielane pomiędzy utytułowanemi: Wanami, Bejsami, Bejłami i t. d. Obowiązkiem szlachty było w razie wojny zbierać swych poddanych dla pospolitego ruszenia i bronienia granic północnych państwa niebieskiego, a w czasie pokoju pełnić straż wewnętrzną. W pierwszych wiekach po Nar. Chr., gdy Chiny dosięgły wysokiego rozwoju i kultury, na mało jeszcze zasiedlonych ziemiach północy koczowali nomadzi, którzy niepokoili nieustannie spokojnych mieszkańców Chin, grabiąc ich miasta i mordując ich mieszkańców. Dla obrony od tych północnych barbarzyńców i rabusiów, nie stanowiących pierwotnie żadnej organizacji, a tylko bandy różnych narodowości i języków, pogardliwie nazywane *„Tatarami"*, a w późniejszych wiekach *„Mon-*

gołami", została wzniesiona na północy przez Chińczyków w IX w. wielka ściana t. zw. chińska. W XIII w. oddzielne koczujące rody mongolskie organizują się w pewną całość, stając się na czas jakiś potęgą wojskową, gdy pod wodzą Temuczina, przezwanego później Czingis - Chanem, czyli potężnym, sieją postrach i grozę nietylko w krajach Azji, lecz i Europy. Czingis - Chan do pewnego stopnia zmienia mapę Azji środkowej co do rozsiedlenia ludów. Mongołowie z południa nacierają na ludy tatarskie o wyższym kulturalnym rozwoju, niszczą ich cywilizację i odsuwają na północ oraz na zachód, zajmując ich osady. Podbiwszy wiele rodów tatarskich, wespół z niemi, napadają i zawojowują znaczną część Azji, potem wkraczają do Europy, podbijają Moskwę i docierają nawet do bram Krakowa i Buda - Pesztu. Monarchowie zachodu wystraszeni posyłają deputację z darami do groźnego władcy wschodu, rezydującego w Karakorum w Azji środkowej, starając się go przebłagać. Dynastja Czyngis - Chanidów, która zajęła wiele tronów w krajach azjatyckich i dała znakomitych cesarzów w Chinach, przetrwała lat półtorasta, pozostawiając wiele zabytków historycznych, które stały się przedmiotem studjów i badań dla współczesnych uczonych. Wkońcu minął czas rozkwitu potęgi Czingis - Chanidów w Azji, a z ich upadkiem Mongolja, kolebka ich rodu, podzielona pomiędzy kilku wojujących z sobą władców w XVI w. kłoni się ku upadkowi, szukając protektoratu Chin, które wkońcu narzucają im do pewnego stopnia swoją suwerenność i prawa, zastosowane do tradycyjnego ustroju Mongolji, mające jednak na celu interesy państwa niebieskiego. Pomimo pewnej powierzchownej autonomji uzależniają zupełnie ten kraj od siebie i wyzyskują go ekonomicznie. Wprowadzają organizację wojskową, całkiem zależną od Chin, zachowując pierwotny ustrój, według którego ziemia jest przynależnością państwową panującej w Chinach dynastji. Niema własności prywatnej, każdy posiada ziemię czasowo, nie ma prawa jej sprzedać, ani wydzierżawić, gdyż wolą Bogdychana może być nadaną i odebraną. W Mongolji ani orzą, ani sieją, jak również nie koszą traw. Las rąbią gdzie chcą, a narąbawszy wiozą nieraz wołami na sprzedaż o wiorst 60 i więcej. Biorą nie za wartość drzewa, lecz tylko za robotę i za przywóz, gdyż sprzedawać drzewa nie mają prawa, las bowiem, jak ziemia i woda jest własnością wszystkich. Ustrój ten pierwotny, jako przeżytek, utrzymawszy się w Azji, odżył w formach wprowadzonych przez bolszewików w Rosji. Wyjątek stanowią Chińczycy, którzy przy rzekach kopią kanały, urządzają sztuczną irygację i mają swe folwarki („fanzy"), w których stawiają nieraz młyny i gorzelnie, pędząc wódkę z niższych śmietni-

skowych traw, zwaną „chańszyn". Chińczycy wszystko to robią, obchodząc prawo, i sowicie się opłacając administracji miejscowej, naturalnie, ryzykując kapitał i pracę, gdyż każdej chwili mogą być wyrzuceni. Głównem zajęciem ludności koczującej jest hodowla bydła, koni i owiec, które rok okrągły pasą się na stepach, a kiedy na jednem miejscu zabraknie pastwiska przechodzą na inne. Dlatego Mongoł w każdej porze roku zmienia swe koczowisko. Zima jest najcięższą dla ludzi i bydła. Latem Mongoł ma na swe potrzeby mleko, mięso, wełnę i skórę, zimą zaś, szczególnie przy większych śniegach, które na szczęście rzadko bywają, bydło pozbawione bywa możności wyciągnąć zdziebełko trawy z pod śniegu, głoduje i ginie, a z niem i człowiek. Wówczas urządzają się nabożeństwa i modły o zlitowanie boże. To co zwierze zyska na wyglądzie i wadze w ciągu lata, traci przez zimę i na wiosnę jest wycieńczone i zagłodzone. Mongołowie w niektórych miejscowościach przy trakcie są woźnicami. W zakątkach, w których utrzymały się szczątki lasów, zajmują się łowami na dzikiego zwierza. Po większej atoli części nic nie robią i całe dnie grzeją się przy ognisku w jurcie. Na święta i uroczystości jeżdżą do świątyń, lub odwiedzają się wzajemnie. Cały ciężar pracy domowej leży na barkach kobiety, która przynosi drzewo lub pomiot do opału, doi krowy, robi sery, pędzi z mleka osobny napój rodzaj kumysu, zwany *araku*, mający do 15% alkoholu. Napój ten, jeżeli jest czysto przygotowany i niema zapachu nawozu, dosyć jest przyjemny do picia, szczególnie podczas upałów. Lenistwo Mongołów należy przypisać niskiemu ich stopniowi kultury i małym potrzebom, które całkowicie zaspakajają produkty, jakie mają u siebie. Chleba i cukru nie używają. Do wyrobu odzieży dla mężczyzn i niewiast służy tkanina bawełniana, sina, wyrobu angielskiego, zwana dryling, a po mongolsku *dalemba*. Bogaci w wielkie uroczystości noszą chałaty z materji jedwabnej chińskiej. Wojłoki na materace i jurty sami wyrabiają, inne przedmioty jak tytuń, fajkę, herbatę prasowaną w cegiełkach i inne drobiazgi nabywają w sklepikach chińskich, które istnieją w każdym większym ułusie (wsi). Koszul Mongołowie nie noszą, a zimą kożuchy wkładają na gołe ciało. Nogi obuwają w skórzane pierwotnego kształtu buty nieraz z podeszwą wojłokową, natomiast Chińczycy noszą obuwie z materji czarnej. Każdy Mongoł nosi pas, do którego przywieszony jest nóż a na łańcuszku krzesiwo i fajka.

Pokrewni Mongołom w obwodzie Zabajkalskim rosyjscy Burjaci, będący prawdopodobnie metysami Mongołów z Jakutami, zapożyczyli wespół z pewną cywilizacją europejską więcej jeszcze jej stron

ujemnych. Burjaci częściowo znajdują się w przejściowem stadjum od życia koczowniczego do osiadłego, chociaż zamieszkują jeszcze w jurtach, lecz każdy zamożniejszy ma mały domek o trzech oknach, z jedną lub z dwiema izbami i piecem t. z. „zimowje", w którem ma ołtarz buddyjski z postaciami bóstw, skrzynię z cenniejszemi sprzętami, uprząż na konie, stół i parę krzeseł. Wielu z Burjatów obsiewa pola i sztucznie je polewa, sprowadzając wodę z rzek, stawów lub strumieni pobliskich. Niektórzy zajmują się rzemiosłami; szczególnie słyną jako dobrzy cieśle i kowale. Biorą się też i do handlu. Do stron ujemnych, które im Rosjanie zaszczepili, należą: pijaństwo, gry hazardowne w karty, chytrość, pochlebstwo, denuncjowanie, podstęp, oszustwa i kradzieże, które coraz częściej wśród nich się zdarzają. Mongoł, w porównaniu z Burjatem, jest prostakiem, dzieckiem przyrody niezepsutem przez cywilizację, szczególnie w ułusach bardziej odległych od miasta. Tam jeszcze zachował on charakter szczery i otwarty, wiele cech prawdomówności i rycerskości, czego u Burjatów znaleźć nie można.

Stolica Mongolji Urga nazwana świętą „Da-kure" jest miastem bardzo oryginalnem, mającem ludności przeszło 80 tysięcy. Niegdyś było to osiedle przenośne, niejako koczujące wraz z ludnością. Pierwsze wiadomości o Urdze pochodzą z końca XVII w. a dopiero w r. 1799 zaczęła być miastem stałem. Klimat chłodny krzepiący, górski, zdrowy. Miasto składa się z trzech dzielnic. Jedną z nich zajmują sklepy Chińczyków i kilkadziesiąt budynków ze składami kupców rosyjskich, handlujących herbatą i innemi towarami; druga stanowi miasto święte, z kilku świątyniami w stylu indyjskim przemieszanym z tybetańskim, który przeniknął do Mongolji w końcu XVII w. razem z buddyzmem, zreformowanym przez Zonkawę w XV w. Sekta to lamajska, zwana inaczej żółtą, od ubioru „lam" (duchownych), wszechwładnie panujących nad duszami wiernych. W lamaizmie znajduje się obok systemu filozoficznego buddyjskiego wiele wierzeń miejscowych szamańskich w dobre i złe duchy, oraz ubóstwianie całej żyjącej przyrody i jej zjawisk, którym składają ofiary, starając się zjednać je sobie i unieszkodliwić. Zreformowany w ten sposób buddyzm z naleciałościami obrzędowemi zapożyczonemi w średniowieczu od jezuitów, z fantastycznemi misterjami, bardziej pociąga masy, niż suchy doktryneryzm filozoficzny. Jedną z najwspanialszych misteryj, w których występuje cały przepych fantastycznych wierzeń sekty lamajskiej, jest doroczna ceremonja „camu". Byłem na tem święcie w Krainie Zabajkalskiej kilka razy. Najwspanialej jest ono obchodzone w Gęsiem jeziorze niedaleko Bajkału,

KSIĘŻNA MONGOŁO-CHAŁCHASKA
w uroczystym stroju

w klasztorze, będącym rezydencją Bandido - Chambo - Lamy (głowy buddyjskiego kościoła w Rosji). Już z wieczora rozlega się po dalekim stepie odgłos trąb i bębnów, mając na celu uproszenie bogów o urodzaje i obfite plony oraz o błogosławieństwo dla całego świata roślinnego i zwierzęcego. Wczesnym rankiem rozpoczyna się ceremonja. Wychodzą ze świątyni lamowie z długiemi trąbami, bębnami i blachami, uderzając jedne o drugie. Lud naprzeciw świątyni tworzy krąg wielki, rozsiadłszy się we wzorowym porządku. Każdy ród ma swą flagę rodową. Starszyzna, dostojnicy świeccy i duchowni, jakoteż i goście Rosjanie zajmują oddzielne namioty. W środku koła ustawiony jest ołtarzyk misternie wyrzeźbiony z drzewa, na którym stoi czasza z wodą i ziarna. W misterjum uczestniczy starzec o białej brodzie, cały w bieli, duch dobry, przyjaciel ludzkości; dalej król z siedmiorgiem dzieci. Porządku przestrzegają żandarmi w trupich maskach. Ceremonja rozpoczyna się tańcami i pląsami kilkudziesięciu masek. Są to duchy o głowach rozmaitych zwierząt: byka, barana i innych, oraz tancerze w wielkich z dużemi polami kapeluszach, z muszkami na twarzy, w długich chałatach, a wszyscy w butach wojłokowych o grubych podeszwach. Cam zwykle odbywa się latem w czasie największych upałów. Tańce trwają od 9 rano do 5 po południu. Uczestniczący w misterjum ocierają pot z twarzy jedwabnemi płatkami (chadaki), poczem rzucają je wiernym, którzy rozrywają je na kawałki i przechowują jako świętość. Następnie jeden kapłan wylewa wodę i rozsypuje ziarna, na cztery strony świata, a dwóch młodych kapłanów, wziąwszy poświęcony ołtarzyk i zawiązawszy sobie usta, ażeby swem oddechem nie skalać go, biegnie co najprędzej i wrzuca go na palący się stos. Są to widoczne przeżytki ofiar ciałopalnych.

Kiedym widział cam w Zabajkalju po raz pierwszy, wywarł on na mnie ogromne wrażenie. Z przesądami temi jest połączona wiara w tysiące bóstw i duchów różnych stopni i w związek świata umarłego z żyjącym. Każdy człowiek sprawiedliwy, spełniający przepisy Buddy, może dosięgnąć doskonałości i zbliżyć się do nauczyciela „Szygemuni" jeszcze za życia. Największy grzesznik może nawrócić się i osięgnąć zbawienie. W życiu przyszłem istnieje czyściec, przez który przechodzą grzesznicy, nim dosięgną wiecznej szczęśliwości, a nią jest niebyt „nirwana". Z Mongolji lamaizm przeniesiony został do Krainy Zabajkalskiej w końcu XVIII w., gdzie wśród wierzeń, pierwotnych szamańskich znalazł grunt podatny i tolerowanie go ze strony rządu rosyjskiego. Dopiero w drugiej połowie XIX w. gdy lamaizm coraz więcej zyskiwał zwolenników, rozpoczęto silne prze-

śladowania wyznawców jego, chrzcąc ich przymusowo. Zczasem lamaizm poddano surowej kontroli, z chwilą zwłaszcza, gdy liczba żywych bogów (chubiłganów) różnych stopni w Mongolji dosięgła paru tysięcy, a każdy najmniejszy klasztor, dla powiększenia dochodu posiadał własnego żywego boga. Tych żywych bogów rząd rosyjski skasował. W ten sposób Burjaci zostali pozbawieni chubiłganów, utrzymujących łączność pomiędzy życiem doczesnem a pozagrobowem i będących wyrazicielami dogmatu o przesiedleniu się dusz. Wierzenie to, jak wiadomo, nie po raz pierwszy wystąpiło w buddyzmie, lecz bierze początek w Indjach, skąd przeszło do Egiptu i Grecji. Istniało ono u wszystkich ludów starożytnego świata. Z powodu tego wierzenia wzbronionem jest np. wyznawcom lamaizmu spożywanie mięsa zwierzęcego. Z wiarą w wędrówkę dusz połączona jest wiara w nieśmiertelność duszy. Dusza nie umiera, lecz zmienia się tylko jej zewnętrzna powłoka, przechodząc w coraz wyższe formy, począwszy od roślin, bo przecież z kwiatu lotosu wyszedł pierwszy człowiek. Z niższych zwierząt dusza przechodzi do wyższych, dosięga wreszcie psa i słonia, stąd zwierzęta te są ubóstwiane przez lamaitów. Wreszcie dusza, udoskonalając się, przechodzi przez różne stopnie aż do Urgińskiego Bogdo - gegena i nakoniec do Dalaj Lamy w Lassie. Jeżeli człowiek wybrany umiera, to dusza jego w tej chwili przesiedla się do nowo-narodzonego. Lamowie po długiej modlitwie mają objawienie z niebios w jakiej rodzinie i o jakiej godzinie urodziło się dziecko, w które przeszła dusza wybrańca. Otóż lamowie zwiastują o tem rodzicom nowo-narodzonego i winszują tego zaszczytu, który im daje również materjalną korzyść. Parę lat wychowują i czuwają nad nowo-narodzonym, a kiedy dojdzie lat 5, przewożą go do klasztoru i tam wychowują według ścisłych przepisów lamaizmu. Wszystkie słabości i grzechy, szczególnie większych wybrańców czyli żywych bogów, są tolerowane przez wiernych; widzą w tem bowiem wolę wyższą, której człowiek nie może się sprzeciwiać. Tak np. pomimo obowiązującego surowego celibatu Urgiński żywy bóg (Bogdo-gegen) żył jawnie z żoną pewnego chana, miał z nią syna i rozjeżdżał z niemi po mieście. Wbrew zwyczajowi pospolitował się, zajeżdżając wieczorami do przedstawicieli różnych firm handlowych rosyjskich, tam się upijał, wogóle pędził życie rozwiązłe, marnotrawił grosz publiczny, wiecznie był w długach, pogardliwie traktował przybywających do niego pątników i t. d. A mimo to ten sam bóg w lat kilka potem, po odłączeniu Mongolji od Chin, został głową panującą Chałchi, państwa kościelnego. W Mongolji jak wiadomo duchowieństwo odgrywa pierwszorzędną rolę. Niema rodziny

w którejby nie było duchownego. Lamowie cieszą się w społeczeństwie wielką powagą i szacunkiem. Każda rodzina posiada swego lamę, do którego udaje się o radę we wszelkich okolicznościach życia. Dziecko po przyjściu na świat ma przez rodziców wybranego lamę, który jest jego opiekunem duchownym i aniołem stróżem. Idąc za jego radą i wskazaniami, wybiera sobie później zawód, następnie żonę. Lama poucza go jak ma urządzić swe życie, jak wychowywać dzieci i t. d. Prawowierny wyznawca lamaizmu nie powinien mieć nic skrytego przed swoim lamą, otworzyć przed nim swą duszę i serce, oraz dzielić się z nim wszystkiem, co posiada. Jeżeli zachoruje, lama leczy go, odczytując nad nim błagalne modlitwy, dla odpędzenia złych duchów. Jeżeli umiera lama ułatwia mu osiągnięcie wiecznej szczęśliwości. Obrządek pogrzebowy u wyznawców lamaizmu bywa bardzo różny. Najczęściej praktykowanym i najbardziej zaszczytnym dla zmarłego jest rzucenie jego zwłok na pożarcie dzikim zwierzętom. Zwykle rzucają trupa niedaleko od jurty. Rzadziej o wiele grzebią zwłoki w ziemi, zawieszają na drzewie, palą na stosie, lub wrzucają do wody. W Zabajkalju policja rosyjska nakazywała chować Burjatów w trumnach i zakopywać, lecz to spełniano tylko połowicznie, nieraz pozornie. Po śmierci odbywają się liczne nabożeństwa, ażeby zmarły nie czynił szkód pozostałym. Za to wszystko lama, według zwyczaju, otrzymuje bardzo znaczny procent z pozostałego funduszu po zmarłym.

Często już w latach dziecięcych rodzice ofiarowują swe dzieci na służbę bogom. Po roku 50-ym każdy mężczyzna i każda kobieta przyjmuje pewne święcenie, ślubując powstrzymywać się od mięsnych pokarmów i napojów wyskokowych. Po złożeniu tych ślubowań pędzą życie wstrzemięźliwe, poświęcając się modlitwie i dobrym uczynkom. Ludzi takich, którzy już przekroczyli 50-ty rok życia, można poznać po ogolonej głowie, szkaplerzu na piersiach z zaszytem wyobrażeniem Buddy Szakiamuni (boga - nauczyciela) i różańcu w ręku, który przebierają palcami, powtarzając niezrozumiałe magiczne słowa.

Duchowieństwo bezżenne zamieszkuje w Urdze dokoła świątyń w jurtach. W części miasta zwanej świętą, Da-kure, przy jednej ze świątyń mieści się wyższa szkoła buddyjskiej teologji z kilku tysiącami uczniów. Poubierani w długie ciemne chałaty mają ogolone głowy a w rękach noszą drewniane księgi. W tej części miasta zamieszkuje około 30 tysięcy lamów i tu wznosi się pałac Bogdo-gegena, który oprócz tego posiada jeszcze cztery rezydencje. Chińczycy zamieszkują część Urgi, zwaną Majmaczen, gdzie się znajdują

główne składy towarów. Podobnie jak i w Majmaczenie Kiachtyńskim tworzą oni osobną kolonję męską, żony swoje pozostawiając w Chinach, a tu żyjąc z Mongołkami. Kilkotysięczna ta ludność, przedstawia ciekawy produkt mieszczaństwa. Wzrostu miernego typem swym przypomina Hiszpanów, lub Portugalczyków. Ci mieszańcy, mający ojców Chińczyków a matki Mongołki, przedstawiają typ piękny fizycznie, zrównoważony i inteligentny. Spotykałem się z kilku przedstawicielami tego typu bliżej, a wielu miałem możność zdaleka obserwować. Niektórzy z nich zajęli wybitne stanowiska w społeczeństwie mongolskiem. Tak np. poznałem pierwszego sekretarza ambania mongolskiego, młodego, bardzo inteligentnego człowieka, delikatnego i pełnego uprzejmości. Próba krzyżowania dwóch ras pokrewnych dała w metysach urgińskich doskonały rezultat, który nie był tak dodatni przy mieszaństwie ras dalej od siebie stojących, jak asymilacja Burjatów, Jakutów, Tunguzów, lub Ostiaków. Mieszaństwo to nie może zapewnić trwałości rasy i jej rozmnożenia. Gdyby nie zwyczaj tradycyjny, według którego Chińczycy ze swemi rodzinami nie mogą na stałe przesiedlać się poza wielki mur chiński, niewątpliwie że przeludniony kraj znalazłby ujście dla swej ludności nie tylko na pustyniach Mongolji, lecz i w mało zaludnionej Syberji. Potok ten naturalny, nie znajdując odporu w słabej militarnie i kulturalnie Rosji, rozleje się zczasem po wschodzie, a groźna kwestja żółta stanie się w przyszłości rzeczą aktualną.

Urga, która stała się centrem całego handlu dla Azji środkowej na surowce, wełnę, futra, skóry, wreszcie towary manufakturne przywożone przez Chińczyków, wówczas jeszcze była głównie składem herbaty, którą tu Mongołowie transportowali na wielbłądach całemi karawanami z Kałganu, a stąd wołami do Kiachty; dalej już rosyjskie furmanki wielkim traktem syberyjskim wiozły ją do Rosji. Urga jako drugi ośrodek uczoności buddyjskiej, po Lassie, z rezydencją „boga żywego", ściągała z różnych miejscowości nietylko duchownych i młodzież na naukę, lecz i tysiące pątników z całej Azji środkowej, Burjatów z krainy Zabajkalskiej i Kałmyków ze stepów Astrachańskich. Oprócz tego Urga była punktem administracyjnym, siedliskiem władz i sejmu, skutkiem czego napływało tu wciąż niemało ludzi.

Po przyjeździe do Urgi znalazłem kolonję rosyjską i urzędników konsulatu w wielkiej trwodze, aby „nieznana choroba" nie została tu zaniesioną. Opowiadano, że znaczna część ludności mongolskiej wymarła, a byli i tacy, którzy chcieli już uciekać z Urgi, gdyż mówiono, że i tu wiele osób umarło. Przedewszystkiem postanowiłem

zebrać ściślejsze wiadomości, powstrzymać szerzącą się panikę, a następnie zarządzić środki, jakie okażą się możliwe dla powstrzymania dalszego szerzenia się choroby. Po dokładnem zebraniu za pośrednictwem konsulatu wiadomości o miejscowościach, gdzie choroba grasowała, jak również u władz mongolskich i chińskich, udało się skonstatować, że w końcu sierpnia i przez wrzesień roku 1899 grasowała w Mongolji choroba zakaźna, bardzo niebezpieczna i śmiertelna, przejawiająca się krwotokami płucnemi i z nosa i wysoką gorączką. Chorzy umierali w ciągu 2, lub 3 dni, a niekiedy następowała śmierć piorunująco w ciągu kilku godzin. Według pogłosek, naturalnie ściśle nie stwierdzonych, od końca sierpnia do końca września ogółem zmarło od 200 — 300 ludzi. Ponieważ śmierć poddanych książęcych przynosiła materjalną stratę, wzięto się do energicznych środków. Sam Tuszetu - Chan wydał rozkaz o natychmiastowem stłumieniu epidemji, grożąc w przeciwnym razie, że urzędnicy będą surowo ukarani. Z miejscami, gdzie były zasłabnięcia, przerwano komunikację. Zaprowadzono ścisłą kwarantannę, palono jurty zarażonych, chorych zostawiono na śmierć głodową, a zdrowych wysłano na nowe koczowiska. Środki te i chłodniejsza pora roku istotnie przytłumiły epidemję. W tymże czasie Chińczycy zanieśli chorobę do Urgińskiego Majmaczenu, w którym parę osób umarło, lecz właściciele zajazdu zatаili to. Tegoż samego lata o 700 wiorst na półn. - wsch. od Urgi, blisko granicy Mandżurji, około miasta Minczuna wybuchła takaż epidemja, z której zmarło do 80 ludzi. Oprócz opisanych było jeszcze parę gniazd z podobną śmiertelną chorobą, która z nastaniem mrozów ustała. Zebrane przeze mnie wiadomości ustaliły, że od czasu do czasu pojawiała się ona i w Urdze. Jak się okazało odwieczne prawa religijne wzbraniają używania mięsa i chodzenia do świątyń w futrze ze świszczy czyli tarbaganów, zwierząt które są zapewne roznosicielami dżumy. Podczas wybuchu takiej epidemji w latach 60-tych zeszłego wieku ówczesny żywy bóg urgiński przypomniał narodowi ów zapomniany zakaz, wzbraniający nawet polowania na tarbagany. Starałem się zebrać dane o wybuchającej w różnych miejscowościach Mongolji epidemji, z czego mogłem przyjść do wniosku, że wszędzie przyczyną było zakażanie się od tarbaganów i innych gryzoniów, które jak wiadomo są roznosicielami dżumy.

Do osobliwości Urgi należy ogromne mnóstwo dzikich psów przeróżnych ras, żyjących w samem mieście i poza miastem, bez gospodarzy. Psy żyją tu w stanie dzikim, nieraz w wąwozach pod miastem. Żywią się one trupami ludzkiemi i zwierzęcemi oraz różnemi odpadkami organicznemi. Zimą podczas wielkich mrozów głodują, pożerają

się wzajemnie i napadają na ludzi, a same stają się zdobyczą wilków. Jednem słowem, odbywa się tam walka o bytowanie. Opowiadano, że przed laty był wypadek, iż psy ściągnęły z konia i pożarły Mongoła, a innym razem Mongołkę z dwojgiem wnucząt, wracającą ze świątyni. Wobec ubóstwa Mongołów, z których wielu się żywi trawami, korzeniami i odpadkami ze sklepów chińskich, niemało żebraków całe dnie spędza przy wielkich mrozach na ulicy, leżąc nieraz obok psów, przykrywając swe obnażone ciała śmieciami, łachmanami i gałganami. Przechodnie z litości rzucają im jakiś kęs mięsa, lub kość. I ludzie ci wloką swój nędzny żywot, nie ginąc z głodu i chłodu, na tyle jest odporną natura ludzka! Psy, jak mi opowiadali, nie dotykają za życia tych nieszczęśliwych, za to po śmierci stają się oni ich łupem. Psy i wilki nie tylko pożerają szczątki ludzkie i zwierzęce, lecz bezkarnie duszą i zjadają zadżumione tarbagany. Również godnem zaznaczenia jest, że pomimo takiej ilości psów czczonych i dla tego nigdy nie zabijanych, wodowstręt prawie się nie zdarza, kiedy w sąsiedniem Zabajkalju spotyka go się dosyć często u psów i u ludzi. Może jest to wpływ suchości klimatu i wysokości położenia Urgi nad powierzchnią morza?

Wszystkie zebrane wiadomości o chorobie grasującej w Mongolji doprowadziły mnie do wniosku, że jest to dżuma, przeważnie płucna, rzadziej dymienicza, przebiegająca z objawami ostremi i zejściem najczęściej śmiertelnem. Dżuma ta należy do rzędu epidemij lokalnych, pojawiających się w rozmaitych miejscach lądu azjatyckiego, nagle wybuchających i prędko przycichających. Gdym przybył do Urgi, epidemja dżumy w Mongolji od trzech prawie miesięcy już była wygasła.

Przebyliśmy święta Bożego Narodzenia w Urdze. W końcu stycznia 1900 r., serdecznie żegnani przez rosyjską kolonję konsulatu, opuszczaliśmy Urgę. Pomimo mrozów, słońce już silne przyświecało, dnie były pogodne i jasne, jak to zwykle bywa o tej porze roku w tamtych stronach, więc powrotna nasza jazda do Troickosawska była prędszą i o wiele mniej męczącą, spuszczaliśmy się bowiem z wyżyn w dół. Wróciwszy do domu, musiałem napisać dłuższy raport o swej podróży urzędowej, jeden do jenerał - gubernatora kraju Nadamurskiego w Chabarkowsku, a drugi do ministra spraw wewnętrznych. Rezultatem tego było wzbronienie wyjazdu rosyjskim poddanym do Mongolji, powstrzymanie karawan idących z Urgi do Rosji z herbatą i innemi towarami, zakaz wszelkich pielgrzymek z Zabajkalja i ze stepów astrachańskich do bogdo-gegena do Urgi. Nastąpiły te zakazy wówczas kiedy epidemja już była wygasła. Najdłużej utrzymywał się zakaz wywożenia z Mongolji

skórek tarbaganów, których miljony szły do Rosji, szczególnie dla wyrobu rękawiczek. Wzbroniony wywóz tych skórek z Mongolji obniżył ich ceny z 40 kop. do jednej, a kiedy rozporządzenie to odwołano sprzedawano je po 75 kop.

W lat parę potem staraniem komisji przeciwdżumowej w Petersburgu został otwarty w Troickosawsku instytut bakterjologiczny w celu przygotowywania rozmaitych surowic dla bydła i dla ludzi. Przeniesiony potem do Czyty, rozwinął się tam znacznie. Kierownikiem i pierwszym organizatorem instytutu był weterynarz polak Dr. Wyżnikiewicz, który potem został przeniesiony na arenę szerszej działalności do Kronsztadtu pod Petersburgiem, gdzie zginął, zaraziwszy się przy hodowli zarazków dżumy. Podobny los spotkał tamże innego bakterjologa d-ra Schreibera, młodego i sympatycznego człowieka, rodem z Kijowa. Obaj oni brawowali, twierdząc, że są gwarantowani od zarażenia się dżumą.

W czasie parorazowego naszego pobytu w Urdze spotkaliśmy kilku bawiących tam europejczyków. Między nimi było paru norweskich misjonarzy ewangelickich, którzy twierdzili, że starają się przez stosunki i obcowanie szerzyć kult czrześcijański, a nie przez propagandę czynną. Nie przeszkadzało to im, pomimo wyższych zadań duchowych, być jednocześnie przedstawicielami domów handlowych, interesować się kupnem i sprzedażą towarów i zaciągać pożyczki u Mongołów. Jeżeli ateista i realnie myślący Chińczyk jest wielce oporny do przyjęcia abstrakcyjnych pojęć, to Mongoł do tego łatwiejby się nadawał, lecz tylko nie w takim ośrodku wiary lamajskiej jakim jest Urga, gdzie misjonarz spotyka niezwalczone przeszkody. Poznałem tam również misjonarza Duńczyka, który swoją misję gorliwiej pojmował i przez kilkanaście lat z dwoma nawrotami zamieszkiwał w Urdze. Twierdził, że zdołał pozyskać tylko dwóch uczniów, którzy go jako tako zrozumieli, lecz i tych ostatecznie nie nawrócił. W liczbie naszych znajomych z Troickosawska był tu Hans Leder, Niemiec, Wiedeńczyk, trochę uczony, trochę zbieracz, a właściwie handlarz, który czas dłuższy przemieszkiwał w Rosji, lat kilka na Kaukazie i na Syberji, zbierając dla W. Ks. Aleksandra Michajłowiczą rzadkie kolekcje chrząszczów. W. Książe podobno na tem stracił znaczną część swej fortuny. Leder zaś wybudował sobie domy w Wiedniu. Obecnie bawił on w Urdze, jak mi mówił, jako zbieracz przedmiotów etnograficznych dla Towarzystwa Geograficznego Wiedeńskiego. Skorzystałem z jego praktycznych informacyj i, zapoznawszy się z mniejszymi lamami, mogłem zakupić nieco z drobnych przedmiotów kultu religijnego dla muzeum Towarzystwa Geograficznego w Kiachcie.

Drugim bardziej interesującym człowiekiem był Dr. Ramstedt, Finlandczyk, który lat kilka przemieszkiwał w Mongolji jako stypendysta Fino-Uhorskiego Towarzystwa, badając język mongolski i jego narzecza. Był to człowiek młody, nadzwyczaj zamiłowany w nauce Dla studjów swych zamieszkiwał w jurtach w różnych hoszunach pośród mongołów. Wtedy, gdym go poznał, zamieszkiwał z młodą żoną w ciasnej lepiance chińskiej w Urdze, wśród wielkich niewygód. Znajomością języków wprawiał w zachwyt Mongołów, którzy go uznawali za „Chubiłgana" (przesiedleńca), gdyż tylko taki mógł osiągnąć taką doskonałość. Nasz uczony mongolski Józef Kowalewski, (kolega uniwersytecki z Wilna Mickiewicza), którego pamięć żyła w podaniach wśród wykształceńszych Mongołów i Burjatów, dostąpił jeszcze większego zaszczytu, a mianowicie 72 najuczeńszych lamów ogłosiło go żywym bogiem i dyplom odnośny z ich podpisami, wieziony przez kilkanaście par białych wołów, został mu uroczyście wręczony w Kiachcie w r. 1832. W dyplomie tym miała być przepowiednia lamów, że po śmierci czczonego starego pustelnika Doł - San - Dordżi, dusza Kowalewskiego przerodzi się w Mongolji w żywego Buddę. Historyczny ten dokument wraz z innemi rękopisami i dyplomami miał zaginąć w Warszawie, w r. 1862, podczas rabunku pałacu Zamoyskich, w którym Kowalewski, będąc profesorem Szkoły Głównej, zamieszkiwał.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rozwój Troickosawskiego Oddziału Towarzystwa Geograficznego. — Wycieczka moja z żoną do kraju 1902 r. — Powrót do Troickosawska. — Ciężka moja choroba. — Wyjazd w r. 1908 do Krakowa w celu objęcia katedry antropologji w Uniwersytecie Jagiellońskim. — Serdeczne pożegnanie ze społeczeństwem w Troickosawsku.

Działalność Oddziału Towarzystwa Geograficznego w Troickosawsku coraz bardziej się rozwijała. Stosunki i korespondencja z rozmaitemi towarzystwami naukowemi wzrastały. Cieszyło mnie to, niepomiernie, gdyż niemało czasu i trudu poświęcałem tej sprawie. Nie przykuwała mnie ona jednak na tyle, abym dla niej miał wyrzec się kraju. Patrzałem na moją pracę na obczyźnie jako na czasową, mając wciąż oczy zwrócone na daleki zachód. Pierwotnym moim zamiarem było po kilku latach przenieść się do kraju, lecz pozostałem na Syberji znacznie dłużej, najprzód dlatego, że musiałem zakończyć szereg rozpoczętych prac, a następnie spłacić ciążące na mnie długi. Chciałem także zebrać choć niewielki kapitalik. Żona moja już po latach sześciu, zatęskniwszy za swą rodziną, w jesieni r. 1898 zdecydowała się pojechać do niej na kilka miesięcy. Przejazd był wielce ułatwiony z powodu wybudowanej już znacznej części kolei syberyjskiej, tak że trzeba było tylko parę dni jechać końmi pocztowemi, a potem przeprawić się statkiem przez Bajkał. Stamtąd jechało się dalej koleją przez Irkuck do Moskwy siedemnaście dni. Nie tylko czas, lecz i koszt jazdy znacznie się zmniejszył. Jak na osobę nerwową, żona moja wykazała niemałą odwagę, zdecydowawszy się samej jednej na tak odległą podróż. Przywiązanie do rodziny przemogło. Bądź co bądź było rzeczą bardzo ryzykowną puszczać się jednej kobiecie w drogę tak odległą zimą, w czasie kiedy wciąż mówiono o morderstwach i napadach na jadących. Tymczasem pojechała i wróciła pomyślnie. Po latach znów czterech, na wiosnę w r. 1902, otrzymałem urlop 6-miesięczny, będący przywilejem służby kresowej, i po-

jechałem z żoną do kraju. Po dziesięcioletniej niebytności znalazłem w nim wiele zmian na gorsze. Rusyfikacja przez szkoły i destrukcyjne jej wpływy zrobiły swoje. Starsze pokolenie zeszło już z pola, a nowe podlegało coraz bardziej wpływowi kosmopolitycznemu, idącemu ze wschodu, zacierającemu nasze rodzime ideały i tradycje. Ziemia na Litwie wciąż się kurczyła, a dezercja z niej była coraz większą. Z upadkiem dworów cofała się polskość, wchodził element obcy, deprawował kraj moralnie i niszczył go ekonomicznie. Odwiedziłem Kowno, Wilno, Warszawę i tych ludzi, z którymi łączyły mnie niegdyś bliższe stosunki. Na twarzach wszystkich czytałem silne przygnębienie. Każdy zaznaczał to, że jest gorzej i że wkońcu zabraknie nam sił do oporu, a natarczywość i brutalność wroga coraz bardziej dosięga celu. Z pewnemi trudnościami jako urzędnik z dalekich kresów otrzymałem paszport zagraniczny, ażeby odwiedzić Galicję — ów Piemont polski, gdzie nauka, literatura, sztuka i myśl polityczna polska mogła swobodniej dojrzewać i rozwijać się. Chciałem tem powietrzem odetchnąć i nabrać otuchy oraz nowych sił do dalszej pracy wśród obcych. Nigdy może, ani przedtem, ani potem, nie wydał mi się Kraków tak uroczym. Nie byłem w nim od r. 1876, kiedy ta stara stolica Piastów i Jagiellonów znajdowała się w upadku. Teraz podnosiła się. Błyszczące wieże kościoła Panny Marji ze wspaniałą polichromją wewnętrzną, mistrza Matejki, odrestaurowane wspaniale Sukiennice, teatr nowy i odnowiony stary, świetna polichromja w kościele franciszkańskim Wyspiańskiego, gmach Sokoła, pałac sztuki, nowe piękne gmachy szkolne i rządowe i park Jordana, a wszystko to, będące dziełem ostatniego ćwierćwiecza, podnosiło na duchu i dodawało otuchy. A kiedyśmy na rynku spotkali z powodu okręgowego zjazdu maszerujących sokołów z muzyką i ze śpiewami, to chociaż wiedzieliśmy, że te teatralne widowiska nie stanowiły treści życia, przyznaję, że cieszyło to nas jak dzieci niewymownie, napełniając nasze serce radością i wyciskając łzy z oczu. Widziałem wówczas w Krakowie jedynie siedlisko kultury polskiej, swobodę prasy, zebrań i związków, ożywioną czynność szkoły ludowej, znakomity teatr, wystawiający arcydzieła polskiej literatury. Wszystko to nas niezmiernie zajmowało. Wstąpiłem i do gmachu Akademji Umiejętności na Sławkowskiej, z którą od lat 20 przeszło podtrzymywałem stosunki. Odwiedziłem też paru profesorów Wydziału lekarskiego, oraz ówczesnego rektora prof. Edwarda Janczewskiego, z którego rodziną na Litwie znaliśmy się bliżej jako sąsiedzi, a żona moja była z profesorową spokrewniona. Z Janczewskim nawiązałem stosunki na Syberji. Zwrócił się on do mnie z prośbą o nadsyłanie mu nasion

i krzaków dziko rosnących porzeczek we wschodniej Syberji i w swej znakomitej monografji opisał kilka nowych odmian, a jedną z nich nazwał nawet moim imieniem. Janczewski, widząc się ze mną prosił, abym mu spisał niektóre szczegóły z mego życia. Przez Janczewskiego poznałem Karola Potkańskiego, znanego historyka, który interesował się rozmaitemi kwestjami antropologicznemi, szczególnie pochodzeniem Słowian. W rozmowie wspomniał, że Uniwersytet Jagielloński bardzoby życzył sobie widzieć mnie w swem gronie. Z żalem opuszczaliśmy Kraków, skąd życie i światło przenikało do innych dzielnic. Nić nieustannej tradycji naukowej od wieków średnich ciągnie się tutaj aż dotąd. Przecież tu w drugiej połowie XIX w. w swej więcej niż skromnej pracowni dokonał Wróblewski wiekopomnego odkrycia skroplenia gazów i przedwcześnie padł ofiarą nauki; tu z dewizą, że historja jest mistrzynią życia, chłostał ostrą krytyką wady nasze Szujski, wreszcie tu rozwinęła się najwspanialej myśl polska, łącząc przeszłość z teraźniejszością w utworach sztuki i literatury Matejki i Wyspiańskiego, tak silnie do nas przemawiających, a Uniwersytet, mający najlepszych przedstawicieli nauki, ściągał tu młodzież ze wszystkich trzech zaborów.

Z Krakowa pojechaliśmy na dni kilka do Lwowa, ażeby, korzystając z paszportu zagranicznego, dłużej przebyć w polskiej atmosferze. Spotkaliśmy się tam ponownie z Janczewskim, który zasiadał w sejmie jako rektor. W sali sejmowej widzieliśmy zawieszony obraz Unji lubelskiej, znany nam tylko z reprodukcji, i po raz pierwszy byliśmy na posiedzeniu polskiego sejmu. Odwiedziliśmy jeszcze wówczas czynnego i pełnego życia prof. Benedykta Dybowskiego, z którym jako ze znawcą niepospolitym Wschodniej Syberji mieliśmy dużo do mówienia. Pokazywał urządzone przez siebie muzeum zoologiczne. Pomimo lat, prawie 70-ciu, jeszcze bardzo rzeźki, towarzyszył mnie i żonie na Wysoki Zamek, na kopiec Unji lubelskiej.

Wracamy z Galicji. Na granicy spotykają nas znowu rosyjscy żandarmi. Rewizja i niepewność czy nie spotka nas jaka nieprzyjemność lub szykana. Wreszcie przybywamy do Warszawy. Zastajemy tam ciężką atmosferę walk partyjnych, podtrzymywanych przez rząd zaborczy. Wracamy na Litwę, za Kowno, w okolice Marjampolskiego, na czas jakiś na wieś, gdzie wobec słabej kultury polskiej szerzy się propaganda litewska, wroga polskości, popierana silnie przez rząd. Nieszczęśliwy żywioł polski tu słaby i rozproszony, skazany jest na zagładę. Jakby wyrósł mur, oddzielający dwa społeczeństwa. Naciera na polskość litewszczyzna z prądami demagogicznemi, chcącemi wydrzeć ziemię „panom", wobec więcej jak 55% chłopów bezrol-

nych, z których wielu emigruje do Ameryki. Jako rzecznik interesów ludu występuje inteligencja litewska, bardzo niskiego poziomu, księża i nauczyciele ludowi. Ustępująca polskość jest nikłą i słabą, rekrutującą się z garstki właścicieli, dzierżawców i oficjalistów. Rozmaite wolne zawody, lekarski, adwokacki i inne, w których dawniej przeważali Polacy, zajmują stopniowo Litwini i Rosjanie.

Wreszcie skończył się mój urlop i ze smutkiem wyjechaliśmy z powrotem na Syberję, z tym większym smutkiem, że Kraków, o którym oddawna przestałem już marzyć, znowu stanął na drodze mego życia. Do tego bowiem czasu zamierzałem po paru latach, wyszedłszy na emeryturę, osiąść w Wilnie lub w stronach rodzinnych i póki starczą siły pracować. Wracając, zatrzymaliśmy się w Petersburgu i w Moskwie z powodu spraw służbowych, jak i naukowych. Zrobiłem parę komunikatów w Towarzystwie Centralnem Geograficznem i w Tow. miłośników przyrody. Widziałem się w Petersburgu z głównymi działaczami na polu geografji, z wice - prezesem Towarzystwa senatorem Piotrem Siemionowym, zasłużonym pracownikiem, i z sympatycznym jeneralnym sekretarzem Grigorjewym. Obaj przyrzekli powiększyć subsydjum, otrzymywane przez nasz Oddział Troickosawsko - Kiachtyński i ułatwić mu nabycie niektórych kolekcyj. W Moskwie, gdzie antropologją więcej się interesowano, doznałem ciepłego przyjęcia wśród grona pracujących na tem polu. Przedstawiłem tam moją pracę „Materjały do antropologji ludów Azji środkowej". Były to badania Burjatów, Mongołów i Tunguzów, dzieło obszerne, obejmujące mapę rozsiedlenia tych plemion, z licznemi diagramami, tablicami i fotografjami, za które Towarzystwo miłośników przyrody obdarzyło mię nagrodą pieniężną i złotym medalem Razćwietowa. Spotkałem się również z sympatycznym i zasłużonym prezesem Towarzystwa prof. D. M. Anuczinym, z którym potem długie lata korespondowaliśmy. Zaproszony zostałem na skromną ucztę koleżeńską, którą urządziło dla mnie grono moskiewskich antropologów. Byli na niej A. A. Iwanowskij, A. Elkind, Rozow, prof. Minakow, Worobjew, Jańczuk i jeszcze kilku innych.

Droga powrotna do Troickosawska przeszła o wiele prędzej, niż w tamtą stronę. Jechaliśmy wygodnie. Życie w Troickosawsku teraz już coraz mniej przedstawiało powabu, gdyż poznałem to co mogło mnie bardziej interesować, a towarzyskich stosunków byliśmy pozbawieni. Wybrany na członka korespondenta Akademji Umiejętności w Krakowie, otrzymałem wkrótce potem od prof. Janczewskiego zapytanie, czybym się nie zgodził być postawiony jako kandydat na katedrę antropologji fizycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim. Później

już urzędownie zwrócił się do mnie w tej samej materji ówczesny dziekan Wydziału filozoficznego prof. W. Natanson, a po niejakim czasie ś. p. Napoleon Cybulski, jako dziekan Wydziału lekarskiego prosił, abym mu przesłał *curriculum vitae* i swe prace naukowe. Sprawa się przeciągała, bo rząd austrjacki nie chciał przez czas długi kreować nowej katedry, jakiej nie posiadał żaden z uniwersytetów niemieckich w Austrji. W tym czasie dowiedziałem się, że mam propozycję na katedrę ze Lwowa, którą mi robił prof. Dybowski, a później, że była o mnie mowa i w Dorpacie. Naturalnie, że Kraków odpowiadał najbardziej moim aspiracjom narodowym, nie mówiąc już o wielkiej tradycji naukowej uniwersytetu. Antropologja była tu wykładaną przez Józefa Majera od r. 1855 — 1860, a później przez Izydora Kopernickiego od r. 1878 — 1891, który, umierając zostawił swe zbiory jako pierwszy zawiązek dla przyszłego Zakładu antropologicznego. Lata biegły i o ile z początku myśl przeniesienia się do Krakowa bardzo mnie podniecała, później zwątpiłem w to i uważałem sprawę za pogrzebaną, tem niemniej na wszelką ewentualność zacząłem się przygotowywać do działalności profesorskiej i do wykładów. W tym to czasie wybuchła wojna rosyjsko-japońska w r. 1905. Chociaż Troickosawsk był oddalony od terenu walki, jednakże ekonomicznie silnie ucierpiał, jak i sąsiednia Mongolja. Komisje intendanckie rozjeżdżały po Zabajkalju i Mongolji, skupując dla wojska mięso wołowe i baranie, które odsyłano na daleki plac boju w Mandżurji. O ile w drodze nie zostało ukradzione, to przychodziło na front zepsute; musiano je stapiać na tłuszcz. Oprócz tego skupowano żywe bydło i pędzono je kilka tysięcy kilometrów. Zdychało ono z głodu, przyczyniając skarbowi miljonowe straty, jak to wykazały liczne po wojnie śledztwa. Masa intendantów porobiła ogromne majątki. Dzięki wysokim cenom za bydło, nieopatrznie pozbawiano się mięsa i nabiału, jedynego pożywienia ludności pasterskiej. Po wojnie ludność została bez bydła i bez inwentarza roboczego. Krach w handlu herbatą drogą lądową odbił się silnie na zubożeniu całej Syberji.. Mieszczaństwo i chłopi pozbawieni zarobku zaczęli się wysiedlać z Troickosawska.

W tymże czasie polityczną sensacją była ucieczka głównego żywego boga Dalaj-Lamy z Lassy po wkroczeniu wojska angielskiego do Tybetu. Polityką ministra jego Agwan Dordżejewa było zbliżenie się do Rosji. Znałem go osobiście. Miał on tytuł najwyższego kapłana. Pod jego to wpływem przeniósł się Dalaj-Lama do Urgi, gdzie przebywał półtora roku. W tym czasie jeździł Dordżejew kilkakrotnie do Petersburga z cennemi podarkami, chcąc nawiązać stosunki z Rosją.

Pułkownik Kozłow, jako poseł nadzwyczajny cara, przyjechał do Dalaj-Lamy i wręczył mu portret cesarza rosyjskiego, a świcie jego cenne upominki. Dalaj-Lama odwzajemnił się cesarzowi swoim portretem, zaznaczając, że to jest pierwszy robiony w życiu jego. Zastrzegł sobie, aby ten portret unikatem pozostał. Namalował go, według przyjętej formy kultu buddyjskiego, nauczyciel szkoły realnej w Troickosawsku, Kożewnikow.

Fotograficzne reprodukcje portretu Dalaj Lamy wszędzie były jednak sprzedawane. Gdy się o tem żywy bóg dowiedział, zwrócił się z protestem do rządu rosyjskiego, który dalszą sprzedaż powstrzymał. Dalaj-Lamy samego nie widziałem. Wiem jednak, że wrażenie robił bardzo dodatnie, człowieka inteligentnego, interesującego się wszystkiem, ale zupełnie nieuświadomionego w stosunkach europejskich i geograficznych. Pomiędzy dwoma „bogami", przebywającymi jednocześnie w Urdze, wszczęła się walka. — Pielgrzymki ciągnęły z najdalszych stron Mongolji dla złożenia ofiar i zaczerpnięcia rad. Wkońcu po porozumieniu się z Anglikami Dalaj-Lama wrócił do swojej rezydencji. Dordżejew pozostał w Rosji.

Rok wojny japońskiej był i dla mnie bardzo pamiętny. W sierpniu 1905 r., operując jedną chorą, zadrasnąłem sobie niespostrzeżenie średni palec lewej ręki. Było to wieczorem. W nocy o 2-giej przebudziłem się, czując dreszcze, silną gorączkę, nudności, ból i pieczenie w palcu. Rano już cała ręka była obrzękła i nastąpiły wymioty. Upadek sił był tak znaczny, że musiałem się położyć. Leżałem przez parę tygodni z ręką do góry podwieszoną na sznurze, przechodzącym przez blok, przymocowany do sufitu, gdyż tylko takie położenie robiło mi pewną ulgę. Kilku miejscowych kolegów odwiedzało mię nieustannie. Czując sam głęboko nagromadzoną ropę, prosiłem ich o zrobienie szerokiego śmiałego cięcia, lecz nie zdecydowali się, twierdząc, że nie są chirurgami. Gdy parokrotne bardzo powierzchowne cięcia skóry nie dały żadnego rezultatu, postanowiono przewieźć mnie do Wierchnieudińska, do szpitala Czerwonego Krzyża, o 240 wiorst odległego od Troickosawska. Wyprowadzono mnie z domu, gdyż nie miałem dość sił, aby iść sam. Wyszła gospodyni domu, przyszło kilku znajomych. Żegnano mnie serdecznie, myśląc zapewnie, że już nie wrócę. Siedliśmy do wielkiej ciężkiej czterokonnej karety, uprzejmie nam udzielonej przez znajomą kupiecką rodzinę. Obok mnie siadła żona, a naprzeciw dr. Treu z Rygi, Niemiec, który odbywał służbę wojskową i ofiarował się towarzyszyć mi do Wierchnieudińska. Jechaliśmy krokiem po ciężkich piachach do Ust' Kiachty przedmieścia Troickosawska o 24 wiorst oddalonego od miasta.

W Ust' Kiachcie dowiedzieliśmy się, że z powodu większej wody na rzece Selendze kursuje statek ciężarowy, który powinien przyjść nazajutrz. Znaleźliśmy gościnę u mego od lat dawnych przyjaciela i towarzysza wszystkich wypraw i wycieczek archeologicznych, Smolaniełowa. W gorączce leżąc, oczekiwałem przybycia statku dwa dni. Wydały mi się one wiekiem. W domu było gorąco, much mnóstwo, a przytem ogromna moc pluskiew, tej istnej plagi syberyjskiej. Zwykle mając zły sen, a w chorobie jeszcze gorszy, nie mogłem oka zmrużyć. Nareszcie dowiadujemy się, że statek przyszedł, lecz odpłynąć ma zaledwie nazajutrz z powodu wyładowywania towarów. Trzeba było wejść w układ z kapitanem, ażeby wyjazd przyśpieszył. Nareszcie w piękny i ciepły ranek odpływamy. Brak na statku ciężarowym kajuty zmusza mnie leżeć na pokładzie, na ławie, z podniesioną ręką dzień cały. Zmęczony strasznie, z wysoką gorączką i nieustannemi dreszczami, przybyłem około 11-ej w nocy do Wierchnieudińska. Ponieważ miasteczko nie posiadało dorożek, musiałem telegrafować do naczelnika okręgu, ażeby przysłał na przystań jaki wehikuł. Oczekiwał nas na brzegu policjant z małą jednokonną bryczką, do której wsiadłem z podniesioną ręką do góry. Za bryczką szła żona. Noc była ciemna, i tylko gdzieniegdzie świeciły się ogniki. Droga od przystani wydała się nieskończenie długą. Jak zmiłowania bożego oczekiwałem szpitala, do którego jechaliśmy. Nareszcie podjeżdżamy pod wielki gmach Czerwonego Krzyża. Chociaż lekarz naczelny był powiadomiony o mającem nastąpić mojem przybyciu, lecz dyżurny lekarz nie decydował się narazie mnie przyjąć, tłumacząc, że szpital przeznaczony jest dla wojskowych. Zgodził się wreszcie dać nam przytułek do rana w wielkiej niezajętej sali oddziału oficerskiego. Rad byłem, że przynajmniej mogłem się położyć. Noc całą nie spałem. Nad rankiem uczułem znaczne osłabienie i upadek sił. Rano przyniesiono mi trochę czarnej kawy, co mnie nieco orzeźwiło. Czekałem z niecierpliwością przyjścia naczelnego lekarza. Wreszcie zjawił się dr. Christow, Serb z pochodzenia, lecz urodzony w Odesie, gdzie przez lat 8 był chirurgiem. W czasie wojny, odbywając obowiązkową służbę wojskową, został przydzielony do szpitala Czerwonego Krzyża w Wierchnieudińsku, jako lekarz naczelny. Christow, zbadawszy mnie, okazał silne zdziwienie, że nie dano mnie pomocy chirurgicznej na miejscu i wieziono tyle wiorst. Christow był to człowiek lat około 40 liczący, z powierzchowności zimny i małomówny, lecz, jak się przekonałem potem, punktualny i sumienny, pilnujący porządku i wymagający go od innych. Szpital, sale dla chorych, sala operacyjna, opatrunkowa były bardzo dobrze urządzone, czyste,

pościel porządna, bielizna często zmieniana, a kuchnia oficerska, z której korzystaliśmy, wyśmienita. Z początku nie można było być pewnym, czy ocaleje ręka; potem wątpliwość zachodziła o palec, od którego rozpoczęła się choroba. Zrobiono mi w ciągu paru tygodni aż pięć operacyj w uśpieniu chloroformowem: głębokie cięcia na tylnej i przedniej części ręki, przecięcia ropiejących gruczołów podpachowych i odjęcie paznokcia. Stosując się do przepisów szptalnych, Christow odmówił pozwolenia żonie mojej nocowania w moim pokoju na obok stojącym łóżku. Musiała więc biedna, poznawszy się z siostrą aptekarką, chodzić na nocleg na inne piętro i spać niewygodnie, w aptece na stole. Później jednak tolerowano to, że nocowała ze mną na sali. Pobyt w szpitalu mieliśmy wcale dobry. Kiedy powoli zacząłem przychodzić do zdrowia, miałem wilczy apetyt, lecz byłem na tyle osłabiony że po kilku łyżkach buljonu, który mi wlewała do ust żona, czułem się już tak zmęczony, jakbym spełnił najcięższą fizyczną pracę. Ponieważ nie mogłem spać do późnej nocy, żona mi głośno czytywała różne książki. Sala, w której leżałem, była środkową: z jednej strony lokowali się żołnierze, a z drugiej oficerowie. Żołnierze zachowywali się ciszej, czasami tylko śpiewali chórem; gorzej było z oficerami: częste tam były krzyki, pijaństwo, muzyka na bałałajkach, tak że musieliśmy nieraz prosić ich o większy spokój. Lekarze też narzekali i nie byli zadowoleni z prowadzenia się oficerów.

Wkrótce ogłoszony został pokój z Japonją. Świeżych rannych przestano przywozić, a poprawiających się wysyłano ze szpitala. Wkrótce i ja wstałem i z początku z wielką trudnością, ze zwieszoną ręką na temblaku, zacząłem przechadzać się po sali. Otrzymywałem liczne listy i telegramy gratulacyjne od różnych osób i instytucyj z powodu mego wyzdrowienia. Przyjmowałem też i wizyty znajomych i nieznajomych.

Po powrocie do Troickosawska przeszło miesiąc nie mogłem przyjść do siebie; brakowało mi sił dawnych a oprócz tego nie mogłem się jeszcze oswoić z przykurczonym lewym palcem, skutkiem nieruchomości stawu, co pozostało na zawsze, i z osłabieniem funkcji ręki, z czem się wkońcu obyłem, mogąc jako tako posługiwać się nią przy zabiegach akuszeryjnych i chirurgicznych w przeciągu trzechletniej jeszcze mojej praktyki lekarskiej. O wiele byłoby gorzej gdyby ta bieda spotkała rękę prawą.

Z Krakowa otrzymałem wiadomość, że sprawa mojej nominacji posuwa się naprzód, choć powoli. Wobec tego coraz bardziej zaczęliśmy uważać siebie za czasowych mieszkańców Troickosawska.

AGWAN-TUBDUN-DŻAMCO, XIII DALAJ-LAMA
(Tybetańczyk), żywy bóg, przerodzeniec (ur. 1876 r.)

Wreszcie wystąpiły jak mi doniesiono z kandydaturą moją, dla jej silniejszego poparcia, aż dwa wydziały Uniwersytetu Jagiellońskiego: filozoficzny i lekarski. Było to za ministerstwa skarbu Korytowskiego. Rząd austrjacki zgodził się na utworzenie nowej katedry, na którą mię powołano.

Wyjeżdżając z Syberji, chciałem skorzystać z mego prawa i wziąć 6-miesięczny urlop, lecz mi go odmówiono. Wniosłem wówczas podanie o dymisję. Opuszczając Syberję po 16-letnim pobycie, zrywałem z nią nazawsze. Choć pozostawiłem tam nieliczne grono ludzi, bardzo mi życzliwych, z którymi zawarłem bliższe stosunki, bez żalu a z radością dążyłem tam, dokąd mnie ciągnęło serce oddawna, a o czem przez lat tyle marzyłem. Nie wiedziałem jednak czy znajdę w Krakowie choć kilku ludzi, tak mi oddanych jak w Syberji. Obawiałem się nadto, czy, spędziwszy całe życie na obczyźnie i będąc już w wieku starszym, potrafię zastosować się do nowego otoczenia i odpowiem przyjętym na siebie obowiązkom?

Z racji mego wyjazdu z Troickosawska otrzymałem wiele dowodów uznania od miejscowego społeczeństwa i od rozmaitych instytucyj. Otrzymałem wiele adresów i upominków, od miasta, domu pracy i ochronki dla dzieci, w których przez lat wiele bezinteresownie pracowałem, wreszcie od pojedyńczych pacjentów i najuboższych miasta. Wspólnie przez wszystkich byłem żegnany uroczyście na zebraniu Oddziału Towarzystwa Geograficznego, które opuszczałem z pewną obawą, nie wiedząc jakie będą losy po moim wyjeździe. Wśród przepełnionej wielkiej sali żeńskiego gimnazjum, w której odbywały się zwykle posiedzenia Towarzystwa, w pożegnalnych mowach podnoszono moje zasługi około skupienia inteligencji do wspólnej pracy i działalności społecznej oraz i naukowej. Wyraziły się one w ciągu 14-letniego okresu w przeszło 200 posiedzeniach publicznych, na których były przedstawiane prace i referaty, mające przeważnie związek z miejscowym krajem. Staraniem Oddziału było zorganizowanych kilka większych, i mniejszych wycieczek dla zbadania bliższych, lub dalszych miejscowości Zabajkalja i Mongolji. Zebrano, ułożono i określono przez różnych znanych specjalistów Rosji i zagranicą kolekcje botaniczne, zoologiczne, mineralogiczne, antropologiczne i archeologiczne. Wykonano systematyczne badania przeszło 500 mogił na przestrzeni 800 wiorst, co dało możność poznania kultury i typu fizycznego dawnych mieszkańców kraju. Wykonano badania antropologiczne na tysiącach żywych ludzi różnych ras tam zamieszkałych. Zebrano wiele materjałów, odnoszących się do duchowej i materjalnej kultury Mongołów, Burjatów, Tunguzów, Chiń-

czyków i Rosjan. Zorganizowano badania meteorologiczne przy Oddziale, przedtem prowadzone tylko dorywczo i przygodnie. Wybudowano budkę odpowiednią do spostrzeżeń i nabyto instrumenty, jak również rozpoczęto badania seismiczne wobec częstych trzęsień ziemi, nawiedzających okolicę. Wydrukowano kilkanaście tomów wydawnictw Oddziału, z pracami kilkudziesięciu autorów, zamieszkałych w Syberji, w Rosji europejskiej i zagranicą. Przy Oddziale powstały ściśle z jego pracami związane: muzeum i bibljoteka, mieszczące się we własnym gmachu w Kiachcie. Muzeum składało się z kilkunastu tysięcy przedmiotów, rozmieszczonych w różnych działach, przedstawiających tak przyrodę, jako też kulturę kraju. Bibljoteka liczyła przeszło 5.000 tomów. Składała się ona przeważnie z dzieł geograficznych i przyrodniczych. Oddział wymieniał swe wydawnictwa z przeszło 60 instytucjami i towarzystwami naukowemi. Po mowach członków Towarzystwa Geograficznego zabrał głos prezydent miasta i przeczytał adres. Podobny przeczytali przedstawiciele domu pracy, ochronki dla dzieci i innych instytucyj. Dziękując za te objawy życzliwości, zacząłem od tego, że Rosjanie wogóle, a jeszcze bardziej Sibiracy są skąpsi w słowach, niż my Polacy, i dlatego słowa uznania, jakie usłyszałem, przyjmuję jako szczere, dlatego za wszystkie dowody uznania i sympatji składam gorące i serdeczne podziękowania. Przyjechałem na Sybir przed laty 16-tu nie tyle dla chleba, co dla pracy. Jako obcy nie wiedziałem jak będę przyjęty i czy praca moja będzie tu zrozumianą. Uważam siebie za szczęśliwego nad wyraz, że mnie tak szczodrze, mogę powiedzieć nie według zasług, po królewsku nagrodzono, po pierwsze jako zawodowego lekarza, a po wtóre jako naukowego i społecznego działacza. Jako lekarz, jeżeli błądziłem i jeżeli pomóc choremu nie zawsze mogłem, to jednak moje zamiary były zawsze najlepsze. Miałem jedynie dobro chorego na celu, a nie kierowała mną chęć zysku i wzbogacenia się. Jeżeli paru mówców nazwało mnie „lekarzem ubogich", to nazwę tę uważam dla siebie za najzaszczytniejszą. W żmudnym moim zawodzie dzieliłem czas pomiędzy pracę lekarza, a badania naukowe. Jeżeli Oddział Tow. Geograficznego dosięgnął pewnego rozwoju, to w znacznej części przypisuję to nie sobie, lecz i pracy innych, zrozumieniu całego społeczeństwa, które nie szczędziło na ten cel swego poparcia i środków, a mam nadzieję, że i nadal tego nie odmówi. Powołany na zaszczytne stanowisko profesora, podążam daleko na zachód, a opuszczając miejsca, w których upłynęła najlepsza część mego życia, i ludzi, którzy mi tę pracę ułatwili, żegnam wszystkich i dziękuję serdecznie, szczególnie współpracownikom i towarzyszom pracy, o któ-

rych pamięć pozostanie mi drogą. Troickosawsk i Kiachta pozostaną mi jeszcze pamiętnemi i z tego względu, że tu kończę po trzydziestu dwóch latach zawód praktykującego lekarza. Żona moja była też przedmiotem owacji i od paru instytucyj, w których bezinteresownie przez lat wiele pracowała, jak w szkole niedzielnej i w domu pracy, otrzymała adresy i podziękowania.

Po wysłaniu rzeczy naszych, a głównie odzieży i księgozbioru, z którego wiele dzieł ofiarowałem do bibljoteki Towarzystwa Geograficznego, i do bibljoteki publicznej, w końcu maja 1908 r. opuściliśmy Troickosawsk. Żegnali nas serdecznie bliżsi znajomi. Wśród najbardziej nam oddanych była pani Mollesonowa, wdowa po Władysławie. Po śmierci męża była kustoszem zbiorów w muzeum. Do grona bliskich nam ludzi należeli poczciwy Smolniełow w Ust'-Kiachcie i Ukrainiec felczer Borodij, którzy pozostali mi w pamięci nazawsze. Żegnali nas z płaczem, uważając za straconych dla siebie. Opuszczałem kraj, w którym upłynęła bodaj najpłodniejsza część mego życia, a w którym starałem się być dobrym obywatelem. Pamiętałem jednak zawsze, że jestem tam tylko gościem, a należę do innego społeczeństwa. Rozumiano mnie i nie poczytywano tego za zbrodnię; owszem, szanowano moje przekonania. W myślach mych rysowały się nowe widnokręgi; praca wśród swoich, do czego oddawna dążyłem. Z dalekiego Wschodu wezwany do ogniska kultury polskiej, uważałem to dla siebie za zaszczyt, cieszyli się z tego i moi syberyjscy przyjaciele i rozumieli, że odrzucać tego nie mogę.

Drogę do kraju mieliśmy o wiele przyjemniejszą i mniej męczącą, lecz źa to mniej urozmaiconą niż przed laty, kiedy jechaliśmy końmi, obcując więcej z naturą, poznając nowy kraj i ludzi. Jechaliśmy przed laty na Syberję z pewną trwogą i niepewnością, czy kiedy wrócimy do kraju; teraz wracaliśmy podniesieni na duchu, pełni nadziei na przyszłość. Z Wierchnieudińska jechaliśmy dokoła Bajkału nowo-wybudowaną koleją, przechodzącą na jednym poziomie z powierzchnią wód jeziora. Droga obfitowała w urocze widoki. W Irkucku przesiedliśmy się do pociągu pośpiesznego, urządzonego po europejsku, który nas w dni 14 dowiózł aż na zachodnią granicę państwa rosyjskiego. Po przyjeździe do Krakowa, rozpoczęliśmy jakby nowy okres życia, przystosowując się do warunków zgoła odmiennych od tych, wśród których żyliśmy na dalekich wschodnich krańcach Azji.

Przeszło 20 lat upłynęło od naszego powrotu do kraju, a jednak nowe wrażenia, jakkolwiekbądź silne, nie zatarły dawnych wspomnień, pomimo upływu lat wielu, wielkiej wojny i zmian po niej zaszłych. Nić dawniej nas łącząca z Syberją nie została zerwana i łączy nas nadal z tym krajem dalekim, w którym doznaliśmy tyle serca i gościnności.

Kraków, w maju, 1929 r

Niektóre przypiski i dodatki autora.

Do str. 13.

Bibliotekę po moim ojcu nabył nie Marjan, a Edward hr. Hutten Czapski, właściciel Kiejdan na Litwie, skonfiskowanych w r. 1864 i nadanych jener. Totlebenowi, późniejszemu jenerał-gubernatorowi Wileńskiemu. Żona hr. Czapskiego skazanego do robót ciężkich z domu Różycka, tragicznie spaliła się siedząc przy kominku w Wilnie. Pamiętam jak o tem mówiono. Wspomina też o tem w swych pamiętnikach I. Gieysztor i A. Iwański (Pamiętniki str. 15).

Do str. 18.

Domicella z Dworzeckich Fischerowa była młodszą siostrą Longina Dworzeckiego naczelnika partji powstańczej na Żmudzi w r. 1830, o którym omawia w swych pamiętnikach o powstaniu na Żmudzi, Leon Potocki. Dzieckiem pamiętam jeszcze sympatyczną staruszkę wdowę p. Longinową, przyjeżdżającą w odwiedziny do moich dziadów z Birż do Kowna. Była ona kalwinką i pozostała mi we wdzięcznej pamięci za troskliwość z jaką pielęgnowała mnie i siostrę w szkarlatynie (w r. 1856, lub 1857). Była to staruszka wysmukła, wysokiego wzrostu, zażywała tabakę i nosiła ciemne chustki do nosa.

Do str. 27.

Ireneusz Kleofas Książe Ogiński, syn Michała Kleofasa podskarbiego litewskiego, autora pamiętników i słynnego kompozytora i Marji de Nory, ożenionego z dwoma siostrami Józefiną i Olgą Kalinowskiemi, ostatniemi z tego rodu. Na synach Ireneusza Bohdanie i Michale zeszłych bezpotomnie wygasł ród Ogińskich. Gieysztor w swych Pamiętnikach mając bliższą styczność z księciem w czasach przedpowstaniowych 1861 i 1862 przedstawia go jako człowieka mądrego, dobrych chęci i opiekuna ludu w swych włościach, lecz za razem arystokratę pomimo krzewienia oświaty, przeciwnika ideji demokratycznej której hołdowało ziemiaństwo litewskie.

Do str. 30.

I. Gieysztor (Pamiętnik. T. I, str. 44) opisując uroczystość procesji kowieńskiej 31 lipac 1861 r. na pamiątkę unji horodelskiej oddaje naprzód pochwałę litościwemu sercu wice-gubernatora Koreckiego, dzięki któremu uniknięto rozlewu krwi. Po procesji nastąpiły kary dla urzędników. Chomiński został przeniesiony

na gubernatora do Wołogdy, dostali dymisję wice-gubernator Koreckij, marszałek Józef Dowgrid, Sawicki późniejszy dowódca partji pod pseudonimem Strusia, wówczas pułkownik, późniejszy dr. med. Jan Stella Sawicki translokowany został do Kurska, kapitan zaś od inżynierów Romuald Kułakowski zawiadujący żeglugą rzeczną i marszałek pow. kowieńskiego Ludwik Żyliński zostali uwięzieni.

Do str. 39.

Podczas wielkiej wojny w Petersburgu znajdował się tam zacny stary pułkownik Szapkin, który z radością przypominał czas spędzony w Kownie, gdzie jako młody porucznik komendy inwalidnej w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku mógł nieść ulgę skazanym polakom.

Do str. 39.

Stasia młodsza siostra odemnie o 1 rok i 10 mies. późniejsza po mężu Piłsudska.

Do str. 40.

Wspomnieni przeze mnie najwięksi bohaterowie powstania na Litwie byli Dłuski Bolesław pod nazwiskiem Jabłonowskiego. Urodził się na Litwie w r. 1829. W 14 r. życia jako uczeń wileńskiego gimnazjum wraz z bratem zesłani w sołdaty na Kaukaz. Tam dosłużył się kapitana, a doświadczenie zdobyte w wojsku pozwoliło mu stanąć na czele partji, miał wówczas lat 40 i był lekarzem praktykującym w Poswolu. Po wielu zwycięzkich bitwach na Żmudzi szczególnie pod Popielanami, po upadku powstania udał się zagranicę wywiózłszy sumy, które zostały przeznaczone na cel wychowania polskiej młodzieży. Jako lekarz nostryfikując swój dyplom pierwej w Londynie, potem w Paryżu i w końcu osiada w roku 1873 w Krakowie jako malarz, pozując do wielu obrazów Mateyki; dał wychowanie licznej swej rodzinie i tu w r. 1905 życie zakończył. (Na zasadzie słów Dubieckiego i d-ra Jaworowskiego przytoczone w Pamiętn. Gieysztora).

Z trzech braci Cytowiczów z Rosieńskiego, którzy brali udział w powstaniu, w Paryżu poznałem Benedykta kapitana wojsk rosyjskich.

Bolesław Kołyszko ur. w r. 1838 w Wileńszczyźnie pow. lidzkim, był w gimnazjum wileńskiem i na Uniwersytecie w Moskwie. W r. 1861 w celach patrjotycznych postępuje do szkoły wojskowej polskiej w Genui i Cuneo a w krótce zasłynął jako wybitny partyzant na Żmudzi. Połączywszy się z Sierakowskim bierze udział w bitwie pod Birżami i razem z nim ujęty, zostaje stracony w Wilnie dnia 28 maja 1863 r. (inform. z Pamięt. I. Gieysztora).

Zygmunt Sierakowski ur. 1827 r., czołwiek wielkich zdolności i zapału, idealista o kryształowej czystości, ceniony był nie tylko przez swoich, lecz i żałowany przez przyjaciół rosjan, stracony w r. 1863 w Wilnie.

Do str. 41.

Nikołaj Murawjew był gubernatorem w Kownie od 18 lipca 1863 do 30 lipca 1866 r. według I. Gieysztora.

Do str. 42.

Ks. Antoni Mackiewicz pochodził z drobnej szlachty z okolic Cytowian, a ukończywszy gimnazjum w Wilnie postąpił na Uniwersytet Kijowski, lecz wkrótce wstąpił do seminarjum duchownego w Worniach, na Żmudzi, a otrzymawszy

święcenie został wikarjuszem w Krakinowie, a następnie filialistą w Podbrzeziu gdzie go zaskoczyły wypadki 1863 r. Wówczas samorzutnie z kazalnicy odczytuje dekret rządu tymczasowego o uwłaszczeniu włościan i w puszczy krakinowskiej tworzy partję przeważnie z włościan. Po kilku potyczkach stoczonych szczęśliwie przetrwał z oddziałem aż do grudnia 1863 r., nim go osłabionego i gołdnego nie ujęto pod Birżami.

Fotografja ks. Mackiewicza nie była dotąd nigdzie reprodukowaną, pochodzi ze zbiorów prywatnych p. Michała Brensztejna, bibliotekarza uniwersyteckiej i publicznej biblioteki w Wilnie. Prawo właściciela zastrzeżono na oryginale fotografji, na której napisano ks. Mackiewicz, pułkownik Podbrzeskiego pułku w kampanji 1863 r. Powieszony w Kownie 26 grudnia tegoż roku.

Do str. 42.

Wielkie pochwały oddaje I. Gieysztor w swych pamiętnikach zasługom patrjotycznym marszałka Walerego Jańczewskiego (opiekuna naszego w tych czasach, t. j. mego i mojej siostry, syna Cyprjana i stryja Edwarda, Prof, U. J. w Krakowie), jak również Edwarda Römera, których znałem od dzieciństwa, nazywając najznakomitszemi obywatelami Litwy.

Do str. 43.

Kulikowski Walery ur. w Wilnie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zasądzony na osiedlenie na Syberji. Umarł w Kijowie otoczony czcią i powszechnym szacunkiem 14 marca 1910 r. Wspomnienie o nim znajdujemy w Pamięt. I. Gieysztora i dopiero co wyszłych Beendykta Dybowskiego (od r. 1862 — 1878). Lwów, Wydawnictwo Zakł. Narod. im. Ossolińskich, 1930 r. Fotografja pochodzi z 80-tych lat zeszełgo stulecia ze zbiorów długoletniego przyjaciela Czcigodnego Józefata Andrzejowskiego, zasłużonego Prezesa Oświaty ludowej na Rusi.

Do str. 43.

Michał Elwiro Andriolli ur. w 1831 r. w Wilnie, umarł w 1893 r. w Nałęczowie. Pochodził z ojca architekta sprowadzonego z Włoch przez hr. Benedykta Tyszkiewicza do Czerwonego Dworu pod kownem, gdzie wznosił budowle majątkowe, a córka była nauczycielką w Iłgowie u Talko - Hryncewiczów, a syn artysta - malarz uczęstniczył w partji powstańczej, którą dowodził Klety Korewa z Poniewieżyka, pierwszy rozstrzelany w r. 1863 w Kownie (O. Andriollim, patrz Pamięt. I. Gieysztora i wspomnienia pośmiertne Piątkowskiego i Henryka Dobrzyckiego).

Bonoldiowa Leokadja, żona znanego działacza politycznego i śpiewaka,Achillesa Bonoldiego, w latach 60-tych zeszłego stulecia zamieszkiwała w Kownie i dawała lekcje śpiewu matce mojej będącej wdową. Pamiętam dobrze jej postać, była to brunetka, wysokiego wzrostu, zgrabna, w wieku już starszym.

Do str. 60.

Wszyscy smutnej pamięci, tak zwani księża rytualiści, jak prałaci księża Niemeksza Antoni i jego koledzy ks. Piotr Żyliński i ks. Edward Tupalski po wywiezieniu na zsyłkę ks. biskupa Adama Krasińskiego, objęli rządy dyecezji, a jak podał w swoim czasie prałat ks. Jan Kurczewski w Wilnie i Pamiętniki rosyjskie

Tupalski cieszył się jakoby szczególnem zaufaniem Murawjowa — Wieszatela, a wiadoma rola jaką odegrał przy wywiezieniu wizytek wileńskich do Wersalu. Pamiętam fakt zamordowania prałata Tupalskiego przez jego służącego w r. 1878, liczącego że za jego głowę otrzyma zagranicą znaczne wynagrodzenie. Wspomina o tem I. Gieysztor w swych pamiętnikach.

Do str. 74.

Apteka Faltina mieściła się wówczas na rogu Woźniesieńskiego prospektu i kanału u sinego mostu naprzeciw pałacu W. K. Marji Nikołajewny.

Do str. 75.

Drugie prywatne gimnazjum Pułkownika Wojen. Inżyn. Berensa, mieściło się na rogu wielkiej Sadowej i Jekaterinhofskiego prospektu na przeciw Jusupowasadu.

Do str. 90.

Córka Krzesińskiego, znana primobalerina teatrów Cesarskich, Matilda Feliksowa, była początkowo oblubienicą następcy tronu, a późniejszego Cara Mikołaja II, następnie kochanicą innych Wielkich Książąt. Pałac jej uległ ruinie podczas ostatniej rewolucji, a ona sama wyszła zagranicą za mąż za WKs. Sergjusza.

Do str. 92.

Przypominam sobie miłe chwile spędzone przed blizko 60 laty w okolicy szlacheckiej w Romajniach pod Czekiszkami i blizko od niej Laudy, której nazwę dziś nosi główna polska korporacja studencka na Uniwersytecie kowieńskim walcząca bohatersko jak niegdyś ich ojcowie w powstaniach 1830 i 1863 r., o zachowanie swej odrębności narodowej, której ochronienie od zagłady powinno być patrjotycznym obowiązkiem naszego narodu.

Do str. 107.

Dr. Ludwik Gorecki był spokrewniony z Prof. Kopernickim z Krakowa, wykładał do późnej starości w Kijowie, lecz katedry nie mógł otrzymać jako polak.

Do str. 115.

Bracia Stanisław i Władysław Dybowscy pochodzili z Białorusi i wychowywali się kosztem Ks. Florjana Juszkiewicza, proboszcza Zwinogródzkiego, nie będąc skoligaceni ze znanym przyrodnikiem Benedyktem Dybowskim. Nie mam żadnych wiadomości o braciach Dybowskich czy żyją i co się z niemi stało?

Do str. 152.

Oprócz poety Grudzińskiego i braci W. i I. Kopernickich, których kresowa ziemia Zwinogródka wydała, należy zaliczyć znanego patrjotę i polskiego emisarjusza autora pamiętników Rufima Piotrowskiego, urodzonego po nad stepami Chersońskiemi, a pochodzącego z drobnej miejscowej szlachty, Brnisława Chojnowskiego, urodzonego we wsi Murzyńcach w r. 1836, utalentowanego lekarza przedwcześnie zmarłego Prof. Szkoły Głównej Warszawskiej, zasłużonego matematyka i filozofa Jana Śleszyńskiego ur. w Łysiance, powiatu Zwinogrodzkiego w r. 1854

profesora Uniwersytetu Odeskiego, a ostatnio Jagiellońskiego i nakoniec prof. Tadeusza Zielińskiego, filologa o wszechświatowej sławie ur. w r. 1860 w Skrzypczyńcach, b. starostwa Zwinogródzkiego.

Do str. 154.

Prawdziwą dla mnie było niespodzianką, kiedy łaskawi na mnie koledzy w r. 1926 uczcili obchodem uroczystym mój 50-letni jubileusz pracy naukowej. Otrzymywałem wiele listów i pozdrowień, lecz najprzyjemniejszemi były odezwy od moich dawnych kolegów i pacjentów rozbitków z Ukrainy rozproszonych po całej Rzeczypospolitej, a w ich liczbie od d-ra Antoniego Sokołowskiego z Bużanki, który z obozu emigrantów na Pomorzu tęsknił za opuszczoną Ukrainą.

Do str. 155.

Pani Madejska pochodziła z domu Ks. Trubeckich osiadłych oddawna na Polesiu Kijowskiem, gdzie mężczyźni byli wyznania prawosławnego, a kobiety katolickiego.

Do str. 161.

W Budyszczach łysiańskich zamieszkiwał stary kawaler sybaryta Szczęsny Tyszkowski.

Do str. 168.

Rodzina Engelhardtów chociaż pochodząca ze szlachty nadbałtyckiej, była prawosławną wyprowadzającą parantelę z Potiomkinem i Katarzyną II-gą i otrzymywała pewne beneficja. Chociaż ojciec właściciela senator Wasilji Engelhardt rodził się z nieprawego związku.

Do str. 211.

Z rodzeństwa żony mojej, starsza siostra Marja wyszła za mąż za Narkiewicza i potem prędko zmarła, młodsza nie wiele od niej, była zamężną za Kazimierzem synem Karola Bystrama b. marszałka szlachty od wyborów pow. Poniewieskiego przed 1863 r.

I. Gieysztor w pamiętnikach wielkie oddaje pochwały Bystramowi za prawość jego charakteru.

Do str. 282.

Rycina przedstawia badanie cmentarzyska na Sudży grobów w zrębach bardzo głębokich przypisywanych Hunnom, narodowi pasterskiemu rozproszonemu po całej Azji Środkowej, żyjącemu na 2 wieki przed i 3 po Nar. Chr. Naród ten koczujący był nosicielem dwóch kultów świata między Zachodem i Wschodem i odwrotnie.

Do str. 298.

Za ostatnie lata powojenne w t. z. republice mongoło-buriackiej zaszły znaczne zmiany. Ogólny prąd nihilistyczny rosyjski wszystko niwelujący, pochwycił ją w swoje objęcia i podkopał wierzenia religijne ludności dając im cynizm bolszewicki z rozpasaniem wszystkich dzikich instynktów nie ujętych w żadne karby. Przyczynił się do tego i sam chutuchta Urgiński przez pijaństwo i życie hulaszcze obniżający swój autorytet boski. Ze śmiercią jego przedwczesną rządy *quasi postępowe* objęli niedouczeni buriaci, uczniowie szkół bolszewickich rosyjskich ogłaszając, że dusza zmarłego chutuchty już się więcej nie odrodzi, razem z tem nastąpiło wyzwolenie ludu z poddaństwa chanów i innych mniejszych kacyków.

Do str. 310.

Agwan Dordżejew z pochodzenia Buriat, kozak, który przeszło 20 lat przemieszkiwał w Lassie i doszedł do wysokiego stanowiska w hierarchji duchownej okazał się niezręcznym politykiem i Rosja poniosła klęskę. Przeciwnie niż Chutuchta Urgiński pierwszy przerodzeniec Dalaj Lama w Lasie, miał robić bardzo dobre wrażenie, z natury inteligentny, ale wychowany wyłącznie w doktrynach nauki buddyjskiej obcym był zupełnie wiedzy europejskiej. Wydział języków wschodnich Uniwersytetu petersburskiego w r. 1903 delegował swego czołnka prof. F. Szczerbackiego do Urgi aby wręczył dedykowaną Dalaj-Lamie rozprawę pewnego sanskryckiego filozofa. Otóż prof. Szczerbackij mówił mi że Dalaj-Lama interesuje się wszystkiem i że na jego prośbę odbył z nim kilka konferencji zaznajamiając go ogólnie z położeniem mocarstwowem państw europejskich i ich polityką. Portret narysowany w stylu tybetańskim Dalaj-Lama posłał w podarunku dla Cara, zaznaczając przy tem, że nikt w życiu go ani fotografował, ani rysował i pierwszy swójwizerunek zrobiony ofiarowuje Carowi jako dowód szczególniejszych uczuć i przyjaźni Tymczasem nim Car portret otrzymał reprodukcja fotografji w tysiącach egzemplarzy była w rękach wszystkich. Mongołowie i Buriaci w początkach płacili za nią znaczne pieniądze. Kiedy o tem dowiedział się Dalaj-Lama silnie na to reagował.

Skorowidz ważniejszych nazwisk

(Liczby oznaczają strony).

Abakanowicz Bruno 67, 123.
Abaza 166.
Adamowicz Adam 116.
Afanasiew Ewg. Iwan. Prof. 104, 117.
Afanasiew Nikoł. Iwan. Prof. 104.
Aleksandrowicz 11.
Andrioli El. 43.
Anders. Lud. 71.
Andrzejowski Józef 118, 119.
Antonowicz Włodz. Prof. 107, 188.
Antonowicz Paroch ex Unita 108, 200.
Anuczin Dm. Nik. Prof. 222, 308.
Arlth prof. 135, 137.
Augustowski 72.
Auderski 71.
Badmajew Alek. 255.
Bukunin Mich. 233, 250.
Baliński Jan prof. 100.
Baliński Michał hist. 100.
Bałachowskoj 128.
Bamberger prof. 137.
Bandido Chambo Lama 297, 298.
Baranowski biskup 69.
Bardowski 67.
Barszczewski 33, 34.
Bartkowski Jan 134.
Bartoszewicz dr. 34.
Bazarewski 67.
Beauharnais W. ks. Nikoł. Maks. Leichtemb. 97.
Bec Wład. prof. 107.
Becker prof. 101, 190.
Bełza Wład. 123.
Benardaki 167.
Berens pułk. 75, 76, 77.
Bereśniewicz Al. biskup. 59, 73.
Bereśniewicz Wład. 59, 63.
Berezowski 27, 216.
Berezowska - Iwanowa 27, 284.
Bernatowicz 116.
Besser Wikt. prof. 100.
Besser Wilib. prof. 100.
Bestużew Mich. 238.
Bestużew Nik. 238, 239.
Bezak jen.-gub. 89.
Białłozor Winc. 37.
Białłozorowie 42, 65.
Bierzyńscy hr. 155, 157, 158.
Bierzyński Adam hr. 154, 155, 158.
Bilewicz 48, 49, 50.
Bilroth Prof. 137, 181.
Blau 55.
Blinstrub 71.
Błudowa hr. 177.
Bobiński Sylw. dr. 162.
Bobrińskij Al. Al. hr. 189, 190.
Bobrowski Tad. 103.
Bogdanow Anat. Petr. prof. 119, 122.
Bogdo-Gegen v. Urgiński Chutuchta 293, 298.
Bohdanowiczowie 205.
Bolewski dr. 189.
Bonoldi 43.
Boriatinskij Ks. 161, 166.
Borejkowie 200.
Borodij 315.
Borodin pułk. 97, 175.
Borowscy 160.
Borowski Edw. Ks. 50, 67.
Borowski Bonaw. 67, 71.

Borowski Maur. 161.
Bortnowski 71.
Botkin malarz 168.
Botkin prof. 100, 105.
Brandt Teod. prof. 98.
Brandt Edw. prof. 98.
Braniccy hr. 162, 163.
Branicki Kon. 159, 171.
Branicki Wład. 151, 159.
Braun 137.
Brejsky prof. 127.
Broca P. prof. 129, 130, 132.
Brodzki 167.
Bouchut prof. 129.
Budda Szikiamuni 297, 299.
Büdel Adel. 91.
Burhardt 30, 31.
Bunge prof. 108.
Bukowski 116.
Bujwid polic. 250.
Butin D. M. 118.
Bystram Wład. 205.
Celary 71.
Ciechanowski Cel. dr. 236.
Cenkowski prof. 96.
Cepryński Ciekawy Kor. dr. 166, 167.
Chaffajon 285.
Chełkowski 28.
Charcot prof. 129.
Charuzin 223.
Chlebnikow prof. 97.
Chlewiński Jan 42.
Chlewiński Ign. 42.
Chodakowska Barb. z Talko-Hrynce-wiczów 13.
Chomiński Stan. gub. 30, 32.
Claude Bernard prof. 133.
Christow dr. 311, 312.
Chojnowski Józef 159.
Chojnowski Klem. 159.
Chodzko Aleks. 133.
Chudziński Teof. Dr. 130, 132.
Chrząszczewski N. prof. 104.
Chwalibóg Fel. 162.
Cybulski Nap. prof. 97, 309.
Cyparewicz 52, 71.
Cyrtowt ks. bisk. 59.
Cytowicz kapit. 40, 131.
Cytowicz dr. 267.
Czacki Tad. 164.
Czacki Fel. 164.
Czajkowski Michał 71, 111, 112, 113, 115.
Czarkowski 154.
Czarkowska Pelag. 155, 156, 158.
Czaruszin Nik. 243, 244, 245.
Czartoryski Ad. ks. 130.
Czartoryski Wł. 130, 131.
Czechowicz Jul. naucz. 47, 48, 54, 63, 65.
Czechowicz restaur. 226.
Czekanowski Aleks. 217, 234.
Czernyszewskij 85.
Czerski Jan 198, 217, 234.
Czerwiakowski dr. 180.
Czopowski głowa miasta 178.
Czopowski adw. 110, 177.
Czystowicz prof. 82, 83.
Dan 71.
Dalaj - lama 293, 309.
Dalewski dr. 172.
Daniłowicz dr. 172.
Dąbrowski 28, 307.
Delorme 26.
Dembe 71.
Demontowicz 43.
Depaul prof. 129.
Despota Zenowicz Aleks. 184, 212, 213, 215, 217, 218, 248, 248, 250, 277, 278, 280, 310.
Dołbieszow Was. 292.
Dołęga (Zygmunt Sierakowski) 40.
Dieulafoy prof. 129, 133.
Dittner gub. 215.
Dłuski Aloizy 110, 115.
Dobromysłow 270.
Dobrowolski Mar. dr. 127, 132.
Dobrowolski Kon. 19, 20, 73, 116.
Dogiel Stan. prof. 23, 68.
Dogiel Aleks. prof. 68.
Doł-San-Dordży 304.
Dołmatow 25.
Dołubowski 33.
Domański 116.
Dordżejew Agwan, lama 309, 310.
Dowgierd Aleks. 71.
Dowgird Józef 15, 16, 445.
Dowgirdowie 42.
Dybowski Bened. 198, 217, 233, 234, 248, 250, 307, 309.

Dybowscy bracia Stanisław i Władysław 111, 113, 114.
Dybowski Wład. 202.
Dylewski Jak. Iwanow dr. 140, 141, 142, 143, 144.
Dynowski 110.
Duchowskoj Jen.-gub. 266, 281.
Du-Hamel 279, 280.
Dziankowska 271.
Eck 100.
Eichwald 100.
Ejmont Bol. 54, 5.
Eljaszewicz Alek. 71.
Elena Pawłowna W. Ks. 97.
Elkind dr. 308.
Ełpatiewskij 223.
Engelhardt 168, 169, 170.
Erisman 102.
Erhardt prof. 107.
Fałat Juljan 187.
Federowski Mich. 201, 208.
Fedorowiczowa 127.
Figo-Eyredo 86.
Filasiewicz Hil. 125.
Filitz dr. 193.
Florkowski Józ. 110.
Fischer Adam 17, 19, 38.
Fischer Bolesł. 74, 81.
Fischer Karol 21, 38, 39.
Fischer Piotr 21, 22.
Fonberg Ing. prof. 107.
Francuzowicz 71.
Frejdowa 146.
Frejde Adolf dr. 140, 144, 145, 174, 175.
Fredro Maks. hr. 87.
Fuchs 71.
Funduklej, senat. 165.
Funkstejn 54, 71.
Gabszewicz ks. 26, 33, 50, 51.
Gadon Lub. 43, 131.
Galewscy 218, 222.
Galicynowie Ks. 165.
Gałęzowski Sewer. prof. 128, 131, 133.
Gałęzowski Xawery dr. 90, 128.
Gałęzowski Józef pułk. 131.
Garfunkiel 72.
Gavaret 133.
Gepner prof. 93, 101.
Giedrojć Cez. ks. 205, 208.
Giedrojciówna ks. za Wszeborowskim 13
Ginsburg bar. 72.
Glogier Zygm. 192, 199.
Głębocki Erazm 241, 242, 248.
Gogol 265.
Godlewski 234.
Godlewscy 31, 32.
Goldstein Edw. 130.
Gorecki Lud. dr. 107.
Gorski apt. 152.
Gorski Prosp. mal. 152.
Gotowt 15.
Grigorjew Sekr. Ces. Tow. Geogr. 308.
Grigorjewa akuszerka 194.
Grigier Edw. 127.
Gregier Jul. 187, 201.
Grinczak 48.
Gromadzki ks. 228.
Gromczewski Bron. jen. 68.
Gross 37.
Gruber prof. 94, 98, 99, 100, 101.
Grudziński Stan. poeta 152.
Gumowscy 87, 88, 91.
Guéniot 129.
Gujon 128.
Guze Rajm. dr. 83.
Gwajta 25, 46, 47.
Hebra prof. 137.
Henszel dr. 131.
Herburt z Felsztyna ks. prałat 60.
Hoffmanowie 81.
Homse 218.
Honesti Iwan Anton. 266.
Hoppenowie 68.
Hoppen Józef 68.
Hoppen Kazim. 68.
Hoppen Edmund 68.
Hoppen Seweryn 69.
Horbaczewski Józ. ks. 131.
Hübenet v. 107.
Huszczówna Ewa 118.
Hyrtl prof. 98.
Ickowicz hotel 227.
Ignatiew jen. 111.
Iłgowski Jan patrz Talko-Hryncewicz 183.
Iłłakowicz Ign. 72.
Iłłakowiczówna 72.
Iłowajski 48.
Iskierski 116.
Iwanow Alek. Iwanow. prof. 107.

Iwanowa z Rogowskich 167.
Iwanowskij prof. anat. 98.
Iwanowskij A. A. prof. antrop. 101, 223, 308.
Jabłonowski Aleks. 104.
Jabłonowski - Dłuski 40.
Jabłonowscy Ks. 142.
Jaccoud prof. 129.
Jaczewski 152.
Jaczewski (przez. Markiz) 176.
Jacyna 110.
Jadrińców M. 232, 233.
Jakubowska 144.
Jakubowski 144.
Jakubowscy 199.
Janczewski Edw. prof. 306, 307, 308.
Janczewski Cypr. 42.
Janczewski Wal. 32, 44.
Jańczuk N. 223, 308.
Jankowski Mich. 234.
Jankowski renegat 52.
Jankowski Dionizy 110, 115, 164, 165.
Jankowski Leonard 103.
Jaroszewicz 83.
Jaroszewicz spisk. 241.
Jawnis Kazim. ks. 52, 69.
Jelski Aleks. 199, 201, 202, 203.
Jelski Mich. 204.
Jermołajew dr. 98.
Jundziłł prof. ks. 18.
Juszkiewicz Flor. ks. 146, 147.
Junge prof. 100.
Jurow 175.
Kaiser 159,
Kalinowski 234.
Kajro ks. 26, 50.
Kandzińscy 253.
Karawajew prof. 105.
Karłowicz Jan 199, 202.
Kaposi prof. 137.
Karp' Ign. 16, 44.
Karp' Felic 43, 44.
Karpiówna patrz Krystyna Talko - Hryncewiczowa.
Karpowicz 94, 98.
Kaszewarowa Rudniewa 102.
Kawelin prof. 24.
Kawrajski dr. 223.
Kazarin 71.
Keller 75.
Kimiewicz Hier. 201.
Kiszkowska 116.
Klementz D. A. 234, 235, 236, 245, 285, 286, 287, 288.
Klementzowa 236.
Kłągiewicz ks. bisk. Wileń. 27.
Kniaź Jul. ks. 142.
Kobecki Rom. 207, 208.
Kobielski 152.
Kochanowski 157.
Kojałowicz Wojciech 23.
Kołomnin prof. 106.
Kołyszko Bolesław 40.
Komar - Gaccy 134.
Komar - Gacki Jord. 121, 122, 123, 147, 155, 173, 182, 199.
Komarnicki ks. prob. 199.
Konarski 232.
Kondratjew prof. 97.
Konoplański 83, 93.
Konowałow dr. 230.
Kończowie 42.
Kopernicki Izyd. prof. 107, 124, 127, 152, 178, 197, 209, 218, 309.
Koreckij 30.
Kornakow 192.
Korf bar. jen.-gub. 214, 216, 281.
Korniłow 34.
Korejwo Klety 37.
Korniłowicz Pol. 70.
Korniłowicz Edw. 70.
Korytowski 313.
Korwin - Krukowski jen. 76.
Korzeniowski Hip. prof.
Kordziukowscy 42.
Korzon Tad. 32, 52.
Koszłakow prof. 100.
Kosiłowski Alf. 130.
Kościńska Mar. 119.
Kościński 119, 159.
Kościńscy 119, 151, 159.
Koszko... insp. gimn. 34.
Kostecki 134, 135, 136.
Kossakowski apt. 198.
Kostecki Mich. 134, 135.
Kossowicz 23, 76.
Kowalewski Józ. prof. 304.
Kowalewska Zofja 76.
Kowalewski 96, 171.
Kozich Konst. 264, 271, 272.

Kozieł-Paklewski 212, 289.
Kozłow 285, 310.
Kozłow dr. Prof. 81, 82.
Kożewnikow N. prof. 223.
Krajewski 156.
Krajewski Henr. 250.
Krasnopolski dr. 116.
Kraus de Kelles Mich. bar. 45.
Kremer Aleks. dr. 124, 127.
Krimskij E. 136, 177.
Krutowskij M. dr. 230.
Krzesińska Matylda 90.
Krzesiński Feliks 90.
Krzesiński Józef 90.
Krzywicki Kaz. 136.
Kublicki 63.
Kułakowski prof. 100.
Kuźniecow-bibliot. 224.
Kuźniecow posiadacz kopalni złota 230.
Kwintówna Anna 14.
Labbé 285.
Landowski dr. 241, 242.
Landtzert prof. 96, 100, 101.
Langiewicz 38.
Leder Hans 303.
Leiden leib-medyk 195.
Lerche pułk. 169, 171.
Lesgaft prof. 98.
Leszczyński aktor 28, 81.
Leszczyński Stan. król 134, 135.
Lesznowski Stan. 183.
Letnik dr. 119.
Linkin ks. prał. 60.
Lintwarow dr. 119.
Lipoman 114, 115.
Longchamps de Bérier 137, 138.
Loris - Melikow. 280, 289.
Luba 290.
Lubomirska Jul. z Radziwiłłów Ks. 87.
Lubomirski Antoni Ks. 88, 89.
Lubomirski Ks. Aleks. 88.
Lubomirski Stef. Ks. 89.
Lubomirski Józ. Ks. 136.
Lubomirscy Ks. 165, 166.
Łabanowski 34.
Łagowski Józ. dr. 234.
Łamanskij Włodz. prof. 218.
Ławrow socjol. 286.
Ławrowskij 80, 216.
Łopato 71.
Łukaszewicz 47.
Łusznikow 252, 253.
Maciejewski (Maciejewskoj) wojen. gubern. 165, 167.
Mackiewicz Ant. Ks. 37, 39, 40.
Majer Józ. 124, 198.
Makowski 54.
Maksymilian Leichtenberski ks. 71.
Madejski marsz. 155.
Madejska z Ks. Trubeckich 155.
Malewski Miecz. 70.
Malewski Bron. 40, 52.
Malinowski maj. 176.
Malinowski dr. 146.
Malhome Cel. 116.
Marja Nikołajewna W. Ks. 74.
Marcinkiewicz dr. 250, 264, 272, 273.
Marcinkiewiczowie 273.
Marchand dr. 166.
Martianow 25, 230, 287.
Matzon prof. 105.
Matwiejew prof. 26.
Marzenowski 26.
Medekszowie 42.
Mering Teod. prof. 104, 105, 106. 112.
Merklin prof. 97, 100.
Metelicki-Koroway M. 199.
Mianowski dr. 171.
Miarka Karol 125, 126.
Michelson 81.
Michelet 133.
Michalczewski 24.
Michałowska 80.
Michałowski 208.
Mickiewicz 71.
Mickiewicz Wł. 134, 136.
Mickiewicz Adam 133.
Mickiewicz Rymwid Justyn dr. 94.
Middendorf 233.
Miecznikow Ilja prof. 96.
Mierzejewski Jan prof. 100, 195, 215.
Mikuccy 71.
Milutin 96.
Milwid 23.
Minakow prof. 223, 308.
Minkowski 72.
Miercałow 250.
Moczulski 110.
Molski Izyd. 151.
Molleson Wł. 282, 283.

Mollesonowa 315.
Molczanow 253, 254.
Mołczanowy 253, 254.
Mołodecki 89.
Mongiałło Ks. 28.
Monier Marcel. 285.
Moniuszko 28.
Morawski 71.
Morawski hist. 250.
Moroz. 63, 93.
Mossakowski 171.
Moszyński 51, 71.
Müller Orest prof. 223.
Muraszko 87.
Murawjow-Wieszatiel 41, 51, 207.
Murawjow gub. kow. 23, 41.
Murawjow-Amurski 278.
Nagórski 71.
Nariszkina 89, 161.
Natanson Wł. 309.
Neyman Kaz. 110, 113, 115, 162.
Neyman Czesł. 110, 199.
Niemczynow Jak. Iw. 249, 250, 251, 264, 266.
Niemczynow Andr. Jak. 270.
Niemczynowa Elizaw. z Bujwidów 250.
Niemeksza ks. prał. 60.
Niewiarowicz 93.
Niewiarowski 116.
Nikitin 139, 182.
Nikitinowie 182.
Nordkwist 46, 47.
Nowakowski 28.
Nurek apt. 65, 66.
Oboleńskij Ks. 245.
Obermiller 137.
Obrębscy 154.
Obrębska 160.
Obruczew Wł. prof. 204.
Ogiński Iren. Ks. 27, 34.
Ogińska z Kalinowskich Ks. 27.
Olszewscy 93.
Olszewski jen. 176.
Olechin 168.
Openchowski Teod. prof. 116.
Orłowski Wład. Ks. 50.
Ordowa marszał. 201.
Ordowie 200, 201.
Orda czarny Józ. 201.
Orzeszkowa Eliza 199.
Oskierka Aleks. 132, 201.
Oslenicki 25.
Osowski Godfr. 186, 187, 188, 189, 190, 191.
Ostrzyński geom. 139, 199.
Ostrowski Ant. 24.
Owsiannikow prof. 96.
Pac Krzyszt. 14.
Pachłow. 154.
Padlewski 159, 167.
Pałacky 127.
Pallulon ks. bisk. 59.
Papłoński Jan 80.
Potiemkin ks. 166, 168.
Pawłow 51, 52.
Péan prof. 129.
Pel prof. 94.
Peliscy 42.
Petrycy Sebast. prof. 180.
Petri Jul. prof. 215.
Petrow N. N. 244, 245.
Petrowa 288.
Pietrzykiewicz 83.
Piotrowicz ks. prał. 60, 61.
Piltzowie 213.
Piltz Erazm 183, 212, 213, 218.
Piłsudska Stanisława z Talków-Hryncewiczów 21, 39, 179.
Pilichowski 116.
Piotrowski 113, 115.
Piper dr. 93.
Pirogow prof. chir. 144.
Pisarewskij dr. 264, 266, 267, 268.
Płaskowicki Bol. dr. 270, 271.
Płotnikow dr. 270.
Płuszczewscy 93.
Pobiedonoscew 145.
Podbereski Alek. pułk. 175, 176.
Pokrowskij prof. 105.
Pol Winc. 137.
Popławski 33.
Popow Iw. Iw. 246, 285.
Popow Andr. Nikif. 47, 55, 56.
Popowie 288.
Popow Mich. Nik. 47.
Porajska 155, 156.
Porajski Teod. 155, 156, 158, 159.
Porotow dr. 249, 264.
Potanin. Gr. Nik. 129. 215, 216, 227, 233, 243, 284, 285.

Potanina 217, 284.
Potaniny 116.
Potapenko znach. 173.
Potiomkin 168.
Potoccy hr. 157, 163.
Potocki Szcz. hr. 161, 162.
Potkański prof. 307.
Prochorowa 152.
Promyk 125, 126.
Protopopow marsz. 175, 217, 255, 264.
Przewalski M. 284, 285.
Pruszyński Wit. 152.
Przybytek St. prof. 95.
Przyborowski Wal. 184, 279.
Pstruszyński Roman dr. 113, 115, 116.
Puzyna 131.
Rabowska Apol. 91, 92, 93, 102, 103, 121.
Raczkowskij dr. 230.
Radeckij dr. 194, 195.
Radłow W. 284.
Radziwiłł Karol Ks. Panie Kochanku 44.
Radziwiłłowie 88, 142.
Ragozin dr. 212.
Rajewski 175.
Rakowski Aug. 159.
Ramstedt dr. 304.
Rasputin 255.
Rauchenstrauch Hen. 16.
Reichel 250.
Rein prof. 94, 155.
Rembertowski 175.
Renenkampf jen. 108.
Rodakow dr. 281, 282.
Rodziewicz Hen. 83.
Rolle A. I. dr. 82, 143, 185, 191, 195.
Römer Alf. 71.
Römer Edw. 42.
Rossi de 21.
Rostkowski Tom. dr. 83, 93, 98.
Rozalion-Soszalskij 175.
Rozenel 116.
Rozow 223, 308.
Rudniew 100.
Rulikowski Edw. 104, 188, 199, 200.
Rulikowski Edm. 188.
Rulikowski Ant. 200.
Rulikowscy 200.
Rumszewicz Konr. dr. 107.
Ruszczyc 88.
Rylejew pułk. 269.
Rymowicz Fel. dr. 213.
Rymowicz dr. 217, 218.
Rząśnicki Kaz. inżyn. 163.
Sabasznikowie 252.
Sabatowski J. dr. 131.
Sabler 175.
Sadkowski dr. 171.
Sadyk Pasza p. Czajkowski Mich.
Sakowicz 76, 77.
Samokwasow prof. 141.
Sanguszko Rom. Ks. 228.
Sapieżyna Teofila Ks. z Ks. Jabłonowskich 154.
Sawicki apt. 143, 145, 146, 173. 199.
Sawicki Stella dr. (Struś) 32
Schafer 107, 247.
Sayn - Witgenstein Ks. 205.
Schauta prof. 137.
Schreiber dr. 303.
Sciborowski Wł. dr. 127.
Sibert prof. 97.
Sibiriakow 234.
Sieczenow prof. 85, 96, 97, 100.
Siedygin Wik. dr. 269.
Sielawina 205.
Siemaszkowie bracia 72.
Siemaszko Józ. metrop. prawosł. 14.
Siemionow Petr. Petr. 308.
Siergiejewskij 23.
Sievers hr. 81.
Siewrukowa 152.
Sigmund 137.
Sikorski prof. 191.
Silvant 26.
Simon bisk.-sufr. 203.
Sinicyn 252.
Sipiagin 94.
Skirmunt Aleks. 132, 200, 206.
Skirmuntówna Konst. 201.
Sklifasowskij prof. 100.
Smigielski 83.
Smolow 311, 245, 315.
Smolska 72.
Smolski dr.
Smorodzcy
Śniadecki prof. 100.
Scbolewski adw. 110, 54.

Sokołowski Ant. dr. 110, 154.
Sołtanowie 205.
Sołtykowa 147.
Sołtykówna Salomea 120, 147.
Sosnowska 164.
Spasowicz Wł. prof. 132, 201, 212, 218, 219, 272.
Spieszyłow 72, 200, 250.
Stacewicz 25.
Stachowski 59.
Stachowscy 72.
Stanisławski dr. 163.
Stefanowicz 245, 246.
Stefanowicz Alb. dr. 85, 93, 102, 104, 117.
Stejn Aug. maj. 147, 199.
Stejnowie 147.
Stejningerowa 37, 38, 40.
Stejningerówna Andzia 37, 38.
Stelmach Józef 125, 126.
Stołyhwo Wład. ks. 146, 167.
Strawiński Mik. dr. 94.
Streczeniewskij polic. 265.
Styrpejko 83, 131.
Subotin 107.
Sujatin dr. 177, 178, 179.
Sven - Chedin 285.
Świętochowski Aleks. 183.
Swolkien ks. 28.
Symonulewicz 152.
Syrokomla 32.
Szczapow 233.
Szabuniewicz Wikt. 41.
Szabuniewiczowie 212.
Szajnocha Wł. prof. 188.
Szapiro 65, 66.
Szemiotowie 42.
Szenfeld 28.
Sziszmarew 250, 293.
Szubert fotogr. 189.
Szujski Józ. hist. 307.
Szukiewicz 92.
Szukszta 34.
Szulgin Iw. 46, 51, 53, 63.
Szutinas 232.
Szuwałowie hr. 151, 161.
Szwecow 250.
Szwernicki Ks. 232.
Talko-Hryncewicz Jan szambelan 15.
„ Jan 119.
Talko-Hryncewicz Ludwik ks. 11.
„ Ludwik Sędzia 15, 119.
„ Ludwik 160.
„ Jędrzej 188.
„ Józef 63.
„ Witold 63.
„ Henryk 63, 64.
„ Polikarp 63.
„ Juljan sędzia 13.
„ Franciszek Starosta Upicki 14.
„ Dominik 13, 16, 17, 18.
„ ks. prałat Wiktor 12.
Talko-Hryncewiczowa Franciszkowa z Kwintów 14.
„ Krystyna z Karpiów 14.
„ Anna z Białłozorów 16, 63.
„ Leokadja z Fischerów 13, 17, 21.
Talko-Hryncewiczowie 154, 210, 219.
Tarachanow ks. prof. 91.
Taraniecki Aleks. prof. 98.
Tarkowski pułk. 152.
Taube Gust. baron 156.
Teichman prof. 171.
Terleckij 115.
Tołstoj hr. 48.
Tomaszewski 275.
Tomkowicz dr. 91.
Trapp. Jul. prof. 95, 98, 100.
Trepka 232.
Treu dr. 310.
Tretiak Józ. prof. 123.
Trembecki dr. 63, 127.
Trypolscy 155, 157.
Tupalski ks. prał. 60.
Tuszetu-Chan 301.
Twardowscy 200.
Tymowski Jan dr. 180.
Tyszkowski Adaś 160.
Tyszkowski Jędrz. 119, 159, 161.
Tyszkowska Jędrz. z Czarkowskich 156, 160.
Tyszkowski Szczęsny 161.
Tyszkowscy 154, 155, 158, 159.

Tyszkiewicz Ben. hr. 44.
Tyszkiewicz Józ. 18.
Tyszko 71.
Uljanowski 23.
Ujazdowska 52.
Velpeau prof. 130.
Wakar 128, 175.
Walter 106, 107.
Warschauer dr. 140, 142, 193, 194.
Wasiljew dyr. 25.
Wasiljew 55.
Waszczenko-Zacharczenko prof. 108.
Wąsowicz Mac. ks. 23.
Weker dr. 128.
Wielikanow 52, 54, 56.
Wierciński 21, 58.
Wiślicki Adam red. 183.
Witte 80, 81, 82.
Witkowski Edw. 188.
Witkowski Ign. 94.
Witkowski Stan. 94.
Witkowski Mikoł. 217.
Władyczko 35, 71.
Wojciechowski Michałko znach. 173.
Wojtkiewicz Jan 71.
Wojtkiewicz Franc. dr. 71.
Wołończewski ks. biskup 24, 57, 58, 59.
Worobjow dr. 253, 308.
Woronowicz 177.
Wowk Chw. (Wołkow) 288.
Wrangiel bar. 166.
Wróblewski dr. 37.
Wróblewski Zygm. prof. 307.
Wszeborowska Paul. z Talko-Hryncewiczów 13
Wyganowska Emil. 102, 103, 117.
Wyśpiański 307.
Wyżnikiewicz dr. 303.
Zagoskin 233.
Zaleski Bron. 131, 132, 201.
Zaleska referend. 21.
Zaleski Bohd. 63.
Zaleski Stan. Szcz. prof. 228.
Załęski prof. 96.
Zanieski - Miganowicz dr. 269.
Zanietowski dr. 117.
Zanowie 219.
Zawarikin prof. 97.
Zelinger art. 28.
Zenowicz Wład. 72, 196, 197.
Zichy Eug. hr. 285.
Zieleniewski Mich. dr. 127.
Zinin prof. 97.
Znatowicz Bron. 222.
Zonkawa XV 296.
Zubow hr. 205.
Zujewski Józ. 25.
Zwonicki 195, 196.
Zwonicki Wolko 175.
Zyblikiewicz Min. 127.
Żadkiewiczowa 27.
Żebrowski dr. 180.
Żerebcow pułk. 43.
Żółtowski Ign. 124, 125.
Żuk Mikołaj dr. 152, 153.
Żukowski Poeta 24.
Żyliński Lud. 30, 310.
Żyrkiewicz pułk. 199.
Żiskar ks. 203.

Spis ilustracji.

Str. 20. Cztery wizerunki małżonków: Adama i Domicelli z Dworzeckich Fischerów i Juljana i Anny z Białłozorów Talko-Hryncewiczów.

Str. 42. Wizerunki ks. Antoniego Mackiewicza, ks. Biskupa Kazimierza Macieja Wołończewskiego, Aleksandra Jelskiego i Walerego Kulikowskiego.

Str. 242. Widok Troickosawska.

Str. 262. Mongołowie Chałchas i Buriat.

Str. 282. Badanie cmentarzyska na Sudży pogrzebanych w zrębach.

Str. 288. Widok Urgi.

Str. 298. Księżna Mongoło-Chałchaska w uroczystym stroju.

Str. 310. Agwan - Tubdun - Dżamso XIII Dalaj - Lama (Tybetańczyk) żywy bóg, przerodzeniec w Lassie (ur. w r. 1876) narysowany w stylu bóstw tybetańskich.

SPIS RZECZY.

Str

Rozdział I. Pochodzenie. Dzieciństwo (1850 — 1860) 11

Rozdział II. Pierwsze lata gimnazjalne (1861 — 1862). Powstanie styczniowe 23

Rozdział III. Prześladowanie polskości w Kownie po powstaniu styczniowem 36

Rozdział IV. Ponowne wstąpienie do gimnazjum. Nauczyciele i uczniowie. Kary w szkole 46

Rozdział V. Kowno przed sześćdziesięciu laty. Biskup Wołonczewski. — Stosunki wśród duchowieństwa. Nieznośny nastrój w gimnazjum Kowieńskiem 57

Rozdział VI. Moi koledzy w Gimnazjum Kowieńskiem. Opuszczenie gimnazjum. Wyjazd do Petersburga i uzyskanie tam świadectwa dojrzałości 67

Rozdział VII. Wyjazd do Warszawy na studja medyczne. — Odmowa przyjęcia do Uniwersytetu Warszawskiego. — Rozpoczęcie studjów medycznych w Petersburgu 78

Rozdział VIII. Petersburska Akademja medyko-chirurgiczna. Wyjazd na dalsze studja do Kijowa. — Uniwersytet kijowski. Profesorowie . 96

Rozdział IX. Polska młodzież akademicka w Kijowie. — Wspomnienia o Michale Czajkowskim. Moi koledzy kijowscy. — Ukończenie studjów medycznych 109

Rozdział X. Rozpoczęcie praktyki lekarskiej w Zwinogródce na Ukrainie. — Śmierć narzeczonej. — Wyjazd zagranicę. — Zwiedzenie Lwowa, Krakowa, Cieszyna, Górnego Śląska, Szczawnicy, Krynicy, Pragi, Karlsbadu, Marienbadu, Franzensbadu, Wiesbadenu, Frankfurtu nad Menem. — Uzupełnienie studjów lekarskich w Paryżu. Polacy w stolicy Francji, Nancy, Strasburgu, Monachjum. Studja lekarskie w Wiedniu. Powrót do Zwinogródki 120

Rozdział XI. Lekarze w Zwinogródce. — Społeczeństwo miasta i okolicy. Ważniejsze rodziny obywatelskie 139

Rozdział XII. Stosunki towarzyskie i świat urzędniczy w Zwinogródce. — Śmierć siostry. — Najczęstsze choroby ludności w Zwinogródce i okolicach. — Moja praca literacka i naukowa. Poszukiwania archeologiczne. Początek mojej działalności naukowej na polu antropologji 173

Str.

Rozdział XIII. Pogorszenie się moich warunków materjalnych. — Długi nie z własnej winy. Stosunki między lekarzami w Zwinogródce. Wyjazd z tej mieściny nazawsze. Zbieranie materjałów antropologicznych na Kresach Wschodnich i zwiedzanie wielu miejscowości. Pobyt w Antonowie. Zawarcie związku małżeńskiego. — Wyjazd na Syberję 192

Rozdział XIV. Podróż przez Warszawę, Moskwę, Niżni Nowgorod, Kazań, Jekaterinburg, Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck. Kres podróży w Troickosawsku 221

Rozdział XV. Troickosawsk. — Miejscowe społeczeństwo 241

Rozdział XVI. Osada chińska obok Kiachty. — Warunki życia w Troickosawsku. — Plaga pijaństwa wśród tamtejszej ludności i niski poziom jej moralności. — Administracja w kraju zabajkalskim i jej wady. Lekarze w Troickosawsku. Moje obowiązki służbowe i działalność naukowa. — Wspomnienie o Aleksandrze Despocie Zenowiczu . . 257

Rozdział XVII. Założenie w Troickosawsku Oddziału Towarzystwa Geograficznego i działalność tego Oddziału. Ekspedycje naukowe. Klementz. Wyjazd mój z żoną do Urgi, stolicy Mongolji i powrót do Troickosawska 281

Rozdział XVIII. Rozwój Troickosawskiego Oddziału Towarzystwa Geograficznego. Wycieczka moja z żoną do kraju 1902 r. Powrót do Troickosawska. Ciężka moja choroba. — Wyjazd w r. 1908 do Krakowa w celu objęcia katedry antropologji w Uniwersytecie Jagiellońskim. — Serdeczne pożegnanie ze społeczeństwem w Troickosawsku . . 305

Przypiski i dodatki 317

Skorowidz ważniejszych nazwisk 323

Spis ilustracji 332

Wykaz znaczniejszych błędów.

str.	*wiersz*	*zamiast*	*ma być*
13	21 od góry	Marjan hr. Czapski	Edward hr. Czapski
16	22 od góry	pamiętam dobrze	nie pamiętam
25	14 od góry	Ollenicki	Oślenicki
26	30 od góry	regenta	renegata
28	17 od góry	Chełkowski	Chełchowski
32	8 od góry	Demonstracje i śpiewy patrjotyczne zostały wzbronione	Demonstracje i śpiewy patrjotyczne wkrótce zostały wzbronione
44	19 od góry	Poniewskiego	Poniewieskiego
44	23 od góry	Karp'	ojciec Karp'ia
45	5 od góry	podobno Krauz	pamiętam jak Krauż
72	6 od góry	Markowicz	Iłłakowicz
72	14 od góry	Piotr Ciszkiewicz z Kowna, ktory ukończywszy Akademję Medyko-Chirurgiczną	Piotr Ciszkiewicz z Kowna i Łukomski, który ukończywszy Akademję Medyko-Chirurgiczną
83	3 od dołu	Pietrzukiewicz	Pietrzykiewicz
93	12 od dołu	Wylié	Wilié
104	1 od góry	Kulikowski	Rulikowski
117	12 od góry	prawnego płuca	prawego płuca
125	7 od góry	podstryszu	podstrychu
125	8 od dołu	Filosiewicza	Filasiewicza
131	12 i 15 od góry	Herszel	Henszel
135	13 od dołu	wojna francusko-niemiecka podążył do Francji	wojna francusko-niemiecka w r. 1870 podążył do Francji
151	2 od dołu	„warmaków"	„warnaków"
161	13 od góry	stary kawaler	stary kawaler Sczęsny Tyszkowski
161	7 od dołu	rodu Tweskich	rodu Twerskich
164	11 od góry	Jankowiskim	Jankowskim
166	13 od góry	Ćwiertkowem	Ćwietkowem
176	13 od dołu	Z obu kolegowałem się	Z obu kolegowałem
311	4 od góry	Smołaniełowa	Smolowa
315	13 od góry	Smolniełow	Smolowa